

# W Kraju Mahdiego 3

Karol May



calibre 0.9.27

Karol May

W kraju Mahdiego

Część trzecia

W Sudanie

Im Lande des Mahdi III



# Rozdział I

## Straceni

Jak wspomniałem poprzednio, obraliśmy sobie za cel *mai Jeh* Semkat, co po polsku oznacza zatokę rybią. Wnioskując z tej nazwy, mieliśmy nadzieję, że znajdziemy tam istotnie obfitość ryb, którymi żywić się będzie można. Do odbycia drogi na miejsce trzeba było trzech dni; potem należało udać się dalej lądem. W jaki jednak sposób? Czy pieszo przez tę bagnistą okolicę? Byłoby to bardzo uciążliwe i zabrałoby dużo czasu. Więc jechać wierzchem? No tak, ale, na jakich zwierzętach? W strefie tej nie ma ani wielbłądów, ani koni, które w żaden sposób nie dają się tu zaaklimatyzować i giną wkrótce. Mieszkańcy tych okolic muszą się posługiwać daleko mniej szlachetnym zwierzęciem „wierzchowym” od arabskiego rumaka lub „okrętu pustyni”, a tym jest — wół.

Zwierzęta te przystosowują się wybornie do warunków klimatycznych nad bagnistym, górnym Nilem. Są silne, pojęte, posłuszne i zwinne, co należy przypisać długoletniej tresurze jednej i tej samej rasy. Oczywiście używają ich także i do przewożenia ciężarów.

Gdybyśmy mogli wynająć te zwierzęta, to oszczędzilibyśmy czasu, co dla nas było bardzo korzystne. Ibn Asl potrzebował na przebycie wytkniętej drogi dwudziestu dni; ponieważ był w podróży pięć dni, dotarłby więc do przeznaczonego miejsca po upływie piętnastu dni. My jednak mogliśmy się dostać do Wagundy wciągu dziesięciu dni i w tym wypadku zyskalibyśmy sześć dni, które by najzupełniej wystarczyły do wyprzedzenia go i przygotowania mu na miejscu... niespodzianki. Chodziło tylko o to, skąd wziąć woły wierzchowe i juczne do pakunków.

Poczyniliśmy poszukiwania przede wszystkim w najbliższej okolicy, to jest koło zatoki Semkat.

Mieszka tam w czterdziestu wsiach około dziesięciu tysięcy Borów i posiadają bardzo dużo bydła. Są oni odłamem ludu Dinków, a ponieważ szliśmy na ratunek pokrewnym im Gokom, więc sądziliśmy, że chętnie udzielą nam pomocy.

Należało również liczyć się z czasem i nie utracić nawet jednego dnia, wobec czego układy z tymi ludźmi nie mogły trwać dłużej, jak do nadejścia naszych okrętów. Postanowiliśmy więc wysłać przodem wielką łódź, na której znajdowało się ośmiu wioślarzy i jeden sternik oraz potrzebne zapasy żywności. Łódź ta przy najpomyślniejszym wietrze płynęła z chyżością „Sokoła”. Ja miałem przewodniczyć wyprawie, przy czym emir upoważnił mnie do załatwienia sprawy z czarnymi według własnego uznania. Na wioślarzy wybrano ośmiu najsilniejszych mężczyzn. Między nimi był Agadi, który miał służyć za tłumacza, gdyż żaden z nas nie władał dobrze językiem Dinków. Rozumie się samo przez się, że wszyscy byliśmy doskonale uzbrojeni. Kilku asakerów twierdziło, że nad zatoką Semkat jest mnóstwo hipopotamów, a na brzegach przebywają całe stada słoni. Spodziewałem się więc, że nie minie mnie przyjemność znakomitego polowania.

Plan ten omówiliśmy zaraz po naszym odjeździe ze zburzonej przez nas seriby i wyruszyliśmy w drogę. Brzegi rzeki były gęsto zalesione. Po wodzie pływały duże kępy trzciny, które jednak zrzęcznie

omijaliśmy. Dla zaoszczędzenia sił ludziom, kazałem wiosłować im na przemian po czterech. Sam usiadłem u steru. Na wszelki wypadek mieliśmy z sobą żagiel.

Wieczorem zatrzymaliśmy łódź i pokładliśmy się, oczekując wzejścia księżyca, po czym mieliśmy płynąć dalej. Musiałem się pokrzepić snem choć przez chwilę, gdyż poprzedniej nocy nie zmrużyłem nawet oka. Agadi był również bardzo znużony. Inni nie mogli się skarżyć na brak wypoczynku na okręcie.

Dym z ogniska chronił nas przed moskitami, które w tej okolicy są istną klęską. Mieszkaniec krajów północnych nie ma nawet wyobrażenia o okropnej pladze owadów w tych stronach. Nasze muchy domowe, ba, nawet dość dokuczliwe komary wodne są niczym w porównaniu z piekielną złośliwością rozmaitych owadów afrykańskich, dręczących ludzi i inne stworzenia w sposób nieznośny. Murzyni spalają olbrzymie stosy drzewa, śmieci i mokrej słomy, aby dymem odstraszyć te owady od swej trzody. Sami chroniąc swoje ciało od natrętnych much, zagrzebują się aż po brodę w popiele. Obrzydliwe owady obsiadają w olbrzymiej ilości woły i owce, nie pozostawiając ani odrobiny wolnego miejsca na skórze. Jeżeli taka plaga trwa kilka tygodni, to giną nawet najsilniejsze bydłota. Dlatego też nawet majtek posiada *namuziah* czyli siatkę chroniącą go od komarów, gdy tymczasem pożałowania godni czarni niewolnicy skazani są na znoszenie tej plagi.

Księżyc wzniósł się ponad las, i wtedy zbudzono mnie, by ruszać w dalszą drogę. Dno na przedniej części łodzi wyłożone było gliną, mogliśmy więc bezpiecznie rozpaścić ogień dla ochrony przed moskitami; ponadto nęcił on ryby, które zakłuwaliśmy, by je następnie upiec. W rzece Rolu jest niezwykle dużo ryb w rodzaju mniejszego suma, które bardzo nam smakowały.

Wiosłowaliśmy przez całą noc. Gdy nad ranem zaczął wiać wiatr, rozwinięto żagiel i powierzono łódź jednemu z asakerów, gdy reszta pokładła się na spoczynek. Żeglowali już bez przerwy aż do południa, a gdy wiatr ustał, wypoczęci żołnierze chwycili znowu za wiosła. Niebawem, orientując się wedle map, należało się już spodziewać zatoki Semkat. Jeden z asakerów, zabranych z seriby, który znał tę okolicę, oznajmił, że wejście do zatoki będzie bardzo trudne, gdyż niedawno wyrąbano tam znaczną część lasu.

Palma *deleb* jest obok daktylowej najpiękniejszym drzewem Afryki północno-wschodniej. Ma ona wysoki, smukły pień, grubiejący stopniowo ku górze, a potem coraz cieńszy i przypomina przez to filary niektórych staroegipskich budowli. Gęsta korona składa się z wielu ciemnozielonych wachlarzy liści, podobnych do wachlarzy palmy *dom*. Dojrzałe owoce, barwy pomarańczowo-żółtej, są wielkości głowy dziecka. Drzewo nadaje się doskonale do wyrobu lekkich łodzi.

Wieczór się zbliżał, gdy po prawej stronie ukazała się wspaniała zieleń lasu *deleb*.

Po półgodzinnej żegludze dotarliśmy do miejsca, gdzie ramię rzeki odchyłało się na prawo i rozszerzało w wielki basen na kształt jeziora. To był cel naszej podróży — zatoka Semkat.

W czasie całej żeglugi nie widzieliśmy ani jednego człowieka, a i tu także nie spodziewaliśmy się spotkać nikogo. Przywiosłowaliśmy do zatoki i mogliśmy widzieć oba jej brzegi blisko siebie; następnie rozchodziły się one tak daleko, że, aby nie zmylić drogi, trzymaliśmy się prawej strony. Im więcej zbliżaliśmy się do lądu, tym bardziej szukałem z napiętą uwagą choćby śladu po

jakiegokolwiek istocie ludzkiej.

Poszukiwania moje jednak były daremne. Już zaczynało się zmierzchać, i sądziłem, że nadchodząca noc będzie stracona dla naszych zamiarów, gdy wtem spostrzegłem tajemniczy, podobny do gilotyny postument, który umieszczony był o kilka kroków od brzegu. Od wody prowadziła wydeptana ścieżka między dwoma słupami krzyżownicy. Na niej wisiała na ciężkim kamieniu krótka żelazna włócznia na długiej linie, której drugi koniec był przytwierdzony do lekkiej wiązki trzciny.

Postument ów był pułapką na hipopotamy. Hipopotam nie jest wcale tak spokojnym zwierzęciem, jak je zwykle opisują. W wodzie bardzo często zaczepia człowieka. Rozdrażniony lub ranny jest jeszcze groźniejszy. Zanurza się on wtedy, a następnie wypływa znowu z wody, wywraca łódkę i chwytą w olbrzymią paszczę całego człowieka. Murzyn ucieka od niego w wodzie, lecz tym chytrzej nastaje na niego na lądzie, gdyż mięso, a osobliwie słonina z tego zwierzęcia są bardzo poszukiwanymi smakołykami. Nawet biali utrzymują, że słonina jest bardzo smaczna, a ożór uznają za wyszukany przysmak.

Przez dzień pozostaje hipopotam pod wodą, a wieczorem wychodzi na brzeg i pożera soczyste rośliny. Najchętniej idzie na pola, gdzie rośnie trzcina cukrowa, czyniąc tam wielkie spustoszenie, gdyż więcej podepce i stratuje, niż spasia. Jak każde prawie dzikie zwierzę, tak i hipopotam ma swoją ścieżkę, którą co dzień chodzi, dopóki go ktoś z niej nie wypłoszy. Na tej ścieżce Murzyni stawiają pułapki, zaopatrzone w dzidy lub harpuny z uwiązanymi u nich kamieniami, aby ich pchnięcie było silniejsze i skuteczniejsze. Harpuny zakończone są zakrzywionymi hakami, które, wbiwszy się głęboko w kark lub grzbiet zwierza, nie dają się łatwo wydobyć. Zraniony hipopotam rzuca się do wody i traci z wolna krew. Martwe ciało nie wypływa zaraz na powierzchnię lecz pozostaje często cały dzień, a czasem i dłużej, na dnie. Wobec tego mięso takiego hipopotama popsułoby się i byłoby nie do użycia. Lecz harpuny posiadają długą linę, do której przyczepiona wiązka trzciny pływa po powierzchni wody i wskazuje myśliwym, w którym miejscu należy szukać zabitego zwierzęcia.

Na taką to pułapkę właśnie natknęliśmy się. Ścieżka, była zwykłą, codzienną drogą hipopotama. Jeżeli jest tutaj nastawiona pułapka — pomyślałem, — to muszą też być i ludzie. Zawróciłem łódź ku brzegowi. Nie bałem się zwierzęcia, lecz nie wylądowałem naprzeciw tej drogi właśnie w obawie przed ludźmi, których to wcześniej należało odszukać — nie wiedzieliśmy bowiem, co to za jedni i jak nas przyjmą, gdy się z nimi spotkamy. Wnioskowałem dalej, że przychodzili często ku pułapce, i gdybyśmy tu wylądowawszy zostawili łódź, to oni łatwo by ją znaleźli i odcięli nam przez to drogę powrotną. Dlatego też skierowałem łódź w miejsce, gdzie trafiliśmy na wąską wyrwę, wyżłobioną przez wodę. Oba brzegi zarośnięte były wysoką trzcina, spoza której prawie nie było widać tej kryjówki. Tu więc ukryłem łódź tak, że nikt obcy znaleźć jej nie mógł.

Pozostawiwszy w owym miejscu swoich ludzi, poszedłem ku pułapce, aby ze śladów znajdujących się koło niej, zbadać w jakim kierunku należało szukać tych, którzy ją postawili. Podjąłem się tego sam, aby tym łatwiej zatrzeć ślady, mogące nas niewątpliwie zdradzić.

Nie było to rzeczą łatwą, gdyż brzeg był bagnisty, a nogi grzęzły głęboko. Na szczęście, powstałe

przez to zagłębienia napelniały się tak szybko wodą i szlamem, że można było stąpać po nich bez najmniejszej obawy. Dla zupełnej jednak pewności obwiązałem nogi trzcina, przez co otwory, które wydeptywałem wyglądały prawie tak samo, jak ślady okrągłych, wielkich stóp hipopotama.

W pobliżu pułapki znalazłem istotnie odciski bosych stóp ludzkich i po bliższym ich obejrzeniu wywnioskowałem, że ludzie, którzy te odciski pozostawili, byli tu niedawno. Przy obu słupkach ziemia była świeżo podkopana, co dowodziło, że pułapkę dopiero dziś ustawiono, a urządzający ją nie przybyli tu na łodzi, lecz od strony lądu, przez las, jak wskazywały wyraźne ślady. Postanowiłem więc iść dalej.

W lesie rosły palmy *deleb*, których korony tworzyły gęste sklepienie. Z pni drzew zwieszały się rośliny pnące na wszystkie strony, tworząc gęstą siatkę. Aby się przez nią przedostać, musieliśmy pomagać sobie nożem. Murzyni wyrąbywali ścieżkę przez ten gąszcz isticie dziewiczy. Postępowałem więc ostrożnie naprzód, gotów każdej chwili za lada podejrzanym ruchem zboczyć z drogi i ukryć się. Po pięciu minutach drogi napotkałem w lesie obszerny zrąb.

Stało tu sześć tokulów, skleconych byle jak, naprędce, jak to czynią zazwyczaj Murzyni tam gdzie nie mają zamiaru długo przebywać.

Tokule te były dosyć obszerne, co wskazywało, że mieszkało w nich więcej ludzi. Posunąłem się jeszcze dalej. Przed drzwiami leżeli, siedzieli i stali sami czarni mężczyźni. Kilku z nich znosiło drwa do ogniska, gdyż zapadał już wieczór. Warty nie było żadnej; widocznie ludzie ci czuli się zupełnie bezpiecznie. Poznałem, że byli to Dinkowie z rodziny Borów, których właśnie szukaliśmy.

Powróciłem na drogę, dopiero co przebytą i skierowałem się naprzód ku pułapce, a następnie do łodzi. Tu opowiedziałem wszystko towarzyszom.

Agadi, nasz tłumacz, rzekł:

— To są wojownicy Borów, effendi. Przybyli tu zapewne na polowanie, bo nie mają ze sobą kobiet ani dzieci. Pozwól nam udać się do nich!

— Przypuszczasz, że przyjmą nas życzliwie?

— A dlaczego mieliby zająć wobec nas nieprzyjazne stanowisko? Przybywamy przecie do nich w zamiarach uczciwych; ja zresztą należę do ich szczepu i znam ich język. Chodźmy!

Zwrócił się w kierunku pułapki, chcąc udać się do czarnych.

— Stój! — rozkazałem mu. — Tu konieczna jest ostrożność! Nie wiemy jeszcze, jak nas przywitają. Gdyby zmuszono nas do odwrotu i gdybyśmy mieli tylko jedyną drogę koło pułapki, dobrze znaną przez nich, mogliby nas bardzo łatwo dogonić.

— Ee, mamy przecież doskonałe karabiny i jesteśmy od nich bardziej doświadczeni.

— Nie obawiam się ich znowu tak bardzo; jeżeli jednak można uniknąć pewnych strat, to dłaczegóż nie mamy tego uczynić? Wytnijmy sobie stąd inną drogę aż do samych tokulów.



— A trafisz prosto?

— Nie troszcz się o to; trafię. Na wypadek, gdybyśmy byli zmuszeni uciekać, nie wiadomo by, gdzieśmy się podzieli, bo przecie o tej nowej drodze nie mają pojęcia. Będą nas szukali na tamtej drodze, a my tymczasem wsiądziemy na naszą łódź i puścimy się na wodę.

— Jak chcesz, effendi; lecz nie sądzę, by aż taka ostrożność była konieczna.

Bez względu na to, czy uwaga ta była słuszna, czy nie, wolałem zapewnić sobie odwrót. Zrzuciliśmy karabiny na ramiona i dobyliśmy noże do wyrąbywania gęstwy pnących się krzewów i roślin. Oczywiście sprawowaliśmy się możliwie najciszej. Ja wytyczałem kierunek tej osobliwej wycieczce. Noże były ostre i robota szła gładko, lecz zabrała nam tyle czasu, że zapadł zmrok zanim wydostaliśmy się na widniejsze w lesie miejsce. Borowie rozpalili koło chat ogniska, których światło przedostawało się do nas, co ułatwiało nam robotę.

Im więcej oddalaliśmy się od brzegu, tym twardszy i suchszy był grunt. Wreszcie dotarliśmy do wyrębu. Pierwsza z chat była oddalona o jakieś trzydzieści kroków od miejsca, na którym staliśmy.

Murzyni piekli nad ogniem mięso i jego zapach aż do nas dolatywał. Agadi pociągnął kilka razy nosem, mlasnął językiem i rzekł:

— To jest *miszwi el husan el bahr\**. Złowili zapewne dziś hipopotama. Effendi, będziemy mieli świetną gościnę. Pójdziemy obaj, czy też ja sam mam iść najpierw i rozmówić się z nimi?

— Ani jedno, ani drugie. Wybierzemy drogę pośrednią: pójdziemy razem aż pod pierwszą chatę; potem ty wystąpisz, aby ich pozdrowić, i rozmówisz się z nimi, a jeśli tylko spostrzeżesz, że są do nas wrogo usposobieni, cofniesz się natychmiast z powrotem. Dalszy plan obmyślimy później.

Agadi zgodził się, poszliśmy więc naprzód. Warty i tutaj nie było. Spostrzeżono nas dopiero w pobliżu ognisk, gdy stanęliśmy w pełnym świetle ognisk. Czarni wszczęli straszny hałas i następnie w okamgnieniu czmychnęli do swych chat. Niepodobna było iść dalej, bo Murzyni skierowali ku nam przez drzwi lufy karabinów, gotując się do obrony; a z tymi ludźmi żartów nie ma: jeden krok, i padłyby strzały zupełnie niepotrzebne.

Wobec tego spróbowaliśmy porozumienia na drodze pokojowej. Agadi wybrał się sam do jednej z chat, która była największą i gdzie wedle naszych przypuszczeń powinien był mieszkać wódz. Jako znak pokojowych zamiarów wziął Agadi gałązkę palmową i wywijał nią, dając tym do zrozumienia, że chce się z nimi układać.

Postąpiłem kilka kroków za Agadim i usłyszałem wnet rozmowę, nic z niej oczywiście nie rozumiejąc. Niebawem wyszło z chaty dwóch czarnych, wcale nie uzbrojonych. Przystąpili oni do Adagiego i mówili z nim, a miny ich i ruchy nie zdradzały żadnych wrogich zamiarów. Wreszcie wskazali chatę, w której także płonęło światło, i zażądali, by się udał do niej. Chciałem temu zapobiec, lecz obawiałem się podejrzeń z ich strony. Agadi poszedł.



Upłynęło dziesięć minut, minął już kwadrans, nawet pół godziny, a Agadi nie wracał. Murzyni nie wychodzili również ze swych chat. Ognie przed tokulami, nie podsycane, zaczęły powoli gasnąć. Zbudziło to we mnie pewne podejrzenia. Dlaczego Agadi nie wyszedł ani na chwilę, by mnie przynajmniej uspokoić? Czekać dłużej nie mogłem, więc zniecierpliwiony kilkakrotnie na niego zawołałem. Dopiero po upływie dłuższego czasu odpowiedział mi z wnętrza chaty:

— Effendi, schwytali mnie i nie chcą puścić, myślą bowiem, że jesteś Ibn Aslem.

— Czy jest wódz w tokulu? — zapytałem.

— Jest.

— Niech wyjdzie! Chcę się z nim rozmówić.

Agadi nie odpowiedział nic. Dopiero po upływie kilku minut wyszedł przed otwór i stanął. Ręce miał związane na plecach, a oprócz tego opasany był powrozem, którego koniec sięgał aż do wnętrza chaty. Na tym powrozie można go było w każdej chwili wciągnąć do chaty z powrotem.

— I cóż? — zapytałem. — Gdzie jest wódz?

— W tokulu, z którego nie wyjdzie za żadną cenę. Proszę cię, odejść natychmiast.

— A jeżeli nie odejdę?

— To wciągną mnie na powrozie do wnętrza chaty i zamordują.

— A gdybym odszedł?

— Będą się naradzali.

— Kiedyż się dowiem o rezultacie tych narad?

— Jutro.

— Dlaczego aż tak późno? Wiesz przecież, jak nam się śpieszy. Gdzie i w jaki sposób możemy się od nich czegoś dowiedzieć? Powiedziałeś może, gdzie się znajduje nasza łódź?

— Nie. Mówiłem, że znam wprawdzie to miejsce, lecz nie umiałbym go opisać. Może przekonam ich jeszcze, że ty nie jesteś Ibn Aslem. Odejść i czekać spokojnie do jutra. Nie próbuj nawet mnie uwolnić, bo pogorszyłbyś całą sprawę.

— Usunę się i rozważę, co mam czynić. Powiedz jednak wodzowi, że skoro świt powrócę. Opowiedz mu wszystko, co wiesz o mnie, i ostrzeż go, że zapłaci życiem, jeżeli tobie bodaj jeden włos z głowy spadnie.

Agadi zniknął w drzwiach tokulu, a ja z asakerami odszedłem, jednakże niedaleko.

— On już stracony — szepnął jeden z żołnierzy, gdyśmy się ukryli w cieniu. — Uważają go za zdrajcę, za sprzymierzeńca Ibn Asla. Jeżeli jednak sądzą, że ty jesteś łowcą niewolników, to będą się starali za wszelką cenę umknąć nam jeszcze w ciągu nocy, ale najpierw zapewne odbiorą życie biednemu Agadiemu.

— I ja ich posądzam o to. Ale od czegoż my tutaj jesteśmy? Otoczmy ich obóz i nie dopuścimy do ucieczki.

— To na nic! Moglibyśmy wprawdzie zastrzelić kilku, ale przecież nie wszystkich.

— O, w razie ucieczki wpadliby nam w ręce co do jednego. Pomyśl tylko. Oni mają swoje stałe siedziby nad rzeką, a tu, nad zatokę, przybyli na łowy hipopotamów i sklecili sobie prowizoryczne szałas. Jestem więc pewny, że dostali się tu nie przez las, bo ten jest nie do przebycia, ale drogą wodną, na łodziach, które z przeczności ukryli gdzieś w pobliżu ścieżki, bo tu jest najłatwiejszy dostęp do wody. Jeżeli tedy zamkniemy im tę jedyną drogę, to stąd się nie wydostaną. Otoczmy ich obóz ze wszystkich stron. Jest nas ośmiu; staniemy więc po dwóch w czterech punktach na brzegu wyrębu tak, aby po wzejściu księżyca pozostawać w cieniu drzew. Na wypadek, gdyby Murzyni chcieli się przedrzeć w którąkolwiek stronę, to żołnierz na odpowiednim posterunku krzyknie głośno i wówczas wszyscy tam się zbiegniemy. Nie ma co obawiać się starej, lichej broni murzyńskiej. Chodźcie, wyznaczę wam miejsca!

Obszedłszy z niezwykłą ostrożnością obóz, postawiłem w odpowiednich miejscach trzy posterunki, obierając sobie z jednym z pozostałych asakerów stanowisko najważniejsze, to jest na ścieżce ku zatoce.

Położyliśmy się na miękkiej ziemi w cieniu palm. Ognie koło tokulów wygasły powoli, a niebawem zapanowała głęboka ciemność i cisza. Nie słyhać było żadnego głosu z chat murzyńskich, żadnego szmeru, i nawet świat zwierzęcy nie dawał znaku życia, tylko miliardy robaczek świętojańskich uwijały się pomiędzy liśćmi paku i również miliardy moskitów opadły nas. Ale zawiodły się tym razem skrzydlate natręty, nasmarowaliśmy się bowiem pewną rośliną wodną, której muchy i komary wręcz nie znoszą. Jeszcze w ciągu popołudnia napotkaliśmy całe kępy rośliny *sitt ed džami el minchar* i zabraliśmy spory jej zapas do łodzi. Jest to nikła, drobna, podobna z liści do soczewicy roślina, na pozór nie wydająca żadnej woni; dopiero po zgnieceniu śmierdzi nieznośnie. Ale co to znaczy wobec mąk, jakie zadają człowiekowi komary? Jeżeli się nie osłoni siatką twarzy, to w krótkim czasie nie można się w niej dopatrzeć nawet podobieństwa; tak puchnie pod działaniem jadu komarów, że oczu prawie nie widać, a nos wygląda jak bezkształtna fioletowa bryła; nawet wargi i język obrzmiewają, bo i do ust się dostają te okropne owady; nieszczęsne są też i uszy, które puchną do tego stopnia, że człowiek głuchnie na kilka godzin. Wobec tego lepiej jest znieść przykrą woń wspomnianej rośliny, niż narażać się na tak straszną udrękę.

Przeleżeliśmy może pół godziny. Powoli gwiazdy zaczęły blednąć, a niebo natomiast rozjaśniało się powoli, gdyż księżyc wznosił się przez baldachim palm, jak przesiany przez sito — srebrny, migotliwy pył, łudzący oko, niby niezliczone mnóstwo robaczek świętojańskich. Nagle dał się słyszeć w pobliżu lekki szmer.

— Słyszysz, effendi? — szepnął mój towarzysz. — Co to było?

— Skrada się dwu ludzi. Są to zapewne Murzyni. Cofnęliśmy się ze ścieżki w głąb wijących się roślin, aby nas nie spostrzeżono. Było tu wprawdzie dosyć już ciemno, bo palmy zasłaniały światło, mimo to zdołałem rozróżnić sylwetki dwóch Murzynów. Zdawało mi się, że mają w rękach wiosła. Przeszli koło nas, i niebawem powtórzył się znowu podobny szmer, jak poprzednio.

— Prawdopodobnie idzie ich więcej — szeptał askari. — Przepuścimy ich również?

— Oczywiście. Idą oni do swoich łodzi. Jeżeli ich przepuścimy, to wnet dowiemy się, gdzie je ukryli; w przeciwnym razie trzeba by ich szukać bardzo długo. Tych jednak, którzy teraz nadejdą, nie puścimy.

Nadeszło znowu dwóch z wiosłami i udali się za tamtymi w dół. Niewątpliwie mieli zamiar we czterech puścić łódź na wodę. Od strony obozu było już cicho.

— Pójdę za nimi — rzekłem — a wy tu zostańcie i, gdyby jeszcze nadszedł jakiś Murzyn z obozu, to zatrzymajcie go, jeżeli zaś nie zechce się cofnąć, możecie strzelać.

Wysunąłem się z kryjówki i chyłkiem podążyłem w stronę zatoki. Ścieżka spadała prosto, aż do samej wody. Miałem wspaniałą widok na zatokę. Powierzchnia wody, nie zmarszczona ani jedną falą, lśniła w potokach światła księżycowego, jak wypolerowany metal. Las oddalony był od zatoki wąskim pasem trzciny, z której wystawała wspomniana pułapka. Stali tu czterej czarni, patrząc z wielką uwagą na wodę. Ponieważ byli zwróceny do mnie plecami, podszedłem dalej, aż na brzeg lasu, i ukryłem się w cieniu palmy, zaciekawiony, co ich tak bardzo zajmuje. I niedługo czekałem na wyjaśnienie tej zagadki. Oto przy brzegu ukazał się hipopotam. Po wielkości głowy można było wnioskować, że to olbrzym. Zanurzał się w wodę i wypływał znowu, jakby się bawił, nie ukazując jednak całego tułowia, a tylko głowę i grzbiet, na którym brykało sobie najspokojniej w świetle młode hipopotamiątko wielkości psa nowofundlandzkiego, ale o wiele od niego grubsze.

Starożytni Egipcjanie nazywali hipopotama „rer”, to znaczy — wieprz. Zwierzę to istotnie przypomina budową cielską naszą swojską świnię, ale z głowy podobne do niej nie jest. Takiego łba, jaki ma hipopotam, nie posiada żadne zwierzę. Mowa tu oczywiście o kształcie, nie o wielkości. Przednia część głowy jest wprost olbrzymia i nieproporcjonalnie do tułowia szeroko spłaszczona. Oczy, podobne do świńskich, osadzone są bardzo wysoko, a paszcza, zaopatrzona w potężne kły, może objąć wpół najgrubszego człowieka. Ponieważ oczy, uszy i nozdrza rozmieszczone są prawie w jednej linii, może zwierzę łatwo ukryć w wodzie cały korpus, a na powierzchnię wystawia tylko przednią część głowy dla zaczerpnięcia powietrza lub rozejrzenia się za łupem.

Pod grubą skórą posiada zwierzę olbrzymią warstwę półpłynnego tłuszczu, przez co może łatwo utrzymywać się na powierzchni wody. Nogi ma grube i tak krótkie, że na lądzie brzuch szoruje po ziemi.

W tej chwili zwierzę wypuścił z paszczy wodę przez nozdrza na obie strony w formie półkolistej fontanny, obrócił się raz i drugi, strącił młode z grzbietu do wody, ale je zaraz pochwycił i podpłynął do brzegu.

Wywnioskowałem stąd, że jest to samica. Przy brzegu zrzuciła ona znowu do wody małe

hipopotamiątko, które przez chwilę płynęło samodzielnie, nareszcie wydostało się na ląd i poszło ścieżką aż do pułapki. Tu przystanęło, oglądając się za matką, która wystawiła łeb z wody, bacząc pilnie, czy młodemu nic nie grozi. Kiedy już hipopotamiątko znalazło się na stałym gruncie, wylazła z wody i matka... Włosy na głowie stają na wspomnienie tego olbrzymiego, bezkształtnego potwora...

Młode, widząc, że matka idzie za nim, poszło spokojnie dalej aż do miejsca, gdzie zaczaili się Murzyni. Biedactwo nie miało jeszcze pojęcia o niebezpieczeństwie, mogącym grozić tak potężnemu potworowi, jakim jest koń rzeczny czyli hipopotam.

Obserwując te osobliwe zwierzęta o wszystkim innym zapomniałem. Widocznie tego samego uczucia doznali i Murzyni, bo nie śpieszyli do łodzi, po które ich posłano, lecz już z góry cieszyli się wyborną pieczenia, mimo, że była jeszcze surowa...

Każdy przeciętny Europejczyk wie, jak wielka jest różnica w smaku między pieczeniem z delikatnego prosięcia a pieczenia ze starego wieprza. Tak samo doświadczony Sudańczyk przepada za przysmakiem z młodego hipopotama. W tym przypadku przysmak niemal do samego garnka wlaźł czarnym smakoszom — i jakże nie miała iść im ślinka do ust! Zerwali się więc z kryjówki, poskoczyli ku zwierzątku i poczęli je bić wiosłami po głowie tak, że zaledwie zdołało wydać z siebie skrzeczący, przeraźliwy głos.

I oto stało się to, co było do przewidzenia. Hipopotamica, zauważywszy ten napad, parsknęła zajadle i rzuciła się na pomoc. Nigdy bym nie uwierzył, że tak olbrzymie cielsko może być zdolne do tak gwałtownego skoku. Hipopotamica bowiem przebiegła pod pułapką, strącając harpun, który jednak z powodu szybkości ruchu zwierza chybił. Nie draśnięta nawet skierowała się w to miejsce, gdzie leżało młode, i przystanęła, parskając kilkakrotnie i rozglądając się wokoło.

Murzyni zawiedli się ogromnie na swojej pułapce. Prawdopodobnie przypuszczali, że zwierzę nie przedostanie się tutaj, więc też... oniemieli z przerażenia i chwilę, w której zatrzymała się stara nad młodym, wykorzystali do ucieczki. Jeden za drugim, porzuciwszy wiosła, zmykali ścieżką ku obozowi. W tej samej chwili usłyszałem głosy naszych:

— Stój, bo strzelam!

Groźba ta była skierowana nie do tych, którzy uciekali, lecz do innych, wychodzących z obozu. Ci czterej poczęli przeraźliwie wrzeszczeć, z czego nie zrozumiałem ani słowa, wnioskując tylko, że ostrzegali swych towarzyszy przed zwierzęciem. Krzyk ten obudził małpy i różne ptactwo, gdy wtem rozległ się strzał. W obozie zapanowała wrzawa nie do opisania. Moi żołnierze na posterunkach odezwali się również i poczęli strzelać... Stało się to wszystko w bardzo krótkim czasie.

Podczas ucieczki czterech Murzynów wcisnąłem się głęboko w zarośla, aby się na mnie nie natknęli. Mogłem jednak obserwować rozjuszony zwierzę, które, przekonawszy się, że młode nie żyje, puściło się za uciekającymi Murzynami, a ja za nim. Hipopotamica wydawała z siebie głos, nie dający się opisać, i biegła naprzód.

Obie lufy mojej strzelby były naładowane i mogłem strzelać. Ale... wiedziałem z góry, że to się na nic nie przyda; należało bowiem celować tylko w takie miejsce, żeby potwora ubić od razu — byłem

zaś poza nim, z tyłu, i na dodatek na ścieżce panowała ciemność, że ledwie na krok można było coś wyraźnie widzieć. Z jednej i drugiej strony gąszcz nie do przebycia, na przodzie strzały i zamieszanie, a tuż-tuż koło mnie rozjuszony potwór. Niechby się tylko obrócił wstecz, a chwyciłby mnie w swą paszczę!... Co robić? Jak ratować kilkudziesięciu zagrożonych ludzi? Nie wiedziałem ani wówczas, ani obecnie jeszcze sobie przypomnieć nie mogę, w jaki sposób znalazłem się przed olbrzymem, depcząc po ciałach, powalonych przez potwora. Dotarłem nareszcie do wyrębu, na miejsce poświatą księżycową oświetlone. Naokoło mnie biegali jak obłąkani czarni, krzycząc i jęcząc bez opamiętania. O jakie dziesięć kroków ode mnie hipopotam obalił jakiegoś Murzyna i zmiażdżył go na placek. Podskoczyłem parę kroków naprzód i, stanąwszy nagle, podniosłem broń do ramienia. W pierwszym momencie starałem się upewnić, czy nie drżą mi ręce. Wycelowałem w prawe ucho i... rozległ się strzał, grzmiąc echem po lesie. Strzeliłem następnie po raz drugi i dałem susa w bok, aż w cień tokulu, a sięgnąwszy lewą ręką po nowe naboje, równocześnie obejrzałem się, by zobaczyć, jaki skutek odniosły moje strzały.

Zwierz stał, jakby do miejsca przykuty, rozwarłszy olbrzymią paszczę, w której błyszcząły wielkie kły, i silił się na wydobywanie z siebie głosu, lecz bezskutecznie; zabrakło mu powietrza w przestrzelonych płucach. Po pewnej chwili zaczął drzeć i chwiać się to na jedną, to na drugą stronę, aż wreszcie zatoczył się i padł na ziemię jak olbrzymia, ciężka kłoda.

Naładowawszy strzelbę ponownie, podszedłem do olbrzyma i wpakowałem mu jeszcze dwie kule w głowę, ale było to już zupełnie zbyteczne. Jak się później okazało, pierwsza kula przedziurawiła mózg, druga płuca, i to wystarczyło do uśmiercenia potwora.

Teraz dopiero rozejrzałem się wokół. Tuż na ziemi leżeli zabici i potratowani Murzyni; cało nie wyszedł z nich żaden. Reszta czarnych pochowała się do tokulów. Udałem się w kierunku największego z tokulów i stanąwszy u wejścia, zapytałem:

— Żyjesz jeszcze, Agadi?

— Żyję! — jęknął, jak spod ziemi. — O Allach! Co za zgroza idzie po świecie!

— Jesteś jeszcze związany?

— Tak. Zawieszono mnie na palu.

— Jest tam dużo czarnych?

— Bardzo dużo.

— Poczekaj, uwolnię cię — rzekłem, wchodząc do wnętrza i roztrącając zebranych tam Murzynów, którzy jakby oniemieli z przestachu i patrzyli na mnie osłupiałymi oczyma. Wyjąłem nóż zza pasa poprzecinałem pęta palmowe u rąk Agadiego i wyprowadziłem go na dwór. Murzyni jeszcze bali się wyjść z tokulu.

— Ach, leży bestia! Na Allacha! Czy na pewno nie żyje? — zapytał Agadi ujrzawszy cielsko hipopotama.

— Możesz być o to spokojny. Strzelałem ja...

— Allach akbar! — zabrzmiał koło zabitego zwierzęcia donośny głos. — Czworonożny diabeł nie żyje! Effendi, to zapewne twoje dzieło? Widziałem, jak biegnął za nim z tyłu i byłbym chętnie udał się za tobą, lecz wierzaj mi, nie mogłem.

Był to ów askari, z którym czuwałem razem na posterunku od strony zatoki.

— Allach akbar! — zaczął znowu Agadi — wygraliśmy. — Ty, effendi, uratowałeś Murzynów od niechybnej śmierci. Ta bestia byłaby rozniosła wszystkie tokule i pozabijała ludzi, którzy teraz nie powinni uważać nas za wrogów. Muszą w końcu uwierzyć, że nie jesteś Ibn Aslem. Chodź ze mną do środka, a ja powtórzę im to i oznajmię, żeś ich wybawił.

— Idź sam i powiedz wodzowi, aby rozniecono ogień na nowo, bo trzeba się zabrać do oprawienia zwierza, a każdy z nich otrzyma część. Ja tymczasem odszukam naszych asakerów.

Agadi wbiegł do tokulu, a ja obszedłem posterunki. Asakerzy spisali się bardzo dzielnie, bo żaden z nich nie uciekł, ani się nie przeląkł; zresztą, mimo krzyku i zamieszania, nie wiedzieli, o co chodzi. Kiedy Borowie, nastraszeni przez potwora, chcieli umknąć w gąszcz, żołnierze powitali ich strzałami i zmusili do cofnięcia się do tokulów. Prawdopodobnie żaden z uciekających nie przypuszczał, aby zwierz dotarł aż tutaj, gdyż w przeciwnym razie wszyscy byliby, mimo strzelania do nich, schronili się w gęstwinę.

Sprowadziłem swoich żołnierzy przed tokule, nie pytając, czy się to komu spodoba, czy nie — byłem bowiem panem sytuacji i spodziewałem się, że pozostanę nim nadal. Dlatego też rozkazałem asakerom rozniecić dwa wielkie ogniska tuż koło zabitego zwierza, żeby przy świetle można się było zabrać do niego. Tymczasem przypatrywałem się Murzynom, którzy również rozniecili ogniska i poczęli znosić swoich zabitych i rannych. Było czterech stratowanych na śmierć, a ośmiu ciężko pokaleczonych. Tych ostatnich ułożono w jednym z tokulów, a nieboszczyków pogrzebano. Po ukończeniu tej czynności przybliżył się do mnie wódz. Był to mężczyzna w średnim wieku. Twarz jego, czarna jak węgiel, rysami swymi dowodziła, że nie reprezentował właściwego typu murzyńskiego. Głowę miał ostrzyżoną starannie, jak to czynią zazwyczaj szczepy Dinków, a tylko na samym czubku pozostawiony był bujny pukiel. Również tatuowanie było tego samego rodzaju, co u Agadiego. Ubranie wodza składało się z długiej po samą niemal ziemię koszuli koloru niebieskiego, przepasanej na biodrach rzemieniem, za którym tkwił stary pistolet i nóż. W rękę miał długi arabski karabin z krzesiwem.

— Więc nie jesteś Ibn Aslem? — rzekł w swoim narzeczu, kłaniając się bardzo nisko, a Agadi przetłumaczył to zdanie na język arabski.

— Znasz osobiście Ibn Asla? — skierowałem pytanie do wodza.

— Spotkałem go raz koło Mokren el Bohur.

— Możesz więc teraz przekonać się, że nie jestem tym łotrem.

— Przedtem, gdy się tu pojawiłeś, nie mogłem z powodu ciemności rozpoznać twojej twarzy i trzeba było zachować ostrożność, bo właśnie Ibn Asl zaczął obławę na ludzi. Teraz już wierzę ci zupełnie. Agadiego kazałem związać właśnie dlatego, że był na usługach Ibn Asla.

— Był, ale nie jest. Ja otworzyłem mu oczy na niebezpieczeństwo, jakie groziło ze strony tego lotra. Wyrzekł się wszelkiej z nim styczności. Możesz mu zaufać zarówno, jak i mnie.

— Tak, teraz ci wierzę i proszę, wskaż w jaki sposób mam ci okazać wdzięczność, a chętnie to uczynię.

— Nie żądam żadnej wdzięczności za to, co dla was uczyniłem, a tylko proszę cię o pewną przysługę, za którą ci dobrze i rzetelnie zapłacimy. Potrzebne nam są woły pod wierzch i do przewiezienia pakunków.

— A więc to prawda, że Ibn Asl wybrał się na Goków?

— Niestety, prawda, a że należą oni do twego szczepu, tym bardziej oczekuję od ciebie pomocy.

— Ależ rozumie się. To są nasi pobratymcy i mamy względem nich święty obowiązek. Zresztą i tobie winniśmy wdzięczność. Oni nie są twymi krewnymi, ani nawet do twojej rasy nie należą, a mimo to śpieszysz im z pomocą. Jakżebyśmy mogli my, ich bliscy, zachować się obojętnie, gdy grozi im niebezpieczeństwo! Ile potrzeba ci wołów?

— Około dwustu. Postaraj się o tyle, no, i oczywiście jak najprędzej.

— O, znajdzie się choćby nawet tysiąc, bo mamy bydła dosyć. Najdalej jutro w południe będziesz je miał, jednak nie dwieście, bo to mało...

To mówiąc, przypatrywał mi się z uśmiechem, jakby mi chciał uczynić jakąś miłą niespodziankę.

— Jak to mało?

— Bo dwieście wołów nie zawiezie wszystkich wojowników, którzy pociągną Gokom na pomoc. Czyżbyś sądził, że my nie pójdziemy również? Zbiorę co najmniej dwustu wojowników.

Ucieszyło mnie to ogromnie, rzekłem więc:

— Pomoc dla nas bardzo pożądana. Aczkolwiek liczymy na to, że wszyscy podkomendni Agadiego, skoro rozmówimy się z nimi, opuszczą Ibn Asla, to jednak w takich okolicznościach nie zaszkodzi mieć potężny oddział do dyspozycji. Idzie tylko o to, czy zdołasz zebrać na czas swoich dzielnych wojowników.

— Kiedy przybędzie tu reis effendina?

— Przypuszczam, że jutro, około wieczora najprawdopodobniej.

— I zapewne będzie zmuszony zatrzymać się tu do rana. Ale mniejsza o to. Żeby na wszelki



wypadek nie tracić czasu, roześlę w tej chwili posłańców i zobaczysz, że około południa będzie gotów do drogi cały oddział. Kobiety przez noc jeszcze sporządzą dla swoich potrzebne zapasy żywności, ażeby potem nie tracić czasu po drodze na polowanie. Pozwól, że się oddalę i wydam swoim ludziom odpowiednie rozkazy.

Wysłał sześciu w kierunku zatoki, by wydobyli czółna i popłynęli do serib. Kilku innych poszło razem z nimi zabrać małego hipopotama, którego niebawem przywlekli, oprawili pośpiesznie i zaczęli piec na ogniu. Siedziałem z moimi asakerami koło jednego ogniska i przypatrywałem się tej robocie. Niebawem przysiadł się do nas wódz i długo ze mną rozmawiał. Ze słów jego wynikało, że zyskaliśmy w nim znakomitego sprzymierzeńca.

Borowie byli niedawno po wieczerzy, ale mimo to zaprzętnęli się bardzo gorliwie koło sporządzenia sobie drugiej uczy. Ile jeden człowiek potrafi zjeść mięsa, o tym dotąd nie miałem właściwie pojęcia. Ja, co prawda, zjadłem tęgi kawał od razu, ale jak i ile ci ludzie jedli, wprowadziło mnie podziw. Wykrawali oni olbrzymie półcie mięsa, piekli je i trzymając w ręku, zajadali w ten sam sposób, jak neapolitański ulicznik zajada długie rurki makaronu. Ostatecznie doszło do tego, że począłem się naprawdę obawiać, aby któremuś z żarłoków nie zdarzyło się jakie nieszczęście. Ale gdzie tam! Jedli i jedli „na siłę”, a nawet napychali rannych przemocą, podobnie, jak to czynią gosposie z drobiem. Nareszcie mieli już wszyscy dość i ledwie mogli się dowlec do tokulów na odpoczynek.

Ja wolałem spać pod gołym niebem, i w tym celu asakerzy przynieśli mi z ukrytej łodzi siatkę. Poobwijaliśmy się wszyscy, jak mumie, i pokładli do snu, nie uważając nawet za konieczne postawienie warty — tak wielkie mieliśmy zaufanie do ludzi, którzy dopiero co byli naszymi wrogami.

Wczesnym rankiem obudził nas krzyk różnorodnego ptactwa i głosy leśnej zwierzyny. Rozejrzałem się wkoło... Czarni siedzieli już przy ogniu, zajadając śniadanie z takim apetytem, jakby co najmniej przez tydzień pościli. Jeżeli ludzie ci będą tak samo dzielni wobec nieprzyjaciela — pomyślałem — to Ibn Asl nie ujdzie nam.

Całe przedpołudnie zeszło na pieczeniu zapasów mięsa, bo pieczone nie psuje się tak szybko. Wkrótce wrócili posłańcy z oznajmieniem, że wojownicy z sześciu wsi ciągną już tutaj i pędzą woły na jakąś sawannę, której nazwy nie zapamiętałem, i że kobiety dostawią żywność później. W południe przybył jeden czarny, meldując o przybyciu wołów. Wódz chciał się tam udać i zabrać mnie z sobą. W obawie, aby reis effendina, przybywszy wcześniej, nie tracił zbyt wiele czasu na odnalezienie nas, wysłałem czterech asakerów łodzią aż do miejsca, gdzie zatoka styka się z rzeką. Potem udałem się za wodzem, biorąc oczywiście Agadiego, który z wielką gorliwością pełnił rolę tłumacza.

Po niespełna kwadransie drogi przez las ponad zatoką zeszliśmy na obszerną sawannę, pokrytą bujną trawą. Tu rozłożyło się dwustu wojowników oraz poganiacze wołów. Byli to ludzie zbudowani silnie i dobrze odżywieni. Ubrania ich składały się wyłącznie z przepasek biodrowych, a broń stanowiły noże i długie stare karabiny. Przekonałem się jednak później, że ludzie ci umieli strzelać z nich znakomicie.

Woły, przeznaczone dla nas, przedstawiały się ku naszemu zadowoleniu jak najlepiej: były silne, dobrze wypasione i kształtami wielce się różniły od naszych ociężałych bydła zaprzęgowych. Zwierzęta te są znakomicie wytresowane i noszą ludzi i ładunki lepiej niż niejeden koń pośledniej rasy. Wybrałem sobie najlepsze bydło i byłem zeń w ciągu całej podróży zupełnie zadowolony.

Zwierząt tych było przeszło czterysta sztuk. Woły wierzchowe dla przedniejszych jeźdźców miały pewnego rodzaju siodła, juczne zaś dźwigały na grzbietach kosze z żywnością i duże gliniane garnki na wodę, w którą należało się zaopatrzyć na drogę, gdyż w bagnistych okolicach nie ma czystych źródeł. Cugle u zwierząt wierzchowych przytwierdzone były do dwóch kółek, nasadzonych w nozdrzach.

Wódz miał dłuższą przemowę do swoich ludzi. Niestety, nic z niej nie zrozumiałem, i dopiero tłumacz objaśnił, że było to wyłuszczenie powodów mobilizacji, tudzież jej celu, a wreszcie zachęta do dzielnego spisania się w tej słusznej i dobrej sprawie. Wojownicy przerywali mu często okrzykami znaczącymi prawdopodobnie tyle, co nasze „brawo”. Potem rozkazał, aby się wszyscy zebrali w ordynku i przedfilowali przede mną. Arcyciekawa parada! Armia ta nie umiała jednak ani rusz „trzymać kroku” i każdy żołnierz szedł sam sobie. Zwracała szczególną uwagę ta niesłychana marsowość na twarzach. Gdyby tu, na moim miejscu był Selim, to powiedziała by, że ma przed sobą największych bohaterów świata!

Po ukończonym „przeglądzie wojska” wróciliśmy do obozu, zabrawszy z sobą tylko część wojowników, aby odnieśli zapasy mięsa, które przedstawiały się dość okazale, bo zabity zwierz miał przeszło cztery metry długości.

Niebawem powrócili moi ludzie, których wysłałem na czołnie i oznajmili, że okręt już się zbliża. Poszedłem więc nad zatokę i istotnie ujrzałem okręt tuż niedaleko brzegu. Po upływie kilku minut okręt stanął i reis effendina zszedł na ląd.

Był bardzo uradowany wynikiem moich przygotowań, a zwłaszcza ucieszył się, że Borowie w tak znacznej liczbie przyłączą się do naszej ekspedycji. Mimo to nie wydał rozkazu załodze do wylądowania, dopóki go nie upewniłem, że Gokowie nie knują przeciw nam żadnych zdradzieckich zamiarów.

Stąd udaliśmy się do obozu, gdzie wódz za pośrednictwem tłumacza powitał reisa effendinę bardzo życzliwie i z uniżonymi ukłonami, po czym zaprosił go na sawannę, aby zobaczył oddział wojowników. Ponieważ ja miałem już tę przyjemność za sobą, nie towarzyszyłem więc reisowi effendinie, postanowiwszy spędzić pozostający do wieczora czas o wiele korzystniej, a mianowicie — miałem chęć upolowania na drogę trochę błotnego ptactwa. Zasięgnąłem w tym celu informacji u wodza, który oznajmił mi za pośrednictwem Agadięgo, że w pobliżu wszystkie ptaki zostały przez nich wypłoszone podczas dłuższego ich pobytu, a natomiast po tamtej stronie zatoki można natrafić na całe ich stada.

— A czy nie spotka mnie tam jakaś przykrość ze strony mieszkańców? — zapytałem.

— Cóż znowu! Tam nie ma żywej duszy; obszary te nie są zamieszkane i należą do nas.

Odpowiedź ta mogła wystarczyć do rozproszenia obaw. Wezwałem Ben Nila, aby mi towarzyszył, gdy wtem zjawił się przede mną dawno już niewidziany towarzysz, który przebywał na okręcie reisa effendiny, marnując swoją „siłę” i niezwykle „zdolności”. Czytelnik domyśla się, że był to Selim...

— Zabierz mię z sobą, effendi! — błagał — przekonasz się, ile upoluję ptactwa.

— Jesteś mi zupełnie zbyteczny — odpowiedziałem, pomny na różne nieprzyjemności, na które byłem przez niego narażony.

— Co? Jak? — podchwycił żywo z niesłychanym zdziwieniem.

— A tak, że znowu popełniłbyś cały szereg głupstw. Zrozumiałeś?

Założył długie ręce na głowę i krzyknął:

— Cały szereg głupstw? No, proszę! Ja, największy bohater pod słońcem, najdoskonalszy myśliwy, miałbym być zdolny do głupstw! Effendi, obrażasz mnie okropnie i zadajesz memu sercu niewymowną boleść. Toż wobec mnie nie ostoi się żaden olbrzym na kuli ziemskiej. Postaw przede mną pięćdziesiąt hipopotamów i sto słoni, a zobaczysz, że uporam się z nimi w pięciu minutach. No, a ty przecież chcesz polować tylko na ptactwo.

Jednak, mimo tak gorących i przekonywających słów Selima, nie byłbym się skłonił do jego prośby, gdyby nie Ben Nil, który widocznie miał chęć wziąć starego blagiera po prostu dla rozrywki i wstawił się za nim:

— Nie odmawiaj mu, effendi. Słyszałeś przecie, że możemy być zupełnie bezpieczni i nic nas niepożądanego nie zaskoczy.

— Ależ on nam popłoszy wszystkie ptaki. Znasz go przecie i wiesz, co on potrafi. Zresztą zobaczymy; może się już poprawił bodaj trochę.

Odczepiliśmy od okrętu najmniejszą, a więc i najlżejszą łódź, która mogła pomieścić ledwie trzy osoby, i popłynęliśmy na drugą stronę zatoki. Selim i Ben Nil wiosłowali, ja zaś byłem przy sterze. Niebawem przebyliśmy jezioro i wylądowawszy podążyliśmy w las. Na razie nie udało się nam nic upolować, ptaki bowiem były bardzo płochliwe.

— Widocznie jesteśmy za blisko obozu, skoro ptactwo jest tak wylęknione — zauważył Ben Nil. — Możebyśmy się wrócili do zatoki i popłynęli jeszcze nieco dalej.

Uwaga była trafna, zastosowałem się więc do niej. Powiosłowaliśmy wzdłuż brzegu dość spory kawał, aż do miejsca, gdzie zatoka wrzynała się w ląd długim ramieniem, i skierowaliśmy łódkę ku brzegowi, a Selim rzekł:

— Tu będzie znakomite miejsce do wylądowania.

I nie czekając na moje pozwolenie, wyciągnął wiosło. Do brzegu, u którego nagromadziła się kępa wodorostów w formie półwyspu, było jeszcze kilka metrów. Ponieważ Selim ściągnął wiosło, łódka

przybrała nagle inny kierunek, zawadzając dziobem o ową kępę. Selim sądził, że to stały grunt, i...

— Stój! — krzyknąłem — bo pójdziesz na dno!

Zanim jednak zdołałem to wypowiedzieć, Selim skoczył i, jak to było do przewidzenia, zniknął pod zdradliwą płachtą roślin. Łódka zaś wskutek skoku zaczęła się chybotać do tego stopnia, że woda sięgała krawędzi. Byłbym jednak może zdołał utrzymać jej równowagę, gdyby nie Selim, który wydobywszy się z głębin, chwycił ręką za krawędź i ryczał:

— Topię się! Ratunku!

— Podnieś nogi i pływaj — odrzekłem — inaczej przewrócisz łódkę.

— Nie mogę... Krokodyle!... Pomóżcie mi!... Prędko, prędko, bo mnie pożrą!...

Krokodyli oczywiście nie było wcale. Gałganowi tylko się uroiło, że je widzi i dlatego trzymał się wciąż krawędzi łodzi, jak tonący brzytwy.

— Ben Nil, przechyl się na tamtą stronę, bo inaczej wywrócimy się — rozkazałem towarzyszowi, który chcąc mnie usłuchać posunął się w prawo. To spotęgowało jeszcze większą trwogę drągala.

— Nie uciekajcie! Wyciągnijcie mnie! — Darł się na całe gardło i zebrał wszystkie siły, by się wydostać na łódkę, która oczywiście nie mogła się wobec tego utrzymać w równowadze i... poszła pod wodę razem z Selimem, Ben Nilem i karabinami. Ja jeden zostałem na powierzchni, gdyż z góry już byłem przygotowany do pływania. Ben Nil wydobył się również w sekundzie na powierzchnię i zapytał:

— A gdzie Selim?

— Pod wodą! Zanurzę się po niego, bo się utopi. Spuściłem się w głębię i nagle poczułem, że ujął mnie ktoś za nogę, jak kleszczami. Kilka potężnych ruchów, a odetchnąłem znowu na powierzchni i następnie pociągnąłem Selima ku brzegowi. Konwulsyjnie trzymał się mojej nogi obydwoma rękami i przez dłuższy czas po wyciągnięciu go z wody puścić jej nie chciał; dopiero ze znacznym wysiłkiem uwolniłem się od kurczowego uścisku.

— Żyje? — pytał Ben Nil, wydobywszy się na brzeg.

— Tak prędko nie mógł się przecież utopić.

— Ale omdlał. Spróbujmy, czy słyszy. Selim! Selim! Otwórz oczy!

Opamiętał się, popatrzył zdziwiony na nas i na wodę, a następnie krzyknął:

— Krokodyle!... Uciekajmy!

Chciał istotnie uciekać, ale go zatrzymałem.

— Zatrzymaj się, tchórze jeden! Nie ma tak głupiego krokodyla, który by się łakomił na twoje piszczelowate członki i pustą głowę. Nic ci nie grozi. Ale polowanie nasze przepadło, dzięki temu, że zabrałem cię z sobą.

Na te słowa oprzytomniał zupełnie, a przekonawszy się, że niebezpieczeństwo istotnie minęło, przybrał od razu ton zwykłej swojej zarozumiałości i odrzekł:

— Nie mów tak, effendi! Bo... kto z nas popełnił głupstwo? Ja, czy ty? Kto skierował łódź na tę przeklętą trawę, którą uważałem za stały grunt? Przecie nie ja, tylko ty!

— Przepraszam. Sterując w tę stronę, chciałem zręcznie trawę ominąć, a ty, nie pomnąc na moje rozkazy, ściągnąłeś wiosło i narobiłeś tyle kłopotu. Powinniśmy byli właściwie pozostawić cię swemu losowi; niechbyś się utopił. Przynajmniej bylibyśmy się uwolnili od wymówek skończonego głupca i idioty.

— Głupca, powiedziałeś? Idioty? Czy to może mam być ja? Nie, effendi. To niemożliwe, żebyś mnie miał na myśli. Zwłaszcza co do utopienia. Zapewniam cię, że nawet na samym środku oceanu czułbym się, jak we własnym domu.

— A no, skoro tak, to wejdź do wody i wydobądź łódkę; obawiam się, czy karabiny nie spadły na dno.

Poskrobał się swoim zwyczajem w głowę za uchem i umilkł. Rozumie się, że tylko w żarcie żądałem aż takiego poświęcenia od „bohatera ze środka oceanu”. Do czegoś podobnego nie był on wcale zdolny. Wyjąłem wszystko, co miałem w pasie i po kieszeniach i rozłożyłem na słońcu w celu wysuszenia, a następnie zrzuciwszy obuwie, popłynąłem i dałem nura w tym miejscu, gdzie zaszła katastrofa. Woda nie była zbyt głęboka. Karabiny leżały na dnie; namacałem je nogami. Z trudnością zdołałem je uchwycić i wypłynąć z nimi na powierzchnię. Tymczasem Ben Nil również się rozebrał i popłynął w kierunku łódki, która unosiła się na wodzie, obrócona dnem do góry. Przywłókł ją i wyciągnął następnie na brzeg. Usiedliśmy na niej i zajęliśmy się czyszczeniem karabinów i rewolwerów ze szlamu, rozmawiając swobodnie, gdyż nie było wcale potrzeby obawiać się czegokolwiek — tak przynajmniej zapewniał wódz Borów. A jednak... spotkaliśmy się tu istotnie z ludźmi, i to jeszcze z jakimi!

Ukończyłem właśnie robotę z karabinem i chciałem oglądnąć rewolwery, czy bardzo ucierpiały, gdy wtem usłyszałem za sobą gromki głos:

— Trzymać ich! Powiązać!

Nie miałem czasu nawet obejrzeć się, gdy kilku czarnych ludzi chwyciło mnie z tyłu za głowę i za ramiona. Począłem się szamotać, i była chwila, że się otrząsałem z napastników, ale pokonali mnie na nowo i ostatecznie obezwładnili. Kilku innych zuchwałych czarnych sprawiło się podobnie z Ben Nilem i Selimem, „największym... bohaterem na świecie”!

Kiedy już wszyscy trzej byliśmy zupełnie obezwładnieni, raczył się wysunąć z krzaków ów człowiek, którego rozkaz słyszeliśmy przed chwilą. Schował się dlatego w zarośla, żeby

przypadkiem nie oberwał od nas; teraz jednak czuł się już zupełnie bezpieczny, wylazł więc i ozwał się:

— A! psy! Znaleźliście się aż tu, nad zatoką Semkat! Allah sprawił bym was dostał ostatecznie w swe ręce i unieszkodliwił raz na zawsze.

Ku wielkiemu zdumieniu spostrzegłem tuż nad sobą... muzabira, któremu uciekłem szczęśliwie już niejednokrotnie. Byłem pewny, że podążył on z Ibn Aslem, aż nagle spotykam się z nim tutaj. Co on tu robi? Czemu został? Co to za ludzie, którzy są pod jego rozkazami?

Z twarzy muzabira przebijało niezwykle zadowolenie, że mnie zdołał ująć.

— Niedawno pomógł ci diabeł do ucieczki z naszych rąk, choć nie byliśmy wcale na to przygotowani. Tym razem jednak pomoc jego nie przyniesie ci żadnej korzyści, gdyż nie pozostawimy ci wiele czasu; powiesimy cię natychmiast, skoro tylko dostaniemy się do obozu. Niestety, śmierć ta będzie dla ciebie za szybka i za lekka. Słyszałeś nieraz, że należą ci się wyszukane i długie męczarnie, i możliwe, że one cię nie miną, jeżeli nie wyznasz mi szczerzej prawdy na postawione pytania. Jak zresztą chcesz; co wolisz, wybieraj! W jaki sposób znalazłeś się tutaj?

Wspomniał o obozie. Czyżby Ibn Asl miał być w pobliżu? Sytuacja zaczynała być nie do pozazdroszczenia. Rozumie się, że uparte milczenie w takich okolicznościach byłoby głupotą z mojej strony, ale, jeżeli już miałem odpowiadać, to niekoniecznie prawdę.

— Przybyłem tu z Ben Nilem i Selimem na łódce — odpowiedziałem.

— Więcej nikt?

— Nikt.

— Kłamiesz, giaurze!

— Mówię prawdę.

— Łżesz! Zdradza cię najlepiej ta łódka, która należy do okrętu, i to zapewne okrętu reisa effendiny. Przyznaj się! No, gadaj, czy się nie mylę?

Postanowiłem tym razem powiedzieć prawdę, ażeby łatwiej uwierzył moim następnym odpowiedziom.

— A więc tak, łódka należy do okrętu reisa effendiny.

— No, dobrze. A gdzie znajduje się okręt!

— Na rzece poniżej, półtora dnia drogi łódką stąd, od tego miejsca.

— Mam wierzyć w to? Czemuż ty nie znajdujesz się na okręcie?

— Wysłano nas dla ustawienia pułapek na hipopotamy, żeby załoga, przybywszy po trzech dniach, miała świeże zapasy żywności.

— Czego wy tu w ogóle szukacie?

— Ibn Asla.

— Ach, tak? Czyżbyście nie odnaleźli jego seriby?

— Dotychczas nie, ale sądzę, że niebawem będziemy mieli tę przyjemność.

— Wy w ogóle będziecie mieli jedną tylko przyjemność, to jest zobaczycie, jak piekło wygląda wewnątrz, i to jeszcze dziś, zanim słońce zajdzie. Czy podczas całej podróży nie napotkaliście żadnej seriby?

— Owszem, odpoczywaliśmy nawet koło jednej, nazywa się Aliab.

— Do kogo należy?

— Do jakiegoś ułomnego, starego człowieka, który prowadzi handel z mieszkańcami dorzecza Rolu.

— Handel niewolnikami?

— Ech, nie! To bardzo uczciwy człowiek; sprzedaje tylko towary.

Wybuchnął głośnym, szyderczym śmiechem i rzekł:

— A to doskonale! Tak głupim może być jedynie chrześcijanin, przeklęty giaur! Człowieku! Z rozumem twoim zapewne nie wszystko w porządku, skoro dałeś się tak haniebnie zwieść „uczciwemu człowiekowi”. Dowiedz się teraz, że owa seriba jest własnością Ibn Asla, a kulawy człowiek, przedstawiający się jako handlarz, jest wachmistrem z oddziału łowców niewolników.

— Do stu piorunów! — krzyknąłem, udając wielce zdziwionego.

— Tak, tak! Chcecie złapać Ibn Asla? Doprawdy to śmieszne! To więcej nawet niż śmieszne! Szukacie go tu, gdzie go od dawna już nie ma.

— Gdzież się więc podział? — zapytałem z udaną naiwnością.

— Gdzie się podział? Sądzisz, że ci to powiem? — zaśmiał się, ale w następnej sekundzie znowu spoważniał i dodał: — Zresztą mogę ci to powiedzieć, abyś, się przekonał, że nie mamy przed tobą żadnej obawy. Jesteś zgubiony, klamka zapadła. Ibn Asl udał się na czele dwustu wojowników do Wagundy po świeże zastępy niewolników spośród tamtejszych Goków.

— A dlaczego ty nie podążyłeś z nim? Bałeś się?



— Ja miałbym się bać? Właściwie powinienem dać ci za to pięścią w twarz, ale mam jeszcze czas. Pozostałem z mokkaladem, gdyż tędy właśnie Ibn Asl będzie wracał z łupem. Budujemy tu prowizoryczną seribę, aby mieć gdzie ukryć niewolników do czasu, nim nadarzy się dobry kupiec. Zobaczysz tę seribę, bo właśnie tam się udamy natychmiast.

Muzabir miał ze sobą dziewięciu mężczyzn. Dwu z nich zabrało Ben Nila, dwu Selima, a mną zajęło się pięciu pozostałych, którym muzabir nakazał zachować jak największą przezorność. Łódkę pozostawiono na brzegu, aby ją zabrać dopiero później.

Poprowadzono nas wzdłuż brzegu w głąb łądu. Niebawem skończył się las i zobaczyłem przed sobą obszerną polanę, pokrytą wysoką trawą. Odnoga zatoki w tym miejscu zwężała się coraz bardziej, tworząc rodzaj wydłużonej sadzawki, obramowanej krzakami. Polana ta niezawodnie powstała kiedyś wskutek pożaru lasu. Prowadzono nas na przełaj pół godziny, potem spostrzegłem znowu las, na skraju którego stało kilka okrągłych chat, zbudowanych z trzciny i mułu.

Gdyśmy się zbliżyli do nich, wyszło naprzeciw nam czterech mężczyzn; trzej z nich byli rodowitymi afrykanami, w czwartym zaś poznałem... mokkaladema świętej Kadiriny, który, zobaczywszy mnie, zdziwił się bardzo i oczywiście nie tajił wcale swej radości, szydząc i naigrawając się ze mnie. Kuglarz opowiedział mu dokładnie, w jaki sposób nas złapano i jakie zeznania od nas wydobył — no i... obaj uwierzyli w to wszystko.

Licząc się z pogroźką muzabira co do natychmiastowego powieszenia mnie, musiałem natychmiast myśleć o ucieczce, i to chociażby bardzo ryzykownej. Skrępowany byłem w pośpiechu byle jak; ręce miałem jednak mocno przywiązane do tułowia. O przerwaniu mocnego płótna mowy być nie mogło, więc usiłowałem je choć rozluźnić.

W seribie znajdowali się tylko dwaj moi śmiertelni przeciwnicy i dwunastu asakerów, pozostawionych przez Ibn Asla. Wszyscy byli uzbrojeni, ale po przybyciu do seriby odłożyli długie flinty, a zatrzymali przy sobie tylko noże i pistolety, które nie wzbudzały we mnie zbytej obawy. Opodal pasły się dwa woły wierzchowe z zarzuconymi na kark uzdami, które były przymocowane do kółek w nozdrzach.

Mokkaladem zgodził się na to bardzo chętnie, aby nas wszystkich trzech powiesić, a tylko zastrzegł sobie pewne szczegóły co do torturowania mnie. Podczas, gdy obaj targowali się o to, szepnąłem do stojących obok mnie towarzyszy:

— Uważajcie! Przetnę wam więzy, po czym, nie oglądając się wcale, uciekajcie aż do łódki, którą spuścicie na wodę i bądźcie gotowi do odbicia, skoro tylko tam przybiegnę.

— Co ty mówisz, effendi? — odszepnął Ben Nil — jesteś sam związany i nie masz nawet noża.

— Już ja sobie poradzę.

— Ależ oni będą nas ścigali...

— Was nie; obiorę sobie inny kierunek umyślnie, aby wszyscy pobiegli za mną, a nie za wami.

W tej chwili ruszyłem ramionami, by poluźnić zawój, ale umyślnie tak, aby to spostrzegli obaj wrogowie.

I istotnie muzabir, zauważywszy moje usiłowania, przystąpił bliżej i krzyknął:

— Chciałbyś się może uwolnić, psie jeden? To ci się nie uda. — I bliżej obejrzał moje więzy. — Hm! chusta rzeczywiście już się rozluźniła... Poczekaj!

Nie wziął wcale pod uwagę, że aby zacieśnić węzeł trzeba było zupełnie go rozwiązać i że wskutek tego będę przez chwilę zupełnie wolny. Tę chwilę wykorzystałem też znakomicie. Ani się spostrzegł, jak lewą ręką wyciągnąłem nóż zza jego pasa, a prawą zadałem mu tak potężny cios w skroń, że nakrył się nogami. Wystarczyły następnie dwie sekundy do uwolnienia Ben Nila i Selima, którzy natychmiast drapnęli z miejsca, co sił starczyło.

Wszystko to było oczywiście dziełem jednej chwili. Jednakże mokkaladem zdołał się zorientować w sytuacji i rzucił się na mnie chwytając za lewą rękę. Nie chcąc go zabić, puściłem nóż z prawej ręki na ziemię i zadałem mu cios pięścią w skroń, jak poprzednio jego przyjacielowi, po czym nie oglądając się już czmychnąłem, ale nie śladami swych dwóch towarzyszy, lecz na przełaj przez prerię. Biegając tuż koło pasących się wołów, wskoczyłem na grzbiet jednego z nich, a ująwszy uzdę i bijąc zwierzę piętami w boki, co sił począłem uciekać. Wół na szczęście był dobrze ujeżdżony i posłuszny.

Obejrzałem się. Łowcy niewolników biegli za mną, krzycząc i klnąc, a muzabir dosiadł drugiego wołu, co mnie bardzo ucieszyło. O Ben Nila i Selima nie troszczył się nikt, a cała uwaga łowców skierowana była na mnie. Mimo to oddaliłem się o tyle, że złapać mnie już nie mogli, zwłaszcza piesi asakerzy.

Niestety, niedługa była moja uciecha z obrotu sprawy. Mój wół zawadził nogą o jakiś korzeń wśród trawy i przewrócił się, zrzucając mnie z grzbietu. Nic mi się wprawdzie nie stało, bo upadłem w bujną trawę, ale odniosłem bardzo nieprzyjemne wrażenie.

Wół złamał nogę i oczywiście nie mógł się podnieść, wskutek czego należało zaufać jedynie sprawności własnych nóg. A tu muzabir był już o jakieś dwieście kroków za mną, za nim zaś w znaczniejszej o wiele odległości biegł mokkaladem i asakerzy. Tych ostatnich nie było się co obawiać, ale muzabir mógł mnie jednak niebawem dopędzić; a że był uzbrojony, ja zaś nawet noża nie posiadałem, więc szansę walki były nierówne i wynik jej dla mnie niepewny. Ufając jedynie własnej zręczności, nie uciekałem dalej i postanowiłem zaczekać, aż się do mnie przybliży. Jakoż niebawem nadjechał i już z daleka wycelował z pistoletu, wołając:

— Zdechnij, psie, od kuli, skoro nie chciałeś dyndać na stryczku!

I wypalił, lecz nie trafił, jak tego z góry byłem pewny, bo żeby w galopie na odległość stu kroków trafić celnie z pistoletu, na to trzeba lepszego niż on strzelca. Chybiwszy, wetknął jednorurkowy pistolet za pas i wyjął taki sam, po czym strzelił powtórnie... również w przestrzeń.

To rozstrzygnęło sprawę na moją korzyść. Byłbym się teraz założył, że pokonam groźnego dotąd

przeciwnika.

Wetknąwszy i drugi pistolet za pas, wyjął natomiast nóż. Ze złości jednak, że chybił dwa razy, tudzież z wielkiego podniecenia, a może gwałtownej chęci dostania mnie znowu w swe ręce, nie władał widocznie należycie swym wierzchowcem i, zamiast osadzić wołu tuż koło mnie, wyminął mnie, popędziwszy nieco dalej. Ściągnął wprawdzie natychmiast zwierzę cuglami, by zawrócić, ale ja poskoczyłem ku niemu i w okamgnieniu znalazłszy się na grzbiecie wołu, objąłem przeciwnika wpół, przygniatając mu ramiona do piersi. Wół spłoszył się i pognął w galopie dalej.

— Puść mnie, psie! — syczał muzabir — bo obaj połamiemy karki!

— Mnie się nic nie stanie, nie bój się; ale z twoich żeber będą tylko kawałki, jeżeli nie wypuścisz noża z ręki.

I istotnie wypuścił nóż, jęcząc:

— Puść mnie, bo się duszę. Zgniotłeś mi piersi... nie wytrzymam...

— Zbyteczne narzekanie, bo jeszcze nic ci się nie stało. Ale skoro tylko będziesz stawiał choćby najmniejszy opór, uduszę cię. A masz dowód, jak silne są moje ramiona; jeden ruch, i zginiesz. Skieruj teraz wołu na lewo!

Moi towarzysze przebiegli już sawannę na przełaj i wtargnęli właśnie w las, a ścigający nas pozostali daleko za nami. Zadaniem moim było teraz dopędzić jak najprędzej Ben Nila i Selima, ale nie sam, tylko z muzabirem, i dlatego kazałem mu kierować wołu ku łódce. Ścisnąłem jeźdźca tak potężnie, że niemal zebra trzeszczały. Jęczał biedak ogromnie, ale musiał robić to, co mu kazałem, w obawie, bym go nie zgniótł na śmierć.

Wół tymczasem pędził przez sawannę w kierunku lasu, gdzie zniknęli przed chwilą moi towarzysze, a niebawem i ja ze swoim jeńcem wjechałem do tegoż lasu. Nagle spostrzegłem, że muzabir podniósł nogę i widocznie chciał ją przełożyć na drugi bok, by wydrzeć się łatwiej z mych objęć. Nie mogłem — rzecz prosta — dopuścić do tego, aby muzabir uciekł, gdy już raz dostał się w moje ręce, i choć puściłem go na chwilę z objęć, to jednak po to, by lewą ręką chwycić go za gardło, a prawą wymierzyć mu w skroń ogłuszający cios. Tym sposobem opanowałem go w zupełności, a wyrwawszy uzdę jedną ręką, drugą objąłem go silnie, by nie spadł. Wół biegł dalej, unosząc nas obu, ale pozycja moja była tak niewygodna, że lada przeszkoda mogła stać się katastrofą. Mogłem na przykład zawadzić o gałąź, a straciwszy równowagę, spaść razem z obezwładnionym jeńcem. Gdy więc coraz gęściej rosnące drzewa stały się przeszkodą w jeździe, zsiadłem i puściłem zwierzę wolno, a muzabira wziąłem na barki, by go zanieść do łódki. Ben Nil i Selim stali już w niej, trzymając wiosła w pogotowiu.

— *Hamdulillah!* — krzyknął pierwszy, zobaczywszy mnie. — Jak to dobrze, że jesteś; obawialiśmy się o ciebie. Ale, ale... kogóż to dźwigasz? Na Allacha!... Muzabir!

— Zdaje mi się, że muzabir chciał nas mieć, tymczasem my mamy jego.

— Doprawdy, to nie do uwierzenia, effendi. Jesteś największym cudotwórcą na świecie.

— No, no! Potem będziesz się zachwycał, a teraz nie ma czasu, bo pogoń tuż za nami.

— A nasza broń i inne rzeczy? Wyrzekasz się ich?

— Tylko na pewien czas. Gotów?

— Gotów! A którędy? Prosto przez zatokę?

— Nie, bo zobaczą nas i dowiedzą się, gdzie nasz postój. Trzymać się będziemy brzegu aż do równej wysokości z miejscem, gdzie założono pułapkę na hipopotamy. Gdy dopłyniemy tam, ściemni się już i wtedy w poprzek przebedziemy jezioro; w ciemności nie zauważą tego.

Mówiąc to, położyłem w łódce ciągle jeszcze nieprzytomnego muzabira, ująłem ster, a towarzysze uderzyli wiosłami, i za chwilę pomknęliśmy po gładkiej fali, trzymając się o ile możności brzegu, nad którym zwisały gałęzie drzew. Słońce miało się ku zachodowi i stało tuż nad rąbkiem lasu, więc śpieszyliśmy bardzo, by zdążyć przed zmrokiem do określonego punktu naprzeciw pułapki. W drodze opowiedziałem towarzyszom, w jaki sposób muzabir dostał się w moje ręce, a gdy skończyłem, Ben Nil zauważył:

— Naprawdę jestem zdumiony tym wszystkim. Wybraliśmy się polować na ptaki, a... a... wieziemy tak odmienną zdobycz, i to po tylu przejściach! Kto by się tego spodziewał?

Szczęśliwy obrót sprawy wprowadził młodzieńca w zachwyt. Selim jednak milczał uparcie.

— Czemuś tak... oniemiał, przyjacielu? — rzekł do niego Ben Nil. — Powinieneś dziękować effendiemu za uratowanie ci życia dwa razy w tak krótkim czasie.

Selim zaczął na swój sposób prawić koszałki—opałki, ale kazałem mu milczeć, bo muzabir odzyskiwał już przytomność. Związaliśmy go teraz własnym jego pasem i zawojem. Nie stawiał najmniejszego oporu i nic nie mówił. Przybiliśmy do brzegu, bo właśnie stąd należało skierować się w poprzek zatoki ku okrętowi, który drzemał w wieczornym mroku. Na szczęście nie paliło się na nim ani jedno światło, które mogło naprowadzić na nas prześladowców.

Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy... Na okręcie stała warta, ale reis effendina znajdował się w obozie Borów. Wylądowawszy, udałem się tam, strzegąc muzabira, by się nam nie wymknął.

Reis effendina był ogromnie zdziwiony, gdy mu przedstawiłem jeńca i opowiedziałem cały przebieg sprawy. Płonęło tu już duże ognisko. Emir podprowadził jeńca bliżej ku światłu, przypatrzył mu się badawczo i zapytał?

— Znasz mnie?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, powtórzył:

— Wiesz, kto ja jestem? Odpowiadaj, bo pasy drzeć z ciebie każę, tak, że pozostaną ci tylko same

kości!

— Reis Effendina — wycedził przez zęby muzabir.

— Tak, reis effendina we własnej osobie. A wiesz zapewne i o tym, co reis effendina może karać jako sędzia i pan życia i śmierci wszelkich drabów i łotrów?

— Nie mam potrzeby obawiać się.

— Czy się mnie boisz, czy nie, to twoja rzecz; moją zaś rzeczą jest uczynić zadość sprawiedliwości.

— Skoro mówisz o sprawiedliwości, to... przestrzegając jej, musisz mnie puścić; nie zrobiłem ci nic złego.

— Jesteś łowcą niewolników.

— Dowiedz mi tego! Przedstaw mi chociażby jednego pochwyconego przeze mnie niewolnika.

— Szczekaj teraz, psie, a niebawem zaczniesz skomleć. A czy nie godziłeś na życie effendiego?

— On kłamie! Zresztą choćby i tak było, to powinien szukać sprawiedliwości u swego konsula, nie zaś u ciebie.

— Nie, bratku. Jesteś poddanym wicekróla, z którego ramienia ja tu urzęduję. Przystępstwa twoje i łotrostwa są mi dobrze znane. Effendi miał nieraz już względy dla was. Ale co do mnie, to nie sądz, jakobym się dał powodować czymkolwiek; postanowiłem już dawno, że skoro tylko wpadniesz mi w ręce, nie wydobędziesz się nigdy.

— Dowody! Gdzie są dowody? Nie obchodzi mnie to wcale, co inni mówią. Ja natomiast postaram się o świadków, którzy stwierdzą, że nie uczyniłem nic złego i że oskarżono mnie niesłusznie.

— Nie myślę wdawać się z tobą w żadne procesy i korowody, bo jesteś w moich oczach niczym więcej, jak tylko trupem... Słyszysz? Tylko trupem. Zbyteczni są świadkowie i adwokaci. Tu sprawa krótka i jasna: łowiłeś niewolników, musisz zginąć! Azis, daj stryczek!

Azis tylko czekał na ten rozkaz. Pobiegł szybko do tokulu, a kiedy pojawił się z powrotem, trzymając stryczek w rękach, muzabir wybuchnął z furją:

— Effendina! Czyżbyś naprawdę zapomniał się do tego stopnia? Rozważ dobrze, jaka cię czeka za to odpowiedzialność! Mokkadem świętej Kadiriny jest moim przyjacielem i wie, że jestem niewinny; gdybyś mnie zamordował, potrafi on dostać się do samego wicekróla!

— Ów mokkadem jest także moim przyjacielem, i zanim jeszcze nastanie dzień, będzie dyndał obok ciebie. Na gałąź z nim!

Trzej asakerzy przytrzymali delikwenta a Azis założył mu na szyję pętlicę. Jeden z asakerów chwycił koniec stryczka i wlaź na drzewo, aby przerzucić sznur przez gałąź. Delikwent próbował bronić się, krzycząc wniebogłosy i zapewniając ciągle o swej niewinności. Nie mogłem się powstrzymać od wypowiedzenia paru słów do emira, otrzymałem jednak odpowiedź:

— Milcz! Wiesz, do jakich granic mogę zważać na twoją humanitarną praktykę i skłaniać się do niemądrych próśb. Staralem się zresztą nieraz uczynić zadość twej woli, i dzięki temu drab ciągle nam się wymykał. Teraz, kiedy ostatecznie przebrała się już miarka jego łotrostw, wrywasz się z prośbą, wskutek której zmuszasz mnie, abym nareszcie uwolnił się od ciebie i nie chciał cię widzieć więcej na oczy! Zamknij więc usta i, jeżeli nie chcesz się patrzeć, jak łotr będzie dyndał, to odejź!

Nie ma co mówić — odpowiedź była dosyć wyraźna. W ten sposób nie przemawiał jeszcze do mnie żaden z przyjaciół. Odwróciłem się i odszedłem, nie odezwawszy się nawet słowem. Aby mnie jednak nie posądził, jakobym był do tego stopnia słaby, że widok egzekucji może wyrzucić na mnie przykre wrażenie, przystanąłem o parę kroków dalej i obróciłem się.

Żołnierze obwiązali delikwenta pod pachami drugim powrozem i podciągnęli go wysoko, po czym umocowali na gałęzi koniec stryczka. Puszczono następnie powróż przytrzymujący i... — delikwent zawisł na pętlicy, a wierzgnąwszy kurczowo parę razy nogami, uspokoił się... na wieki.

Wówczas emir podszedł do mnie i ozwał się już bez gniewu:

— No, effendi, sprawiedliwości stało się zadość. Ale nie ze wszystkim. Musimy schwytać jeszcze mokka dema, i mam nadzieję, że nie odmówisz mi swej pomocy w tym względzie.

— Cóż znowu za pytanie?

— No, bo twoja humanitarność zaczyna przybierać niemożliwe rozmiary. Otwarcie mówiąc, jestem pewny, że skoro tylko zarzucę stryczek mokka demowi, będziesz prosił o łaskę i dla niego, jak to uczyniłeś przed chwilą. Więc, jeśli nadal czułość twoja ma przeszkadzać moim wyrokom, wolałbym, abyś nie udawał się ze mną do nowej seriby, bo znowu zaniepokoiło by się twoje delikatne sumienie. Może lepiej będzie, gdy poprowadzi mnie Ben Nil.

— Sumienie moje jest tak samo niewzruszone, jak i twoje. Każ powiesić tysiąc ludzi, którzy na to zasłużyli, a będę się przypatrywał spokojnie. Skoro jednak ja jestem tym, wobec którego ktoś zawinił, to poczuwam się do obowiązku przemówić za nim bodaj jednym życzliwym słowem. Jeżeli słowo to nie odniesie skutku, wówczas nie mam sobie nic do wyrzucenia.

— W takim razie zgadzasz się, abym powiesił mokka dema, i udasz się ze mną na wyprawę?

— Tak.

— Bardzo się cieszę, bo jesteś lepszym przewodnikiem i doradcą, niż Ben Nil. Już nawet w tej chwili muszę cię poprosić o pewne wskazówki. Sądzisz, że uda się nam schwytać tych łotrów?

— Z pewnością.

— Bo ja przeczuwam, że uciekną, obawiając się, abyś nie powrócił.

— Że powrotu mego są pewni, nie ulega najmniejszej wątpliwości; ale nie spodziewają się tego dziś jeszcze, bo pokierowałem sprawą umyślnie tak, aby przez czas jakiś czuli się bezpiecznymi. Uwierzyli bowiem, że znajdujesz się o półtora dnia drogi od zatoki, a są przekonani, że nie mogą powrócić do nich zaraz, bo zabrali mi przecie broń, bez której nie ośmieliłbym się na żaden krok zaczepny i dopiero mógłbym to uczynić po zaopatrzeniu się w nową broń z okrętu.

— Jeżeli się nie mylisz, to możliwe, że ich wyłapiemy. Kiedy mamy się wybrać?

— Możliwie jak najprędzej; jestem gotów nawet w tej chwili. Mamy dwie łodzie, a trzecią trzeba pożyczyć u Borów, gdyż przydałoby się nam wziąć ze sobą więcej ludzi.

— Zdaje mi się, że dobrze by było obrać inną drogę, a nie tę, którą tu przybyliście.

— Oczywiście. Oni wiedzą, że uciekliśmy w kierunku zachodnim i uwagę swoją zwrócą niezawodnie w tę stronę. Wobec tego musimy wiosłować w cieniu drzew wzdłuż brzegu po tej stronie aż do wysokości nowej seriby. Tam, skręciwszy nagle w poprzek zatoki, wylądujemy na drugim brzegu i udamy się pieszo na miejsce.

— Nie zabłądzimy?

— Wnet wszędzie księżyc. Zresztą łatwo będzie odróżnić nawet w ciemności wolną przestrzeń sawanny od ciemnego tła lasu, na którego obwodzie leży nowa seriba. Zabierz dwudziestu asakerów i Ben Nila; to wystarczy.

— Dobrze. Weź sobie od któregoś z żołnierzy karabin.

— Nie potrzeba mi go; będę miał swoją broń, i potem byłoby mi ciężko dźwigać dwa karabiny.

— No, a gdyby przyszło do walki... może być źle z tobą.

— Niech cię o to głowa nie boli.

— Skoro tak, poproszę wodza o łódź.

Wódz nie tylko udzielił chętnie łodzi, ale prosił nas bardzo, aby i jego zabrano na wyprawę, na co emir chętnie się zgodził.

Ja, emir i Ben Nil wsiedliśmy do małej łódki, którą mieliśmy po południu, asakerzy zaś usadowili się w dwu większych łodziach za nami.

Księżyc jeszcze nie wzeszedł, gdyśmy wyruszyli na wyprawę. Noc jednak była gwiazdzista i mogliśmy wiosłować wzdłuż brzegu, omijając przezornie kępy i zarośla. Niebawem też ukazała się na horyzoncie duża, czerwona kula księżyca. Poznałem stąd, że w tym miejscu naprzeciw nie ma drzew, a więc na pewno osiągnęliśmy już wysokość sawanny. Wiosłując teraz w żywszym tempie, popłynęliśmy jeszcze kawał, po czym skręciliśmy w poprzek zatoki ku przeciwnemu brzegowi.



Uwiązawszy tam łodzie, poczęliśmy nasłuchiwać, a nie zauważywszy nic podejrzanego, weszliśmy chyłkiem w las. Księżyc wzbił się już wyżej i przyświecał przez rzadkie gałęzie drzew. Ja szedłem pierwszy, a za mną emir, Ben Nil i asakerzy. Niebawem dotarliśmy do sawanny, na końcu której błyszczało światło. A więc seriba była niedaleko. Podążyliśmy dalej i dopiero w pobliżu seriby zatrzymałem pochód, wysuwając się sam w celu rozejrzenia się w sytuacji.

Tokule, jak to poprzednio zauważyłem, stały na brzegu lasu. Tuż w pobliżu nich rozpalone było wielkie ognisko, zapewne w celu zabezpieczenia się od komarów. Przy nim siedział mokkaldem ze wszystkimi swymi asakerami. Nie zadał sobie nawet trudu ustawienia warty; nie przeczuwał widocznie nic złego, co wnosiłem również i z tej okoliczności, że żaden z obozujących nie miał przy sobie flinty. Cieszyło mnie to bardzo, gdyż sądziłem, że unikniemy rozlewu krwi, bo chociażbyśmy nawet schwytali mokkaldema i powiesili go, to asakerów mógł potem reis effendina ulaskawić.

Powróciłem do oddziału, by go podprowadzić jeszcze bliżej. Ogień był rozłożony w takim punkcie, że cień jednego z tokulów zaciemniał miejsce, w którym się zatrzymaliśmy. Chciałem właśnie porozumieć się z resem effendina, w jaki sposób wykonać napad, gdy wtem wziął mnie on pod ramię, pociągnął na bok i szepnął:

— Chodź tu, bo mogą cię zastrzelić.

— Co mówisz? Przecie te draby nie mają nawet przy sobie karabinów. Napadniemy na nich nagle i...

— Effendi — przerwał mi Ben Nil, który postępował za mną jak cień, — nieprzyjaciele będą wystrzelani wszyscy, prócz jednego mokkaldema; tak nakazał reis effendina...

— Milcz! — przerwał mu reis i, wskazawszy asakerom cel, zakomenderował:

— Baczność! ognia!

Padło dwadzieścia strzałów, które z tak małej odległości musiały być celne i poraziły wszystkich co do jednego, tylko mokkaldem zerwał się i patrzył ku nam osłupiały.

Odgadnąwszy, co ma nastąpić, nie pobiegłem do ogniska, lecz ku brzegowi odnogi zatoki, gdzie były krzaki.

— Dokąd, effendi? Drab stoi przy ognisku; trzymaj go! To mówiąc, puścił się z żołnierzami w kierunku ogniska, gdy tymczasem mokkaldem rozglądał się, gdzie uciekać. Od strony lasu miał nas, na sawannę niebezpiecznie, bo rozjaśniona światłem księżyca; pozostała więc mokkaldemowi jedyna droga ku wodzie, gdzie mógłby jeszcze znaleźć ostateczną deskę ratunku. Jakże się jednak zawiódł nieborak, skoro, dotarłszy do krzaków, natknął się na mnie. Zawrócił szybko, krzycząc:

— Allah! Effendi! Niech go ziemia pochłonie!

Nie zdradzał przy tym zamiaru zrobienia użytku z broni, pokładając całą nadzieję jedynie w ucieczce. Skierował się więc na sawannę, gdy wtem obkoczyli go ze wszystkich stron asakerzy. Nie troszczyłem się już o to, co z nim zrobią, i wolałem pośpieszyć do ogniska, gdzie mogła być komus

potrzebna pomoc. Przekonałem się tu, że dziewięciu łowców było zabitych, reszta zaś rannych. Tego wcale sobie nie życzyłem.

Reis effendina stał opodal i przypatrywał się, co robię. Podszedłem ku niemu i, oburzony do najwyższego stopnia, zapytałem:

— Czy to było konieczne? Czemu nie powiedziałaś mi tego przedtem? Toż zupełnie mogło się obyć bez mordu!

— Mordu? Nie przywiązuję wagi do twoich słów, bo jesteś nazbyt rozdrażniony i sam nie wiesz, co mówisz. Czyż miałem puścić tych łotrów, by dalej popełniali zbrodnie?

— Tego nie wymagałem od ciebie. Mogłeś przecie ułaskawić ich i przyjąć do służby. Tak samo postąpiłeś przecie tam, w seribie Ibn Asla!

— Uczyniłem to jedynie na twoją prośbę. Ale daruj, kochany, ja nie mogę kierować się ustawicznie twoimi życzeniami, bo ostatecznie musiałbym wszystkich łowców z całego Sudanu uczynić swoimi asakerami, a skutek byłby taki, że wkrótce sam byłbym zmuszony zostać łowcą niewolników.

— Głupstwa pleciesz! Tu idzie tylko o dwunastu asakerów.

— Proszę! Tylko o dwunastu! Dodaj do tego tamtych, ułaskawionych w seribie, do których nie mam najmniejszego zaufania! Toż oni mogą wkrótce zbuntować wiernych moich żołnierzy, i lichy wie, co by z tego wynikło. Nie, effendi. Kto popełnia zbrodnie, musi być ukarany. Ci zasłużyli na śmierć, więc ich spotkała. Byłeś koło nich; żyje jeszcze który?

— Tylko trzech, i to bardzo ciężko ranieni.

— Zrobi się z nimi porządek. Chodź do mokedema! Ucieszy się, zobaczywszy cię znowu...

A zwróciwszy się do asakerów, wydał im jakiś rozkaz, którego nie mogłem dosłyszeć. Trzej żołnierze udali się ku ognisku. Nie patrzyłem w tę stronę; posłyszałem tylko trzy szybko po sobie następujące strzały, co wyjaśniło mi zagadkowość owego rozkazu. Ranni zostali dobici...

Mokedema związano jak barana i przywleczono następnie do ogniska, po czym reis effendina wziął płonąca głownię i zawezwał mnie, bym z nim razem udał się na przeszukanie tokulów.

W pierwszym zaraz znaleźliśmy kilka lamp olejnych i zapaliliśmy je, gdyż należało być ostrożnymi z ogniem wobec możliwości natrafienia na zapasy prochu. Pierwszą z tych chat, jak się przekonałem później, zamieszkiwał mokedem. Były tu złożone wszystkie nasze rzeczy i karabiny oraz rewolwery. Zabraliśmy je sobie natychmiast, a resztę mienia z tego, zarówno jak i ze wszystkich tokulów, uważaliśmy jako łup wojenny; postanowiliśmy rozdzielić go pomiędzy Borów w dowód naszej życzliwości i łaski. Wódz, usłyszawszy to, przysięgał, że musi odplacić się nam za to w jakikolwiek sposób. Radość jego nie miała granic.

Po dokładnym przetrząśnięciu wszystkich tokulów należało pomyśleć o powrocie. Kilku asakerów

pozostawił emir dla strzeżenia łupu aż do rana, gdy przyjdą Borowie. Nakazał też im pogrzebać zabitych i spalić seribę.

Wiosłowaliśmy z powrotem drogą najkrótszą i bez żadnej już obawy, wskutek czego stanęliśmy w obozie w krótkim czasie. Mokkadema ułożono tak, aby nie mógł widzieć wiszących jeszcze na drzewie zwłok swego towarzysza zbrodni.

Z twarzy jeńca bił się zupełny spokój, co można było doskonale zauważyć przy świetle ogniska. Widocznie umiał panować nad sobą i nie zdradzał trwogi, lub może uważał, że nawet w takich warunkach nie stanie mu się nic złego, choćby tylko z tytułu jego niepośledniego stanowiska w społeczeństwie mahometańskim. Myśl ta niebawem znalazła potwierdzenie w jego odezwaniu się do mnie tonem więcej niż rozkazującym i pełnym groźby:

— Jak długo mam tu leżeć? Proszę mnie uwolnić natychmiast!

Na te słowa przystąpił do niego emir i rzekł:

— Zabrakło ci już cierpliwości? Przykrzy ci się? No, dobrze! Będziesz miał rozrywkę. Może zechcesz łaskawie objawić mi swoje życzenia...

— Nie szydź i nie żartuj, lecz zważ, kim jestem — odparł gniewnie.

— Puść mnie natychmiast!

— A co zamierzasz uczynić, gdy rozkaz ten wypełnię?

— No, w tym wypadku będę mógł przebaczyć ci karygodne obchodzenie się ze mną.

— A jeżeli nie postąpię wedle twojej woli?

— W takim razie zwrócę ci uwagę, że jestem mokkademem świętej Kadiryny, i jedno moje słowo wystarczy, by was wygnieść co do jednego.

— Powtórz to raz jeszcze!

— Effendina! Nie szydź z człowieka, który stoi od ciebie wyżej o całe niebo! Setki tysięcy ludzi, należących do świętej Kadiryny, są moimi podwładnymi.

— Ale ja nie należę do tych setek tysięcy.

— A mimo to mogę cię przekonać, o ile niżej stoisz ode mnie.

— Nie fatyguj się, wielki mokkademie, gdyż ja również jestem w możności dowiedzenia prawdziwości twych twierdzeń: po upływie kilku sekund my wszyscy będziemy o wiele niżej od ciebie. Jesteś ciekaw, to proszę!

I kazał obrócić mokkadema na drugi bok, przy czym wyciągnął rękę ku górze. Jeniec, spostrzegłszy

wisielca, oniemiał na chwilę, lecz wnet odzyskał pewność siebie i wybuchnął z całą siłą:

— Kto to? Czy mnie oczy nie mylą? Allach! Toż to... to... to przecież muzabir!

— Muzabir — potwierdził reis effendina. — Uważał się o tyle wyższym od nas, że musieliśmy go umieścić tak wysoko, aby z tym większą pokorą ugiąć się przed jego wielkością. A że ty jesteś jeszcze wyższy od niego, przygotowujemy ci jeszcze wyższe miejsce...

— Jak to? Śmiałyś może... mnie?... To niemożliwe!... Ja... ja...

— Powiesić! — rozkazał emir gromko. — Będiesz powieszony, bo cóż innego z tobą zrobić możemy?

— Niem... niem... ożliwe!...

— No, już nie zamienię niemożliwości na możliwość, bo przyrzekłem święcie muzabirowi, twojemu koledze, że, zanim dzień nastanie, będziesz wisiał na tym samym drzewie, co on.

— To morderstwo! To zbrodnia! Co wam złego uczynił muzabir? Śmierć jego musi być pomszczona. Ja sam pójdę do kedywa, a wówczas biada mordercom! Trzykroć biada! Nie spocznę, dopóki nie dokonam zemsty i nie wyduszę was bez miłosierdzia... Śmieliście podnieść bezecne ręce na człowieka, który...

— Milcz, psi synu! — przerwał mu piorunującym głosem emir, który do tej chwili mówił spokojnie. — Śmiesz zarzucać nam bezecność? Toć ty sam jesteś najgorszym ze wszystkich bezecników na świecie. Znane nam są wszystkie twoje przestępstwa i zbrodnie, a mimo to bezczelnie poważasz się mi grozić! Zdaje ci się może, że twoje idiotyczne słowa odurzą mnie, jak haszysz? Dostyc tego! Przemawiasz do mnie z takiej wyżyny, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przyznać ci odpowiednie stanowisko natychmiast, a mianowicie wyżej o dwie gałęzie od muzabira! Potem niech cię święta Kadirina, którą nam się odgrażasz, odetnie od stryczka! Allach jest sprawiedliwy, a kedyw i ja musimy sprawiedliwości przestrzegać; zbrodnia musi być ukarana!

W kilka minut później pyszałkowaty i zatwardziały zbrodniarz wisiał wysoko, bardzo nawet wysoko.



# Rozdział II

## Słuszny odwet

Szóstego dnia po tym surowym wyroku oddział nasz przewijał się, jak potężny wąż przez las, którego olbrzymie drzewa tworzyły kopułę, nie przepuszczającą nawet jednego promyka słońca. Na naszej drodze panował wieczorny prawie mrok. Okoliczność ta mogła być dla nas bardzo przyjemną ze względu na upał, jaki panował na otwartej przestrzeni, gdzie żar słoneczny wypalał rośliny aż do korzeni. Ale mimo to droga nasza była nie mniej uciążliwa z tego powodu, że brnęliśmy w okropnym, jak się zdawało, bezdennym bagnie. Dziwiliśmy się tylko, jak mogły utrzymać się w tej topieli drzewa—olbrzymy.

Znam w Stanach Zjednoczonych błotne obszary Alligator—Swamp, Green—Swamp, Gum—Swamp i inne, i dotychczas zdawało mi się, że już na całej kuli ziemskiej większych bagnisk nie ma. Obecnie jednak musiałem przyznać, że w regionach górnego Nilu istnieją o wiele okropniejsze i przepaściste trzęsawiska, wobec których tamte są niczym.

Grunt leśny, po którym oddział nasz poruszał się z niesłychanym mazołem, składał się z gęstej papki, pokrytej na powierzchni mchem i wodorostami. Zdawało się, że jeździec wraz z bydłem lada krok utonie w tym mule, że zapadnie się gdzieś w przepastne i bezdenne głębiny. I istotnie ten, który jechał przede mną, zanurzał się co chwila, ale na szczęście wypływał znowu i brnął dalej. Nadspodziewanie jednak nikt z ekspedycji się nie utopił. Wy tłumaczyć sobie tego do dziś jeszcze nie mogę.

Jechaliśmy na wołach „gęsiego”. Na przodzie wydłużał się oddział Borów, za nimi część asakerów, dalej zwierzęta jucne i znowu asakerzy i zwierzęta jucne, a na końcu drugi oddział Borów. Szczęściem było dla nas, że Borowie przyłączyli się do naszej kompanii, w przeciwnym bowiem razie nie bylibyśmy nigdy wydobyli się z tego piekła. Borowie znali dobrze teren i z zadziwiającą zręcznością umieli wyszukiwać miejsca, możliwe do przebycia. Budzili oni we mnie pod tym względem istotny podziw, zarówno, jak i zwierzęta, bez których znowu nawet ci dzielni ludzie nie daliby sobie rady. Woły bowiem zapadały niemal po tułów za każdym prawie krokiem, a mimo to nie okazywały znużenia, i zdawało się, jakoby były tu w swoim żywiole. Żadne z tych zwierząt nie zboczyło z wytkniętej przez poprzednika drogi na pół nawet kroku. A zauważyć trzeba, że pochód nie posuwał się po linii prostej, lecz wił się w fantastycznych skrętach, tak daleko nieraz trzeba było kołować. Przewodnikiem tego osobliwego „gąsiora” był niestrudzony wódz Takalów.

Podróż nasza trwała ogółem trzy dni, i szczerze mówiąc, mieliśmy już tej przyjemności po uszy. Moskity i różne inne owady dokuczały nam nie do zniesienia; nie natrafiliśmy ani na jeden płat stałego gruntu aby odpocząć; w dodatku zapas wody do picia wyczerpał się, a tego, czym oddychaliśmy, nie można było żadną miarą nazwać powietrzem, gdyż był to jakiś nieznośny, ciężki smród.

Aż oto na czele pochodu wydał ktoś radosny okrzyk, który podchwycili następni Borowie. Agadi

jechał w środku pochodu między mną a emirem, zapytałem go więc, co znaczą te radosne okrzyki, i otrzymałem odpowiedź, że prawdopodobnie kończy się już teren bagnisty. I istotnie po kilku minutach ujrzeliśmy jaśniejszą przestrzeń, skąd zaczynał się twardszy grunt. Nawet można było od razu odczuć różnicę powietrza, którym nareszcie pierś odetchnęła swobodnie. Wyprzedzający mnie ludzie jechali teraz obok siebie, bo pozwalały na to przerzedzone drzewa. Na twarzach wszystkich malowała się niezwykła radość, a Selim, który jechał tuż za emirem, wykrzykiwał jak wariat:

— *Hamdulillah!* Przebyliśmy już piekielne bagno, które zamknęło nareszcie żarłoczną paszczę i już nas nie połknie. Jak bohaterowie prawdziwi, przebyliśmy je bez obawy. Niechże się teraz wstydzi, niech z rozpaczki zre własne cielsko to wstrętne piekło, że mu się nie udało połknąć Selima, bohatera nad bohaterów, zwycięzcę wszelkich jezior i trzęsawisk!

Stary blagier należał właśnie do tych, którzy najbardziej byli dla nas w drodze uciążliwi, ale to, jak widać wcale mu nie przeszkadzało ogłaszać się za jedyne go bohatera i zwycięzcę.

Przewodnik zatrzymał się, dopóki nie zbliżyliśmy się do niego, i oznajmił nam za pośrednictwem tłumacza:

— Minęliśmy bagniska i mamy teraz przed sobą wygodną drogę. Niebawem napotkamy źródła i zobaczymy pola uprawne, należące do Goków. Około wieczora będziemy w Wagundzie.

Wiadomość ta ucieszyła nas wielce. Smutni i zniechęceni dotąd ludzie ożywili się nagle, a i zwierzęta ryczały jakby z radości i biegly naprzód, przeczuwając instynktownie bliskość wody do picia. Niebawem minęliśmy las i znaleźliśmy się na wolnej przestrzeni, zalanej potokami słonecznego żaru. Było południe, ale po tak strasznej podróży, prawie w ciemności i w wilgoci, upał nie był nam przykry.

Równolegle do brzegu lasu płynęła rzeka, której brzegi zarosły trzciną i krzakami.

Rzeka ta była dosyć szeroka, ale za to płytka. Woły rwały się do wody, aczkolwiek zabarwionej na ciemno; widocznie pochodziła z bagnisk, któreśmy dopiero co przebyli. Borowie po krótkich poszukiwaniach znaleźli dogodne miejsce do przejścia w bród. Po tamtej stronie rozciągał się szeroki step, pokryty bujną, soczystą trawą. Przewodnik jednak nie chciał się tu zatrzymywać w celu napasienia wołów, twierdząc, że wnet znajdziemy miejsce o wiele korzystniejsze. Niebawem też natknęliśmy się na pochyły teren, na którego widnokręgu czerniały góry, obficie zalesione. Przewodnik objaśnił nas, że tam właśnie wytryska bystry strumień górski, który wije się w dół ku rzece Djau, a nad jego brzegami leżą największe sioła Goków.

Skierowaliśmy się w tę stronę i wnet natrafiliśmy na uroczy parów, w środku którego wytryskało ze skały obfite źródło, wlewając się w małe wgłębienie o kamiennym podłożu.

W okamgnieniu czarni posiadali z grzbietów spragnionych zwierząt i pozdejmowali też ciężary z wołów jucznych, bo zachodziła obawa, aby pchając się jeden przez drugiego, nie zwały bagaży do wody; rzucili się też do strumyka ludzie i pili chciwie.

Tu nadmienić muszę, że owa sadzawka i strumyk nie były wcale podobne do naszych tego typu

jeziorek. Wobec jednak trzydniowej udręki w bagniskach zwykle koryto dość ciepłej wody wydało się istotnie drogocenną krynicą krystalicznego napoju.

Po półgodzinnym odpoczynku ruszyliśmy w dalszą drogę, w dół z biegiem rzeki, która wnet przybrała prawidłowe łóżysko w suchym terenie. Po jednej i drugiej stronie, jak okiem sięgnąć, rozrzucone były plantacje trzciny cukrowej i durry. Tu i ówdzie z bujnej roślinności wyzierały okrągłe dachy chat, niby kopułki. Dojechawszy do pierwszego z brzegu przysiółka, stanęliśmy i wysłali naprzód posłańca z oznajmieniem, że nie przybywamy tu jako wrogowie. Przezorność ta była konieczna z tego względu, że mieszkańcy mogli przestraszyć się nas i uciec ze swych siedzib.

Niebawem posłaniec wrócił, prowadząc ze sobą wszystko, co tylko żyło w tej wiosce. Starzy, młodzi, mężczyźni, kobiety, dzieci przywdziali na siebie, co się dało, by zaprezentować się nam jak najkorzystniej.

Wśród mężczyzn wyróżniał się stary, siwowłosy Murzyn, którego nam przedstawiono, jako naczelnika wioski. Ubiór jego składał się z przepaski na biodrach oraz plecionki na głowie, wysokiej na trzy co najmniej stopy i przybranej na wierzchołku pstrymi piórami. Obok niego szła jakaś młoda piękność wiejska z nasmarowanymi tłuszczem i zeszywnionymi ochrą\* lokami, tak, że głowa jej wyglądała, jak korkociąg. Jakiś młodzieniec, najprawdopodobniej elegant wiejski, miał na głowie kapelusz z oberwanymi kryzami, a na lewej nodze skórzany but bez podeszwy, na prawej zaś sandał z łyka. Największą jednak jego ozdobą był nieoceniony klejnot, jedyny w całej wiosce: mosiężna oprawa okularów, oczywiście bez szkieł. Drogocenny ten przedmiot miał on uwiązany na szyi, podobnie, jak ludzie noszą medaliki.

Nie mogłem dalej czynić osobliwych swych spostrzeżeń, bo stary naczelnik wziął owego przyozdobionego w oprawę okularów młodzieńca pod ramię, a przedstawivszy go reisowi effendinie, rozpoczął mowę, urozmaicaną bardzo żywą gestykulacją. Nie zrozumiałem z tego ani słowa; domyśliłem się tylko z gestykulacji: „Jesteście tu obcy, dostojni panowie, i chcecie się dostać do Wagundy. Ten oto młody adonis, właściciel drogocennego klejnotu, jedynie jest godny wskazać wam drogę.”

I istotnie po przetłumaczeniu okazało się, że domysł mój był trafny. Obdarowaliśmy starego naczelnika drobiazgami, które wprawiły go w istny zachwyty, i pojechaliśmy dalej.

Właściciel mosiężnej oprawy okularów biegł przodem, jako nasz przewodnik, pyszniąc się z tego, jakby go co najmniej obrano królem.

Stary jednak nie ograniczył się do tej jednej przysługi dla nas. Wysłał już naprzód czterech ludzi do Goków, aby im oznajmić, jak wielki spotka ich zaszczyt i jak mają się przygotować na nasze powitanie. O tym dowiedzieliśmy się oczywiście dopiero później.

Przewodnik nasz, mimo niefortunnego obuwia, był bardzo dobrym biegaczem i dotrzymywał kroku naszym wołom. Jechaliśmy wciąż wzdłuż brzegów rzeki, a po pewnym czasie, przeszliśmy ją w bród i skręciliśmy na obszerne pola, przez które trzeba było jechać całą godzinę. Przed nami w oddali majaczył rąbek lasu.



Przewodnik mówił coś do nas bez ustanku, Agadi zaś objaśnił, że pocziwiec opisuje nam tak dokładnie Wagundę. Ażeby się przekonać, czy wie, do czego służy przedmiot, który posiada i z którego jest tak ogromnie dumny, wezwałem go do siebie, żądając, by mi swą dziwną ozdobę dał do ręki. Biedak przestraszył się tym mocno, a z miny jego i z ruchów wywnioskowałem, że za nic w świecie nie da nikomu do ręki swego klejnotu. Dopiero długie wywody i zapewnienia tłumacza skłoniły go do ustępstwa: podał mi oprawę okularów, nie spuszczać z niej oka, w obawie, abym jej nie przywłaszczył. Ja zaś włożyłem okulary na nos i, dobywszy papier, udałem, że czytam. Ale młodzian nie miał pojęcia o tym, co przez to pokazać mu zamierzam i dopiero gdy począłem patrzeć przez te okulary na daleki las, udając gestami, że widzę o wiele lepiej, niż gołym okiem, przewodnik począł mnie rozumieć. I skoro mu tylko oddałem te okulary, wsadził je sobie na nos, a patrząc przez nie, skakał z radości; wydawało mu się, że widzi przez nie wszystko o wiele piękniej, niż gołym okiem. Od tej chwili przestał już opowiadać o Wagundzie i patrzył bezustannie przez okulary. Wskazując mu, że okularów nie nosi się na szyi, lecz na nosie, zyskałem sobie wielką jego wdzięczność, którą też później okazał mi w czynie.

Jadąc bez przerwy, przebyliśmy w poprzek nieduży las i znaleźliśmy się nad brzegiem rozległego jeziora. Na krawędzi wody unosiły się małe łódki, a dalej wokoło jeziora można było widzieć pola uprawne i nieprzejrzone pastwiska. Na prawo od nas wznosiło się strome wzgórze, które wobec bezbrzeżnych równin tych okolic wydało nam się czymś nadzwyczajnym. Na szczycie wzgórza sterczał wysoki parkan z ostrych pali. W połowie parkanu znajdowała się brama, z której właśnie poczęli wychodzić parami naprzeciw nam jacyś ludzie. Za pośrednictwem tłumacza dowiedziałem się, że ów stary naczelnik z przysiółka, zawiadamiając przez swych posłów tutejszych mieszkańców o naszej wyprawie, zalecił im, by zgotowali nam przyjęcie jak najuroczystsze i najwspanialsze.

Wódz Borów, znający dobrze miejscowe zwyczaje, pouczył nas, jak mamy się zachować wobec tych ludzi, idących ku nam z owacjami. Ustawiliśmy się więc w dwa rzędy, w ten sposób, że w pierwszym byli sami jeźdźcy, a w drugim woły juczne i poganiacze. Przed frontem mieli się ustawić dowódcy, a więc reis effendina, wódz Borów i ja. W takim porządku mieliśmy postępować naprzód, krzycząc co sił i strzelając na wiwat z rozmaitej broni. Reszty mieli dokonać Gokowie.

Na szczęście teren był tego rodzaju, że mogliśmy się w takim ordynku ustawić i postępować po równinie w stronę wzgórza. Miejsce to, jak się później dowiedziałem, było przeznaczone wyłącznie na igrzyska i zabawy mieszkańców Wagundy. Przed frontem na samym czele postępował reis effendina, mając po lewej ręce wodza Borów, po prawej zaś Agadiego w roli niezbędnego tłumacza. Dalej szedłem ja z adiutantem, który sam mi się narzucił. Był to ów szczęśliwy posiadacz oprawy okularów, który zdołał naprędce dosiąść juczne zwierzę i jako jeździec stanąć obok mnie w gotowości do usług.

Gokowie również w dwu rzędach frontem postępowali prosto na nas, wywijając bronią w powietrzu i krzycząc wniebogłosy. Oczywiście szli pieszo. Broń ich składała się z lanc, szabel, noży, drągów i łuków. Niektórzy mieli nawet flinty. Ceremonia polegała na tym, że Gokowie przedzierali się przez nasze jezdne szeregi, wymijając nas w ten sposób, jak się wymijają pary taneczne w kadrylu. Komiczny był przy tym hałas i zgiełk nie do opisanania.

Ja sam brałem tak czynny udział w tej ceremonii, że przez kilka dni potem bolało mnie gardło. Ale kto podróżuje tak jak ja, ten musi wedle okoliczności dostroić się do śpiewających słowików i umieć

również wyc wespół z wilkami. Inaczej na każdym kroku miałbym w podróży trudności.

Szczególny ów taniec trwał co najmniej kwadrans, po czym na daną komendę obie partie stanęły naprzeciw siebie. Wódz Goków przystąpił do reisa effendiny, wygiął się w lewo, w prawo, w przód i w tył, wyrzucając przy tym kurczowo ramiona we wszystkich kierunkach, wierzgając nogami, wywracając białka oczu i krzycząc jak opętany. Następnie począł wykręcać szyję jak kura chcąca znieść jajko przez dziób, a skacząc, wierząc się i wykrzykując kilka minut, jak w tańcu św. Wita, raczył nareszcie się uspokoić — i nastąpiło to, czego oczekiwać należało, a mianowicie... mowa, która trwała z pół godziny.

Gdy ostatnie słowa przebrzmiały, Gokowie wszczęli taki tumult, takie wycie połączone z dzikimi gestami rąk, nóg i głowy, że, słuchając tego i patrząc, można było oszaleć.

Teraz przyszła kolej przemówienia na naszego generalissimusa... to jest na reisa effendinę, który, przybrawszy urzędową postawę, wypowiedział dość głośno jedno zdanie i wstrzymał się, aby Agadi miał czas do przetłumaczenia go. W ten sposób przemawiał dalej, to jest wygłaszał krótkie zdania, a każde z nich dosłownie tłumaczył Agadi. Uczyniwszy zadość temu wielce trudnemu obowiązkowi, reis effendina dał znak ręką naszym ludziom, ażeby przez okrzyki i odpowiednią gestykulację wywołali wrażenie, że mowa ta była wyrazem uczuć wszystkich podkomendnych. Niestety, reis effendina ani sam nie był zachwycony swą przemową, ani też nikogo nią nie rozentuzjzmował, wobec czego nie było żadnego brawa, żadnego okrzyku, a więc, że tak powiem, zblamowaliśmy się wobec Goków zupełnie. Toż ich dowódca przewyższył naszego o całe niebo!

Trzeba więc było ratować sytuację, i to zaraz, z miejsca, by rozwiać niefortunne dla nas wrażenie wśród tubylców. Odczuł to również i mój czarny „adiutant”, który podjechał na swoim zwierzęciu do dowódcy Goków i wskazując ręką mnie, wygłosił jakieś długie zdanie, którego nie zrozumiałem. Agadi jednak pośpieszył wnet do mnie z wyjaśnieniem, że... no, że teraz ja mam przemawiać!

A zatem nie ominęła mnie ta przyjemność! Mam mówić ja, zdolny do tego, jak... wół do karety. No, ale niech tam! Im głupiej będę mówił, tym lepiej, gdyż tym głębsze wywołam wrażenie na słuchaczach. Jeżeli bowiem tam, w Europie, ludzie cywilizowani uważają za najmądrzejsze to, czego wcale nie rozumieją, to o ileż więcej spodziewać się można po Gokach!

Nie namyślałem się długo, uderzywszy wołu obcasami po bokach, popędziłem przed dowódcę Goków, okrążając go w pełnym biegu kilka razy i wydając przy tym naprawdę dzikie okrzyki. Wreszcie zeskoczyłem z siodła, puściłem wołu samopas i stanąłem przed zachwyconym tym wszystkim dowódcą. Po chwili, nabrawszy w płuca świeżego tchu i, wyciągnąwszy ramiona, jak kaznodzieja, począłem głosem donośnym deklamować... „Pieśń o dzwonie” Schillera!

Podczas tej jednak osobliwej deklamacji nie stałem spokojnie, jak to czynią popisujący się na estradach koncertowych artyści, lecz, o ile tylko sił mi starczyło, ilustrowałem ruchami każdą myśl, więc podnosiłem raz jedną nogę, to znów drugą, wymachiwałem rękoma, robiłem przysiady, podskoki, a skończywszy cały wiersz, drapnąłem jak spłoszony zając i dosiadłem wołu, który stał opodal, a był... również zasłuchany w mojej deklamacji.

Występ mój wywołał wrażenie wprost niesłychane. Przede wszystkim dał hasło do okazania

zachwytu mój czarny adiutant, za którego przykładem poszli wszyscy obecni: czarni, brunatni, żółci i biali. Fon, sirocco, samum, północno-amerykański blizzard, ba, nawet sybirska wiuga nie mogły się równać z burzą, jaka powstała po jednej i drugiej stronie szeregów słuchaczy. Utrzymany do tej chwili porządek znikł nagle i szyki się pomieszały w zupełności; ludzie jakby poszaleli, a woły spłoszyły się i poczęły uciekać; zapał ogarnął nawet najpoważniejszych asakerów, nie wyłączając mego Ben Nila, który tańczył razem z innymi, jakby mu za to obiecano zapłatę.

Jeden tylko człowiek nie dał się porwać entuzjazmowi ogólnemu i stał jak mur; był to reis effendina. Przystąpił do mnie i, kiwając głową, rzekł:

— Co się tobie stało, effendi? Ja cię nie poznaję! Ty, najpoważniejszy i najspokojniejszy z nas wszystkich, zachowujesz się nagle tak, jakbyś rozum postradał! Co to ma znaczyć? Naprawdę brała mnie chętka uciec stąd i nie patrzeć na te... błazeńskie popisy!

— A więc nie podobał ci się mój występ? — zapytałem, śmiejąc się.

— Wcale mi się nie podobał! Obniżyłeś naszą godność! Za co nas będą mieli ci ludzie?

— Za bardzo tęgich zuchów; możesz być tego pewny. Jeżeli bierze się ludzi takimi, jakimi są, i zastosowuje się do ich poziomu, to tym łatwiej można pozyskać ich sympatię. Sądzę zresztą, że wkrótce podziękujesz mi sam za ten mój pomysł.

— Niestety, jako zastępca wicekróla, nie mogą cierpieć tego rodzaju błazeństw, bo one znieważają jego powagę.

— Ja jednak wcale nie miałem zamiaru obniżyć powagi wicekróla, lecz myślałem tylko o tym, jakby przede wszystkim możliwie najlepiej usposobić dla nas Goków. Przyszłość zresztą najlepiej okaże, czy kedyw z powodu mego zachowania utraci tron... Trzeba się najpierw namyślić, czy i za co należy kogo ganić.

— Przyznasz jednak, że moja mowa była o wiele wytworniejsza od twojej.

— W moim pojęciu... tak. Ale czy wygłaszałeś ją do mnie?

— No, nie; do Goków.

— A zatem oni jedynie mają prawo rozstrzygać. A że rozstrzygnęli na moją korzyść, przekonałeś się przecież.

Odpowiedź ta znalazła niebawem potwierdzenie w zachowaniu się Goków. Dowódca ich, który, jak i wszyscy jego poddani, brał czynny udział w manifestacji, wydobył się teraz z tłumu i chwycił żerdź, służącą jako sztandar. Na żerdzi tej rozpostarta była wypchana skóra małpy. Na ten znak wszyscy jego podkomendni ustawili się w porządku, a kilku starszych, zapewne doradców, naradzało się krótko pod przewodnictwem naczelnika, który następnie rozmawiał chwilę z wodzem Borów i wreszcie przemówił do reisa effendiny, oczywiście za pośrednictwem tłumacza:

— Wiem, panie, co was sprowadziło: chcecie ratować nas przed groźnym niebezpieczeństwem.

Pomówimy o tym później i obmyślimy środki. Teraz zaś obowiązkiem moim jest powitać cię serdecznie i pozdrowić. Słyszałem, że jesteś ulubieńcem kedywa. My wprawdzie nie jesteśmy jego poddanymi, ale to wcale nam nie przeszkadza przyjąć was jak serdecznych przyjaciół. Bądźcie więc moimi gośćmi, jak długo się wam spodoba.

Następnie zwrócił się do mnie:

— Panie! Wódz Borów opowiedział mi o tobie i o twoich czynach. Pochodzisz z kraju, gdzie żyją sami sławni i wielcy ludzie. Zdmuchujesz, słyszę, swoich wrogów, jak puch z ręki i nikt zwyciężyć cię nie jest w stanie. Ja sam przekonałem się z twej mowy, że należysz do ludzi, jakich jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się spotkać. Mowa twa upaja, jak merissah\*; ruchy rąk i nóg świadczą o prawdziwości słów twoich. Jeżeliby nóż twój był za słaby wobec jakiegoś wroga, pokonałbyś go twą wymową niezawodnie. Z tego wszystkiego widzę, że ty jeden, jedyny możesz nas uratować. Otóż słuchaj: Ibn Asl jest największym diabłem ze wszystkich łowców niewolników. Nie brak też w jego orszaku ludzi gorszych od szakali i nie ma mowy, abyśmy byli w możności obronić się przed tym strasznym naszym wrogiem. Wobec tego jednak, że ty znalazłeś się między nami, możemy być zupełnie spokojni, ty bowiem jeden wystarczysz za tysiąc. Uzbroję tedy wszystkich moich ludzi, a ciebie poproszę, byś objął nad nimi dowództwo. Czy zechcesz przychylić się do tej prośby?

Naczelnik mówił to z taką przesadą, że gdybym chciał wzorować się na Selimie, mógłbym się uważać za „największego bohatera pod słońcem”.

Żarty jednak na bok... Miałem zostać generałem „en chef i nie było wcale powodu do pogardzenia tym zaszczytem, tym bardziej, gdy wziąłem pod uwagę okoliczność, że w takim tylko razie unikniemy grubszych błędów w kierownictwie ekspedycji.

Skoro naczelnik oświadczył swoim ludziom, że obejmuję zaszczytne stanowisko, powstał wśród nich wielki entuzjazm. Wszystko, co tylko miało nogi, skakało naokoło mnie z radości, jakbym był istotnie jakimś z nieba zesłanym wybawicielem. Po tej ceremonii zaproszono nas do wsi w gościnę. Czarni utworzyli kolumny i z paradą wielką poprowadzili nas ku wyłomowi w parkanie na wzgórzu. Zrazu jechałem obok emira, wnet jednak przyczepił się do mnie mój czarny adiutant, napuszony jak indyk. Zdawało mu się, że zaszczyt, który mnie spotkał, spływał w pewnej mierze i na niego. Stąd też przybrał postawę poważną i wyniosłą, a w istocie śmieszłą z powodu tej właśnie zarozumiałości.

Wydostawszy się na szczyt wzgórza, spostrześliśmy równą i obszerną płaszczyznę, z trzech stron kończącą się stromymi stokami tak, że jedynie tą drogą, którą przyszliśmy, można się tu dostać. Teren więc do obrony przedstawiał się wcale korzystnie. Wieś sama, złożona z typowych okrągłych chat, znajdowała się pośrodku tego płaskowzgórza, a naokoło niej sterczały gęsto wbite w ziemię pale i cokoly. Przestrzeń poza obrębem chat podzielona była tu i ówdzie płotami na małe przegrody, dokąd spędzano na noc bydło.

U otwartych „bram” wsi posiadaliśmy ze swych rogatych wierzchowców, puszczając je na przyległe błonia i weszliśmy do osady Goków, witani serdecznymi owacjami przez tych, którzy z różnych powodów nie mogli wyjść na spotkanie.

Dla mnie i reisa effendiny wyznaczono największą i najokazalszą chatę; innych rozkwaterowano

pojedynczo po całej wsi. Następnie zabito kilkanaście sztuk bydła i rozpalono ogień w celu upieczenia mięsa. Co do mnie, to nie miałem najmniejszej ochoty zakwaterowywać się wewnątrz brudnej chaty, wśród milionów rozmaitych skaczących, latających i pełzających żyjątek; wolałem pozostać w nocy pod gołym niebem.

Mimo znużenia długą podróżą, zabrałem emira, naczelnika i tłumacza i obszedłem z nimi cały teren dla przekonania się, czy miejscowość była odpowiednia do obrony przed napadem nieprzyjaciela. Moim zdaniem, nagły napad można było od biedy jako tako odeprzeć. Inaczej rzecz by się miała w razie oblężenia; brakowało tu na górze najważniejszej w takim przypadku rzeczy, a mianowicie wody. Mieszkańcy noszą ją zazwyczaj z potoku, który poniżej wpada do jeziora. Zapasu jednak wody uczynić nie można z braku odpowiednich ku temu naczyń, a zresztą wskutek niezwykłych upałów wyparowałyby ona wkrótce i załoga zginęłaby z pragnienia, podczas gdy Ibn Asl miałby jej na nizinach pod dostatkiem i czekałby tylko spokojnie, aż się sami będziemy zmuszeni poddać. Z tego względu należało obrać miejsce do odparcia wroga gdzie indziej tak, aby stanowisko Ibn Asla było jak najmniej, a dla nas jak najwięcej dogodne. Do wyszukania takiego terenu dziś niestety czasu brakowało, gdyż Gokowie czuliby się dotknięci tym, że lekceważymy ich gościnne przygotowania. Nie było zresztą potrzeby śpieszyć się zbytnio, bośmy wyprzedzili Ibn Asla co najmniej o dziesięć dni drogi; od chwili schwytania jego posłańca upłynęło dziewięć dni, podczas, gdy on potrzebował osiem dni na drogę do Agudy, a stamtąd do Wagundy dwanaście, czyli razem dwadzieścia. Pozostało nam więc sporo czasu do przygotowania się na takie przyjęcie opryszka, aby się od tego największego swego wroga uwolnić mogła tutejsza czarna ludność. Obowiązki „generała” nie przeszkadzały mi w korzystaniu z serdecznej gościnności Goków. A byłem tu istotnie przyjmowany tak, że mi jednej chwili spokoju nie dano; słowa nawet wymówić nie było kiedy, bo Gokowie podsuwali mi coraz to nową czarę merissah i półcie pieczeni.

Allachowi jedynie wiadomo, ile Murzyn potrafi zjeść i wypić! Czarny Afrykańczyk wie dobrze, o ile wyżej od niego pod względem inteligencji stoi każdy biały; stąd też wnioskuje, że biały ów ma nie tylko większy rozum, ale i żołądek. Z uprzejmości musiałem jeść i jeść, dopóki skóra na brzuchu wytrzymać mogła. Gdy nareszcie około pomocy rzuciłem się na trawę, pomyślałem sobie, że już chyba nigdy w życiu nie będę potrzebował przyjmować pokarmu.

Mimo wrzawy biesiadnej w całej wsi usnąłem od razu i dopiero zbudziły mnie promienie słońca, które wysoko weszło na niebie. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu spostrzegłem Murzynów zajadających śniadanie z takim apetytem, jakby co najmniej od tygodnia nie jedli. Nawet nasi asakerzy nie żalowali sobie, a najwytrzymalszym z nich pod tym względem okazał się Selim. Ten zobaczywszy mnie zawołał z odcieniem wielkiego zadowolenia:.

— Jakże tu pięknie, effendi! Jak dobrze! Pozostanę tu już chyba przez wszystkie dni mojego żywota! Wyobraź sobie, ani oka nie zmrużyłem, jedząc ciągle i gawędząc. A ci dobrzy, kochani ludzie, którym Allah niech da tysiąc lat życia, słuchali moich opowiadań z wielkim zaciekawieniem przez całą noc i również przez całą noc jedli. Siadaj koło mnie i spożywaj dary boże. Mam tu tak znakomity kawał mięsa, że smaczniejszego sam prorok w raju nie widział.

Chciał mnie uraczyć ogromną półcia mięsa, lecz podziękowałem mu za tę szczodrość i poszedłem do kwatery reisa effendiny.

Był tu u niego z wizytą naczelnik Goków, który, nie tracąc drogiego czasu jadł, odcinając od kości kręgowej potężne kęsy. Przed nimi stali w pewnym oddaleniu ze względu na szacunek dla wysokich dostojników, dwaj młodzi tubylcy, którzy wyjątkowo... nie jedli, mimo, że naczelnik miał przed sobą co najmniej ćwiartkę wołu.

Emir, pozdrowiwszy mnie, wskazał obu młodzieńców i rzekł: — Ci kawalerowie mogą być bardzo pożyteczni. Przypadkowo wrócili tu do swoich, bo stąd właśnie pochodzą, a służyli gdzieś tam w Hazab Allaba, jako asakerzy i nauczyli się po arabsku o tyle, że mogą nam się przydać, jako tłumacze.

Uradowało mnie to, bo mając do wyłącznej dyspozycji tłumacza, mogłem o wiele więcej zdziałać niż dotychczas, gdyż Agadi musiał być zawsze u boku emira. Naczelnik przydzielił mi też chętnie jednego z owych tłumaczy, po czym przedstawiłem emirowi projekt natychmiastowej wycieczki w okolice dla zorientowania się w terenie i obmyślenia planu wojennego. Lecz emir odmówił. Jak się wkrótce okazało, był on bardzo zazdrosny o to, że Gokowie obrali swoim wodzem mnie, a nie jego.

Ha! Trudno. Zazdrość nieraz rozdziela na zawsze najserdeczniejszych przyjaciół lub nawet czyni ich śmiertelnymi wrogami.

W przejażdżce miał mi towarzyszyć tylko wierny zawsze Ben Nil i tłumacz. Było jeszcze dwóch ochotników: młodzieniec z okularami i Selim, ale im wręcz odmówiłem. Ten ostatni był do tego stopnia objedzony, że na nogach utrzymać się nie mógł. Pominąwszy to jednak nie chciałem go brać i z tej przyczyny, że miał istotnego pecha: ilekroć zabrałem go z sobą, zawsze wydarzyło się jakieś nieszczęście.

Młody tłumacz okazał się dla mnie bardzo pożyteczny. Władał dość biegle jednym z narzeczy arabskich i rozumiałem go dostatecznie; do niego zaś mówiłem, o ile możliwości, wyraźnie i z takim akcentem, że pojmował mnie zupełnie. Główną jednak zaletą jego było to, że znał wybornie okolice aż do Agudy, skąd właśnie należało się spodziewać nadejścia Ibn Asla. Opisał mi nawet dokładnie drogę, którą tenże obrać musiał.

Opierając się na podanych przez niego szczegółach i na własnych w ciągu całodniowej wycieczki spostrzeżeniach, obmyśliłem plan, na podstawie którego można się było spodziewać, że weźmiemy Ibn Asla razem z jego oddziałem bez zbytejnego przelewu krwi.

Wagunda leży w okolicy górnej Toni, niedaleko od miejsca, gdzie rzeka ta obydwa swe ramiona, jedno płynące prosto z północy od Awek, drugie z południowego wschodu, zlewa w jedno łóżysko, tworząc rozwarty kąt. Okolice nad obydwoma ramionami są bagniste i niemożliwe do przebycia, zwłaszcza od strony południowo-wschodniej. Północne ramię ma tylko jedno miejsce, gdzie można było przejść w bród, i nie ulegało wątpliwości, że Ibn Asl tędy podąży do Wagundy.

Plan mój był następujący. Osaczyć bród z obu stron. Oddział, będący z drugiej strony rzeki, ukryje się aż do chwili, gdy Ibn Asl minie go i wejdzie do wody, a wówczas oddział nasz natrze na niego z tyłu. Ponieważ zaś po obu stronach, na lewo i na prawo, rozciągają się bagna, więc ścigany musi szukać jedyne wyjścia na brzegu przeciwnym, gdzie zastąpi mu drogę oddział drugi i zwycięży całą bandę może nawet bez jednego wystrzału. Oprócz tego liczyłem na Dingów, którzy byli z Ibn Aslem,

a których dowódca, jak wiadomo, znajdował się u nas. Gdyby ten choćby krzyknął do nich, że Ibn Asl zamierza ich oszukać w sposób haniebnny, poddali бы się wszyscy bez najmniejszego oporu, a wtedy Ibn Asl z garstką swoich asakerów rad nierad zmuszony byłby poddać się również. Aby być jeszcze pewniejszym zwycięstwa, postanowiłem urządzić w odpowiednich miejscach nad brodem okopy i zasieki, które chroniłyby dostatecznie naszych ludzi przed kulami wroga.

Zaraz po powrocie zwołałem coś w rodzaju rady wojennej, w której wziął udział emir oraz naczelnicy Djangów, Borów i Goków. Przedstawiłem im dokładnie cały swój plan, Agadi zaś przetłumaczył moje objaśnienia dwóm swoim towarzyszom. Byłem pewny, że zgodzą się nań bez najmniejszej dyskusji. Najniespodziewaniej spotkałem się z dziwną obojętnością wszystkich. Naczelnicy spoglądali z wielkim zakłopotaniem to na emira, to znów jeden na drugiego i milczeli; zrozumiałem, że nie mieli odwagi zgodzić się na mój plan. Czyżby reis effendina zbuntował ich przeciw mnie? Na moje zapytanie, zwrócone do niego w tym przedmiocie, odburknął niechętnie:

— Myśl, co chcesz... A... a... czy ty, effendi, jesteś oficerem?

— Nie.

— A ja nim jestem, i to jako reis effendina wcale nie pospolitej rangi, o czym wiesz bardzo dobrze i z czego możesz osądzić, kto z nas dwóch uprawniony jest bardziej do układania planów wojennych. Wprawdzie naczelnik Goków oddał w twe ręce dowództwo nad swymi ludźmi i w tym zakresie możesz robić, co ci się podoba, ale co do mnie, czy myślisz, że poddam się twemu zwierzchnictwu razem ze wszystkimi swymi podkomendnymi?

Mówił to z wyraźną do mnie urazą, wywołaną przez zazdrość. Sprrzyło mi to niemiłą niespodzianką, bo wyświadczwszy mu już niejedną przysługę, mogłem na tej podstawie liczyć jeżeli nie na wdzięczność, to przynajmniej na pewne względy z jego strony. Tymczasem spotkałem się z czymś zupełnie przeciwnym i raczej ja powinienem był uczuć się dotkniętym. Mimo to jednak odrzekłem: „Nie jestem zwykłym \_ci: r — Co się stało mi? Czyż zażądałem od ciebie, abyś się zrzekł praw swoich na moją rzecz? Gdy naczelnik Goków oddawał mi dowództwo, milczałeś, więc byłem pewny, że się zgadzasz na to. Teraz jednak widzę z twego zachowania, że się myliłem, wobec czego jestem gotów zrzec się udzielonego mi zaszczytu w każdej chwili jestem Europejczykiem i obojętne mi, co się tu w Sudanie dzieje, a to, co czynię dla was, wynika tylko z mojej dobrej woli. Podoba się wam mój plan, dobrze; nie podoba się, również dobrze. Obmyślcie sobie lepszy sami. A co do mnie, jeżeli zechcecie, abym wypowiedział o nim mój sąd, uczynię to chętnie; jeśli zaś usuniecie mnie zupełnie od rady, to wówczas jeszcze nie będę miał powodu do obrażania się. Właściwie wszystko mi jedno, czy wykonacie mój plan, czy też nie; ani mnie to ziębi, ani grzeje; nic nie zyskam i nic nie stracę. W interesie jednak samej sprawy i z przyjaźni dla ciebie proszę tylko, abyś mi pozwolił walczyć w twoich szeregach, gdyby oczywiście do walki tej doszło.

Sądziłem, że słowa te rozbroją go zupełnie. Niestety, on je pojął inaczej.

— Masz słuszość — odrzekł, rozdrażniony wielce. — Jesteś tu obcy, i właściwie nasze stosunki nic cię nie obchodzą. Ująłeś wprawdzie wczoraj tych ludzi swoim... tańcem, dziś jednak nabrali oni innego przekonania, a mianowicie, że moje zachowanie się jest o wiele godniejsze, i radziby teraz odebrać ci komendę, by mnie ją oddać. Co się zaś tyczy twego udziału po naszej stronie, to

najzupełniej nic przeciw temu nie mam.

— Godzę się w zupełności na to, i jeżeli łaska, rad bym tylko dowiedzieć się, jaki jest twój plan.

— Dowiedzieć się, owszem; ale z góry zastrzegam się przed jakimikolwiek poprawkami z twojej strony. Plan mój jest bardzo prosty i wiedzie do celu najkrótszą drogą.

— Proszę więc, mów!

— Podobny jest do twego jak dwie krople wody. Ty chcesz wrzucić Ibn Asla do rzeki, ja zaś do jeziora, i w tym chyba tylko jest różnica.

— Do jeziora? Tu, u stóp tego wzgórza?

— Rozumie się. Będzie to całkiem łatwe, podczas gdy wedle twego planu musielibyśmy maszerować, Allah wie, dokąd i grzęznąć w bagnach. Nie, effendi. Zostaniemy tu, na górze. Ibn Asl nie wie, że się tu znajdujemy i że Gokowie są ostrzeżeni; przybędzie więc i rozłoży się obozem między wzgórzem a jeziorem, skoro zaś to uczyni, urządzimy na niego atak z góry i wpędzimy go w jezioro.

— Bez zaprzeczenia, wydaje się to prawdopodobnym i nawet jest ponętniejszym; ale rzecz wymaga głębszego namysłu. U brodu miałby nieprzyjaciel jeden tylko ratunek w poddaniu się, tu zaś ma z dwu stron wolne pole do ucieczki i kto wie, czybyście go schwytali nawet przy bardzo sprzyjających okolicznościach. W każdym razie popłynie tu wiele krwi, a twoim zadaniem jest jedynie dostać w swe ręce żywego Ibn Asla. Założyłbym się jednak, że...

— No, no, daj pokój! — przerwał mi. — Jesteś dzielny, odważny, silny i sprytny, ale nie wojak. Aczkolwiek kula twoja nie chybia nigdy, to o strategii nie masz najmniejszego pojęcia, co miałem sposobność stwierdzić już kilkakrotnie. Plan mój jest dobry i będzie wykonany. Tobie zaś pozwalam wziąć udział w bitwie, jednakże pod warunkiem, że nie będziesz się mieszał do żadnej rady.

Było to powiedziane w tonie, że się tak wyrażę, służbowym, jak zwykli mówić przełożeni do swoich podwładnych. Dziwny człowiek! Tyle razy byłem zmuszony wyęźać wszystkie siły dla naprawienia popełnianych przez niego błędów, aż tu nagle słyszę, że o strategii nie mam pojęcia! Zapewne, strategiem nie byłem nigdy i nie jestem nim; ale żeby schwycić Ibn Asla, posiadałem o wiele więcej zdolności, niż obrażony w swej dumie emir. Ostatnie jego słowa były prawie grubiańskie. Dlatego powstałem z miejsca odzywając się zupełnie spokojnie:

— Nie ma człowieka, któremu jestem winien ślepe posłuszeństwo, i prawdopodobnie nie zdarzy mi się to nigdy w przyszłości. *Allach izallamak!* Niech cię Bóg strzeże!

I wyszedłem z chaty, w której odbyła się ta niemiła dla mnie rozmowa.

U progu zastałem Ben Nila. Był bardzo zaniepokojony, lecz, spojrzawszy mi uważnie w oczy, odezwał się:



— *Hamdulillah!* Poszło lepiej, niż się spodziewałem. Myślałem, że wyjdiesz podrażniony, gdy tymczasem widzę, że jesteś zupełnie spokojny. Więc udało ci się postawić na swoim?

— Skąd wiesz, że chciano mi się sprzeciwić?

— Od tłumacza. Reis effendina podczas naszej nieobecności zagroził Gokom, że zda ich na łaskę losu, jeśli nie otrzyma wyłącznego i nieograniczonego dowództwa.

— A tobie się zdawało, że na wiadomość o tym wybuchnę gniewem i będę się awanturował?

— Miałbyś ku temu prawo. Przecież tego rodzaju niewdzięczność może rozgniewać najspokojniejszego człowieka.

— Właściwie martwi mnie to, ale do gniewu jeszcze daleko.

— Wnioskuje więc, że przecie... stało się...

— Tak, stało się. Reis effendina odrzucił moje rady i plany, a tylko zezwolił łaskawie, bym wziął udział w walce, i to pod warunkiem ślepego posłuszeństwa.

— Posłuszeństwa? Ty? — krzyknął Ben Nil, tracąc nagle zimną krew. — Zostań tu, effendi; ja pójdę do niego i powiem mu, co oni wszyscy razem wzięci znaczą wobec ciebie jednego.

— Zostań! — rzekłem, wstrzymując go za ramię — nie zmienisz niczego, bo nie usłuchają cię, jak mnie nie usłuchali. Okoliczności same nauczą ich rozumu.

— No, ale co ty poczniesz? Czyżbyś naprawdę miał ochotę zniżyć się do rzędu pierwszego lepszego żołnierza?

— O, nie! Idź na swoją kwaterę i zabierz manatki; wyniesiemy się stąd natychmiast...

Młodzieniec posłuchał w milczeniu i pobiegł. Ja również wróciłem po swoje rzeczy, a w kilka minut później opuściliśmy wieś i zeszli w dół, aby zanocować w lesie, po tamtej stronie jeziora.

Ben Nil nie przemówił już do mnie ani słowa więcej. Miał on bardzo dobre serce i umiał szanować mój żal, aczkolwiek z twarzy mojej nie mógł wyczytać zbyt wiele troski i zmartwienia.

I rzeczywiście nie byłem znów tak bardzo zrozpaczony. Przykrość, jaka mnie spotkała, nietrudna była do zniesienia. A mimo to spać tej nocy nie mogłem... Ubolewałem nad dolą tych ludzi, których trzeba było opuścić; żałowałem ich bardzo, przekonany, że padną ofiarą Ibn Asla. Długo więc myślałem, jak im przyjść z pomocą — aż błysnęła myśl, która uspokoiła mnie poniekąd. Nie zmrużywszy oka do samego rana i rozważyłem powzięty plan.

Ben Nil spał wprawdzie, ale i on był bardzo stroskany; zbudził się też wkrótce, i poczęliśmy się myć w jeziorze.

— Co robić, effendi? — pytał mnie. — Wrócimy może do wsi?

— Nie, pójdziemy do Fogudy.

— A to po co? Ta wieś, jak nas objaśnił wczoraj tłumacz, należy do Goków. Co tam zamierzasz?

— Uzyskać pomoc dla Wagundy.

— Nie pozostawisz więc tych niewdzięczników własnemu losowi?

— Wiem, mój kochany, że czeka ich nieuniknione nieszczęście, jeśli im nie pomogę. A że odrzucili moją pomoc dobrowolnie, starać się muszę narzucić ją przemocą.

— Oni tego nie warci, effendi! Pomyśl, na ile to niebezpieczeństw narażamy się!

— Ech, gadanie! Jestem pewny, że się niczego nie boisz...

— Nie boję się istotnie, ale tu nie o mnie idzie, lecz o ciebie. Ja z tobą gotów jestem pójść na koniec świata. Ale obowiązkiem moim jest również przestrzec cię przed tym, co ci zagraża. Wiem od tłumacza, że Foguda odległa jest o całe trzy dni drogi, a weź pod uwagę, że nie mamy zwierząt wierzchowych i będziemy musieli pieszo przedzierać się przez dziewicze lasy i bagna, wśród okolic zupełnie nam nieznanych.

— Tłumacz wskazał mi kierunek i opisał drogę; to wystarczy.

— Chcesz sprowadzić mieszkańców Fogudy tutaj?

— Tak. Foguda leży obok drogi, którą przybędzie tutaj Ibn Asl. My z tamtejszymi Gokami zaczaiemy się i zaczekamy, aż nas ominie, po czym pójdziemy jego śladami i w chwili, gdy zaatakuje wieś, natrzemy na niego z tyłu.

— Ale w jaki sposób wytłumaczysz to wszystko Gokom skoro nie znasz ich języka!

— Jakoś to się zrobi. Może bodaj jeden znajdzie się między nimi, który umie cokolwiek po arabsku; zresztą nauczyłem się już kilku słów i te przy pomocy gestykulacji może wystarczą.

— Ano, jeżeli tak, to nie ma co zatrzymywać się tu dłużej. Czekają nas nie lada marsze przez trzy dni. Pytanie tylko, co będziemy jedli w drodze?

— Znajdą się przecież jakieś owoce, jakaś zwierzyna zresztą zjedliśmy wczoraj tyle, że powinniśmy być co najmniej przez dwa dni syści.

Nie oglądając się ruszyliśmy w drogę. Zaledwie jedna uszliśmy kilkaset kroków, usłyszałem poza sobą coś, jakby prykanie psa, który stracił ślad swego pana. Obejrzałem się, przygotowując karabin do strzału. Ktoś szedł naszymi śladami. Po chwili przekonaliśmy się, że nie było się czego obawiać, bo prześladowcą naszym był Selim. Wołał on:

— Stój, effendi! Dokąd uciekasz?

— Powiedz raczej, dokąd ty idziesz?

— Chcę iść z wami! — odparł, zatrzymując się koło nas.

— To zupełnie zbyteczne; zostań sobie z Bogiem tutaj.

— Jak to? Nie chcesz mnie wziąć, najdzielniejszego bohatera?

— Nie, bo zawsze przynosisz nam nieszczęście, ilekroć tylko wybierzesz się z nami.

— Na Allacha, effendi! Nie mów tak! Toż błogosławieństwo towarzyszy wszystkim moim krokom. Dokąd chcecie iść? Dlaczego uciekliście wczoraj ze wsi?

— Bo spotkała mnie niewdzięczność.

— Och, to prawda. Wszyscy asakerzy żałują cię i pocieszają się, że wrócisz. Ja wstałem najwcześniej, aby ciebie odnaleźć, bo masz we mnie jedynego obrońcę i opiekuna. I na szczęście znalazłem cię!

— Po to, żeby pożegnać się ze mną natychmiast.

— Nie, effendi! Pójdę z wami.

— A ja ci rozkazuję wrócić do reisa effendiny. Będziemy mieli w drodze i tak wiele niebezpieczeństw, a ty sprawiałbyś nam tylko kłopot na każdym kroku.

— Mów, co chcesz, nie ustąpię. Odpędzisz mnie, a ja za wami z dala podążę... i co mi zrobisz?

Na moje nieszczęście Ben Nil ulitował się nad Selimem i począł mnie prosić, bym zabrał drągala tylko ten jeden ostatni raz.

Cóż było począć? Gałgan, mimo wszystko, był wierny i przywiązany jak pies, ale przynosił pecha, pecha na każdym kroku! Będąc zresztą pewnym, że mimo mojego zakazu pobiegnie za nami, zgodziłem się.

— Ostatecznie, niech tam... aczkolwiek jestem przekonany, że wpakujesz nas znowu w jakąś biedę. Pamiętaj jednak, że musisz stosować się do moich rozkazów jak najściślej.

— Ależ chętnie, effendi! — zapewniał, kładąc rękę na sercu. — Uczynię wszystko, czego tylko zażadasz, tylko oczywiście nie to, abym cię opuścił.

I ruszyliśmy dalej już we trzech. Selim, który miał sążniste nogi, maszerował z początku doskonale. Niebawem jednak począł się uskarżać na kurcze żołądkowe. I nic dziwnego: kto tyle zjadł przez dwa dni, co on, mógł potem dostać boleści.

Podczas wczorajszej wycieczki przebyliśmy rzekę w bród na wołach; dziś trzeba było przejść ją pieszo, a woda sięgała nam powyżej pasa. Minęliśmy potem kąt, utworzony przez zlewające się w jedno łożysko dwa ramiona rzeki Toni i skierowaliśmy się nieco na południe od drogi, którą wedle moich przypuszczeń miał przybyć Ibn Asl, Więcej jednak ufałem kompasowi, niż wczorajszym opisom tłumacza; zdałem się zresztą na instynkt, który w swych ciągłych podróżach wyrobiłem w sobie znakomicie. Co najważniejsze jednak, że wiedziałem, w której stronie leży Foguda.

Instynkt pomógł mi istotnie zaraz pierwszego dnia; nie natrafiliśmy na bagna, których się najbardziej obawiałem, lecz szliśmy przez niezmierne lasy tamaryndowe. Drzewa rosły tu niezbyt gęsto, więc grunt był suchy, gałęzie zaś w dostatecznej mierze osłaniały nas przed żarem słonecznym.

Po drodze trafiliśmy na małe, bagniste jezioro, na którym upolowałem kilka ptaków, by je wieczorem upiec na kolację. Przed samym zachodem słońca doszliśmy do krańców lasu. Tu zaczynała się wypalona w słońcu preria, która, jak przypuszczałem, nie powinna była być zbyt rozległą w okolicach tak silnie nawodnionych bagnami i rzekami. Istotnie, przeszliśmy ją, zanim się jeszcze zmierzchno, dotarłszy do drugiego lasu.

Tu rozłożyliśmy się na nocleg, ale nie na samym skraju lasu aby ogień nie był widoczny z prerii, lecz weszliśmy nieco w głąb. Suchych drewn było pod dostatkiem, rozpaliliśmy więc ognisko i zajęliśmy się skrzętnie przyrządzaniem wieczery. Jakkolwiek nie posługiwaliśmy się wcale podręcznikiem kucharskim, kolacja smakowała nam wybornie. Pokładliśmy się następnie spać, ale nie wszyscy na raz: każdy z nas musiał czuwać kolejno przez dwie godziny, a więc pozostawało nam sześć godzin na wypoczynek. Raniutko zjedliśmy resztę pozostałej z wieczery... pulardy i poszliśmy dalej.

Niestety, dzień ten nie był tak szczęśliwy, jak poprzedni, natrafiliśmy bowiem znowu na okolicę bagnistą i jakby wymarłą zupełnie. Wprawdzie widziałem tu od czasu do czasu jakiegoś ptaka, ale zastrzelić go było trudno z powodu niezwyklej płochliwości.

Do wieczora nie upolowaliśmy nic i trzeba było położyć się spać na głodno. Selim wzdychał ustawicznie i zasnął dopiero wówczas, gdy go zapewniłem, że jutro będziemy mieli więcej szczęścia w polowaniu.

Obietnicę tę uczyniłem w najlepszej wierze, ale dotrzymać jej nie mogłem. Do południa brnęliśmy przez bagna, nie napotykając ani drzew owocowych, ani zwierzyny. Z kolei ja teraz wzdychałem, jak wczoraj Selim, i wyęczałem wszystkie siły by zdobyć coś do jedzenia.

Gdybym nie zwracał uwagi na zrzędzenie nieszczęsnego syna Wschodu, byłbym uniknął wielu nieprzyjemności. Był z niego jednak tęgi żarłok, nudził więc mnie i niepokoił co krok. Nadeszło południe, a wedle moich obliczeń powinniśmy byli dostać się do Fogudy jeszcze przed zachodem słońca. Pocieszałem go tym, ale, niestety, otrzymywałem jedną i tę samą odpowiedź. Umieram z głodu!

I Ben Nil był już mocno wyczerpany, bo — rzecz prosta — również nic nie miał w ustach od wczoraj rana, a droga przez bagna była bardzo forsowna i uciążliwa. Wprawdzie dzielny ten chłopiec nie skarżył się wcale, ale właśnie dlatego było mi tym bardziej żal biedaka. Cóż jednak

począć w dziewiczym lesie, gdy zwierzyny ani śladu! Doprawdy ogarniała mnie rozpacz.

Aż oto, ku miłemu naszemu zdziwieniu, usłyszeliśmy znany mi dobrze głos: „Karnuk, karnuk, karnuk!”

— Będziecie mieli co jeść — rzekłem — i to niebawem!

— Co? Skąd? — zapytał niedowierzająco Selim.

— Słyszeliście w tej chwili głos karnuka, a gdzie on się znajduje, tam niezawodnie być musi i inne ptactwo. Chodźmy naprzód, ale bardzo ostrożnie.

Karnuk jest ptakiem z rodziny żurawi. Głos jego brzmi: „karnuk–nuk–nuk” i stąd pochodzi jego nazwa. Przypuszczałem, że w pobliżu znajduje się woda stojąca, a więc i ptactwo błotne być tam musi.

I istotnie natrafiliśmy niebawem na wolną przestrzeń między dwoma ścianami lasu, stykającymi się z sobą pod kątem prostym. Na tej przestrzeni znajdowało się nieduże błotniste jezioro, którego brzegi zarośnięte trzcina, sięgały aż po las. Zdjąłem karabin z ramienia, by skradając się po cichu nad brzeg, upolować jakiegoś ptaka.

— Czy i ja mogę pójść z tobą, effendi? — zapytał Ben Nil. — Wiesz, że wcale nieźle strzelam.

— Dobrze, chodź!

— I ja pójdę! — dorzucił Selim. — Przed moimi kulami drży wszelka zwierzyna.

— I ucieka, nie postrzelona... Nie, Selimie, zostaniesz tutaj, na krawędzi lasu. Tylko pamiętaj! Nie ruszaj się z miejsca, abyśmy potem nie tracili czasu na szukanie ciebie. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem, effendi. Będę tu stał, jak mur. Masz zresztą moje przyrzeczenie, że każdy twój rozkaz wypełnię co do joty. Tylko spraw się dzielnie i przynieś coś do zjedzenia.

Obaj z Ben Nilem poszliśmy ostrożnie, okrążając naokoło bagno, aż niemal na drugą jego stronę, skąd przez lukę w zaroślach trzcinowych otwierał się widok na wodę. I istotnie spostrzegliśmy na wodzie dwa wspaniałe żurawie, że jednak były stare i do jedzenia nieprzydatne, dałem im spokój, skradając się dalej, gdzie bujała na fali para młodych dzikich gęsi. Sudańczycy nazywają te rośliny, tłuste ptaki *zikzakami*, a to dlatego, że wydają one głos „zik–zak”.

Gdyśmy się chyłkiem zbliżali w ich kierunku, nagle żurawie, które były od nas dość daleko, zerwały się i pofrunęły ponad jezioro, a następnie ponad naszymi głowami.

— Co to? — spytałem po cichu Ben Nila, zatrzymując się wśród trzciny. — Ktoś wypłoszył żurawie? Kto by to był, u licha?

— Może spostrzegły nas i zlekły się.

— W takim razie uciekałyby w przeciwną stronę, nie zaś ku nam.

— Ach, wiem! Zapewne wypłoszył je Selim.

— Możliwe i to. Chodźmy dalej!

W kilka minut później znaleźliśmy się w niewielkiej odległości od dzikich gęsi i, stanawszy za krzakiem, wycelowaliśmy broń — Ben Nil w jedną, ja zaś w drugą sztukę. Strzały padły prawie jednocześnie, a były obydwie celne. Końcem lufy przyciągnąłem natychmiast zdobycz do brzegu, a Ben Nil zauważył z widoczną radością:

— No, nareszcie będzie co jeść i Selim przestanie nas nudzić.

Zabrawszy ptaki, skierowaliśmy się z powrotem naokoło zatoki do miejsca, gdzie czekał Selim. Jakież jednak było nasze zdziwienie, gdy, podszedłszy bliżej, nie znaleźliśmy go. Ben Nil odezwał się:

— Mimo przyrzeczenia, nie usiedział drągal i poszedł ku zatoce, by płoszyć nam zdobycz.

Było to zupełnie możliwe i prawdopodobne, wobec czego szukałem śladów wiodących do zatoki, ale na próżno — widocznie nie poszedł w tym kierunku. Natomiast uwagę moją zwróciły powyginane gałązki w pobliskich krzakach.

— Poszedł do lasu — zauważyłem — ale po co? Dziwi mnie zresztą, że był tak odważny...

Ledwie wypowiedziałem te słowa, gdy natychmiast otrzymałem odpowiedź jak najmniej, a raczej wcale niespodziewaną. Oto z krzaków wybiegło naraz kilku ludzi z podniesionymi kolbami... Chciałem się cofnąć; niestety, było za późno. Jedno uderzenie, a rozciągnąłem się jak długi na ziemi, tracąc od razu przytomność.

Ocknąwszy się po jakimś czasie, spostrzegłem, jak przez mgłę, siedzące obok jakieś postacie. Głowa bolała mnie okropnie. Odruchowo chciałem sięgnąć ku niej ręką, byłem jednak skrępowanym, jak tyle już razy w życiu. Dziwię się dziś jeszcze, że biedna moja głowa wytrzymała tyle ciosów w ciągu rozmaitych przygód.

— Pies ma oczy otwarte — odezwał się ktoś tuż koło mnie — a zatem żyje, co mnie na prawdę cieszy.

Głos ten wydał mi się przytłumionym, jakby pochodził zza ściany; pomimo to stwierdziłem, że nie był mi obcy... Usiłowania moje, aby przypomnieć sobie, gdzie i kiedy go słyszałem okazały się daremnymi; zmysły wskutek potężnego uderzenia kolbą w głowę miałem w połowie sparaliżowane.

— Gdybyście byli go uśmiercili — , brzmiał znowu ten sam głos — byłaby to niepowetowana szkoda... No, ale na szczęście żyje i nareszcie będę miał przyjemność sprawić mu taką śmierć, na jaką tyle razy zasłużył; uprzyjemnię mu odpowiednio ostatnie chwile. Zawsze mi się wymykał, ale tym razem niedoczekanie jego!

Teraz dopiero poznałem, kto był autorem tych... czułych słów...

Ibn Asl! W jego to ręce wpadłem!

Zamknąłem oczy natychmiast, i to nie z trwogi lub grozy, lecz dlatego, by mieć przez pewien czas spokój dla odzyskania równowagi nadwerężonych zmysłów i zebrania myśli. Niestety, skoro zamknąłem oczy, opanowało mnie na nowo ciężkie odrętwienie czy sen, sam dobrze nie wiem. Zbudziwszy się powtórnie, uczułem jeszcze okropniejszy ból w głowie, ale natomiast wróciła mi pewność siebie i spokój wewnętrzny, jak gdyby się nic szczególnego ze mną nie stało.

Odchyliłem powieki ostrożnie, aby rozejrzeć się ukradkiem w sytuacji. Był jeszcze dzień. Leżałem na skraju lasu, w tym samym miejscu, gdzie mnie obezwładniono. Obok mnie z prawej strony leżał na ziemi Ben Nil, z lewej Selim, obaj skrępowani jak barany. Naprzeciw siedział Ibn Asl, ani na chwilę nie spuszczał ze mnie oczu; poza nim biwakowali w zbitej grupie biali łowcy niewolników, a w pewnym oddaleniu znajdowali się Djangowie. Jedni z nich odpoczywali w trawie, a inni siodłali woły, z których znaczna część przeznaczona była do dźwigania powrozów, kajdanów i jarzma dla niewolników. Narzędzi tych miał Ibn Asl pod dostatkiem.

— Otwórz no, psie, parszywe powieki! — krzyknął z wściekłością rabuś. — Sądzisz, żeś ślepy i nie widzisz, co robisz?

Nie chcąc dawać mu sposobności do dalszego znieważania mnie, otwarłem oczy i ujrzałem w ręku łotra zamaszty bykowiec, zrobiony ze skóry hipopotama.

— Allah wysłuchał nareszcie moich modłów — rzekł, uderzając mnie bykowcem — i mam cię psie, mam, a nie puszcę, aż zdechniesz! Ale zanim zdechniesz, czy wiesz, co cię czeka?

— Wiem — odparłem spokojnie, — wolność!

— Co? Drwisz jeszcze? — krzyknął, uderzając mnie po raz drugi tak, że długo potem czułem na ciele bolesną pręgę. — Mówiłem ci już kilkakrotnie, co cię czeka z mej ręki... Niestety, potrafiłeś uciec. Teraz nie łudź się! Na zadatek tych przyjemności obetnę ci powieki, abyś nie mógł pokrzepić się snem i konał powoli, ale długo... o, bardzo długo...

— Zdaje mi się, że ty zginiesz wcześniej, a dusza twoja powędruje na wieczne męki, takie same, jakimi grozisz mnie w tej chwili.

Odważyłem się na wypowiedzenie tej groźby, bo jakiś tajemny głos wewnętrzny mówił mi, że i tym razem ujdę szczęśliwie z rąk łotra. W ogóle, jak zawsze, tak i teraz nie rozpaczalem, pokładając niepłonną nadzieję w Bogu, a poza tym we własnej bystrości umysłu i sile organizmu. Wiedziałem też doskonale, że łotr nie zechce mnie okaleczyć teraz, bo przeszkadzałoby to w marszu, a zamiarem jego było maltretowanie mnie przez czas dłuższy!

— Psie! — krzyknął rozjuszony — gdybym tylko jedno powiedział słowo, wiłbyś się teraz w śmiertelnych podrygach. Ale nie mam na to ani czasu, ani ochoty. Przede wszystkim sprawię ci jedno przyjemne widowisko, a mianowicie będziesz naocznym świadkiem rozpacz i nieszczęścia tych, za

którymi tak zawzięcie obstajesz. Ich ból będzie twoim bólem... A co do groźby, jakobym ja miał zginąć, to nie łudź się. Wiem dobrze, w czym pokładasz nadzieję, ale to ci się wcale nie uda.

— Nic nie wiesz, nic! — drażniłem go umyślnie, by dokończył to, co zaczął.

— Ależ wiem — odparł szyderczo. — Schwytałeś mego posłańca, szejka Djangów, i od niego dowiedziałeś się o moich planach. Zdobyliście moją seribę, a następnie razem z Borami przybyliście przez zatokę Semkat do Goków, by ich ostrzec przede mną.

— Śniło ci się! — przerwałem mu, naumyślnie zaprzeczając, by mówił dalej.

— Wcale nie śnię i wiem, co mówię. Twój mądry Selim opowiedział mi wszystko dokładnie. Poróżniłeś się z resem effendiną i dlatego opuściłeś Wagundę, zamierzając na własną rękę zdobyć pomoc w Fogudzie. No, ale na szczęście pośpieszyłem się i przybyłem tu o wiele wcześniej, niż obliczałeś. Dowiedz się więc, że mam zamiar zniszczyć nie tylko samą Wagundę, ale i Fogudę. W tym celu ukryliśmy się tu, w lesie, ja zaś pojechałem naprzód na zwiady, gdy nagle spostrzegłem was nad zatoką, no, i tego dzielnego Selima, który ani myślał o ucieczce, choć mogła mu się doskonale udać, bo ma nogi, jak maszty okrętowe, a spostrzegł nas już z daleka; chłop zdębiał po prostu i nie ruszył się. Jeżeli wszyscy wasi wojownicy są tak mądrzy, jak on, to mi nietrudno będzie uporać się z nimi. Twój Selim, schwytany nagle, wyśpiewał mi wszystko, jak ptaszek, no i wystarczy te chyba, abyś był pewny, że wiem wszystko. Teraz ruszymy na Fogudę, aby ci dać sposobność przypatrzenia się polowaniu na niewolników; a to, co zobaczysz, niech będzie dla ciebie wstępem do powolnej... śmierci.

Wstał i dał ręką znak swoim ludziom do wymarszu. Ponieważ w tej chwili wszyscy byli zajęci i nie uważali na nas, zwróciłem się do Selima i zapytałem szeptem:

— Czemuś nie uciekał?

— Uciekał? Przecież ty sam zakazałeś mi ruszać się z miejsca, a ja dałem ci słowo, że będę spełniał twoje rozkazy co do joty.

— Ośle kwadratowy! Zrobiłeś znowu głupstwo. Gdybyś przybiegł do nas na drugą stronę zatoki, nie my bylibyśmy w jego łapach, ale on byłby w tej chwili naszym jeńcem.

— Ja, widzisz, może uciekałbym, ale nogi uginały się okropnie... trząsałem się cały...

— Należy teraz te twoje nogi poucinać i wrzucić do zatoki... A po jakiego licha wygadałeś się przed nim tak szczegółowo?

— Mógł mi przecie zagrozić śmiercią...

— Jesteś idiota! Jeżeli cię nie wyratuję z tych opałów, to będziesz powieszony, mimo przezacnych twoich zeznań!



— Czy jednak, mój najdroższy effendi, możliwe to jest, abyś mnie ocalił?...

— Ja nigdy nie tracę nadziei... Módl się do Allacha, aby... Zamilkłem, bo właśnie w tej chwili zbliżało się ku nam kilku asakerów, aby nas zabrać w drogę. Ibn Asl w ogóle tak się urządził, aby Djangowie nie zetknęli się ze mną, bo się oczywiście obawiał, abym im nie powiedział, że ich szejek przeszedł na naszą stronę.

Kazano mi wstać i włożono na kark tak zwaną szebah. Są to ciężkie drewniane widły, które zakładają niewolnikom na karki, przymocowując z przodu w poprzek drąg, tak, że uwięziony w ten sposób człowiek znajduje się jak w jarzmie. Dla mnie wyszukano najcięższe z tych narzędzi, lecz widocznie i to nie zadowoliło Ibn Asla, bo kazał mi założyć na ręce kajdany z krótkim łańcuchem. Moim towarzyszom dano tylko szebah na szyję, łańcucha zaś im oszczędzono.

Podczas nakładania okowów starałem się przez wyprężenie mięśni pogrubić rękę, czego obaj zajmujący się mną nie spostrzegli, zakładając mi obrączki o wiele przestronniejsze, niżby były stosowne, gdybym się nie był uciekł do podstęp. To zostawiło mi bodaj iskierkę nadziei.

Wyruszyliśmy. Pewna część zdolnych szybkobiegaczy została wysłana naprzód jako służba wywiadowcza. Za nimi maszerował oddział Djangów, dalej Ibn Asl z białymi asakerami, a na samym końcu reszta Djangów. Przeważna część tych ludzi jechała na wołach. Dwoje jucznych zwierząt dźwigało namiot Ibn Asla.

Do mojej szebah przymocowany był spleciony w kilkoro rzemień, drugim końcem uwiązany do siodła Ibn Asla. W ten sposób zmuszony byłem wlec się za swoim wrogiem, jak dawni brańcy polscy na arkanie za Tatarami w jasyr. Ben Nil i Selim szli tak samo uwiązani do sodeł dwu asakerów.

Byłem przekonany, że gdyby tylko Djangowie dowiedzieli się, jak się ma rzecz cała, z pewnością nie byłiby tak usłużni dla obecnego swego przywódcy i dobrze by się namyślili, co robić. Postanowiłem tedy przy najbliższej sposobności ostrzec ich przed Ibn Aslem, mimo niebezpieczeństwa, jakie mi w tym wypadku groziło.

Ale jak to uczynić, skoro nie znam ich języka? Zebrałem w pamięci cały, bardzo szczupły niestety, zapas wyrazów i ułożyłem je w odpowiednie zdania, aby przy sposobności zrobić z tego użytek.

Ciągnęliśmy już z godzinę przez otwarty teren, gdy na horyzoncie zamajaczył znowu las, skąd powrócił jeden z wywiadowców z jakąś wiadomością do komendanta Djangów. Ten ostatni zwrócił się natychmiast do Ibn Asla i mówił coś w języku Djangów, którym, jak się okazało, Ibn Asl władał doskonale.

Kiedy Djangczyk wracał do swego oddziału, zawołałem do niego:

— *Ibn Asl anacz ren badd ginu szejk kador, szejk and wird afod ran.*

Słowa te w języku Djangów i Nuerów oznaczały mniej więcej: „Ibn Asl to wyrafinowany łotr.

Chciał on zamordować twego szejka. Szejk jest teraz u nas, jako nasz przyjaciel.” Więcej mówić nie mogłem, bo Ibn Asl pociągnął za ramię z taką siłą, że upadłem na ziemię.

— Milcz, psie! — krzyknął, pieniąc się z wściekłości — bo ci gębę posiekam.

Uderzył mnie bykowcem po głowie, po czym wydał Djangczykowi rozkaz natychmiastowego oddalenia się.

Djangczyk usłuchał go z wielką uniżonością, co świadczyło, że słów moich wcale nie wziął pod rozwagę, gdyż w przeciwnym razie byłby okazał bodaj cień niechęci dla opryszka.

— Jeżeli tylko raz jeszcze zaczepisz swą mową Djangów — wybuchnął gniewnie Ibn Asl ku mnie — to otrzymasz knebel!

Łotr nie żartował wcale, wobec czego postanowiłem nie drażnić go, bo knebel w czasie marszu to bardzo niepożądana przyjemność.

Wieczór się zbliżał, gdyśmy weszli do wspomnianego lasu, w którym z powodu gęstego zadrzewienia panował już mrok. Przedzieraliśmy się przez gąszcze przeszło pół godziny, aż znaleźliśmy się znowu na otwartej przestrzeni. Robiło się już ciemno, a oddział nasz mimo to maszerował dalej i dopiero około godziny ósmej zatrzymał się, bo i strażę przednie znaleźliśmy już w trakcie spoczynku. Wnioskowałem stąd, że jesteśmy niedaleko Fogudy — celu napastniczych planów Ibn Asla.

Mimo zmroku, spostrzegłem, że oddział nasz umieścił się wśród krzaków i rozpoczął przygotowania do napadu.

Nas, jeńców, odwiązano od siodeł, a natomiast skrępowano nam nogi, wskutek czego musieliśmy się położyć na ziemi; z powodu nieszczęsnej *szebah* było to dla nas istną męczarnią. Trzej asakerzy usadowili się koło nas na warcie.

Łowcy niewolników podczas obozowania zachowywali się bardzo cicho. Przywiązano woły do krzaków lub do palików wbitych w ziemię, przygotowano powrozy, kajdany i łańcuchy, a ognia tym razem Ibn Asl wcale nie zapalił, z czego się domyśliłem, że napad na biednych, bezbronnych czarnych ma nastąpić wkrótce.

Wyteżyłem mózg, wysilając się na wymyślenie dla nich jakiegoś sposobu ratunku, a przynajmniej ostrzeżenia ich przed grożącym niebezpieczeństwem. Udać się do wsi oczywiście nie mogłem; ale gdyby choć ostrzec ich, zaalarmowawszy głosem. Na razie postanowiłem w tym celu krzyknąć. Ale w ten sposób postawiłbym na jedną kartę własne życie... Własne życie?... Hm... może je poświęcić... Co znaczy śmierć jednego człowieka wobec rzezi setek ludzi? Pytanie tylko, czy przedsięwzięcie moje odniosłoby jakikolwiek skutek. A z drugiej strony — czy wolno mi narażać życie tutaj dla mieszkańców Fogudy, podczas gdy przydać się ono może potem dla Wągundy i oddziału reisa effendiny?

Była to okropna dla mnie chwila, bo nie wiedziałem, co ostatecznie wybrać, a w dodatku byłem

obezwładniony i niezdolny do żadnego czynu.

Niebawem Djangowie wyruszyli naprzód, a w pewnym oddaleniu za nimi biali asakerzy. Na miejscu pozostali tylko trzech nasi dozorczy i kilku innych dla strzeżenia wołów.

Czas nagiął do zdecydowania się, co czynić. Gdybym miał wolną bodaj jedną rękę! Niestety, wysiłki w celu uwolnienia się były bezowocne, bo ręce z powodu upału i nacisku żelaza spuchły. W kwadrans po odejściu pierwszego oddziału niepokój mój wzrósł do najwyższego stopnia. Nie mogłem już dalej wytrzymać i postanowiłem krzyczeć — krzyczeć tak głośno, by zagrożeni czarni usłyszeli mnie. Przyłożyłem tedy ręce do ust na kształt trąby, nabrałem w pierś powietrza i wydałem z siebie tak przeraźliwy wrzask, że wśród stworzeń leśnych powstał istny popłoch. Powtórzyłem to kilka razy — i zdziwiło mnie zachowanie się strażników, którzy ani drgnęli, nie zapobiegając nawet powtórzeniu się mych krzyków.

Po chwili dopiero jeden z nich wybuchnął szyderczym śmiechem:

— Sądziłeś, głupcze, że Ibn Asl nie przewidział tego, co zechcesz uczynić? On ciebie zna doskonale i wiedział z góry, że spróbujesz tej sztuki. Aby to zaś uniemożliwić, zostawił cię tutaj. Do wsi będzie godzina drogi; krzycz więc, jeżeli ci to sprawia przyjemność, a dodam jeszcze, że to już ostatnia w twoim życiu przyjemność.

Ubodły mnie te kpiny, ale też kontent byłem, że krok mój nie pociągnął za sobą przykrych dla mnie następstw. Foguda nie mogła być uratowaną, ale przynajmniej na wszelki wypadek spełniłem swój obowiązek i mając czyste sumienie mogłem bodaj trochę się uspokoić, oczywiście jednak nie co do smutnego losu czarnych, którym w tej chwili groziła straszna katastrofa.

Upływały kwadranse... godziny... Po gwiazdach mogłem wnioskować, że było około jedenastej, gdy „w stronie południowej ukazała się na niebie łuna pożaru.

— *Hamdulillah!* Już! — zauważył jeden z naszych dozorców — zaczęło się wykurzanie szczurów!

— Spalicie ich? — zapytałem, drżąc z przerażenia.

— Eee! — zaśmiał się — widocznie nie masz pojęcia o połowie niewolników.

— Nie jestem przecież łowcą...

— W takim razie opowiem ci, jak się to odbywa.

— Milcz! Nie chcę o tym słyszeć!

— Hola! Któż to ci dał prawo rozkazywania mnie? Otóż, mimo twego sprzeciwu, nie będę milczał; mówić będę, co mi się podoba, a podoba mi się właśnie dręczyć cię opowiadaniem, jak to się żywcem smaży niewolników.

Nie dałem na to odpowiedzi, a łowca ciągnął dalej:

— Wiadomo ci, że wioski murzyńskie w tych okolicach obwiedzione są częstokołami. Ogrodzenie takie jest zazwyczaj bardzo suche i dlatego pali się doskonale. Otóż łowcy, opasawszy wieś naokoło, zapalają w kilku miejscach ów parkan, który w przeciągu kilku minut staje cały w płomieniach. Stąd pożar przenosi się niebawem na dachy chat zbudowanych z trzciny. Czarni, zbudzeni nagle ze snu, szukają ratunku w ucieczce, oczywiście nie wszyscy, bo starcy i dzieci nie mają sił ku temu i muszą się spalić. Młodzi zaś i silni, a tacy właśnie dla nas stanowią pożądany towar, w kilku skokach przedzierają się przez płonące ogrodzenie i tu, na zewnątrz wioski, nie widząc nic w ciemności, gdyż wzrok mają przytępiony światłem płomieni, wpadają z łatwością w ręce łowców. Wiąże się ich i sprawa skończona. Gdyby zaś który stawiał opór, to go w łeb, aby już nie wstał z ziemi.

— Milcz! — przerwał mu Ben Nil. — Jesteście diabłami a nie ludźmi!

— Dobrze mówisz — zaśmiał się opowiadający — wy sami przekonacie się niebawem, że jesteśmy diabłami, tylko, że was czeka o wiele ciekawszy los niż tych czarnych, którzy znajdują śmierć od pchnięcia nożem albo wśród płomieni. Co do złowionych niewolników powinni oni raczej cieszyć się, że odtąd troszczyć się o nich będą ich właściciele dając im jeść i utrzymując swoim kosztem; przynajmniej nie potrzebują już dbać o siebie i starać się o pożywienie.

— Czy to prawda, że niektórych rzucają w ogień? — spytał Ben Nil.

— Rozumie się — odparł dozorca cynicznie — szyderczym tonem. — Baby i dzieci, które zdołały się uratować, pędzimy potem hurmą w ogień i kwita. Dzieci poniżej pięciu lat i dorośli powyżej trzydziestu nie są nam potrzebni, bo nikt takich kupować nie chce. Co z nimi robić? Strzelać? Szkoda prochu! Lepiej niech się spalą...

W ten sposób drab opowiadał bez ustanku, a ja nie miałem sposobu zmusić go do milczenia. W południowej stronie luna coraz się rozszerzała, aż wreszcie stało się widno i tutaj, wśród nas, jak o świcie. Płonęła już cała wieś, która, jak sądziłem z rozmiarów ognia, była zapewne bardzo wielka.

Północ minęła już dawno, gdy przybyli dwaj asakerzy z rozkazem do naszych strażników:

— Ibn Asl chce tym przeklętym psom pokazać jak znakomity ma połów. Prowadźcie ich do Fogudy.

Na ten rozkaz uwolniono nam nogi z więzów i pociągnięto za sobą. Luna poczęła już przygasać, ale mimo to było widno na tyle, że rozeznałem dobrze okolicę. Minąwszy krzaki weszliśmy na wolną, uprawną przestrzeń, której plony miały zmarnować się, bo nie było już komu myśleć o nich. Po trzech może kwadransach zbliżyliśmy się do wsi, a właściwie do wielkich kup popiołu dymiących jak spokojne wulkany. Łowcy niewolników rozłożyli na zewnątrz pogorzelska wielkie ogniska i zgromadzili tu łup, składający się z mnóstwa ludzi i zwierząt. Murzyni bowiem trzymają zazwyczaj swój dobytek na wolnym miejscu poza wsią, wobec czego bydło dostaje się bez trudności w ręce łupieżców, a przedstawia ono dla łowców dużą wartość; dobrze odżywiona sztuka ceniona jest bardziej, niż najroślejszy Murzyn.

Półów Ibn Asla był wcale niezły; bydła rogatego spędzono więcej niż sto sztuk, owiec zaś cztery razy tyle.

A ludzie? Gdybym w tej chwili miał wolne ręce Ibn Asl musiałby paść trupem na miejscu. Wprawdzie nieskory jestem do przelewania krwi ludzkiej, ale w owej chwili, gdy patrzyłem na dzieło strasznej zbrodni, byłbym bez wahania udusił łotra.

Pomiędzy dwoma ogniskami leżeli nieszczęśliwi, którzy tak niedawno jeszcze odpoczywali w swych chatach, nie przeczuwając smutnego losu jaki ich spotka! Poukładano ich, jak snopy na klepisku, jednego obok drugiego — osobno mężczyzn, a osobno kobiety i dzieci. Pomiędzy rzędami przechadzali się tam i z powrotem asakerzy wywijając w powietrzu skórzanymi batogami. Jeńcy byli powiązani, gdy jednak któryś z nich poruszył się tylko, otrzymywał natychmiast w nagie oczywiście ciało uderzenie tak silne, że krew tryskała strumieniem. Nie mogłem patrzeć na to i odwróciłem się; to samo uczynił Ben Nil i Selim.

Ibn Asl zajęty był grupą dzieci, szacując je i wybierając co roślejsze a zdrowsze. Spostrzegłszy, że odwróciliśmy się od widoku jeńców, przybiegł ku nam, wskazał sterczące z ziemi pale, które służyły do przywiązywania bydła, i rzekł:

— Widzę, że psy nie chcą patrzeć na moje dzieło i odwracają się. Przywiązać ich więc do tych palów w ten sposób, by mieli przed sobą szeregi jeńców, a jeżeli zechcą zamykać oczy, to nie żałujcie batoga, dopóki ich nie otworzą!

Rozkaz ten wykonano natychmiast przywiązując nas do wspomnianych pali. Po prawej mojej stronie dymiło rumowisko spalonej wsi; widziałem tu wyraźnie wśród zgliszczy dużą ilość na pół zwęglonych ciał ludzkich... Na lewo ode mnie garnęła się do kupy wylękniona trzoda, której Djangowie pilnie strzegli. Wprost leżały szeregi niewolników jęczących jak potępieńcy, a wśród nich uwijali się asakerzy, niby...

Ibn Asl ukończył przegląd spędzonej dziatwy. Jednostki zdolne do transportu i przedstawiające jakąkolwiek wartość pozostawiono w spokoju, a inne, które uznane zostały przez niego za niezdatne odrzucono powiązane na bok, jak drewno lub kamienie...

Nie mogłem wiedzieć jeszcze, co łotr zrobi z tym „wysortowanym towarem”. Przypuszczałem nawet, że uwolni maleństwa z pęt i puści na cztery wiatry. Niestety, złudne to było mniemanie! W tej chwili bowiem Ibn Asl wydał jakiś rozkaz swoim ludziom, którzy, ku mojemu przerażeniu dobyli noży... Domyśliłem się, co ma nastąpić; ryknąłem na ten widok tak strasznym głosem, jakiego jeszcze nigdy w życiu pierś moja nie wydała i zamknąłem oczy. Atoli... uderzenia batem zmusiły mnie do ponownego ich otwarcia. Lecz było już po wszystkim; z gromady dziatwy nie żyło już ani jedno, mordercy zaś obcierali ociekające krwią noże...

Rodzice pomordowanych podczas tej sceny wydawali z siebie głosy nadludzkiej iście rozpacz, szamocąc się gwałtownie, by uwolnić się ze swych więzów i biec na ratunek niewinnym dzieciom, a w rezultacie spotkały ich potężne uderzenia batogów tak, że krew oblewała ich ciała...

Nieszczęśliwi!...

Bardziej nieszczęśliwi jednak byli ci, którzy batogami uspokoić się nie dali... Zakłuto ich wszystkich co do jednego.

Czułem w sobie ból nie do opisania. Drżałem na całym ciele — nie z trwogi, lecz z oburzenia na to niesłychane okrucieństwo. Czyniłem sobie gorzkie wyrzuty. Wszak zdarzała mi się już sposobność zgładzić tego łotra, a ja, naiwny, oszczędzałem go. Jakże mi teraz było żal tej mojej pobłażliwości! Dlaczego nie uśmierciłem draba, który nie powinien żyć wśród ludzi? — I przysięgałem teraz w duchu, że przy najbliższej sposobności postąpię zupełnie inaczej z potwornym mordercą dzieci.

Lecz okrucieństwom nie było jeszcze końca. Oto Ibn Asl rozpoczął z kolei przegląd jeńców dorosłych. Tu również zakłuwano na miejscu wszystkich uznanych przez niego za niezdatnych. Ścisnąłem zęby by nie wybuchnąć potokiem przekleństw i złorzeczeń, ale oczy miałem otwarte, jednak nie z obawy przed batem, ale żeby być już do końca świadkiem potwornej rzezi.

Skoro Ibn Asl uporał się ze swoją robotą, przyniesiono łańcuchy, okowy i opisane przeze mnie poprzednio jarzma czyli *szebah*. Jeńcy bowiem powiązani byli dotychczas prowizorycznie; teraz pozakuwano ich w łańcuchy, kajdany i owe *szebah* w ten sposób, że mogli leżeć tylko na jednym boku, a odwrócić się dopiero wówczas, gdyby w jednej chwili spróbowali uczynić to wszyscy razem. Zachowywali się ci biedacy teraz spokojnie, wiedząc, że opór pogorszyłby tylko ich straszne położenie.

Wreszcie Ibn Asl podszedł do mnie i drwiąc z szatańskim uśmiechem, zapytał:

— No, i jakże ci się podobało? Ładny połów? Nieprawdaż? Udał się wyśmienicie, no!

Stłumiłem w sobie przemocą wzburzenie i odrzekłem zupełnie spokojnie:

— O, połów zaiste wspaniały! Pozostawiłeś przy życiu co najmniej ze dwieście głów. Jeżeli w czasie transportu uśmiercisz z różnych powodów choćby czwartą część, to i tak pozostanie ci sto pięćdziesiąt do sprzedania. Do tego dodać należy trzodę. Naprawdę zazdrościsz ci...

Warto było widzieć minę łotra po tych moich słowach. W innej okoliczności byłbym mu parsknął śmiechem w nos — tak komiczną uczynił minę, posłyszawszy moją pochwałę, przy czym cofnął się krok.

— Ty mi zazdrościsz? Allah czyni cuda nad cudy! Widocznie wstąpiła w ciebie jakaś inna dusza!

— Bardzo dobrze wywnioskowałeś; wstąpił we mnie inny, nowy zupełnie duch i poznasz go niebawem.

— Czyżbyś miał chęć zostać łowcą?

— A tak. Istnieje pewien rodzaj ludzi, których chcę złowić i mam nadzieję, że mi się to uda.

— Cóż to za ludzie?

— Mógłbym nie powiedzieć ci prawdy, jednak, abyś mnie nie uważał za tchórza, pozbawionego zresztą jakiegokolwiek nadziei, zdradzę przed tobą tajemnicę... Otóż pragnę złowić przede wszystkim ciebie i twoich białych asakerów.

Ibn Asl wybuchnął głośnym śmiechem:

— Mnie i moich białych żołnierzy? A dlaczego i nie czarnych?

— Bo ci są obalamuceni przez ciebie i oszukani, wobec czego nie spotka ich ta kara, która oczekuje ciebie i twoich białych współników.

Łotr patrzył na mnie dłuższą chwilę świdrującym wzrokiem, następnie przystąpił bliżej, zbadał moje okowy bardzo dokładnie i przekonawszy się, że wszystko w porządku, rzekł:

— Omal nie uwierzyłem w tej chwili, że zdołałeś uwolnić się. No, ale na szczęście tak nie jest, wobec czego gotów jestem uwierzyć, że dostałeś nagle bzika...

— Ooo! Zmysły moje są zupełnie zdrowe — rzekłem — i świadom jestem tego, co mówię.

— Tak? No, ale ja ci pokażę, w jaki sposób ja podobne...

Zamilkł nagle i począł mi się znów przypatrywać przeszywającym wzrokiem, podczas gdy ja również bystro patrzyłem mu w oczy, nie poddając się bynajmniej. Ostatnie jego słowa wypowiedziane były w przystępie gniewu. Wydobył nawet nóż zza pasa, chcąc zapewne utopić go w mej piersi; ale się rozmyślił i zamiast tego uśmiechnął się szatańsko, chowając nóż na powrót:

— Mimo wszystko jeszcze nie czas! Nie zmusisz mnie do tego. Mam dosyć rozumu, by odgadnąć twoje zamiary...

— Ech, ku temu zbyteczny jest jakiś wyjątkowy rozum. Mam zamiar powiedzieć ci prawdę, nic więcej.

— No, no! Żebyś nie wiem jakich wykrętów używał, nie wywiedziesz mnie w pole. Uważasz się tym razem stanowczo za zgubionego i wiesz, że nie ujdiesz mej zemsty i że czekają cię takie męczarnie, jakich jeszcze nikt na świecie nie doznawał. Otóż, aby oszczędzić sobie tych męczarni i umrzeć prędko, lekką śmiercią, postanowiłeś drażnić mnie, sądząc, że w przystępie gniewu skończę z tobą od razu. Ale przeliczyłeś się. Utrzymam cię przy życiu, aż nie zniszczę Wagundy i nie pochwycę kochanego twego przyjaciela, reisa effendiny. Wiem, że się kochacie, więc przyjemniej wam będzie obydwu cierpieć razem.

Położył mi rękę na ramieniu, zaśmiał się znowu szatańsko i ciągnął dalej:

— Widzisz więc, że niełatwo podejść mnie podstępem i że ani Allah, ani szatan nie wyrwą cię już z mej mocy. Jesteś zgubiony! A jeżeli ci się roi, że reis effendina przybędzie na pomoc, przyjmij do wiadomości, że na Wagundę wyruszam jeszcze dzisiejszej nocy. Reis nie spodziewa się mnie jeszcze i dlatego zaskoczę go zupełnie nieprzygotowanego. Wy trzej otrzymacie teraz posiłek, ale bynajmniej nie z litości, lecz dla dodania wam sił do uciążliwego marszu.

I odwrócił się, by wydać odpowiednie rozkazy. Ja zaś czułem się bardzo zadowolony z tego, co mi powiedział. Byłem mianowicie pewny, że nie zabije mnie jeszcze, ani też nie zechce na razie wyrządzić nam krzywdy.

Dano nam następnie się po kawałku mięsa i trochę wody. Mięso wkładano nam pokrajane do ust, jakbyśmy byli zwierzętami do utuczenia. Gdy najedliśmy się do syta, podwiązywano nas od palów i w asyście trzech strażników odprowadzono na bok, abyśmy się pokładli na odpoczynek.

Położyłem się, odwrócony plecami do miejsca, które było widownią strasznego mordy, aby o tym nie myśleć. Nie rozmawiałem też z towarzyszami niedoli, gdyż wiedziałem, że czekały nas za to cięgi. I oni byli widocznie tego samego zdania, bo nie zdradzali ochoty do rozmowy.

Odpoczynek nasz jednak nie trwał długo, bo zaledwie się trochę zdrzemnąłem, gdy zaczęto się przygotowywać do wymarszu. Pobudzono też niebawem schwytych niewolników i popędzono naprzód długim łańcuchem. Za nimi poganiacze gnali zbitą w kupę trzodę. Nas trzech prowadzili asakerzy pod osobistym nadzorem Ibn Asla.

W miejscu, gdzie pozostawione były woły wierzchowe, zatrzymaliśmy się na krótko. Ibn Asl kazał przyprowadzić osiodłane woły i odezwał się:

— Ben Nil i Selim nie umieją dobrze jeździć. Jeżeli nie zdejmę im *szebah*, gotowi mi paść po drodze, że jednak bardzo ich lubię i pragnę zachować przy zdrowiu, więc ułatwię im jazdę przez zdjęcie tych widel z karku. Ty jednak, effendi, czujesz się w siodle, jak we własnym domu i wobec tego pozostawię ci tę miłą drewnianą ozdobę. Mam nadzieję, że będziesz mi wdzięczny za ten dowód wyróżnienia z mej strony...

Słowa te, wypowiedziane z bezlitosnym szyderstwem, świadczyły, że czeka mnie bardzo uciążliwa podróż. Mimo to poddałem się losowi ze spokojem i rezygnacją. Jedyłą nadzieję pokładałem... w wodzie. Zaraz to wytłumaczę.

Kiedy zakładano mi po raz pierwszy okowy na ręce sądziłem, że zdołam uporać się z tym żelastwem w sposób najprostszy, to jest wyjmę ręce, chociażbym nawet miał się pozbyć kawałka skóry. Nie wziąłem jednak w rachubę tutejszych warunków klimatycznych. Pociłem się przecież, a ręce były ustawicznie wilgotne i obrzmiałe, gdybym tedy chciał koniecznie uwolnić je z żelaza, należałoby wymoczyć je w zimnej wodzie. Woda więc w tym wypadku była jedynym środkiem ratunku dla mnie.

Ben Nila i Selima uwolniono od ciężkich drążków i przywiązano ich do siodel. Również i mnie przywiązano. Z początku prowadzono zwierzęta wśród krzaków z wielką ostrożnością; potem wjechaliśmy na otwartą przestrzeń, gdzie zgromadził się już cały oddział i szykował do dłuższej drogi. Wpierw wyprawiono dwu drabów, którzy, jak się później przekonałem, znali drogę dokładnie. Za nimi w pewnym oddaleniu jechała grupa, złożona mniej więcej z dziesięciu białych asakerów, a dalej Ibn Asl. Do jego siodła uwiązani byliśmy wszyscy trzej w ten sposób, że ja i Ben Nil musieliśmy jechać obok siebie, mając na przodzie zwycięskiego wroga, Selim zaś włókł się za nami, również doskonale zabezpieczony. Z tego można było wnioskować, że Ibn Asl miał wcale niegłupie pomysły.

Dla mnie ta jazda była piekielną udręką. Ruchy miałem całkowicie uzależnione od ruchów rogatego wierzchowca, a kark gniotło mi ciężkie jarzmo, które musiałem ciągle podtrzymywać rękoma, i to rękoma prawie zupełnie zdrętwiałymi. Za każdym potknięciem się wołu Ibn Asla owa



nieszczęśliwa *szebah* boleśnie szarpała mną nie do zniesienia. Selim wcale nie umiał jechać wierzchem, więc zwierzę jego ciągle się kręciło to w tę, to w ową stronę i ciągnęło mnie, szarpiąc znowu w tył. Doprawdy, sam diabeł nie mógłby wymyślić gorszej dla mnie udręki.

Jeden tylko miałem sposób, aby sobie choć trochę ułatwić położenie, mianowicie — korzystając z elastyczności mięśni unosiłem się nieco. Czy jednak zdolny byłby zwykły śmiertelnik utrzymać kontakt z ruchami bydłęcia, gdy w dodatku miałby skrępowane na kształt mumii ręce i nogi?

Za Selimem jechała część białych asakerów, a za nimi dopiero reszta bandy.

Przekonałem się w krótkim czasie, że dla mnie wybrano najgorsze bydłę, nie nadające się nie tylko pod wierzch, ale nawet do przewożenia ciężarów. Czyniłem wszelkie możliwe wysiłki, by nim jakoś pokierować; niestety, Ibn Asl umyślnie szarpał rzemieniem, uwiązany do mej *szebah*, a z tyłu znowu asakerzy umyślnie popędzali Selima, by ruchy jego bydłęcia szarpały mną to w tę, to w ową stronę. Jechać w ten sposób nigdy mi się dotychczas nie zdarzyło i nie życzę sobie, aby mnie podobna przyjemność kiedykolwiek jeszcze w życiu spotkała.

Była może trzecia godzina po północy i gwiazdy przyświecały naszemu pochodowi jasnym światłem. Jechaliśmy ciągle wolną przestrzenią, wymijając o ile możliwości lasy i zarośla, prowadzeni przez dwóch przewodników, którzy doskonale znali teren, jakby to było w ich rodzinnej okolicy. Korzystałem z jedyne go dobrodziejstwa, jakie mi pozostawiono, mianowicie — z możliwości rozmawiania z Ben Nilem. Nikt się o to nie gniewał. Lecz i ta swoboda miała swą przyczynę w niesłychanym wyrafinowaniu Ibn Asla. Pozwalał on nam snuć głośno plany, abyśmy dręczyli się tym bardziej, że nie było dla nich nadziei powodzenia.

Nie mogłem w swoim jarzmie obejrzeć się w tył i obliczyć, ilu ludzi podążało za nami. Później dopiero, w czasie krótkiego odpoczynku naliczyłem trzydziestu białych asakerów i około stu Djangów. Resztę, około dwudziestu białych i pięćdziesięciu czarnych, odkomenderował Ibn Asl do transportowania niewolników i bydła, a sam puścił się naprzód z doborowymi wojownikami, by w jak najkrótszym czasie zaskoczyć niespodzianie Wagundę.

Ben Nil starał się uprzyjemnić mi okropne moje położenie, ale, będąc związany, nie mógł kierować zwierzęciem, jak należało, i trzymać się blisko mnie.

— Effendi — odezwał się półgłosem — tym razem już z nami koniec... nieprawdaż? A może żywisz jeszcze bodaj iskierkę nadziei?

— Iskierkę? Ależ ja nadziei nigdy nie tracę.

— Miło to brzmi, ale naprawdę obawiam się, że dla nas już ona nie istnieje.

— Dla mnie zaś ma wartość tak długo, dopóki żyję; a że w tej chwili żyję jeszcze, więc mi wolno pielęgnować w duszy tę najpiękniejszą z gwiazd, jaką Stwórca obdarzył ludzkość.

— A więzy, a kajdany, a *szebah*, będąca istnym wymysłem piekła?...

— Głupstwo wszystko! Nadzieja to grunt, rozumiesz? Zresztą nie mówmy o tym, bo mogliby nas

podśluchać, a przy tym... muszę mieć czas do obmyślenia czegoś. O jedno tylko się boję, abym nie złamał karku w czasie tej jazdy.

Obawa o złamanie karku bynajmniej nie była żartem, bo istotnie groziło mi podobne niebezpieczeństwo. Szarpano mnie z przodu, z tyłu i z boku, a to dawało się we znaki nie tylko mnie, lecz i wołowi. Gdyby zaś zwierzę straciło wreszcie cierpliwość i znarowiło się albo padło z udreki, to ja, będąc przymocowanym do niego i mając *szebah* na karku, już bym się nie pozbierał.

Nad ranem zupełnie zdrętwiały mi ręce od ciągłego przytrzymywania drążka na karku, a i nóg nie czułem również z powodu silnego skrępowania. Gdy zaś nastał dzień, męczarnia moja jeszcze się powiększyła, bo teraz już nie wymijając lasów jechaliśmy na przełaj, byle najkrótszą drogą. Można sobie wyobrazić, co w tych okolicznościach przecierpiałem w lesie, gdzie każda gałąź szarpała mnie niemiłosiernie. Mimo to wytrzymałem jakoś do południa, gdy nareszcie Ibn Asl zarządził odpoczynek, bo woły były mocno pomęczone.

Pozdejmowano nas wszystkich trzech z siodeł i w tej chwili dopiero poczułem, że siły moje wyczerpały się niemal zupełnie. Nie mogłem ustać na nogach i runąłem na ziemię jak kloc.

— Czyżby naprawdę było aż tak źle z tobą? — śmiał się Ibn Asl — czy może jeszcze i teraz zechcesz się chełpić swą siłą?

— Nie chełpiłem się nigdy — odrzekłem — a jeżeli sądzisz, że cierpię, to muszę cię wyprowadzić z błędu. Nie cierpię, ale raczej cieszę się, że nie dociągniesz nas na czas do Wagundy.

— Dlaczego?

— Bo ja będę na przeszkodzie.

Odpowiedź ta zastanowiła go. Odwrócił się nic nie rzekłszy, z czego wnioskowałem, że będzie się ze mną obchodził jeszcze gorzej.

Ubranie na mnie było prawie całe zbroczone krwią, a mimo to po krótkiej chwili wypoczynku uczułem, że jednak nie jest ze mną tak źle, jak myślałem w pierwszej chwili. Skoro bowiem odpocząłem, sił nabrałem na nowo. Udałem jednak ogromnie wyczerpanego, żeby przez to uzyskać bodaj trochę ulgi.

I teraz dano nam posiłek, składający się z mięsa i wody, której w tym miejscu było pod dostatkiem.

Zauważyłem, że Ibn Asl miał ze sobą pewną liczbę wołów idących luzem; rezerwowano je, nie wiadomo w jakim celu. Wśród jucznych wołów dwa dźwigały na grzbietach namiot Ibn Asla, a trzeci niósł na sobie ładunek, z którego wystawały lufy naszych karabinów. Widocznie była tam również i reszta odebranego nam mienia.

Po dwugodzinnym odpoczynku udaliśmy się w dalszą podróż, przy czym ku wielkiemu memu zadowoleniu zdjęto mi nareszcie nieszczęsną *szebah* i nawet dano pod wierzch lepszego wołu. A zatem uwaga moja, że w dotychczasowych warunkach nie wytrzymam dalszej podróży, wywołała

należyty skutek. Byłem wprawdzie umocowany do siodła Ibn Asla i Selima, jak poprzednio, ale było to drobnostką w porównaniu z udręką, którą sprawiała mi *szebah*. Toteż gdyśmy się rozłożyli obozem na nocleg, uczułem się znacznie silniejszym i rześkim.

Obóz rozłożony był na krawędzi prerii. Woły puszczono na pastwisko, powierzając kilku ludziom ich dozorowanie. Dla Ibn Asla ustawiono namiot, ja zaś otrzymałem na nowo *szebah*. Na wieczerzę dano nam pod dostatkiem kaszy z durry, rozmoczonej w zimnej wodzie.

Aby zabezpieczyć obozowisko od komarów, zapalono ogień, przy którym między innymi miał spać Ben Nil i Selim, gdyż strażnikom było łatwiej przy świetle upilnować ich w nocy.

— Ciebie tu nie zostawię — rzekł do mnie Ibn Asl, gdy włożono mi na ręce okowy; — będziesz spał w moim namiocie, ażebym był zupełnie pewny, że nie uciekniesz.

Wpakowano mnie w głąb namiotu, związano nogi rzemieniem, a *szebah* przytwierdzono do palika, wskutek czego nawet ruszyć się nie mogłem. Obok mnie kazał sobie usłać legowisko z miękkich koców Ibn Asl a u wejścia postawiono naczynie z wodą na wypadek, gdyby mu się w nocy pić zachciało.

Woda, gdybym mógł sięgnąć do niej, miała dla mnie wielkie znaczenie w ułatwieniu mi ucieczki — niestety naczynie stało za daleko.

Ibn Asl układając się na swym posłaniu rzekł groźnie:

— Przestrzegam cię przed jakimkolwiek usiłowaniem wymknięcia się. Najmniejszy ruch z twojej strony nie ujdzie mojej uwagi, a zresztą spowodowałby poruszenie lub nawet przewrócenie się namiotu. Straż przy ognisku ma surowy rozkaz ani na chwilę nie spuszczać oka z namiotu.

Pocziwiec mówił prawdę. Ale, gdybym tylko mógł dostać naczynie z wodą, inaczej by się ta sprawa przedstawiała!

Zasunął otwór w namiocie ściągawszy płótna i zapanowała cisza. Ja również leżałem spokojnie rozważając w myśli najrozmaitsze plany ocalenia, z których niestety ani jeden nie był realny. Ucieczka w moich warunkach była bezwarunkowo wykluczoną, więc należało znowu zdobyć się i tym razem na cierpliwość.

Usnąć jednak nie mogłem, bo po pierwsze — pozycja moja była wręcz nie do zniesienia, a po wtóre — myśli nad znalezieniem możliwego sposobu ocalenia spędzały mi sen z powiek. Umysł mój wszelako nie zdobył się na żaden plan, głowa poczęła mi ciążyć i od czasu do czasu zdrzemnęło mi się, ale za każdym razem na bardzo krótko. Gdy strażnicy budzili nad ranem śpiących, uczułem się więcej osłabionym, niż wczoraj wieczorem, po dniu niewypowiedzianej męczarni.

O świcie uwolniono mnie z *szebah* oraz rzemieni i wyprowadzono z namiotu na śniadanie dając mi kaszy sporządzonej z durry w ten sam sposób, jak wczoraj. Po śniadaniu oprawcy posadzili mnie skępowanego na wołu i rozpoczęliśmy dalszy pochód. Spostrzegłem zaraz nieobecność jednego z przewodników, który, jak się później dowiedziałem, pojechał jeszcze w nocy na zwiady.

Położenie moje tego dnia było jednak wcale znośne, gdyż nie trapiła mnie *szebah* i można było kierować dowolnie bydłkiem. Ben Nil również nie skarżył się zbytnio, a tylko Selim jęczał i skomlał za mną bez ustanku. I nie dziw — niewygodą dawała się biedakowi dosyć we znaki, tym bardziej, że był to człowiek starszy wiekiem. Współczułem mu pomimo, że on właśnie był przyczyną wszystkiego złego, i od czasu do czasu uspokajałem go, jak mogłem.

— Milcz, effendi! — odpowiadał mi z widoczną niechęcią; — ty jeden winien jesteś, że spotkał mnie tak straszny los.

— Ja? Co znów pleciesz?

— A ty! Gdybyś został w Wagundzie, nie biegłbym za tobą. Teraz dzięki tobie członki mam bezwładne niczym kawałki drewna, a łez wylałem już tyle, że w ciągu roku deszczu tyle nie spadnie na ziemię. Ten wół, na którym siedzę, to moja śmierć męczeńska.

— A mnie się zdawało, że jesteś niezłym jeźdźcem.

— No, tak, jeźdźcem jestem nie tylko dobrym, ale i najwytrzymalszym pod słońcem. Oho! Potrafię ja okiełznać nawet najdzikszego rumaka. Ale... któż z porządnych ludzi ujeżdżał kiedy głupie, ordynarne bydła?

Nawet w tak opłakanych okolicznościach nasz blagier nie mógł się pozbyć chępliwości. Zresztą nie można się dziwić orientalnemu wygodnisiowi, że jazda na sudańskim byku była mu mniej przyjemną niż siedzenie na miękkim dywanie. Mnie się zdaje, że nawet wytrwały syn północy nie mógłby być innego zdania.

Minąwszy prerię, wjechaliśmy w las, który się stykał z bagnem. Okolica wydała mi się znajoma. Niebawem też znaleźliśmy się na obszernej polanie, która, jak się okazało, nie była mi obcą.

— Wiesz, effendi — odezwał się w samą porę Ben Nil — że myśmy tu już byli wczesnym rankiem drugiego dnia naszej podróży.

— Prawda; przypominam sobie.

— Dowodzi to, żeśmy jechali bardzo forsownie.

— Istotnie przebyliśmy w ciągu wczorajszego dnia spory kawał drogi. Ale to nie jest wyłączną przyczyną, że dziś znaleźliśmy się już tutaj; zawdzięczamy to doskonałym przewodnikom.

— To źle, bo drogę, którą przebyliśmy pieszo w trzy dni, odbędziemy w dwa. Jak więc sądzisz? Kiedy staniemy pod Wagundą?

— Prawdopodobnie już dzisiaj.

— Wobec tego nasi przyjaciele będą na pewno zgubieni, a oczywiście i my z nimi.

— No, żeby tak „na pewno”, tego bym nie powiedział. Jeszcze mogą zajść różne okoliczności.

Nie mieliśmy jednak powodów do nadziei. Jeżeli nie zblądzimy z najkrótszej drogi, to przypuszczalnie dziś jeszcze staniemy w Wagundzie, a skoro tylko czas na to pozwoli, Ibn Asl wykona atak bezzwłocznie, korzystając oczywiście z tego, że załoga w Wagundzie nie spodziewa się go jeszcze tak prędko i nie będzie przygotowana do odparcia napadu. Wprawdzie wieś była dobrze obwarowana, ale zaskoczywszy mieszkańców jej podczas snu, mógłby Ibn Asl odnieść triumf taki, jak w Fogudzie.

Chwila decydująca zbliżała się w szybkim tempie, a mnie opanowywała obawa, że jeżeli do wieczora nie wpadnę na jakąś zbawienną myśl, wszystko będzie stracone.

— Jak myślisz? — pytał mnie Ben Nil — czy reis effendina będzie czuwał obok swoich żołnierzy na forpocztach?

— Bardzo wątpię — odrzekłem.

— I ja tak samo. On wcale nie spodziewa się jeszcze Ibn Asla.

— Chociażby reis effendina był jak najbardziej ostrożny, to i w tym przypadku nie będzie z tego dla nas żadnej pociechy, bo gdyby Ibn Asl spostrzegł, że nie wygra i grozi mu ujęcie z pewnością zamordowałby nas wszystkich.

— Allah, to zupełnie możliwe!

— Stąd wniosek, że musimy się uwolnić zanim jeszcze przyjdzie do walki.

— A że to rzecz prawie niemożliwa więc możemy być pewni śmierci. Tak! Nie ujrzę już nikogo ze swej rodziny, a pociesza mnie tylko ta myśl, że będę miał zaszczyt umrzeć razem z tobą, kochany mój effendi.

— Ja jednak myślę, że będziesz żył długo i szczęśliwie, bo zasługujesz na to. Proszę cię więc, nie trać wiary w pomoc i łaskę Allacha.

Nie odrzekł na to nic i zamyślił się smutnie. Mnie również nie było lekko na sercu. Próbowałem kilkakrotnie cichaczem, czy nie da się rozerwać łańcucha na rękach, ale był to daremny trud. Zresztą samo uwolnienie się od łańcucha nie wystarczałoby tu, bo oprócz niego krępowały mnie jeszcze tęgic rzemienie, a broni nie posiadałem żadnej. Jednak silna wiara w możliwość ratunku nie opuszczała mnie ani na chwilę. Wyczekiwałem, czy nie zajdzie w drodze jakiś nieprzewidziany przypadek. Niestety słońce było już w zenicie, a w położeniu naszym nie zaszła żadna zmiana. Podczas południowego wypoczynku dano nam mięsa wędzonego, w które Ibn Asl był dostatecznie zaopatrzony, a około drugiej ruszyliśmy znowu w pośpiesznym tempie i po dwóch godzinach dotarliśmy do znanego mi dobrze miejsca między dwoma ramionami rzeki Toni, zaś o zachodzie słońca znaleźliśmy się u brodu, tego samego, gdzie projektowałem zasadzkę na Ibn Asla.

Połączyli się tu z nami, wychodząc z ukrycia, dwaj wywiadowcy, którzy jeszcze w nocy pojechali na zwiady. Stanąwszy przed Ibn Aslem szczegółowo zdali mu sprawę. Słyszałem oczywiście wszystko, bo stałem tuż za opryskiem, który wcale ze swoich planów nie czynił tajemnicy.

— No! — zapytał — jakże wam się powiodło?

— Wyśmienicie, panie! — odrzekł jeden z wywiadowców.

— Jak daleko stąd do wsi?

— Pieszko godzina drogi, wierzchem jednak znacznie mniej. Podśledzałem rozmowę dwu ludzi, znajdujących się w lesie po tamtej stronie brodu...

— Cóż to za ludzie? Czarni z Wagundy?

— Nie, panie, biali asakerzy reisa effendiny. Snadź wyszli na polowanie do lasu, a że nic im się nie trafiło, usiedli znużeni pod drzewem i rozmawiali.

— No, no? O czymże była mowa?

— O tobie, panie. Mogę to sobie poczytać za szczęście, że ich spotkał, no, i że... uszedłem cało, bo mogło być ze mną bardzo źle. Przebyłem właśnie bród i udałem się w las, by przywiązać w ukryciu wołu, a potem pieszo podkraść się pod samą wieś, gdy wtem o jakie dwa, trzy kroki spostrzegłem tych ludzi.

— I cóż dalej?

— Cofnąłem się ostrożnie, ukryłem wołu i podszedłem cichutko pod krzak, za którym siedzieli; rozmawiali głośno i swobodnie o tobie, a mianowicie cieszyli się, że nie przybędzie wcześniej niż za pięć dni.

— A więc nie poczyniono tam prawdopodobnie żadnych przygotowań do tej pory?

— Na razie obmyślili tylko sposób, w jaki mają cię przyjąć. Przede wszystkim wyślą kilku szpiegów, a przekonawszy się, że zmierzasz wprost na Wagundę, dopuszczą cię aż nad jezioro, które leży tuż u stóp wzgórza. Wówczas urządzą na ciebie gwałtowny atak z góry, by zepchnąć cię w jezioro.

— Wszystko to słyszałem już od Selima, naszego jeńca i nie jest to dla mnie nowiną. Kto dowodzi? Sam reis effendina?

— Tak, ale ludzie nie mają doń wielkiego zaufania. Asakerzy mówili, że effendi był im miłszy, a nawet Borowie cenią go więcej i bardziej mu ufają.

Tu Ibn Asl obrócił się do mnie i rzekł:

— Słyszałeś, effendi, jaką cieszysz się sławą? Przypuszczam, że okażesz się godnym zaufania, którym cię tak łaskawie obdarzają.

— Bądź pewny — odrzekłem spokojnie — że uczynię wszystko, co będzie w mej mocy i co będę uważał za odpowiednie.

— Ba, ale co do tej twojej mocy to ona nawet psu na uwięzi przydać się nie może — zaśmiał się jak zawsze z szatańską złośliwością, po czym zwrócił się znowu do wywiadowcy z pytaniem:

— Cóż słyszałeś więcej?

— W Wagundzie mniemają, że ci trzej, którzy są teraz naszymi jeńcami, udali się z powrotem tą samą drogą, którą przybyli w te okolice.

— Co? Więc nie wiedzą, że oni wybrali się do Fogudy?

— Nie domyślają się tego. O ile zrozumiałem z podsłuchanej rozmowy, effendi obraził się na reisa effendinę i porzuciwszy go raz na zawsze powędrował, jak przypuszczają, w kierunku Nilu.

— Wiadomość ta mnie cieszy. Czy rzeka u brodu bardzo głęboka?

— Nie, woda sięga bydlęciu zaledwie po tułów.

— Musimy się zaraz przeprawić na drugą stronę. Znalazłeś może w pobliżu miejsce, w którym moglibyśmy się dobrze ukryć?

— Owszem, wyszukałem znakomite zacisze do rozłożenia obozu; leży ono w połowie drogi stąd do Wagundy. Jeżeli nie rozniecimy ogni, to nikt nas tam nie podejdzie.

— A więc prowadź nas, ale szybko, abyśmy mieli choć trochę czasu na odpoczynek, bo około północy urządzimy napad.

— Pozwól mi, panie, zauważyć, że mieszkańcy wsi mają u siebie gości, mianowicie Borów i asakerów reisa effendiny, a wiadomo ci, że gdzie są goście, tam idzie się spać później, niż zwykle.

— Masz słuszość. W takich okolicznościach będą spali najtwardszym snem między północą a wschodem słońca, zaatakujemy wieś właśnie o tej porze. Później wyślę jeszcze kogoś na zwiady, a teraz naprzód!

Przebywszy bród, podążyliśmy prosto w kierunku wsi, a po upływie pół godziny, prowadzeni przez wywiadowcę, skręciliśmy w las. Drzewa tu były bardzo rozłożyste i rosły z rzadka. Przewodnik wkrótce wskazał Ibn Asłowi ocienioną ze wszech stron obszerną polankę, dogodną do rozłożenia obozu, który też natychmiast urządzono. Bydłęta poprzywiązywali asakerzy do drzew, a kilku z nich zajęło się ustawieniem namiotu dla dowódcy. My trzej otrzymaliśmy znowu *szebah* i kajdany na ręce, a rzemienie na nogi. Ponieważ mało zwracano na nas uwagi, mogliśmy rozmawiać ze sobą dowoli.

— Źle z nami, effendi — odezwał się Ben Nil. — Dotychczas mnie i Selima krępowano tylko rzemieniami, teraz zaś i nam włożono żelaza na ręce, co uważam za bardzo zły znak dla nas.

— Tylko nie rozpaczaj! — rzekłem. — Musi się znaleźć jakiś środek, jakaś deska ratunku.

— Ba, ale nie w takich warunkach. Ja skrępowany i bezwładny zupełnie, Selim również, ciebie

znowuż prawdopodobnie przymocują do namiotu. Jakże tu wobec tego mieć nadzieję? Na jaki liczyć przypadek?

— Na jaki przypadek? W ostatecznym razie może mi się uda obezwładnić Ibn Asla...

— Jakimże to cudem? Wszakże jesteś i będziesz nadal związany i przykuty!

— No, taki *szebah* przywiążą zapewne do pala namiotu, ale skoro tylko podniosę się i wyciągnę pal, namiot runie i...

— I co to wszystko pomoże?

— Bardzo wiele, bo skoro opryszek znajdzie się raz w moich objęciach, już go nie puszczę.

— Wówczas zamordują nas obu.

— Nie sędzę. Ibn Asl w moich rękach może być cennym zakładnikiem, będę miał prawo targować się.

— Ależ, effendi, oszalałeś chyba. Jesteś skrupowany, nie masz żadnej broni, a Ibn Asl nawet w czasie snu ma nóż przy sobie. Gdybyś się na niego rzucił, zakłułby cię bez namysłu.

— Chwyć go tak, że nie starczy mu czasu nawet pomyśleć o nożu.

— A może byłoby lepiej spróbować porozumienia z Djangami... Chociaż... i to nic nie pomoże; wprawdzie są oni pokrewni z Gokami wagundzkimi, ale w takim samym stopniu pokrewieństwa byli przecież i z mieszkańcami Fogudy, a jednak mordowali ich bez żadnych względów. Gdy czarny powącha raz krwi, trudno oczekiwać od niego bodaj odrobiny litości.

Przerwaliśmy rozmowę, bo właśnie nadchodzili asakerzy, żeby nas zawlec bliżej namiotu. Jeszcze się całkowicie nie zmierzchno, więc mogłem rozejrzeć się po obozie.

Polanka, na której się rozłożono, miała kształt wąskiego prostokąta, a więc taki sam kształt przybrał obóz. Na jednym końcu mieścili się biali asakerzy, na drugim Djangowie, a namiot wznosił się pomiędzy jednymi a drugimi, jednakże nie w środku obozu, bo czarni zajmowali więcej miejsca niż biali. Woły uwiązane były rzędem po jednej i drugiej stronie obozowiska.

Kilku Djangów wysłał Ibn Asl z naczyniami po wodę dosyć daleko, bo aż do brodu, przez który niedawno przeprawialiśmy się. Gdy powrócili, była już gotowa wieczerza, a mianowicie kasza, którą i mnie uraczono. Po jej spożyciu zawlekli mnie asakerzy do namiotu i przymocowali tak samo, jak nocy poprzedniej. Ibn Asl siedział przez pewien czas u wejścia do namiotu i rozmawiał z asakerami, po czym jednego z nich posłał po świeżą wodę, bo tamtej było za mało.

Upłynęła dobra godzina, zanim żołnierz wrócił z wodą. Ibn Asl napił się, a następnie postawił naczynie wewnątrz namiotu. Niebawem wrócili też wysłani wywiadowcy, meldując, że we wsi panuje bardzo ożywiony ruch, z czego należy wnosić, że mieszkańcy nie prędko położą się na spoczynek.



Było tak ciemno, że nie mogłem nic rozróżnić. Ibn Asl milczał przez chwilę, po czym usłyszałem jego głos:

— Więc urządzimy napad dopiero po północy. Wartę ustawić tak samo jak wczoraj i nakazać jej, aby o północy zbudziła wszystkich. Podać mi tu koce!

To mówiąc, począł słać sobie legowisko, a że naczynie z wodą przeszkadzało mu, więc odstawił je na bok, w stronę mego barłogu. Następnie obmacał starannie moje więzy i zauważył:

— Pociesz się, psie jeden, że dzień dzisiejszy był ostatnim dobrym dniem w twym życiu. Jutro inny czeka cię los: będziesz wył wespół z resem effendiną tak okropnie, że usłyszą cię po tamtej stronie Nilu.

— Ha, trudno! Jeżeli już tak być musi... — odrzekłem, udając rezygnację, a w głębi duszy drżałem z obawy, aby mu nie przyszło na myśl odsunąć stojące tuż naczynie z wodą.

Na szczęście zapomniał o nim i przekonawszy się, że jestem dobrze zabezpieczony, położył się na swym legowisku. Doznałem niezwykle radosnego uczucia i z niesłychaną ulgą odetchnąłem całą pierś. Trzeba było teraz poczekać, aż opryszek zaśnie.

W wielkim napięciu nerwowym męczyłem się co najmniej godzinę, która wydała mi się wiecznością. Nareszcie Ibn Asl począł chrapać. Wyciągnąłem związane nogi w kierunku naczynia by je przysunąć bliżej do siebie. Była to robota, wymagająca iście syzyfowego wysiłku i cierpliwości nadludzkiej... Powoli, ostrożnie, po cichu zdołałem nareszcie przysunąć ku sobie naczynie z wodą — brzuchaty garnek gliniany, zwany przez krajowców „kulą”. Na szczęście, miał on dostatecznie szeroką szyję, więc z łatwością włożyłem weń naprzód lewą rękę, oczywiście tak ostrożnie, by nie wywołać brzęku łańcucha, i przez godzinę mniej więcej trzymałem ją w wodzie, mówiąc nawiasem, dosyć zimnej, po czym wyjąłem rękę z garnka i dotknąwszy ją prawą ręką, przekonałem się, że znacznie zeszczupłała. Spróbowałem teraz wyjąć ją z żelaznej obrączki... *Hamdulillah!*... Poszło znakomicie!

W następnej sekundzie wyciągnąłem ze swojej *shebah* poprzeczny kołek i uwolniłem z nieznośnego jarzma zbolałą głowę... Pozostały do oswobodzenia tylko nogi... I widocznie sprzyjało mi szczęście; rzemień zapięty był na sprzączkę... W parę sekund rozpiąłem ją i... uczułem się nareszcie wolnym. Na prawej ręce wprawdzie miałem jeszcze żelazną obrączkę, ale nie przeszkadzała mi ona, a nawet mogła mi być użyteczną i służyć tymczasem za jaką taką broń. Rzemień zachowałem również przy sobie.

Co począć teraz? Uwolnić Ben Nila i Selima? Marzenie! Wszak strzeżono ich tam, na zewnątrz namiotu. Gdyby zaś Ibn Asl przebudził się i spostrzegł, co się stało, uśmierciłby ich obydwu natychmiast.

Chwila była naprawdę krytyczna. Tak uwolnienie towarzyszy, jak i pozostawienie ich tutaj, mogło być dla nich jednakowo smutne.

Gdyby jednak... unieszkodliwić samego Ibn Asla? Miałbym go zostawić po to, aby mi tym

razem uszedł bezkarnie? O, nie! ...wszystko na jedną kartę!

Położyłem się na brzuchu i posunąłem się po cichu naprzód w stronę śpiącego opryszka. Chrapał w najlepsze! Co zrobić? Zakłuć go własnym jego nożem? Nie! Mordercą nie jestem... Namysłać się jednak nie mogłem. Wpakowałem mu się kolanami na brzuch... jeden chwyt za gardło, jeden cios pięścią w skroń — i opryszek był mój!

A teraz precz z nim! Wyciągnąwszy mu nóż i pistolet zza pasa, podniosłem się na równe nogi... i — chwila namysłu: przed namiotem warta, z lewej i z prawej strony rozłożyte drzewa i krzaki, natomiast w tyle wolna przestrzeń, — widziałem to o zmroku. Wykonałem jedno cięcie ostrym nożem — płótno rozeszło się tworząc dużą szparę. Wziąłem Ibn Asla na plecy... i w nogi — oczywiście niezbyt prędko i gwałtownie, bo najłżejszy szmer mógłby mnie zgubić bez ratunku. Znalazłszy się za namiotem z oszołomionym opryszkiem na plecach, podążyłem w las. Po jakimś czasie rozejrzałem się i z radością spostrzegłem, że teren jest mi dobrze znany. Z prawej strony było jezioro, tu więc skierowałem kroki, dźwigając z wysiłkiem ciężkiego dosyć draba, by o ile możliwości oddalić się od obozu.

Ale co potem? Zanieść go do wsi? Za pół godziny miałby go reis effendina u swych nóg. Ale przyszła mi lepsza myśl do głowy. Zapamiętałem sobie z poprzedniej mojej bytności w tym miejscu, że gdzieś niedaleko rośnie osamotnione drzewo. Ponieważ gwiazdy rozjaśniały noc jasnym blaskiem mogłem łatwo spostrzec na horyzoncie sylwetkę wspomnianego drzewa. Istotnie w kilka minut, z trudem niosąc swój żywy ciężar, znalazłem się pod drzewem, a położywszy Ibn Asla na ziemi, związałem mu nogi tym samym rzemieniem, którym niedawno sam byłem skrepowany, ramiona zaś obezwładniłem chustką z turbanu i pasem. Zakneblowałem następnie opryszkowi usta własnym jego fezem, przywiązałem draba do drzewa tak silnie, żeby nawet po odzyskaniu przytomności nie zdołał się uwolnić własnymi siłami.

Dokonawszy tego, pobiegłem nad jezioro, rozglądając się wokoło. Cicho jednak było zarówno tu, jak i tam, na wzgórzu, we wsi; wbrew przewidywaniom wszyscy wywiadowcy z Wagundy poszli wcześniej spać. Pobiegłem więc pod górę ku wsi rozmyślając po drodze co teraz czynić wypada. Do opanowania obozu Ibn Asla nie trzeba było zbytnich wysiłków; chodziło mi jednak o to, aby się obeszło bez rozlewu krwi. Postanowiłem tedy porozumieć się przede wszystkim z Agadim, dowódcą Djangów. Z jego pomocą można było załatwić wszystko, a nawet przekonać reisa effendinę, że nie on mnie, ale ja jemu jestem w tej chwili potrzebny. Wprawdzie nie należę do zarozumialców, ale w tym wypadku nie zaszkodziłaby reisowi effendinie nauczka.

Szedłem bez hałasu, bo kroki moje tłumił miękki grunt i trawa. W połowie wysokości wzgórza sterczał wysoki odłamek skały wapiennej, który spostrzegłem z daleka. Mając przechodzić koło niego, zachowałem tym większą ostrożność, że mogła być w tym miejscu zaczajona warta, a nie chciałem się narażać na spotkanie i mogący stąd wyniknąć zatarg. Jakoż istotnie za skalnym odłamek byli ukryci ludzie, których jednak moja osoba napełniła strachem. Nie było rady, więc zbliżyłem się wprost do nich i ku wielkiej mojej radości stwierdziłem, że są to znajomi: jednym z nich był posiadacz oprawy okularów, drugim zaś ów tłumacz, który mi parę dni temu towarzyszył w zwiadzie. Obaj wyszli poza wieś użyć nocy na wolnym powietrzu, lecz bynajmniej nie sami, bo z narzeczonymi, które sobie upatrzyli spośród wagundzkiej płci pięknej.

Oczywiście piękności owe nic mnie nie obchodziły, natomiast czarni kandydaci do stanu małżeńskiego przydali mi się w tej chwili znakomicie.

Porozumieliśmy się ze sobą bardzo szybko i tłumacz pobiegł natychmiast do wsi, ażeby w największej tajemnicy zbudzić Agadię i przyprowadzić go do mnie.

Nie upłynęło dziesięć minut, gdy Agadi przybiegł zziębnięty i ogromnie podniecony. Również podniecony był młodzieniec z okularami. W krótkich słowach powiadomiłem naczelnika Djangów o swoim planie, na który zgodził się bez wahania, po czym zabrałem obu młodzieńców wraz z ich pięknościami i poszliśmy do Ibn Asla.

Opryszek odzyskał już przytomność i usiłował uwolnić się od knebla, oczywiście daremnie. Poprawiliśmy mu więzy, a następnie rozkazałem młodzieńcowi z okularami, aby go strzegł, jak oka w głowie. Oświadczył mi na to, że wyrzekłby się raczej swych okularów i narzeczonej, niż pozwoliłby łotrowi uciec.

Upewniwszy się, że ambitny młodzieniec i dwie młode damy dopilnują jeńca uczciwie, zabrałem z sobą Agadię i tłumacza i postanowiłem zaprowadzić naczelnika potajemnie do Djangów, aby objaśnił swym ziomkom, co im groziło ze strony Ibn Asla. Sam zaś zamierzałem dostać się w tym czasie z tłumaczem do środka namiotu przez ową wykrojoną w nim dziurę i być w pogotowiu, gdy Djangowie napadną na białych asakerów.

Najważniejszym teraz zadaniem było dla nas niewidocznie, bez jakiegokolwiek szmeru, zbliżyć się do obozu. Nie przedstawiało to wielkich trudności, gdyż znałem dobrze teren i rozkład obozowiska.

Ku wielkiemu zadowoleniu przekonałem się, że do tej chwili nie spostrzeżono nas; po uciążliwym marszu spali twardo wszyscy, nie wyłączając... warty.

Podsunęliśmy się na czworakach tak blisko legowisk, że można było rozróżnić białe ubrania Djangów. Naczelnik zbudził pierwszego z brzegu i szepnął mu kilka słów do ucha. W pierwszej chwili zagadnięty chciał się porwać z miejsca, lecz się rozmyślił i zachował spokój. Naczelnik zbudził po kolei drugiego, trzeciego i kilku następnych, wzywając ich, żeby podawali wiadomość towarzyszom bsyli gotowi do uderzenia na asakerów.

— Idź już do namiotu, effendi — rzekł naczelnik. — Moi ludzie będą wnet powiadomieni o wszystkim i napadną zniemacka na śpiących asakerów, tak, że może i ręki do tego przyłożyć nie będziesz zmuszony.

Ucieszyło mnie to. Bez słowa pociągnąłem za sobą tłumacza w krzaki i z wielką ostrożnością przedostaliśmy się za namiot. Zauważyliśmy tu, że dwaj wartownicy siedzieli tuż przed namiotem koło Ben Nila i Selima, czuwając lub drzemając chwilami, co na razie trudno było stwierdzić.

Wszedłszy ostrożnie do środka namiotu podsunąłem się do samego otworu, uchyliłem płótna i wyjrzałem na zewnątrz: wartownicy istotnie drzemali, podczas gdy reszta asakerów leżała pogrążona w głębokim śnie.

Nie miałem już cierpliwości czekać dłużej. Po cichu, z kocią zwinnością, wysunąłem się nagle z namiotu i zadałem cios kolbą pistoletu jednemu z wartujących strażników, a następnie w oka mgnieniu tak samo poczęstowałem drugiego. Dziwnym się wydać może moje powodzenie po tylu ciężkich opresjach, — wyjaśniam więc, że miałem iście mistrzowską wprawę w obezwładnianiu ludzi za pomocą uderzenia w skroń. Cios taki w najwrażliwszą część czaszki sprowadza nagły wstrząs i przekrwienie mózgu, a co za tym idzie — utratę przytomności. I tym razem sztuka moja nie zawiodła: obaj asakerzy zwalili się na ziemię jak kłody.

— Effendi! — szepnął Ben Nil, który nie spał — czyś wolny?

— Jak widzisz. Ale cicho bądź, bo zbudzisz śpiących. Jednym ruchem rozciąłem mu więzy na nogach i wyciągnąłem kołek z *szebahi* mógł więc powstać, ale ręce miał niestety jeszcze w żelazie.

— Nasze karabiny są tu — szepnął mi, wskazując kupę tłumoków. — Podaj mi moją broń; potrafię z niej korzystać pomimo łańcucha.

— Nie teraz jeszcze. Wejdź do namiotu, bo Djangowie mogą cię wziąć za asakera i...

— Djangowie? Co to ma znaczyć? Jakże...

Nie dałem mu dokończyć i wepchnąłem go do namiotu, bo właśnie po stronie Djangów wszczął się ruch. Byli już wszyscy powiadomieni, że naczelnik ich jest tutaj i że Ibn Asl chciał przede wszystkim wyzyskać ich dla swoich celów, a następnie sprzedać jako niewolników. Po cichu więc, jak złodzieje, skradali się ku namiotowi, gdzie leżały wielkie kupy rzemieni, łańcuchów i *szebah*, przeznaczonych do wiązania mieszkańców Wagundy. Brali, co mogło być potrzebne do obezwładnienia asakerów.

Poddałem Agadiemu myśl, aby na jednego białego rzuciło się od razu trzech Djangów — tych ostatnich bowiem było stu, a tamtych ledwie trzydziestu. Napaść miała być wykonana równocześnie, aby odebrać od razu wszystkim białym możliwość wzajemnej pomocy.

Naczelnik wytłumaczył to dokładnie swoim ludziom, którzy niebawem na dany znak spisali się tak dzielnie, że ani jeden askari nie uszedł, ani też nie zrobił użytku z broni.

Po załatwieniu się z tym wszystkim kazałem rozpaść kilka ognisk. W świetle ich dopiero poznałem, jaką radością przejęci byli czarni i jaka wściekłość ogarnęła obezwładnionych asakerów, którzy oczywiście nie mogli zrozumieć dlaczego my, trzej jeńcy, jesteśmy wolni, a czarni są względem nas tak dobrze usposobieni. Poczęli się odgrażać, obrzucając nas grubiańskimi wyrazami i przekleństwami; dla większego więc zabezpieczenia sobie swobody ruchów musieliśmy ich okuć w kajdany i pozakładać *szebah* na karki.

Już przedtem oczywiście kazałem zdjąć kajdany z rąk Ben Nila i uwolnić Selima. Obaj byli zachwyceni takim obrotem sprawy. Aby im jednak sprawić jeszcze większą przyjemność, posłałem ich po Ibn Asla. Wzięli ze sobą najcięższą *szebah* i także kajdany. Niebawem przywlekli opryszka do obozu. Zakuty był w najcięższy łańcuch i miał na karku tę samą „ozdobę”, która niedawno gniotła tak okropnie mój kark. Postanowiłem nie odzywać się do draba dla okazania mu swej pogardy, ale

gdy zaczął kląć i wyzywać mnie, rzekłem mu dobitnie:

— Milcz, podły człowieku! Przed kilkoma godzinami żądałeś sam ode mnie, abym nie zawiódł tych, którzy mi bezgranicznie zaufali. Przynależem więc uczynić wszystko, co możliwe, i dotrzymałem słowa. Dowiodłem ci również, że zawsze dobro musi zwyciężyć zło. Otrzymasz nagrodę, na jaką zasłużyłeś. Reis effendina położy nareszcie koniec twoim zbrodniom.

Była to moja ostatnia z nim rozmowa. Reszta nocy upłynęła nam w bardzo wesołym nastroju. Zbytecznym byłoby dodawać, że najgłośniejszym ze wszystkich okazał się... Selim, który prawil ustawicznie o swoim bohaterstwie, przypisując sobie jedynie pomyślne załatwienie rozprawy z Ibn Aslem i jego współnikami.

O świcie kazałem osiodłać woły, gdyż miałem ochotę zażartować sobie z reisa effendiny. Jeńców poprzywiązywano do siodel, juczne zwierzęta obładowano tłumokami a Djangowie, dosiadłszy swoich rogatych wierzchowców, uformowali pochód w taki sam sposób, jak poprzednio za dowództwa Ibn Asla.

Przybywszy pod wieś, objechaliśmy ją wolno, co oczywiście musiało nareszcie zwrócić uwagę załogi.

Wzięto nas za oczekiwanego nieprzyjaciela i nagle wszczął się na wzgórzu alarm. Generalissimus, reis effendina, zebrał swoich wojowników przy wejściu na wzgórze, podzielił ich na grupy i wydał rozkaz do ataku, chcąc nas w ten sposób, wedle z góry powziętego planu, spędzić do jeziora.

W chwili, gdy armia ta puściła się niepewnym krokiem w dół, wysłałem przeciw niej... Selima na bydlęciu, które uchodziło za najbardziej uparte i najzłośliwsze. Selim nigdy w życiu nie odegrał tak właściwej dla siebie roli, jak w tej chwili i mógł o sobie powiedzieć słowami Cezara: Veni, vidi, vici! „Przybyłem, zobaczyłem i zwyciężyłem”, jak zresztą zawsze... Zaledwie go bowiem poznano i usłyszano jego słowa, karność wojowników prysnęła, jak bańka mydlana: dzielni obrońcy Wagundy poszli w rozsypkę i przewracając się jeden przez drugiego na oślep popędzili w dół zobaczyć mnie, jako zwycięzcę, no, i jeńca mojego, przed którym tak niedawno jeszcze drżały tysiące czarnych. Każdy z tych ciekawych chciał ze mną mówić i wieszować mi.

Niestety, musiałem uważać w tej chwili na jedno tylko: by Ibn Asla nie rozszarpano w kawałki. Na mój rozkaz asakerzy reisa effendiny utworzyli zwarte koło ujmując w środek Ibn Asla i jego bandę, i tak poprowadzili jeńców na górę. Za nimi szli Djangowie i cała załoga Wagundy, nie wyłączając nawet kobiet.

Na mnie nie zwracano już więcej uwagi, bo zresztą pozostałem w tyle i dopiero później poszedłem sam do wsi. Tymczasem moje miejsce, jako zwycięzcy, zajął... Selim, opowiadając aż do ochrypnięcia o swych bohaterskich czynach. Otaczający go słuchacze byli rozczuleni i pełni nieopisanej radości.

Emir całkowicie spuścił z tonu i właśnie, gdy wszedłem przez bramę na wzgórze, przystąpił ku mnie, a ująwszy w swe dłonie obie moje ręce, prosił:

— Przebacz mi, effendi! Obszedłem się z tobą niesprawiedliwie. Wiem, że w opowieści Selima nie ma ani słowa prawdy, ale z tego, co mi mówił dzielny Ben Nil, przekonałem się, że gdyby nie ty, dzień dzisiejszy byłby dla nas ostatnim. Nie przeczuwaliśmy nic i spaliśmy najspokojniej wszyscy co do jednego.

— No, nie wszyscy — odrzekłem. — Czworo młodych ludzi czuwało tam, na zboczu. Serca ich uderzały głośno, a w duszach lśniły nadzieje, młodzieńcze... I gdyby nie oni...

Nie mogłem mówić dalej, bo zbliżyło się do mnie kilkunastu barczystych Goków pod wodzą młodzieńca z okularami i nie pytając czy mi się to spodoba, czy nie, chwycili mnie na ręce i poczęli obnosić od chaty do chaty wśród entuzjastycznych na moją cześć okrzyków. Jazda na wole z Fogudy była niczym w porównaniu z tym przrzucaniem mojej osoby z rąk do rąk i wędrówką po głowach zbitego, rozhukanego tłumu.

Po południu odbył się drugi triumfalny pochód naokoło wsi, ale innego już rodzaju. Oprowadzano mianowicie Ibn Asla i jego białych asakerów, zakutych w ciężkie żelaza oraz *szebah*. Ibn Asl dźwigał na karku tę samą *szebah*, która dla mnie tak niemiłosierną była torturą w drodze z Fogudy.

Jak wspomniałem poprzednio, góra, na której wznosiła się wieś, z trzech stron miała zupełnie stromy stok. Nad jednym ustawiono rząd białych łowców niewolników i rozstrzelano, a ciała ich pospadały w dół...

Nie byłem przy tym obecny. Wprawdzie wyrok opierał się na prawie „Biada temu, kto czyni źle”, jednak uważałem za stosowne usunąć się i nie być świadkiem surowej a bezwzględnej egzekucji. Ale w smutnej chwili niewymownie cieszyła mnie myśl, że uniknąłem sam okrutnej śmierci, jaka mi groziła niedawno z rąk barbarzyńskiego Ibn Asla.

Djangom przebaczył reis effendina. Dowiedzieliśmy się od nich, że drugi oddział łowców otrzymał rozkaz maszerowania z Fogudy do Agadu, aby się tam połączyć z Ibn Aslem po spustoszeniu przez niego Wagundy.

Gokowie znali tę drogę wybornie, więc następnego dnia wraz z nimi wyruszyliśmy przeciw owej bandzie, aby uwolnić z jej rąk nieszczęsnych mieszkańców Fogudy.

Następnego dnia około południa spotkaliśmy istotnie ów oddział, a otoczywszy szerokim kołem siedemdziesięciu poganiaczy, zmusiliśmy bandę do poddania się. Djangowie w liczbie pięćdziesięciu przeszli bez najmniejszego oporu na naszą stronę, bo poznali swoich towarzyszy i dowódcę. Pozostałych dwudziestu asakerów, wiedząc, co ich czeka, broniło się rozpaczliwie, ale ich wkrótce wystrzelaliśmy co do jednego.

Nie mam ich krwi na sumieniu, bo tak czy owak, czekała ich śmierć. Było mi natomiast ogromnie żal niewolników. Cóż im z tego, że odzyskali wolność i zrabowane mienie, skoro do siedzib swoich powracać nie mieli po co. Z chat ich zgłiszcza zaledwie pozostały, a dzieci i starcy poginęli bądź w płomieniach, bądź pod nożem półdzikich łotrów.

Myliłby się ten, kto by sądził, że Murzyn czuje tak, jak my, Europejczycy. On czuje o wiele

namiętniej i silniej, a ponadto nie umie poddać się z rezygnacją losowi, bo nie zna ani nauki Chrystusowej, ani nie posiada siły charakteru, której twórcą jest cywilizacja i kultura.





# Rozdział III

## Czyń dobrze tym, którzy cię nienawidzą

Niejeden z moich czytelników pomyślał sobie zapewne, zamykając poprzedni rozdział: No, teraz autor powinien zakończyć swą opowieść, gdyż wszystkie powikłania zostały rozwiązane, i stało się ostatecznie zadość sprawiedliwości. Kto tak myśli, odpowiem, że nie jestem właściwie powieściopisarzem w znaczeniu literackim, a tylko opisuję zdarzenia z życia rzeczywistego, nie troszcząc się o to, czy krytyk, choćby najwytrawniejszy, dopatrzy się w tym wykroczeń przeciw tak zwanym regułom literackim. Są bowiem inne reguły, stare jak świat, które tysiącrotnie są ważniejsze ponad reguły sztuki pisarskiej — a do tych starych reguł zaliczyć trzeba w pierwszym rzędzie zgodność z rzeczywistością.

Najprawdopodobniej byłbym zamknął swą opowieść z chwilą pożegnania Wagundy, gdyby los nie zrządził, że przed paroma laty w odległym od Sudanu kraju zetknąłem się z pewnym człowiekiem, którego przeznaczeniem było wbrew wszelkim oczekiwaniom, spotkać się ze mną tu, na dalekim Południu. Kto zna Pismo święte, ten niezawodnie przypomni sobie słowa: „Panie, drogi twoje są niepojęte, i wyprowadzasz wszystko najmądrzej i najwspanialej”.

Podróżowałem wówczas przez „Państwo srebrnego lwa” konno z dzielnym służącym, Halefem, którego czytelnicy moi przypomną sobie zapewne z poprzednich opowiadań.

Przebyliśmy właśnie granicę persko — turecką, znużeni ogromnie kilkumiesięczną podróżą wśród zbójceckich szczepów kurdyjskich, a bogaci w doświadczenie zatrzymaliśmy się w niedużej osadzie Khoi, ażeby dać koniom przez dni kilka jaki taki wypoczynek.

W owym czasie miałem nieocenionego rumaka Rih, który później został zastrzelony i to w takich okolicznościach, że trafiła go kula, przeznaczona właściwie przez napastnika dla mnie. Rozumie się, służący mój nie posiadał tak szlachetnego wierzchowca. Jakkolwiek i jego koń był czystej krwi arabem, zmęczył się, zwłaszcza w tak uciążliwej podróży po tamtej stronie Tygrysu, i musieliśmy chcąc nie chcąc zatrzymać się przez kilka dni, mimo, że miejscowość bynajmniej nie budziła w nas zbytniego zachwytu.

Skoro tylko ukazaliśmy się we wsi, powstało wnet istne zbiegowisko: starzy, młodzi, nawet dzieci — wszystko biegło za nami aż do nędznego domu zajezdneho, gdzieśmy postanowili zatrzymać się, a nieocenione moje prześliczne zwierzę było przedmiotem ogólnego podziwu. Zwracał ponadto uwagę wszystkich kosztowny i wspaniały rząd, zwany w języku Kurdów *beszma*; otrzymałem go w podarunku od pewnego Persa za wyświadczoną mu przysługę. Koń mój razem z rzędem przedstawiał, wedle szacowania mieszkańców, olbrzymi majątek, nie dziw więc, że towarzyszyło nam tak niezwykle zbiegowisko gapiów.

Kahn\* zbudowany był z kamienia ciosowego i oblepiony surową gliną. Okienka w nim były tak maleńkie, że ledwie promyk światła dziennego mógł wtargnąć przez nie do wnętrza. Jeżeli jednak

użyłem tu wyrażenia „okienka”, to nie znaczy jeszcze, jakobym miał na myśli szyby szklane; były to najzwyczajsze w świecie otwory w ścianie, przez które wiatr mógł sobie gwizdać na nutę, jaka mu się podobała, i równocześnie igrać z dymem, dobywającym się z wnętrza przez owe otwory, gdyż komina w domu tym nie było. Nawet brama, prowadząca na dziedziniec, była zwykłym wyłomem w murze, bez ruchomych drzwi. Dziedziniec czynił wrażenie, jakby od lat niepamiętnych gromadzono tu odchody wszystkich dzikich i oswojonych zwierząt Kurdystanu.

Odpowiednio do tego otoczenia wyglądał również gospodarz, który stanął u wejścia, by nas powitać na sposób wschodni głębokimi ukłonami i przemową w nader kwiecistym stylu. A zwrócił się nie do Halefa Omara, lecz do mnie, gdyż posiadając lepszego konia, od razu uznany zostałem przez sprytnego oberżystę za rozkazodawcę.

— Witaj — rzekł — o panie, w domu moim, który z rozkoszą otwiera przed tobą bram dwanaście! Allach niech rozsypie nad twoją głową tysiąc błogosławieństw, a drugi tysiąc niech ci podścielę pod nogi, niby najwspanialszy dywan; albowiem nie zdarzyło mi się jeszcze w życiu przyjmować tak szlachetnego i dostojnego gościa, któremu cały ofiarowuję się do usług. Powiedz tylko, czego dusza twoja pragnie, a uczynię wszystko natychmiast. Z powodu przybycia twego oblicze moje promienieje radością, jak słońce raju; postać moja wre gotowością służenia tobie; ręce drżą od żądy wypełniania twoich rozkazów; nogi moje, jak skrzydła sokole, będą spełniały w okamgnieniu wszystkie posyłki; a dusza, mieszkająca w mym ciele, musi...

— Daj jej spokój... niech sobie tam siedzi dalej! — przerwałem mu. — Nie lubię gadaniny... Masz porządne mieszkanie dla nas obu?

— *Az kolame ta...* jestem twoim sługą. Będziecie mieszkali u mnie tak wygodnie, jak mieszkają oblubienice proroka w raju.

— A wikt?

— *Bu kalmeta ta ssiu taksir nakem...* ażeby ci usłużyć, niczego nie zaniedbam; jestem gotów wszystkie moje trzody oddać na rzeź!

— Ależ niech sobie żyją! My nie przybywamy tu, aby pożerać twoje trzody; chodzi nam głównie o to, by nasze konie znalazły dobre pomieszczenie.

— O panie! Znajdzie się dla nich kwatera, wobec której niczym są pałace Mekki.

— Dobrze, pokaż nam tę kwaterę.

— Pójdź więc w moje ślady, a zobaczysz i będziesz zadowolony ze mnie, najpowolniejszego ze wszystkich sług twoich.

Zsiedliśmy z koni, a „najpowolniejszy ze wszystkich sług” moich postąpił ku bramie dziedzińca. Strupiasta jego głowa nakryta była chustą, a właściwie brudną porwaną siatką nicianą. Miał na sobie spodnie, które jednak... spodniami już wcale nie były; wstydliva ta część garderoby składała się z samych strzępów, nie sięgających nawet do kolan, na łydkach zaś (tak się nam zdawało na pierwszy

rzut oka) świeciło coś w rodzaju trykotów, po bliższym jednak przyjrzeniu się, przekonaliśmy się, że takie wrażenie dawała własna jego skóra. Plecy zacnego Kurda pokrywał częściowo żakiet o jednym tylko rękawie; mówię — częściowo, gdyż podziurawiony był jak rzeszoto, a z przodu nie zapięty, co znaczy, że z przodu żakietu już wcale nie było: tam, gdzie są zazwyczaj klapy i poły, a więc na piersiach, miał nasz oberżysta coś, co Turek określiłby nazwą *gömlek* a Arab nazwałby kamisy\*; ja jednak nie umiałem wynaleźć właściwego wyrazu na tę część jego ubrania.

W człowieku owym, oprócz duszy, którą przed chwilą ofiarował na moje usługi, mieszkał niezawodnie jakiś dziwny duch, podtrzymujący w nim nędzne, bydlęce życie wśród warunków takich, jakie dla zwykłego śmiertelnika byłyby nie do zniesienia.

Poprowadziliśmy za nim na dziedziniec konie. Znajdowała się tu niedaleko od wejścia głęboko gnojówka, którą gospodarz chciał zręcznie wyminąć, ale może właśnie dlatego, że chciał ją wyminąć, runął w nią jak długi. Wyciągnąłem rękę, by go z tej pachnącej sytuacji ratować, ale nie przyjął ofiarowanej mu tak grzecznie pomocy i wydobył się sam, widocznie posiadając już w tym należyłą wprawę, to znaczy — przypadek taki spotykał go nie po raz pierwszy.

— *Taklif, bela k'nahrek, be 'in ma, batol...* Nie fatyguj się; zbyteczną jest względem mnie grzeczność twoja — rzekł śmiejąc się.

I nie zrobił mu ten wypadek istotnie żadnej różnicy, bo po wydobyciu się z gnojówki nie wyglądał wcale gorzej, niż przedtem.

— Sidi — rzekł Halef w jednym z arabskich narzeczy, którego gospodarz z pewnością nie rozumiał — ten drab to istny *abu kuli' chanazir*, ojciec wszystkich świń, u którego bezwarunkowo zamieszkać nie możemy. Trzeba szukać kwatery gdzie indziej.

— Ba! Jego kahn jest jedyny w tej wsi, mój Halefie!

— W takim razie lepiej będzie pod gołym niebem...

— Niemożliwe — przerwałem mu — okolica ta słynie z najbezczelniejszych koniokradów, a wiesz przecie, jak drogi mi jest mój Rih. Zamiast odpoczynku, musielibyśmy czuwać całą noc.

— Niestety, prawdę mówisz, effendi. Musimy mieć dach nad głową, a konie zamknąć, aby nam ich złodzieje nie ukradli. Sami również zabezpieczyć się musimy, aby nas nie pomordowano. Może uda się nam tu znaleźć jakiś kącik, wolny od gnoju i brudu, jak również i od tego cuchnącego *gidd el wazach...*\*. Widziałem już wielu ludzi niechlujnych, ale takiego wieprza mam zaszczyt oglądać po raz pierwszy w życiu.

Pijany „wieprz” przeszedł niepewnymi krokami przez dziedziniec ku drugiemu otworowi w murze i trzymając się mocno ściany, rzekł:

— Oto jest miejsce dla twoich rumaków; tu będzie im, jak w raju. Wprowadźcie je do środka; zaraz przyniosę obroku.

Zajrzałem do wnętrza owego „raju”. Panowała tam zupełna ciemność, i dopiero, gdy się z nią oko

oswoiło, ujrzałem tyle gnoju i błota, że aż mi się na wymioty zbierać zaczęło.

— Czyś zwariował? — zawołałem. — Toż w gnoju tym konie potopić się mogą.

Gospodarz popatrzył na mnie bezmyślnie wielkimi, zdziwionymi oczyma i odrzekł:

— Brud? U mnie? Czegoś podobnego nie zarzucił mi jeszcze żaden gość! To obraza, która domaga się *missajefet*!

Groźba ty wydała mi się tak zabawną, że wybuchnąłem serdecznym śmiechem. Halef natomiast stracił cierpliwość i odezwał się z wyrazem tajonego gniewu:

— Co? Ty śmiesz mówisz o *missajefet*? A wiesz, kim jest ten wielki pan, do którego zwracasz się z tak zuchwałymi słowami?

— Nie wiem — odparł naiwnie gospodarz.

— No, to wiedz, że jest to sławny Emir Hadżi Kara Ben Nemzi z Frankistanu!

— Nie słyszałem o takim. A ty kto jesteś?

— Jam jest równie sławny Hadżi Halef Omar Ben Hadżi Abul Abbas Ibn Hadżi Dawud al Gossarah. Gdyby który z nas palcem tylko skinął, padłybś trupem z trwogi!

— Och! Nie myśl sobie, że należę do *guranów*\*, umiem ja obchodzić się z bronią, i nie ma takiego, który by mnie zdołał wyprowadzić z równowagi.

— A mimo to widzę, że nie możesz się utrzymać w równowadze i zataczasz się na wszystkie strony!

— O, to nie ze strachu; to... to... od... od....

— Od *raki*\* — dokończył Halef.

— Raki? Nie wypilem dziś nawet jednej kropli... Uważam, że chcesz mnie obrazić przypuszczeniem, jakobym był *sekran*\*...

— Tak jest, o to właśnie cię posądzam!

— Otóż mylisz się.

— Daj mi dowód, że się omyliłem! Prawy wyznawca proroka nie powinien nigdy się upijać, a jeżeli się już upił, wówczas każdy uczciwy muzułmanin obowiązany jest święcie zażądać od niego odmówienia *sury l'imtihan*\*. No, jakże? wypowiesz ją z pamięci?

— Nie!

— Więc podpowiem ci ją szybko, a ty mów ją za mną! No, uważaj!

*Sura*, o której mowa, umieszczona jest w koranie pod numerem 109. Każą ją zazwyczaj odmawiać podejrzanym o pijaństwo, gdyż trudna jest do wypowiedzenia. Treść jej podałem w drugiej części niniejszego opowiadania, gdzie była mowa o spotkaniu na pustyni z Szedidem, dowódcą Takalów.

Próba *sury* z oberżystą wypadła na jego niekorzyść, bo ciągle się mylił, zaczynał od początku i wreszcie nie skończył.

— Przyznaj się więc — rzekł Halef — że jesteś pijany! Oj, będziesz pokutował kiedyś w *dzehennie*\* będziesz!

— Ja? Nie mam wcale ochoty odwiedzać dzehenny. Jestem trochę podchmielony, to prawda, ale gdy wejdziecie do izby, tam dopiero zobaczycie człowieka, który nie tylko na nogach utrzymać się nie może, ale nawet oczu otworzyć nie jest w stanie.

— A więc dom twój to *moghare el redila*, jaskinia grzeszników, i niech go Allach do cna zburzy! Pewnie i w izbie jest tyle brudu i smrodu, co tutaj, w twojej stajni. Czy nie masz lepszego pomieszczenia dla naszych koni?

— Lepszego? Może ci się zachciało siódmego nieba Mahometa dla umieszczenia swych zwierząt, ale go na ziemi nie znajdziesz. Stajnia moja jest wcale porządnym pomieszczeniem, i mogę cię zapewnić, że stokroć tu przyzwoiciej, niżli w drugiej, gdzie trzymam własny dobytek. To wspaniałe pomieszczenie przeznaczone jest wyłącznie dla koni bardzo zamożnych podróżnych, a więc będzie najodpowiedniejsze i dla waszych rumaków.

— Naprawdę nie wiem, jak postąpić... Sidi, może ty coś poradzisz?...

— Chyba nie pozostaje nam nic innego, jak tylko kazać tę stajnię gruntownie oczyścić — odrzekłem. — A tymczasem popatrzmy, czy znajdzie się dla nas jaki kąt w zajeździe. Czy masz osobny pokoik? — dodałem, zwracając się do gospodarza.

— Nie. Wobec Allacha wszyscy ludzie są sobie równi, a więc zamożnym i dostojnym wcale to nie ubliża, gdy przebywają z biedakami i upośledzonymi pod jednym dachem.

— Chcesz przez to powiedzieć, że musimy zamieszkać w tej izbie, gdzie siedzi ów pijak, o którym wspominałeś?

— Tak.

— No, zobaczymy.

Uwiązaliśmy konie na dziedzińcu i poszliśmy za gospodarzem do izby. Była to niska, ale dość obszerna sala, zajmująca całą szerokość domu. Ściany miała wykpięte gliną. Pod jedną z nich na wbitych w ziemię palach przymocowane były zwykłe, proste deski — i to się nazywało stołem. Tak samo urządzone były ławki przy owym stole. Przy tylnej ścianie stało kilka opartych o nią szerokich płotów z wikliny. Płoty takie w Kurdystanie używane bywają, jako ruchome ściany, służące do

przedzielania wnętrza domu na mniejsze lub większe pomieszczenia.

W izbie był tylko jeden gość. Siedział z opartymi na stole łokciami i ujętą w dłonie głową; prawdopodobnie spał lub przynajmniej drzemał. Tuż przed nim stała gliniana butelka i dwa również gliniane kubki. Z tych to naczyń gość i gospodarz pili jeszcze przed chwilą raki i to właśnie było powodem, że ten ostatni zrobił na mnie wrażenie człowieka, którego należało poddać próbie 109 *sury*.

Według mniemania gospodarza, gość jego był bardziej od niego pijany. Gdyśmy weszli śpiący podniósł nieco głowę i popatrzył na nas. Spojrzawszy mu bystro w oczy doszedłem do wniosku, że jednak nie jest pijany; przynajmniej z wejrzenia nie można go było o to posądzić. Myliłem się ja, czy też mylił się gospodarz? A może nasz nieznamy maskował się zręcznie i w takim razie musiał mieć w tym jakiś interes? Nikt się nie zdziwi, że wydało mi się to podejrzanym, gdy weźmie pod uwagę, ile przygód i niebezpieczeństw przeszedłem w ciągu wieloletnich swych podróży. W takich okolicznościach wyrabia się pewnego rodzaju instynkt i niezwykłą wrażliwość na wszelkie choćby najbardziej błahe zjawiska w otoczeniu. I dzięki właśnie temu instynktowi, jako też owej wrażliwości, żyję dziś jeszcze, pomimo, że na całym ciele mam liczne blizny od zadanych mi ran.

Ów drzemiący, zagadkowy dla mnie człowiek ubrany był po kurdyjsku. Na głowie miał skórzaną czapkę, której kryzy były tak powyginane w kilku miejscach ku dołowi na kształt, że czapka owa przypominała polipa morskiego, wyciągającego ku dołowi oślizgłe swe macki. Ubranie rzekomego Kurda składało się ze skórzanych spodni i bluzy głęboko na piersiach wyciętej, z krótkimi po łokcie rękawami, spod których wysuwały się żylaste ręce. Na nogach miał obuwie, podobne do tego, jakie noszą turyści w górach. Czy miał ów obcy jakąś broń za pasem nie mogłem na razie zauważyć, bo siedział za stołem; obok tylko leżała długa prymitywna flinta. Sądząc z siwych zupełnie włosów, mógł liczyć około lat sześćdziesięciu, ale był dosyć jeszcze krzepkiej, okazałej budowy, świadczącej o doskonałym zahartowaniu i sile organizmu.

Halef wcale nie zwracał uwagi na tego gościa, bo zajęty był inną sprawą. Ku wielkiemu swemu zadowoleniu spostrzegł na kominie ognisko, z którego dym unosił się pod sufit i wychodził powoli otworami okiennymi.

— Wiesz co, effendi! — zagadnął mnie nagle. — Czyby się nie dało utworzyć z tych ruchomych ścian osobnego pomieszczenia dla nas? Jak sądzisz?

— Wcale niezła myśl.

— A może i drugi projekt ci się spodoba... Moglibyśmy tu również pomieścić i nasze konie. Byłyby blisko nas i wygodniej by miały, aniżeli tam wśród gnoju.

— Co takiego? — przerwał gospodarz. — Konie? Tu, w izbie? Allach dał wam widocznie bardzo mądre głowy, jeśli się w nich mogą rodzić podobne pomysły. Ależ to chyba kpiny?... Najpiękniejsze pomieszczenie mego domu, chlubę całej wsi i całej okolicy, zamienić na stajnię?... To już wyraźne żarty z mojej osoby... to...

— Zapłacimy — przerwał mu Halef.

— Nie trzeba mi waszych pieniędzy, bo mam ich więcej, niż obaj jesteście warci.

— O, czyżbyś był aż do tego stopnia bogaty?

— No, bogaty... nie, bo pieniądze należą do rządu paszy. Ściągnąłem je, jako haracz od mieszkańców tutejszego okręgu; będzie przeszło dziesięć tysięcy piastrów... Pewnie, że nie posiadacie takiej sumy...

— Głupcze! — odburknął Halef — jesteście bogatsi, niż ten twój pasza, a to, co posiadamy, jest naszą własnością podczas gdy z pieniędzy, które ty masz u siebie, nie wolno ci wziąć ani piastra. Ile żądasz za to, że urządzimy tu dla siebie odpowiednie pomieszczenie?

— A długo chcecie tu zabawić?

— Cztery dni.

— Dacie mi po dziesięć piastrów dziennie. A za wikt...

— Już my sobie wikt sporządzimy sami — przerwał Halef. — Idzie nam teraz głównie o nasze konie. Jeżeli się zgodzisz, byśmy je tu wprowadzili, dostaniesz razem po dwadzieścia piastrów za dzień. Zgódź się bez zbytnich ceremonii, bo zapewne nie miałeś jeszcze gościa, który ci płacił tak suto.

Oberżysta zgodził się oczywiście na warunki, mimo pozornego sprzeciwu, okazanego z początku, a jego towarzysz od butelki, ów gość podejrzany, dał się uprosić do pomocy w ustawieniu ścian, po czym Halef wprowadził konie, a umieściwszy je odpowiednio, kupił za dwa piastry kurę, zabił ją, oskubał, nadział na rożen i począł piec na ogniu. Ja tymczasem na jednej z wolnych ścian ruchomych, ułożonej na ziemi, rozesałem koc i położywszy się patrzyłem przez szparę na ludzi, którzy tu przychodzili podziwiać tak dostojnych gości, co mogli sobie pozwolić na kosztowny zbytek umieszczenia koni w izbie mieszkalnej. Zwracali się też z zapytaniami w tej sprawie do Halefa, który odpowiadał niechętnie, pogardliwie i z wielką przesadą. Gdy zaś wypowiedział moje nazwisko, ów gość w skórzanej czapce podniósł się nagle i zapytał:

— Czy to istotnie Emir Kara Ben Nemzi Effendi, który ongi uwolnił od nieprzyjaciół cały szczepek Haddedinów?

— Tak jest! To ten sam nieporównany wojownik, którego dotychczas nie pokonał żaden wróg i który sam jeden, wśród ciemnej nocy, wyszedłszy lwa, zabił go celnym strzałem w oko.

— I za to otrzymał on od Mohammeda Emina, szejka Haddedinów, tego wspaniałego wierzchowca w podarunku?

— Tak jest.

— Czy to ten właśnie rumak znajduje się tu za ścianą?

— Ten sam. Ale dlaczego o to pytasz?

— Bo słyshałem bardzo wiele o tym szlachetnym zwierzęciu i jego panu.

Po tych słowach położył znowu głowę na rękach, opartych o stół, i w tej pozycji pozostał przez dłuższy czas. Wreszcie podniósł się i powoli, niepewnymi krokami, wyszedł z izby.

W dziesięć minut później weszła do izby kobieta, która, jak się domyśliłem, była żoną gospodarza.

— Gość nasz odjechał w tej chwili. Czy wiesz o tym? — spytała żywo męża.

— Jakże mógł odjechać, skoro nie miał konia?

— Pojechał na naszym koniu...

— No, nie obawiaj się... Widocznie miał jakiś pilny interes do załatwienia i powróci wkrótce. Wiem, że ma tu zabawić kilka tygodni. Zresztą zostawił flintę na stole.

Tak zapatrywał się na sprawę odjazdu gościa nasz gospodarz.

Ja jednak byłem odmiennego zdania. Obcy ów człowiek rozmawiał z Halefem zupełnie przytomnie i nie zapominając, jak to mówią, języka w gębie. W ten sposób nie mówi człowiek pijany lub nawet choćby trochę podchmielony. Dlaczego jednak udawał pijanego wychodząc?

Zadawszy sobie to ciekawe pytanie, pomyślałem jednak, że mało mnie to obchodzić powinno, tym bardziej, że sam gospodarz niewiele się tym zainteresował. Zresztą Halef, ukończywszy swoje zajęcie przy kominku, przyniósł właśnie wcale nieźle przyrządzoną kurę i zabraliśmy się do jej spożycia z takim apetytem, że wkrótce zapomniałem o obcym.

Pod wieczór wyszliśmy na przechadzkę za wieś, z tą myślą, że natrafimy może na jakąś osobliwość, godną widzenia. Wróciwszy o zmierzchu, zastaliśmy gospodarza znowu przy kubku raki. Widocznie hołdował on zasadzie, że Mahomet zabronił wyznawcom jedynie wina, raki zaś wolno pić każdemu, ile zechce. Goście jego również widać byli tego samego zdania, bo razem z nim wypróżniali kubek za kubkiem, dopóki na nogach utrzymać się mogli, gdy zaś nie starczyło już trunku, rozeszli się do domów, jak który mógł, przeważnie jednak na czworakach. Wyszedł też i sam gospodarz na dziedziniec.

Po kilku minutach usłyszałem tak przeraźliwy ryk oberżysty, jakby mu kto rozpalone żelazo do pięty przyłożył. Wybiegliśmy, ciekawi co się stało. Gospodarz wbił palce obu rąk we włosy i wrzeszczał na całe gardło, klnąc żonę i czeladź, która przestraszona zbiegła się ze wszystkich kątów na dziedziniec zajazdu.

Należy zaznaczyć, że ten przed paroma jeszcze minutami nietrzeźwy człowiek odzyskał nagle przytomność. Prawdopodobnie więc zdarzyło się jakieś wielkie nieszczęście, pod którego wpływem pijanica otrzeźwiał. I istotnie ze słów jego dowiedzieliśmy się niebawem przyczyny niezwykłego alarmu: skradziono mu dziesięć tysięcy piastrów. W rozpaczy, nie wiedząc sam, co robi, chwycił bat i począł bić żonę oraz czeladź, posądzając ich o kradzież.



Poskoczyłem ku niemu i odebrawszy bat krzyknąłem:

— Zwariowałeś! Bijesz własną żonę i czeladź, jakby kto z nich winien był kradzieży!

— A tak! Któreś z nich ukradło z pewnością!...

— A ja cię zapewniam, że się mylisz. Lepiej byś zrobił, gdybyś samemu sobie kazał wymierzyć z kilkanaście batów!

— Ja? Sobie? Za co?

— Za to, żeś okradł samego siebie, tylko oczywiście nie własnymi, lecz obcymi rękami.

— Głupstwa pleciesz! Jakże bym to ja mógł okraść sam siebie?

— W bardzo prosty sposób. Dałeś złodziejowi możliwość kradzieży. Zapewne miałeś je dobrze ukryte?

— Tak.

— Czy żona wiedziała, gdzieś je schował?

— Nie.

— I nikomu z czeladzi również nie było wiadome to miejsce?

— No, tym bardziej nie wiedzieli o nim.

— A więc bardzo lekkomyślny człek z ciebie, bo przy szklance raki jesteś w stanie wszystko wygadać, o co cię tylko kto zapyta...

— Ja się z niczego nie wygadałem.

— Tak? A któż to wobec nas, zupełnie ci obcych ludzi, wspomniał, że ma dziesięć tysięcy piastrów w domu?

— Przecie nie wskazywałem wam, gdzie są schowane.

— Nam tego nie powiedziałaś, ale tajemnicę tę wydobył z ciebie prawdopodobnie ktoś inny... może ten, który uciekł stąd na twoim własnym koniu...

— Co prawda, nie widziałem go dotąd nigdy w życiu, ale on zapewniał mnie, że jest bardzo bogatym przedsiębiorcą z Serdacz i że przybył tu na kilka tygodni w celu kupna galasówek dla jakiegoś kupca z dalekich stron.

— Jesteś łatwowierny aż do głupoty — odrzekłem — bo czyż obecnie pora na zbiór galasówek?

Gospodarz umilkł, poczuwając się widocznie do zarzucanej mu przeze mnie lekkomyślności i głupoty.

— Ale zobacz, może twój gość wrócił już na twoim koniu, jak tego z góry byłeś pewny.

— Nie, dotychczas go nie ma.

— Oczywiście koń przepadł i... pieniądze również...

— Pie... pie... pieniądze?... Czyżby on był zdolny je ukraść?

— Tak przypuszczam.

— Dlaczego?

— Bo widocznie lubi pieniądze.

— No, któżby ich nie lubił! Ale z czego wnioskujesz, że on je ukradł?

— Udawał pijanego, będąc zupełnie trzeźwym, i w ten sposób chciał uśpić twoją czujność. Czy przypominasz sobie, o czym z nim mówiłeś, będąc podochocony trunkiem?

— Nie bardzo.

— Ale wspomniałeś mu o pieniądzach.

— No, tak, bo on sam jest bardzo bogaty i opowiadał mi, w jaki sposób przechowuje swoje skarby.

— Więc i ty jemu powiedziałaś, jak i gdzie przechowujesz swoje?

— No, tak.

— Wiedział zatem, gdzie były pieniądze schowane?

— Dokładnie nie, bo mówiłem mu o kilku schowkach.

— Widocznie przeszukał je wszystkie i... nie bez skutku. Znalazł kupę piasstrów, zagarnął je i wsiadłszy na twoją w dodatku szkapę uciekł, aby nigdy już tu nie powrócić.

— Nie strasz mnie, effendi! Przecie zostawił tu swoją strzelbę...

— Oj, naiwny głuptasie! Toż on umyślnie pozostawił ten kawałek bezwartościowego żelaza, aby na razie przynajmniej odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia. Zresztą, gdy ktoś kradnie dziesięć tysięcy piasstrów i konia w dodatku, to może z lekkim sercem zostawić w zamian okradzionemu flintę

wartości kilku piastrów.

Gospodarz pod wpływem nieszczęścia otrzeźwiał wprawdzie, a właściwie odzyskał władzę w członkach, ale umysł jego był zamroczony do tego stopnia, że nie mógł na razie pojąć mego rozumowania. Po długim dopiero rozważaniu zapytał mnie:

— Effendi, przyszła mi do głowy pewna myśl. Koło jamy, z której złodziej wygrzebał pieniądze, leży jakiś nóż... Cóż ty na to?

— Wziąłeś ten nóż?

— Nie wziąłem.

— Och, człowieku, jakież z ciebie dureń! Toż złodziej właśnie tym nożem odgrzebywał ziemię i jeżeli rozpoznasz, do kogo nóż należy, będziesz miał pewność, kto jest sprawcą kradzieży. Zaprowadź mnie tam, niech zobaczę.

— O, nie! Żaden człowiek nie powinien wiedzieć o mojej skrytce. Sam ci przyniosę ów nóż.

Nie miałem nic oczywiście przeciwko temu, choć śmieszny był ze swą spóźnioną ostrożnością i tajemniczością.

Pobiegł w jakiś zakątek, skąd skradziono mu pieniądze, my zaś weszliśmy do izby ubawieni naiwnością nieboraka.

Po pewnym czasie przyniósł nam ów zagadkowy nóż i mówił, zdziwiony wielce:

— Masz słuszość, effendi; nóż należy do owego zbiegłego draba. Przypominam teraz, że pokazywał mi, popijając raki, starą i bardzo kunsztowną robotę perską na rękojeści tego noża. *Sere men!* Na moją głowę! Tak, to on ukradł mi pieniądze! O Allachu! O proroku! O wszyscy prorocy! Jestem zgubiony, zrujnowany! A to łotr nad łotrami! Obdarł mnie ze skóry i znikł zbrodniarz... i już go pewnie nie zobaczę, ani też złota, które muszę przecie złożyć do kasy paszy. Ale skąd je wziąć? Chyba sprzedam wszystko co mam i zostanę żebrakiem. Co tu począć, effendi? Poradź mi!

— Hm! Żona twoja zauważyła w którym kierunku złodziej umknął. Gdyby nie noc można by go ściagać. Dognałbym go na swoim koniu, aczkolwiek spory już kawał złodziej zdołał ujechać...

— Zrób więc to, effendi! Proszę cię!

— Radbym uczynić ci tę przysługę, ale jest przecie zupełnie ciemno i nie zobaczę śladów. Trzeba zaczekać do rana, a przez ten czas będziemy mogli namyślić się, co czynić.

— Namyślić się? Co też ty mówisz? Toż drab tymczasem ucieknie jeszcze dalej! Nie! Ani jednej chwili nie stracę, ani też jemu nie pozostawię. Muszę odzyskać pieniądze! Muszę... za wszelką cenę! Wiem już, jak postąpić, i tak będzie najlepiej. Pobiegnę do nezanuma\* i opowiem mu wszystko; to mądry, doświadczony człowiek i sprytniejszy nie tylko od ciebie, ale od nas obu razem. On

natychmiast dopomoże mi do odzyskania pieniędzy. Idę do niego... idę zaraz...

I rozgorączkowany wybiegł z izby, a Halef wybuchnął za nim niepowstrzymanym śmiechem.

— Słyszałeś, sidi, jakie pojęcie ma o tobie gospodarz? Czy wpadłbyś na myśl żądania pomocy od zwierzchnika gminy Khoi, który przewyższa cię mądrością o całe niebo. No, no! Niech im Allah dopomoże szczęśliwie, ale mnie się zdaje, że pieniądze przepadły i szukać ich to szukać ziarenka piasku, rzuconego w jezioro.

Pomimo, że głupiec nie miał do mnie zaufania, żal mi go było, tym bardziej, że w tych okolicznościach nie mogłem mu nic poradzić. Ze spokojnym jednak sumieniem człowieka, mającego dobre zamiary, położyłem się za przegrodą i oczekiwałem powrotu gospodarza.

Po upływie godziny posłyszeliśmy parskanie koni na dworze. Halef wyszedł zobaczyć i powróciwszy po chwili rzekł:

— Nasze usługi uznane zostały za zbyteczne, sidi. *Nezanum* z gospodarzem i kilkoma innymi ludźmi pojechali na wschód, bo w tym kierunku podobno złodziej umknął. Życzę im wszystkim szczęśliwej podróży... Opowiadałeś mi nie raz, że ziemia jest kulistą bryłą; otóż, chcąc się dowiedzieć, czy ścigający złapali złodzieja, musielibyśmy tu pozostać aż do chwili, gdy powrócą, ale od zachodu, kulę ziemską objechawszy...

W tych ironicznych słowach mieściło się bardzo trafne rozumowanie małego Halefa, który, prawdę mówiąc, posiadał więcej inteligencji niż wszyscy mieszkańcy Khoi razem z jej naczelnikiem.

Ponieważ nie spodziewaliśmy się już dzisiaj powrotu gospodarza, a nie było nic lepszego do roboty, więc urządziliśmy sobie posłania i daliśmy znak koniom, by się również pokładły. Zwierzęta nasze, doskonale wytresowane, ułożyły się natychmiast; my jednak musieliśmy na razie zrezygnować ze snu, bo przybył jakiś nowy gość. Wołając na dziedzińcu za gospodarzem dość długo a bez skutku, wpadł do izby z hałasem i wymyślaniem, że nie ma komu należycie go obsłużyć. Potok słów i złorzeczeń przybysza wysechł dopiero na widok ogniska w izbie. Nie zastawszy jednak i tu żywej duszy, zajrzał do nas, a nie mogąc nic dostrzec w ciemności, zapytał:

— Jest tu kto w tej norze?

— Jest nas dwóch — odrzekł Halef.

— No to czemu nie wstajecie, próżniaki! Nie mam czasu ani ochoty czekać, aż będziecie łaskawi wstać i obsłużyć mnie, jak należy.

Znałem dobrze Halefa i wiedziałem z góry, jak się zachowa wobec tego grubiaństwa. Posiadał on bardzo szeroko rozwinięte poczucie honoru i nie dał sobie nigdy i nikomu grać na nosie. Obecnie milczał jak mur.

— No! jak długo mam czekać? — krzyczał obcy. — Jeżeli w tej sekundzie nie wylezicie z nory, wypędzę was stąd batogiem.

Halef milczał uparcie, a i ja nie odezwałem się ani słowem.

Obcy podszedł kilka kroków bliżej i, spełniając swą obietnicę, począł śmigać batem w powietrzu. Ze szmeru w pobliżu mnie wywnioskowałem, że w odpowiedzi na to Halef zerwał się z posłania. Wzrostem nie sięgał mu nawet do ramion, ale był tak krępy i zwinny, że mógł niejednego drągala, chełpiącego się siłą fizyczną, do nóg sobie rzucić. W walce otwartej umiał też Halef znakomicie władać bronią, ale dla tych, którzy go obrażali, miał specjalną broń, a mianowicie batog ze skóry hipopotama, nabyty jeszcze w Egipcie podczas naszej tam podróży. Nie czekałem długo, gdy dały się słyszeć szybko po sobie następujące razy owego hipopotamowego batoga, tak, że ich zliczyć nawet nie mogłem. Równocześnie zaś hałaśliwy przybysz począł wyc wniebogłosy.

— Allach! 1'Allach! Kto się waży tknąć mnie?... Co za śmiałość!... *el wail lak, meded aman, meded Allach, ej wah ojazykl*... Och, ratunku!... Biada ci!... Zamorduję cię!...

Z tych okrzyków w ciemności zaiste trudno było wnioskować, kto bił, a kto brał cięgi po grzbiecie. Co do mnie wiedziałem, że to mały lecz dzielny Halef ćwiczył grubianina. Ciekawą była okoliczność, że Halef sypał razy, jak z rękawa, a nie odzywał się podczas tej operacji ani słowem — przybysz zaś krzyczał różnymi językami — to po arabsku, to po turecku, z czego wywnioskowałem, że nie był Kurdem.

Poczuwszy wreszcie, że dalszych cięgów już nie wytrzyma, rozejrzał się gdzie uciekać i wreszcie oszołomiony i skatowany drapnął z izby. Rzecz prosta, Halef, wcale mu w tym nie przeszkadzał.

Dopiero, gdy awanturnik znalazł się poza naszą ścianą, gospodyni z kilkoma ludźmi z czeladzi, zwabiona krzykiem o ratunek, weszła nareszcie do izby.

— Ktoś ty? — wołał obcy — może żona gospodarza?

— Tak, jestem jego żoną.

— Gdzie mąż? Przywołaj mi go tu, a żywo!

— Nie ma go w domu.

— To poślij mi w tej chwili po *nezanuma*. Muszę się z nim natychmiast rozmówić!

— I jego również nie ma w domu.

— Co mnie to obchodzi? Musi być w domu, skoro ja go potrzebuję! Obito mnie tutaj i żądam, aby złoczyńcy, którzy się tego dopuścili, byli jak najsurowiej ukarani.

— Któż cię tutaj mógł obić?

— Psy, które sterczą tam, za tą przegrodą. Jesteś tu gospodynią, więc możesz im rozkazać, aby powyłazili stamtąd.

— Wątpię, aby mnie usłuchali — rzekła z zakłopotaniem. — Nie należą oni do tego domu; są to

obcy, którzy zamieszkali u nas czasowo tylko.

— Obcy? Tym gorzej. Od kogoś z miejscowych ludzi zniósłbym może tego rodzaju zniewagę, ale od jakichś przybłądów przenigdy! Co to za jedni?

— Jeden z nich jest emirem effendim z Zachodu, a drugi hadzim. Nazwisko jego jest tak długie, że żadną miarą nie mogłam go zatrzymać w pamięci.

— A niechże sobie będzie dłuższe jeszcze tysiąc razy, to mi wszystko jedno... Łajdacy muszą być przykładnie ukarani! Każdy zwykły śmiertelnik wie, że zniewagę można tylko krwią zmasać; ja zaś, człowiek wyższy ponad szary tłum, ulubieniec Allacha, potomek proroka i badacz drogi wiodącej do nieba, tym bardziej muszę mieć za zniewagę zadośćuczynienie. Wywołaj więc natychmiast tych łotrów, abym mógł ich ukarać...

— Poprosić mogę, ale nie wiem, czy się to na co przyda — rzekła kobieta, zbliżając się do przegrody.

Zbytecznym jednak było wzywać nas, bo Halef wyskoczył na środek izby z batogiem w rękę i stanąwszy tuż przed obcym rzekł:

— Oto jestem, ja, hadzi z długim nazwiskiem. Jeżeli żądasz zadośćuczynienia, jestem gotów dać ci je, ale tylko w taki sposób, jak to czynię w podobnych wypadkach, co może być dla ciebie bardzo nieprzyjemne... Poznałeś zresztą przed chwilą dokładnie moją metodę zadośćuczynienia...

„Ulubieniec Allacha” był to młody, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna o wyglądzie ascetycznym i pięknych rysach twarzy, z długą brodą. Mogłem go dobrze zaobserwować, bo w tej chwili stał w świetle, padającym z kominka. Oczy jego, nieco zezowate, psuły jednak harmonię rysów. Wzrostem przewyższał Halefa o całą głowę. Z barwy turbanu można było wnioskować, że zalicza się do następców proroka. Zza pasa sterczały mu noże i pistolety.

Mimo tak doskonałego uzbrojenia, człowiek ten, jak widzieliśmy, wcale nie po męsku zachował się względem Halefa, gdy ten począł go okładać swym batogiem; widocznie słabego był ducha. Teraz obrzucił Halefa groźnym od stóp do głowy spojrzeniem i rzekł:

— Widzę w twej ręce bat. Czyżbyś był tym śmiałkiem, który odważył się bić mnie?

— No, bić biłem, ale o odważeniu się mowy być nie może...

— Milcz, psie! Chcesz mnie obrazić po raz wtóry? — krzyknął „ulubieniec Allacha”, postępując parę kroków ku Halefowi.

Ale mały człowieczek podniósł groźnie batog do góry i rzekł:

— Jeżeli jeszcze raz usłyszę z twoich ust słowo „pies” skierowane do mnie otrzymasz tym oto rzemieniem ze skóry hipopotama taką pręgę na gębie, że przez dziesięć lat nie będziesz się mógł pokazywać pomiędzy ludźmi! Bo, proszę, coś ty za jeden, że możesz w ten sposób mnie traktować? Jak się nazywasz? Jak brzmi imię twego ojca, twoich obu dziadków i wszystkich czterech

pradziadków twoich?

— Dowiesz się o tym natychmiast. Nazywam się Sali Ben Akwil, sławny opowiadacz wędrowny prawdziwej wiary, która nam zwiastuje zmartwychwstanie i powrót na ziemię proroka.

— Więc sam uważasz się za sławnego? — zaśmiał się Halef. — No, no! Zwiedziłem już wiele krajów od wschodu do zachodu słońca, ale z nazwiskiem Sali Ben Akwil, mimo, że brzmi tak pobożnie i pięknie, nie spotkałem się nigdzie... Moje zaś imię brzmi: Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn Hadzi Dawud al Gossarah!

Wędrowny kaznodzieja, słysząc to kilometrowe nazwisko, cofnął się krok w tył, zrobił minę wielce zdziwionego i zapytał:

— Hadzi Halef Omar? Więc należysz do szczepu Haddedinów?

— Tak.

— Ty więc jesteś owym zuchem, który podróżował z pewnym niewiernym effendim, co zwyciężył w „Dolinie stopni” wszystkie ludy, nastawające na Haddedinów? Nieprawdaż?

— Tak jest.

— I wiesz zapewne, gdzie się znajduje obecnie ów chrześcijanin?

— Wiem.

— Gdzież go więc szukać?

— Tam, za przegradą.

Sali Ben Akwil cofnął się jeszcze krok w tył, podniósł ręce w górę z wielkiego zdziwienia, i omal nie uwierzyłem, że zdziwienie to jest wyrazem przyjaźni dla mnie.

— Jak się on nazywa? — zapytał.

— Jest to sławny i niezwyciężony Emir Hadzi Kara Ben Nemzi Effendi.

— Sahi, sahi!... Istotnie, istotnie! Słyszałem to nazwisko. Chciał coś mówić jeszcze, ale połknął słowa, będące już, jak to mówią, na końcu języka, i począł chodzić po izbie od kąta do kąta, jakby namyślając się nad czymś. Otrzymana o mnie wiadomość poruszyła go widać do głębi, wywołując jakieś postanowienie, bo robił wrażenie silnie podnieconego. Niebawem zwrócił się znowu do Halefa ze słowami, ale w innym już niż dotychczas tonie:

— Słuchaj, Hadzi Halef Omar! Obiłeś mnie, a więc wyrządziłeś zniewagę, którą jedynie śmierć mogłaby okupić. Mimo to radbym ci przebaczyć, gdyż ja pierwszy porwałem się do bitki, a żem w ciemności nie trafił, to nie zmienia postaci rzeczy. Słyszałem o czynach twoich i twego chrześcijańskiego emira i podziwiani was tak bardzo, że niczym byłaby dla mnie rozkosz rajy wobec

przyjemności, jaką by mi sprawił emir, gdyby zechciał pomówić ze mną. Proszę cię więc, idź do niego i powtórz moje słowa, a może się skłoni udzielić mi posłuchania. Czy uczynisz to dla mnie?

Nie podobał mi się, mówiąc nawiasem, ten apostoł islamu. Uprzejme słowa, na które zdobył się tak nagle, zastanowiły mnie i kazały strzec się tego człowieka. Przysiągłbym, że pod maską owej uprzejmości krył się jakiś podstęp.

Mój dzielny Halef nie znał się jednak na ludziach, a serce miał bardzo wrażliwe na wszelkie pochlebstwa, zwłaszcza, jeżeli polechtano go pochwałą jego „sławnych czynów”, jakkolwiek nie był tak próżny i chełpliwy, jak na przykład „łamacz kości” lub „największy bohater świata” — Selim. Halef doświadczył u mego boku wielu przygód, a sprawował się zawsze wzorowo; gdy się zaś zważy niski stopień jego kultury, obyczajów wschodnie i inne okoliczności, nie można się dziwić, że człowieczek ten uważał się za coś więcej, niż był w rzeczywistości, i łatwo dał się brać na słodki lep pochlebstwa. Podziałało ono widocznie na Halefa i teraz, bo odrzekł bez namysłu:

— Dobrze, uczynię zadość twej prośbie i wezwę tu effendiego.

— Czy tylko zechce przychylić się do twego życzenia?

— Jestem tego pewny. Nie uczyniłby mi tej przykrości, aby odmówić.

Ano, nie pozostało mi nic innego, jak tylko wyjść z za przegrody dla zobaczenia się z „ulubiericem Allacha”, pomimo, że byłem najmocniej przekonany o wrogim jego dla nas usposobieniu. Nie ulegało wątpliwości, że knuł on względem nas jakieś nieprzyjazne zamiary i chciał niezwłocznie w czym je wprowadzić. Korciło mnie przejrzeć te plany, a że zawsze lepiej jest wyjść na spotkanie niebezpieczeństwa, niż czekać go z założonymi rękoma, więc wstałem i uprzedzając prośbę Halefa wyszedłem z za przegrody.

Sali Ben Akwil, ujrawszy mnie, podszedł bliżej skrzyżowawszy ręce na piersiach, skłonił się głęboko i rzekł:

— Niech cię w zdrowiu zachowa i błogosławi Allah, emirze! Nawet w godzinę śmierci nie zapomnę owej chwili, w której miałem zaszczyt ujrzeć cię po raz pierwszy, a która zaliczać się będzie do najpiękniejszych w moim życiu.

Stał w nachylonej postawie, oczekując mej odpowiedzi. Wiedział, że jestem chrześcijaninem i że jemu, jako muzułmaninowi, nie wolno było pozdrawiać mnie w ten sposób. A przecież był nie tylko muzułmaninem, ale nawet kaznodzieją, więc tym bardziej powinien wstrzymać się od takiej formy powitania. Zastanowiło mnie to, ale oczywiście nie dałem tego poznać po sobie i odrzekłem:

— Podnieś głowę! Mężczyźni mogą rozmawiać, patrząc sobie nawzajem prosto w oczy.

— Ty jesteś sławniejszy! — odparł, wyprostowując się z wolna, a w oczach jego przebijała niezwykła pokora.

— Co według twego pojęcia jest sławą? Jedna tylko istota na świecie jest sławną: Bóg, gdyż imię Jego rozbrzmiewa po wszystkich krajach, a chwała Jego sięga do wszystkich słońc i wszystkich



gwiazd w nieskończoność i na wieczność. Jeżeli jakiś człowiek więcej zdołał, niż drugi, to nie ma jeszcze powodu do chępcenia się tym, gdyż czyni to z woli Boga oraz z Jego pomocą i łaską.

— Ze słów twoich przebija mądrość i pokora zarazem. A mimo to wiem, o ile wyższy jesteś ode mnie. Czy mi przebaczysz, że przeszkodziłem ci w zasłużonym odpoczynku?

— Co do przeszkodzenia w spoczynku, stało się to wśród niezwykłych okoliczności... Ale nie chcę w to wchodzić, tym bardziej, że porozumiałeś się już w tej sprawie z Halefem Omarem. Twój bat zaczął, jego odpowiedział, no, i... nie mówmy o tym więcej.

— Słyszałem — mówił dalej z udaną grzecznością, rzucając ku mnie przelotne a wielce wymowne spojrzenie — że masz zamiar pozostać tu dłużej, wobec czego możesz rano wynagrodzić sobie stracony z mojej winy czas spóźnionej rozmowy. Pozwól mi więc prosić cię dla bliższego obopólnego poznania się, abyś uważał się przy wieczerzy za miłego mi gościa.

— Myśmy już wieczerzę swą spożyli — wymawiałem się.

— Rozumiem cię, emirze — odparł, rozglądając się po brudnej i niechlujnej izbie. — Moje sakwy u siodła są wszakże o tyle schludne, że możesz śmiało zdecydować się na skromny posiłek, który wspólnie spożyjemy. Pozwól, że przyniosę swe zapasy, a zarazem umówię się z tą kobietą co do mego pobytu tutaj.

Wyszedł, dając znak kobiecie, by udała się za nim. Gdyśmy pozostali sami w izbie, Halef zapytał:

— Czy spodziewałeś się, sidi, aby tak grubiański i bezwzględny *ben el waswahka*\* przemienił się tak nagle w oddanego i życzliwego nam *sibd el adaba*?

— Owszem, wziąłem to pod uwagę i przypuszczam, że musi mieć ku temu swoje powody. Ty, kochany Halefie, byłeś synem i wnukiem nieprzezorności, gdy przyrzekałeś mi, że przywołasz mnie.

— Dlaczego?

— Bo człowiek ten żywi względem nas jakieś podejrzaney treści zamiary, które spodziewam się niebawem odgadnąć.

— Jednak życzył ci błogosławieństwa Allacha...

— Apostoł islamu życzył błogosławieństwa chrześcijaninowi! Pomyśl nad tym, Halefie!

— *Kuli' szejetin!* Wszyscy diabli! A ja z uciechy, że się tak przyjaźnie względem nas zachował, nie zauważyłem tego! Cóż jednak złego może on nam wyrządzić? Nie znamy go... niczym go nie obraziliśmy...

— Ale on nas zna. A zwykle tak bywa, że więcej się ma nieprzyjaciół spośród tych, którzy nas znają, niż wśród ludzi obojętnych. Zważ tedy, że my, pomagając Haddedinom usposobiliśmy wrogo względem siebie wszystkich pokonanych ich nieprzyjaciół i że nie raz w ciągu naszej podróży musieliśmy się strzec tych zdecydowanych wrogów naszych. A nie jest wykluczone, że ów Sali Ben

Akwil należy właśnie do naszych przeciwników.

— Ty zawsze masz słuszość, sisi. Jak wobec tego uczynimy? Może udać się na spoczynek i zachować się w ogóle tak, jakby ów „ulubieniec Allacha” wcale się tu nie pojawiał?

— O, nie! To byłoby najgorsze. Sam przecież fakt, żeś go haniebnie oćwiczył wystarcza, aby zapragnął zemścić się na nas. A dodaj jeszcze obrazę wskutek naszej odmowy na jego zaproszenie do wieczerzy; wszak to również wpłynie ujemnie na jego usposobienie. W ogóle po tym fanatycznym wyznawcy islamu możemy się spodziewać najgorszych rzeczy.

— Może więc byłoby lepiej zachować się wobec niego sztywno i chłodno, aby sam zechciał jak najprędzej obrzydzić sobie nasze towarzystwo?

— I to nie, bo w takim razie i on byłby również chłodny i małomówny, a mnie zależy na tym ogromnie, by go wybadać i przejrzeć na wskroś. Musi on nabrać przekonania, że wierzymy mu zupełnie i ufamy. Należy więc skorzystać z jego zaproszenia do wieczerzy. Podczas niej ty musisz o ile możliwości milczeć, a ja będę rozmawiał z nim, z zachowaniem, rzecz prosta całej przeczności.

Wiedziałem, że milczenie było dla Halefa przyzwyczajonego do ciągłego mówienia zbyt wielką ofiarą, to też życzenie moje wypowiedziałem w tak stanowczym tonie, że biedak nie zdobył się ani na jedno słowo protestu. Porozumieliśmy się w porę, bo w tej chwili wszedł do izby Sali Ben Akwil w towarzystwie jednego służącego, niosącego wypełnione sakwy.

— Przyniosłem tu wieczerzę, emirze — rzekł — którą możemy śmiało i bez wstrętu spożyć... bo i ja jestem przyjacielem schludności, a nauczyłem się tego w wielkich miastach, gdzie gościom nie psuje się apetytu niechlujstwem, lecz właśnie zachęca się ich do jedzenia czystością i dobrym przyrządzeniem posiłku.

Odebrał od parobka torby, a odprawivszy go, wyłożył na stół placki, mięsivo i owoce. Wyglądało to istotnie tak czysto i zachęcająco, że Halef przysiadłszy się natychmiast, wydobyl nóż, a i ja poszedłem za jego przykładem. Jedząc, zagadnąłem obcego:

— Powiadasz, że bywałeś w wielkich miastach? Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, w jakich mianowicie?

— Zwiedziłem wszystkie kraje padyszacha i nawet całą Persję, gdyż wędruję od miasta do miasta, oznajmiając wiernym, że bliski już jest czas przyjścia „obiecanege”.

— A skądże ty wiesz o tym?

— Mówi mi to we dnie i w nocy mój własny głos wewnętrzny. Ale ty, jako chrześcijanin, nie możesz tego zrozumieć ani pojąć. Powiem wam raczej o miastach, w których przebywałem przez dłuższy czas, oddając się studiom nad koranem.

— W których to miastach przebywałeś?

— Z początku byłem w Persji, bo kraj ten leży w sąsiedztwie mojej ojczyzny. Uczyłem się w

Teheranie i Ispahanie, ale ze względu na „psy”, to jest szyitów, których niech Allah wytepi, musiałem uchodzić stamtąd po upływie zaledwie roku i powędrowałem do Stambułu. Tam znalazłem bardzo mądrych i pobożnych nauczycieli, ale i oni nie byli tymi, jakich poszukiwałem, więc przedsięwzięłem stąd podróż z wielką *hadż*\* do świętych miast Mekki i Medyny. W Mekce nabyłem koran, który noszę na piersi, jak to czyni każdy *hadzi*. W Medynie pozostawałem czas dłuższy, ucząc się u sławnego *muderriego*\*; wykłady jego umiem prawie na pamięć.

Tu Halef nie mógł już dłużej wytrzymać i ozwał się:

— Taki sam koran jaki nabyłeś w Mekce, ma również mój... Chciał powiedzieć, że ja posiadam również koran, który mogłem oczywiście nabyć jedynie w Mekce — wiadomo zaś, że tam, według praw mahometariskich, nie wolno stanąć nogą żadnemu chrześcijaninowi, a nie chciałem, aby „ulubieniec Allacha” wiedział o przekroczeniu przeze mnie tego prawa. Przerwałem więc szybko Halefowi, rzucając pytanie:

— Czy nie byłbyś tak łaskaw pokazać mi swój koran? Sali odwiązał książkę i wręczając mi ją rzekł:

— Właściwie tej świętej księgi nie powinny dotykać ręce niewiernego i jeżeli prośbie twej nie odmawiam masz dowód, jak wysoko cię cenię.

Koran znam tak samo dobrze, jak naszą biblię. Prosząc o pokazanie egzemplarza, nie czyniłem tego dla zobaczenia, jak w ogóle koran wygląda, lecz z innego powodu, a mianowicie — chciałem się przekonać, czy Sali był istotnie *szeryfem*\*. Nie znalazłszy w książce odpowiedniej uwagi, ani też pieczęci, zapytałem:

— Czy wiesz o tym, że spisy z nazwiskami wszystkich *szeryfów* muszą być odsyłane co roku z wielką *hadż* do Mekki?

— Wiem.

— I wiesz zapewne, że nazwisko każdego *szeryfa*, który uzyska koran, musi być urzędowo w tej księdze uwidocznione.

— Oczywiście, że wiem, skoro jestem *szeryfem*.

— A dlaczego w tej księdze nie ma twego nazwiska? Teraz dopiero spostrzegł do czego zmierzam, i odpowiedział, ukrywając zrećnienie zakłopotanie:

— Zapomniałem zaopatrzyć ją podpisem wielkiego *szeryfa* i pieczęciami. Ukończywszy naukę u *muderriego* w Medynie, udałem się do *Kahiry*\*, do najslawniejszego na świecie uniwersytetu przy meczecie Azhara. Było tam przeszło osiem tysięcy *laleba*\*, a między nimi wielu, którzy oddawali się naukom z niezwykłym zapalem. Ci zaprowadzili mnie do pewnego *muderriego*, który głosił naukę o Mahdim. Zostałem więc jego uczniem i jemu też zawdzięczam, że mogę dziś głosić po wszystkich krajach przyjście „obiecane”.

Mówił to z taką zarozumiałością i emfazą, że nie mogłem się powstrzymać od dania pyszałkowi

małej nauczki.

— Widzę teraz — rzekłem — jak sławny jesteś i dostojny w hierarchii mahometańskiej. Czy nie mógłbyś mnie objaśnić, która okolica i w ogóle miejscowość wsławiła się twym urodzeniem i ma zaszczyt być ci ojczyzną?

Pytanie to nie było mu na rękę. Chwilę rozważał, zanim wycedził niepewnym głosem:

— Urodziłem się w El Damijeh, w Egipcie.

— Szczególne! A ja byłbym się założył, że należysz do Kurdów.

— Dlaczego?

— Przede wszystkim wskazuje to twój sposób mówienia przez gardło, co zauważyć można jedynie u Kurdów, a ponadto sam wspomniałeś przedtem, że Kurdystan jest twoją ojczyzną.

— Ja wspominałem? Kiedy? — pytał, bardziej zakłopotany, aniżeli zdziwiony.

— Mówiłeś, że Persja jest najbliższym krajem twojej ojczyzny, a właśnie najbliższej sąsiaduje ona z Kurdystanem.

— Któżby brał słowa moje tak ściśle! Przecież to nie koran, emirze! Pochodzę naprawdę z El Damijeh, a przez Kurdystan wędrowałem kilka razy i nie jestem tu tak znany, jak ty na przykład...

— Hm, tak sądzisz?

— Oczywiście, jeżeli wszędzie opowiadają o twoich przygodach...

— O jakich?

— O wszystkich... że wymienię tylko walkę z Kurdami Bebbej.

— O, to największe łotry pod słońcem.

Użyłem tych dosadnych słów umyślnie, by zobaczyć, jakie wrażenie wywołają one na Salim. I istotnie fala krwi uderzyła mu do twarzy.

Spostrzegłszy moje badawcze spojrzenie, spytał szybko dla odwrócenia uwagi:

— Znałeś ich szejka?

— Gasala Gaboya?

— Tak.

— Owszem, poznałem go. Był to najnędrniejszy z łotrów. Widziałem, że Sali z trudnością powściąga gniew, a mimo to w głosie jego można było dosłyszeć ton wzburzenia, gdy pytał dalej:

— Czy przypadkiem nie z twojej ręki on zginął?

— Z mojej nie, bo nie miał odwagi stanąć ze mną do walki. Padł od kuli jednego z moich towarzyszy.

Zamilczałem oczywiście, że towarzyszem owym był Hadzi Halef Omar. Dowiedziawszy się, co mi było potrzeba, uważałem za zbyt dalsze wypytywanie. Sali Ben Akwil był bez zaprzeczenia „batogiem muzułmańskim” i pod tym względem nie okłamał nas, tając natomiast przed nami swoje pochodzenie. Byłem atoli najmocniej przekonany, że należał do gałęzi Bebbej, jednego z plemion kurdyjskich, a nawet prawdopodobnie był krewnym poległego Gasala Gaboya.

Wobec tego postanowiłem mieć się przed nim na baczności, bo „zemsta krwi” nigdzie tak surowo nie jest przestrzegana, jak właśnie u tych szczepów kurdyjskich.

Sali jakby odgadł moje myśli, bo bezpośrednio po moich słowach rzekł:

— Szejk szczepu Bebbej padł jednak w walce z tobą, a obojętne jest, czy od twojej kuli, czy też od kuli któregoś z twoich podkomendnych. Tym sposobem naraziłeś się na zemstę krwi, i dziwię się, że ważyłeś się powrócić teraz w te okolice.

— Byłem tu już potem kilka razy.

— Naprawdę? No, no! Że nie jesteś lekkomyślny, wiem o tym, ale w takim razie przyznać muszę, że posiadasz szaloną odwagę. Dziękuj Allachowi, że cię uchronił od straszliwej *tar\**, i proś go, by ustrzegł cię na przyszłość. Gdyby bowiem, który z krewnych Gasala Gaboya zetknął się z tobą, byłbyś w poważnym niebezpieczeństwie.

— No, tak; jeden z nas dwu musiałby zginąć: ja albo on.

— Ty byś zginął, emirze, nie on! Jesteś tu obcy i źle czynisz, nie biorąc tej okoliczności pod uwagę. Ba, nie tylko jesteś obcy; zważ, żeś chrześcijanin. A wiemy bardzo dobrze, że chrześcijanie uważają się za coś pod każdym względem lepszego, coś wyższego od wyznawców innej wiary, że tylko swoją wiarę mają za prawdziwą i swoje jedynie obyczaje za dobre i szlachetne. Ty sam, aczkolwiek nie potwierdziłbyś tego w tej chwili słowami, zdradzasz to zachowaniem. Wy, chrześcijanie, jesteście uczuciowi, litościwi, ludzcy, ale też i nazbyt ufni w swoje siły i we własne szczęście. Co innego muzułmanin. On wie, co to jest zemsta krwi i dlatego, gdyby popełnił coś takiego, jak ty, noga jego nie powstałaby już więcej w tym kraju. Jako chrześcijanin nie znasz korami, ani praw, wedle których rządzi się ludność miejscowa. Tobie się zdaje, żeś jest niepokonany, że zabezpieczony jesteś przed nożem lub kulą jak skóra smoka z bajki; ba, w zaślepieniu chrześcijanina sądzisz nawet, że żaden Kurd nie śmiałby podnieść na ciebie ręki, gdyż jesteście pod ochroną waszych *kanasil\**, którzy obowiązani są czuwać nad wami, jak nad dziećmi. Ale twoja pewność siebie zniknie natychmiast, skoro staniesz oko w oko z wykonawcą prawa „zemsty krwi”. Wówczas nie będzie już dla ciebie ratunku i nie będzie wątpliwości, który z was dwóch zginie; zginiesz jedynie ty sam. Wówczas i twój Bóg ci nie dopomoże. Ziemia rozstąpi się pod tobą i zapadniesz się na dno *dzehenny*, gdzie wszyscy chrześcijanie i inni niewierni cierpią męki przez wieki wieków. A tam my,

wierni proroka, będziemy panowali nad wami, jako sędziowie nad niebem i piekłem, nad życiem i śmiercią, nie wzruszeni waszym jękiem i skargami i waszym żalem, żeście byli tak ciemni i nie uwierzyliście w boskie posłannictwo Mahometa i żeście się nie wyrzekli kłamliwej nauki chrześcijańskiej dla islamu, który doskonałością swoją sięga niebiosów.

Mówił z początku łagodnie, a potem, stopniując siłę mowy coraz bardziej, wpadł wreszcie w fanatyczny niemal zapał, który promieniował z jego twarzy, a oczy błyszczały mu jak ogniki.

Przyznałem w duchu, że posiadał wszelkie warunki na wędrownego kaznodzieję islamu — zdolność przekonywania, dar pięknej wymowy i fantazję — ale też zarazem mierne wykształcenie, brak logiki i, *last not least*\*, zupełną nieznamość zasad innych religii.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, dodał po chwili:

— Milczysz... Przytłoczyła cię prawda słów moich... Istotnie, święty islam jest słońcem, wobec którego gasną wszystkie *szemat ed duhun*\* innych religii, niknąc wreszcie, jak błędne ogniki nad bagnem. Poważany tu jesteś jako sławny emir i wielce uczony effendi z Zachodu, i dlatego nosisz głowę wysoko i dumnie; ale czymże jest cała twoja sława i uczoność wobec mojej mowy! Tak samo, gdyby tu, do Kurdystanu, przyszły z Zachodu walczyć z nami uzbrojone ludy twoje, padłyby w proch, błagając o łaskę i zmiłowanie.

Nie miałem zamiaru dysputować z nim na temat islamu, gdy szło mi o co innego, a mianowicie o dowiedzenie się od niego rzeczy, które dotyczyły mnie osobiście. Gdy jednak z powodu mego milczenia oświadczył, że uważa mnie za pokonanego, musiałem zabrać głos, aby go wyprowadzić z błędu:

— Czcigodny Sali Ben Akwilu! Zaczynam wątpić, czy masz zmysły w porządku, skoro przypuszczasz że milczenie moje spowodowane zostało twoją gadaniną. Znałe ci jest zapewne przysłowie: *Se dere' i karwan dibehure* — pies szczeka, a karawana kroczy dalej.

— Znam je — odrzekł, nie przeczuwając, do czego zmierzam.

— A to drugie: *Ei ku tifbeke ber ba'i, tifdike ru'i chu* — kto pluje przeciw wiatrowi, pluje zazwyczaj sobie samemu na twarz.

— I to znam również.

— A więc dowodzi to, że znasz doskonale język kurdyjski, pomimo, że utrzymywałeś przed chwilą, jakbyś się urodził w El Damijeh! Zdaje ci się, że mowa twoja przygniotła mnie do ziemi; ale zapewniam cię, że karawana mimo psiego szczekania poszła spokojnie dalej. Plułeś ku mnie, a ślina na twojej została twarzy.

— Licz się ze słowami, emirze, i nie mów tak do mnie, gdyż znam wszystkie nauki i prawa islamu!

— Daj pokój! — odrzekłem, machnąwszy lekceważąco ręką. — Powiem ci, że znasz jedynie naukę koranu, i to ledwie powierzchownie... poza tym nic, nic! Wywnioskowałem to właśnie z twojej mowy, która mnie tak bardzo... „przytłoczyła”, iż wiem już teraz, co sądzić o twojej

znajomości nauk; bardzo nieszczególnie znawstwo... Bo co się tyczy tutejszych obyczajów i praw, to znam je lepiej, niż ty. Twierdzisz, że chrześcijanie udają się, jak dzieci, pod opiekę konsulów. Jeżeli to ma być prawdą, to wskaż mi choć jeden przypadek, w którym bym uciekał się pod opiekuńcze skrzydła konsula! Albo dowiedz mi, że okazałem kiedykolwiek, bodaj raz w życiu, słabość i nieporadność dziecka... Ja ci natomiast mogę udowodnić, że wielu, bardzo wielu muzułmanów nie byłoby dziś pośród żyjących, gdyby nie moja dla nich pomoc, a więc pomoc chrześcijanina. Weźmy choćby takich Kurdów ze szczepu Bebbej! Oni wiedzą najlepiej, czy jestem słaby, tchórzliwy i nieporadny. Idź do nich, a powiedzą ci, jak wielką trwogą przejmują ich samo moje nazwisko... Są między nimi...

— Kłamiesz! — przerwał mi gniewnie. — Bebejowie są bohaterami, którym obcą jest trwoga, a zwłaszcza trwoga przed tobą...

— Ani słowa więcej! — krzyknąłem tonem gromkiego rozkazu. — Należysz zapewne do nich, skoro z takim zacięciem stajesz w ich obronie... Zdradza cię to dostatecznie... Nie pochodzisz z Egiptu, ale jesteś tutejszy. Przekonałem mnie już o tym i ostrzegam cię, abyś mi nie dał sposobności do dalszego rozpatrywania twoich skrytych myśli, gdyż mogłoby się to skończyć bardzo źle dla ciebie. Co się tyczy twojej bardzo naiwnej gadaniny i jeszcze naiwniej szych twierdzeń to szkoda czasu zastanawiać się nawet nad nimi. Abyś jednak wartość ich sam ocenił, przypomnę ci szczegóły.

Tu powtórzyłem jego twierdzenia punkt za punktem, wykazując ich niedorzeczność i bezsensowność. A skutek był taki, że „przytłaczający” krasomówca umilkł, nie znajdując nic na swoją obronę.

Wówczas zwrócił się do mnie mały Halef:

— Ano, sidi, zdarzyło tu się to samo, co ongi mnie i zresztą wszystkim, którzy mieli odwagę wszcząć z tobą dysputę religijną. Ale czy pamiętasz, kochany effendi, ile zadałem sobie trudu w początkach naszej znajomości, a nawet i później, chcąc cię nawrócić na wiarę mahometańską?

— Pamiętam — odrzekłem, śmiejąc się.

— Widzę, czytam w twych oczach, że drwisz sobie ze mnie w duchu. I masz zupełną słusność. Kto by cię chciał odwieść od twej wiary, ten byłby podobny do *himara*\*, usiłującego przekonać *nizra*\*, że lepiej jest mieszkać w cuchnącej stajni niż na wyżynach górskich, w wolnym, czystym powietrzu, kędy złoto promieni słonecznych roztapia się co rana i wieczora w królewską purpurę!

— Człowieku! — przerwał mu ostro kaznodzieja — czyżbyś miał chęć porównywania mnie z osłem?

— A! To o tobie mówiłem? — odparł spokojnie Halef. — Mnie się zdawało, że miałem na myśli tylko tych, którzy, posiadając zaledwie odrobinę oświaty, usiłowali uczyć mego effendiego, umiejącego na pamięć wszystkie księgi religii całego świata. Jeżeli słowa moje dały ci wrażenie, że mówiłem o tobie, nie moja w tym wina.

— Jesteś muzułmaninem?

— Oczywiście.

— A mimo to przemawiasz w obronie chrześcijanina...

— Allah! Ja w jego obronie nie tylko mówiłbym dzień i noc, ale z rozkoszą kazałbym mówić także memu koniowi, mojej flincie... On jest tym orłem, który nauczył mnie szybować pod obłokami i tam mi jest dobrze. A jeżeli komuś wygodniej siedzieć w błocie, to nie myślę sprzeciwiać się temu... nie chcę tylko, aby mi kalał czyste powietrze!... Nie ścierpię tego!...

Słowa te brzmiały jak groźba. Przyznać trzeba, że mały zuch umiał znakomicie ironizować i wydrwić przeciwnika. Spostrzegł to Sali i postanowił zakończyć dysputę, nie wdając się z nami w dalsze rozprawy teologiczne. Widoczne to było, że nie chciał do reszty stracić opinii w naszych oczach.

— Ależ mnie ani się śniło napadać na twego effendiego — rzekł. — Może on sobie pozostać chrześcijaninem; mnie nic do tego. Ja mam swoją religię i wierzę w proroka, którego Allah wyniósł nad wszystkie nieba.

— Ba, ale mówiłeś tu nam nie tylko o religii; przypomnij sobie żeś nam groził zemstą krwi...

— Ja? Nieprawda! Ja czczę effendiego i podziwiam go dla jego wielkich czynów i z tych właśnie pobudek pozwoliłem sobie ostrzec go przed niebezpieczeństwem.

— Otóż pamiętaj na przyszłość, że kto ma dobre serce, a złośliwy język, z tym nie warto się zadawać. Zaprosiłeś nas do wieczerzy, jesteśmy więc twoimi gośćmi; a z gośćmi przecież postępuje się inaczej.

— Słusznie mówisz. Nie miałem najmniejszego zamiaru sprawienia wam jakiegokolwiek przykrości i jeżeli powiedziałem niechcący ostre słowo, które was dotknąć mogło, to przepraszam za to najserdeczniej. Jestem tak wyczerpany długą podróżą, że istotnie nie wiem czasem, co mówię.

Słowa te brzmiały tak szczerze, iż naprawdę można im było w zupełności uwierzyć. Mimo to nie dałem się wziąć na ich lep. Człowiek, który z fanatycznej, gwałtownej ekstazy wpada od razu w stan jagnięcej niemal łagodności i prosi w pokorze o przebaczenie, należy do tych, co umieją nad sobą panować; a z takimi liczyć się trzeba i mieć się na baczności. Wobec zmiany frontu ze strony Salego i ja również stałem się dla niego uprzejmy, przynajmniej powierzchownie, a niebawem, korzystając z jego wzmianki o zmęczeniu, podziękowaliśmy mu za gościnność i cofnęliśmy się za ścianę na swoje legowiska. Sali wyszedł na chwilę do stajni sprawdzić czy konie jego są dostatecznie zaopatrzone, a powróciwszy, wziął z kominka palącą się głownię i wszedł z nią do naszej przegrody, gdzieśmy się już do snu pokładli.

— Wybaczcie, że przeszkadzam jeszcze — rzekł, usprawiedliwiając się — ale zapomniałem wam powiedzieć dobranoc jak to nakazuje obyczaj. *Fi oman Allah!* Niech was Bóg ma w swej opiece i użyczy wam długiego, spokojnego snu!



— *Ma ssah Allah kan mamah lamjassah lamjekun.* Stać się to może, co Bóg chce, a co nie jest jego wolą, to się nie stanie — odrzekłem.

Skłonił się puszczając mimo uszu ostatnie słowa moje i wyszedł. Widziałem przez szparę, jak usnął sobie niedaleko kominka legowisko i wyciągnął się na nim.

Zapytywałem siebie, po co właściwie odwiedził nas przed chwilą i to ze światłem. Rzecz prosta — nie powodowała nim uprzejmość lecz inne jakieś pobudki. Może chciał zobaczyć, w którym miejscu izby leżymy, i jeżeli to było istotnym powodem jego odwiedzin, mogliśmy się spodziewać w nocy jakiegoś wypadku. Jakby to przeczuwając, rzuciłem mu nawet owych znaczących słów kilka, na które jednak, jak się zdawało, nie zwrócił uwagi lub też ich nie zrozumiał.

Nie chciałem dzielić się swymi przypuszczeniami z Halefem, bo biedak bardziej ode mnie potrzebował wypoczynku, i postanowiłem, nie przeszkadzając mu, czuwać sam do rana. Leżał od ściany i dlatego nie groziło mu niebezpieczeństwo w tym stopniu, co mnie.

Niebawem Halef począł chrapać, ja zaś wysunąłem się po cichu z pościeli ku szparze między ruchomymi ścianami. Przez szparę ową widać było dogasające ognisko, a poniżej kupę trzciny na podpałkę, kilka polan drzewa i legowisko. Sali wyciągnąwszy spod koców ramiona podniósł głowę i począł nasłuchiwać czyśmy już posnęli. To ostatecznie utwierdziło mnie w przekonaniu, że drab knuł przeciw nam zbrodnicze zamiary.

Ogień wkrótce wygasł zupełnie i w izbie zapanowała ciemność. Od tej chwili mogłem liczyć tylko na zmysł słuchu, który niezwykle miałem wysubtelniony wśród ustawicznych niebezpieczeństw podczas moich podróży.

W podobnych okolicznościach chwile wloką się powolnie, minuty wydają się godzinami. Nie niecierpliwiłem się jednak, czuwając i oczekując urzeczywistnienia mych domysłów. I oto nareszcie doczekałem się.

Jak to już zauważyłem, słuch mój był do tego stopnia zaostrzony, że byłem w stanie rozróżnić najłżejsze szmery; nawet kocie stapania w ciemności nie mogły ująć mojej uwagi. Jakoż istotnie posłyszałem wkrótce, że Sali wstał cichutko ze swego pośłania i na czworakach począł się czołgać w kierunku naszych legowisk.

Słuszne więc były moje domysły, że Sali był Kurdem z plemienia Bebbej i że przybył za nami w celu wykonania zemsty krwi. Co za sława, co za cześć i honory spotkałyby go, gdyby oznajmił swoim ziomkom, że mnie i małego Halefa zgładził ze świata. Czyn podobny, w pojęciu tych ludzi, licował zupełnie z powołaniem duchownego.

Posłyszawszy szmer, usunąłem się z pośłania ku lewej stronie, tak, że złoczyńca, przyczołgawszy się do naszego pomieszczenia, musiał przesuwając się tuż koło mnie. Słyszałem, jak trzeszczały mu w stawach ręce, co mnie przekonywało, że nie z przywidzeniem, lecz z rzeczywistością mam do czynienia — i przyszło mi na myśl, jak kruchym jest życie ludzkie, zawisłe niekiedy od dosłyszenia lub niedosłyszenia drobnego szmeru wśród ciemności nocnych.

Gdy Sali wczółgał się do naszego pomieszczenia posunąłem się za nim na kolanach, opierając się na lewym łokciu, a prawą ręką szukałem przed sobą. Wreszcie natrafiłem na stopę Salego, a następnie uchwyciłem koniec jego *haika*. Gdy złoczyńca dotarł do naszego posłania, wstał z czworaków. W tej chwili podniosłem się i ja błyskawicznie, chwyciłem go jedną ręką za prawe ramię, a drugą za gardło. Napadnięty zniemacka krzyknął przeraźliwie, o ile mu na to pozwalała zaatakowana przeze mnie krtań, a ja w mgnieniu oka chwyciłem go obiema rękami za szyję tak silnie, że ramiona opadły mu bezwładnie. Byłby runął na ziemię, gdybym go nie trzymał w rękach.

W tej chwili zbudzony krzykiem Halef porwał się na równe nogi, wydobył pistolet, a odwiódlszy z trzaskiem kurek, krzyknął:

— Kto tu? Sidi, gdzieś ty?

— Tu! — odrzekłem. — Uspokój się. Gdzie podziałeś *kibritat*?

— Mam w kieszeni.

— Weź je i roznieć szybko ogień na kominie.

— Po co? Gdzie jest Sali Ben Akwil?

— Trzymam go tu. Chciał nas pomordować!

— Allah! Czy tylko nie wyrwie ci się?

— Nie troszcz się o to i roznieć prędko ogień!

— Zaraz! Idę! W tej chwili będzie jasno... A łotr! Zbrodniarz! Chciał nas zamordować!... Nas!... Poślemy go za to na samo dno piekła! Ale najpierw otrzyma ode mnie sto cięgów w... najczulsze miejsce!

Mały, klnąc i wygrażając we właściwy sobie sposób, zapalił szybko trzcinę, a płomień, buchnąwszy wysoko, oświetlił całą izbę. Przez otworki w plecionej ścianie rozjaśniło się za przegrodą tak, że mogłem spostrzec nóż, który wypadł na ziemię z rąk Salego. A więc zamierzał nas porznąć jak barany.

W tej chwili doprowadzony do wściekłości Kurd szarpnął się, chcąc się wydrzeć z mych objęć, wobec czego zmuszony byłem obezwładnić go na swój sposób, to jest potężnym uderzeniem pięści w skroń, od czego stracił przytomność.

Leżący na ziemi nóż schowałem za pas i wywlokłem obezwładnionego draba z naszej przegrody przed komin, gdzie drewna zajęły się już jasnym płomieniem. Tu związaliśmy Salemu ręce i nogi, a podczas tej operacji zagadnął Halef:

— Czy to jest możliwe, sidi, żeby ten człowiek godził na nasze życie, skoro byliśmy jego gośćmi?

— Mnie się zdaje, że to Kurd ze szczepu Bebbej!

— *Maszallah!* Bebbej! Więc miała to być zemsta krwi! A jednak polecał nas opiece Allacha, gdyśmy się kładli na spoczynek?

— Aby nas tym łatwiej podejść. Życzył nam długiego snu i zapewne miał na myśli... sen najdłuższy, bo wieczny...

— *Jil 'an dakno!* Niech będzie przeklęta jego broda! Toż ja, kładąc się, ani zamarzyłem o tym, by zbudzić się na innym świecie!... Ciekaw jestem, w jaki sposób potrafiłeś zapobiec zbrodni?

— Czuwałem, będąc pewnym, że drab żywi względem nas zbrodnicze zamiary.

— Dlaczego mi o tym nic nie powiedziałaś, sidi?

— Bo widziałem, że jesteś bardzo wyczerpany i senny.

— O, jakże dobre masz serce, effendi! Umiesz być surowym, stanowczym i dumnym, jak władca nad władcami z Istambułu, a jednak jesteś dobry, przyjacielski i łagodny, jakby w twej piersi kobiece biło serce! Mam wszelako nadzieję, że dobroć ta nie znajdzie w twym sercu miejsca, gdy przyjdzie chwila ukarania tego mordercy.

— Nie nazywaj go mordercą, bo nim jeszcze nie został.

— Tak, wiedziałem, co mi odpowiesz, i znowu poznaję w tobie chrześcijanina. Kto godzi na życie twoje, ten jest w twym pojęciu człowiekiem nieskazitelnym i aby zasłużyć u ciebie na miano mordercy, musiałby co najmniej dziesięć razy cię zastrzelić, a i wówczas jeszcze przebaczyłbyś mu, bo twój *ingil*\* nakazuje ci okazywać miłość nieprzyjaciołom. Patrz, łotr otworzył już oczy i miałbym wielką chęć wypłacić mu za jego dobre chęci sto piastrów... nie w srebrze jednak, ani w złocie, lecz wykrojonych ze skóry hipopotama. Znając cię jednak dobrze, muszę się z góry wyrzec tej przyjemności. Bo skoro, twoim zdaniem, nie wytoczył jeszcze krwi z ciebie, nic się zatem złego nie stało. Allach! Jacyż z was dziwni i niepojęci ludzie!

Halef nie mówił tego z wiarą w sprawiedliwość czynionych mi wyrzutów. Narzekając na chrześcijanizm, był jednak z przekonania sam chrześcijaninem, a owe westchnienia co do ukarania Kurda stanowiły wstęp do prośby o darowanie mu winy.

Gdy Sali oprzytomniał i zrozumiał, że zamiary jego spełzły na niczym i że został ujęty na gorącym uczynku, westchnął ciężko, a krew mu do głowy uderzyła, naprężając żyły na czole. Nie wyrzekł jednak ani słowa: zaciął się i leżał nieruchomo, rzucając ku nam złośliwe, pełne nienawiści spojrzenia. Po pewnej chwili spytałem go:

— Czy i teraz obstajesz przy tym, że urodziłeś się w Damijeh?

— Roztropność nakazywała mi nie mówić prawdy — wycedził przez zęby po chwili. — Ale nie przypuszczaj, abym teraz z trwogi przed tobą kłamał dalej. Zdawało mi się, że Allach oddał cię w moje ręce... Zawiodłem się...

— O, nie pierwszy to raz zawiodłeś się na łasce Allacha. Jesteś Kurdem, nieprawdaż?

— Tak.

— Szeik Gasal Gaboya był twoim krewnym?

— Był moim wujem.

— Rozumiem. Dowiedziałeś się tu, cośmy za jedni, i zemsta krwi popchnęła cię do zbrodniczych zamiarów.

— Tak samo, jak ciebie teraz popchnie do odebrania mi życia.

— Jestem chrześcijaninem i nie uczynię tego.

— „Zemsta krwi” jest prawem naszym i być może nie dokonasz jej; ale przecież zwykłe ludzkie pobudki nakazują w takich razach zemstę, a od pobudek tych nie jesteś chyba wolny.

— Mylisz się w swych poglądach. Bóg rozsądza najlepiej i karze wszystko, co złe i niegodne.

— Czyżby chrześcijanom nie było wolno nastawać na życie swych wrogów? — zapytał z najwyższym zdumieniem.

— Nie wolno — odrzekłem. — Człowiek, godzący na życie drugiego, nie jest chrześcijaninem, chociażby się sam do godności chrześcijanina przyznawał. Nasza *kitab el mukatfdas* nakazuje nam: „Nie zabijaj”!, a prawy i godny chrześcijanin stosuje się ściśle do tego przykazania. Kto jednak przelewa krew ludzką, podlega wśród nas karze zwierzchności, która ma ku temu władzę od Boga.

— Więc oddacie mnie w ręce władzy? — zapytał, a w oczach jego wyczytałem promyk nadziei.

— Nie mam takiego zamiaru.

Na te słowa oblicze jego, rozjaśniające się przed chwilą, przybrało na nowo wyraz ponury.

— Osądzicie mnie sami. Proszę was o jedno: nie zwlekajcie zbyt długo! Podniosłeś mój nóż i masz go za pasem; dobądź go i pchnij mnie od razu!

— Nie zrozumiałeś Sali — odrzekłem, zaprzeczając ruchem głowy. — Zemsta jest mi zabroniona; wiara moja nakazuje kochać moich nieprzyjaciół jak siebie samego. Nie zabiję cię ani nie oddam w ręce władzy...

Na twarzy jego odmalował się znowu wyraz zdumienia, ustępując kolejno uczuciom nadziei, wątpienia, obawy i rezygnacji zarazem. Wnet jednak owładnęła nim tkwiąca głęboko w naturze jego nienawiść i rzekł z odcieniem jej w głosie:

— Drwisz ze mnie! Choćby nawet wiara wasza nakazywała wam kochać nieprzyjaciół, to czyż znalazłby się człowiek, który potrafiłby dostosować się do tego nakazu? Niedorzeczne są prawa wiary waszej, wymagające od ludzi coś podobnego, zabraniające wam tego, od czego żaden człowiek powstrzymać się nie może.

— Mówisz to, jako muzułmanin, bo obcą ci jest miłość taka, jaką my, chrześcijanie, uznajemy i w jakiej ćwiczyć się ustawicznie jesteśmy obowiązani. Teraz mam sposobność do spełnienia czynu takiej miłości. Chciałeś mi odebrać życie, ale ci się nie udało; za to ja ci je daruję, choć mógłbym bez przeszkody odebrać.

Mówiąc to, dobyłem nóż, rozciąłem jeńcowi więzy i rzekłem:

— To żelazo miało przebić moje serce, ale Bóg zrządził inaczej. Weź je sobie!

Sali zerwał się na równe nogi, otworzył usta z wyrazem zdziwienia, podniósł dłonie do góry — nie w tym jednak celu, by uchwycić podany mu nóż, i rzekł dziwnym głosem:

— *Allach ja'lam elgeb...* Bogu wiadome są wszelkie tajemnice, ja jednak nie wiem, co mam myśleć o tym wszystkim. Czyżbyś ciągle drwił jeszcze ze mnie?...

— Bynajmniej nie drwię z nikogo.

— Chyba przysięgniesz, że tak jest w istocie.

— Chrystus zakazał nam przysięgać w zbytecznych razach; chrześcijanin obowiązany jest zawsze mówić prawdę, wobec czego nie masz potrzeby żądać przysięg.

— Istotnie więc darujesz mi życie?

— Istotnie.

— Nawet gdybym ci oznajmił, że nie wyrzekam się myśli o zemście?

— Bóg nas ustrzeże, jak nas ustrzegł tym razem. Wyraziłeś się tam, przy stole, że ani sobie sam nie pomogę, ani też Bóg mnie nie uratuje, a jednak masz teraz dowód, że uratował. Na Niego też zdam się w przyszłości i jestem pewien, że się nie zawiodę. Jesteś wolny i możesz myśleć o swojej zemście!

Sali stał chwilę nieruchomo, patrząc to na mnie, to na Halefa wzrokiem nieufnym. Nagle wyrwał mi nóż z ręki cofnął się o parę kroków w tył i rzekł półdrwiąco, a na pół wzruszony:

— Dziękuję ci, effendi! Bardzo ci dziękuję! Jeżeli postępek twój płynie istotnie ze szczerego serca, to alboś stracił nagle rozum, albo... religia chrześcijańska jest o wiele szlachetniejszą, niż o tym miałem pojęcie. Ja jednak jestem człowiekiem przezornym i nie wierzę ani tobie, ani twojej religii... oddalę się więc stąd natychmiast, nie czekając, aż odzyskasz rozum. Jeżeli go zaś nie odzyskasz, to niechaj Allach wynagrodzi ci stratę rozumu błogosławieństwem swoim.

Porwał swój koc i wybiegł z izby, a po paru minutach odjechał, nie zapłaciwszy za nocleg, jak się o tym później dowiedzieliśmy. Gdy odgłosy kopyt końskich ucichły, ozwał się Halef:

— Ano, pojechał! Jak przypuszczałem, tak się stało. Pojechał, nie otrzymawszy nawet zasłużonych cięgów... Ba, co gorsze, nie wie nawet, czy postąpiłeś z nim, będąc przy zdrowych zmysłach, czy też w obłąkaniu lub żartem... O sidi, sidi! Co ja muszę przejść w twoim zacnym towarzystwie!

Miłosierdziem sprawiasz radość wrogom swoim, a przyjacielowi odmawiasz przyjemności zrobienia właściwego użytku z batoga. Byłbym bardzo chętnie wyliczył mu ze sto... Effendi! Jeżeli zechcesz dalej postępować w ten sposób ze swymi wrogami, to każdy rozsądny człowiek będzie wolał zostać twoim przeciwnikiem, niż przyjacielem!

— No, no! Rezonuj dalej! A jednak wiem, kochany Halefie, że i ty w duszy życzyłeś sobie, abym tak właśnie a nie inaczej z Salim postąpił... Ongi byłeś wielkim zwolennikiem kary, teraz jednak nie miałbyś sumienia rozdeptać marnego robaka...

— Masz słuszność, effendi. Im większy robak, tym bardziej mi go żal, a skoro jest w postaci ludzkiej, to zapominam wówczas o islamie, o kalifach, o ich nauce, i ty mi przychodzisz na myśl... ty, którego istotnie chciałem niegdyś nawrócić na islam. Teraz widzę, że jeżeli Allah pozwoli nadal być świadkiem twych czynów i twoim towarzyszem, skończy się na tym, że wezwę kiedyś waszego kapłana, aby mi udzielił *ma'mudija*.

— Chodźmy spać — dodał po chwili. — Może nam nikt już nie przeszkodzi, a Sali Ben Akwil nie wróci tu chyba za żadną cenę, bo dostatecznie się przekonał, że spełnić na nas prawo zemsty krwi trudniej jest, niż zaprosić do wspólnej wieczerzy. Jeżeli kiedyś zdoła on wymknąć się z rąk anioła śmierci, tak, jak uszedł naszej sprawiedliwości, niewątpliwie w nagrodę swych dobrych chęci dostanie się do siódmego nieba Mahometa.

Dorzuciwszy kilka polan do ognia, położyliśmy się spać, i nikt w domu tym nie wiedział, że przed chwilą pod dachem jego śmierć zastawiała sidła.

Przeciętny śmiertelnik nie ma pojęcia, z jaką obojętnością przyjmuje się takiego gościa, gdy się raz popadło w wir niebezpieczeństw i przygód. Ale właśnie ta obojętność, ten spokój umysłu i zimna krew są najlepszą pomocą w pokonaniu piętrzących się na drodze przeciwności i niebezpieczeństw.

Halef mylił się, twierdząc, że już nic nam spokoju nie naruszy. W dwie godziny bowiem po zaśnięciu obudził nas niezwykley zgiełk na dworze. Krzyczało naraz wielu ludzi, a wśród tej ogólnej wrzawy zrozumieliśmy jedynie wyrazy „*ia harik, ia harik!*” A więc paliło się gdzieś we wsi. Pomimo, że nas to bardzo mało obchodzić mogło, wybiegliśmy zobaczyć, co się właściwie pali.

Okazało się, że pożar był wcale poważny, więc, nie namyślając się, pobiegliśmy w kierunku ognia. Kto widział kiedy w małym, brudnym, drewnianymi domkami gęsto zabudowanym miasteczku pożar w nocy, zwłaszcza w owych czasach, kiedy jeszcze nie znano straży pożarnych, ten może mieć bodaj w przybliżeniu pojęcie, jakich scen byliśmy tu świadkami. Paliło się na drugim końcu wsi. Ludzie jednak biegali po całej wsi, roztrącając się wzajemnie i krzycząc wniebogłosy. Gdzie się pali i co w popłochu nikt dokładnie nie wiedział, a i nam ciżba wielka przeszkadzała dostać się na miejsce pożaru.

Nagle przypomniałem sobie, że konie nasze pozostały w zajeździe bez żadnego dozoru — i aż mi się nogi ugięły z obawy, aby ich nie ukradziono. A może już stało się im co złego? Widziano przecie wczoraj we wsi mego Riha i podziwiano go — a przypomniałem sobie opinię, że w tej okolicy co człowiek, to koniokrad. Z obaw swoich zwierzyłem się Halefowi, i postanowiliśmy wydostać się natychmiast z tłumu. Wszelkie jednak wysiłki w celu utorowania sobie drogi okazały się na razie

bezskuteczne iomalże nam wśród ścisku nie połamano kości.

Po jakimś dopiero czasie ułatwiła nam przejście *tulumba*.

Co to jest *tulumba*? Oczywiście jest to przedmiot niezbędny przy każdym pożarze, a mianowicie sikawka. Sikawka! Czy możliwe, żeby w zapadłej wioszczynie Kurdystanu znalazł się podobny wymysł cywilizacji? Tak, proszę mi wierzyć, że to była sikawka, i jeszcze jaka! Widziałem podobną w Turcji, w Persji, w Kairze. W tym ostatnim mieście była nawet powodem wypadku, a mianowicie obaliła mnie wraz z osłem, na którym jechałem, przy czym ja znalazłem się na spodzie, a osioł na wierzchu! O *tulumbo*! Od chwili owej katastrofy ciarki mnie przechodzą na samo wspomnienie twojej nazwy! Byłem pewny, że nigdy w życiu już się z tobą nie spotkam, a jednak... widzę cię tu, w Khoi, być może — tę samą, tylko zamaskowaną... czy może tylko przywidzenie mój wzrok w błąd wprowadza... Jednak nie! Takiej sikawki nie widziałem jeszcze nigdy w życiu.

Są ludzie, którzy mimowolnie mieszają pojęcia. Dla takich cel a środek, uboczna okoliczność sprzyjająca a przeszkoda — to wszystko jedno. Kto by wątpił w możliwość pomieszczenia tak różnych między sobą pojęć, niech jedzie do Khoi i każe sobie pokazać *tulumbę*. Ażeby mieć o niej pojęcie, proszę sobie pomyśleć... albo może lepiej nie myśleć, tylko uważnie przeczytać mój opis, który da dostateczne wyobrażenie o tym przedmiocie.

Otóż ja i Halef, jak to wyżej wspomniałem, usiłowaliśmy bez skutku wydostać się spośród bezmyślnego tłumu, lecz rozhukana fala ludzka unosiła nas wciąż naprzód, coraz dalej od domu, w kierunku pożaru, aż wreszcie rozdzielono nas. Nie chcąc stracić go z oczu, obracałem się ciągle ku niemu i dawałem ręką znaki, bo wśród ogłuszającego zgiełku słowa moje nie mogły być dosłyszane. Zgiełk ów i hałas był tak nieznośny, że dłuższy czas przebywając w tej cizbie, przy najchłodniejszym nawet usposobieniu i zimnej krwi, można było stracić spokój. Charakterystyczne, że mieszały się tu cztery języki: kurdyjski, turecki, arabski i perski, tworząc razem coś podobnego do ryku fal morskich podczas burzy.

Nagle ryk ten wzmógł się za mną jeszcze bardziej. Obejrzałem się i zobaczyłem rzecz całkiem nieoczekiwaną.

Niejeden z czytelników widział zapewne pług śnieżny odgarniający śnieg na drodze w ten sposób, że bryły jego rozpryskują się przed nim na prawo, lewo i w górę. Taka maszyna wjechała teraz w cizbę i torowała sobie drogę, wyrzucając napotkanych ludzi na jedną i drugą stronę, a przede wszystkim w górę.

Okoliczność ta wzmogła jeszcze bardziej wrzawę pomieszanych głosów ludzkich, i w żaden sposób nie mogłem się dopytać, co to za potwór czyni takie spustoszenia. Dopiero, gdy ów potwór znalazł się niedaleko, spostrzegłem wśród wylatujących w powietrze ludzi mojego Halefa, który w kilku koziołkach wystrzeliwszy w górę, zawisł na rozłożystej gałęzi przydrożnego drzewa. Oczywiście i on wraz z innymi ryczał ze strachu, ale głosu jego nie mogłem rozróżnić. Widziałem tylko, jak trzymał się wyprężonymi rękami gałęzi, a nogami przebierał w powietrzu, nie znajdując dla nich oparcia.

Należało co prędzej pośpieszyć biedakowi z pomocą. Ale jak się wydostać z tej cizby?

W tej chwili błysnęła mi myśl zbawienna. Otóż wyciągnąłem ramiona w górę, a oparłszy je o barki najbliższych moich sąsiadów odbiłem się nogami silnie od ziemi, wydostałem się na powierzchnię morza głów ludzkich i popęzłem po głowach i barkach tłumu, nie robiąc zresztą sobie z tego najmniejszych wyrzutów. Nie bardzo to się podobało tłumowi, ale się wydostał w ten sposób z ruchomej jego masy i w oplakany nad wszelki wyraz ubraniu, z którego już nie łachmany, ale strzępy na mnie zostały, skierowałem się przede wszystkim ku zawieszonemu na drzewie i wierzgającemu nogami Halefowi. Aby mnie jednak tu, u samego celu, nie porwała na nowo fala ludzka, uczepiłem się najbliższej gałęzi i ze zwinnością wiewiórki wdrapałem się po niej na grubszy konar. Teraz dopiero, nabrawszy tchu po zbytnim wysiłku, byłem w możności rozejrzeć się wokoło.

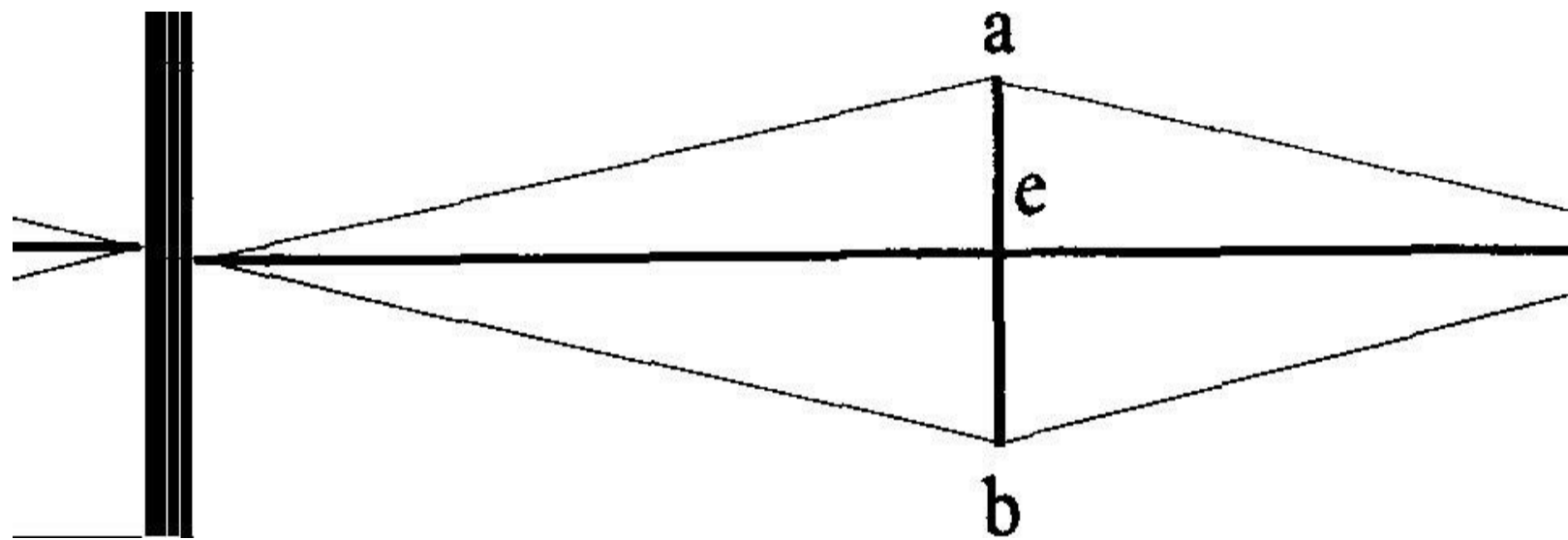
O kilka kroków od drzewa pracowała z całym rozmachem straszliwa maszyna, miotając w różnych kierunkach ciałami ludzkimi nie troszcząc się o całość ich kości. Maszyna ta była właśnie ową *tulumbą*!

Z początku patrząc na smutne skutki, jakie sprawiało zbliżenie się do tego potwora spoglądałem nań z prawdziwym respektem. Przyjrzawszy się bliżej machinie wybuchnąłem serdecznym śmiechem, a wraz ze mną śmiał się i Halef pomimo, że wisiał w niezbyt wygodnej pozycji.

Zazwyczaj w razie pożaru na wsi gasi się go wodą i to jest rzecz zupełnie naturalna i usprawiedliwiona. Ale równocześnie z wybuchem pożaru powstaje we wsi zamęt — ludzie tłoczą się w najciaśniejszych przejściach oraz uliczkach, jak rozhukane fale morza — i to stanowi następstwo drugie, również naturalne i usprawiedliwione, jako przesłanka do urobienia sobie pojęcia o następstwie trzecim. Nasz europejski majster nie zdołałby rozwiązać należycie tego zadania; on przede wszystkim starałby się skonstruować przyrząd do gaszenia ognia — i jego zdaniem sprawa skończona. Inny problem jednak, bardziej złożony, miał przed sobą wynalazca *tulumby*. Rozumował on. „Na co się przyda sikawka, za pomocą której puszcza się na ogień strumienie wody, jeżeli z powodu ciżby ludzkiej nie można sikawki tej dostawić na miejsce pożaru?” Dla tej przyczyny wynalazca *tulumby* przy budowie jej wziął pod uwagę przede wszystkim umożliwienie jej translokacji, a następnie sprawność w tłoczeniu wody i skonstruował maszynę, jego zdaniem, doskonałą, odpowiadającą obu tym celom. Wynalazca ów, jako majster zawodowy, słyszał prawdopodobnie o sześciu najprostszych częściach składowych maszyn, którymi są: dźwignia, rozpędówka, koło, równia pochyła, klin i śruba, a szczególną uwagę poświęcił klinowi, konstruując w kształcie jego swą *tulumbę* i zaopatrując ją z przodu w potężną dźwignię, przeznaczoną specjalnie do wyrzucania w powietrze każdego gapia, który nie chciał ustąpić z drogi. Nie obchodziło to wynalazcy, jak się będzie czuł taki nieszczęśnik.

Nie znając się na mechanice, nie czuję się tu na siłach opisywać dokładnie konstrukcji *tulumby*. Gdyby jednak ktoś koniecznie pragnął zaspokoić swą ciekawość i poznać przynajmniej kształt *tulumby* z Khoi, niech mu służy podany tu rysunek schematyczny owej osobliwej sikawki.





Owóz *ab* oznacza oś, na której w punkcie *a* i *b* obracają się dwa o wielkiej średnicy koła. Koła te podtrzymuje zrobiona z mocnego drzewa nasada *c a d b*, którą wzmacnia belka *cd*. Całość tworzy dwukołowy wóz z dwoma ostrymi trójkątami, utrzymującymi się w równowadze. W chwili przeważenia w dół jednego z trójkątów drugi wylatuje w górę, jak dźwignia, której punktem oparcia jest oś. Ludzie obsługujący maszynę znajdują się wewnątrz trójkąta tylnego. Jedni z nich, a było ich dwudziestu, pchają wóz naprzód, drudzy zaś utrzymują w ruchu dźwignię, która przednim końcem wciska się w tłum i wyrzuca w górę każdego stojącego jej na przeszkodzie, podczas gdy klinowaty dziób rozpycha tę publiczność z należytą sprawnością na prawo i lewo.

Łatwo sobie wyobrazić popłoch wśród wspomnianych „obywateli”, gdy wpakował się między nich ów olbrzymi ruchomy klin.

Na taki wynalazek mógł się zdobyć jedynie ktoś, znający dobrze ludność kurdyjską, no i posiadający w swej czaszce mózg kurdyjski.

Sikawka posuwa się wśród tłumu naprzód oczywiście bardzo powoli, gdyż zazwyczaj tłum ten rzuca się na nią z wściekłością, jak na największego swego wroga. Wskutek tego *tulumba* przybywa zazwyczaj na miejsce pożaru wówczas, gdy z budynków pozostała już tylko kupa popiołów.

Wynalazca jednak był mało przewidujący i wobec swego wynalazku usposobiony bardzo optymistycznie; sądził on na pewno, że sikawka, pomimo wszelkich przeszkód, dotrze szczęśliwie na miejsce pożaru — bo gdyby wątpił o tym, nie umieszczałby w punkcie *e*... beczki i kilku wiader na wodę.

Jednym słowem *tulumba* z Khoi stanowiła rzecz tak charakterystyczną, że od chwili poznania tej maszyny zawsze przychodzi ona na myśl, ilekroć wypadnie mi ilustrować stosunki społeczne na Wschodzie.

Nadmieniam tu nawiasem, że kurdyjskiej Khoi nie należy mylić z perskim miastem tej samej nazwy, które leży w prowincji Azerbejdżan, na drodze karawan z Erzerum do Tebriz i liczy przeszło trzydzieści tysięcy mieszkańców.

Pomogłem Halefowi wydostać się na gruby konar drzewa i dopiero wówczas zleźliśmy powoli na dół. *Tulumba* była już daleko i tłum mocno się przerzedził.

Znalazłszy się na ziemi, odczułem dopiero sińce na całym ciele a i Halef obmacywał się, jęcząc półserio, półzartobliwie:

— Sidi, jeżeli ogień tam przy pożarze tak mocno grzeje, jak te uderzenia i szturchańce, to trudno go będzie ugasić, tym bardziej, że w beczce *tulumby* nie ma wcale wody.

— Skąd wiesz o tym?

— A no, bo jednemu ze strażników wypadł z ust cybuszek, a on go podjął i schował następnie do beczki razem z fajką. Gdyby tam była woda to by przecież tego nie uczynił...

Ubawiło mnie to naprawdę, bo czyż nie śmieszny jest strażak, który wybiera się na miejsce pożaru z fajką w zębach? I co to za sikawka, w której nie ma wody? Halef śmiał się również, ciągnąc dalej:

— Zapewne najstarszy z *szejatinów*\* poddał wynalazcy myśl skonstruowania *tulumby*. Niech siedzi za to na samym dnie piekła, gdzie z pewnością nie ma sikawek do gaszenia ognia! Och! — stękał z zabawną miną — ciało mam tak wymiętoszone, jak stara derka pod siodłem wielbłąda... Szczęściem Allah był tak mądry i dobrotliwy, że właśnie w tym miejscu posadził drzewo, które mnie uratowało. Pomimo wszystko omal nie umarłem ze śmiechu, patrząc, jak wędrowałeś po głowach kurdyjskich obywateli! Byłeś tak majestatyczny w ruchach, jak szach perski, gdy udziela audiencji i gdyby nie troska o nasze konie... Och, effendi! nasze konie!... Cobyśmy poczęli, gdyby je nam skradziono?

— Poszlibyśmy dalej pieszo, mój Halefie. Lecz żart na stronę, wracajmy natychmiast do zajazdu, bo istotnie... mam niemiłe przecucie.

To mówiąc ruszyłem się w kierunku zajazdu tak szybkim krokiem, że Halef na swych krótkich nogach ledwie mógł nadążyć. O pożarze i *tulumbie* zapomnieliśmy oczywiście, myśląc jedynie o koniach, które pozostawiliśmy lekkomyślnie bez żadnej opieki. Głos wewnętrzny mówił mi, że niechybnie coś złego stać się z nimi musiało.

Niestety, głos ten istotnie był proroczy. Na dziedzińcu, jako i w izbie naszej, nie było żywej duszy; wszyscy pobiegli na miejsce pożaru. Ogień na kominku wygasł zupełnie. Nie czekając, aż Halef zaświeci, zawołałem po imieniu na konia swego, który parsknął zazwyczaj, ilekroć poczuł mnie w pobliżu lub usłyszał wymówione swe imię. Nie było odpowiedzi.

— Nie ma naszych koni! — krzyknąłem do Halefa. — Rih nie odezwał się...

Halef na tę wiadomość zdrętwiał. Aczkolwiek odznaczał się niesłychaną odwagą i brawurą w niebezpieczeństwie zła nowina tak go „z nóg ścięła”, że ledwie zdołał wykrztusić:

— Allah muawin! niech nas Bóg ratuje! Bez koni w tej okolicy będziemy jak ryby wyrzucone na suchy brzeg! Ze zmartwienia nie czuję nóg pod sobą i tylko się pocieszam, że ty nie tracisz jakoś nadziei...

W przegrodzie naszej istotnie nie znalazłem koni. W tej chwili przypomniałem sobie o naszych karabinach i jeszcze większa obawa napełniła mi serce. Postawiłem je w kącie i rzuciłem na nie koc. Teraz począłem ich gorączkowymi ruchami szukać i — chwała Bogu — znalazłem; prawdziwy skarb, bez którego tutaj ruszyć byśmy się nie mogli, ocalał.

— Więc konie przepadły! — rzekł Halef trwożnie.

— Przepadły!

— A niechże szatan upiecze złodziei na węgiel, tak, żeby ich babki nie miały z nich ani jednego kęska! Poczekaj, muszę się osobiście przekonać...

I począł wyciągniętymi rękami macać wśród przegrody. Nagle krzyknął:

— Allah! nastąpiłem na kogoś... Sidi, chodź tu prędko! Ktoś leży na ziemi... skępowany... zdaje mi się, że kobieta... zakneblowane ma usta... Widocznie uczynili to złodzieje, bo zwykły śmiertelnik nie byłby względem damy tak niegrzeczny... Wszak obyczaj tutejszy nie pozwala na takie barbarzyństwo...

Mały urwis nawet w tak przykrych chwili nie stracił swego humoru.

Nie w głowie mi były żarty Halefa na temat uprzejmości względem niewiast, bo zaniepokoiłem się poważnie, co się tu stać mogło. Zapaliłem więc świeczkę łojową, którą znalazłem na stole i przy jej świetle spostrzegłem na ziemi gospodynię, skępowaną powrozami, że ruszyć się nie mogła, a ponadto miała zakneblowane fartuchem usta. Gdyśmy ją rozwiązali i usunęli knebel, odetchnęła głęboko kilka razy i ozwała się:

— Ja nic nie winna, emirze... Nie czyn mi nic złego...

— Wierzę ci, żeś niewinna — odrzekłem — i nie zamierzam zrobić ci nic złego. Usiądź przy stole i opowiadaj, co się stało podczas naszej nieobecności.

Wynieśliśmy ją i ułożyliśmy na ławce, bo sama nie mogła utrzymać się na nogach, i dopiero po upływie dobrej chwili poczęła opowiadać:

— Gdy ludzie biegli do ognia, chciałam i ja przyłączyć się do nich, alem się rozmyśliła, że domu nie można zostawiać bez opieki. Na dworze bałam się pozostać, więc weszłam do izby. Ale ledwiem usiadła, wtargnęło tu kilkunastu drabów, uzbrojonych jak zbójcy. Powalili mnie na ziemię, a związawszy, pytali o was, czy istotnie nazywacie się Kara Ben Nemzi i Hadzi Halef Omar. Musiałam powiedzieć prawdę, bo dowódca bandy trzymał mi nóż przy piersiach, grożąc przebicciem w razie, gdybym się wahała z odpowiedzią. Mam nadzieję, że nie ukarzesz mnie za to, emirze. Szło tu o moje życie...

— Bądź spokojna, nie ukarzę cię. A czy nie wydali ci się znajomymi?

— Nie widziałam ich nigdy przedtem. Ale herszt, odchodząc, kazał wam powiedzieć, kim jest.

— Mów! To rzecz ogromnie ważna! Choć najpewniej nie powiedział ci prawdy, aby nas w ten sposób w błąd wprowadzić na wypadek pościgu. Mów, jak się nazwał?...

— O nie, effendi! Nie kłamał on... Widziałam szeroką bliznę na jego prawym policzku, a ty wiesz, że bliznę tę posiada Szir Samurek, jako pamiątkę walki z tobą.

— Ach, Szir Samurek? Szejk Kurdów ze szczepu Kelurów?

— Tak jest, effendi. Wszyscy Kelurowie są rozbójnikami. Postanowili też oni uprowadzić wasze konie. Twój rumak, gdy go brali, tak ich kasał i kopał, że rady sobie z nim dać nie mogli i dopiero z wielkim wysiłkiem udało im się wyprowadzić go na dwór. Drugi koń nie stawiał żadnego oporu. Szejk bardzo się cieszył, że dostał w swe ręce twego wspaniałego wierzchowca i kazał mi nawet powiedzieć, w jaki sposób ułożył sobie plan tej kradzieży. Mówił, że ty jesteś głupcem, jak każdy w ogóle chrześcijanin, i że dałeś się podejść bardzo łatwo.

— Doskonale! Zobaczymy niebawem kto jest głupcem i kto dał się podejść. Co prawda, jego banda będzie w pierwszej chwili dumna z posiadania tak szlachetnego zwierzęcia, ale duma ta niedługo potrwa. W jaki sposób się dowiedział, że mieszkam w twoim domu?

— Zdziwisz się, emirze, gdy ci powiem. Wiesz kim był ów przybysz, który ukradł nasze pieniądze, odwdzięczając się tak podle za naszą gościnność?

— Nie wiem.

— Otóż wśród Bebbejów jest pewien człowiek, którego nieprzyjaciele bardzo się boją, a przyjaciele nienawidzą... oczywiście przyjaciele tylko z imienia. Jest on chytry, niczym *abu hossein*\*, gwałtowny, jak *assad*\*, a krwiożerczy, jak *parsa*\* w czarnej skórce. Nie bierze on nigdy udziału w walkach po stronie swego szczepu, lecz w czasie, gdy Bebbejowie żyją z innymi *aszair*\* w pokoju, wybiera się w świat i rabuje oraz kradnie na własną rękę. Nazywa się Akwil i jest wujem szejka Ahmeda Azada i Nizara Hareda, synów byłego szejka Gasala Gaboya.

— *Kuli ru'ud!*... wszystkie pioruny! — wyrwało mi się z ust, na co sobie rzadko pozwalałem. — O tym człowieku nie słyszałem jeszcze nigdy. Więc nazywa się Akwil? Wiesz to z pewnością?

— Tak, effendi; nie mylę się, gdyż właśnie tu, w naszej okolicy, mówią bardzo wiele o jego czynach.

— A ten gość, z którym tu jedliśmy razem, nazywał się Sali Ben Akwil! Wypierał się wprawdzie, jakoby był Kurdem, lecz nie wierzyłem mu. Miałby on być synem tego Akwila, o którym mi mówisz?

— Tak jest, emirze.

— Wiedziałaś o tym, a jednak wpuściłaś go do domu?!

— Nie wiedziałam; dopiero oświadczył mi to Szir Samurek; kazał mi to powiedzieć, abyś pękł ze złości; to były jego własne słowa.

— Dobrze! A teraz powiedz mi, czy obecność Salego Ben Akwila ma związek z bytnością jego ojca?

— Nie; syn nie wiedział, że jego ojciec był przed nim u nas. I o tym dowiedziałam się od szejka Kelurów. Jednak muszę ci zakomunikować coś najważniejszego. Oto między Kelurami a Bebbejami trwa obecnie zatarg, a powodem niezgody jest to, że Akwil zabił przed dwoma laty jednego Kelura. Kelurowie domagali się za to okupu, ale Akwil nie mógł się na to zdobyć i dopiero dziś nadarzyła mu się ku temu sposobność. Wyszukał więc Kelurów, którzy niedaleko stąd obozują i...

— Wiem, co chcesz dalej powiedzieć... Mój wierzchowiec ma służyć mu za okup.

— Tak jest. Ani mąż, ani ja nie mieliśmy pojęcia, co to za człowiek gości u nas. Wtedy nadjechaliście. Dowiedział się, kim jesteście i obejrzał wasze konie, które bardzo mu się podobały... A co do pieniędzy, to jeszcze przedtem postanowił je ukraść. Gdy mu się to udało, wsiadł na naszego konia i pojechał do Kelurów ugodzić się z nimi co do okupu, to znaczy ofiarował im twego wspaniałego wierzchowca.

— To jednak świadczy o wielkiej odwadze z jego strony! Widocznie postanowił ukraść konia jeszcze tej nocy lub też dostać go w jakiś sposób później. Powinien był przewidzieć, że Kelurowie przede wszystkim zatrzymają go i zmuszą do wyznania, gdzie znajduje się mój koń.

— Tak się też stało, emirze. Uwięzili go natychmiast i katowali tak długo, aż im powiedział, że jesteście u nas. Dobrze mu tak! Otrzymał sprawiedliwą zapłatę za swoje podłe sprawki, a ponadto życiem teraz opłaci cenę krwi, pominiawszy to, że i pieniądze mu odebrano i wysłano bandę tutaj po konia. Po drodze Kelurowie schwytali również i jego syna, który zgubiony jest tak samo, jak ojciec. O, effendi, Allah dla nas wszystkich nie był łaskaw, gdyż pieniądze nasze przepadły i przepadł też bezpowrotnie twój nieoceniony wierzchowiec. Kelurowie są znani z tego, że co raz wpadnie w ich ręce, tego diabeł im nie wydrze!

— O, nikt im nie zabroni trzymać w pazurach swojej własności. Ale ja również mam prawo do swej własności i nie dam jej sobie wydrzeć. Mam taką naturę, że gdy mnie kto okradnie, nie spocznę tak długo, aż skradzioną rzecz odzyskam. Taki już jest mój zwyczaj...

— Przypuszczasz więc, że uda ci się odbić swego konia od Kelurów?

— Na pewno.

— Będziesz ich śledził?

— Tak.

— A nie wiesz nawet, w którą stronę pojechali?

— To nic nie szkodzi, już ja ich odnajdę.

— Allah! Jesteś chyba wszystkowiedzący!

— Tylko Allah posiada ten przymiot, ale w swej mądrości nie szczędził też i nam pewnego rozumu, przy pomocy którego można pokonać wiele trudności.

— Ależ effendi, jak widzę, nie wiesz, co to znaczy zadrzeć z Kelurami. Gdybyś się dostał w ich łapy, czekałaby cię niechybna śmierć.

— Ech, śmierć! Owszem, spotka ona niezawodnie Kelurów, jeżeli tylko nie zechcą mi zwrócić mojej własności.

Kobieta cofnęła się w tył, jakby w przypuszczeniu, że nagle dostałem pomieszania zmysłów. Nie dostrzegając jednak w mych oczach właściwego wariatom wyrazu, uspokoiła się i mówiła dalej:

— Słyszałam effendi, że wy, chrześcijanie, myślicie i czynicie wszystko inaczej, niż my, i dlatego być może, że uda ci się to, co nie udało się nigdy wiernemu muzułmaninowi. Dokonałeś już zresztą razem ze swoim Halefem takich czynów, że wierzyć się, pomimo dowodów, nie chce w ich prawdziwość. Być zatem może, że cię i nadzieja odzyskania swych koni nie zawiedzie.

— Mam nie tylko nadzieję, ale pewność.

— Allah! Jeżeli potrafisz doprowadzić do tego, że Kelurowie będą zmuszeni zwrócić ci twoją własność, to możeby i nasze pieniądze zwrócili...

— Owszem, i ja tak myślę...

— Tylko, że żaden z mieszkańców Khoi nie odważyłby się pójść do nich i zażądać zwrotu pieniędzy...

Umilkła zakłopotana, a po chwili rzekła:

— Emirze, wszak nie możesz się uskarżać na brak gościnności w naszym domu, nieprawdaż?

Wiedziałem dobrze do czego zmierza ten nagły zwrot w jej słowach i zresztą wcale mnie to nie zdziwiło. Odrzekłem więc z uśmiechem:

— Ależ wiem, wiem bardzo dobrze, jaką wdzięczność jestem wam winien.

— A może wasza religia nie pozwala byś wdzięcznymi?

— O, nie; wdzięczność jest jedną z największych cnót chrześcijańskich.

— Jeżeli tak, effendi, to śmiem cię prosić, byś był jak najlepszym chrześcijaninem i stosował się do przykazań wiary, zwłaszcza w sprawie odzyskania naszych pieniędzy...

— Ba, ale czy będę mógł uczynić to dla was?

— Czemużby nie? Wszak nie wątpię, że udasz się w pościg za Kelurami, aby odebrać im swoje konie. A skoro ci się to uda, to niebezpieczeństwo wcale się nie zwiększy, gdy odbierzecie zarazem i

nasze pieniądze...

Halef zaśmiał się na te słowa, lecz ja odrzekłem zupełnie poważnie:

— Masz słuszość; mógłbym wyświadczyć wam tę przysługę, ale pod warunkiem, że i ty mi w tym dopomożesz.

— Ja? A to w jaki sposób? — zapytała zdziwiona. Byłem zdecydowany nie zawahać się przed niczym, byle tylko odzyskać konie. Przede wszystkim należało się udać w pogoń za złodziejami, ale w tej chwili na nic by się to nie zdało ze względu na nocną porę. Jakże w ciemności odnaleźć ślad zbiegów? Trzeba było odłożyć pościg aż do rana; do tego zaś czasu Kelurowie oddalą się spory kawał drogi, i byłoby możliwym dogonić ich tylko posiadając doborowe konie, a tych nie mieliśmy. Postanowiłem więc dowiedzieć się od gospodyni, czy nie moglibyśmy bodaj wypożyczyć skąd dwóch wierzchowców. Dlatego zagadnąłem:

— Potrzebne są nam koniecznie konie do pościgu za złodziejami. Czy nie moglibyśmy ich dostać tutaj?

— Wątpię. Handlarza we wsi nie ma.

— Może ktoś wypożyczy?

— Również wątpię, czy jest tu kto do tego stopnia lekkomyślny.

— Wobec tego trudno myśleć o pościgu; nie posiadając koni nie dogonimy łotrów i musimy się wyrzec odzyskania naszej własności, jak i twoich pieniędzy...

— Effendi, ależ my mamy parę koni w stajni i mogę ci je wypożyczyć.

— Czy dobre pod wierzch?

— No, nie bardzo, bo liczą już po dwadzieścia lat. Najlepszego ukradł nam Akwil, a na drugim pojechał mąż.

— A więc nie ma rady, bo stare szkapy nie przydadzą się nam na nic; nie miałbym nawet chęci próbować ich w pościgu, bo z góry wiem, że to byłoby daremne. Musisz zatem wyrzec się swoich pieniędzy...

— Allach, to okropne!

— Ha, trudno!... Może jednak w sąsiedztwie ma kto dobre konie?

— Owszem, znalazłyby się u jednego z sąsiadów, ale wątpię, czy by zechciał je wypożyczyć.

— A gdyby wiedział, że tu idzie o pieniądze twego męża?...

— Tym bardziej nie wypożyczyłby, bo jest względem nas wrogo usposobiony.

— Tak? Cóż to za jeden?

— Jest to zamożny mieszczanin. Przybył tu z Kerkuk. Z początku był małym *baijah*\*, potem został *tabbach el adwija*\* i dorobił się poważnego grosza. Opowiadają, że zdobył majątek w nieuczciwy sposób i podobno dlatego musiał się wynieść z Kerkuk. Tu w Khoi jest to najbogatszy ze wszystkich mieszkańców i występuje jak jaki pasza. Posiada on bardzo cenne wielbłądy i pięć wspaniałych koni, z których dwa kupił niedawno. Te ostatnie nie są wcale ujeżdżone i nawet nie przywykły jeszcze do stajni.

— Powiadasz, że nie przywykły do stajni, z czego wnoszę, że trzyma je na dworze...

— Tak jest.

— Gdzież mianowicie?

— W ogrodzie.

— I nie obawia się pozostawiać je bez nadzoru?

— Nie ma się czego obawiać, bo sam nocuje w budzie i ma przy sobie dwu parobków do pomocy...

— A w której stronie znajduje się ten ogród? Może w pobliżu miejsca, gdzie wszczął się pożar?

— Nie, bardziej ku północy. Ale dlaczego o to pytasz, effendi?

— Mogę ci powiedzieć, bo ufam, że przed nikim nie zdradzisz mojego planu, od wykonania którego zależeć będzie odzyskanie naszych koni, jak również twoich pieniędzy.

— Och! Jeżeli tylko idzie o odzyskanie naszych pieniędzy, to bądź pewny, że ani słówka nie pisnę nikomu. Jesteś o wiele mądrzejszy od mego męża i pana, który pojechał w pogoń za złodziejami w innym kierunku, aniżeli należało i dlatego pieniądze dostały się w ręce Kelurów. Aha! Nie powiedziałam ci jeszcze, w jaki sposób wszczął się pożar. Wzniecili go umyślnie Kelurowie, przewidując, że pobiegiesz do ognia na ratunek, pozostawiając konie bez dozoru... no, i tak się też stało. A teraz powiedz mi, co zamierzasz uczynić; mów bez obawy, a ja święcie dotrzymam tajemnicy.

— Otóż chcąc dogonić Kelurów muszę mieć konie, a że ich nie mogę kupić ani też pożyczyć, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wziąć je bez wiedzy właściciela. Rozumiesz?

Oberżystka, nie w ciemną bita, zrozumiała mnie od razu. Skinawszy głową potakująco spytała następnie:

— Ale je potem zwrócisz właścicielowi?...

— Oczywiście. Nie jesteśmy przecież złodziejami.



— Chcesz więc po prostu pożyczyć u aptekarza bez jego wiedzy dwa niedawno kupione przez niego konie?

— Tak jest.

— I dobrze uczynisz. To podobno najlepsze w całej wsi rumaki.

— Ba, ale nie wiem dokładnie, gdzie znajduje się ogród, w którym owe konie stoją.

Kobieta pomyślała chwilę i nie odpowiadając wprost na pytanie, rzekła:

— Hm... poradzę ci coś... Wszak potrzebne są wam dwa siodła?

— Otóż niepotrzebne, bo głupi Kelurowie nie skradli moich siodeł; leżą one za przegrodą.

— Dobrze więc. Zostańcie tu parę minut, a następnie zabierzcie siodła na plecy i idźcie drogą ku północy. O jakieś trzy chaty dalej ujrzyjcie kobietę, za którą postępujcie powoli, nie zaczepiając jej jednak. Na końcu wsi wskaże wam ona wrota do ogrodu i oddali się. Czy zgadzacie się na to?

— Oczywiście.

— Niechże więc Allah wam poszczęści, dopomagając i mnie tym sposobem do odebrania skradzionych pieniędzy, Gdybyśmy ich nie odzyskali mój mąż i pan zmuszony byłby sprzedać wszystko, co ma, i zostać żebrakiem.

Wyszła z izby, a Halef uśmiechnął się tajemniczo i zapytał:

— Czy ty naprawdę chcesz... ukraść konie, sidi?

— Pożyczyć tylko, mój kochany; przecież nie mamy innego wyjścia...

— Ależ owszem! Mnie się to bardzo podoba i chętnie się na to zgadzam. Ale co myślisz, sidi, o naszej gospodyni?

— Że jest bardzo mądrą kobietą.

— Och, to prawda! Mądrzejsza jest o wiele od swego męża. Ale, kto jest owa kobieta, za którą mamy postępować?

— Ona sama.

— I ja tak myślę. Bardzo często głowa mężczyzny niewiele się różni od próżnej butelki, podczas gdy w głowie kobiety można zawsze znaleźć bodaj piasra, a choć się owego piasra wyjmie z tej dziwnej skarbony, jednak pozostanie tam zawsze jeden piasr. Niebawem zaczną świtać i musimy do tego czasu mieć konie, nie traćmy więc czasu, effendi, i chodźmy!

Zabraliśmy karabiny, siodła i koce i wyruszyliśmy. Mieszkańcy miasteczka jeszcze zajęci byli koło

pożaru, więc przedostaliśmy się niepostrzeżenie aż na koniec wsi, gdzie spostrzegliśmy kobietę z przykrytą do połowy twarzą, z kijem w ręku. Była to oczywiście nasza gospodyni (choć później za nic przyznać się do tego nie chciała). Ujrzawszy nas, poszła dalej, a my za nią.

Pożar roztaczał wokół taką lunę, że i tu widno było, jak o świcie.

Niebawem znaleźliśmy się w pobliżu wysokiego płotu, obłożonego u góry tarniną, w pośrodku którego znajdowała się uchylona furтка. Widocznie aptekarz tak się śpieszył do ognia, że zapomniał furtkę przymknąć.

Kobieta, wskazawszy ją nam, zniknęła między chatami, my zaś odeszliśmy nieco w pole, a ułożywszy tam na kupie kamieni nasze siodła i karabiny, wróciliśmy. Przedostawszy się przez furtkę do ogrodu, nasłuchiwalismy przez chwilę, czy jest kto w budzie. Ale widocznie i parobcy pobiegli do ognia, bo cicho tu było i spokojnie. Opodał stały dwa siwosze, uwiązane u palika. Mimo swej „dzikości”, o której zapewniała nas gospodyni, dały się odwiązać, poklepać po szyi i wyprowadzić bez oporu aż do kupy kamieni, gdzie osiodłaliśmy je bez trudności.

— Allahowi cześć! — ozwał się Halef, siedząc już w siodle. — Mamy konie, i to w samą porę, bo właśnie na wschodzie świtać już zaczyna. Te siwosze są dobrego gatunku i nie zawiodą pokładanych w nich nadziei. Ale pytanie, w którą stronę mamy jechać? Jak sądzisz, sidi?

— W każdym razie nie do miejsca pożaru, bo Kelurowie umyślnie wzniecili ogień w tamtej stronie, aby tam właśnie zwabić mieszkańców Khoi, a tu mieć wolną rękę i następnie uciec w tym kierunku.

— Prawda! Nie pomyślałem o tym.

— Otóż znajdujemy się obecnie w przeciwnej od pożaru stronie i w tym kierunku pojedziemy. Niebawem zacznie świtać i łatwo poznam ślady rabusiów... Jazda!

Gdyśmy ruszyli z miejsca, okazało się po kilku minutach, że wierzchowce posiadały nie lada temperament, ale zdołaliśmy utrzymać je w cuglach.

Ujehawszy kawał drogi, spostrzegliśmy tuż przy drodze zabitego konia. Zeskoczyłem z siodła, by mu się bliżej przypatrzeć i doszedłem do wniosku, że zabito go dopiero tej nocy, gdyż krew w kałuży, w której leżał, nie całkiem jeszcze zakrzepła.

— Halefie, jesteśmy już na tropie — ozwał się do towarzysza — i to dzięki memu Rihowi.

— Skądże to wnosisz, sidi?

— Patrz, są tu ludzkie i końskie ślady.

— A cóż to ma do rzeczy?

— Świadczy to, że tędy właśnie jechali Kelurowie, nie zaś kto inny. Mój Rih nie dał nikomu wsiąść na siebie, wierzgając na wszystkie strony roztrzaskał nogę idącemu obok koniowi i dlatego

właśnie zastrzelono okaleczale zwierzę.

— To zupełnie możliwe, sidi, i teraz nie wątpię, że, mając przed sobą tropy złodziei, odzyskamy wkrótce poczciwego Riha. Jak daleko twoim zdaniem mogą być od nas?

— Czas ich odjazdu można obliczyć z łatwością, bo właśnie wówczas wszczął się pożar. Ale jak daleko ujechali, trudno to określić dokładnie. Można przypuszczać, że złodzieje śpieszyli się, ale Rih broni się zapewne wszelkimi siłami i utrudnia w ten sposób ucieczkę. Jeżeli go będą bili, tym gorzej dla nich, bo wówczas zwierzę nie ruszy się z miejsca. Sądzę, że gdy się dobrze rozwidni, poznam po śladach, jak daleko nas wyprzedzili.

Ślady były tak wyraźne, że mimo panującego jeszcze zmroku, można je było rozpoznać. Jechaliśmy ku północy i widzieliśmy ze śladów, że Kelurowie zachowali w ucieczce wszelkie możliwe środki ostrożności omijając skrupulatnie utarte drogi i ścieżki. Nie uszło to uwagi Halefa i musiałem mu tłumaczyć:

— Złodzieje dobrze wiedzą, z kim mają do czynienia. Szejk trochę za wiele wygadał gospodyni. Jest on pewien, że będziemy go ścigali dla odzyskania za wszelką cenę mego drogiego rumaka. Gdyby miał za sobą tutejszych ludzi drwiłby sobie z ich pościgu, ale przed nami czuje obawę. Stąd ta jego wielka ostrożność. No, ale mam nadzieję, że pomimo znacznej liczby drabów, których ma przy sobie, nie ujdzie nam bezkarnie.

— Jak ty ślicznie rozumiesz, kochany effendi! — rzekł Halef. — Nie darmo uczyłeś się w Ameryce czytać ze śladów. Widzę teraz całą użyteczność tej sztuki i wdzięczny ci jestem, żeś mnie jej nauczył. Pomimo, że jest nas tylko dwu, jestem pewny powodzenia naszej sprawy i odzyskania koni, tym bardziej, że ów szejk Kelurów nie jest bynajmniej mędrcom, czego dał dziś dostateczne dowody.

— Jakież to dowody?

— A no, że nie zabrał nam karabinów i siodeł. Toż twój reszma to majątek. Draby widocznie poślepli, skoro przeoczyli tak świetną zdobycz.

— Trzeba wziąć pod uwagę to, z jakim pośpiechem działać musieli. Wszak każdej chwili mogliśmy powrócić i zastać ich w izbie. Z drugiej strony celem ich była przecież tylko kradzież Riha i skoro dorwali się do niego, nie obchodziło ich nic więcej. Ponadto za przegrodą panowała ciemność, więc nie dziwota, że nie dostrzegli przedmiotów leżących w kącie. Zresztą prawdopodobnie Akwil zapomniał im zwrócić uwagę na wartość naszej broni i rzędu.

— A bodajby jeździli łajdacy po piekle na ognistych siodłach, pokrytych skórą diabelskich *kanafid*.

Tropy prowadziły nas przez teren trawiasty, na którym perliła się w świetle wschodzącego słońca rosa. Trawa na śladach jeszcze się nie podniosła i sądząc z tego, tudzież z kierunku wiatru, rodzaju gruntu oraz innych okoliczności wywnioskowałem, że Kelurowie nie byli od nas oddaleni więcej nad dwie godziny drogi. Zestawiwszy tę przestrzeń z czasem, jaki upłynął od ich wyjazdu z Khoi, mogłem

przypuszczać, że uciekali bardzo wolno, co oczywiście należało zawdzięczać tylko memu Rihowi.

Według tego obliczenia mogliśmy dogonić Kelurów bez zbytnich wysiłków z naszej strony za trzy godziny. Mimo to popędzaliśmy konie zmuszając je do tęgiego klusa. Halef był jak najlepszej myśli i tylko niecierpliwiał się, pragnąc przyśpieszyć chwilę rozprawy ze złodziejami, wobec czego zapytałem go:

— Jak sądzisz? Ilu jeźdźców mamy przed sobą?

— Niestety, nie mogę tego określić z taką dokładnością, jak ty, sidi, tym bardziej, że jadą oni nie w ordynku, lecz w rozsypce. Ze śladów wnosząc, może ich być ze trzydziestu.

— A ja obliczam co najmniej na czterdziestu.

— Dziesięciu mniej lub więcej, to nic nie znaczy. Tak czy owak, konie odebrać im musimy!

— Niech ci się jednak nie zdaje, mój Halefie, że będzie to tak łatwe. W tej chwili może ich być stu albo i więcej...

— Co mówisz, sidi? Przecie Kelurowie to nie muchy, które mnożą się w powietrzu. Skąd się tylu ich naraz wzięło?

— Przede wszystkim muchy nie mnożą się w powietrzu, a po drugie Kelurowie, którzy nas okradli, byli najprawdopodobniej tylko częścią jakiegoś większego oddziału.

— Z czego to wnosisz?

— Z różnych okoliczności. Wiesz przecie, że Akwil, chcąc dobić targu z Kelurami, nie szukał ich długo, a zatem wiedział z góry, gdzie się znajdują a nie przyszłoby mu to łatwo, gdyby to była banda, złożona zaledwie z czterdziestu jeźdźców, gdyż bandy takie są bardzo ruchliwe i w krótkim czasie przerzucają się z miejsca na miejsce tak, że nigdy nie można wiedzieć na pewno, gdzie obozują w danej chwili. Ponieważ Akwil znał dokładnie miejsce pobytu Kelurów, przypuszczać trzeba, że był to większy oddział, niezdolny do zbyt szybkiego ruchu. Zdaje mi się, że potwierdzisz moje przypuszczenia.

— Ależ oczywiście, effendi. Lecz, jeżeli sprawa przedstawia się w ten sposób, to nie pójdzie nam tak gładko, jak przypuszczałem. Myślałem, że skoro dopędzimy złodziei, zaczniemy strzelać i rozbijemy całą bandę w jednej chwili.

— I tego nawet nie uczynilibyśmy, gdyby ich było tylko czterdziestu, bo co by nam z tego przyszło gdybyśmy przypadkiem zastrzelili Riha?

— No, przecie nie każda kula trafia.

— Masz słuszność. Ale zachodzi tu druga okoliczność; mianowicie, gdyby wystrzelono do nas z czterdziestu karabinów, to jest możliwe, że bodaj dwa strzały byłyby celne. Wiem, żeś dzielny wojownik, że zdolny jesteś sam jeden iść na stu nieprzyjaciół; ale dzielność a zuchwałość to dwie

odrębne rzeczy. Prawdziwa odwaga posługuje się przede wszystkim przezornością i rozwagą!

— Słusznie, sidi! Bardzo słusznie! Wiem z góry, co zamysłasz... Znowu chytróść.. Zachwycasz mnie, i nigdy nie zapomnę, jak to w ciemną noc, że oko wykol otarłeś się niemal o grzywę lwa lub zakradłeś się do środka obozu między tysiące wrogo dla ciebie usposobionych Beduinów. W takich okolicznościach zawsze wiernie stałem u twego boku, a serce mi się rwało, duma zaś rozsadzała niejako piersi, gdyśmy wracali zawsze jako zwycięzcy triumfalnie witani przez naszych. Pamiętam, jak witano nas z muzyką: i skrzypce i wielki bęben i mały bęben i potężna trąba, wszystko to brzmiało na naszą część. Inni wojownicy zazdrościli nam sławy a kobiety i dziewczęta tańczyły naokoło nas. Przypominam sobie, jak Hanneh, żona moja, najlepsza i najpiękniejsza z kobiet na ziemi, najwonnejsza z kwiatów łąk, pól i ogrodów, zarzuciła mi ramiona na szyję i płacząc łzami radości nazywała mnie swym najukochańszym wśród ludzi, jedynym pragnieniem jej serca, władcą jej duszy i słońcem jej szczęścia!

Pocziwy Halef kochał swą żonę ogromnie. Teraz, wspomniawszy o niej, milczał czas jakiś, wywołując w swej pamięci przeżyte z nią chwile. Chętnie zazwyczaj opowiadając o tym, co przeszedł, mówił w sposób iście wschodni, z niesłychaną przesadą, a podnosząc moje zasługi, myślał oczywiście o sobie i starał się zawsze przypisać sobie część zdobytej przeze mnie sławy. Oczywiście nie przeszkadzałem mu w tym, gdyż istotnie przeżył ze mną tyle niebezpieczeństw, że nawet obyci z nimi Beduini podziwiali jego niezwykłą odwagę, która mieszkała w tak małym stosunkowo ciele. Po chwili milczenia ciągnął dalej:

— Tyle już razy widziałem cię walczącego i podziwiałem zawsze. Ale najbardziej imponowałeś mi wówczas, gdy, odrzuciwszy broń, posługiwałeś się podstępem i chytrością. Czymże jest wojowniczość i siła Kurdów, gdy wobec nich chwycimy pistolety rozumu, karabiny podstępu i noże chytróści! Gdy jesteśmy tak uzbrojeni, niechby się z nami zmierzyli najślawniejsi wojownicy państwa ottomańskiego, a nie wątpię, że nosy wydłużyłyby się im aż do Mekki i Teheranu!

— No, tak znowu źle nie byłoby, Halefie!

— Źle nie, ale właśnie... wspaniale! Przypomnij sobie tylko, ile to razy zdołaliśmy osiągnąć chytrością to, czego nie zdobylibyśmy mając nawet sto armat! Nieraz czułem już nad sobą zimny powiew śmierci, który mi do szpiku kości przenikał i zdawało się, że żadnego już zgoła ratunku dla nas nie ma. Aż nagle jedna myśl twoja wyrwała nas z morza zwątpienia, rzucając na brzeg nadziei. Ileż to razy wrogowie nasi mieli nas w swym ręku i byli pewni, że nie ma sposobu, abyśmy się im z kleszczy wymknęli. Aż oto, ku niesłychanemu swemu zdziwieniu, przekonywali się w końcu, że owa moc ich to złudzenie tylko, bo, jak czarnoksiężnicy z fantastycznej baśni nie znaleźmy żadnych zapór, żadnych okowów i więzów! W sidłach nieraz już będąc, że tylko zacisnąć je nieco, sprzed nosa wrogów wyfruwaliśmy najniespodziewaniej z *nagha el masgara*\*, a prześladowcy nasi zgrzytali zębami z wściekłości.

Kwieciste wynurzenia złotoustego Halefa przyjmowałem z całą powagą i widziałem, że to podnieca go jeszcze bardziej w krasomówczym zapale. Gdy jednak wspomniał o „drwiącym szczebiocie”, nie mogłem się powstrzymać od śmiechu. Halef zaś popatrzył na mnie z ukosa i zapytał gniewnie:

— Z czego tu się śmiać, effendi? Czyż możliwość skręcenia ci karku uważasz za rzecz nadającą się do żartów?

— No, nie mam w tej chwili na myśli skręcenia karku, ale ów... „szczebiot”.

— Nie drwij! Allah, zamiast ust ludzkich, dał ci wróbli dzióbek, i to ci wystarcza. Ja zaś, jeżeli w rozmowie z tobą posługuję się wytwornym stylem, czynię to jedynie z poszanowania dla twojej wiedzy i nie powinienes wyśmiewać mnie z tego powodu. Jesteś wprawdzie niezwykle odważny i bardzo pomysłowy w fortelach, ale przecież zdarza ci się popełniać od czasu do czasu błędy. Toteż winienes wdzięczność Allahowi, że z wielkiej swej łaski dał ci mnie za towarzysza i sługę, który ci nieraz bywa pomocą. A błogosławioną jest owa chwila, gdyś mnie poznał, nie tylko dla ciebie lecz i dla mnie, gdyż przymioty twoje wynoszą mnie ponad wszystkie puste głowy zwykłych śmiertelników, a nawet ponad twoją.

Mały hadzi był bardzo obraźliwy i w razie zadrażnienia go czymkolwiek nie darowywał nikomu, nawet mnie. Gdy się czymś uczuł dotknięty i począł perorować, przyjmowałem to zazwyczaj milczeniem i gniew jego ulatniał się tak prędko, jak się pojawiał; dobre jego serce i przywiązanie do mnie nie pozwalały mu dąsać się zbyt długo.

Tak było i teraz. Po chwili obopólnego milczenia, jakie nastąpiło po wybuchu; popatrzył mi badawczo w twarz i zapytał tonem zakłopotania:

— Co ci się stało, sisi? Milczysz jakby cię mowa moja nie interesowała. A przecież płynęliśmy już pod pełnymi żaglami po wartkich nurtach dysputy... Czy może obraziłem cię niebacznie jakimś słowem?

— Nie, Halefie; myślałem tylko o owych zdolnościach, które cię tak znacznie wynoszą nade mną...

— Nad ciebie? Ależ ja wcale nie miałem tego na myśli! Jeżeli mówiłem o swoich przymiotach, to tak samo, jakbym mówił o twoich, bo przecież tyś je we mnie rozbudził i udoskonalił. Dziękuję też co dzień Allahowi we wszystkich pięciu modlitwach, że dał mi poznać cię na pustyni... No! Czy będziesz się gniewał na mnie?

— Ależ nie mam żalu do ciebie i nigdy go nie miałem.

— Słowa te orzeźwiają moje serce i radością niewymowną napełniają mi duszę aż do najgłębszego jej zakątka. Bo widzisz... mnie się bardzo często zdaje, że ty nie jesteś ze mnie zadowolony. Wówczas w serce moje wbija się dziesięć tysięcy szpilek i mam wrażenie, jakoby jądro miłości jaką ku tobie żywię, płonęło stoma tysiącami zapalek. Wówczas nie mogę się uspokoić, aż na ustach twoich nie ujrzę znowu uśmiechu.

Porównawczy zwrot ze szpilkami i zapalkami był znowu nienajgorszy, jednak tym razem wstrzymałem się od śmiechu.

— Ale odbieглиśmy od przedmiotu — ciągnął dalej. — Wspomniałeś, że zaatakujemy nieprzyjaciół podstępem. Czy obmyśliłeś już plan?

— Jeszcze nie.

— A jednak dobry wódz powinien wcześniej mieć plan obmyślony i dobrze się rozejrzeć, w jaki sposób go wykonać.

— Przede wszystkim nie jestem tu wodzem; ale gdybym nawet nim był, nie powziąłbym planu, dopóki bym nie zobaczył nieprzyjaciela i nie poznał okoliczności. Czy na przykład chcąc kupić konia, możesz ofiarować zań cenę, nie widząc go jeszcze?

— Oczywiście, że nie!

— Tak samo i my nie możemy obecnie wiedzieć, w jaki sposób wypadnie rozprawić się z Kelurami. Zresztą dajmy już temu spokój! Teraz należy zwrócić szczególniejszą uwagę na tropy.

Kelurowie, jak to zauważyłem, uciekali dotychczas mało uczęszczanymi drogami, a właściwie po bezdrożach, bo dróg tu już nie było wcale. Jechaliśmy za nimi wciąż przez teren trawiasty, następnie przez rzadki las, aż wreszcie znaleźliśmy się przed skalistym zboczem płaskowzgórza, na którym nikły zupełnie ślady kopyt końskich i tylko bardzo wprawne oko mogło tu rozpoznać pewne znaki, świadczące o przejściu koni.

Owo omijanie przez Kelurów miejsc ludniejszych zdawało się świadczyć o ostrożności uciekających. Ale u mnie dowódca bandy nie zyskiwał uznania, gdyż jadąc po uczęszczanych drogach, łatwiej jest wprowadzić w błąd ścigających niż na terenie dzikim. Gdybym był na miejscu moich wrogów, uciekałbym właśnie drogą utartą, która przecież w wielu miejscach się rozgałęzia i ślady na niej mieszają się ze śladami stałych mieszkańców okolicy, a więc ścigający mogą tu łatwo stracić ślad. Szir Samurek jednak chciał być przebiegły, ale mu się to nie udawało.

Wjechawszy na wzgórze ujrzeliśmy przed sobą rozległe pastwisko, na którego krańcach rosły rzadkie karłowate sosny. Od tego miejsca ślady rozbiegały się w różnych kierunkach.

— Allah! — krzyknął Halef — to dla nas rzecz bardzo niepomyślna...

— Dlaczego?

— Czyż nie widzisz, że Kelurowie rozdzielili się z rozmysłem, by nas wprowadzić w błąd? Ów Szir Samurek nie jest tak głupi, jakby się wydawało.

— Przeciwnie, mój Halefie, głupszy on jest, niż myślałem.

— Z czego tak sądzisz, sidi? Nie rozumiem.

— Rzecz całkiem prosta. Kelurowie rozdzielili się tu, by zmylić pościg. Ale to im nic nie pomoże, bo przecież dowódca niezawodnie wyznaczył im wszystkim punkt zborny.

— Teraz pojmuje... Wystarczy zatem trzymać się nam jednego tropu, a dotrzemy do owego punktu zbornego.

— Oczywiście. Wybieg Kelurów jest tak bezmyślny, że powstydziliby się go nawet najgłupszy Indianin. Wybierzemy, rzecz prosta, trop najwyraźniejszy... Ale patrz!... jak tu grunt zaorany kopytami! Jeden z koni nie chciał dać się prowadzić dalej, i kto wie, czy nie był to właśnie Rih. Jazda!

Zadaliśmy koniom ostrogi i popędziliśmy żwawym galopem. Siwosze były młode i nieujeżdżone, ale pod naszym umiejętnym kierownictwem biegły znakomicie.

Po kwadransie znaleźliśmy się w rozległej, piaszczystej dolinie, tu i ówdzie pokrytej nędznymi krzakami i kępami szczecinowatej trawy. Jadąc dalej dotarliśmy w jakieś pół godziny do miejsca, gdzie ze śledzonym przez nas tropem zbiegały się wszystkie inne ślady rozdzielonej bandy.

— Miałeś słuszość, sisi — rzekł Halef. — Kelurowie, którzy się tam na wzgórzu rozpiezchli, złączyli się tu znowu w jeden oddział. Skoro tylko dostaniemy ich w swe ręce, powiem ich wodzowi, że niewiele jest mędrszy od niezgrabnej kaczki, która miała ochotę zadziwić świat swoim śpiewem, współzawodnicząc ze słowikiem.

Tu znowu omal nie parsknąłem śmiechem, lecz nie z porównania kaczki ze słowikiem, ale z owej pewności Halefa i jego zarozumiałstwa, z jakim utrzymywał, że my dwaj, szukający wiatru w polu, ludzie przeciętnej miary, nie posiadający władzy czynienia cudów, oładniemy niechybnie czterdziestu Kelurami i weźmiemy do niewoli ich szejka.

Nie była jednak czymś dziwnym, taka pewność małego pyszałka, bo we wszystkich dotychczasowych naszych przedsięwzięciach szczęście dopisywało nam i nigdy nie wpadliśmy w pułapkę, ani też nie daliśmy się zwyciężyć. To stałe powodzenie było przyczyną, że i tu nie myślał on jedynie o odzyskaniu koni, ale i o wzięciu kilkudziesięciu ludzi wraz z ich szejkiem do niewoli.

Nie chciałem mu psuć humoru i odbierać wiary w siebie, gdyż właśnie ta pewność własnych sił i powodzenia czyniła go bardzo pożytecznym dla mnie towarzyszem w najbardziej krytycznych okolicznościach. Odrzekłem więc wymijająco:

— Jeżeli nie zdołamy odebrać koni wprost, to trzeba będzie uciec się do sposobów, a mianowicie porwać bądź szejka, bądź jakiegoś innego znakomitego Kelura i zażądać od nich wymiany na nasze konie. Zresztą nie ma sobie nad czym łamać zbytnio głowy mój kochany Halefie, bo niebawem sprawa sama się wyjaśni. Jeżeli los przeznaczył cię do odegrania dziś roli bohatera, to kurtyna podniesie się w bardzo krótkim czasie.

— Tak sądzisz? — zapytał uradowany z pochlebnych mych słów. — Więc jak los zechce, niech się tak stanie. Jako bohater uczynię wszystko, abyś był ze mnie zadowolony. Ale skąd wnosisz, że kurtyna już w tak krótkim czasie pójdzie w górę?

— Na takie przypuszczenie pozwala wybieg szejka. Bo dlaczego nie rozdzielił swej bandy zaraz za wsią, lecz aż tutaj? Widocznie niedaleko stąd znajduje się obóz. Ale uważaj! Zdaje mi się, że nie będzie można jechać dalej!

Dolina, którą przebywaliśmy, skręcała na lewo, tworząc kąt ostry. Ślady Kelurów jednak nie



prowadziły w tym kierunku, lecz prosto na przełaj w górę. Halef chciał popędzić w ich ślad lecz go wstrzymałem:

— Ani kroku! Bo jeżeli istotnie jesteśmy w pobliżu obozu, to na górze ustawione są niezawodnie straże i dlatego musimy być ostrożni. Zostaniesz tutaj i potrzymasz mego konia, a ja podejść pieszo na pagórek zobaczyć, czy możemy jechać dalej bez przeszkody. Pamiętaj jednak, że nie wolno ci się stąd ruszyć, dopóki nie dam znaku!

Zsiadłem z konia, oddałem cugle Halefowi i wdrapałem się na pagórek, gdzie rosły liczne lecz małe sosny i dęby. Tropy Kelurów prowadziły teraz w dół pomiędzy rzadko rosnącymi drzewami. Już chciałem zawrócić, gdy wtem spostrzegłem na szczycie wzgórza wyniosłość skalną, niby ruiny jakiejś baszty. Skierowałem się tam i dostawszy się na wierzchołek skały stwierdziłem, że las kończył się niedaleko, a poza nim leżała szeroka dolina, przecięta niedużym potokiem.

Nad brzegami tego potoku spostrzegłem rozległy obóz Kelurów, a właściwie już tylko szczątki obozu, gdyż oddział gotował się właśnie do wymarszu. Kobiet wśród Kelurów nie było; nie mieli też z sobą trzody, a zamiast namiotów stały w obozowisku budy z gałęzi. Z tego wywnioskowałem, że celem wyprawy Kelurów nie było polowanie. Na razie nie miałem pojęcia, w jakim celu wyruszyli ze swych siedzib. Dopiero później dowiedziałem się, że była to wyprawa rabunkowa na granicę Persji.

Sądząc na oko mogło tu być co najmniej trzystu ludzi, którzy oprócz koni wierzchowych, prowadzili około pięćdziesięciu jucznych mułów. Ludzie ci mieli na głowach białe o półmetrowej średnicy turbany, co robiło wrażenie, jakby dźwigali na głowach wielkie kosze.

Wyteżyłem wzrok, czy nie dostrzegę swego konia, ale na próżno. Niezadowolony wróciłem po Halefa.

— No i cóż? Natknąłeś się na wartę? — zapytał oddając mi konia.

— Nie.

— To może spostrzegłeś obóz?...

— Tak.

— Co za lekkomyślna nieostrożność ze strony szejka! Przecież mógł być pewien, że go będziemy ścigali i nawet warty nie ustawił!

— To było zbyteczne, bo obóz już zwinięto.

— Co? Ruszyli dalej?

— Tak jest. Zdaje mi się, że szejk wydał rozkaz zaraz po przybyciu na miejsce.

— Dokąd się skierowali?

— Nie wiem, ale sądzę, że się dowiem. Nie spuścimy ich z oka tak długo, dopóki nie odbierzemy swych koni.

— Mam nadzieję, że na ich szczęście stanie się to dziś jeszcze, gdyż wcale nie mam ochoty wlec się za nimi dłużej. Skoro tylko stracę cierpliwość, wystrzelam ich co do nogi! Jeżeli chcą kraść konie, to nic przeciw temu nie mam, gdyż kradzież taka uchodzi w tym kraju za czyn heroiczny i chwalebny; ale że pokusili się właśnie o nasze konie, mając ich miliony do skradzenia na kuli ziemskiej, to nie mogę być na to obojętny i pokażę im, jakie skutki pociąga za sobą ta okoliczność, że dzięki nim zmuszony jestem tłuc się na grzbiecie pierwszej lepszej *at el attar*.

— Dziękuj Allahowi, że mamy choć takie szkapy, bo mogło być jeszcze gorzej.

— Tak dalece nie ma za co dziękować. Wszak to nie nasze własne; pożyczylimy je tylko, nie zaś ukradli. Zanim je oddamy fabrykantowi trucizny czuję się niejako smarkatym wyrostkiem, co pląta niebezpieczne figle... A wszystko przez tych huncwotów Kelurów, którzy powinni siedzieć w piekle i być właścicielami całego tabunu szkap diabelskich; niechby im tam po dziesięć razy na dzień kradziono je, a nie oddano ani razu!

Podjechaliśmy na wzgórze aż do skał, skąd przedtem obserwowałem wyruszających w drogę Kelurów, a uwiązawszy konie do krzaków, wleźliśmy na wierzchołek. Kelurowie wyciągnęli się już w dolinie długim sznurem, który, jak wąż ogromny, wił się wśród pokrytego zielenią terenu.

— Uciekają łotry, gałgany! — mruczał gniewnie Halef — a my stoimy tu, mlaskając językami jak pies, gdy mu ucieknie pieczeń sprzed nosa! Ale poczekajcie! Dogonimy was i rzucimy się na wasze ścierwo, jak rozjuszony lwy... nogi wam z pośladków powyrywamy i porozrzucamy po polu! Jestem człek litościwy, a tak dobry, że nawet koniokradów uważam za ludzi; ale to jeszcze nie powód, żeby mnie samego ważyli się okraść! Właśnie ta moja łagodność i dobroć powinna powstrzymywać łotrów od kradzieży! Ale gałgany nie znają się na tym... Patrz, sisi! Najspokojniej, jak ze swoją własnością, jadą sobie, uprowadzając nam ukochane zwierzęta. Ciekaw jestem jaki łajdak siedzi na grzbiecie mego ulubieńca! Ty przynajmniej możesz być spokojny, że na twego Riha nikt z żyjących nie posadzi ostatnich kręgów pacierzowych, boby te kręgi rozleciały mu się po drodze, jak korale po rozcięciu sznurka... Lecz co tu wiele gadać! Gdy dostanę w swe ręce draba, który siedział na grzbiecie mego ulubieńca, rozetnę go wzdłuż z góry do dołu, tak, że już nigdy na żadnego konia nie wsiądzie, bo się na nim nie utrzyma... Przysięgam na proroka, że zrobię to bez skrupułów! Z całą pewnością zrobię!...

Rozjątrzenie Halefa i zabawna jego gadanina budziły we mnie śmiech, od którego musiałem się z trudem powstrzymać, czego nawet się nie domyślał, sądząc, że podzielani jego poglądy i groźby w zupełności. Zresztą lubiłem go właśnie dla jego humoru i oryginalnych zapatrywań na różne sprawy. Są bowiem i na Wschodzie pewne indywidua, które na otoczenie wywierają głębsze wrażenie, niż setki innych przeciętnych ludzi.

Postanowiłem zbadać skrupulatnie obozowisko Kelurów, ale możliwe to było dopiero wówczas, gdy się oddalą o tyle, że nas spostrzec nie będą mogli; a że ciągnęli oni w kierunku południowo-wschodnim, więc liczyłem, że jadąc ich śladami musimy kiedyś znaleźć się nad tą samą rzeką, która z gór płynie ku wsi Khoi, i oczywiście tyle drogi nałożyć niepotrzebnie.



południem. Nie było obawy, by nieprzyjaciel nam uszedł, bo po pierwsze — był to zbyt wielki oddział, a po drugie — uważał już za zbyt uczte zacieranie po sobie śladów.

W południe znaleźliśmy się na terenie górzystym, pokrytym tu i ówdzie lasem dębowym, z którego pochodzą światowej sławy galasówki. Tu udało mi się upolować młodego dzika. Upiekliśmy go naprędce, a pożywiwszy się, zabraliśmy resztę do toreb, bo trzeba było pamiętać, że jak długo następować będziemy na pięty Kelurom, nie upolujemy nic, gdyż strzały zdradzić mogły naszą obecność.

Dla Halefa, jako muzułmanina, wieprzowe mięso było przysmakiem zakazanym, ale w moim towarzystwie stał się nieco... postępowy i nabrał wybrednych wymagań pod względem pożywienia. Zlekceważywszy więc przepisy proroka i jego kalifów jadł dziczyznę, aż mu się broda trzęsła; zresztą sam zachęcałem go do tego, biorąc grzech na swoje sumienie.

Po posiłku i wypoczynku puściliśmy się w dalszą drogę i w ciągu kilku godzin przybyliśmy nad południowe ramię rzeki Zab, mając je po lewej, a lesisty, stromy grzbiet górski po prawej stronie. Odtąd ślady prowadziły nas łożyskiem górskiego potoku, który prawdopodobnie wzbierał na wiosnę, a obecnie był leniwie sączącym się wśród żwiru i głazów strumykiem. Utrudniały nam tu w znacznym stopniu jazdę liczne korzenie i krzaki, po obydwóch jego brzegach sterczące.

— Sam diabeł chyba wskazał tędy drogę Kelurom — narzekał Halef. — Zapewne wygodniejszą jest ścieżka od bram śmierci na miejsce wiecznego potępienia, bo przynajmniej prowadzi w dół, a ta w górę!

— I ja również nie mogę pojąć, dlaczego obrali tak niewygodną drogę.

— No, nareszcie znalazło się coś, czego nie rozumiesz, sisi! — przerwał mi żywo Halef, uśmiechając się.

— Nie martw się, zrozumie i to w swoim czasie.

— Dokąd właściwie oni dążą? Przecież tu nie ma żadnej przełęczy w łańcuchu górskim!

— Jeśli się nie mylę, masz słusność. Przypominasz sobie zapewne z ostatniej naszej podróży przez tę okolicę dwie góry, mianowicie: z lewej strony Mekwilik, a z prawej o fantastycznych kształtach Nekul. Między, tymi górami nie ma żadnego przejścia, a Szir Samurek ma zapewne cel, do którego dąży, po tej stronie grzbietu, nie zaś po tamtej.

— Allach! czyżby to była okolica, w której znajduje się *muzallah el amwat*?

— Nie słyszałem takiej nazwy. Co ona oznacza?

— Ach, co oznacza! Otóż ni mniej, ni więcej, tylko jest to miejscowość, którą omija każdy człowiek, bez względu na to, czy jest sunnitą, szyitą, chrześcijaninem czy żydem. Przypominasz sobie zapewne, że w czasie naszej bytności w Khoi rozmawiałem z kilkoma *mazydzilar*\* i dowiedziałem się od nich wiele ciekawych rzeczy. Mówili mi, że w tej okolicy jest niezmierna ilość galasówek, tak, że brodzić można wśród nich po kolana, ale nikt się nie odważa przychodzić po nie w obawie

przed błędzącymi tu duchami ludzi zmarłych. Podobno przed paruset laty przybyli w te strony chrześcijanie i zbudowali sobie kaplicę, by w niej chwalić Boga na swój sposób. Byli to ludzie uczciwi i dobrzy, nikomu w drogę nie wchodzili, ale szyjcy napadli na nich i wyrznęli co do nogi właśnie koło owej kaplicy. Ostatni zginął ich kapłan. Modlił się on jeszcze w chwili konania za nieprzyjaciół, gdy nagle zbójcy wyrwali krzyż z kaplicy i w dzikim rozpasaniu wrzucili go w ogień. Umierający kapłan rzucił na nich klątwę, wskutek której nie tylko pomarli natychmiast, ale i ich siedziby oraz dobytek zniknęły z powierzchni ziemi. Od tego czasu nieszczęście spotyka każdego, kto się przybliży do *muzallah*. Mimo to niektórzy *mazydżilar*, jako że biedni są, a uśmiechał im się dobry zysk z galasówek, odważyli się niedawno na wyprawę w te strony. Kiedy jednak przyszli pod kaplicę, wybiegł z niej duch kapłana w postaci niedźwiedzia i byłby ich wszystkich pożarł, gdyby się nie oddali w opiekę Allacha, który dopomógł im w ucieczce. Przysięgali potem przede mną, że nigdy już nie zapuszczą się w to miejsce... Co o tym sądzisz, effendi?

— Sądzę, że to nie był żaden duch, ale najzwyczajniejszy w świecie niedźwiedź. Przecież każdy wie, że w górach dosyć jest tych dzikich zwierząt.

— Wiem o tym i ja, ale przecież niedźwiedzie nie są tak olbrzymiego wzrostu, jak ów duch.

— Strach ma wielkie oczy... to znaczy: z wielkiej trwogi mógł się ludziom niedźwiedź wydać dwa razy większy, niż jest w istocie.

— Mówisz tak, bo nie wierzysz w duchy...

— Ależ przeciwnie, jestem przekonany, że duchy gdzieś istnieją; w widziadła jednak w postaci niedźwiedzi istotnie nie wierzę.

— No, ty na miejscu tych ludzi nie byłbyś uciekał, ale poszedłbyś naprzeciw potwora śmiało i odważnie, bo się niczego nie boisz. Ja jednak, daruj, *sidi*; nie miałbym ochoty przekonywać się osobiście, czy mam do czynienia z duchem, czy też z niedźwiedziem. Co prawda, myśmy ubili podobną bestię w wąwozach Bałkanu, ale tam nie było wcale *muzallah el amwat*, tu zaś wisi w powietrzu nad całą okolicą klątwa kapłana... Nie chcę więc mieć do czynienia z potworem, bez względu na to, co by to było za lichy...

— Czy wiesz mniej więcej, w którym miejscu znajduje się owa *muzallah*?

— Jak mi określali *mazydżilar*, jest ona między Nekulem a Mekwilikiem. Idzie się tam kamienistym korytem między dwoma stromymi brzegami...

Tu urwał nagle, spojrzał mi znacząco w oczy i po chwili krzyknął:

— Allah akbar! Toż to się zupełnie zgadza... Jesteśmy właśnie na drodze do *muzallah*...

— Prawdopodobnie...

— Nekul i Mekwilik to dwa szczyty, między którymi znajduje się ta kaplica umarłych... *Maszallah!*... To stąd niedaleko!...

— Bardzo możliwe... Ale radzę ci zamknąć gębę, bo... może wypaść stąd niedźwiedź i wskoczyć Ta do niej... Zbyt szeroko ją otwierasz...

— Nie żartuj, sisi! Mam już takie przyzwyczajenie, że skoro jestem zdziwiony, gęba mi się sama otwiera, a gdy zdziwienie przejdzie, to i ona sama się zamknie. A bodaj to!... Nic innego, jak tylko nasz los, nasze fatum zaprowadziło tu mnie i ciebie! Gdybym choć wiedział, co nas tam w górze czeka...

— Pytasz jeszcze o to?

— Oczywiście... A ty wiesz może?

— Wiem.

— No, powiedz... Proszę cię...

— Czeka nas duch, którego obedrzemy ze skóry...

— No, effendi! To lekkomyślne zuchwalstwo! Żartujesz sobie ze wszystkiego, a moja dusza siedzi już na ramieniu i doprawdy nie wiem, co mi czynić wypadnie, gdy duch się istotnie ukaże: uciekać, czy też strzelać... Bo jeżeli to będzie prawdziwy niedźwiedź, a ja ucieknę, wyśmiejesz mię niemiłosiernie. Rzeczywiście miałbym się wówczas czego wstydzić aż do śmierci. Jeżeli jednak ukaże się duch, a ja do niego strzelę, to kula przeleci przez jego ciało, nic mu złego nie czyniąc, a wówczas co się stanie ze mną, Allah jeden raczy wiedzieć...

— Oj, Halefie, Halefie! Jeżeli strzelisz do ducha, to kula przeleci przez jego... ciało. No, proszę, gdzież tu sens? Czyż na próżno uczyłem cię tak długo? Czyż nic z tej nauki nie skorzystałeś? Widać, że tkwi w tobie jeszcze głęboko zabobon człowieka pierwotnego... Powiedz mi przynajmniej, za kogo zginął ów kapłan?

— Za swego Boga i za swą wiarę, sisi!

— Jak nazywamy takich ludzi?

— Męczennik.

— Co mówi o nich koran?

— Że po śmierci idą prosto do nieba.

— Otóż posłuchaj! Nawet wedle pojęć muzułmańskich każdy męczennik idzie po śmierci do nieba i otrzymuje tam nagrodę za cierpienia i śmierć, którą poniósł. Czy wobec tego ów pobożny kapłan, poniósłszy śmierć męczeńską za swoją wiarę, swego Boga, zamiast nagrody, miałby być skazany na karę przebywania w odludnej kaplicy i to jeszcze w skórze niedźwiedzia? Czyżby to nie było dla niego raczej piekło niż nagroda?

Halef otworzył znowu usta i patrzył na mnie ze zdziwieniem.

— Znowu otworzyłeś gębę — zaśmiałem się.

— Tak jest, sisi, dziwię się znowu.

— A cóż może być w moich słowach dziwnego?

— A no, żeś taki mądry i że umiesz na wszystko znaleźć odpowiedź. *Allach inza*f albo *Allach el adala*... Bóg jest sprawiedliwością...

— Ba, ale w tym wypadku co by to była za sprawiedliwość?

— Allach nie byłby sprawiedliwy, gdyby ducha uczynił niedźwiedziem. Jednak Allach jest sprawiedliwy, więc... więc...

— No, więc...

— ... więc duch nie może być niedźwiedziem, ani niedźwiedź duchem.

— Rozumie się! Ale ponieważ tak łatwo zgadzasz się na wszystko, więc, gdybym ci powiedział, że wewnątrz twojej głowy siedzi zwierz dziki, zapewne uwierzyłyś i w to również?

— Uwierzyłbym, bo ty, effendi, jak we wszystkim tak i w logice jesteś niedościgniony. Zresztą niech się ów potwór pojawi, gdzie chce, ja go zastrzelę i kwita!

— Co do strzelania, możebyś to mnie lepiej pozostawił. Niedźwiedzie kurdyjskie nie są tak niebezpieczne, jak na przykład z gór Hauran lub Libanon. Nikt tu ich nie ściga, ani nie poluje na nie, więc mają czas wyrosnąć. Zresztą zbieracze galasówek mówili ci, że ów niedźwiedź z kaplicy jest bardzo wielki, a zatem kula twego karabinu nie uśmierciłaby go, a tylko mogłaby go zranić i rozdrażnić. Ponadto zaś musisz wziąć pod uwagę, że nam obecnie nie wolno strzelać ze względu na Kelurów. W końcu nie ma się o co troszczyć, bo wcale jeszcze nie wiemy, czy jesteśmy na drodze do kaplicy, czy nie. Na razie trzeba, abyś przestał wierzyć, w ducha w futrze niedźwiedzia.

— Ani nawet w kozuch barani, nie tylko w futro, effendi. Przekonałeś mnie, że duch nie może zmieniać się w zwierzę i że go nie można ani widzieć, ani w garść uchwycić. Gdyby więc duch okrył się skórą niedźwiedzia, to po zdjęciu jej nie pozostałoby nic, a że w skórze zawsze jest coś, więc niedźwiedź nie może być duchem.

— Bardzo pięknie rozumujesz — zaśmiałem się — i pod względem logiki wyprzedziłeś mnie już znacznie. Ale mniejsza o to! Cieszy mnie przede wszystkim, że sprawa z duchem i niedźwiedziem skończona.

Miałem coś jeszcze mówić, gdy nagle Halef, jadący obok mnie, chwycił cugle mego konia i zatrzymał go na miejscu.

— Co się stało? — spytałem.

— Tam, pod drzewem, coś jest! — odrzekł szeptem; — poruszyło się coś... nie wiem tylko, czy to

człowiek, czy też zwierzę...

— Cofnijmy się pod drzewa — odrzekłem, pociągając towarzysza w gąszcz.

Tu zsiadłszy, kazałem mu zatrzymać konia i ostrzegłem, by zachował się spokojnie.

— Tylko uważaj, sidi, bo możliwe, że to niedźwiedź albo któryś z Kelurów — ostrzegął Halef.

— Nie bój się! — odrzekłem i wzięwszy nóż do ręki począłem skradać się ku owemu miejscu, gdzie istotnie był jakiś człowiek.

Stał pod rozłożystym bukiem i wyciągał w górę ramiona; w jakim celu to czynił, nie mogłem na razie odgadnąć. Choć odwrócony był ode mnie twarzą, wydał mi się znajomym. Postać tę, a zwłaszcza brudne nogi i strzępiaste spodnie oraz połowę żakietu miałem zaszczyt już kiedyś.. Czyżby mnie wzrok mylił? Miał to być istotnie nasz gospodarz z Khoi? Co by tu robił sam jeden w tak odludnej okolicy?

W tej chwili oberżysta odwrócił się, wspiął na palce i pociągnął za koniec powroza przymocowanego do gałęzi... Do licha! Chciał się najwidoczniej powiesić!

— *Katera chodeh!* Na miłość Boską! — krzyknąłem, biegnąc co tchu ku niemu. — Zaczekaj! Chcesz się życia pozbawić? Masz jeszcze dość na to czasu!...

Wybałuszyl na mnie zdziwione oczy i po chwili odrzekł, jakby ze snu zbudzony:

— Życia pozbawić?... Nie, tylko się powiesić.

— To przecież na jedno wychodzi! Lecz co cię skłoniło do popełnienia tak strasznej zbrodni?

— Co skłoniło? A tobie co do tego? Kto jesteś, że śmiesz mi przeszkadzać?...

Mówiąc to, robił na mnie wrażenie całkiem nieprzytomnego.

— Znasz mnie przecież przyjacielu. Nazywam się Kara Ben Nemzi Effendi i mieszkam u ciebie w Khoi.

Słowa te obudziły go z osłupienia. Oczy jego nabrały wyrazu, ale głos przytłumiony brzmiał jeszcze, jakby z pod ziemi:

— Muszę się powiesić, bo... bo... nie odzyskam już moich pieniędzy...

— Skąd masz tę pewność?

— Powiedział mi to Szir Samurek.

— Jak to? On sam? Osobiście? Mówiłeś z nim? Kiedy?



— Przed godziną.

— Gdzie?

— Tam, w górze, koło *muzallah el amwat*.

— Więc kaplica znajduje się blisko... Czy Kelurowie tam rozłożyli się obozem?

— Tak.

— A tu nikt nie pozostał? Czy można tu mówić swobodnie?

— Nie ma tu nikogo. Wypędzili mnie od siebie batogami.

Wspomnienie batów otrzeźwiło go do reszty. Padł na ziemię, a ukrywszy twarz w dłoniach, począł płakać. Łzy bywają nieraz balsamem kojącym; pozwoliłem mu wypłakać się do woli i przywołałem Halefa, który uwiązawszy konie usiadł razem ze mną koło gospodarza. Gdy stary wypłakał się już dostatecznie, podniosłem mu zwieszoną na piersi głowę i rzekłem:

— Samobójstwo jest największą zbrodnią na świecie, gdyż nie można jej nigdy naprawić, ani przez pokutę z niej się oczyścić; najmniej zaś człowiek ma prawo potępiać swą duszę dla marnych pieniędzy. Zresztą twoje piastry nie przepadły jeszcze!

— A jakże nie?... Szir Samurek odebrał je od Akwila i nie odda za nic w świecie.

— Musi oddać! Przyrzekam ci, że ja go zmuszę do tego... Na te słowa oczy jego nabrały blasku. Zerwawszy się na równe nogi, zapytał:

— Nie żartujesz emirze?

— Nie! — rzekłem. — Nie czynię obietnic dla żartów.

— Niechże więc będą dzięki Allachowi i cześć tobie! Jestem uratowany. Wiem o tym, że co Emir Hadzi Kara Ben Nemzi przyrzeknie, tego dotrzyma, chociażby łotr Szir Samurek na głowie stawał.

— Czy może, gdyś był u niego teraz, drwił sobie ze mnie? Powiedz! Opowiedz mi szczegółowo, w jaki sposób spotkałeś się z nim i co mówiliście... Ale mów wszystko dokładnie, bo od tego wiele zależy... Zależy od tego życie lub śmierć wielu ludzi, no i odzyskanie twoich pieniędzy.

— Och, emirze, jeżeli mam przez to odzyskać swoje pieniądze, to powtórzę ci wszystko co do słowa.

— Ale mów krótko, bo szkoda czasu; być może, że każda minuta jest droga.

— Jak wiesz, wyjechałem z Khoi razem z *nezanumem* i kilku innymi ludźmi, ażeby dogonić Akwila i odebrać mu pieniądze. Nie znalazłszy jednak śladów, postanowiłem zwrócić się ku granicy perskiej w przypuszczeniu, że tylko tam będzie on uciekał. Pojechaliśmy w tym kierunku, pytając po

drodże ludzi, czy nie widzieli zbiega, lecz okazało się, że nikt go nie zauważył. Około południa spostrzegłem żeśmy zblądzili; trzeba więc było wrócić i szukać drogi do Rowandis i Lahijan. W tym celu skierowaliśmy się na północ i na szczęście, czy na nieszczęście moje, spotkaliśmy się z tymi diabłami, którzy otoczyli nas i przyprowadzili aż tutaj.

— Zdziwiłeś się zapewne, widząc wśród nich złodzieja.

— O, tak! Tym bardziej, że był wśród nich jako jeńiec, i jego syn również. Obaj mają być straceni dzisiejszej nocy... I dobrze im tak! Zasłużyli na to.

— Czy śmierć ich postanowiono nieodwołalnie?

— Tak, i to nie byle jaka. Mają być rzućni niedźwiedziom na pożarcie!...

— Podły okrutnik z tego szejka! — rzekłem. — Ale skąd mu przyszło do głowy podobne barbarzyństwo? Czy są tu istotnie niedźwiedzie?

— Są! Szejek obmyślił wszystko i dlatego też przybył aż tutaj, aby obu jeńców rzucić na pastwę niedźwiedziom. Jego wojownicy polowali niedawno w tym lesie i wykryli jaskinię niedźwiedzicy tuż koło *muzallah*. Znaleźli też w okolicy, w dziupli jednego z drzew rój pszczół. Otóż, o ile dobrze zrozumiałem to, co mówiono w obozie, szejek wysłał dziesięciu Kelurów po ów miód, a wysmarowawszy nim obnażone ciała obu skazańców, mają ich powiązać i zawlec do kaplicy; aby zaś zwabić do niej niedźwiedzia, położą, na wabika na drodze z *muzallah* do jaskini plastry miodu, no i w ten sposób bestia trafi na przeznaczone dla siebie ofiary...

— Allach! — westchnął Halef. — Ci Kelurowie to skończone łotry! Jak myślisz, sidi? Czy nie należy ratować nieszczęśliwych skazańców, nie zważając już na to, że są naszymi wrogami?...

Za te słowa miałem ochotę uścisnąć małego zucha. Ratować Akwila, który podszczył przeciw nam Kelurów, i ratować jego syna, który tak niedawno zawinił wobec nas jeszcze bardziej, usiłując nas zabić!... Tak! Mój poczciwy towarzysz był tylko z wyznania muzułmaninem, ale w sercu posiadał więcej szlachetnych uczuć, niż tysiące moich europejskich współwyznawców!

Z dalszego opowiadania oberżysty dowiedziałem się, co następuje:

Kelurowie zwinęli dziś rano obóz z obawy przede mną; okoliczność zaś, że dostali w swe ręce dwu Bebbejów zmusiła ich do tym szybszego marszu. Chcieli oni jak najprędzej załatwić się z jeńcami i sprawić im od dawna już obmyśloną śmierć. Czekali na tę zabawę wszyscy Kelurowie, ilu ich tylko było w obozie. Obecnie w pobliżu kaplicy odbywają właśnie sąd nad znieawidzonymi jeńcami, którzy krwią swoją mają odpowiedzieć za cały swój szczepek. Szir Samurek przysiągł, że nic i nikt ich już od śmierci nie uratuje. Sali Ben Akwil wobec tego zwątpił ostatecznie, aby się mógł z rąk jego wydostać i tylko tli się w nim isierka nadziei, że może go ocalić moje przybycie, gdyż jest pewny, że przyjdę tu w celu odebrania swych koni i przy tej sposobności uratuję tak ojca, jak i syna.

— Nie ciesz się zbyt — mówił do szejka. — Jeszcze nie jestem nieboszczykiem; Kara Ben Nemzi przybędzie tu niezawodnie i uwolni nas z twych rąk szatańskich!

— Jak to? Uwolni śmiertelnych swoich wrogów? — drwił szejk. Ależ on raczej poprosi mnie, abym wam dodał jeszcze męczarni.

— Tego nie uczyni, bo jest chrześcijaninem.

— Każdy chrześcijanin to pies, a każdy pies lubuje się w zapachu krwi. Te psy, co człowieka z Nazaretu nazywają swoim Bogiem, nie spełniają jego przykazania, aby kochać swoich wrogów i choć głoszą je na wszystkie strony, jednak, gdzie się tylko zdarzy, okradają się wzajemnie i oszukują, a obcych podbijają i uciskają. Skądże by mieli lepiej być usposobieni dla wrogów? Nie łudź się więc, aby ów Kara Ben Nemzi zechciał ująć się za wami.

— Wszystko, coś powiedział, skłamałeś! To prawdziwy chrześcijanin i wielu swoim wrogom wyświadczał dobrodziejstwa.

— Więc wezwij go, niech przybędzie tutaj, a zobaczymy, czy istotnie spełni przykazanie swego fałszywego proroka z Nazaretu.

— Tak! Będę go wołał, ale nie wprost, lecz przez Allacha, który wskaże mu drogę w te strony.

— Ja ci użyję lepszej rady. Kara Ben Nemzi, jako chrześcijanin nie może się niczego spodziewać od naszego Allacha. Jeżeli tedy chcesz być wysłuchany, musisz się modlić do jego ukrzyżowanego Boga!

W ten sposób szedł dalej, a potem dodał:

— Dowiedz się, że mam za nic tego psa chrześcijańskiego, a jak go lekceważę, najlepszym dowodem jest to, że kazałem mu powiedzieć, u kogo są jego konie, zachęcając go niejako w ten sposób do ścigania mnie. Jeżeli tedy trafi na moje ślady, a będzie miał odwagę zapuścić się aż tutaj, to warta moja schwyta go i przyprowadzi do mnie, abym mu zgotował taki sam los, jaki was obydwu z mej ręki czeka. Możesz więc teraz modlić się do Allacha, czy do Mesjasza, ale zapewniam cię, że to się na nic nie zda; błagania twoje pójdą, tak, czy owak, na wiatr!

Co do innych jeńców, postanowiono wypuścić ich za okupem dwudziestu tysięcy piastrów, oberżystę zaś oćwiczono hojnie i wysłano do wsi, aby się o te pieniądze wystarał i przyniósł je. Gdyby zaś nie wrócił do trzech dni lub podstępnie sprowadził zbrojną pogoń, wówczas miano wszystkich jeńców uśmiercić.

Nic dziwnego, że nieszczęsny oberżysta wpadł w nieopisaną rozpacz. Nie tylko, że stracił swoje dziesięć tysięcy, ale jeszcze w dodatku kazano mu zapłacić przypadającą nań część okupu, to zaś przewyższało jego majątek. I oto, widząc się doszczętnie zrujnowanym, a znikąd nie spodziewając się ratunku, chwycił stryczek, chcąc się powiesić.

— To wszystko, emirze — dodał — co tylko miałem do powiedzenia. Cóż ty na to? Czy teraz odzyskanie moich pieniędzy uważasz za rzecz możliwą?

— Przed wszystkim sędzę, że *raki* posiada w sobie zarodek wszelkich nieszczęść ludzkich...

— *Raki?* Skąd ci to do głowy przychodzi?

— Bo i tu wódka jest przyczyną, żeś wpadł w nieszczęście.

— Ale cóż ma wspólnego *raki* z szejkiem Kelurów?

— Nie udawaj głupiego! Gdybyś się wczoraj nie upił, nie wypaplałbyś przed Akwilem, że masz schowane pieniądze i nie byłby ci on ich ukraść. Wódka też winna, że dostałeś się w ręce szejka a następnie chciałeś się powiesić. Nie możesz mi przecież teraz zaprzeczyć temu, że wódka prowadzi do samobójstwa?

Milczał, nie mogąc na to nic odpowiedzieć, ja zaś ciągnąłem dalej:

— Jeżeli nie wyrzekniesz się *raki*, to czeka cię jeszcze niejedno nieszczęście, które zepchnie twą duszę na samo dno nędzy. Gdy zaś przestaniesz pić raz na zawsze, życie twoje popłynie ci spokojnie i szczęśliwie, a w końcu, po najdłuższych dniach pobytu na tej ziemi, przejdiesz bez wahania przez *es sired*, most śmierci, do krain wiecznej szczęśliwości. A most ten wcale nie jest szeroki i według Mahometa podobny do ostrza szabli. Czyż więc możliwe, aby człowiek pijany, nie mogący się utrzymać na nogach, przeszedł przez ten most i nie zatoczył się do otchłani piekielnej?

Wedle pojęć europejskich argumentacja moja była bardzo prymitywna i mogła się wydać śmiesznością. Dzięki jednak tej właśnie prostocie moich słów wywarły one pożądane wrażenie, bo gospodarz odpowiedział mocno zmieszany:

— O, nie mów tak, effendi! Nie mów, bo to dla mnie bardzo przykre...

— Jeszcze bardziej przykro ci będzie, gdy wyjaśnię, jak straszne skutki byłaby pociągnęła za sobą zbrodnia samobójstwa! Ze stryczkiem na szyi szedłbyś przez most śmierci, a wszyscy umarli znajomi patrzyliby na ciebie ze wstrętem i odwracali oczy. W końcu straciłbyś równowagę i zatoczywszy się po pijanemu, runąłbyś na samo dno *dzehenny*...

— Emirze, to straszne! — przerwał mi, kryjąc twarz w dłoniach.

— Radzę ci więc, porzuć na zawsze ten przeklęty nałóg...

— Od tej chwili... przyrzekam ci, panie...

— Oho! Nie tak to łatwo wyzbyć się nałogu, jak ci się zdaje... Kogo raz duch wódki chwycił w swoje szpony, tego mocno za łeb trzyma i trzeba stoczyć walkę, aby się od niego raz na zawsze uwolnić. Czy masz ochotę podjąć tę walkę?

— Przyrzekam ci, effendi, że będę walczył.

— Dobrze, przyjmuję do wiadomości to oświadczenie. Przede wszystkim jednak powinieneś się dobrze przyjrzeć, jak pijak przedstawia się w oczach człowieka trzeźwego; bo choć widziałeś sam wielu opilców, jednak nie potrafiłeś ocenić ich należycie. Otóż *sukri*\* jest nie tyle człowiekiem, ile beczką, do której wciąż dolewa się *raki*, dopóki *raki* nie przeżre jej klepek. I ciebie *raki* zżarła już

do połowy, a niebawem klepki twoje rozsypałyby się, gdybyś je nadal wódką zamiast wodą poił. Przypatrz się dobrze pijakowi, gdy wstaje rano. Głowa go boli, ręce i nogi drżą, twarz ma obrzmiałą, wykrzywioną i wstrętne oczy, bez blasku jak brudne szkła. Żona i dzieci unikają go, gardzą nim, bo wiedzą, że ich nie kocha, że u niego więcej znaczy wódka niż ich szczęście i dobrobyt. Przyjaciół prawdziwych pijak zazwyczaj nie ma... bo znajomi, z którymi razem pije, nie są jego przyjaciółmi, lecz tak samo, jak on, pustymi beczkami, bez serca i bez duszy. Krewni nienawidzą go, a sąsiedzi wyśmiewają... Pustka więc roztacza się naokoło niego i pustka panuje też w nim samym. Pijanica nie myśli też o Allachu, zaniedbuje modlitwy i nie spełnia swoich obowiązków. W żołądku czuje ciągle piekącą smołę, a w gardle suchość nieznośną. Już od rana czuje on pociąg do diabelskiego trunku, ale skoro go się tylko napije, staje się ociężałym, jakby wlał roztopionego ołowiu w swoje — członki... Traci rozum, pamięć i władzę w całym ciele... Porusza się jak ślepe szczenię i nieraz wywraca się do błota, a skoro się podniesie i chce coś mówić, nie może, bo język mu skołowaciał... Żona zaś płacze... i wstydzi się męża wieprza, tarzającego się w błocie... i boi się go, aby nie chwycił jakiegoś narzędzia i nie zabił jej lub którego z dzieci... bo przecież po pijanemu nie wie on, co robi. Czeladź tymczasem śmieje się ze swego gospodarza, swego pana, zamiast go czcić i być mu posłuszną... a zwierzchność, która go przedtem, gdy się jeszcze nie upijał, szanowała, teraz nie ufa mu, uważa go za nic, bo wie, że duch *raki* nie da mu wypełnić należycie obowiązków i może nawet popchnie go do zbrodni! Tak więc...

— Effendi, przestań! Mówisz tak, jakbyś mnie znał od bardzo dawna i wiedział o każdym moim kroku. Zeszłego tygodnia doszła mnie pogłoska, że nie będę już *haradżim*, bo urzędnik nie jest pewny pieniędzy, które ściągam jako podatek. Dlatego to ogarnęła mnie taka rozpacz z powodu dokonanej kradzieży...

— Widzisz więc, co narobiła *raki*... Jestem chrześcijaninem i mam obowiązek nawet innej wiary człowieka, jeżeli błądzi, naprowadzić na dobrą drogę i dlatego nie waham się i tobie podać pomocnej ręki. Chcesz się poprawić, masz ochotę wyrzec się wódki? Dobrze, nie zginiesz jeszcze. Ponadto przyrzekam ci, że uczynię wszystko, co będzie w mej mocy, aby wydostać z rąk opryszków skradzione pieniądze. Gospodarz zerwał się, wyciągnął ku mnie obie ręce i rzekł:

— Dziękuję ci, emirze! Dziękuję, żeś mi otworzył oczy i wskazał drogę do poprawy. Wyrzekam się od tej chwili *raki* i przysięgam...

— Tylko bez przysięg!... — przerwałem mu. — Jestem zwykłym śmiertelnikiem, takim samym jak i ty, nie mogę więc żądać od ciebie przysięgi. Wystarczy mi twoja obietnica.

— Dobrze, przyrzekam ci na moją duszę, na nietykalną brodę proroka i jego następców, że od dziś nie będę pił *raki*. Allach to słyszy i przekona się, że dotrzymam słowa. Daję ci na to rękę.

Uścisnąłem podaną mi brudną dłoń, a za moim przykładem poszedł i Halef, również mową swoją bardzo przejęty, po czym rzekł do oberżysty:

— Niech Allach będzie z tobą, synu pijaństwa wchodzącym na drogę poprawy! Wyrzuć przeklętą *raki* z domu i nie puść jej więcej z powrotem; a uważaj, aby nie wlała oknami, bo to ogromnie natrętna bestia i gdy się kogo raz uczepli, nie chce go puścić za nic w świecie. Skoro jednak raz zdobędziesz się na opór przeciw niej, zobaczysz niebawem, jak wyglądać będzie twój dom i całe twe

obejście, gdzie dzisiaj gnój i błoto po kolana i gdzie ty sam, wśród tego gnoju brodząc, wyglądałeś, jak *dabb sakran*\* w łożu królowej *Izebba*\*. A teraz umyj się przede wszystkim, przebierz w czyste szaty, każ oczyścić dom i podwórze, a zobaczysz, że pozbędziesz się *dżerab*\* i innych *amrad el gild*\*.

Gospodarz nie czuł się wcale obrażonym dość drastycznymi wyrażeniami małego Hadzi — przeciwnie, przyjął je z wdzięcznością, zapewniając, że stanowczo się poprawi.

— Ale co ja widzę? — zapytał w końcu. — Dotychczas nie miałem czasu popatrzeć na wasze konie i dopiero teraz... Czyżby to były siwosze aptekarza?

— Tak, zgadłeś.

— Dziwię się, że wam je wypożyczył, bo to człowiek ogromnie nieużyty.

— Wcaleśmy go o to nie prosili; zabraliśmy je bez jego pozwolenia, bo nie było czasu na zbyteń ceremonie, targi i prośby. Zmartwił się zapewne, spostrzegłszy stratę i tym większa będzie jego uciecha teraz, gdy mu je zwrócisz...

— Ja?

— Tak, ty. Wsiądziesz na jednego, a drugiego poprowadzisz luzem aż do Khoi.

— Z przyjemnością, emirze; będę bardzo rad czmychnąć jak najprędzej, ale jakże wy sobie poradzicie bez koni?

— Bądź o nas spokojny! Nie ruszymy się stąd, dopóki nie odzyskamy naszych własnych wierzchowców.

— Ależ to rzecz bardzo niebezpieczna!...

— Bardziej niebezpieczną będzie wydostanie twoich dziesięciu tysięcy piastrów, a jednak i to, mam nadzieję, udać się nam musi. I jeżeli się uda, spodziewać się nas możesz już jutro w Khoi, dokąd przybędziemy na własnych koniach z twoimi pieniędzmi w torbie. Jeżeli jednak nie wrócimy do jutrzejszego wieczora, ani też żadnej nie otrzymasz od nas wiadomości, to w takim razie będziesz miał pewność, że nie żyjemy!

— Niech was Allach od tego obroni! — przerwał zatrwożony.

— Nie miałem zamiaru przerażać cię — uspokajałem go. — Ale przecież trzeba być zawsze przygotowanym na najgorsze, a mimo to nie tracić nadziei w powodzenie sprawy. Mniejsza zresztą o to. Zanim cośkolwiek nastąpi, czy nie mógłbyś mi udzielić wskazówek co do rozmieszczenia obozu Kelurów?

— Owszem. Zbocza górskie, wśród których potok przepływa, wznoszą się od tego miejsca coraz bardziej stromo, aż wreszcie łożysko dzieli się na dwa ramiona, z których prawe wije się w licznych zakrętach i jest coraz węższe, przechodząc w niewielką polankę, otoczoną z trzech stron gęstym lasem, a z czwartej zagrodzoną prawie prostopadle wznoszącą się skałą, z której spada niewielki

wodospad. Stąd widać w górze *muzallah el amwat*, w której mieszkają duchy i w której Akwil ze swoim synem dzisiejszej nocy znaleźć mają śmierć. Poza kaplicą, nieco wyżej, jest druga ściana skalna ze zwaliskami, wśród których znajduje się legowisko niedźwiedzi.

— Niedźwiedzi? Więc jest ich więcej?

— O, tak!

— Hm! Przypuszczałem, że w gnieździe tym mieszka tylko niedźwiedzica z małymi, bo czas godów dawno już minął, a stary niedźwiedź ma brzydki zwyczaj zjadać swoje młode, więc niedźwiedzica dla zabezpieczenia potomstwa przed zbrodniczymi popędami swego małżonka wypędza go zawczasu.

— Nie wiem o tym, ale *dubb*, którego tutaj niedawno widziano, to z wszelką pewnością ten sam *dubb el chulud\**, co zamieszkał w okolicy od czasu wymordowania tu chrześcijan i jest duchem ich kapłana. Podobno przewyższa swym cielskiem dwa razy człowieka, a że tak długo już żyje, więc ze starości posiwiął. Żołądek ma on tak wielki, że łatwo pomieszczą się w nim Akwil ze swoim synem. Bądź więc ostrożny, effendi, wobec tego potwora i miej na uwadze, że serce moje przepelnione jest pragnieniem zobaczenia cię w Khoi, co byłoby niemożliwe, gdybyś zajął miejsce obok dwu nieszczęsnych jeńców szejka!

— Ech, nie obawiaj się o to. Jestem tak potężnym i twardym kęsem, że nawet ów potwór nie mógłby mnie połknąć tak łatwo, tym bardziej, że przedtem będzie miał do pożarcia dwie wcale przyzwoite porcje z owych przedstawicieli rodu Bebbejów. Wiem również, co myśleć o nieśmiertelności potwora, i możesz mi o nim już więcej nie mówić. Wolałbym natomiast, abyś mi ściśle określił, gdzie obozują Kelurowie. Czy może na tej polanie, o której wspominałeś?

— Nie; tam jest grunt bagnisty i nie nadający się na obóz. Ale są niedaleko stamtąd. Z polanki owej prowadzi na prawo jar, skąd spada niewielki strumień. Gdy pójdziesz tym jarem nieco w górę, zobaczysz niebawem drugą, mniejszą polanę, na środku której znajduje się mały stawek stanowiący źródło owego strumyka. Otóż naokoło owego stawku obozują Kelurowie.

— Czy las jest gęsty?

— O, bardzo.

— A między stawkiem i lasem czy dosyć jest przestrzeni?

— Przeciwnie, tak mało tam miejsca, że Kelurowie rozmieścili się tuż nad wodą, a konie uwiązali do drzew.

— Dziękuję ci. Więcej wyjaśnień mi nie potrzeba. Wsiądziesz teraz na konia, ale bez siodła i uzdy, bo te rzeczy będą nam samym potrzebne.

— Co? Zostawiłbyś tu kosztowne *reszma*? A jeżeli ci je Kelurowie ukradną? Sądzę, że lepiej będzie, jeśli je zabiorę do Khoi.

— Nie obawiaj się; prędzej by je tam skradziono, niż tutaj! No, siadaj zaraz na oklep i jazda!

Rozsiodławszy konie, wyprawiliśmy z nimi gospodarza, który na odjeźdym życzył nam kilkadziesiąt razy szczęścia i powodzenia, a zwłaszcza, by nam się udało wydostać jego pieniądze.

Po jego odjeździe znaleźliśmy wśród skał niezły schowek, gdzie umieściliśmy siodła i następnie poszliśmy wedle wskazówek oberżysty w górę za śladami Kelurów, ale tylko do miejsca, gdzie się dzieliło łożysko potoku. Można było przypuszczać, że dalej szejk rozstawił warty. Z tego też względu postanowiłem podejść do obozu inną drogą, do czego wystarczyły mi wskazówki, udzielone przez gospodarza oraz przelotne rozejrzenie się wokoło.

Szejk niewątpliwie uważał nasze przybycie za możliwe i przypuszczał, że gdybyśmy go ścigali, trzymać się będziemy ściśle jego tropów aż do końca. Dlatego to najprawdopodobniej skierował całą swą uwagę w tę stronę.

Domyślając się tego, postanowiliśmy zbliżyć się doń ze strony przeciwnej, a więc z góry. Opuściliśmy zatem łożysko i po godzinnym prawie wspinaniu się po stromych skałach w górę dostaliśmy się wreszcie na szczyt, z którego widać było po przeciwnej stronie na równej wysokości słynną chrześcijańską *muzallah*.

Widok stąd przedstawiał się wspaniały. Przed nami u podnóża skał wielką przestrzeń zajmowało istne morze leśnej zieleni o ciemniejszych lub jaśniejszych plamach, zależnie od rodzaju drzew — iglastych lub liściastych. Na prawo i lewo piętrzyły się fantastyczne skaliste zbocza. Podobnie czarownego widoku nie zdarzyło mi się oglądać ani w Sudetach, ani w Karkonoszach, ani nawet w Alpach i Pirenejach. Oczywiście nie mam tu na myśli wysokości górskich, bo góry około *muzallah* wcale do wielkich nie należały, ale zachwytem mnie przejął niesłychanie malowniczy i charakterystyczny ich obraz. Kontury i postacie postrzępionych, dzikich, fantastycznych skał przywiodły mi na pamięć charakter tutejszych równie dzikich i nieokielzanych plemion. Zresztą wiadomą jest rzeczą, że czy to na północy, czy na południu, w górach, czy na równinie, człowiek jest nieodrodnym dzieckiem otaczającej go przyrody, z którą się zżył i do której charakter jego dostosował się ściśle. Jest to pewnik niezaprzeczalny.

Niemniej malowniczy i równie przedziwny widok przedstawiały przeciwległe skały, gdzie zbudowana była „kaplica umarłych”. Zakątek ten, oddzielony od świata, był jakby stworzony na schronisko dla chrześcijańskich bojowników wiary. Kaplica ich wznosiła się na wyżynie skalnej, jak ołtarz, a cała dolina stanowiła jakby nawę olbrzymiego tumu, którego sklepieniem były niebiosy. Bór odwieczny szumiał tu pieśnią przedziwną, jak jakieś tajemnicze organy.

I oto fanatyczni a żądni krwi szyici wytropili tu spokojnych i dobrotliwych wyznawców Chrystusa, którym jedyna droga do ucieczki pozostała ku niebiosom!

Kaplica, której ruiny mieliśmy przed sobą, musiała być imponującą budowlą i pomimo, że już teraz nie można było odróżnić ani jej stylu, ani kształtów, widok szczątków budził w duszy podniosłe uczucie... Zdawało się, że ponad szczyty skalne unosi się głos boży, który zamarł jak echo, a który brzmiał ongi: „A kto wytrwa aż do śmierci, zbawion będzie!”

Ściany kaplicy zbudowane były z surowego, nieciosanego kamienia, a odrzwia stanowiły trzy wielkie monolity. Dwa duże otwory okienne, pozbawione dziś kształtów wskutek nieustannego



wietrzenia, patrzyły w dal jak oczodoły Samsona. Sklepienie tworzyła olbrzymia płyta, ciężka i przygniatająca, jak owa klątwa kapłana–męczennika!

W najbliższym otoczeniu kaplicy nie było ani drzew, ani krzewów, i nawet zdawało się, że mech nie miał się tych świętych głazów. Dopiero powyżej, wśród rumowisk skalnych, sterczał tu i ówdzie krzak dzikiej róży, głogu lub kosodrzewiny, oplatającej skałę i przewijającej się przez załomy i szczeliny, niby sploty węży, dalej zaś wychylały się spośród chwastów liliowe dzwonki, dzikie gwiazdziste rumianki i inne kwiecie skalne, poza którym piętrzył się pas tarniny.

Tam właśnie, wśród tych zwałów i gruzów, znajdowało się według mego mniemania legowisko niedźwiedzicy.

Halef przypuszczał to samo, gdyż w tej chwili rzekł do mnie:

— Sidi, tam, w górze, gdzie te wielkie *labhata el higara\**, mieszka niezawodnie *dubb el chulud*. Jeżeli mamy przekonać go, że mimo tej nazwy jest śmiertelny, musimy się tam dostać i przeciąć nić jego żywota, zanim jeszcze zdoła połknąć dwu Bebbejów, nasmarowanych miodem obficie.

— Niestety, musimy tego zaniechać, bo z powodu zbyt otwartej przestrzeni Kelurowie zobaczyliby nas natychmiast.

— A więc dopuścisz do tego, aby Akwil z synem znaleźli się we wnętrznościach potwora?

— Nie, nie dopuszczę.

— Ba, ale jakże temu zapobiegiesz, nie wyszukawszy wprzód niedźwiedzia?

— On sam przyjdzie do nas i zbytecznym byłoby z naszej strony składać mu wizytę.

— No, no! W takim razie huncwot ten jest uprzejmiejszy i lepiej wychowany od nas. Nie gniewaj się, sidi, za ten zarzut, bo widać tak jest istotnie. A czy zdaniem twoim niedźwiedź naprawdę jest tak wielki, jak go opisywał gospodarz?

— No, takich niedźwiedzi, jakie opisywał oberżysta, nie ma wcale na świecie.

— I mnie się zdaje, że to nieprawda. Gdyby chciał zjeść obu Bebbejów, a potem ciebie, musiałby mieć żołądek tak wielki, jak namiot niewieści. Przy tym ma on być całkiem biały, jak śnieg. Czy są na świecie niedźwiedzie takiej maści?

— O, są, ale na Oceanie Lodowatym, i to od urodzenia białe. Bajką zaś jest, aby niedźwiedź kurdyjski na starość siwiał.

— A czy może on w tak podeszłym wieku mieć młode?

— Owszem. Niedźwiedź tutejszy żyje do lat mniej więcej pięćdziesięciu i były przykłady, że niedźwiedzica po trzydziestce wychowała niedźwiedzięta. Zatem w opowiadaniu gospodarza jest część prawdy.

— W jakiż więc sposób zamierzasz ratować skazańców, nie zglądziwszy niedźwiedzia?

— Jeszcze nie wiem, wprzód bowiem muszę się dostać do Kelurów.

— Chcesz zapewne podpatrzeć ich przede wszystkim i podsłuchać? Weź mnie ze sobą, sisi! Wiesz przecież, jak chętnie i odważnie idę naprzeciw niebezpieczeństwu!...

— Będziesz miał ku temu sposobność dziś jeszcze, ale trochę później. Teraz zaś muszę sam dobrze poznać obóz Kelurów i może coś ważnego uda mi się podsłuchać; przeszkadzałybyś mi w tym, podczas gdy tutaj, będziesz daleko użyteczniejszy naszej sprawie.

— W jaki sposób, sisi?

— A w taki, że oddam ci pod opiekę moje karabiny, których nie chciałbym brać ze sobą, abym ich przypadkiem nie został pozbawiony. Później zresztą przekonasz się, jak ważną oddasz mi przysługę, gdy je zatrzymasz w swoich pewnych rękach.

Miałem uzasadnione powody do tak dobrego o nim mniemania. Halef znakomicie był wyuczony przeze mnie nawet w tak trudnej sprawie, jak skradanie się do nieprzyjaciela i nie brakło mu w tym kierunku pewnych zdolności. Ale w przypadkach ważniejszych wolałem nie narażać go na niespodziewane próby, jakie mogłyby przerastać jego sprawność. Mimo znacznej siły fizycznej nie mógłby on zbyt długo utrzymać się na palcach; nie umiał też opanować się, gdy szło o milczenie, zwłaszcza przez dłuższy czas. W podobnych okolicznościach niejedyn już raz, narażając mnie na niepowodzenia. Dziś tym bardziej nie chciałem go mieć przy sobie tam, pod obozem Kelurów. Pomimo niezwykle mego doświadczenia i wyrobienia w sztuce wywiadowczej sam czułem pewien lęk, bo sprawa była bardzo trudna i połączona z niebezpieczeństwem, jak rzadko kiedy. Aby jednak Halef nie czuł się dotkniętym z pozostawienia go, poruczyłem mu „ważne” rzekomo do spełnienia zadanie, czyli po prostu ocukrzyłem gorzką pigułkę, aby ją łatwiej i bez szemrania mógł przełknąć. I pocziwiec nie domyślił się mego wybiegu, gdyż zauważył dumnie:

— Bardzo słusznie czynisz, sisi, powierzając mi tak drogocenne rzeczy. Gdyby się okazała potrzeba, będę ich bronił do ostatniej kropli krwi.

— Do tego nie dojdzie, gdyż tu z pewnością nie zjawi się nikt, co by ci chciał je odebrać. Wystarczy, gdy schowasz się tak, aby cię nie spostrzeżono, gdyby wbrew memu przewidywaniu zbłądził ktoś w te strony. Nie wolno ci też ruszyć się z miejsca, dopóki cię nie zawołam.

— Dobrze, ale kiedyż mam się spodziewać twego powrotu?

— Nie wiem jeszcze; możliwe, że dopiero po upływie kilku godzin.

— Allah! Godziny te będą dla mnie wiecznością, a myśl o twoim niebezpieczeństwie nie da mi ani chwili spokoju; gdyby zaś wypadło ci zabawić tam dłużej nie ręczę, czy dusza nie wyleci ze mnie z niecierpliwości. Nie mogę nawet pomyśleć o tym, aby cię spotkało nieszczęście w mojej nieobecności. Czy mógłbyś, sisi, ponieść śmierć beze mnie?

— Śmierci nikt jeszcze nie pokonał, a więc i ja nie mógłbym jej przemóc. Gdyby mnie jednak

zabito, wówczas byłoby mi obojętne, czy ty byłbyś przy tym obecny, czy nie.

— Ależ ja nie chcę umierać w inny sposób, jak tylko razem z tobą!...

— Nie pomogłoby mi nic a nic twoje towarzystwo w drodze na tamten świat, podczas gdy zostawszy przy życiu, mógłbyś mnie przynajmniej pomścić należycie.

— O, do pomszczenia cię ja jeden tylko na świecie miałbym prawo! Bądź spokojny, sidi! Zaczekam tu cierpliwie do twego powrotu. Gdybyś jednak nie przybył, wówczas biada Kelurom! W niedługim czasie ani jeden z nich nie zaliczałby się do żywych, bo wszystkich bym wystrzelał i posłał do piekła, aby tam zostali diabłami. Ja ci to mówię, sidi, a co ja postanowię, musi się stać nieodzownie. Więc idź w imię Allacha! Twój wierny sługa i mściciel już siedzi w ukryciu i czeka albo twego powrotu, albo... wielkiego czynu zemsty!

Śmiać mi się chciało — tak poważną miał minę przy tych słowach. Ale się powstrzymałem nawet od uśmiechu, ażeby wiernego towarzysza nie urazić. Wręczyłem mu karabiny, uściśnięciem dłoń i raz jeszcze przestrzegłszy, by się dobrze ukrył, poszedłem w kierunku obozu nieprzyjacielskiego.

Wedle moich obliczeń mogłem się tam dostać w zwykłych warunkach po kwadransie drogi, ale ze względu na konieczność zachowania wielkiej ostrożności czas ten mógł się przedłużyć bardzo znacznie. Na moje szczęście zbocze góry nie było tu zbyt kamieniste. Drzewa ułatwiały w każdej chwili ukrycie się za grubymi pniami i nasłuchiwanie.

Na wywiady w pobliżu nieprzyjaciela idzie się zazwyczaj etapami od drzewa do drzewa. Wywiadowca, ukrywając się za pniem, nasłuchuje czas jakiś i rozgląda się na wszystkie strony, a gdy się przekona, że nie ma niebezpieczeństwa, posuwa się ostrożnie a szybko do następnego drzewa, by znowu ze słuchu i wzroku zrobić użytek. Tak postępuje w dalszym ciągu aż do skutku. Wymaga to czasu, ale za to w poważnej mierze zapewnia bezpieczeństwo.

Po półgodzinnym posuwaniu się w ten sposób zbliżyłem się o tyle do celu swojej wycieczki, tak że mogłem już słyszeć ludzkie głosy, które najprawdopodobniej pochodziły z obozu. Nie omyliły mnie moje rachuby pomimo, że miejscowość nie była mi znana i pierwszy raz zdarzyło mi się w te strony zabłądzić, nie mając pojęcia o właściwościach terenu i odległościach. A wiadomo, że w górzystych stronach, odległości nieraz łudzą oko i gdy przedmiot jakiś zdaje się bliskim na kilometr, w istocie odległy jest od patrzącego kilkakrotnie dalej.

Z dobiegających do mego ucha głosów nieprzyjaciel znajdował się w niewielkiej ode mnie odległości. Nigdy nie przypuszczałem, że tak łatwo tu się dostanę. Zszedłem w głębokie na kształt rowu wgłębienie gruntu, obficie zacienione po brzegach wysoką paprocią, a przypadłszy do ziemi, na czworakach, jak jaszczurka, popęzłem w dół i o kilkanaście metrów niżej dotarłem do ostro ściętej krawędzi skały. Wysunąłem głowę naprzód... O kilkanaście metrów poniżej znajdował się obóz Kelurów.

Kryjówka moja była znakomita. Osłaniały mnie paprocie, a wyżej wysokopienne drzewa tworzyły gęste sklepienie. Wgłębienie, w którym leżałem, wyłobiliła prawdopodobnie kiedyś woda strumienia, którego źródło znajdowało się powyżej, a który następnie łożysko swoje przeniósł gdzie indziej. Pod

skalną więc ścianą na dole było zupełnie sucho i tam obrał sobie legowisko sam szejk, biorąc widać pod uwagę, że tu ani deszcz, ani wiatr nie przeszkodzi mu w spoczynku, a pokryte mchem podłoże będzie mu wygodną pościelą.

W pobliżu szejka leżeli skrępowani jeńcy, pilnowani przez jednego z Kelurów, który niezbyt trudne miał zadanie i wcale niepotrzebnie dźwigał karabin. Byli to: Akwil, syn jego, *nezamum* oraz kilku jeszcze obywateli z Khoi. Szejk, siedząc tuż pod skałą, rozmawiał z nimi tak głośno, że mogłem dokładnie słyszeć każde słowo. Widocznie znajdował wielką przyjemność w dręczeniu nieszczęśliwych złośliwymi i obrażającymi uwagami, które szczególnie drażniły Salego Ben Akwila, bo odcinał się z nietajoną nienawiścią:

— Gdybym nie wiedział, że szatani mieszkają w piekle, sądziłbym, iż dusza twoja jest ich gniazdem, albo raczej, że ty sam jesteś patriarchą wszystkich szatanów.

— Ech, co znaczy szatan w porównaniu ze mną, gdy idzie o zemstę krwi! — szydził szejk. — On z pewnością wstydziłby się wobec mnie, bo gdyby mu wypadło was ukarać, nie potrafiłby wymyślić odpowiedniejszej dla was śmierci, niż ja to uczyniłem. Zobaczysz się z nim niebawem, możesz go zapytać, czy byłby w stanie coś dowcipniejszego obmyślić. Patrz! W tym koszyku są plastry świeżego miodu. Za pół godziny najdalej zaczną cię smarować, żebyś... no, żebyś miał słodką śmierć... Mam względy dla nauczyciela i kaznodziei, zwiastującego przyjście Mahdiego, nieprawdaż? A jeżeli nie lubisz słodczy i wolisz gorzkie życie, niż słodką śmierć, to módl się do Allacha, do proroka i do Mahdiego... niech cię z mych rąk uwolnią...

— Modliłem się i mam tę pewność, że szczerą a z głęboką wiarą modlitwa wysłuchana być musi — odrzekł Sali. — Jest ona, według słów koranu, jak ten ogień, który nawet najtwardszą rudę przetapia na metal!

— Głupi jesteś! — drwił szejk. — Żaden Bóg, żaden prorok nie może być w sprzeczności z własnymi przykazaniami. Wszak Allach sam nakazał zemstę: „Oko za oko, życie za życie!” I prorok nie byłby dziś prorokiem, gdyby mieczem nie utorował drogi swej nauce! Widzisz więc, że postępuję według przykazań Allacha i proroka i stoją oni po mojej stronie, a po twojej jest tylko *szejtan*.

— Znam pewną naukę, który mówi odwrotnie i która zabrania zemsty.

— Masz na myśli zapewne naukę chrześcijańską... Ale wraz z nią jesteś głupi! Trzeba mieć przewrócone w głowie, aby coś podobnego głosić. Życie wskazuje najlepiej, że nauka ta nie ma sensu i wyznawcy jej nie mogą się dziś stosować do niedorzecznych jej przykazań. Chrześcijanie wolą kłamstwo, niż prawdę, karę, niż przebaczenie, wojnę, aniżeli pokój... I twój Kara Ben Nemzi nie lepszy jest wcale od innych swych współwyznawców.

— A jednak ja mu wierzę, bo mówi zawsze to, co myśli.

— *Allach w' Allach!* Muzułmanin wierzy chrześcijaninowi! Naprawdę oszalałeś i masz nadzieję, że ten parszywy szakal uwolni cię z pazurów niedźwiedzia!

— Tak, Szir Samurek! Emir z Frankistanu to syn szczęścia i ulubieniec dobrych duchów, które

otaczają tron Allacha w niebie, i dokonał on wiele trudniejszych rzeczy, niż uwolnienie kogoś od śmierci.

— A jednak nie ma on odwagi ścigać mnie i uważam go raczej za trwożliwą hienę, niż za bohatera... Albo też jest ślepy psem i nie zdołał wpaść na moje tropy, gdyż inaczej dawno już byłby tutaj!

— Jeszcze czas; może go się doczekasz...

— Jeżeli go się doczekam, tym lepiej! Wpadnie w ręce moje, no i... zginie razem z wami. Dobrze by się to nawet złożyło, bo jako chrześcijaninowi, należy mu się, aby go zjadł zaklęty duch chrześcijańskiego kapłana.

— Allah daje życie i Allah śmierć sprawia. Nie umrę i ja jeszcze, bom nie spełnił zadania, jakie mi jest przeznaczone. Dlatego pewny jestem ratunku.

— Naigrawasz się ze mnie, psie jakiś, ale już niedługo na to ci pozwolę. Tymczasem, póki nie zdechniesz, możesz sobie wyglądać pomocy od półksiężycy, czy od krzyża, wszystko mi jedno... na nic się to jednak nie przyda!

— Mylisz się! Jeżeli muzułmański półksiężyc nie będzie miał litości, znajdę ją niezawodnie w krzyżu.

— Który szyici strącili z kaplicy i wrzucili w ogień... Spalił się już on i pomoc ci nie może!

— Ale wiara weń pozostała i moc jego trwa do tej chwili... Na te słowa zerwał się szejk, jak wściekły, i począł wrzeszczeć:

— Psie parszywy! Przestań szczekać i uporu swego mi nie okazuj! Raczej zapamiętaj sobie, co ci powiem. Tam, na górze, stoi *muzallah el amwat*, gdzie wkrótce pożre was zaklęty niedźwiedź. Ty jednak powiadasz, że krzyż uratuje was? Dobrze! Gdyby u wejścia do kaplicy stanął z krzyżem w łapach ów niedźwiedź zaklęty, uwierzyłbym wówczas, że jakiś tam Kara Ben Nemzi, przyjaciel twój, a właściwie pies chrześcijański, władny jest wyratować was od śmierci. Słyszałeś? Zdaje mi się, iż skory byłbyś uwierzyć i w to, że się tak stać może.

— Jeżeli Bóg tak zechce, stać się to musi!

Słowa te rozdrażniły szejka do reszty, bo zwrócił się do swoich podwładnych i począł wołać:

— Słuchajcie, wierni! Ten zwariowany syn psa i suki z plemienia Bebbejów wierzy, że duch zabitego kapłana chrześcijańskiego w postaci niedźwiedzia ukaże się w drzwiach kaplicy z krzyżem w łapach na znak, że obaj przekłęci jeńcy z pomocą dwakroć przekłętego psa Kara Ben Nemzi mają być uwolnieni od śmierci, którą im przeznaczyłem. Idźcie i popatrzcie, jak wygląda wariat, co w podobne brednie wierzy, a pozwalam wam uśmieć się przy tej sposobności!

Na tę łaskawą zachętę szejka rozległ się śmiech ogólny, a echo odbiło go o skały i mury kaplicy, jak gdyby istotnie chciało wywołać z niej zaklętego ducha.

Spojrzałem odruchowo w tamtą stronę, a pewna myśl, niestety niepodobna do wykonania i zbyt fantastyczna, zanurtowała w mej głowie.

Gdy śmiech ucichł, szejk odezwał się ponownie do jeńców, zajmując miejsce obok nich na ziemi:

— No, i cóż? Widzieliście ducha?... Niestety, zawiódł wasze nadzieje. Ale za to słyszeliście śmiech z waszej bezdennej głupoty, zaś jutro o tej porze taki sam śmiech obije się o wasze uszy na dnie piekła i huczeć w nich będzie bezustannie, na wieczność! Zwodniczą jest wasza nadzieja, a wiara, fałszywą. Grzeszycie śmiertelnie wobec Allacha oraz proroka, powołując się na pomoc innego Boga, i tym większą będzie wasza kara na tamtym świecie, gdy Allah całkiem się od was odwróci.

Na to ozwał się Akwil, który aż do tego czasu milczał uparcie:

— A niechże się odwraca! Jeżeli on i prorok jego nie mają dla nas litości, to co nam po nich? Czyż zresztą grzechem jest lekceważyć sobie taką wiarę, która nie uznaje zmiłowania, oddając wyznawców swych w ręce wroga na zemstę i na pastwę jego? Co się zaś tyczy kłamstwa i oszukaństwa to nie ma na świecie gorszego pod tym względem człowieka, niż ty! Kiedy bowiem przybyłem wczoraj do ciebie, aby się umówić co do okupu, przyrzekłeś, że nie uczynisz mi nic złego, a jednak, dowiedziawszy się później, że się zdarza sposobność ukraść konia obcemu effendiemu, uwięziłeś mnie, zrabowałeś pieniądze i następnie schwytałeś nawet mego syna! Nie jest to podłe oszustwo, kłamstwo i zbrodnia? Czyż wobec tego możesz się dziwić, że oszukani tak sromotnie przez ciebie, współwyznawcę naszego, pokładamy nadzieję w człowieku godnym i uczciwym, aczkolwiek wyznawcy innej wiary?

— A możecie sobie mieć nadzieję w tym psie... nic mnie to nie obchodzi. Ty, nie kto inny, dałeś mi sposobność kradzieży konia, a syn twój przecież chciał nawet zamordować tego psa chrześcijańskiego. Pomyślcie teraz, czy pies ów naraziłby swe życie dla was? Jeżeli się okaże, że byłby zdolny do tego, to przysięgam na Allacha, że porzucę islam i przyjmę jego wiarę i uwierzę w jego ukrzyżowanego Boga.

— Przygotuj się, bo Kara Ben Nemzi pojawi się lada chwila i wtedy biada wam!

— Allah! nas jest trzystu przeciw niemu!

— Czy słyszałeś kiedy, aby on liczył nieprzyjaciół?

— Dostyc już, psie! Przestań bezczelnie wychwalać go i wywyższać ponad Allacha, królującego wśród siedmiu rajów! Żałuję teraz, że wam pozwoliłem czekać i obrażać tym uszy moje! Niebawem zapadnie mrok, i wówczas przekonacie się na sobie, kto z nas miał słuszość! A teraz!...

Tu zwrócił się do swoich ludzi z jakimś rozkazem. Natychmiast wstało z dziesięciu Kelurów, biorąc długie rzemienie i ostro zakończone koły, które powbijali w ziemię we wskazanym przez

szejka miejscu. Domyśliłem się, że były to przygotowania do wstępnej operacji nad skazanymi, a mianowicie — wysmarowania ich miodem.

Niewiele już mając czasu, a chcąc jeszcze zbadać miejsce koło kaplicy, cofnąłem się ostrożnie w górę. Odwrotna jednak droga okazała się o wiele niebezpieczniejsza, bo natknąłem się na niespodziewaną przeszkodę i jedynie dzięki niezwyklej przytomności umysłu uszedłem szczęśliwie niebezpieczeństwa.

Wedle opisu gospodarza, dolna polana, znajdująca się poniżej kaplicy, miała być okrągła, w rzeczywistości jednak okazało się, że w jednym miejscu wciskała się ona klinem głęboko w las. Nie wiedząc o tym, omal że nie wszedłem do obozowiska. Stało tu około trzydziestu koni, a nieco na uboczu siedziała grupa Kelurów. Spostrzegłem to, będąc zaledwie o kilkanaście kroków od nich i natychmiast rzuciłem się na ziemię i dopiero po chwili mogłem dokładnie się rozejrzeć, ukryty za grubym pniem drzewa.

Jakże dziwne ogarnęło mnie uczucie, gdy zobaczyłem odosobnionego od reszty mego drogiego Riha! Rumak mój, będąc zwierzęciem szlachetnym i dumnym, nie lubił obok siebie towarzystwa; dlatego to w obawie, aby nie pokaleczył innych koni, uwiązano go osobno. Wyglądał teraz biedaczysko bardzo marnie. Zmęczyła go już dość podróż przez Persję i złe obchodzenie się z nim w ostatniej dobie, gdyż, nie chcąc iść dobrowolnie za złodziejami, dręczony był niemiłosiernie i zapewne bity. Stał teraz ze zwieszoną smętnie głową i przymkniętymi oczyma. Zauważyłem nawet, że wspaniała barwa sierści straciła swój połysk. Pomimo, że trawy było pod dostatkiem, a nawet położono przed nim sporą jej wiązkę, nie tknął jej, choć byłem pewien, że był głodny; wody nie pił również. Najwidoczniej dławiło go cierpienie i tęsknota za mną!

Może mnie kto wyśmiej, a jednak przyznam się, że na widok mego ulubieńca zrobiło mi się ogromnie ciężko na sercu... tak ciężko, jakbym patrzył na niedolę bliskiego mi i drogiego człowieka. Kochałem szlachetnego rumaka, więc przykre jego położenie budziło we mnie niewymowny żal i nawet popchnęło mnie do bardzo ryzykownego kroku.

Konie arabskie szlachetniejszych gatunków bardzo szybko dają się tresować i z łatwością przyzwyczajają się do pewnych znaków lub wyrazów używanych przez swego pana w celu porozumienia się. Wytresowałem Riha do tego stopnia, że rozumiał kilkanaście znaków i wyrazów. Do takich należało słowo „koi”, co znaczy „jedź” albo „żryj”. Byłem pewny, że zwierzę, usłyszawszy ten wyraz, natychmiast mnie zrozumie. Jednakże zachodziła obawa, aby siedzący w pobliżu Kelurowie nie usłyszeli obcego głosu. Wybrawszy więc taką chwilę, gdy głośno rozmawiali między sobą, prawdopodobnie o nieśmiertelnym niedźwiedziu, krzyknąłem krótko: „Koi!” Kelurowie istotnie nie zauważyli tego: natomiast Rih, posiadający wyborny słuch, podniósł głowę i zwrócił ją ku mnie, strzygąc uszama, przy czym oczy rozwarł szeroko, ścięgną naprężyły mu się, a ogon wzniosł się w piękny łuk. Wówczas wysunąłem się tak, aby mnie zobaczył i następnie rzuciłem się szybko na ziemię. Inny koń parsknąłby z radości i zarżał; Rih jednak był znakomicie przyuczony i wiedział, jak zachować się w takich okolicznościach. Chwilę strzygł uszami, po czym opuścił głowę i... zaczął jeść. Cel mój więc został osiągnięty.

Pozostałem jeszcze z minutę w miejscu, potem, okrążywszy klin polany, trafiłem niebawem na wygodniejszą ścieżkę, która prowadziła w górę ku kaplicy. Po pewnym czasie zboczyłem z niej,

ażeby uwolnić z ukrycia Halefa.

— *Hamdulillah!* — rzekł uradowany mały — cześć Allachowi, żeś wrócił nareszcie. Brała mnie już ochota wykonać to, co zamierzałem jeszcze wczoraj, a mianowicie chciałem pójść i uśmiercić tego łotra razem z jego bandą! Najlepiej jednak byłoby, gdybym im zgotował taką śmierć, jaką oni obmyślili Bebbejom. No, ale mów, sidi, jak się udała wycieczka. Czy widziałeś obóz? Czyś podслуchał, co zamierzają? A nie napotkałeś Riha?...

— Bądź cierpliwy. Nie mam teraz czasu; dowiesz się później. Chodźmy!

Przewiesiliśmy karabiny przez plecy i poszliśmy z Halefem w dół.

Należało teraz wyszukać sobie takie stanowisko, z którego można by obserwować Kelurów, gdy będą nieśli skazańców do kaplicy, a ku temu nadawały się znakomicie krzaki koło wspomnianej poprzednio ścieżki: Zanim jednak doszliśmy do mej, natrafiliśmy na ogromne ślady niedźwiedzie. Czyżby to był stary samiec? Ślady istotnie zadziwiały swymi rozmiarami, a po bliższym ich obejrzeniu przekonałem się, że osobnik ów posiadał bardzo krótkie i tępe pazury, co kazało przypuszczać, że jest już w sędziwym wieku. W niewielkiej odległości zauważyłem mniejsze ślady, może zacnej małżonki starego mieszkańca skał. Niestety, nie mogłem im się przypatrzeć bliżej, bo właśnie miejsce to było odsłonięte i łatwo mogli nas z dołu zauważyć.

Wyszukaliśmy odpowiednią kryjówkę w krzakach i usadowiwszy się w niej jeden obok drugiego, oczekiwaliśmy z wielką niecierpliwością wypadków.

Słońce dawno już było za górami, gdy zobaczyliśmy nareszcie zbliżających się Kelurów. Oczywiście przyszli tu nie wszyscy; było ich zaledwie dwudziestu. Kilku z nich niosło skazanych na śmierć Bebbejów, reszta zaś stanowiła straż, trzymając karabiny w pogotowiu; widocznie obawiali się, aby zaklęty niedźwiedź nie zabiegł im niespodzianie drogi. Skazańcy przywiązani byli plecami do palów tak mocno, że starego amatora słodczy czekała niemała robota, zanim by ich dosięgnął. A byli tak miodem wysmarowani, że aż z nich ciekło. Kilku Kelurów niosło zapasowe jeszcze plastry, a w jakim celu, dowiedzieliśmy się niebawem.

Zachowując wszelkie środki ostrożności, postępowaliśmy za dziwnym orszakiem, dopóki nie zniknął we wnętrzu ruin kaplicy. Po dziesięciu może minutach Kelurowie wyszli z powrotem. Trzech z nich, biegnąc minęło nas tuż koło naszej kryjówki; inni szli pomału, podczas gdy reszta pozostała koło *muzallah*, to spoglądając na skalne urwiska, to od czasu do czasu pochylając się ku ziemi.

— Domyślasz się, co ci ludzie tam czynią, sidi? — zapytał Halef.

— To rzecz łatwa do wyjaśnienia. Widziałeś przecie, że jeden z nich niósł w koszyku plastry miodu; służyć one mają jako przynęta dla niedźwiedzi i właśnie, patrz, układają te plastry na przestrzeni od *muzallah* aż do gniazda, aby w ten sposób wskazać niedźwiedziowi drogę do niecodziennej zdobyczy.

— *Maszallah!* Istnieją na świecie ludzie, którzy w rzeczywistości ludźmi nie są! Jeżeli już dzika „zemsta krwi” musi w tym kraju istnieć, to niechby wróg wroga uśmiercał, strzelając mu w łeb; ale



męczyć go w ten sposób, oddając na poszarpanie dzikim zwierzętom, to już pomysł iście szatański, przynoszący hańbę człowiekowi!

— Tak, to nieludzkie. Lecz któż wie, za jakie okrucieństwo ściągnęli Bebbejowie na siebie zemstę tego rodzaju; nam oni tego nie powiedzą... Ale patrz, Halefie! Oto powracają trzej Kelurowie; zapewne jeszcze coś przynieśli!

I istotnie przynieśli ze sobą wiązkę suchego sitowia, kilka kawałków łoju oraz pustą ładownicę.

— Na co im potrzebna ta ładownica? — zauważył Halef.

— Domyślam się, że chcą z niej zrobić lampę.

— Lampę? Na co?

— Rdzeń sitowia zastąpi knot, a łoj oliwę.

— Tak, ale na co lampa? Do czego im ona potrzebna? Czyżby chcieli podarować ją niedźwiedzicy w dniu urodzin, aby mogła ją zawiesić w swym pokoju sypialnym?

— Wątpię, czyby taki był jej cel, Halefie. Chcą zapewne oświetlić kaplicę, aby niedźwiedź łatwiej znalazł swą zdobycz.

— Allach! To znowu iście piekielny pomysł!

— A udrczenie, które nie tylko się czuje, lecz i widzi, podwaja zwykle męczarnię...

— Ci zbrodniarze postępują z tak wyszukaną złośliwością, że za ich okrucieństwo rzuciłbym ze spokojnym sumieniem, a nawet rozkoszą, ich samych, zamiast Bebbejów, na pastwę niedźwiedzi!

Widzieliśmy następnie, jak zanesiono do wnętrza kaplicy owe przybory do oświetlenia, a po załatwieniu innych przygotowań banda owych katów skierowała się ku obozowi. Zachowywali się przy tym wszystkim milcząco i wyteżony nasz słuch nie przyniósł nam nic ciekawego.

Halef, w mniemaniu, że nadszedł wreszcie czas, abym mu powiedział o rezultacie mojej wyprawy, zapytał:

— Czy mogę teraz mówić z tobą, sidi?

— Możesz.

— Domyślasz się zapewne, co chciałbym się od ciebie dowiedzieć!

— Domyślam się, ale muszę przede wszystkim porozumieć się z tobą co do niektórych rzeczy. Jak myślisz? Czy, oprócz odzyskania naszych koni i pieniędzy gospodarza, nie warto by ocalić

Bebbejów?

— O, tak, effendi; musimy to uczynić. Gdybyśmy pozwolili Bebbejom umrzeć w tak straszny sposób, to kto wie, czy i któryś z nas kiedyś nie poczułby we własnym ciele ostrych niedźwiedzych pazurów.

— Usiłując jednak ocalić Bebbejów, tym bardziej narazimy własne życie. Czy zgadzasz się na to?

— Zbytecznie mnie o to pytasz. Czyżbyś chciał mnie, twego wiernego Hadzi Halefa Omara, znowu obrazić?

— Ależ uchowaj Boże! Pytam cię dlatego, że chodzi tu o niebezpieczeństwo w jakim dotychczas nie znajdowałeś się jeszcze.

— Naprawdę?

— Zaraz ci objaśnię. Kelurowie nie powinni jeszcze teraz wiedzieć, że jesteśmy tutaj, nie możemy więc strzelać, a mimo to musimy pozabijać niedźwiedzie.

— Więc je zabijemy! — odpowiedział mały zuch bez namysłu.

— Ale w jaki sposób?

— To już twoja rzecz, effendi.

— Możemy je tylko albo zakłuć nożami, albo pozabijać kolbami naszych karabinów.

— Dobrze, zgadzam się.

— Ależ, Halefie, najpierw trzeba to rozważyć, następnie postanowić, a dopiero na ostatku wykonać! Czyś miał już kiedy do czynienia z niedźwiedziem?

— Jeszcze nigdy i dlatego cieszę się niezmiernie, że dziś będę miał ku temu sposobność.

— Kochany Halefie, zwracam ci uwagę, że wielka jest różnica między chęcią a wykonaniem czegoś. Idzie tu o starą ogromną niedźwiedzicę; aby ją nożem uśmiercić, potrzeba olbrzymiej siły fizycznej, której ty nie posiadasz, albo też kolby, która by się nie rozleciała w kawałki od silnego uderzenia.

— Taką kolbę ma twój karabin, mogą być więc role dobrze rozdzielone. Ty niedźwiedzia poczęstujesz kolbą, a ja nożem...

— Powoli, powoli! Przede wszystkim czy wiesz, gdzie nóż powinien być wbity między które żebra?

— Tego nie wiem. Zresztą czyż niedźwiedzica będzie stała spokojnie, zanim się jej żebra policzy, effendi?

— Rzecz prosta, że nie będzie tu czasu, ale wprawnemu myśliwemu wystarczy jedno spojrzenie. Nóż należy wbić za jednym zamachem aż po sam trzonek, a może nawet nie wystarczy jedno pchnięcie i trzeba będzie je powtórzyć. Niedźwiedź bowiem tylko pozornie wydaje się niezgrabnym gdy nie jest rozdrażniony; ale gdy się go zrani, staje się on zwinny i wystarczyłoby zająć wobec niego nieodpowiednią pozycję lub przeliczyć się w ruchu choćby tylko o mgnienie oka, aby zgiąć w jego pazurach, zanim się jeszcze nóż wyjmie. I pamiętaj: biada ci, gdy twój brzeszczot ześlizgnie się mu po grubej skórze! biada ci, gdy...

— Och, effendi! — przerwał Halef — już wiem, co chcesz powiedzieć... Ty chciałbyś sam niedźwiedzicę potraktować i kolbą i nożem!

— Czy się ją przebije nożem, czy uśmierci uderzeniem kolby, zależeć to będzie od okoliczności w danej chwili i ja naprawdę jestem zdecydowany podjąć się sam jednego i drugiego.

— Nie chcesz mnie dopuścić do wzięcia udziału w karkołomnej wyprawie? Czyżbyś chciał skazać mnie na to, abym, powróciwszy do swego plemienia, miał opowiadać ciekawym wojownikom, jak to patrzyłem z założonymi rękoma, niby stara, niezdarna baba, na twoje czyny i grożące ci niebezpieczeństwo? Cóż powie na to moja ukochana Hanneh, ów najśliczniejszy pączek między wszystkimi kwiatami na całej ziemi? Czyż nie pomyśli ona sobie, że duch waleczności odstąpił już ode mnie i że równam się tylko młynkowi do kawy, którego korba gdzieś się zapodziała?

— Uspokój się, kochany Halefie! W żadnym razie nie będziesz siedział beczynnym, jak ci się to wydaje. Jeżeli bowiem ja podejmuję się zabić niedźwiedzicę, to tobie przypadną w udziale młode niedźwiedziątka.

— Czyż z takiego podziału pracy byłby zadowolony jakiś wojownik? Cóż za bohaterstwo jednemu lub dwóm młodym niedźwiadkom karki poskręcać? Taką sztukę lada chłopiec wykona!

— Mylisz się, Halefie, bo sądzisz, że młody niedźwiedź jest małym, bezsilnym stworzeniem.

— No, zapewne nie jest większy od kota.

— Otóż jest on o wiele większy! Te młode niedźwiedzie, z którymi będziesz miał do czynienia, liczą teraz około sześciu miesięcy i są już zapewne tak duże, że będziesz miał z nimi dosyć roboty. Jeden młody, półroczny niedźwiadek, który się urodził w puszczy a nie w niewoli, może stawić skuteczny opór silnemu mężczyźnie. A my tu mamy do czynienia nie z jednym, lecz z kilkoma młodymi.

Postanowiłem załatwić się sam ze starą niedźwiedzicą dlatego, że Halef, nie mając najmniejszego o tych zwierzętach pojęcia, mógł nawet zniweczyć zupełnie nasze plany. Aby się jednak nie czuł upośledzonym, musiałem go przekonać, że rola, która jemu przypadła, wymaga wielkiej odwagi. Ostatnie moje słowa osiągnęły pożądany skutek, gdyż ozwał się do mnie uspokojony i z pewnym zadowoleniem:

— Myślisz więc, że nie jest rzeczą łatwą uśmiercić niedźwiedziątka?

— O, wcale nie łatwo. Utrudnia tę sprawę i ta okoliczność, że niedźwiedzica żywi wielką miłość do młodych, i kto zaatakuje jej dzieci, na tego uderza z wściekłością, nie mającą granic, nie zważając nawet na tych, którzy na nią samą napadają. Widzisz więc, że musisz tu okazać nie mniej odwagi ode mnie, i jest nawet możliwe, że przy napadzie na młode znajdziesz się w większym niż ja niebezpieczeństwie, gdyż najniespodziewaniej możesz wpaść w łapy i zęby starej!

— Czuję się przez to szczęśliwym, effendi, bardzo szczęśliwym! Teraz widzę, że nie uważasz mnie za stary młynek do kawy. Chętnie biorę na siebie rolę mordercy synów i córek niedźwiedzicy.

— Doskonale! Nie zapomnij jednak, iż nie wolno nam strzelać!

— O, wystarczy zupełnie, gdy użyję noża i jestem pewny, że potomstwo nieśmiertelnej niedźwiedzicy będzie pozbawione życia bez żadnego hałasu. Później na pamiątkę dnia dzisiejszego pozwolę sobie zrobić z futra *zini ed delu*\* lub miękkie *zidździ es siwan*\* pod małe miłuchne nóżki dla mojej Hanneh, na które kładzie tak maleńkie pantofelki, że można je dojrzeć zaledwie przez szkła powiększające. Ale patrz, ściemniło się i widać blask knota z sitowia, oświetlający wnętrze *muzallah*. Czy nie czas już nam wybawić biednych skazańców ze śmiertelnej trwogi?

— Jeżeli ci idzie o ich trwogę, to nic ona im nie zaszkodzi. Główna rzecz, że nieszczęśni ci są ludźmi, więc nie możemy dopuścić, aby zostali zamordowani, tym bardziej zaś, aby zginęli taką straszną śmiercią, jaką im obmyślono. Lecz nie są oni przecież lepsi od Kelurów, swych wrogów; okradli nas i godzili na nasze życie. I kiedy ja, mimo to, decyduję się iść im na ratunek, to niech bodaj tyle przecierpią, że się nałykają strachu; zasłużyli przecież na taką karę.

— To prawda, sidi; strach wcale im nie zaszkodzi. Ale gdy zaczniemy się zbyt długo ociągać, to mogą przyjść niedźwiedzie i pożreć...

— Jak to?

— Nie żartuj, sidi! Przecież nie będzie to ratunek, gdy obu Bebbejów wyprujemy z wnętrzości potworów. Musimy ich uwolnić, zanim jeszcze odbędą wędrówkę przez paszczę niedźwiedzia i dlatego radzę, byśmy zaraz tam poszli. Zresztą wiesz chyba lepiej, co czynić.

— Zdaje mi się, że dość jeszcze mamy czasu, bo niedźwiedzie górskie nie opuszczają swego legowiska natychmiast po nadejściu wieczora. Co prawda jednak, zapach miodu może ich wywabić z kryjówek wcześniej, a przy tym rad bym wiedzieć co ci nieszczęśliwcy mówią ze sobą, znajdując się w tak beznadziejnym położeniu. Chodźmy więc, a ostrożnie.

— No, kryć się bardzo nie potrzebujemy, bo jest ciemno i możemy nie obawiać się, aby nas spostrzeżono.

— Tak ci się tylko zdaje. Z obozu Kelurów widać dobrze kaplicę, i niezawodnie w tej chwili oczy wszystkich skierowane są w nią; a że wewnątrz pali się lampa, więc Kelurowie zobaczyliby nas natychmiast, skoro tylko stanęlibyśmy bądź w oświetlonych drzwiach, bądź w otworach okiennych;

ostro zarysowane na jasnym tle postacie nasze byłyby natychmiast dostrzeżone z daleka. Musimy więc iść bardzo ostrożnie, a ty postępuj tuż za mną i czyn to samo, co ja.

— Ależ rozumie się, sidi. Należałoby tylko prosić Allacha, by nam poszczęścił w tak niebezpiecznej wyprawie. Ty wiesz, sidi, że ja niczego się nie boję; serce moje w chwili niebezpieczeństwa uderza spokojnie, jak zawsze, a ręka trzyma nóż z taką pewnością, jakby miała krajać baraninę, oczywiście upieczoną. Mam więc nadzieję, że powrócimy szczęśliwie, bez przysporzenia sobie nowych dziur w ciele, już dostatecznie podziurawionym. Módlmy się jednak! *Allahu billah min esz szejtan er ragim...* przed złym szatanem szukam ucieczki u Allacha. On mnie ochroni i ciebie również, effendi!

Byłem pewny, że mały modlił się nie z pobożności a jednak sam westchnąłem również do Boga, gdyż, pomimo całego mego doświadczenia i odwagi, nie lekceważyłem niebezpieczeństwa, jakie w tych niezwykłych warunkach zawisło nad naszymi głowami. Wszak szliśmy nie na zabawę, lecz przeciw potężnemu przedstawicielowi zwierząt drapieżnych, a niedźwiedź kurdyjski pod względem zajadłości nie ustępuje w niczym amerykańskiemu *grizzly* z gór Skalistych, co wobec niemożności użycia karabinów nie było dla nas okolicznością do zlekceważenia.

Poznawszy dokładnie jeszcze za' dnia poblize kaplicy, nie miałem trudności w dotarciu do jej ruin potajemnie. Przeworność nakazywała zbliżyć się do kaplicy nie od frontu, lecz ze strony przeciwnej, od ściany skalnej, gdzie na nasze szczęście było dosyć miejsca do ukrycia się.

W tylnej nawie kaplicy był również otwór okienny, ale tak wyszczerbiony, że kształtem nie przypominał żadnej bliżej określonej figury geometrycznej. W tym tedy zakątku poza kaplicą wśród stosów kamieni pokładaliśmy się w ten sposób, by przez wspomniany otwór widzieć wewnątrz *muzallah*, której gruzy wśród odłamów kamiennych i żwiru nie przypominały dziś już nawet, że kiedyś, przed wiekami, miejsce to było Bogu poświęconą świątynią. Jedyнным śladem tego był mocno już zatarty napis, wryty na płycie kamiennej, wmurowanej w tylną ścianę budowy. O ile mogłem w niepewnym świetle dostrzec, było to pismem kufijskim wryte słowo „Kyrie”. A więc Kyrie eleison! Panie, zmiłuj się nad nami! Napis ten dziwnie odpowiadał miejscu, w którym umęczono wiernych chrześcijan i w którym my dzisiaj narażaliśmy się na niebezpieczeństwo podobnej śmierci męczeńskiej.

Kelurowie umieścili skazańców w ten sposób, że poprzywiązywali ich mocno do belek, które jednym końcem wkopali w ziemię, a drugim oparli o ruiny ścian kaplicy, przywalając wierzchołki belek dla pewniejszego umocowania kamieniami. Skazańcy więc nie mogli wykonać ani jednego ruchu, tym bardziej, że skrupowano ich umyślnie jak mumie, aby niedźwiedzie miały więcej do roboty i aby przez to męczarnia skazańców trwała jak najdłużej. Nieszczęśliwi byli tak oblepieni miodem, że aż ściekał im z twarzy i z ciała.

Przypomniałem sobie w tej chwili, jak to Indianie ze szczepu Pueblo chowają swoich zmarłych. Przywiązują oni zwłoki do grubego pala, który wbijają w ziemię, zazwyczaj na górze. Zgroza przejmuje podróżnego na widok takich zwłok, sterczących gdzieś nad skałami. Całe stada gawronów obsiadają je i rozszarpują!... A tu, w *muzallah*, nie martwe zwłoki, lecz żywe ciała mają ulec temu samemu...

Obaj Bebbejowie, przekonawszy się, że nie zdołają własnymi siłami wydostać się z okropnego położenia, wpadli w apatię i tylko od czasu do czasu westchnął głęboko jeden lub drugi. Dopiero po jakimś czasie stary Akwil zaklął tak okropnie, że słowa te nie nadają się nawet do powtórzenia.

— Nie potępiaj Kelurów, lecz raczej samego siebie — rzekł mu syn. — Oni przecież wykonują tylko zemstę, do której ty ich zmusiłeś.

— Ba, ale czemu mszczą się w tak okropny sposób? Czyżby rozstrzelanie nas nie było dla nich dostatecznym zadośćuczynieniem?

— O nie! Bo przypomnij sobie czy byłeś wobec nich przed dwoma laty inny? Zamiast zastrzelić pojmanego Kelura, zakopałeś go żywcem do jamy, aby tam zginął śmiercią głodową. Jeżeli dziś mamy zginąć śmiercią jeszcze straszniejszą, to Szir Samurek postąpił mądrze i sprawiedliwie... oczywiście w stosunku do ciebie tylko, bo ja nic mu nie zawiniłem; wówczas, gdy zgładziłeś w jamie owego człowieka, przebywałem w Kairze, a więc nie było mnie nawet w Kurdystanie i doprawdy nie wiem, jak Allah mógł dopuścić do tego, aby syn odpowiadał tak srodze za głupotę ojca swego!

— Prawo zemsty krwi przechodzi z pokolenia na pokolenie; jest ono prawem Allacha i nie powinieneś szemrać przeciw temu.

— Nie mówiłem tu przecież o zemście krwi, lecz o głupocie twojej...

— Więc syn śmie własnemu rodzicowi zarzucać głupotę?

— I ma prawo tak czynić, jeżeli są słuszne ku temu powody. Bo czyż nie było głupotą z twojej strony iść samemu w pazury tych, od których przecież groziła ci zemsta krwi i ofiarowywać im konia, który wcale twoją własnością nie był i którego nawet nie miałeś jeszcze w rękach? Przy tym zaiste zbyt pewny byłeś, że ci się go uda ukraść tak łatwo? Przez ciebie to, jedynie przez ciebie wpadłem i ja w ręce wrogów, a teraz muszę ginąć z twojej przyczyny śmiercią tak okropną!

— Czynisz mi wyrzuty i zarzucasz wszelką winę, a zapominasz o swoich własnych błędach — odrzekł ojciec, westchnąwszy głęboko. — Przecież ty popełniłeś również ogromny błąd...

— Jaki?

— Jak to, czyżbyś zapomniał o nim? Czy nie usiłowałeś zamordować obcego effendiego i jego sługę? Mimo wielkiej nienawiści przyznać muszę, że są to dzielni i nieustraszeni ludzie; że zaś effendi ów poniósł tak wielką stratę w postaci swego rumaka nieocenionej wartości, przysiągłbym na Allacha i jego proroka, że w tej chwili ściga właśnie Kelurów i może nawet krąży gdzieś w pobliżu, a w takim razie widzi, co się tu dzieje.

— I ja myślałem o tym — potwierdził Sali. — Może nawet wie, że my, wrogowie jego, znajdujemy się tu, w *muzallah*, skazani na okropną śmierć. Liczę na to i w tym pokładam ostatnią swą nadzieję.

— Czy nie jest ona jednak zwodniczą, jak zwodniczym okazało się moje przypuszczenie aż do chwili, gdy Kelurowie nas tu przynieśli, że jednak nie postąpią z nami tak okrutnie, lub, że zdołamy

wydrzeć się z ich rąk. Niestety, zawiodłem się, bo oto położenie nasze jest w tej chwili bez wyjścia; musimy zginąć śmiercią męczeńską. \*

— A moja nadzieja zgaśnie dopiero z chwilą, gdy poczuję pazury w samym sercu. Coś mi mówi, że Kara Ben Nemzi przybędzie tu, a może nawet jest już gdzieś blisko. On się ulituje nad nami, gdy się dowie o przeznaczonych nam męczarniach i uratuje nas niezawodnie.

— A ja ci mówię, że nie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że, po pierwsze, nie dalej jak wczoraj usiłowałeś go zamordować, a po wtóre, nie zechce narażać własnego życia dla swego wroga.

— O, nie przypuszczaj, aby się bał czegokolwiek ten człowiek! Jeżeli tylko przebaczy tobie, żeś się przyczynił do skradzenia mu konia, bo moją winę darował mi już, gdy schwytał mnie w chwili zamierzonego zamachu na swoje życie i oddał mi nóż, mówiąc: „Chrześcijanin nie zna zemsty, bo sędzią człowieka może być tylko sam Bóg.” Wobec takich jego pojęć nie wątpię, że wybawi on nas; tak mu nakazuje jego religia.

— Allach! Synu mój! Dziwię się, że wierzysz jego słowom i serce masz przepełnione zachwytem dla niego. Wszak jesteś dumnym kaznodzieją islamu i jako taki powinienes mieć dla chrześcijanina jedynie tylko słowa pogardy i przekleństwa, a jednak odzywasz się z uwielbieniem i pokładasz nadzieję właśnie w przeklętym wyznawcy krzyża z Golgoty.

— Nie myśl tak o nim i nie nazywaj go przeklętym! On wiary swojej nie nosi tylko na języku; mieszka ona w jego sercu, wisi na rękojeści jego noża i przemawia z luf jego karabinów. Jeżeli Allach sprowadzi go tutaj, to przysięgam na proroka i na...

— Milcz! Zapomniałeś, co nam powiedział z szyderstwem Szir Samurek: „Kto oczekuje pomocy z strony chrześcijanina, ten nie powinien jej żądać od Allacha. Jeżeli Kara Ben Nemzi przyjdzie nam z pomocą, to sprowadzi równocześnie Iza Ben Marryam. Do niego się więc zwracam!...

Nie mogłem odgadnąć, czy Akwil mówił to z przekonania, czy też tylko drwił. Syn jego wziął jednak te słowa poważnie i odrzekł:

— Niedźwiedzi jeszcze nie ma; przybędą dopiero, jak sędzę, późną nocą, i do tego czasu może nam Mahomet zesłać ratunek... a chrześcijanin pozostaje nam na chwilę ostateczną.

Rozumowanie takie w niesłychanie ciężkim położeniu skazańców zbudziło we mnie politowanie nad ich naiwnością. Halef odczuł to samo i szepnął mi do ucha:

— Gdyby tu nie szło o życie lub śmierć istot ludzkich, sidi, śmiałybym się do rozpuku z ich rozumu. Wszak nie mam wątpliwości, kto potężniejszy: Chrystus czy Mahomet. Może by tak postarać się, by ci Bebbejowie przekonali się o tym na własnej skórze?

— Stanie się to bez naszych starań — odrzekłem również szeptem. — Zaczekajmy tylko trochę i

bądź cicho, bo chcę słyszeć ich rozmowę.

Nic nowego jednak dalsze ich słowa nam nie przyniosły i nie miały żadnego dla sprawy znaczenia. Wzdychali, czynili sobie nawzajem wyrzuty, modlili się do Allacha, Mahometa i wszystkich jego następców, co mnie wreszcie tak znużyło, że już miałem chęć wleźć przez otwór i przerwać to wyrzekanie, uwalniając Bebbejów z niewygodnej bardzo pozycji, gdy nagle usłyszałem trwożny okrzyk Akwila:

— Allah, zlituj się! Niedźwiedź we drzwiach!

— Istotnie! — odparł Sali, — to młody niedźwiedź, o Allah, o proroku, o Mekko i święta Kaabo! Ratujcie nas od srogiej śmierci!...

We drzwiach kaplicy ukazał się młody, ale wcale pokaźny niedźwiadek, sięgający wzrostem co najmniej siedmiu piędzi. Odłączony już od dawna od piersi, żywił się zapewne nie tylko owocami, ale i dziczyzną, dostarczaną mu przez matkę, nie wyglądał bowiem na wygłodzonego.

— Och, sisi! — szepnął Halef — niedźwiedź! Tęgi niedźwiedź! Nie sądziłem, aby dziateczki starej mamusi były tak wielkie. No, ale jak sądzisz, sisi? Pójść do niego i powiedzieć mu, że potrzebna mi jest jego skóra na dywan pod nóżki mojej Hanneh?

— Ani kroku! Spłoszyłoby to starą, która zapewne idzie za nim w niewielkiej odległości. Zresztą nie wolno ci się stąd ruszyć, dopóki nie dam znaku.

W czasie gdyśmy ze sobą szeptali, niedźwiedź zajadał znaleziony plaster miodu, który Kelurowie położyli na wabika tuż koło progu kaplicy. Pocieszenie wyglądał figlarny miś, gdy ująwszy plaster miodu w przednie łapy, usiadł na zadku i począł spożywać go z zadowoleniem wytrawnego smakosza.

Bebbejowie przez pewien czas zachowywali się, jak niemi; potem słyszałem, że się modlili, ale po cichu, by snadź nie ściągnąć na siebie uwagi niedźwiedzia, który wszedł dalej do środka i zabrał się do drugiego plastra. Wkrótce wszedł za nim drugi niedźwiadek, a potem trzeci. Teraz skazańcy, nie Ucząc się już z niczym, poczęli krzyczeć coraz rozpaczliwiej, a tymczasem trzej młodociანი smakosze, wylizawszy po drodze rozlany miód, przystąpili do skazańców i poczęli się rozkoszować słodyczą, która ciekła z nich na ziemię, liząc ją i mlaskając językami. Miałem wrażenie, jakbym patrzył na gości spożywających w jadłodajni zajazdu gorącą a smacznie przyrządzoną zupę. Niedźwiedź jednak zawsze jest niedźwiedziem, czy to w górach Kurdystanu, czy też w table d'hote w Cannes lub Baden-Baden...

Dwa pierwsze niedźwiadki załatwiły się szybko z miodem u nóg skazańców, a następnie zmiarkowawszy, że słodycz cieknie od góry, oparły się łapami na łydkach Akwila, który nie krzyczał już, lecz... wył przeraźliwie.

— Effendi! Drogi effendi! Czas na nas, bo inaczej będą zgubieni! — błagał szeptem Halef i porwał się biec.



Wstrzymałem go jednak:

— Zostań! Nie wiemy, gdzie jest stara. Mogłaby naskoczyć na nas z tyłu.

Poza rozpaczliwym wrzaskiem Bebbejów, który zapewne aż w obozie Kelurów echem się odbijał, nie mogliśmy nic innego dosłyszeć. Zastanowiło mnie, że młode niedźwiedzie przyszły tu bez matki, która zazwyczaj nie wypuszcza „dziatek” bez swojej opieki i czuwa nad nimi na każdym kroku. Czyżby natrafiła na nasze ślady i węszy je teraz? Lub może zainteresowały ją tropy Kelurów?

— Schowaj się dobrze — szepnąłem do Halefa — bo stara może się tu zjawić lada chwila.

Chwyciłem w obie ręce karabin za lufę, by być gotowym do uderzenia w każdej sekundzie.

Obawy moje okazały się zupełnie uzasadnionymi, bo w tej samej prawie chwili z ciemności nocnych wyłoniła się olbrzymia postać niedźwiedzicy i minęła wejście do kaplicy, podążając w naszą stronę. Już myślałem, że nadeszła stanowcza chwila rozstrzygnięcia śmiertelnego pojedynku na życie i śmierć pomiędzy mną a potworem, gdy nagle w kaplicy rozległ się przeciągły jęk ludzki, a zwierzę, kierując się tym głosem, zawróciło ku wejściu do kaplicy i stanęło w jego otworze. Jedno spojrzenie do wnętrza *muzallah* przekonało mnie, o co idzie. Oto dwaj rozłakomieni braciszkuwie pokłócili się snadź ze sobą przy uczcie i poczęli się zbyt energicznie głaskać łapami tuż u nóg Akwila, przy czym zapewne i jemu coś się z tych karesów oberwało i dlatego tak okropnie zajęczał. Niedźwiedzica zaś, która zwietrzyła nas i już ku nam chciała się podejść, zaniedbała tego, powodowana troską o własne dzieci i zwróciła się ku wejściu do *muzallah*. Gdyby miała bardziej podłużną głowę i bardziej spiczasty pysk, można by ją wziąć za niedźwiedzicę polarną, gdyż była prawie biała i mogła mieć co najmniej dwa metry długości — była więc niezwykle wielka, a co za tym idzie, silna. Zauważyłem, że brakowało jej jednego ucha, które prawdopodobnie postradała w walce. Przez chwilę stała w drzwiach kaplicy spokojnie i miałem możność obejrzeć ją dobrze. Zdaje mi się — wystarczyłoby jedno jej uderzenie przednią łapą, a padłby od niego najsilniejszy mężczyzna! Widok jej wprawił obu nieszczęśliwych Bebbejów w niewypowiedzianą trwogę.

— Allach! — krzyczał Akwil. — Ratunku! Śmierć się zbliża! litości! O Allach!...

Równocześnie zaś jęczał jego syn:

— Duch kapłana mścić się na nas idzie! O, wybaw mnie, Allach! O proroku wszystkich wiernych, ratuj nas!

— Milcz! — zgromił go stary. — Potęga proroka skończyła się... Przypomnij sobie...

Nie słuchałem dalej, gdyż zbliżyła się dla mnie chwila działania.

— Zostaniesz tu! — rzekłem do Halefa i opuściwszy sztucer, wziąłem natomiast w zęby nóż a w ręce karabin, aby móc ogłuszyć przede wszystkim bestię uderzeniem kolby, a następnie przebić ją silnym ciosem noża, przewidując, że uda mi się to wykonać, gdy potwór zajmie się młodymi. I rzeczywiście, niedźwiedzica pogodziła kłótliwych synów, uderzając jednego i drugiego niezbyt silnie przednią łapą, po czym zbliżyła się do Akwila.

— Ratuj, Boże chrześcijan! Ratuj, Iza Ben Maryam, skoro prorok pomóc nam nie chce!

— Ratuj nas, Ukrzyżowany, bo nie ma ponad Ciebie większej potęgi na ziemi, ani na niebie!...

Nie słyszałem więcej. W mgnieniu oka wskoczyłem przez tylny otwór kaplicy i uderzyłem kolbą niedźwiedzicę między przednie łapy z taką siłą, że aż jej żebra zatrzeszczały i zwała się na bok, zwracając się ku mnie straszliwą swą paszczą. Na to tylko czekałem. Błyskawicznym ruchem podniosłem karabin w górę i z ogromnym rozmachem uderzyłem potwora nie w czaszkę, gdyż byłby to cios bez skutku, lecz w pysk, co go od razu oszołomiło. Nie trwał jednak długo ten bezwład i z doświadczenia przygotowany byłem na to. Odrzuciwszy więc karabin wyjąłem z zębów nóż i zadałem bestii trzy gwałtowne pchnięcia między żebra, po czym odskoczyłem nagle w bok, gdzie stał jeden z niedźwiadków, dzikim pomrukiem objawiając swe niezadowolenie, że mu się przerwało słodką ucztę. Jednocześnie Halef tuż koło broczącej krwią starej niedźwiedzicy borykał się bezskutecznie z drugim niedźwiadkiem, który ostrymi pazurami atakować go począł. Spostrzegłszy to, zląkłem się poważnie o mego niedoświadczonego towarzysza, tym bardziej, że nie byłem pewny, czy trafiłem starą w serce i czy nie rzuci się ona niespodzianie na Halefa w obronie swego dziecka. Dostoczywszy więc w tę stronę, wziąłem przemocą mego śmiałka na bok i wskazałem mu pełnym obawy ruchem niedźwiedzicę. Ale mały zuch popatrzył na mnie, jak człowiek, któremu ktoś śmie przeszkadzać w spełnieniu obowiązku i odezwał się:

— Cóż to? Żartujesz chyba? Nóż twój chybić nie mógł. Patrz zresztą, jak z niej krew bucha strumieniem; to są ostatnie podrygi. Pożycz mi, effendi, swego karabinu, abym tak samo, jak ty, naprzód ich ogłuszył uderzeniem, a następnie dobił.

Gdy mówił to do mnie, nie spuszczałem z oka starej, spodziewając się, że się lada chwila zerwie z ziemi. Obawa ta jednak okazała się zbyteczną; nóż mój przebił jej serce na wylot i w moich oczach, jęcząc straszliwie, wydała ostatnie tchnienie.

Podaliśmy Halefowi swój karabin, którym natychmiast powalił na ziemię obydwaj niedźwiadki i następnie zakłuł energicznymi pchnięciami noża. Z trzecim niedźwiadkiem, który tu nadszedł niebawem, uporaliśmy się również w ten sposób.

Wszystko to było dziełem kilku zaledwie minut — i z ulgą stwierdziłem nareszcie, że mamy przed sobą cztery trupy niedźwiedzie i że w walce dość niebezpiecznej ani nam włos z głowy nie spadł.

Gdyśmy się następnie zwrócili ku Bebbejom, mieli oczy zamknięte i jakby im oddech zamarł w piersiach. Najwidoczniej straszna trwoga wprowadziła ich w omdlenie. Oburzyło to mego Halefa, który się spodziewał, że zwrócą się natychmiast do nas z podziękowaniami.

— A otwórzcież oczy, bohaterowie! Czyżby się wam zdawało, żeście już poszli tą samą drogą, co nieczyste duchy zabitych przez nas potworów? Przecież, gdyby tak było, uczulibyście przedtem ostrza naszych noży!

— Kara Ben Nemzi!... — jęknął Akwil, otwierając nagle oczy.

— Tak! On we własnej swojej osobie... Hadzi Emir Kara Ben Nemzi Effendi — dodał Sali. — A

tu, obok niego, dzielny Hadzi Halef Omar. Czy widzę was w istocie, czy też to tylko duchy?...

— *Maszallah!* Czyż można marzyć po śmierci? — śmiał się Halef. — Zapewniam, że widzicie nas na jawie i wcale nie mamy ochoty być sennymi widziadłami.

— A więc istotnie to wy? W jakim sposobie dostaliście się tu, do *muzallah el amwat*?

— W taki właśnie sposób, jak się tego spodziewaliście. Przybyliśmy tu za Kelurami, aby odebrać im konie nasze i uwolnić was z ich rąk.

— Nas uwolnić? — zapytał niedowierzająco. — Czy tylko nie żartujesz, Hadzi Halefie Omarze?

— Że nie żartuję, najlepszym są świadectwem leżące tu cztery skóry niedźwiedzie. Zbyt niebezpieczne byłyby to dla nas żarty, abyśmy bez powodu mieli sobie na nie pozwalać.

— Allach 1' Allach! Czyżbyście istotnie przyszli tu do *muzallah*, aby nas ratować?

— Tak, to było naszym celem.

— A więc sprawiła to modlitwa nasza do Ukrzyżowanego i pozostaje nam błagać was, byście nam winy nasze przebaczyli. Wyrządziliśmy wam krzywdę, dając Kelurom sposobność do ukradzenia wam koni, godziliśmy na wasze życie i teraz trudno nam uwierzyć, abyście za wyrządzone wam zło odpłacać się mogli dobrocią. Zresztą nie jesteśmy jeszcze wolni.

— Uwolnimy was, ale pod warunkiem, że nie postawicie nam potem żądań, z których byśmy nie byli zadowoleni!

— Jakich żądań?

— Ano — wtrącił Halef, skory do dowcipkowania w najgorszej nawet sytuacji — moglibyście na przykład zażądać od nas, abyśmy ten miód z was zlizali i skończyli zaczęta przez niedźwiedzie robotę.

Sali nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Tak on, jak i ojciec jego mieli tak beznadziejne miny, że postanowiłem uwolnić ich natychmiast z okropnego położenia. Dobyłem więc noża, i w parę minut obaj byli wolni, choć z powodu odrętwienia bardzo niepewnie stali na nogach.

I oto stało się coś, czego nigdy przypuścić bym nie mógł. Akwil, stary rabuś, morderca, człowiek, zdawało się, wyzuty z sumienia i wszelkich pojęć o uczciwości, padł teraz przede mną na ziemię i począł łkać jak dziecko, a Sali uchwycił mnie za obie ręce i na klęczkach mówił drżącym od wzruszenia głosem:

— Zwyciężyłeś, effendi, jak zresztą zawsze zwycięzasz. Ale zwycięstwa tego nie poniosłeś dla własnej sławy, lecz dla kogoś, kto wysoko stoi nad tobą. „Bóg jest miłością”, rzekłeś, a ja nie wierzyłem temu, bo miałem łuskę na oczach, bo błądziłem po omacku. Teraz wierzę. Wyrwałeś nas ze szpon śmierci, jesteśmy więc twoją własnością i losy nasze składamy w twoje ręce.

— Powstań! Nie klękaj przed człowiekiem! — rzekłem, podnosząc go. — Tylko przed Bogiem i jego zastępcami należy klękać; ja jestem grzeszną istotą, jak i ty. Czy naprawdę gotowi jesteście powierzyć swe losy w moje ręce?

— Tak. Uczyn z nami, co ci się podoba! Wierzmy teraz, że nie wydasz nas Kelurom.

— Nie obawiajcie się o to. Jesteście wolni!

— Allach! Przedziwnym jesteś człowiekiem! Czyżbyś nawet nie zamierzał oddać mego ojca w ręce władzy w Khoi, aby tam został ukarany za kradzież dziesięciu tysięcy piastrów?

— Nie jestem policjantem z Khoi. To, co zawiniliście wobec mnie, przebaczyłem wam, a rachunki wasze z innymi ludźmi nic mnie nie obchodzą i nie mam prawa czynić nad wami sprawiedliwości. Allach najlepszym jest sędzią... Jesteście wolni i moglibyście już teraz pójść, dokąd się wam spodoba. Jednak poproszę was, byście zostali z nami do rana.

— Emirze, nie powinieneś nas prosić, lecz rozkazywać nam. Serca nasze przepełnione są wdzięcznością dla ciebie, a nienawiść, którą przedtem do ciebie żywiliśmy, rozwiła się, jak mgła w słońcu. Żądaj więc, co chcesz, a wszystko uczynimy chętnie.

— Owóż poproszę was jedynie o to, abyście, będąc z nami do rana, zachowywali się jak najspokojniej. Zamierzam bowiem jeszcze dzisiejszej nocy odebrać od Kelurów swoje konie i wziąć szejka ich Szir Samureka do niewoli. Skoro mi się to uda, będziecie mogli odejść.

— Co mówisz, effendi? Zabrać im konie i uprowadzić szejka? Konie, jakkolwiek bardzo trudna będzie z nimi sprawa, może ci się uda wydostać. Co się jednak tyczy ujęcia szejka, to wątpię, czy podołasz temu zadaniu.

— Skądże to nabrałeś śmiałości mówić w ten sposób do mego effendiego? — oburzył się Halef. — On zawsze dokona tego, co postanowi, a co inni uważają za niemożliwe. Jeżeli więc pan mój zamierza uprowadzić Szir Samureka, to go uprowadzi, możesz być tego pewny. A zresztą czy nie widzisz, że ja jestem przy nim, ja, który dopomogłem mu w wielu heroicznym czynach? Co my we dwóch przedsięwzięmy, to i wykonamy... a czy on jest ze mną, czy też ja z nim, to nie ma nic do rzeczy. Przed chwilą zresztą sami widzieliście, żeśmy dokonali tu obaj czynu o wiele niebezpieczniejszego, aniżeli wzięcie szejka do niewoli.

— Co do mnie — rzekł Akwil — jedno i drugie przechodzi moje siły, wam jednak udać się może. Czy jednak możesz mi powiedzieć, w jakim celu chcesz uwięzić szejka?

— Aby w ten sposób wymóc na Kelurach zwrot pieniędzy, będących własnością oberżysty z Khoi.

— Odstawicie go zapewne do Khoi, aby go ukarano za podpalenie wsi?

— Nie. Powiedziałem ci już, że nie jestem policjantem. Skoro tylko osiągnę swój cel, puszcę go na wolność.

— Na wolność, effendi? Tego zbrodniarza i złodzieja, który rzucił tu nas na pastwę dzikich zwierząt, który ukradł wam konie i który, gdybyście wpadli w jego ręce, postąpiłby z wami tak samo, jak z nami?... Nie, effendi! Ty go nie puścisz bezkarnie! Pomyśl tylko, ile on zbrodni popełnić jeszcze może przez resztę swego życia! A wszystkie one będą na twoim sumieniu. Czyżbyś nie zawahał się brać na siebie takiej odpowiedzialności?

— Nie zawaham się.

— W takim razie nie pojmuje cię wcale.

— Przed chwilą właśnie wziąłem na swoje sumienie podobną odpowiedzialność.

— Nie rozumiem.

— Posłuchaj. Szir Samurek jest zbrojcem i zbrodniarzem, to prawda. Ale czymże byliście wy, zanim wam przebaczyłem? On miał zamiar pozbawić mnie życia i wy zamierzaliście to samo. Odpłaciłem wam za to nie zemstą, lecz przebaczeniem, i mam prawo postąpić tak samo z szejkiem Kelurów.

— Kelurowie są naszymi wrogami i między nami a nimi toczy się krwawy spór.

— Mnie to nic nie obchodzi. Czyż do tej chwili i wy nie nazywaliście nas swymi wrogami? A jednak, jak sądzę, nie jesteście już nimi teraz. Przed chwilą zresztą mówiłeś mi tak pięknie o miłości, a teraz obstajesz przy zemście względem swych wrogów... Czy myślisz, że miłość, jakiej wymaga od nas Bóg, dopuszcza takie postępowanie? Czyż jest zasługą kochać tylko tych, którzy ciebie również kochają? Kto poznał, jak wygląda prawdziwa miłość, ten powinien wyteńczyć wszystkie swe siły, aby się mógł sam na nią zdobyć, aby się w niej doskonalił. Proś Allacha, aby ci w tym dopomógł, bo wierz mi, nie ma większego szczęścia na ziemi, jak żyć w miłości i umrzeć pod opiekuńczymi jej skrzydłami. Ale nie możemy zbyt długo rozwodzić się tutaj nad tym, bo niewiele już mamy czasu. Czy przypominasz sobie, co ci odpowiedział Szir Samurek, gdy twierdził, że was uratuje?

— Nie wiem, o co pytasz.

— Przypomnij sobie słowa szejka, które ci rzekł tam, w obozie: „Przysięgam na Allacha i na moją duszę, że skoro on was uratuje, to ja sam porzucę islam i zwrócę się do Boga, który umarł na krzyżu za grzechy ludzkie.”

— *Maszallah!* Skądże ci znane są tak dokładnie słowa, wypowiedziane do mnie przez szejka? Czyżbyś był wszystko wiedzającym, effendi?

— A przypominasz sobie, co ci jeszcze mówił o krzyżu i o niedźwiedziu?

— Tak, przypominam sobie.

— Otóż trzeba, abyś nam pomógł słowa jego urzeczywistnić. Jeżeli miłość, jaką żywię w swym sercu, a której godłem jest krzyż, uratowała was od śmierci, to powinna także przekonać Kelurów, że nienawiść i zemsta rodzą tylko nienawiść i zemstę, podczas gdy miłość jest matką odkupienia i szczęśliwości ludzkiej.

— Ba, ale jak my tu możemy być ci pomocni, effendi?

— Zaraz się o tym dowiesz. Skoro szejek obudzi się rano i zwróci oczy ku *muzallah*, musi spostrzec, że to, z czego drwił niedawno, stało się istotnie. Niedźwiedź będzie trzymał w łapach krzyż u wejścia do *muzallah*!...

Spojrzał na mnie wzrokiem pełnym zdumienia i rzekł:

— Co za myśl! Effendi, wiem już teraz, gdzie źródło twego powodzenia. Ty nie postępujesz bezmyślnie według przykazań kismetu, lecz w każdej okoliczności torujesz sobie drogę sam, wedle własnej woli.

— I ty także możesz zdobyć się na to.

— O, nie. Ani mnie, ani żadnemu innemu człowiekowi udać się to nie może, bo nie mamy na to siły. Rad bym tylko wiedzieć, kto udzielił jej tobie?

— Sprawiała to miłość. Powiedziałem ci, że ona jest matką zbawienia i szczęśliwości. Twój kismet jest tyranem, pod którego nogami tarzasz się, jak robak marny, w obawie, aby cię nie roztratował. On wpił się w szpik twoich kości i owinał twoją duszę jak wąż. Ogłusza cię i oslepia, ażebyś nie miał pojęcia o kajdanach, w które cię zakuwa. On wsącza swe prawa w krew twoją i wydaje ci rozkazy za pośrednictwem twoich namiętności. Opanowany przezeń nie masz własnej mocy, ani woli, ani nadziei, bo kismet wszystko z góry wyznaczył. Berłem jego jest gwałt, a islam nauką, którą głosi. Bo godło waszej wiary, kumara w kształcie półksiężyca, jest jakby znakiem zakrwawionej krzywej szabli Mahometa, za pomocą której ugruntował on swą religię wśród ciemnych i fanatycznych ludów! Nad wyschlą studnią kismetu zmarniała wasza miłość i jesteście wcieleniem nienawiści, zemsty oraz zbrodni, pomimo, że uważacie się za wybranych ulubieńców Allacha. Kismet odebrał wam wolność i zdolności do czynów, do życia, do szukania dróg ku światłu. A skoro poznacie chrześcijanina, który uzbroił się w miłość i cnoty, nakazane mu przez Boga cudów, wówczas wołacie ze zdziwieniem „*Maszallah*” i nie możecie pojąć, jak można dokonać czegoś, co wydaje się wam niemożliwością. Kismet kazał szejkowi ukraść mi konie, ale ja drwię sobie z kismetu i odbiorę je; kazał mu rzucić was niedźwiedziom na pożarcie, a ja, jako człowiek wolny i samodzielny, przeszkodziłem temu. Tak samo nie będę się pytał kismetu, czy mi pozwoli wywlec szejka spośród trzystu jego wojowników. To go może opamięta i spowoduje zmianę w dalszym jego życiu.

Sali słuchał tych słów z wielkim przejęciem, nie przerywając ani słowem. Teraz dopiero ujął moją rękę i rzekł:

— Dziękuję ci, effendi! Przez całe życie pragnąłem znaleźć drogę do światła, a mimo to błądziłem zawsze w ciemności. Słów twoich nie mogę jeszcze pojąć należycie, tak, jakbym tego pragnął, ale wsiąkły mi one w duszę i mam nadzieję, że zapalą tam one iskry, które później buchną jasnym płomieniem. Jestem siewcą islamu, a jednak byłem skory do zbrodni; ty zaś, nie będąc nauczycielem swej wiary, czynisz dobrze nieprzyjaciołom swoim. Pomyślę nad tym i będę odtąd czynił to, co Allachowi jest miłe.

— Ba, ale skąd się dowiesz, co się może Allahowi podobać?

— Powie mi to głos własnego serca.

— Czy może ten głos, który ci oznajmił przyjście Mahdiego?

— Ten sam głos wewnętrzny.

— No, to bądź wobec takich głosów ostrożny! Pewien mędrzec powiedział, że serce dopóty nie może znaleźć spokoju, dopóki nie spocznie w Bogu. Opraw swoje serce w promienie miłości i prawdy, a żaden Mahdi nie będzie ci potrzebny.

— I nad tym pomyślę, effendi. Poznałeś mnie wczoraj, jako gorliwego wyznawcę islamu, a dzisiaj nie tylko, że słucham twoich słów z rozkoszą, ale przyrzekam, że bez względu na swoją wiarę pomogę ci chętnie w urządzeniu znaku krzyża na postrach Kelurom. Czy cię to na razie zadowala?

— Byłżebyś naprawdę gotów pomóc mi?

— Pomogę, i jeżeli się to prorokowi nie spodoba, to mam nadzieję, że gniew jego nie będzie trwał na wieki.

— Ja na twoim miejscu liczyłbym się z gniewem Mahometa o tyle, o ile on troszczy! się o was, gdyście się znaleźli wobec otwartej paszczy i pazurów potwora.

Wówczas ozwał się Akwil który, leżąc na ziemi, aż do tego czasu nie mieszał się do rozmowy:

— Błuznierstwa obrażają moje uszy! W innych warunkach naplulbym ci w twarz z pogardą. Bezczęścisz proroka, effendi, i czeka cię za to wielka kara!

— Taka sama, jak i was, gdyby w ogóle było to możliwe, aby on miał jakąkolwiek moc karania.

— Nas? A za co?

— Czyż, jako wierni muzułmanie, nie popełniliście błuznierstwa, wzywając w ostatecznym nieszczęściu Boga chrześcijańskiego na pomoc? Przecież obaj modliliście się do Iza Ben Marjam... A gdym twierdził, że Mahomet w ogóle nic dla was dotychczas nie uczynił, uznaliście, że nie ma on mocy. Nie jest to błuznierstwo z waszej strony?

— Zamilcz, effendi! Człowiek w nieszczęściu nie wie sam, co mówi. Ocalenie nasze jest istotnie cudem, który się stał właśnie w chwili, gdy szukaliśmy ucieczki w Bogu chrześcijan. Że zaś Mahomet nie pomógł nam, stąd wniosek, że twój Iza Ben Marjam bezsprzecznie jest potężniejszy od niego. A skoro mój syn, znający koran i naukę islamu, jak nikt inny, nie waha się współdziałać w ustawieniu krzyża, to tym bardziej ja, nie będąc alim, uczynię, czego żądasz, bez względu na to, czy się prorokowi postępek nasz spodoba.

Jak z tych słów wynika, obaj Bebbejowie od wczoraj zmienili się pod względem swych przekonań religijnych do niepoznania i mogłem żywić nadzieję, że zmiana ta nie będzie przemijającym tylko objawem stanu ich dusz.

Zabraliśmy się do roboty, gasząc przede wszystkim światło, ażeby Kelurowie nie spostrzegli naszych cieni. Zniknięcie światła nie powinno ich było zdziwić, bo przecież mógł je zgasić przypadkowo któryś z niedźwiedzi. Następnie wywlókłszy zabita niedźwiedzicę i umieściwszy ją przy pomocy powrozów w stojącej pozycji na stosie kamiennym w wejściowym od frontu otworze *muzallah*, umocowaliśmy jej w przednich łapach wielki krzyż zrobiony, rozumie się, z tych samych belek, do których przytwierdzeni byli niedawno skazańcy. Trzy młode niedźwiedzie ułożyliśmy na kupę w kącie *muzallah* i spiesznie opuściliśmy miejsce, które mogło stać się widownią nie tylko śmierci męczeńskiej Bebbejów, ale i naszej, gdyby się nam nie powiodło.

Miejsce, gdzie wczoraj podczas mojej wycieczki do Kelurów ukrywał się Halef, uznałem za najodpowiedniejsze schronienie dla Bebbejów. Teraz skierowaliśmy się ku niemu zachowując wszelkie ostrożności w obawie natknięcia się na Kelurów, którzy mogliby wysłać ku ruinom *muzallah* oddział dla przekonania się, co było istotną przyczyną zgaśnięcia światła. Na szczęście nie spotkaliśmy po drodze nikogo.

Przedostawszy się do rzeczonyj kryjówki, kazałem Bebbejom położyć się, a Halefowi zabroniłem odzywać się do nich, powierzając mu niby to nadzór nad nimi i zostawiając pod jego opieką karabiny.

Miałem teraz przed sobą bardzo trudne i podwójne zadanie: po pierwsze — trzeba było uprowadzić Kelurom nasze konie, po drugie — schwytać szejka. Nie mógł mi w tym pomóc ani Halef, ani też Bebbejowie, którym zresztą nie bardzo ufałem. Wyprawa była o wiele uciążliwsza od poprzedniej, a ciemności nie pozwalały nic dostrzec na krok, nie mogłem więc posługiwać się wzrokiem, zastępując go zmysłem słuchu i czucia. Zstępowałem po pochyłości na czworakach tyłem, jak po drabinie, chcąc się dostać najpierw ku owemu zrębowi skalnemu nad obozem Kelurów, aby się przede wszystkim rozejrzeć i zobaczyć, gdzie jest Szir Samurek i co robi.

Z ogromnym trudem dostałem się nareszcie ku owemu zrębowi i wyteżyłem wzrok i słuch. W obozie nie było ogni i ciemność nie dozwalała nic dojrzeć; pod skałą, gdzie wśród drzew było legowisko szejka, tym bardziej nic widać nie było. Gdzie mógł być w tej chwili szejk? Przysiągłbym, że właśnie spoczywał sobie tu na miękkim posłaniu z mchu i suchych liści; zresztą w całym obozie nie było dla tak dostojnej osoby wygodniejszego nad to miejsca. Interesowało mnie najbardziej, czy ulokował się tu sam, czy też śpi w towarzystwie któregoś z przybocznych wojowników. Na drugim końcu obozu słychać było wśród Kelurów przyciszone głosy. Nie spali jeszcze rozprawiając widocznie o dzisiejszych zdarzeniach. Starłem się usłyszeć jakikolwiek dźwięk u podnóża skały, gdzie według mego mniemania powinien być znajdować się szejk — ale na próżno. Panowała tam zupełna cisza. Nie namyślając się długo, zlazłem w dół, co mogło pociągnąć za sobą smutne dla mnie skutki, gdybym natknął się w ciemności na któregoś z Kelurów. W ciemności nie mogłem oczywiście dojrzeć niczego i musiałem się zdać jedynie na zmysły: słuchu, dotyku i... węchu. Co do tego ostatniego — może się wydać dziwnym, co tu powiedziałem, a jednak istotnie węch nie był w danym razie bez znaczenia ze względu na to, że Kelurowie, którzy nie mają zwyczaju nosić bielizny, a ubranie zmieniają najwyżej dwa razy do roku, z początkiem lata, a potem zimą, cuchną jak gnojówka.



Powiedziałem — zmieniają dwa razy rocznie, ale nie jest to zasadą, gdyż wielu z nich nosi ubranie latami całymi, bez względu na porę roku, a mydło dla Kurda jest takim zbytkiem, jak na przykład dla naszego dróżnika kolejowego ostryga.

Dostawszy się szczęśliwie na upatrzone miejsce, usłyszałem głęboki, miarowy oddech śpiącego człowieka. Nie mógł to być w moim mniemaniu nikt inny, jak tylko Szir Samurek w swojej własnej, dostojnej osobie. Wnioskowałem to stąd, że dygnitarz ów, jako zamożniejszy, posiadał lepsze od innych i świeższe ubranie, nie cuchnął tak jak jego podwładni. Posunąłem się na brzuchu aż do legowiska, macając przed sobą, i przekonałem się, że był sam... Sprzyjał mi więc kismet, mimo, że tak niedawno naigrawałem się z niego.

Nie było oczywiście zbyt dużo czasu do namysłu... Jako wytrawny „mistrz” w obezwładnianiu przeciwników, wykonałem w mig swoją sztukę. Silny chwyt za krtań, dwa uderzenia w skroń... i sprawa była skończona. Wziąłem omdlałego zbója na barki, powstałem — i marsz z powrotem! Nie troszczyłem się już o to, aby mnie nie usłyszano, bo trudno mi było teraz zachować taką, jak uprzednio, ostrożność, dźwigając pod górę wśród ciemności tęgiego drągala. Wywiązałem się jednak z zadania szczęśliwie, aczkolwiek pot kroplami spływał mi po twarzy.

— Czy to ty, sidi? — zapytał Halef, gdy nareszcie dotarłem do naszej kryjówki.

— Ja!

— I udało się?

— Znakomicie! Dźwigam na sobie Szir Samureka.

— Naprawdę? Effendi, to znowu mistrzowska sztuka, której nawet ja nie potrafiłbym dokonać.

— Och, tak! Przydźwigać pod górę i po ciemku takiego drągala to nie lada fatyga. Spociłem się cały.

— Dźwigać to jeszcze nic nadzwyczajnego, ale wykraść wodza spośród wojowników to mi sztuka! Co my z nim teraz zrobimy?

— Zwiążemy go i zakneblujemy gębę, a następnie pójdę do obozu jeszcze raz po nasze konie. Wy zaś podczas mojej nieobecności musicie go dobrze pikłować, a gdyby usiłował krzyczeć, to zaraz zagroźcie mu nożem.

— Daj mi nóż, effendi — prosił Akwil — już ja się o to postaram, żeby ten pies nie otworzył pyska; za to, że wrzucił nas, jak sztuki mięsa, niedźwiedzim na pożarcie, odpłacę mu się tysiącrotnie, choćbym miał żyć tylko dwa dni!

— Nóż mnie samemu jest potrzebny — odrzekłem. — A zresztą Halef Omar postąpi tak, jak będą tego wymagały okoliczności. Warn obecnie nic do szejka, i gdybyście próbowali mścić się na nim, ukarałbym was bardzo surowo. Pamiętajcie, że to mój wyłącznie jeniec... i obym nie potrzebował żałować, że was wydarł z pazurów niedźwiedzich!

Musiałem użyć tak surowych słów, ażeby odebrać Bebbejom chęć wykonania zemsty na szejku — postanowiłem bowiem oszczędzić go, aby po rozstaniu się ze mną mógł rzec swoim współziomkom, jak tylu innych już oświadczyło: „On jest chrześcijaninem i dlatego serce jego pełne jest dobroci.”

Toteż Halef po moich słowach, zwróconych ku Bebbejom, odgadując moją intencję, rzekł z zadowoleniem:

— Możesz być spokojny, effendi. Twój Halef postara się o to, aby stało się wszystko wedle twej woli. Kto by choć palcem ruszył przeciw szejkowi, poczuje natychmiast ostrze noża we własnej piersi!

Po takim zapewnieniu Halefa mogłem pod jego opieką zostawić mego jeńca już bez obawy, aby mu się cokolwiek podczas mej nieobecności nie stało. Oddaliłem się bezzwłocznie w kierunku miejsca obozu Kelurów, gdzie powinien był znajdować się mój Rih.

Byłbym się założył, że Rih, zobaczywszy mnie wczorajszego popołudnia w pobliżu obozowiska, nie dał się wyprowadzić z miejsca, skąd mnie spostrzegł, więc cichutko poczołgałem się w tę stronę. Nikt mnie tu spostrzec nie mógł, gdyż nie pozwalały na to ciemności, a zresztą Kelurowie najspokojniej spali.

Zbliżywszy się ku owemu miejscu, usłyszałem chrapnięcie nozdrzami, co mnie upewniło, że Rih zwiertzył mnie z daleka. Inny koń w takich okolicznościach rżałby zapewne i parskał niecierpliwie — mój jednak ulubieniec zachował się tak spokojnie, jakby był obdarzony ludzkim rozumem.

Niebawem znalazłem się tuż przy nim i uczułem pod dłońmi, że trawa była tu spasiona, a grunt mocno stratowany, z czego przyszedł mi na myśl wniosek, że chciano go stąd zabrać, lecz bronił się uparcie. Wałach Halefa leżał tuż obok. Pogłaskałem mego czworonożnego druha, on zaś, jakby w odpowiedzi, począł lizać mi ręce, chrapiąc przy tym nozdrzami, ale tak cicho, że tylko ja byłem w stanie dosłyszeć. Dziwiło mnie bardzo, że pozostawiono go bez dozorującego wartownika. Widocznie Kelurowie nie spodziewali się, aby ktoś obcy wtargnął z tej strony do obozu, i ustawili warty nieco dalej, w dole, u wejścia na polanę.

Wyciągnąłem z ziemi palik, do którego Rih był uwiązany, po czym dałem znak koniowi, by wstał. Rih zrozumiał. Nie potrzebując go prowadzić, gdyż przyzwyczajony był chodzić za mną jak pies, ująłem natomiast za uzdę wałacha Halefa i wyszedłem z końmi z niebezpiecznego bądź co bądź miejsca. Ze względu na zarośla nie było to łatwe, ale się jakoś udało, tym bardziej, że konie widzą w nocy lepiej niż człowiek. Obydwa wierzchowce wspinały się po pochyłościach z zadziwiającą zręcznością, wymijając pnie i krzaki. W zwykłych warunkach na przebycie tej krótkiej przestrzeni, jaka dzieliła obóz od naszej kryjówki, potrzeba było najwyżej kilkanaście minut, wobec jednak ciemności przemykałem się z końmi całą godzinę.

— *Hamdulillah!* — zdziwił się Halef. — Powracasz szczęśliwie, i zdaje mi się, nie sam... Prowadzisz konie?

— Tak... nasze konie!

— Allach akbar! Bóg jest wielki! Ale mój zachwyty dla ciebie jeszcze większy. Czy nie złamał który nogi lub nie skaleczył się w wędrowce po tak dzikich manowcach?

— Nie, oba zdrowe, tylko stęsknione do swych panów.

— To cud prawdziwy! O, podziw mój dla ciebie, effendi, rośnie naprawdę aż pod obłoki i życzyłbym sobie, aby moja mała i niepokazna postać osiągnęła choć milionową część tej wysokości. Mam też nieprzepartą ochotę ucałować Riha, a i mój stary cap wart, aby go popieścić. Powrót naszych ukochanych zwierząt napawa mnie taką radością, jakby moja najukochańsza Hanneh, najwonnejsza pod słońcem różyczka, przyszła pozdrowić mnie tutaj.

To mówiąc, przystąpił do koni i począł je obsypywać pieszczotami. — Wszystko w porządku? — zapytałem.

— W jak najlepszym.

— Rozmawialiście z jeńcem?

— Tylko parę słów, bo zabroniłem tego Bebbejom surowo. Odzyskawszy przytomność, zachowywał się przez jakiś czas spokojnie, wnet jednak począł się tak miotać, że byłem zmuszony błysnąć mu nożem przed oczyma. Powiedziałem mu przy tej sposobności, że jeśli nie będzie leżał tak spokojnie, jak barania pieczeń w pilawie z pieprzem i rodzynkami, to dusza jego natychmiast powędruje na tamten świat. I słowa te poskutkowały.

— Czy wie, w czyich znajduje się rękach?

— Nie powiedziałem mu tego, ale przypuszczam, że się domyśla.

— A Bebbejowie? Jakże się oni zachowywali?

— Żaden z nich nie wyrzekł ani słowa. Leżeli tak cicho, jakby ich wcale tu nie było.

Rozmawialiśmy z Halefem oczywiście cicho. Potem jednak ozwałem się głośno:

— Zostaw konie na trawie, niech się pasą, my zaś na zmianę musimy się trochę przespać; jeden z nas będzie czuwał: najpierw ty, potem ja.

Położyłem się obok Bebbejów i szepnąłem im do ucha, żeby spali spokojnie, nie rozmawiając ze sobą. Szir Samurek ani się domyślał, że są żywi i znajdują się tutaj; w ciemnościach nie widział ich dotąd, ani też nie słyszał ich głosów, bo mój nakaz milczenia zachowali ściśle. Postanowiłem utrzymać go w tej nieświadomości do rana.

Będąc bardzo zmęczonym, położyłem się spać pierwszy, a Halef czuwał i zbudził mnie dopiero w godzinę po północy. Bebbejowie również usnęli i poczęli chrapać tak głośno, jakby tu chodziło o konkurs w chrapaniu. Oddechu szejka natomiast nie było słychać wcale, z czego wnosiłem, że nie śpi. Ciekawy byłem o czym mógł myśleć w tej chwili? Może rozpamiętywał swe słowa lekceważące, jakie wyrzekł o mnie i o Halefie. Przed paroma jeszcze godzinami był tak pewny siebie, a oto leży

teraz związany jak baran i oddany na łaskę lub niełaskę „psa chrześcijańskiego”, z którego tak niedawno drwił, obiecując mu zagładę.

Pod wrażeniem przebytej doby począłem rozpamiętywać, ile to już się przeżyło chwil podobnych w ciągu długiej tułaczki po obcych krajach! Ile nocy spędziło się na czuwaniu wśród niebezpieczeństw, czy to w preriach Ameryki, czy w dżunglach indyjskich lub bagnistych okolicach nad górnym Nilem! A żaden z tych dni, żadna z nocy nie były podobne do drugiej.

Takie myśli snuły się w ciszy nocnej po mojej głowie. Z doliny szedł chłodny powiew i od czasu do czasu muskał mnie po twarzy, jak nietoperz, który przed chwilą przeleciał mi nad głową. Stąd i zowąd dochodziły mnie lekkie szmery wśród gałęzi, poruszanych przez żerującego a nienasyconego ptaka; tu i ówdzie grały w trawach świerszcze; a w oddali ponad kaplicą dał się słyszeć tępy głos puchacza. Wszędzie gonitwa za zdobyczą, za żerem! Tak dzień, jak i noc, nie są wolne od rabunku i krwi rozlewu — nie tylko wśród dzikich zwierząt, ale i wśród ludzi!

W obozie Kelurów interesowano się zapewne tym, co się dzieje w *muzullah*. Myśli tych barbarzyńców — rzecz prosta — nie biegły tam ze współczucia dla nieszczęśliwych, lecz rozkoszowały się nadzieją zobaczenia krwi, rozlanej na gruzach dawnej świątyni. Czy jednak można było tych półdzikich ludzi uważać jedynie za rabusiów i zbójów? Czyżby naprawdę wśród tych istot ludzkich nie było współczucia i litości? Wierzyłem, że tak nie jest. Nie wątpiłem, że oświeciwszy ich w prawdziwej wierze, znalazłoby się na dnie ich dusz te pierwiastki szlachetne.

Rozmyślając na ten temat, posłyszałem nagle, że w pobliżu mnie zatrzeszczały suche patyki, i coś, jakby ciężki jakiś przedmiot, posunęło się wśród trawy. Wyciągnąłem rękę w kierunku, gdzie leżał Szir Samurek, i chwyciłem... próżnię. Gdzie szejk? Szukałem go dalej na ziemi i przytrzymałem o kilka kroków od nas. Najwidoczniej, pomimo skrępowania, łudził się nadzieją ucieczki, a gdy położył na nim swą rękę, począł wierzgać wyciągniętymi nogami, aż zmuszony byłem zagrozić mu po cichu, nie chcąc budzić śpiących, że go uspokoję nożem w razie jakiegokolwiek oporu. Groźba poskutkowała: jeniec zrozumiał, że będzie leżeć spokojnie. Przeciągnąłem go na poprzednie miejsce i, ulokowawszy się tuż obok, aby go mieć ciągle pod ręką, przesiadzałem do świtu.

Gdy ptaki rozpoczęły poranne swe pieśni, Halef i obaj Bebbejowie zerwali się również ze snu.

Zaledwie Halef przetarł oczy, zapytał mnie po cichu:

— Mógłbym już teraz mówić, czy też jeszcze należy milczeć?

— Lepiej, abyś milczał — odrzekłem — bo zresztą nie masz nic ważnego do powiedzenia, a o wiele korzystniej dla nas będzie, jeżeli zwrócimy całą uwagę na szejka. Obróć go tak, aby na razie przynajmniej nie spostrzegł Bebbejów.

Przyciągnąwszy Szir Samureka nieco dalej, dobyłem noża i, przykładając ostrze do jego piersi, rzekłem:

— Do tej chwili miałeś zamknięte kneblem usta, ale ja ci go odetnę, abyś mógł oddychać. Pozwalam ci również mówić ze mną, ale tak cicho, abym ja jeden mógł tylko słyszeć. Gdybyś zbyt

podniósł głos lub zawołał o pomoc, wówczas krzyk ten byłby ostatni w twoim życiu, bo w tej samej chwili koniec noża zanurzy się w twoim sercu.

Szejk po odcięciu knebla odetchnął kilka razy głęboko, po czym rzekł cicho i z pewną trudnością:

— *Suker chodeh!* Bogu dzięki! Omal nie zdrętwiałem na drewno! Powiedz mi, gdzie się znajduję?

— Przekonasz się wkrótce sam na własne oczy.

— Może przynajmniej objaśniłbyś mnie, kim jesteś?

— I tego ci nie powiem. W krótkim czasie domyślisz się sam w czyje ręce się dostałeś.

— I już teraz mam wrażenie, że jesteś diabłem, bo oto, pozbawiony w nagły sposób życia, ocknąłem się ze śmierci i widzę, że jestem skrępowany i znajduję się w nieznanym mi zupełnie miejscu, zamiast w zbrojnym swym obozie. Człowiek uczynić tego nie mógł, tylko szatan.

— Za pozwoleniem... i szatan nie uczynił tego, gdyż w takim wypadku obudziłbyś się nie tutaj, lecz w piekle. Zresztą rozejrzyj się. Ułożyłem ci głowę wysoko i tak, abyś widział, gdzie się znajdujesz. Tylko pamiętaj, nie lekceważ sobie mego ostrzeżenia: jeden głośniejszy twój krzyk będzie ci wyrokiem śmierci. Zaznaczam tu znowu, że jest życzeniem moim, abyś w ogóle milczał.

Szejk począł się rozglądać naokoło..

Niebo na wschodzie rozjaśniać się zaczęło i niebawem szczyty gór zarysowały się na widnokręgu. Dolina tylko spowita była jeszcze w półmroku i mgle. Wilgotne opary, których źródłem był płynący jej środkiem potok, pokrywały obozowisko Kelurów na całej przestrzeni nieprzeniknionym całunem. Z miejsca naszej kryjówki w rozjaśniającym się świetle wszystkie szczegóły w okolicy stawały się coraz wyraźniejszymi.

Szir Samurek, zatrzymał wzrok na ruinach *muzullah*, i oczy rozwarły mu się, a wkrótce zauważyłem w zdziwionej jego twarzy wyraz niewypowiedzianego lęku. Widocznie spostrzegł w otworze kaplicy olbrzymiego niedźwiedzia, trzymającego w łapach ogromny krzyż...

W obawie, aby teraz przerażony szejk nie wydał z siebie głośniejszego okrzyku, ostrzegłem go ponownie, grożąc nożem. Napęliło go to jeszcze większą trwogą, i patrzył na zjawisko w jakimś osłupieniu. W tej chwili wstrząsnąłem jego ramieniem i wyszeptałem mu na ucho jego własne tak niedawno wypowiedziane do Bebbejów słowa:

— „Gdyby u wejścia do kaplicy stanął z krzyżem w łapach ów niedźwiedź zaklęty, uwierzyłbym wówczas, że jakiś tam Kara Ben Nemzi, przyjaciel wasz, a właściwie pies chrześcijański, mocen jest wyratować was od śmierci. Zdaje mi się, iż skory byłbyś uwierzyć i w to, że się tak stać może...”

Szejk zbladł i przymknął powieki, a twarz wydłużyła mu się, jak u trupa; oddychał ciężko i jęczał stłumionym głosem, jak człowiek mocno cierpiący. Ja zaś milczałem czas jakiś, aby powtórzone mu jego własne słowa tym głębsze wywarły na nim wrażenie. Po chwili milczenia zwrócił twarz ku mnie, otworzył przerażone oczy i rzekł:

— A może to ty jesteś owym chrześcijaninem?

— Tak, ja nim jestem.

— Kara Ben Nemzi Effendi?

— Tak.

— Allach! Allach! Allach! — westchnął i umilkł, a po dłuższej chwili zapytał znowu:

— Niedźwiedź się nie porusza... może nieżywy?

— Tak, nieżywy.

— Padł sam, czy też go zabito?

— Został zakłuty.

— Przez kogo?

— Ja go zabiłem.

— *Maszallah!* Ale przedtem bestie rozszarpały Bebbejów?

— Nie.

Wstrząsnął się cały na tę wiadomość i zapytał z trwogą w głosie:

— A więc żyją?

— Żyją.

— I nic im się nie stało?

— Ani włos nie spadł im z głowy.

— Nie wierzę... Bo zresztą nikt by w to nie uwierzył... Kłamiesz... Kłamiesz...!

— Przeciwnie, mówię prawdę, i będziesz miał możność przekonania się, że nigdy nie kłamię.

— Owszem, daj mi dowód! Uwierzę w ich ocalenie, gdy ich ujrzę na własne oczy.

— A więc obejrzyj się poza siebie.

I obróciłem go na drugi bok tak, aby mógł zobaczyć Akwila i jego syna.

Na widok Bebbejów odmalowało się w jego oczach jeszcze większe przerażenie, niż przed chwilą wobec niedźwiedzia w drzwiach kaplicy. Zawył głucho i zamknął powieki, przy czym blizna na

twarzy zaszła mu krwią, a żyły na czole nabrzmiały jak postronki. Po chwili wyraz twarzy zmienił się i stał się straszny, jakby w chwili konania, i szejk, charcząc, ledwie wykrztusił sinymi ustami:

— Bebbejowie żywi!... Uratował ich chrześcijanin... W *muzallah* niedźwiedź trzyma krzyż w łapach... Rozumiem.

Po tych słowach umilkł i leżał już nieruchomo jak trup. Nie dałem mu jednak spokoju, powtarzając znowu z naciskiem jego własne słowa:

— „Na Allacha i na duszę własną przysięgam, że jeżeli się okaże, iż chrześcijanin ów byłby zdolny uczynić coś podobnego, porzucę islam, a uwierzę w ukrzyżowanego Boga, który miał umrzeć męczeńską śmiercią dla odkupienia ludzkich grzechów i zbawienia tych, co na potępienie zasłużyli”...

Na te słowa Szir Samurek wyprężył się, o ile mu na to dozwalały powrozy, a spojrzawszy na mnie nabiegłymi krwią oczami, w których dotychczas jeszcze widać było przerażenie, rzekł:

— Powtórzyłeś mi przed chwilą moje własne słowa i teraz znowu czynisz to samo. Jeżeli więc nie jesteś szatanem, to widocznie Allach dał ci łaskę wszechwiedzy, ażebyś mógł odgadnąć myśli moje, jako też udaremnić moje usiłowania i zamiary. Ty więc wyniosłeś mnie z obozu spośród kilkuset moich wojowników, ty zabiłeś niedźwiedzia, ty wreszcie uwolniłeś Bebbejów, no, i nie dziwiłbym się, gdybyś również uprowadził z obozu zabrane ci konie.

— Rozumie się, żem uprowadził! — odparłem z uśmiechem i obróciłem go znowu na drugą stronę.  
— Patrz na prawo.

Popatrzył, a krew nową falą napłynęła mu do twarzy.

— *Dachel Allach!* Na miłość Allacha! Więc i to potrafiłeś uczynić! Jeśli mnie Allach w tej chwili nie wesprze, postradam zmysły.

— Pragnę i ja, aby ci Allach dopomógł, bo właśnie teraz musisz zebrać całą siłę swej woli i rozumu, jeżeli nie chcesz zginąć marnie razem ze swoimi wojownikami.

— Nie rozumiem...

— Ludzie twoi spostrzegą niebawem niedźwiedzia, a zauważywszy, że ciebie nie ma w obozie, potracą głowy i w popłochu nie będą wiedzieli, co począć. Wówczas mój karabin nie spocznie tak długo, aż z całej twej bandy ani jeden drab nie pozostanie przy życiu.

Tu gadatliwy Halef nie mógł już dłużej wytrzymać i dodał do mojej groźby:

— A i ja pomogę effendiemu podziurawić twych Kelurów kulami tak, że ciała ich będą, jak sito do przecierania migdałów. Okradliście nas, a następnie szydząc, groziliście wrzuceniem nas między niedźwiedzie, oczywiście, gdybyśmy się w wasze ręce dostali. Nie udałoby się to wam jednak nawet wówczas, gdybyście tysiąc ludzi postawili na warcie. Teraz zginą wszyscy twoi, a przede wszystkim zginiesz ty sam, jeżeli stracisz resztę rozumu, który, jak to słusznie zauważył effendi, tak ci jest

potrzebny w tej chwili, jak nigdy jeszcze w życiu.

— A coś ty za jeden? Może Hadzi Halef Omar, towarzysz effendiego? — spytał szejka.

W odpowiedzi na to Halef położył rękę na piersi i odrzekł wyniośle:

— Nie nazywaj mnie tak krótko. Godność moja jest o wiele dłuższa, aniżeli ci się wydaje. Wszyscy bowiem, którzy mnie znają i którzy tylko o „mnie słyszeli, wiedzą, że nazywam się Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn Hadzi Dawud al Gossarah! Zapamiętaj to sobie raz na zawsze, albo przynajmniej aż do chwili, gdy kula mego karabinu zanieśie cię w najciaśniejszy kąt piekła.

Szejka przyjął te słowa bez zbytniego dla nich respektu, gdyż jako mieszkaniec Wschodu był przyzwyczajony do wyszukanych słów i przesady w groźbach. Nie odpowiadając więc Halefowi zwrócił się do mnie z oświadczeniem:

— Wiem już, co mam uczynić i jak postąpić. Pytam cię tylko, emirze, czy wiadomo ci, co zawinili przeciw tobie obaj Bebbejowie?

— Owszem, wiem o wszystkim.

— Wiesz zatem, że w zrabowaniu ci koni zawinił Akwil?

— Wiem.

— I że Sali zamierzał odebrać ci życie?

— Również wiem o tym.

— A pomimo to walczyłeś z niedźwiedziem, by tych łotrów oswobodzić?

— Walczyłem z obowiązku, gdyż jestem chrześcijaninem.

— I co zamierzasz uczynić z nimi? Wrogami staliście się sobie wzajem i zawieszono nad wami prawo zemsty krwi. Czyżbyś uwolnił ich od straszliwej śmierci po to, by zgładzić ich kulami twego karabinu.

— Nie! Jako chrześcijanin hołduję tylko zasadzie przebaczenia, ale nie zemsty. Darowałem im wolność, i mogą sobie iść, dokąd im się spodoba, oczywiście wówczas, gdy zmuszę cię do oddania ich zwierząt i broni.

— Czyżbyś mówił serio? — zapytał zdziwiony, a twarz jego omal nie wykrzywiła się w znak zapytania.

— Najzupełniej poważnie.

— Wobec tego muszę przyznać, że jestem świadkiem wielkiego, niepojętego cudu! Prawdą więc



jest to wszystko, co mi opowiadano o tobie. Nieprzyjaciołom swoim i wrogom śmiertelnym wyświadczasz łaski, będąc wyznawcą Ukrzyżowanego. Czy wiesz jednak, że między wami a mną zawisła również zemsta krwi?

— Powiedziałem ci już, że nigdy zemstą się nie powoduję.

— Ba, ale przecież ja jestem w twojej mocy, ja, który nosiłem się z zamiarem zamordowania was. Cóżes o mnie postanowił?

— Jeżeli postąpisz wedle mojej woli, zwrócę ci wolność i będę uważał za swego przyjaciela.

— Czy mogę wiedzieć, czego wymagasz?

— Przede wszystkim musisz oddać Bebbejom ich konie i broń, następnie wypuścisz na wolność jeńców z Khoi, oddawszy im wszystko, co jest ich własnością, a wreszcie oddasz dziesięć tysięcy piastrów, które zabrałeś od Akwili, a które są własnością oberżysty z Khoi.

— No, a dla siebie czego żadasz? Co ci przyjdzie z tego, że jesteś tak wspaniałomyślny dla tych ludzi?

— O, przyjdzie mi z tego bardzo wiele! Świadomość, że postąpiłem w myśl przykazań mojej wiary, jest dla mnie stokroć większą nagrodą, niż to wszystko, co bym mógł żądać od ciebie. Iza Ben Marjam — Ukrzyżowany nakazał — „Kochajcie swoich nieprzyjaciół, błogosławcie tych, którzy was przeklinają, i czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą, a będziecie godnymi dziećmi Ojca, mieszkającego w niebiosach!” Otóż ja mocno pragnę należeć do liczby owych dzieci i myśl, że najdobrotliwszy Ojciec niebieski jest dziś zadowolony ze mnie, czyni mnie szczęśliwszym, niżbym się czuł posiadając bogactwa całej ziemi.

Szir Samurek, słuchając moich słów, namyślał się nad czymś i przygryzał wargi prawie do krwi. Najwidoczniej nurtowało go w duszy jakieś ważne postanowienie.

— Effendi — odezwał się wreszcie — zwyciężyłeś mnie dwukrotnie: przede wszystkim swoją chytrą iść i zuchwalstwem, a następnie słowami, które trafiły mi do serca. Mimo to, nie powiem ci jeszcze, co postanowiłem, a tylko pozwól, że doświadczę cię teraz, zanosząc do ciebie prośbę: uwolnij mi ręce, emirze, abym je mógł złożyć do modlitwy!

Czy był to podstęp z jego strony? Jedno spojrzenie w twarz jego wystarczało, bym się przekonał, że był szczerzy i nie żywił względem mnie zbrodniczych zamiarów. Rozciąłem mu więzy, mówiąc:

— Przekonaj się, jak zwykł postępować w takich wypadkach chrześcijanin, podczas, gdy wyznawca proroka wyśmiałyby cię i wydrwił. Rozwiążę ci całkowicie nie tylko ręce i nogi, dam ci wolność zupełną. Będiesz mógł pójść, dokąd ci się spodoba, oczywiście, jeżeli godność twoja i honor pozwolą ci na to, byś poszedł sobie, nie spełniwszy mych żądań, a więc oszukał podstępnie człowieka, który obdarzył cię wiarą i zaufaniem. Jeżeli istotnie tkwi w tobie podobna myśl, to również nie wzbraniam ci iść i chełpić się przed swymi, żeś mnie oszukał.

W tym wypadku ryzykowałem bardzo wiele. A jednak nie zawiodłem się. Skutek mojej

wspaniałomyślności nastąpił prędzej nawet, niż go oczekiwałem. Akwil i Sali pokrzykiwali z podziwu, a Halef rozkrzyżował ręce i biadał:

— Sidi, co ty robisz? Bądź posłuszny swej wierze, i owszem; ale tego, to już chyba za wiele!

Szir Samurek po uwolnieniu go z więzów wstał i wyprostowując członki omdlałe mówił z radością:

— A więc jestem wolny, zupełnie wolny! Przed chwilą śmierć zaglądała mi w oczy, a teraz oto znowu życie przede mną... Effendi. Słuchaj i patrz! Wyciągam ramiona: lewe ku Mekce, dokąd każdy muzułmanin modląc się twarz swoją obraca, a prawe ku Jerozolimie, gdzie umarł twój Ukrzyżowany. Nie zwracam się jednak na lewo, lecz na prawo, ażeby Iza Ben Marjam słyszał, co ci przyrzekam. Nie zapomnę nigdy, do samej śmierci nie zapomnę dzisiejszego poranku! Nie zapomnę tej chwili, w której poznałem nauczyciela niezgłębionej miłości i miłosierdzia. Nigdy już w moim sercu nie znajdzie miejsca zemsta, a każdy chrześcijanin w moim namiocie będzie gościem tak miłym i serdecznie witany jakby był bratem moim lub ojcem. Ażebyście się zaś przekonali naocznie, jak szczerą jest ta przysięga, dam wam w tej chwili dowód.

Podszedł do Bebbejów, ujął ich za ręce i ciągnął dalej:

— Między szczepami naszymi zaprzysiężona była zemsta krwi, którą wywołałeś, Akwil, i wpadłeś w moje ręce. Rzucę ciemność na twój świat i Mahomet nie mógł was wybawić. Ale oto Bóg miłosierdzia i łaski zmiłował się nad wami, uwalniając was przez ręce tego chrześcijanina, który właściwie i was powinien był nienawidzieć. Czyżby tedy chrześcijanin miał zawstydić muzułmanina? O, nie! Doznawszy tyle łaski i dobroci z jego ręki, nie mamy prawa w jego obliczu myśleć więcej o zemście. Przebaczymy sobie wzajemnie i pogódźmy się na zawsze. Od tej chwili niech będzie między Bebbejami a Kelurami przyjaźń, nie zemsta. Wszystko, co napełniało nas niech idzie w zapomnienie. Starzy niech się kochają, jak bracia, młodzi, jak ich dzieci. Czy zgadzacie się na to, ty, Akwilu, i ty, Sali?

Trzymał ich ręce w serdecznym uścisku i mówił tak szczerze, że obaj dotychczasowi jego wrogowie oprzeć się słowom jego nie mogli. Pierwszy przemówił Akwil:

— Czuliśmy w swym ciele pazury niedźwiedzie, a zimny oddech śmierci owiewał nam twarze. W takiej strasznej chwili poznaliśmy, że zemsta jest siostrą nienawiści, więc radzi zwracamy się ku jasnym promieniom miłości, i niech się stanie jak powiedziałeś. Niech przyjaźń i miłość między twoim szczepem a naszym zakwitnie na nowo i niech wasi wrogowie będą zarazem wrogami naszymi, a przyjaciele naszymi i waszymi przyjaciółmi. Ale największymi przyjaciółmi dla obu szczepów niech będą Hadzi Kara Ben Nemzi i Hadzi Halef Omar, który dłuższym jeszcze szczyt się nazwiskiem, ale...

W tej chwili Halef podskoczył ku niemu, a ująwszy go za ręce, krzyknął:

— Nazwisko moje jest długie, zbyt długie, abyście je mogli spamiętać i bez zajknięcia wygłosić, bo liczba moich ojców, dziadów, pradziadów i prapradziadów sięga aż do owych czasów, kiedy po ziemi chadzał pierwszy człowiek. To też z powodu tych trudności przyjaciele moi mogą mnie

nazywać krótko: Hadzi Halef; a że wy właśnie jesteście nimi w tej chwili, pozwalani wam opuścić imiona przesławnych moich przodków. I bez tego Allah widzi szczerą naszą więź, którą sobie obecnie wzajem ślubujemy. Pójdź, sidi, uczcić wraz z nami tę uroczystość, która zaczęła się od miodu, a nie powinna się skończyć, chociażby wyginęły w dziuplach drzew wszystkie pszczoły i wszystkie niedźwiedzie na świecie!

Musiałem oczywiście usłuchać jego wezwania i, gdy wyraziłem w krótkich słowach swą radość z takiego obrotu sprawy, usłyszeliśmy od strony obozu pełne trwogi okrzyki. Przyczyną popłochu wśród Kelurów był niedźwiedź z krzyżem w łapach, stojący w wejściu do *muzallah* oraz nieobecność szejka. Jedno i drugie spostrzegli oni dopiero teraz, gdy rozwiały się mgły nocne, pokrywające całą dolinę. Popłoch ten łatwy był do wytłumaczenia, gdyż ubiegłego wieczoru wszyscy prawie wojownicy Szir Samureka słyszeli szydercze odgrazanie się jego i sami nawet śmiali się z jego dowcipów.

— Moja nieobecność w obozie jest przyczyną ich trwogi — rzekł Szir Samurek. — Szukają mnie niezawodnie i przyjdą zapewnię aż tutaj. Chciałbym zapobiec temu, aby w nieświadomości o zawarciu naszej przyjaźni nie zaczęli strzelać do was. Pozwól mi więc effendi, zejść do nich i opowiedzieć im o wszystkim, co zaszło. Czy możesz mi aż tak zaufać? Przyjaźń nasza trwa zaledwie od paru minut, i nie miałem czasu okazać ci czymkolwiek, że nie żywię względem ciebie żadnych ukrytych myśli; dlatego, choć stawiam ci tę propozycję, jednak uczynię tak, jak będziesz uważał za stosowne.

— Zbyteczne mi są jakiegokolwiek z twojej strony dowody, gdyż wierzę ci w zupełności — odrzekłem na szczerą jego słowa. Sądzę zresztą, że nie zdziwi cię i to, iż po daleko idącym zaufaniu, które ci przed chwilą okazałem, nie obrażę cię choćby nawet cieniem podejrzenia, co zresztą zniszczyłoby naszą więź w samym zarodku. Idź więc i powiedz swoim wojownikom, co zaszło, a my zaczekamy tu na ciebie.

— Jest to nowy dowód twojej szlachetności — odparł, ściskając mi ręce — i naprawdę wczoraj jeszcze, gdyby mi to kto przepowiedział, nie byłbym uwierzył. Otóż słuchaj, pójdę do doliny i wrócę prędzej, niż się spodziewasz, a wrócę, by cię przekonać, że nie posiadam dwu języków, z których jeden umie mówić prawdę, a drugi kłamstwo. Oczekujcie mnie tutaj za chwilę.

Bebbejowie, pomimo tego, co zaszło przed chwilą, po oddaleniu się szejka uczuli obawę, a Halef ostrzegł mnie:

— Sidi, puszczasz się za daleko! Dlaczego to dziś właśnie jesteś najmniej przezorny, niż kiedykolwiek w życiu!

— Bo nie chcę burzyć tego, co zostało zbudowane. Przezorności nie zaniedbam i pójdę za nim, by go śledzić; ale on nie powinien wiedzieć o tym. Zostańcie tutaj. Na wszelki wypadek nie będziecie długo czekali, bo wrócę prędzej, niż on.

Zszedłem na dół w las. Z obozu dochodziły jeszcze krzyki i nawoływania, ale wnet uciszyło się. Szejk, znalazłszy się wśród swych wojowników, począł im opowiadać o wszystkim, co zaszło. Bez trudności dotarłem aż pod obóz i z ukrycia mogłem dokładnie słyszeć słowa Szir Samureka. Już

pierwsze dosłyszane przeze mnie zdania, wygłoszone tonem mówcy wiecowego, przekonały mnie, że nie był względem nas obłudny. Zaczekałem jednak aż do końca przemowy, gdy zalecał podwładnym jak największy spokój. Oczywiście, co było do przewidzenia, spotkał się z pewnym oporem ze strony niektórych starszych Kelurów, gdyż ludzie ci, przejęci do szpiku kości chęcią zemsty, nie przeżyli tak okropnej chwili, jak on, i niełatwo ich było namówić do zgody. Mimo to, udało mu się wkrótce przekonać wszystkich.

Wróciwszy na górę do swoich, kilka minut zaledwie czekałem na Szir Samureka, który z przyjazną miną zbliżył się do nas bez żadnego orszaku.

— Powinieneś być ze mnie zadowolony, effendi — rzekł wesoło. — Moi wojownicy przyjęli wiadomość o uwolnieniu Bebbejów z wielkim zdziwieniem. Dowiedziawszy się jednak, że ty właśnie uratowałeś im życie i że uprowadziłeś mnie, a następnie wróciłeś mi wolność, zapragnęli zobaczyć cię na własne oczy i to jako przyjaciela oraz gościa. Przyjmą cię więc i Halefa Omara najżyczliwiej. Aby cię jednak przekonać, że nie ma w tym żadnego podstępu, przybyłem tu sam i bez żadnej broni; weźcie mnie między siebie do środka i chodźmy w dół. Moi wojownicy odłożyli strzelby i noże na jedną stronę obozu, a na drugą przenieśli się sami, mógłbyś więc wśród nich sam jeden tylko skorzystać ze swojej czarodziejskiej flinty, gdyby ci się wydało cośkolwiek podejrzanym.

— Zarządzenie to jest ponownym świadectwem twego honoru, dla nas jednak jest ono zbyteczne, gdyż wierzymy, że nie zamyślasz podejść nas podstępnie. Zgadzasz się więc na spełnienie warunków, które ci poprzednio wyjawilem?

— Tak, ale mam jedną prośbę do ciebie.

— Radbym wiedzieć...

— Gdybyś mi podarował skórę niedźwiedzia, byłaby to nie tylko dla mnie, ale dla całego naszego szczepu drogocenna pamiątka po sławnym Kara Ben Nemzim...

— Darowuję ci chętnie skórę niedźwiedzicy, ale futra z trzech młodych niedźwiadków należą do Halefa Omara; zabierze on je sobie do Heddinów również na pamiątkę.

— Co mówisz? Niedźwiedzica miała więc aż troje młodych?

— I to nie byle jakich.

— No, to jesteście prawdziwymi bohaterami, gdyż uśmiercić aż cztery bestie bez strzału, by go nie słyszano w obozie, to istotnie żaden myśliwy takiej sztuki dokonać nie potrafi...

— Dowiesz się potem, jak to było. Mój kochany mały Hadzi Halef Omar jest nie lada mistrzem w opowiadaniu i dowiecie się wszyscy od niego całej historii od dnia przybycia naszego do Khoi aż do chwili obecnej.

Tych kilka życzliwych słów uradowało Halefa niezmiernie, jak nie mniej ucieszył się, że będzie miał sposobność popisać się swym talentem krasomówczym.

— O, tak! — odrzekł połączony mile. — Allah obdarzył mnie szczególną zdolnością do wygłaszania mów i ciekawych a zajmujących opowiadań tak, że kiedy zacznę mówić, milkną nie tylko ludzie, ale i konie, a nawet wielbłądy. Opowiem wam, w jaki sposób odnaleźliśmy was, jak mój sidi wyniósł cię na plecach z obozu i wyprowadził potem konie, a przede wszystkim dowiedcie się, z jaką odwagą stanął do pojedynku z „nieśmiertelną” bestią z *muzallah*. Nie tylko podziw was ogarnie, gdy się dowiedzie szczegółów tej szalonej rozprawy, ale uśmiejecie się z różnych zabawnych zajść i wypadków. Szkoda wielka — dodał po chwili — że zbyt mało zabraliśmy z Khoi daktyłów, i to robaczywych w dodatku, że jeść ich nie można bez wstrętu. Mamy jednak nadzieję, że u was znajdują się lepsze. Rih, nasz szlachetny rumak, przywykł do tych owoców, a że nie obchodziliście się z nim wczoraj troskliwie, winniście mu to dziś wynagrodzić.

Mały zuch wykorzystał sposobność, pragnąc połączyć pożyteczne z przyjemnym. Nie byłem zadowolony, że tak bez ceremonii upomina się o gościnność — ale szejk przyjął przymówkę Halefa z dobrą miną, obiecując uczynić wszystko, co tylko leży w jego mocy, abyśmy byli radzi z gościny u niego.

I któż by się był spodziewał, że ten zbójca i rabuś nie uznający żadnego prawa, prócz przemocy i zemsty, zmieni się w tak krótkim czasie nie do poznania! Dziś jeszcze dziwię się, że on, który mego Riha cenił jak najkosztowniejszy klejnot, ani jednym słowem nie zdradził się z tym, że mu żal wypuścić go ze swoich rąk. Nie trwoga przed śmiercią zmieniła go tak radykalnie, lecz moje z nim postępowanie, pełne godności ludzkiej i oparte na miłości bliźniego, która silniejsza jest, niż niebo i ziemia, i która — zdaniem wielkiego apostoła — góry przenosi.

Ujawszy konie za uzdy, zesłiśmy za szejkiem na dół do obozu, gdzie zastaliśmy wszystko tak, jak mówił. Po prawej stronie leżała broń, a z lewej, od stawu siedzieli Kelurowie. Przywitali mnie i Halefa z wielkim uwielbieniem, na Bebbejów wcale nie zwracając uwagi. Najserdeczniej powitał nas nezanum i jego towarzysze, którzy zawdzięczali nam w tej chwili swą wolność i odpuszczenie żądanego okupu.

Gościnność Kelurów polegała na tym, że zwyczajem wszystkich półdzikich ludów urządzono dla nas wspaniałą ucztę, tym bardziej, że nastrecała ku temu wyborną sposobność zdobycza w *muzallah*. Kelurowie udali się tam wraz z nami, wszelako nie bez trwogi, choć niebezpieczeństwa żadnego już nie było, a gdyśmy przybyli na miejsce, szejk, wskazując niedźwiedzicę, rzekł do mnie:

— Nie dotknę jej prędeż, effendi, aż się przekonam, że istotnie już nie żyje i dopóki będzie miała krzyż w łapach... Bo nie wiem naprawdę, co może być dla mnie niebezpieczniejsze: stanąć przed krzyżem chrześcijańskim, czy też dostać się w pazury potwora.

— Jeżeli idzie o to, aby cię uspokoić co do niedźwiedzicy, to ja sam zajmę się nią zaraz — odrzekłem — i przekonam cię, że nie żyje. Ale musisz mi za to dopomóc w ustawieniu innego, okazalszego krzyża na ruinach *muzallah*.

— Dobrze, uczynię to chętnie. Niektórzy z wojowników mają siekiery, potrzebne zazwyczaj przy urządzaniu obozu. Zetniemy potrzebne drzewo i wedle twoich wskazówek sporządzimy krzyż.

Słyszając to, Sali Ben Akwil precisnął się ku mnie i zapytał:

— Pozwolisz i mnie, effendi, być wam pomocnym przy tej czynności?

— I owszem. Ale ty przecież jesteś nauczycielem i kaznodzieją islamu, więc być może, że praca koło ozdobienia kaplicy chrześcijańskiej godłem wiary, którą wy wszyscy potępacie, niezgodna będzie z twym powołaniem i przekonaniem.

Obecni przy tej rozmowie wojownicy Szir Samureka byli wszyscy wyznawcami islamu, a jednak Sali odrzekł, tak, aby słowa jego były przez nich słyszane:

— Mówiłeś nam przecież niedawno, że półksiężyc ma kształt zakrzywionego miecza, a krzyż jest znakiem Boga miłości, który nas za twym pośrednictwem wybawił od śmierci. Otóż, jeżeli się ma wybierać między życiem a śmiercią, nie powinno się wątpić i stać chwiejnie w wierze. Czyż zresztą śmierć wszystkich Kelurów nie tkwiła w lufie twego czarodziejskiego karabinu? Czyż okazanie temu Bogu wdzięczności za ratunek dowodzi wyparcia się islamu? Jestem wyznawcą proroka i głoszę przyjście Mahdiego, to prawda; ale czyż może to być przeszkodą w przyjaźni dla ciebie i przez to samo w szacunku dla wiary, którą wyznajesz? Wszak Abraham był najpierw poganinem, a potem wyznawcą jedyne Boga; tak samo i Mahomet był muzułmaninem nie od urodzenia, jak również i wasz Chrystus, zanim ogłosił nową wiarę, był wyznawcą Mojżesza. Stąd wynika, że i Mahdi, którego szukam po świecie, niekoniecznie musi być wyznawcą islamu, i kto wie, czy nie był on dotychczas chrześcijaninem. Możesz nie zgadzać się ze mną w punkcie wiary, ale nie wzbraniaj mi wykonać tego, co nakazuje mi obowiązek wdzięczności.

— Ależ ja wcale nie mam zamiaru sprzeczać się z tobą co do religii, gdyż jestem przekonany, że skoro tylko zajmiesz się gorliwie poszukiwaniem prawdy, to ją znajdziesz. Dotychczas błądziłeś po omacku, ale kto wie, czy dziś — jutro nie zajaśnieje ona nad tobą, jak owa gwiazda, która trzech mędrców do Betlejem wiodła, i czy w końcu nie wskaże ci drogi do prawdziwego „Mahdiego”, którego głos do dziś jeszcze brzmi przez wszystkie ziemie: „Jam jest prawda i żywot, i nikt beze mnie nie trafi do Ojca, który jest w niebiesiach.” Szukaj więc gorliwie tej prawdy, tej drogi, ale nie z uprzedzeniem, nie z zaślepieniem dotychczasowym, a znajdziesz ją niezawodnie.

— Effendi, uczynię wszystko, aby dojść tam, gdzie mi wskazujesz — odrzekł, ściskając mi rękę.

— Pozwól teraz, że pomogę ci usunąć na bok potwora, bo nam zagradza wejście do środka.

— Łapy dla mnie i effendiego — zastrzegął się przezorny Halef — reszta mięsa dla was, tak z niedźwiedzicy, jak i z młodych.

— Tylko wątrobę trzeba koniecznie wyrzucić, bo u tego gatunku niezdatna jest do użytku i można się nią zatruć — dodałem ostrzegawczo.

Usunąwszy trupa niedźwiedzicy z wejścia do *muzallah*, zdjeliśmy z niej skórę, co przyszło nam niełatwo wskutek jej ostygnięcia i stężenia. Skórę otrzymał ode mnie w podarunku szejk, futerka zaś młodych niedźwiedziąt zabrał Halef i natychmiast wziął się do wysmarowania ich od strony wewnętrznej mózgiem, w czym mu dopomogli Kelurowie. Tymczasem Akwil z synem poszli wymyć się z miodu, który do tej pory błyszczał jak lakier, na ich ciałach i twarzach.

Po upieczeniu niedźwiedzicy rozpoczęła się w obozie ucza, w czasie której utwierdzoną została

między Bebbejami i Kelurami, jak również oczywicie między nami i niedawnymi naszymi wrogami obydwu szczepów, przyjaźń na całe wieki. Rozumie się — wiedziałem dobrze, co jest warte takie zaprzysiężenie zgody i przyjaźni; znane są podobne sojusze dyplomatom wszystkich krajów, a zapewne i półdzikim Kurdom.

Łapy niedźwiedzie smakowały mnie i Halefowi przewybornie, innych jednak części niedźwiedzicy nie próbowaliśmy nawet i nie poważyłbym się ich nawet wziąć do ust, chyba pod groźbą śmierci głodowej, gdyż twarde były i żylaste, jak podeszwa. Kelurowie natomiast nie mogli się jej nachwalić i jednogłośnie oświadczyli, że takiej wspaniałej potrawy nigdy jeszcze dotychczas nie jedli. Widocznie okoliczność, że było to mięso ze sławnego w okolicy potwora, uważanego dotychczas za ducha kapłana chrześcijańskiego, dodawała im apetytu i napełniała ich niejako dumą.

Po posiłku sporządziliśmy i wspólnymi siłami olbrzymi krzyż z twardego drzewa i ustawiliśmy go wśród niemałych trudności na szczycie ruin kaplicy.

Po skończeniu tej roboty zapytał mnie Ben Akwil:

— W podróżach moich, effendi, miałem sposobność poznać wiele zwyczajów europejskich i wiem, że w okolicznościach takich, jak właśnie obecna, urządza się uroczyste poświęcenie. Otóż jak myślisz? Czy nie można by i tu urządzić czegoś podobnego?

Słowa te napełniły mnie zdumieniem. Prawdziwą niespodzianką było dla mnie, że muzułmanin nawet apostoł islamu, poddaje mi myśl poświęcenia godła wiary chrześcijańskiej. Zgodziłem się oczywiście na to, ale z wielką przecznością, bo należało bądź co bądź mieć na uwadze, by nie obrazić czymkolwiek przy tej sposobności religijnych uczuć Kurdów i nie zaprzepaścić nasienia zgody, które, dziś dopiero rzucone w glebę, tak pięknie od razu zakiełkowało.

— Dobrze — odrzekłem — poświęcę krzyż na tę intencję, ażeby w tych górach, gdzie dotychczas mieszkała nienawiść, stał się on widomym znakiem miłości i pokoju. Czy zgadzacie się na to?

Sto głosów odezwało się potakująco, ja zaś mówiłem dalej:

— Może kto z was zna pieśń, ułożoną przez Fileh el Mafileh? Prosiłbym go, aby mi powiedział słowa początkowe tej pieśni. W odpowiedzi na to szejk Kelurów począł recytować:

— Kara, odwet, nienawiść, zemsta...

— Dosyć; więcej mi nie potrzeba — przerwałem. — Te cztery słowa świadczą wymownie, jak ciemne chmury przewalały się ponad górami i dolinami tego kraju w ciągu całych stuleci, aż wreszcie rozdarło je słońce miłości i dobroci i promieniami tych cnót ziemię tę oświeciło. Gdyby który z was miał przy sobie farbę, napisałbym na tym krzyżu inną pieśń, a napełniałaby ona prawdą i błogosławieństwem każdego, kto by ją przeczytał, zbłądziwszy w te strony.

— Effendi, ja jestem z zawodu farbiarzem i mam przy sobie farbę — zgłosił się jeden z Kelurów.

Bardzo mnie to ucieszyło. Nie mając pod ręką pędzla, sporządziłem go sobie z patyka, a wdrapawszy się na szczyt, ruin, przy pomocy dwóch Kelurów, którzy mnie podtrzymywali, abym nie

spadł, wypisałem owym rozstrzępionym na końcu patykiem na przecznicy krzyża następujące słowa w języku arabskim:

*„Kochaj bliźniego, a Bóg obdarzy cię doczesną i wieczną szczęśliwością!”*

Gdy skończywszy pisanie, zszedłem na dół, Sali głośno odczytał ów napis zebrany, a ci kiwając głowami i potakując, uznali trafność wypisanej maksymy. Miałem następnie krótką przemowę do Kelurów, po czym ukląknęłam i odmówiłam „Ojcze nasz”, po którym wszyscy, również klęcząc, odpowiedzieli chórem: „Amin”.

Zaznaczam tu, że my obaj tylko i Sali rozumieliśmy dobrze, jak wielkiego sprzeniewierzenia swej wierze dopuścili się w tej chwili ci ludzie.

Po uroczystości poświęcenia krzyża wróciliśmy do obozu, pozostając tam jeszcze przez dzień i noc. Rozumie się, że mały Halef wykorzystał znakomicie sposobność, by się dostatecznie nagadać, i opowiadał zdumionym Kelurom o wszystkich naszych czynach i dziwnych przygodach. Poszedłem w końcu i ja za jego przykładem, opowiadając również — ale treść słów moich była inna. Mianowicie, korzystając z dobrej sposobności, postanowiłem zasiać w te dzikie, ale w gruncie rzeczy dobre dusze to, co by je mogło uszlachetnić i oświecić w prawdziwej wierze. A wiedziałem, że nasiona boże padną na grunt odpowiedni. Opowiadałem więc zdarzenia i proroctwa ze Starego Zakonu, dotyczące przyścia Zbawiciela, następnie Jego narodzenia, życia, cudów, męki, śmierci, zmartwychwstania i wniebowstąpienia, wplatając w to zręcznie wszystko to, co by mogło dać pojęcie Kelurom o zasadach wiary chrześcijańskiej.

Słuchano mnie z wielkim skupieniem i z niebywałym zajęciem, aż wreszcie Szir Samurek zauważył:

— Ależ, effendi, myśmy dotychczas o tym wszystkim nie słyszeli.

— Wiem o tym; wyznało mi to już wielu muzułmanów, którzy, nie słysząc ani słowa z nauki Chrystusa, gardzili nią, dopóki o niej pojęcia nie nabrali. Czyż więc nie jest największą głupotą potępiać to, czego się wcale nie zna?

— Masz słuszość. Ale mówiłeś nam, że Iza Ben Marjam czynił cuda; czy to jest dowiedzione, co nam o nich opowiadałeś?

— Tak, jest — to prawda.

— A dlaczego obecnie nie dzieją się wśród was żadne cuda?

— O, właśnie, że się dzieją.

— Wśród was?

— I wśród nas i wśród was.

— Nigdy jeszcze nic takiego nie widziałem.



— Bo masz oczy zamknięte. Otwórz je tylko, a ujrzysz cuda wszędzie. Krótkowidz i niedowiarek w takich okolicznościach dopatruje się tylko przypadku, a nie cudu.

— Chciałeś przez to powiedzieć, że przypadek nie istnieje wcale?

— Tak twierdzę.

— Otóż pomyliłeś się, effendi. Przypadki istnieją, i ja sam przeżyłem ich bardzo wiele.

— Mylisz się. Chrześcijanie wierzą, że ręka Boga prowadzi człowieka od kolebki do grobu, i to, co się dzieje, dzieje się tylko z woli boskiej. Kto jednak uchyla się od praw bożych i wyznacza sobie sam złą drogę w życiu, ten oczywiście, czyniąc wszystko wedle swej woli, ponosić potem musi skutki tej samowoli. Przypadek więc, jak w jednym, tak i w drugim razie jest wykluczony, bo albo Stwórca układa człowiekowi koleje jego życia, albo układa je on sam sobie. Zresztą i was islam uczy, że wszystko, co się dzieje, jest postanowione z góry i uniknąć tego nie można; czyż więc przypadek nie jest i u was wykluczony?

— Prawda, przyznaję ci słusność, choć do tej chwili nie umiałem tego stwierdzić. Ale powiedz mi, jak się rzecz ma z cudami?

— Otóż, jeżeli człowiek, sprzeciwia się woli Bożej i czyni, jak mu się podoba, wówczas Bóg roztacza nad nim szczególniejszą łaskę, aby go nawrócić ze złej drogi, i to właśnie, co Pan Bóg czyni dla niego, jest najoczystszym cudem.

— Nie przypominam sobie, aby cud tego rodzaju wydarzył mi się w życiu.

— A jednak zdarzył się, tylko nie myślałeś o tym.

— *Maszallah!* Podaj mi choć jeden fakt z mego życia, a uwierzę!

— Nie muszę szukać takiego faktu. Hadzi Halef Omar opowiadał wam niedawno, w jaki sposób podszedłem was i podsłuchałem. Przypomnij teraz sobie, jak zachęcałeś swych wojowników, by wyśmieli twierdzenia Ben Akwila i jego ojca, a potem... przypomnij swoje własne słowa: „Jutro o tym czasie usłyszycie podobny śmiech szyderstwa wśród diabłów w piekle. Wasze nadzieje są płonne, dowodzenia nedorzeczne, a wiara oszukańcza. Allah, ani prorok, ani nawet Bóg niewiernych nie wydrze was z rąk moich i nie zapobiegnie okropnej śmierci”... Mówiłeś tak, nieprawdaż?

I czy bodaj przez myśl ci przeszło wtedy, że się stanie zupełnie inaczej? A jednak patrz: Bebbejowie odzyskali wolność a ty natomiast dostałeś się do niewoli i gdybyś był natrafił na ludzi podobnych sobie, byłbyś niezawodnie sam dziś usłyszał w piekle śmiech szatanów, którymi ich straszyleś. Otóż ta okoliczność, że żyjesz jeszcze, jest cudem, dokonany z woli tego samego Boga, który również cudownie uratował obydwóch skazanych na śmierć Bebbejów, a dokonany za pośrednictwem mnie i Halefa, za pośrednictwem dwóch słabych i ułomnych śmiertelników. Czy zaprzeczysz temu?

— Nie wiem, co na to odrzec, effendi.

— Przeciwnie, wiesz dobrze, ale wahasz się i ociągasz z wyznaniem swych myśli. A jednak z tym cudem wiąże się jeszcze drugi, może nawet większy. Sali Ben Akwil i ojciec jego byli waszymi wrogami, a oto teraz siedzą koło was, jako serdeczni przyjaciele, choć nie zapłacili wam żądanej ceny krwi. Jeżeli i to byłoby tylko przypadkiem, to w końcu gotów byłbym i ja uwierzyć, że cuda nie dzieją się na świecie.

Tu Szir Samurek zerwał się na równe nogi i wykrzyknął z zapalem:

— Teraz, teraz właśnie trafiłeś najmocniej do mego przekonania, effendi, zwyciężając mnie ostatecznie. Jeszcze wczoraj nie przewidziałby tego żaden człowiek na świecie. Otóż przyznaję teraz, że zdarzają się na ziemi cuda i że sprawia je potęga owej miłości, którą głosisz nie tylko słowem, ale i czynem. Wszak i dusza moja przeistoczyła się od wczoraj do tego stopnia, że sam siebie nie poznaję. I gdybyś mnie czynami swymi nie przekonał, uważałbym cię za podstępnego misjonarza, który za pomocą obrotnego języka stara się nawrócić moich współwyznawców na wiarę chrześcijańską. Twoje to czyny i dobroć twoja sprawiły, że wierzę ci najzupełniej i gdy będziesz się z nami rozstawał, proszę cię, abys nam zostawił na pamiątkę wodę świętych przekonań, która by przez długie czasy orzeźwiała nasze serca miłością ku tobie. Czy zamierzasz odwiedzić jeszcze kiedy ponownie krainę Kurdów?

— Bóg raczy to wiedzieć... Jak On zechce, tak się stanie.

— O, mam nadzieję, że On ci pozwoli przybyć do nas jeszcze. A wówczas przyjmimy cię, jak przyjaciela, jak brata. Teraz pragnąłbym dowiedzieć się coś jeszcze od ciebie o Ukrzyżowanym i jego dwunastu apostołach. Szkoda, że tak prędko chcesz nas pożegnać...

Uczyliem zadość żądaniu Szir Samureka, opowiadając rozmaite zdarzenia z biblii i uzupełniając je przykładami z własnego życia. A miałem w tym pewien cel uboczny. Oto, jak wiedzą już czytelnicy z poprzedniej treści opowiadania, Kelurowie wybierali się na rabunek na granicę perską. Postanowiłem tedy odwieść ich od tego zamiaru przez rozmaite zręcznie dostosowane ostrzeżenia, tak, że nikt, prócz Ben Akwila, nie zrozumiał ich celu. Doprowadziłem do tego, że Szir Samurek sam w końcu zwrócił się do mnie z zapytaniem: — W takim razie i nasza wyprawa na granicę Persji byłaby zbrodnią... Jak myślisz, emirze?

Rozmyślnie nie odpowiedziałem wprost na to zapytanie, udając, że nie miałem tego na myśli, i tylko niby mimochodem zaznaczyłem, że tego rodzaju napady są istotnie zbrodnicze i potępiania godne. Wywiązała się nad tym żywa dyskusja między nim a jego wojownikami, przywykłymi do zbójckiego rzemiosła i uważającymi rabunek za czyn honorowy i rycerski. Pokusa była wielka, bo szło przecież o znaczne zdobycze, a przy tym zawrócenie z przedsięwziętej wyprawy do domu w połowie drogi tak sobie, bez ważnej przyczyny, uważaliby oni za coś hańbiącego, równającego się tchórzostwu. Zadanie więc moje było trudne, dało się jednak przeprowadzić właśnie dlatego, że postępowałem umiejętnie, niemal chytrze i powoli, z pozorną obojętnością. I oto w końcu Kelurowie zgodzili się wreszcie na zaniechanie rabunkowej wyprawy, a natomiast postanowili urządzać wielkie polowanie.

Jeden tylko Sali poznał się na moich tajemnych zamiarach i przy sposobności wziął mnie pod

ramię, a odprowadziwszy na bok, rzekł:

— Jesteś bardzo niebezpieczny, effendi, bo umiesz kierować ludźmi nawet wbrew ich woli. Szczęście, że nie ku złemu, lecz ku dobremu zmierzasz wszystkie twoje czyny; w przeciwnym razie byłbyś najszkodliwszym człowiekiem pod słońcem.

Późna noc była, gdyśmy się udali na spoczynek.

Nazajutrz Kelurowie zwinęli obóz już o świcie i wybrali się w drogę. Postanowiłem towarzyszyć im tylko do końca doliny, a potem jechać wprost do Khoi. Szir Samurek ostatni wsiadł na konia, przedtem jednak wręczył mi pieniądze oberżysty, mówiąc:

— Podziwiam cię, effendi, że aż do tej chwili nie upomniałeś się o pieniądze. Oto masz je. Oddając ci je, dopełniam ostatniego z warunków, jakie mi postawiłeś.

Jechał na samym końcu oddziału, a za nim podążał nezanum z ludźmi z Khoi, którzy otrzymali na powrót swoje rzeczy.

Ja z Halefem udałem się jeszcze do kaplicy, by tam bodaj przez chwilę podumać nad wypadkami, których byłem świadkiem i sprawcą. Przyłączyli się do nas obaj Bebbejowie.

Gdyśmy wracali Ben Akwil rzekł do mnie:

— Pożegnamy cię tutaj, effendi, bo drogi nasze w przeciwnych rozchodzą się kierunkach. Pamiętaj jednak, że czyny twoje i słowa utkwily w duszach naszych na wieki. Za twoim pośrednictwem doznaliśmy wielkiej łaski niebios i dlatego serca nasze przepełnione są dla ciebie niewymowną wdzięcznością. Jeżeli Allah spełni moją prośbę, to spotkamy się z sobą jeszcze w życiu, a spotkamy się jako przyjaciele, bez względu na to, czy znajdę Mahdiego, czy też ową gwiazdę promienną, którą mi przepowiedziałeś. Niechże tedy aż do chwili ponownego spotkania i na zawsze towarzyszy ci błogosławieństwo Allacha!

Dopędziliśmy wkrótce Kelurów i pożegnaliśmy się z nimi, oczywiście na sposób wschodni, więc obsypując się wzajemnie mnóstwem pięknych słów, tym jednak razem naprawdę szczerych i serdecznych.

Potem, gdybyśmy wraz z resztą ludzi, wypuszczonych przez szejka z niewoli, znaleźli się na drodze do Khoi, zaczął Halef:

— Wiesz, sisi, że pożegnanie nie należy do wesołych, skoro w kącikach oczu pojawiają się krople łez. No, ale pocieszam się tym, że czyny, przez nas tutaj dokonane, będą w naszym życiu jaśniały jak perły drogocenne. Nieprzyjaciele nasi stali się nam przyjaciółmi, a skóry z trzech młodych niedźwiedzi będą najlepszym dowodem naszego bohaterstwa i odwagi. Co do mnie, teraz, po tym wszystkim, czuję się o wiele lepiej, niż w owej chwili, gdy wisiałem na gałęzi topoli, wyrzucony przez *tulumbę*. A niechże tę sikawkę obsiada wszyscy diabli na podobieństwo roju pszczoł i zjedzą ją!

Powracający z nami obywatele Khoi silili się na okazanie nam wdzięczności za doznane od nas

dobrodziejstwa, aleśmy się trzymali od nich z daleka, gdyż nawet najprzedniejszy z nich dygnitarz, nezanum, którego mądrość, wedle pojęcia oberżysty, była o wiele większa od mojej, nie budził we mnie zbytniego zachwytu i nie było się z kim zaprzyjaźniać.

Przybycie nasze do Khoi wywołało w miasteczku niesłychane zbiegowisko. Przed gospodą zgromadziły się całe dумы ciekawych, a Halef miał znowu sposobność popisywania się swoim talentem oratorskim.

W siódmym niebie poczuł się oberżysta, otrzymawszy zabrane pieniądze, a jego żona ze łzami w oczach wyznała mi, że mąż jej, wyrzekłszy się raz na zawsze trunków, dotrzymuje słowa i nie oddaje się już pijaństwu.

Pozostaliśmy w Khoi pięć dni, w ciągu których mieszkańcy miasteczka nie szczędzili nam dowodów życzliwości. Jeden tylko aptekarz wrogo dla nas był usposobiony i chciał nas nawet zaskarżyć o kradzież jego koni, ale zaniechał tego zamiaru, żądając tylko odszkodowania. Gdy się zjawił u nas w izbie z tym żądaniem, Halef oświadczył gotowość wypłacenia mu pewnej sumy, ale nie w złocie, lecz w uderzeniach swego batoga ze skóry hipopotama. Przestraszony tą propozycją aptekarz uciekł, dając za wygraną i tylko gdyśmy odjeżdżali, patrzył za nami wzrokiem pełnym nienawiści. Rzecz prosta — niewiele sobie z tego robiliśmy.



# Rozdział IV

## Ostatnie polowanie na ludzi

I znowu było to nad Nilem, w głębokiej puszczy, krańcami swymi dotykającej rzeki, której brzeg pokryty był pasmem wysokiej trzciny. Potężne drzewa senesowe i subakowe tworzyły nad głowami gęste pokrycie, przez które nawet promienie południowego słońca przedrzeć się nie mogły. Czerwone pnie akacji wyciągały swe długie, poziomo rosnące konary ponad trzcina i tworzyły tam gęstą z pierzastych liści zasłonę, opadającą dalej aż do poziomu wody. Gdyby nie bliskość rzeki, od której przedzierał się w głąb puszczy orzeźwiający chłód, upał byłby nie do wytrzymania.

Muszę tu opowiedzieć, w jaki sposób znalazłem się nad Bahr el Abiad, tak bardzo od niego przedtem oddalony.

Przeprosiny moje z resem effendiną po wiadomym czytelnikom nieporozumieniu oparte były na szczerości, ale tylko z jednej strony, a tą stroną właśnie byłem ja. Używszy wszelkich środków, aby wśród podkomendnych reisa effendiny nie rozpowszechniło się mniemanie, jakobym był jedynym bohaterem i jakoby mnie tylko należało zawdzięczać znakomite skutki wyprawy, nie zdołałem przekonać tych ludzi ani słowem, ani zachowaniem się swoim. Mieli oni to przekonanie, że dowódca ich był zdolny tylko do popełniania błędów i że wyprowadzałem go zawsze z kłopotów, ile razy nóż był już po prostu na jego gardle. Lgnęli też do mnie z tej przyczyny coraz bardziej, a ku niemu poczęli żywić równocześnie wzrastającą niechęć.

Nie mogło to oczywiście ujść jego uwagi, a znaleźli się nawet tacy, którzy mu to otwarcie w oczy mówili. Zarzutów z tej racji czynić mi nie mógł, bo nie dałem mu ku temu żadnego powodu. Milczał więc, stawał się wobec mnie coraz bardziej zamkniętym w sobie, śledząc jednocześnie zazdrosnym okiem każdy mój krok i rozważając każde słowo.

Wobec tego postanowiłem zachowywać się jeszcze przezorniej i wreszcie najzupełniej dobrowolnie zniżyłem się do roli zwykłego członka ekspedycji. Pozostawić mnie samego w tych dzikich okolicach nie mógł biedak w żadnym razie i cierpiał z tego powodu ogromnie. Mówił ze mną bardzo mało, i to w sprawach niezbędnie tego wymagających, a na każdym kroku dawał mi do zrozumienia, że on jest tu wodzem i panem. O ile przedtem byłem jego pomocnikiem i doradcą, o tyle teraz spełniałem przy nim, że tak powiem, rolę piątego koła u wozu, jakkolwiek rady mojej zasięgał od czasu do czasu, a mianowicie w takich wypadkach, gdy mu własny rozum, inteligencja i zdolności nie wystarczały.

Ten zaostrzający się z każdym dniem niewesoły stan rzeczy uprzykrzył mi się wreszcie i postanowiłem rozstać się z resem effendiną, skoro tylko przybędziemy do Faszody. Niestety, okazało się to niemożliwym, gdyż w mieście tym grasowała właśnie w owym czasie, w straszliwy sposób pastwiąc się nad ludźmi, żółta febra, i trzeba było czekać przynajmniej miesiąc czasu na okręt, wyruszający w dół rzeki.

Reis effendina zatrzymał się tu tylko przez dwa dni i, aby nie paść ofiarą epidemii, zmuszony był, rozwinawszy żagle, płynąć dalej. Przedtem jednak dał mi wyraźnie do zrozumienia, że pragnie, abym został w Faszodzie i nie nadużywał dalej jego gościnności. Byłem atoli głuchy i nieczuły na te napomknienia i rady, aczkolwiek wrzało we mnie z powodu ustawicznych kaprysów i oznak niewdzięczności z jego strony.

Tymczasem Faszodę obiegać zaczęła pogłoska o ponownym ukazaniu się band, trudniących się łowieniem ludzi — i nie dziw, bo tak długa nieobecność naszego okrętu na wodach Nilu mogła dodać otuchy łowcom niewolników. Wprawdzie nie przedsiębrali oni w ostatnich czasach żadnej większej w tym celu wyprawy, ale wiadome było, że łowcy mieli jeszcze dość towaru, ukrytego w zakamarkach i czekającego odpowiedniej chwili do transportu, skoro tylko przycichnie czujność władz. Towar taki doprowadzają handlarze do Nilu i tu, w miejscach najdogodniejszych do przejścia rzeki w bród, przeprowadzają go na prawy brzeg, skąd dalszy jego transport jest już zupełnie bezpieczny. Jeden z takich upatrzonych przez handlarzy punktów dogodnych do przeprawy znajdował się właśnie poniżej Faszody, między miejscowością Kaka i Kuek, i dlatego reis effendina postanowił przez pewien czas przebywać w tych stronach w nadziei, że uda mu się pochwycić handlarzy.

Co do mnie — nie wierzyłem pogłosce o przechowywanym tutaj towarze, ale też nie zdradzałem się ze swoimi na tę sprawę poglądami, a zresztą nie pytano mnie wcale o zdanie. Ani rozległe, bezdrzewne,<sup>8</sup> z marnymi wśród stepów chatami Kaka, ani też nędzna wioska Szyluków Kuek nie mogły stanowić dla handlarzy należytej i bezpiecznej kryjówki. A że między miejscowościami nie było wcale na rzece dogodnego miejsca do przeprawy w bród, handlarze już przez sam wybór tych okolic na swoje operacje wystawiliby o sobie jak najgorsze świadectwo. Zresztą z Kaka prowadzi dość uczęszczany szlak karawanowy do ziemi Bagara i koło wyspy Kedara do kraju Tagalów, a z drogi tej korzystali zawsze handlarze niewolników. Liczył więc reis effendina, że tu najpewniej uda mu się przyłapać jakiś transport towaru. Ja zaś byłem tego przekonania, że ów bród, o którym opowiadano, znajduje się znacznie niżej obu miejscowości, a przekonanie to opierałem na podstawie wielu danych, przede wszystkim zaś na tym, że obejście znacznej przestrzeni powyżej wspomnianych wsi zabierałoby handlarzom zbyt wiele czasu i narażało ich na dotkliwe straty wśród niewolników.

Reis effendina znalazł się znowu na pewnym, jego zdaniem, i właściwym terenie polowania na łowców i wierzył święcie, że uda mu się na własną rękę dokonać Bóg wie jakich czynów. W obawie, abym mu w tym „nie przeszkadzał”, wpadł na myśl pozbycia się mnie za wszelką cenę. Obłudnie tedy i z udaną uprzejmością oznajmił mi, że z racji wielkiego do mnie zaufania powierza mi bardzo odpowiedzialną misję. Mając pewność, że handlarze niewolników wykorzystają dla przeprawy towaru wyspę Matemę, uważa za konieczne, abym popłynął tam dla zbadania terenu i został w tamtych stronach tak długo, aż on przybędzie na swoim „Sokole”. W końcu dodał, że wierzy w mój spryt i spodziewa się jak najlepszych wyników mojej wyprawy.

Poznałem się od razu na obłudzie effendiny, ale przyjąłem zlecenie jego bez słowa protestu, co go nawet nieco zdziwiło. A podjąłem się tego przedsięwzięcia z tej przyczyny, że właśnie, moim zdaniem, między wspomnianą wyspą a Kuek należało szukać owego brodu, z którego korzystali handlarze.

Reis effendina, w przystępie dobrego humoru z powodu mojej gotowości do wyprawy w strony, gdzie, jak sądził, nie mogło być ani jednego łowcy niewolników, pozwolił mi wybrać czterech

asakerów do wiosłowania. Ponieważ w Kaka jakiś w górę płynący okręt pozostawił wyborną łódź na cztery wiosła, poprosiłem reisa, aby mi pozwolił zabrać ją do swego użytku, na co chętnie się zgodził. Uwiązaliśmy następnie łódź do okrętu, a dopłynąwszy do Kuek, tam dopiero wybrałem sobie czterech ludzi, o których wiedziałem, że byli mi całą duszą oddani. Zaopatrzywszy się też w niezbędne środki żywności, amunicję i inne drobiazgi, wezwałem Ben Nila, aby mi towarzyszył, co go niewymownie ucieszyło.

Łódź była tak obszerna, że się w niej wszyscy pomieścili wygodnie, a zaopatrzona była prócz wiosł w żagiel.

W dobrym humorze puściłem się w drogę, aczkolwiek wycieczka ta miała być dla mnie pewnego rodzaju wygnaniem.

Skoro tylko kadłub „Sokoła” zniknął nam z oczu, Ben Nil ozwał się do mnie:

— Wiem, effendi, że reis effendina umyślnie cię wysłał w tamte strony, aby się ciebie pozbyć. Twoja sława jest mu solą w oku i chciałby bodaj przy końcu swej wyprawy odznaczyć się czymkolwiek na własną rękę. Ale mnie się zdaje, że stanie się zupełnie inaczej.

— Z czego to wnioskujesz?

— Z twego dobrego humoru. O, ja cię znam. Posłuchałeś go tak skwapliwie, a ponadto miałeś tak dziwną minę, że przysiągłbym, iż obmyślasz teraz jakiś kapitalny kawał, który i mnie i tobie wynagrodzi doznane nieprzyjemności.

Czterej wiosłarze nasi byli również zadowoleni; wydostali się bowiem na pewien czas spod zbyt surowego rygoru i niezwykłej karności na pokładzie „Sokoła”, a nadto cieszyli się nadzieją zdobyczy, jaką mogliśmy uzyskać w czasie wyprawy.

Ja sterowałem, Ben Nil zajął miejsce na przodzie łodzi, a asakerzy leżeli na razie beczynnienie, bo wiatr dał w żagiel i wiosłowanie było zbyteczne.

Z Kuek płynęliśmy przez całe popołudnie, a że nigdzie nie zauważyliśmy brodu, więc nie można było liczyć tutaj na zetknięcie się z handlarzami niewolników. Dopiero podczas jutrzejszej żeglugi spodziewałem się trafić na ich ślady. Płynęliśmy długo, korzystając z tego, że księżyc oświecał szlak, którym żeglowaliśmy i wiatr był pomyślny.

Po pewnym czasie natrafiliśmy na znaczny zakręt rzeki i trzeba było przybić do brzegu na nocleg. Rozłożywszy się tu pod wielkim drzewem, rozpaliliśmy ognisko. Każdy z nas na przemian czuwał czas jakiś, podsycając płomień dla odpędzenia od nas owadów, podczas gdy inni spali.

Rano dopiero, popłynąwszy dalej, rozpoczęliśmy poszukiwania brodu.

Mieszkaniec z nad górnego Nilu nazywa bród zwykły, nadający się do przejścia, słowem „maszadah” a większy, trudniejszy, zowie się tu „chód”. Przez ten ostatni można się przeprawić tylko wówczas, gdy woda jest zupełnie spokojna.



Około południa przybyliśmy do miejsca, gdzie rzeka dzieliła się na kilka ramion, oblewając swymi falami liczne ławice drobnych wysp. Woda płynęła tu tak spokojnie, że jeżeli gdzie, to chyba jedynie tutaj mogło być najwygodniejsze dla ludzi przejście, tym bardziej, że na piasku i na ławicach nie zauważyliśmy ani jednego krokodyla. Przybijaliśmy kolejno do każdej z wysp, przeszukując je starannie. Wszystkie były pokryte dziką trzciną, zwaną omm sufah i krzakami, które, rosnąc bujnie i szybko, zacierają wnet wszelkie ślady czyjegokolwiek na nich pobytu.

Jednakże na najbliższej od lewego brzegu wysepce znaleźliśmy w krzakach szebab, niezupełnie jeszcze przykryty trawą. Łatwo było domyślić się, w jaki sposób dostały się tu te widły, które biedni czarni dźwigają na swych karkach, idąc w niewolę. Na pewno przeprawiali się tędy ze swym towarem handlarze niewolników.

Popłynęliśmy dalej naokoło wysepki w celu dokładnego jej przeszukania. Rosły tu liczne krzaki ambakowe, które zwróciły moją uwagę. Krzew ten, należący do rodziny motylkowatych, wyrasta podczas wylewu rzeki na kilka metrów wysoko, aby potem, po opadnięciu wody, zmarnieć na suchym gruncie. Drzewo tych krzewów jest gąbczaste, ale bardzo trwałe i dlatego używają go do sporządzania pewnego rodzaju tratw. Jedna taka tratwa zdolna jest unieść trzy lub cztery osoby, a jeden człowiek może ją bez zmęczenia nieść na plecach przez dłuższy czas. Otóż krzewy te były w znacznej części uschłe i przygniecione do ziemi kupami liści papirusu.

Zapuściwszy się w głąb wysepki, w pewnej odległości od brzegu znalazłem pod cienistym krzakiem cały zapas drzewa ambakowego, ułożony w stos. A więc ktoś przygotował sobie materiał na tratwę, i teraz nie miałem już wątpliwości, że tu właśnie znajdował się poszukiwany przez nas bród. Na razie nie zdawało się nam ważnym odkryciem znalezienie tu owych zapasów drzewa ambakowego, gdyż mogły być one nagromadzone jeszcze przed paroma miesiącami, kiedy przeprawiał się tędy ostatni transport i całe miesiące moglibyśmy czekać, aż jakiś handlarz niewolników wykorzysta ten materiał. Ale mimo to postanowiłem zbadać okolicę o ile możności dokładnie.

Przede wszystkim uważałem za konieczne ukryć łódź na wszelki wypadek, gdyby się pojawił ktoś niepowołany, który widzieć jej nie powinien. Popłynęliśmy więc znaczny kawał w górę i tam w trzcinie pod zwisającymi gałęziami drzewa umieściliśmy naszą łódkę. Pozostawiwszy tu w celu strzeżenia jej naszych asakerów, ja z Ben Nilem wróciliśmy ku brodowi dla dalszych poszukiwań. Przede wszystkim udaliśmy się na wysoki w tym miejscu brzeg wysepki, ażeby stamtąd wymiarkować, czy nie uwidoczni się szczególnie korzystny dostęp do wody. Im dalej było od brzegu wysepki w górę, tym rzadszy stawał się las, aż wreszcie znaleźliśmy się na szczycie pagórka, gdzie drzewa zupełnie się przerzedziły. Nie spodziewając się tu nic ciekawego zobaczyć, skręciliśmy w lewo, aby wrócić do maszadah, zachowując przy tym wszelką ostrożność — nie tyle z potrzeby, ile z przyzwyczajenia, które stało się u mnie, rzec można, nałogiem. I mimo wielkiej z mej strony uwagi nic bym nie skorzystał z tej naszej wycieczki w głąb wysepki, gdyby nie Ben Nil, który nagle szarpnął mnie za rękaw i wskazał leżącą na ziemi naręcz zerwanej trawy, tak zwanej andropogon. Chwyciłem Ben Nila za rękę i co prędzej pociągnąłem go za sobą chyłkiem w dół, zatrzymując się aż w pobliżu miejsca, gdzie ukryta była nasza łódź.

— Effendi — zdziwił się Ben Nil — co ci się stało tak nagle? Czyżbyś się przeląkł kupki trawy?

— Właśnie z powodu tej zerwanej trawy mijamy się na baczności.

— Dlaczego?

— Bo dowodzi ona, że w pobliżu niezawodnie są ludzie. Ta właśnie olbrzymia trawa służy do wiązania sznurów na tratwę. Zerwano ją niedawno, bo jest całkiem świeża, ani trochę nie zwiędła, a więc ten, kto ją zbierał, mógł być w niewielkiej od niej odległości, może o kilka kroków, szukając jej do wyrwania w większej ilości.

— *Maszallah!* Ale dlaczego tej kupki nie zabrano?

— Dla wygody. Łatwe to zresztą do wytłumaczenia — ktoś zbiera ją, kładzie na pewne miejsce, po czym idzie szukać dalej i znowu wraca, by zebraną położyć na kupkę.

— No, no! może nas spostrzeżono!

— Trudno to wiedzieć... możliwe jednak, że nie. Czekajmy chwilę, czy nie przyjdzie tu ktoś za naszymi śladami. Jeżeli nas nie spostrzeżono, możemy po pewnym czasie dostać się ostrożnie aż ku brodowi i podpatrzeć, kto jest na wysepce, gdyż z pewnością tam się go doczekamy.

Gdy po upływie kwadransa nikt się nie zjawił, ruszyliśmy ostrożnie jak skradające się koty, wzdłuż brzegu ku brodowi. Było to uciążliwe, bo słońce operowało silnie i powietrze przesycone było parą wodną. Spoceni, jakbyśmy wyszli z kąpeli, dostaliśmy się nareszcie do miejsca, skąd widać było kupę zapasowego drzewa w oddali najwyżej czterdziestu kroków. Upłynęło sporo czasu, gdy do tej kupy podeszli dwaj mężczyźni, niosąc na plecach w kierunku wody, a więc ku naszej kryjówce, sporą wiązkę trawy. Ułożywszy ją nad wodą, przynieśli tyle gałęzi, ile im było potrzeba i zaczęli sporządzać tratwę. Nie byli to ani Dinkowie, ani Szylukowie, a z cech typowych i z ubrania sądząc wywnioskowałem, że należeli do któregoś ze szczepów arabskich z nad Białego Nilu.

— Sporządzają tratwę i chcą się przedostać na drugi brzeg — zauważył szeptem Ben Nil. — Może jest ich więcej?

— Trudno to odgadnąć.

— Czy uważasz ich za łowców niewolników?

— I to trudne do określenia. Że nie są bogaci, to pewne; gdyby się zajmowali handlem niewolników, byłiby lepiej odziani. Zresztą może są tylko pomocnikami handlarzy.

— Zaczepimy ich?

— Teraz jeszcze nie. Zaczekajmy tutaj, by podsłuchać ich rozmowę.

— Czy nie możesz określić, do którego szczepu należą?

— Sądząc z barwy, nie należą ani do Kabaków, ani do Bagarów, lecz zapewne do któregoś z innych plemion ze wschodu, dokąd teraz zapewne się udadzą.

Obserwowani przez nas pracowali dość długo, nic do siebie nie mówiąc i dopiero gdy tratwa była gotowa, jeden z nich spojrzął ku słońcu, aby się przekonać, jaka jest pora, a złożony na ziemi gałęzie, ozwał się tak głośno, żeśmy dokładnie słyszeć mogli:

— Dostyc już, bo nadeszła godzina modlitwy! Przede wszystkim Allach, potem prorok, a dopiero na ostatku człowiek ze swą robotą. Chcesz przewodniczyć w modlitwie?

— Nie; możesz ty, a ja będę powtarzał.

— Odmówmy więc najpierw modlitwę przeciw niewiernym, bo takie są przepisy dla prawdziwych wyznawców.

I zwrócił się twarzą w stronę Mekki, a złożony ręce, zaczął:

— Szukam ucieczki u Allacha przed szatanem przeklętym, o Allach! Wspomagaj islam i wywyższaj słowo prawdy i wiary! O Panie wszelkiego stworzenia, o Allach! Zniszcz niewiernych i służalców innych bogów, którzy są wrogami twoimi i wrogami religii! O Allach! Czyń ich dziećmi starcami, zwał w gruzy ich domy, połam im nogi i daj ich samych, jako też ich rodziny, ich czeladź, ich kobiety i dzieci, krewnych i braci, bogactwa i kraje, we władzę muzułmanom, jako zdobycz! O Allach, który jesteś panem wszelkiego stworzenia, uczyn to dla swoich wiernych.

Mówił przed chwilą o sobie, jako o prawdziwym wyznawcy islamu, więc, jako taki, powinien był przy modlitwie odbyć przepisane obmycie, czyli wudu. I istotnie postąpił wnet nad wodę, zawiązał rękawy po łokcie i rzekł, klękając ze złożonymi rękoma i obmywając je po trzykroć:

— W imieniu Boga wszechmiłosiernego! Niech ci będzie cześć, o Allach, że zesłałeś na ziemię wodę do obmycia się i islam do oświecenia dusz wiernych, jako drabinę do twych ogrodów rozkoszy i do twego mieszkania, przepelnionego chwałą i pokojem!

Tu nabrał w prawą dłoń wody i podniósł do ust, a wypluwszy ją trzy razy, mówił dalej:

— O Allach, dopomóż mi do uzyskania twej księgi i zgłębienia twej woli, abym mógł służyć ci wiernie!

Wyciągnawszy następnie wody w nos po trzykroć, wołał:

— Spraw, o Allach, abym mógł wdychać w siebie wszystkie zapachy raju i obdarz mnie jego rozkoszami, a broń mnie od fetoru ognia w piekle.

Potem obmył sobie twarz, mówiąc przy tym:

— O Allach, uczyn oblicze moje w dzień ostateczny białym, jak mleko, a poczernij twarze niewiernych i grzeszników.

Według pojęć muzułmanów, ludzie, wybrani na ostatnim sądzie, będą mieli twarze białe, potępieni zaś czarne. Stąd słyszeć można nieraz wśród Arabów przekleństwo: „Oby ci Allach poczernił twarz na węgiel.”

Następnie pobożny ów wyznawca Allacha umył po kolei obie ręce. Myjąc prawą, modlił się:

— O Allach, oddaj mi księgę mego życia w prawą rękę i czyn ze mną pobłażliwy rachunek!

A myjąc lewą:

— O Allach; nie daj mi księgi mego życia w lewą rękę, a nie obliczaj się ze mną zbyt surowo i nie strąć mnie do wiecznego ognia!

Zdjął następnie prawą ręką turban z głowy, nalał na nią wody i mówił:

— O Allachu! Okryj mnie łaską twoją i rozsyp błogosławieństwa na moją głowę, ocień mnie cieniem twego baldachimu w dniu, kiedy żadnego już nie będzie cienia, oprócz twego!

Obmył sobie następnie plecy, prosząc Allacha, by go uchronił od ciężaru mąk piekielnych — a wreszcie nogi, zebrząc znów łaski, by mógł zejść prosto po esz sziret, czyli po moście śmierci, do wrót raju. Wreszcie wstał, a spojrzawszy w niebo, następnie zaś na ziemię, wołał głośno:

— Wielbię cię i czczę, o Allachu, i wyznaję, że nie ma innego Boga, tylko ty jeden, że nie masz żadnego towarzysza, bo nie ma Boga oprócz Boga, a Mahomet jest twoim sługą i wysłańcem!

Obrzęd taki spełniają muzułmanie pięć razy dziennie przed każdą przepisaną modlitwą. Jeśli nie ma pod ręką wody, wówczas, zamiast niej, używają piasku, a takie suche mycie nazywa się tajemmmum.

Był to jednak zaledwie wstęp do modlitwy, i teraz dopiero zaczął się tak zwany asr. Wierny położył na ziemi turban, który mu służył zamiast kobierca, a ukląkłszy na nim, zwrócony w stronę Mekki, zaczął głośno tak zwany adan:

— Bóg jest wielki! Bóg jest wielki! Bóg jest wielki! Wyznaję, że nie ma żadnego Boga, oprócz Boga, i że Mahomet jest jego prorokiem. Módlcie się: Bóg jest wielki itd.

Nastąpiła właściwa modlitwa, która jest bardzo długa i połączona z najrozmaitszymi ruchami głowy, rąk i nóg. Nie przytaczam jej z braku miejsca i powtarzających się ciągle refrenów.

Każde słowo, wygłoszone przez przodującego, powtarzał półgłosem jego towarzysz, naśladując go przy tym w ruchach.

Można sobie wyobrazić, jak wygląda meczet, gdy setki ludzi wykonują podobne ruchy głową, rękami i nogami w takt za swoim przodownikiem w modlitwie! Robi to wrażenie, jakby jakieś drewniane figurki, przymocowane na drutach, poruszano niby marionetki, przez co modlitwa traci swą podniosłość, przemieniając się w bezmyślną komediancką paplaninę. Nie zgodzę się również z twierdzeniem zwolenników nauki Mahometa, jakoby przepisane przez islam modlitwy miały jakąś treść, i nie chce mi się wierzyć, aby tę treść pobożni rozumieli. Takie piękne słowa, jak „łaska”, „miłosierdzie”, brzmią bardzo mile wśród owej modlitwy, ale o wartości ich nikt z pobożnych nie ma pojęcia, nie harmonizują one z tym, co czuje w danej chwili serce modlącego się muzułmanina, i pozostają pustym dźwiękiem, wyraźnie przeznaczonym dla dekoracji przedstawienia. Słowo „grzech”

odczuwa w całej doniosłości jedynie chrześcijanin, zarówno, jak wyraz „łaska”.

Oczywiście są wypadki, w których i muzułmanin potrafi skupić się w sobie i wysnuć z głębi swej duszy gorące uwielbienie dla Bóstwa. Znacomity przykład tego znajdujemy u Słowackiego w ustępie z „Ojca zadżumionych”:

„O bądźże ty mi pochwalony, Allah,  
Szumem pożarów, co miasta zapala,  
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,  
Zarazą, która dzieci me wytraca  
I bierze syny z łona rodzicielki!...  
O Allah akbar! Allah, jesteś wielki!”

Po skończonych modłach obaj Arabowie włożyli turbany na głowy i zabrali się znowu do roboty, rozmawiając przy tym tak głośno, że słyszeliśmy każde ich słowo. Prawdopodobnie byli pewni, że nie ma tu żywej duszy. I przyznać muszę, że niektóre szczegóły ich rozmowy były dla mnie bardzo interesujące, a zaciekały mnie najbardziej wówczas, gdy posłyszałem nazwisko Ibn Asla. Ów, który je wymówił, ciągnął, wzdychając:

— Och! Gdyby on wrócił jak najprędzej! Był surowy, to prawda, i najlżejsze przewinienie karał nieraz śmiercią, ale też pod jego władzą byliśmy bądź co bądź ludźmi wolnymi, którzy nie bali się nikogo, prócz diabła i reisa effendiny. A tak co? Jesteśmy oto biednymi parobkami, pracującymi dla kogo innego za marną zapłatę, ot, aby z głodu nie zdechnąć. Allah niech potępi nową naukę, która głosi, że łowienie i handel ludźmi jest zbrodnią, i która sprawia, że teraz tak srodze ścigają i karzą łowców niewolników.

— Tę naukę wymyślili chrześcijanie, ażeby tym bardziej schwycić paszę w swe szpony — odrzekł drugi — i dlatego nie uznają tych nowych praw i nie stosują się do nich.

— Masz słusność. Co nas obchodzą chrześcijanie i co to za pasza, który słucha niewiernych? Jesteśmy synami islamu, a ten potrzebuje niewolników. Zresztą czyż nowy święty z Aba nie głosi, że Allah rozkazał, aby wszyscy niewierni, zarówno czarni jak i biali, byli niewolnikami wiernych?

— O, tak! Słyszałem to. Allah zstępuje do niego co noc i objawia mu swoją wolę i swe rozkazy. Od czasu Mahometa nie było jeszcze proroka, który by dorównywał temu nowemu.

Istotną zagadkę stanowiły dla mnie te słowa. Murabit z Aba? Co by to był za jeden? Aba jest

wyspą na Białym Nilu — wiedziałem o tym; ale żeby tam mieszkał jakiś święty muzułmański, o tym nikt mi nie wspominał. Zresztą święty ów był „nowym”, jak się wyraził pobożny Arab. Widocznie zjawił się on po opuszczeniu przez nas tych okolic, gdyśmy się udali na południe. A może to znowu jakiś Mahdi?... Mimo woli przyszedł mi na myśl Sali Ben Akwil, który ongiś szukał Mahdiego, tudzież Fakir el Fukara, znany mi z owych czasów, gdy to ubiłem lwa z El Teitel. Fakir ów — przypominam sobie — nazywał się Mohammed Achmed, a z rozmowy z nim zrozumiałem, że uważa siebie za „wysłannika” Allacha. Ten to Mohammed Achmed, odwdzięczając się za to, że uratowałem mu życie, chciał mnie wydać Ibn Aslowi, ale mu się to nie udało, i spotkała go w nagrodę za szlachetność bastonada z rozkazu reisa effendiny. Czyżby to on był owym „świętym” z Aba?

Nie miałem czasu na rozmyślanie nad tą zagadką, bo obaj Arabowie zaabsorbowali mnie całkowicie swą rozmową — mówili zaś tak swobodnie i o takich rzeczach, o jakich powinni byli milczeć. Dowiedziałem się mianowicie z ich gawędy, że wysłani zostali przez pewnego handlarza z Takoba do Chór Omm Karu, gdzie znajdował się drugi kupiec. Ów handlarz z Takoba zamierzał przeprowadzić w tych dniach przez bród sześćdziesięciu niewolników, a drugi miał za trzy dni od dziś odebrać ich po tamtej stronie rzeki i, zapłaciwszy należność za „towar”, przetransportować go dalej drogą karawanową Tana–Karkoger.

Ben Nil, wysłuchawszy całej tej rozmowy, szturchnął mnie w bok i szepnął:

— Pochwyćmy tych ludzi.

— Nie; mam inne zamiary.

— Przecież musimy uwolnić owych sześćdziesięciu niewolników...

— Oczywiście.

— Wobec tego wypada schwytać tych dwu wysłańców.

— Przeciwnie, należy ich przepuścić swobodnie.

— Nie pojmuje, effendi!

— Wystarczy, że ja pojmuje. Patrz, już gotowi!

Obaj Arabowie ukończywszy robotę wiązania tratwy i sporządziwszy z długich żerdzi wiosła, ściągnęli tratwę na wodę i powiosłowali na niej do najbliższej wyspy. Tu wysiadłszy, przenieśli tratwę na plecach w poprzek wysepki i znowu przeprowadzili się na niej przez wąską odnogę rzeki na inną wysepkę — aż w końcu znaleźli się na przeciwnym brzegu Nilu.

— Uciekli, effendi! A tak łatwo mogliśmy ich przytrzymać! — narzekał Ben Nil.

— No, no, nie trwóż się; niebawem będziemy ich mieli w swych rękach.

— Gdy powrócą?

— Rozumie się.

— Hm! Nie gniewaj się, effendi, jeżeli uczynię ci uwagę, której, jako twój sługa, czynić nie powinienem... Oni przecie nie wrócą sami, lecz z ludźmi, którzy mają transportować niewolników, a przy tym i ludzie z Faszody będą już tutaj. Że zaś do transportowania sześćdziesięciu niewolników trzeba co najmniej piętnastu ludzi, więc ogółem będziemy mieli do czynienia z trzydziestoma uzbrojonymi drabami. Czyż zatem nie lepiej było ująć bez żadnej trudności tych dwóch?... Teraz prawdopodobnie będziemy zmuszeni zażądać pomocy u reisa effendiny...

— O, nie! Ani myślę od niego żądać pomocy.

— Jak to? Przecież nas jest tylko sześciu!

— I ci nam wystarczą!

— Allach! Znowu widzę na twojej twarzy wyraz jakby szyderstwa. Czyżbym w ciągu ustawicznych niebezpieczeństw zgłupiał do tego stopnia, że przestaję cię rozumieć?

— Cóż znowu!... Odwrotnie, stałeś się więcej przezornym, bynajmniej nie straciwszy na zdolnościach. Powiadasz, że będziemy mieli do pokonania trzydziestu ludzi, i to istotnie byłoby trochę za wiele na nasze siły. Ale zważ, że przecie nie będą oni razem; połowa ich zostanie z jednej strony rzeki, a połowa z drugiej. A zdaje mi się, że z piętnastoma damy sobie radę i w ten sposób zwyciężymy trzydziestkę... na raty, jak to się samo przez się rozumie. Reisa effendinę zaś mógłbym prosić o pomoc tylko w razie ostatecznym, na wypadek największego niebezpieczeństwa. Tej jednak ostateczności nie chcę i pragnę, abyśmy sami własnymi siłami zdobyli sobie nagrodę.

— Masz słuszość, effendi! Możemy obezwładnić ludzi z Takoby, zanim się pojawią tamci, z Chór Omm Karu. A wtedy bez trudu rozprawimy się z tamtymi.

— Sądzę, że obejdzie się bez bitwy, a zresztą zależy mi głównie na tym, aby odebrać im pieniądze, które będą mieli przy sobie.

— Pieniądze? Co chciałeś przez to powiedzieć?

— Słyszałeś przecie, że przybędą tu nad bród odebrać niewolników, przy czym mają zapłacić za nich gotówką lub towarami. Otóż oddziałowi z tej strony odbierzemy niewolników, a oddziałowi tamtemu pieniądze. Obie więc partie spotka dostateczna kara i przy tej sposobności powiększy się wasz żołąd, a reis effendina będzie miał jeszcze jeden dowód więcej, że nie uczynił dobrze, pozbywając się mej osoby tak lekkomyślnie i po szelmowsku.

— Effendi! — zawołał Ben Nil uradowany. — Nie umiałbym sobie wyobrazić bardziej rozumnego planu, i jeżeli się on tylko uda (a że się uda, jestem najmocniej przekonany), to będzie niesłychana w naszych warunkach zdobycz. Cieszy mnie to ogromnie, a jeszcze więcej uradowani będą nasi asakerowie. Chciałbym zobaczyć minę reisa effendiny, która zapewne bardzo się wydłuży, gdy mu przyprowadzimy tak obfity połów, podczas gdy on omyli się w swych nadziejach, na zarozumiałstwie budowanych, i na próżno tam będzie myszkował. Wyobrażam sobie, jaki go wstyd ogarnie. Może

przyzna wówczas nareszcie, że najniesłuszniej wyrządził krzywdę tobie i wszystkim, którzy cię lubią oraz poważają.

Wróciliśmy do łodzi, a Ben Nil opowiedział wszystko asakerom, którzy wpadli już nie w zachwyty, ale niemal w szal radosny i oznajmili mi, że nie zawahają się przed niczym, byle tylko dopiąć tak ważnego celu. Domagali się też, abym im zaraz wytłumaczył w jaki sposób plan wykonam; ale im odpowiedziałem, że sam jeszcze nie wiem, bo wprzód muszę wybadać dobrze teren po obu stronach rzeki.

Tak ich to przejęło, że chcieli iść ze mną zaraz na miejsce. Ale że transportu należało oczekiwać dopiero za trzy dni, nie śpieszyłem się i tylko z tej strony poczyniłem tego dnia poszukiwania, dopóki nie były jeszcze zatarte ślady dwóch Arabów, a ślady te miały dla mnie niepoślednie znaczenie.

Asakerzy prosili mnie, abym ich zabrał na te poszukiwania, i skłoniłem się w końcu do tego, zabierając ich z sobą; jeden tylko pozostał na straży przy łodzi, wylosowany do tej służby.

Udaliśmy się w las po tej stronie rzeki dla dokładnego zbadania śladów dwu wysłańców, gdyż, kierując się tymi śladami, spodziewaliśmy się odkryć wydeptaną ścieżkę do brodu. Oddalwszy się znacznie w głąb „chali”, po upływie godziny znaleźliśmy nareszcie pewne ważne wskazówki.

Aż do tego miejsca pokrywająca wyspę gęsta roślinność, zasilana wilgocią rzeki, kończyła się, a zaczynały się bujne łąki z takim mnóstwem różnobarwnego kwiecia, że od jaskrawości aż się w oczach mieniło. Wegetacja ta pojawia się z całą siłą tylko w pewnych porach roku, a niknie równie prędko, jak powstała i wówczas step przedstawia szarą, jednostajną płaszczyznę, podobną do pustyni, albo, jak się wyraził któryś z poetów, do próżnej dłoni dziadowskiej. Mimo znacznych trudności, udało mi się przecież odnaleźć ślady ludzkie, a nawet spostrzegłem resztki odchodów wielbłądzych, które świadczyły, że była tu niezawodnie droga karawanowa, uczęszczana wcale nie rzadko. Na pustyni zbierają takie resztki bardzo skrzętnie, jako materiał na ogniska; tu jednak, wobec bliskości lasu, było to zbyteczne.

Dopiąwszy w ten sposób celu wycieczki, zawróciłem ze swymi ludźmi do miejsca, gdzie pozostawiona była nasza łódka. Wieczór już zapadał, bladym światłem księżyca rozjaśniony, gdyśmy przybyli na brzeg rzeki. Zaraz też wyszukawszy odpowiednią na nocleg kryjówkę w pewnej odległości od wody, aby, o ile można, nie być w nocy narażonymi na chmary komarów, które najwięcej dokuczają nad wodą, pokładliśmy się spać. Nie bylibyśmy zresztą od nich całkowicie wolni, bo ognia postanowiłem nie rozpalać ze względu na bliskość obcych ludzi, ale na szczęście, odłączając się od reisa effendiny, nie zapomniałem zabrać między innymi zabezpieczającej od komarów siatki.

Na drugi dzień rano popłynęliśmy na przeciwny brzeg Nilu w celu rozejrzenia się. I tu bujna roślinność pokrywała znaczną przestrzeń w głąb stepu, znaleźliśmy również liczne oznaki, zdradzające, że znajdujemy się na wytkniętym ku rzece szlaku karawan. A ślady były tu jeszcze wyraźniejsze, bo widocznie handlarze, czując się po tej stronie zupełnie bezpiecznymi, nie zadawali sobie nawet trudu zacierania ich za sobą.

Wróciwszy stamtąd, podpłynęliśmy znaczny kawał w górę rzeki, gdzie u brzegu wyszukaliśmy



sobie miejsce na nową kryjówkę na noc. W pobliżu brodu było już mniej bezpiecznie, ale należało nocą zwrócić szczególniejszą uwagę na ten punkt, gdyż możliwe było, że karawana z niewolnikami przybędzie wcześniej. Urządziwszy tedy tuż u samego brodu doskonałe schronienie w celu obserwowania spodziewanej karawany niewolników, poszliśmy daleko na step, aby, jeśli się uda, zawczasu spostrzec ją z daleka. I rzeczywiście późno już po południu dostrzeżliśmy na horyzoncie ruchome punkciki, większe i mniejsze; pierwsze — byli to zapewne jeźdźcy na wielbłędach, drugie — to niewolnicy, idący pieszo. Karawana posuwała się prosto, jak to przewidziałem, w kierunku naszym, ku Nilowi. Oczywiście usunęliśmy się co prędzej z jej szlaku, zacierając za sobą wszędzie ślady, aby wśród przybywających nie zbudzić czujności.

Niebawem ukazali się dwaj jeźdźcy, którzy znacznie karawanę wyprzedzili, pędząc ku rzece, aby na wszelki wypadek przekonać się, czy nie grozi jakieś niebezpieczeństwo.

Ukryliśmy się w naszym „obserwatorium”. Zaledwieśmy się tam usadowili, gdy spostrzeżliśmy płynącą w naszym kierunku z tamtej strony rzeki łódkę, w której wiosłowali ci sami dwaj Arabowie, których widzieliśmy, onegdaj. Czy chwila ich powrotu była z góry umówiona, czy też przypadkowo tylko przybyli na czas zbliżania się karawany, było mi obojętne; natomiast radowałem się, że będę miał wysmienitą sposobność podsłuchania ich, bo zapewne zaraz po wylądowaniu zdadzą relację ze swych czynności dwom przybywającym od karawany jeźdźcom.

I istotnie przypuszczenia moje były trafne. Dwaj wioślarze, wylądowawszy i rozejrzawszy się wkoło, dali znak mocnym gwizdnięciem na palcach. W odpowiedzi na to rozległ się w lesie taki sam świst, a w chwilę później ukazali się na brzegu dwaj znakomicie uzbrojeni ludzie; byli to ci sami, których zauważyłem poprzednio jadących na wielbłędach. Szli teraz pieszo, pozostawiając wielbłądy na górze. Dwaj Arabowie, którzy przybyli łodzią, ukłonili się im nisko, na co ci odpowiedzieli wyniośle, skinawszy zaledwie głowami, a jeden z nich zapytał:

— Kiedyście tu przyплыnęli?

— Przed kilkoma minutami.

— Obejrzelście dobrze muchadę?

— Tak, panie. Ani śladu człowieka.

— A jakże tam z poselstwem?

— Poszło wszystko zupełnie tak, jak nam to z góry zapowiedziałeś. Ludzie z Chor Omm Karu przybędą nad rzeką jutro, w dwie godziny po wschodzie słońca.

— Spodziewam się, że nie będą wymagali od nas, abyśmy tam do nich się przeprawiali.

— Nie, przepłyną na tę stronę w celu odebrania towaru.

— A czym zamierzają płacić?

— Złotym proszkiem; towarów nie mają z sobą, bo trudno im było ciągnąć się z nimi przez stepy.

— Tak, ale co ja zrobię ze złotem, za które w tych stronach nic dostać nie można? Byłem pewny, że otrzymam zapłatę w towarach handlowych, gdyż właśnie podczas obecnej podróży będę tylko w takich miejscowościach, gdzie można kupować potrzebne rzeczy drogą wymiany! Jeżeli więc chcą płacić pieniędzmi, czy złotym proszkiem, to postawię o wiele wyższą cenę. Ile mają ze sobą ludzi?

— Dwanaście głów.

— A więc tyle, ile my. To by od biedy wystarczyło, bo nie spodziewam się tu jakichkolwiek przeszkód; reis effendina i jego towarzysz zapodzielili się gdzieś od dłuższego już czasu. Idźcie nieco wyżej na brzeg i dajcie znak karawanie, aby szła tutaj, a z powrotem przyprowadźcie wielbłądy, żeby się napiły.

Rzekłszy to, rozkazodawca odszedł ze swoim towarzyszem pod drzewo i tam obaj usiedli, podczas gdy posłańcy udali się na step. Dwaj przybyli nie mówili nic do siebie; snadź znużeni byli bardzo podróżą. Sądząc z rysów i koloru twarzy, można było przypuszczać, że należą do Messerijów albo Habanijów. Wśród obu tych szczepów handel niewolnikami bywa dość często praktykowany.

Wkrótce wrócili wysłańcy, a za nimi nadciągnęła karawana i zatrzymała się w miszrah. Niewolnicy byli tak wyczerpani że ledwie trzymali się na nogach. Snadź uciążliwa, zapewne kilkudniowa wędrówka w pętach, bosy, po wyschniętym stepie, pod palącymi promieniami słońca i prawdopodobnie o głodzie i pragnieniu sprawiła to, że byli w nader oplakanyim stanie. Ręce i nogi mieli powiązane tak, że mogli wlec się zaledwie noga za nogą, krótkimi krokami, i to w postawie mocno przygarbionej z powodu połączenia krótkimi postronkami rąk i nóg; pomiędzy sobą powiązani byli również grubymi powrozami, do których przymocowano ciężkie drążki. Oprócz szmat na biodrach, nie mieli na sobie nic; nawet głowy mieli odkryte, więc w ciągu marszu musieli znosić istic piekielną mękę z gorąca. Niektórym ciało odpadało kawałkami, spieczone od słońca.

A nie byli to bynajmniej czarni synowie Afryki z pogańskich plemion murzyńskich, lecz ludzie biali, należący, jak się o tym dowiedziałem później, do Bagor el Homrów. Schwytano ich w niewolę jako jeńców podczas bitwy i uczyniono niewolnikami, przeznaczając na sprzedaż. Jak strasznym trapieni byli pragnieniem, świadczył równoczesny prawie okrzyk radości, jaki się wydarł z piersi nieszczęśliwych straceńców na widok wody. Nie dano im jej jednak prędzej, aż napiły się wielbłądy i żołnierze, po czym dopiero obdzielano każdego z nich, napełniając ją łupiny orzecha kokosowego. Do rzeki nie puszczono ich w obawie, aby który umyślnie się nie utopił, uwalniając się w ten sposób od okropnej doli, jaka ich czekała.

Potem każdy z nich otrzymał garść prosa murzyńskiego na wieczerzę, które zajadali, siedząc skurczeni na ziemi, gdyż inaczej rękami, uwiązanyimi krótko do nóg, nie mogliby sięgnąć ku ustom. Zaprowadzono ich następnie na mokre, porośnięte grubymi łodygami błotnych roślin miejsce, aby się tu pokładli.

Strażnicy, uporawszy się w ten sposób ze swymi obowiązkami wobec niewolników, rozpalili w dwóch miejscach wielki ogień, ażeby mieć ich w ciągu nocy na oku.

Było to w znacznym oddaleniu od naszej kryjówki, i aczkolwiek wdziałem wszystko dokładnie, słyszeć jednak nie mogłem wiele. Nie chodziło mi już zresztą o to, co będą mówili, bo poznałem

najważniejsze ich zamiary. Musiałem natomiast pomyśleć o jak najszybszym uwolnieniu nieszczęśliwych niewolników ze strasznego położenia, a tymczasem niemożliwe to było wykonać natychmiast, bo, zanim się ułożono do spoczynku, wypadło odprawić przepisane modlitwy mogreb i aszia, wskutek czego czas mi się dłużył okropnie. Oczywiście do uczestniczenia w modłach zmuszono też, jakby na ironię, niewolników. Szczyt muzułmańskiej bezczelności i zaślepienia! — Modlili się do Allacha o zmiłowanie, o łaskę, a w myśli i czynach byli najohydniejszego gatunku zbrodniarzami.

Przywódcy karawany z Takoby, liczący razem ze swymi ludźmi oraz przybyłymi zza Nilu wysłańcami czternaście głów, spożyli wieczerzę, składającą się z kaszy, suszonego mięsa i daktyłów, po czym jeden z nich wydał odpowiednie rozkazy na noc i ułożył się do snu, obwijając się w ciepłe koce. Za jego przykładem poszła reszta obozujących, a tylko dwu pozostało na warcie. Ci usadowili się przy ogniu, aby się zabezpieczyć przed komarami.

Nieszczęśliwi niewolnicy, nadzy zupełnie, leżeli w błocie, a miliardy owadów obsiadły ich ciała, zadając straszne katusze... Opisałem już w jednym z poprzednich rozdziałów, jak wielką klęskę dla ludzi stanowią owe niezliczone roje krwiożerczych komarów, uzbrojone w zatrute ssawki! To też biedacy ryczeli, jak bydłeta, nie mogąc się obronić przed tą okropną plagą.

Na myśl o tym postanowiłem nie zwlekać i jak najprędzej położyć kres ich męce, chociażby z narażeniem swojego życia.

Ben Nil był również przejęty do żywego losem nieszczęśliwych i szeptał mi do ucha:

— Czyby się nie dało uwolnić tych ludzi dziś jeszcze?

— Owszem, postaramy się o to.

— Proszę cię więc, zrób tak, aby się to stało jak najprędzej. Trudno już dłużej słuchać jęku nieszczęśliwych. Uczynmy wszystko, co tylko możliwe, chociażbyśmy ściągnąć mieli na siebie największe niebezpieczeństwo. Co do nas jesteśmy gotowi na twój rozkaz rzucić się w tej chwili na tych czternastu łotrów. Mogłoby się nawet obyć bez twego czarodziejskiego karabinu. Wystarczyłoby, gdyby każdy z nas wystrzelił po razie tylko; zabilibyśmy za jedną salwą sześciu, a z pozostałymi ośmioma byłaby już łatwa sprawa, bo strach paniczny odebrałby im przytomność umysłu.

— Ależ ja nie chcę przelewać krwi tych ludzi. Oni w swym zaślepieniu nie wiedzą nawet, że popełniają straszną zbrodnię.

— Tak, ale pomyśl, effendi, że będą się bronili i użyją przeciw nam swych strzelb, jeżeli ich wprzód nie obezwładnimy.

— Mam nadzieję, że łatwo mi to przyjdzie i najprawdopodobniej nie będę korzystał z waszej pomocy. Mimo to musicie być w pogotowiu i w razie potrzeby bronić mnie. Podsunę się teraz sam aż do ogniska, gdzie siedzą wartownicy, i jeżeli ich obezwładnię, a nikt tego nie zauważy, to możecie spokojnie tu siedzieć, dopóki was nie wezwę. Gdyby zaś zbudzili się ich towarzysze, wówczas przybiegniecie mi natychmiast z pomocą nawet bez mego wezwania. Zdaje się jednak, że pójdzie

gładko, bo, jak wywnioskowałem, niewolnicy umieją po arabsku, a zrozumiawszy mnie pomogą w robocie. Zaznaczam, że musicie ogromnie uważać i każdej chwili być gotowymi!

Wysunąwszy się spod siatki, zawiesiłem ją na krzaku, zarówno jak i karabin. Zabrałem tylko sztucer, ażeby w razie potrzeby mieć możliwość zaszachowania nieprzyjaciół.

Dowódca karawany, wymieniając poprzednio wyraz asznabi, niewątpliwie miał na myśli mnie, a więc moje nazwisko obilo się o jego uszy, jak również musiał też słyszeć i o „czarodziejskim” moim karabinie.

Ostrożnie, chyłkiem zataczając wielki łuk, zbliżyłem się do ognia, przy którym siedzieli dwaj strażnicy, na taką odległość, że mogłem ich dosięgnąć ręką.

Dziwne, jak ci ludzie czuli się tu bezpiecznymi!

Wartownicy nie rozmawiali ze sobą, zajęci ciągłym dokładaniem drew do ognia, który trzeszczał i od czasu do czasu buchał wysokim, jasnym płomieniem, oświetlając znaczną przestrzeń dokoła. Po prawej stronie spali handlarze, owinięci w koce, po lewej zaś niewolnicy, którzy w razie mego napadu na strażników musieliby mnie ujrzeć i domyślając się swego zbawcy, wszczęliby zapewne krzyki radosne, a to właśnie nie byłoby pożądane i musiałem tego uniknąć za wszelką cenę. Podniosłem się więc powoli z omm sufah i zwrócony ku nim przyłożyłem lewą rękę do ust na znak, aby milczeli, a wiedziałem, że znak ten rozumiały jest niemal u wszystkich ludów.

Cel został w zupełności osiągnięty, gdyż jęki w tej chwili ustały. Widocznie biedacy przeczuli, że czeka ich pomoc z mojej strony, bo nie byłbym się przecież czał na pilną obozu wartę.

Europejczyka zastanowiłaby natychmiast nagła zmiana w jego otoczeniu i szukałby przyczyny, dlaczego jęki tak nagle ucichły; ale synowie pustyni nie zwrócili na to najmniejszej uwagi. Korzystając z tej lekkomyślności, by nie tracić czasu, zamachnąłem się raz po razie kolbą i obaj wartownicy padli ogłuszeni na ziemię bez wydania głosu.

Przekonawszy się, że żadnemu z nich czaszka nie pękła, zwróciłem się do niewolników i rzekłem, o ile można, cichym głosem:

— Zachowajcie się spokojnie! Ani jednego słowa! Chcę was uwolnić i poprzecinam powrozy, a skoro potem zwiążę strażników, rzucicie się na handlarzy. Nie wolno wam jednak nic więcej uczynić, jak tylko trzymać ich silnie, abyśmy mogli ich powiązać.

Przeciąć sześćdziesiąt powrozów po trzy razy byłaby to zbyt trudna dla jednego robota, kazałem więc dwom pierwszym uwolnionym niewolnikom zabrać noże od wartowników i pomagać mi. Tymczasem, na dany znak przybyli z krzaków i moi ludzie z Ben Nilem i w dwie niespełna minuty wszyscy jeńcy byli wolni.

— Allach was zesłał! — szepnął jeden z nich. — Powiedz nam, kto jesteś, abyśmy...

— Cicho bądź! Dowiesz się później, a teraz do roboty! Naprzód skrępować strażników, a potem dalej na śpiących! Po trzech na jednego, a czwarty niech zaraz wiąże. Powrozów jest dosyć! Więc

dalej do roboty!

Naprawdę warto było przypatrzeć się tej „robocie”. W jednej chwili obezwładniono śpiących, wiążąc ich jak snopy, wraz z kocami, w które byli owinięci. A jednocześnie wszczął się w obozie zgiewek nie do opisania; gromkie okrzyki radości oswobodzonych niewolników mieszały się z rykiem dotychczasowych ich katów. Zachodziła obawa, aby wielbłądy, spłoszone tymi wrzaskami, nie porwały pęt i nie uciekły. A podziałało to tak zaraźliwie na moich asakerów, ba, nawet i na Ben Nila, że i oni wzięli udział w tym „hymnie”. Co do mnie, nie miałem ochoty robić ze swego gardła dudy organowej i przez dłuższy czas dawałem znaki rękoma, wywijając nimi, jak wiatrak śmigami, dopóki nie zrozumiano, że za pomocą tej gestykulacji domagam się zakończenia popisu wokalnego.

— Ten krzyk może nam zaszkodzić — rzekłem, gdy nareszcie można było dosłyszeć słowa — bo kto wie, czy ludzie z Chór Omm Karn nie są już w pobliżu.

— Co nas oni obchodzą! — odrzekł któryś. — Niech przyjdą tu, a zobaczą, jak ich przyjmujemy!

— Dobrze, dobrze! Ale ja właśnie pragnę, aby tu przyszli, a wrzaski mogą ich stąd odstraszyć.

— Tak sądzisz, panie? Prawda! Nie przyszło mi to na myśl. Musimy siedzieć cicho, ażeby, nic nie przeczuwając, przyszli aż tutaj. A przyjdą jutro rano; pochwytną ich i wsadzimy głowami do wody, aby się dobrze napili i powędrowali do piekła. Powiedz nam jednak, panie, kto jesteś, abyśmy wiedzieli, komu mamy do zawdzięczenia ratunek w tak ciężkiej chwili. Ubrania tych oto czterech ludzi świadczą, że są to asakerzy kedywa; ty jednak nie należysz do nich, jak również i ten szósty, nieprawdaż?

— Nie jesteśmy żołnierzami. Jestem Frankiem i nazywam się Kara Ben Nemzi Effendi, a nazwisko mego młodego przyjaciela brzmi Ben Nil.

Na te moje słowa ozwał się pomruk w szeregach powiązanych jeńców. Interlokutor zaś mój pytał w dalszym ciągu:

— Jesteś może chrześcijaninem, effendi?

— Tak

— A może znasz pewnego oficera, którego nazywają reiseffendiną, a który z ramienia kedywa ciągle żegluje po Nilu w celu chwytania łowców i handlarzy niewolników?

— Owszem, znam go.

— Może mu dopomagałeś kiedy w tej czynności?

— O, wiele razy.

— Tak, bo słyszeliśmy o tobie... niewiele wprawdzie, ale wystarczyło, abyśmy sądzili, że jesteś szlachetnym człowiekiem i dobroczyńcą niewolników. Abu Rekwik po drodze rozmawiał często ze swymi ludźmi o tobie i o reiseffendinie i zdaje się, że czuje wielką trwogę przed wami.

— Któż to jest ten Abu Rekwik?

— Nie wiesz? Oto leży tam, skrępowany... To najbogatszy i najślawniejszy z handlarzy niewolników w całym Dar Sennaar. Czyni on wyprawy na niewolników aż do Fodii, a nawet dalej jeszcze na zachód, i również tak daleko zapuszcza się na wschód, poza Atbarę, do brzegu Morza Czerwonego, pomimo, że tam przyplływają okręty z Europy i liczni Francuzi. Nazywa on się właściwie Tamek Bogaty, gdyż bogatszy jest od pięciu baszów razem wziętych; ale ze względu na szerokie jego stosunki handlowe nazywają go tu Abu Rekwik. Zakupił nas w Salamat i przytransportował tu dla odsprzedaży, oczywiście z dużym zyskiem, handlarzom z Omm Karn. Stąd miano nas pędzić przez Karkog do Atbary.

— Więc handluje on nawet wyznawcami proroka? Haza nazieb! Hańba mu!

— O tak, u niego tak poganin jak i wierny, nie są niczym innym, tylko towarem, i na nic nie ma względów, byle mu dobrze zapłacono. Bodaj mu za to twarz poczerniała w dniu sądu Allacha na węgiel...

— No, wiemy już, kto jesteś, effendi — rzekł po chwili milczenia — ale i ty musisz się dowiedzieć, cośmy za jedni. Otóż należymy do oddziału el Homr, wielkiego szczepu Bagara. Dostaliśmy się do niewoli, podstępnie napadnięci podczas snu przez Barabrów, z którymi prowadziliśmy walki. Wspominam tu o tym, ażebyś nie wziął nas za tchórzów. Następnie Abu Rekwik zakupił nas...

— Zbytecznie się zastrzegasz że posądzę was o tchórzostwo, gdyż wiadomo mi, że El Homrowie odznaczają się wielką dzielnością i odwagą. Wiem o tym, że, jako niestrwożeni mistrzowie miecza rzucają się bez strzelby na słonia i nosorożca.

— Cieszy mnie, effendi, że wiesz o tych szczegółach z życia naszego, a mam nadzieję, że osobiście przekonasz się o naszej waleczności, gdy przyjdzie do rozprawy z tymi handlarzami niewolników.

— Ależ do ich ukarania nie trzeba wcale waleczności; a gdybym ich nawet teraz uwolnił i pozwolił się bronić, to przecie was jest sześćdziesięciu, ich zaś tylko czternastu. Zresztą nie wy rozprawicie się z nimi, bo oddam ich reisowi effendinie.

Nie bardzo się spodobało moje oświadczenie wojowniczym synom El Homr i dopiero po długich targach i perswazjach ów, który dotychczas ze mną mówił w imieniu swych towarzyszy odstąpił od żądań, zostawiając ukaranie handlarzy reisowi. Był to, jak się okazało, nauczyciel walk całego szczepu i jako taki miał pewne poważanie u reszty towarzyszy.

Uwolnieni przez nas „mistrze miecza” w ciągu uciążliwej swej w tak okropnych warunkach podróży nacierpieli się też głodu, więc teraz zabrali się skwapliwie do zapasów durny, trąc ją między kamieniami; inni poszli się kąpać, szukając w wodzie ulgi od ukąszeń, jakie im zadały komary. Ze startego prosa przyrządzono wnet kaszę, na którą rzucili się wszyscy z ogromnym apetytem, jedząc ją oczywiście palcami, które im zastępowały nie tylko łyżki, noże i widelce, ale nawet serwety i inne podobne przybory stołowe.

Co do obezwładnionych handlarzy to oczywiście położenie ich było nie do pozadzroszczenia. Tak niedawno pewni siebie i bezpieczni zmuszeni zostali zamienić się rolą z dotychczasowymi swymi jeńcami, a cios ten spadł na nich tak nagle, jak piorun z jasnego nieba. Wiedzieli dobrze, co ich czeka, gdy się dostaną w ręce srogiego reisa effendiny; wiedziałem i ja o ich bliskim losie i przyznam, że w pierwszej chwili nurtowała we mnie chęć puszczenia ich na cztery wiatry. Ale z drugiej strony... nie należało czynić tego, bo ileż to ludzi mogliby jeszcze unieszczęśliwić na wolności, a zbrodnie ich zaciążyłyby wówczas na moim sumieniu. Uznałem więc, że lepiej będzie, gdy dostawię ich w ręce reisa effendiny, lecz mienie — należało do mnie i do moich pomocników. Postanowiłem nie dać reisowi z tego łupu; dosyć już upokorzeń doznałem od niego i nie miałem ochoty być jego dobroczyńcą jeszcze teraz!

Przedsięwziąwszy wraz z Ben Nilem rewizję tłumoków i siodeł na wielbłądach znaleźliśmy znakomitą zdobycz dla naszych asakerów. W jednym tylko siodle dowódcy były cztery spore woreczki proszku złota, które dla biedaków stanowiło okazały majątek. Był to kapitał obrotowy handlarza. Znaleźliśmy też i próżne woreczki, przygotowane widać na jutrzejszy targ...

Zawoławszy swoich asakerów na bok, podzieliłem złoto na sześć części, z których Ben Nil otrzymał dwie, a każdy z asakerów po jednej. Radość ich nie miała granic, zakazałem im jednak okazywać ją publicznie, ażeby El Homrowie nie dowiedzieli się, jak znakomity łup wpadł nam w ręce i nie domagali się jego części dla siebie.

Niepokoili tylko moich dzielnych asakerów troska, czy reis effendina nie zechce odebrać tak świetnej zdobyczy. Ale zapewniłem ich, że o tym mowy być nie może, bo skądżeby wiedział, ile łupu zabraliśmy i kto się nim obłowił.

Ponieważ zdobycz w złocie była bardzo znaczna, asakerowie zrzekli się reszty łupu w naturze, prosząc, abym nim sam rozporządził. Oświadczyłem tedy szechowi El Homrowi, że wielbłądy, broń i całe mienie, zdobyte na handlarzach, z wyjątkiem złota, jest do podziału między jego ludzi. Wywołało to wśród nich wielką radość, bo, słysząc ode mnie, że uważam jeńców za swoją wyłączną własność, nie spodziewali się też żadnej darowizny z ich majątku. Pozwoliłem im zająć się natychmiast podziałem tych łupów pomiędzy siebie, więc zabrali się zaraz do roboty, rozwijając przede wszystkim z koców i der samych jeńców i wypróżniając im kieszenie.

Nie przypuszczałem, że jeńcy dadzą się ograbić z takim spokojem i nawet bez jednego obelżywego wyrazu lub przekleństwa. Widocznie działał na nich jeszcze do tej chwili przestrah z powodu tak nagłej i niespodziewanej klęski. Tylko Abu Rekwik, do którego zabrano się na samym ostatku, zachował się wyzywająco, a gdy mu Ben Nil sięgnął do kieszeni, by wydobyć ich zawartość, łotr głosem pełnym oburzenia i gniewu zawołał:

— A to co znowu!? Miałżebyś wpaść w ręce zwykłych zbójów, którzy chcą mnie obrabować do ostatniej nitki?

— Cicho bądź, nicponiu! — Odciął się Ben Nil — nie gadaj nam o zbójach i rabunku, bo najpodlejszym rabusiem i złodziejem jesteś ty sam! A żeśmy cię schwytali na niecnej robocie, mamy prawo zabrać wszystko, co masz. Prawo to obowiązuje tutaj nie od dziś, jak ci dobrze wiadomo.

— Inaczej przemawiałbyś do mnie, gdybyś wiedział, kto jestem. Potęga moja jest tak wielka, że na jedno moje słowo zginiecie wszyscy!

— Wypowiedz je, słuchamy! Jestem ciekaw, w jaki to sposób mielibyśmy zginąć. Wszak jeżeli komu, to przede wszystkim tobie do śmierci niedaleko...

— Nie szydź! Jestem Tamek Bogaty, którego zowią również Abu Rekwik!

— Wiem o tym. Ale najzupełniej mi to obojętne, kto jesteś i czy nazywają cię Abu Rekwik, czy też Tamek łajdak. W naszych oczach mniej wart jesteś od pierwszego lepszego pastucha kóz, bo on jest człowiekiem uczciwej pracy, podczas gdy ty należysz do kategorii łotrów ostatniego gatunku.

— Nie waż się, psie jeden, nazywać mnie łotrem!

— Nazwisko moje jest Ben Nil i na nim ani jedna kropelka krwi ludzkiej nie ciąży, ani też cię ludzkiej krzywdy. Strzeż się więc wymyślać mi od psów, bo tu obok mnie znajduje się pewien człowiek, który cię za to ukarze bardzo surowo!

Ben Nil, mówiąc to, miał na myśli mnie. Tamek więc na te słowa rzucił na mnie przelotne spojrzenie i rzekł po chwili:

— Człowiek ten może być sobie, kim chce, ale wara mu ode mnie i niech go Allach strzeże od wyrządzenia mi choćby najmniejszej krzywdy! Za dumny jestem na to, abym mu mówił o mej potędze; wspomnę tylko, że wielu znajomych i przyjaciół moich ujmie się za mną, śmiercią karząc każde wasze słowo, które by obrażało moją godność!

— Nie zważaj na to — ozwał się do Ben Nila. — Drab skrzeczy jak zaba, bo gęba jego do niczego innego nie jest zdolna. Wypróżnij mu kieszenie i basta!

Gdy Ben Nil zabrał się do tej roboty, handlarz począł mówić do mnie:

— Człowieku! Ostrzegałem cię, a mimo to lecisz sam w przepaść. Rób więc, co chcesz! Nie przeszkadzam.

— No, no! Czyżbyś mógł mi w ogóle przeszkodzić w czymkolwiek? Siedź lepiej cicho, bo jeżeli nie ograniczysz się w szafowaniu obelg i gróźb pod moim adresem, to będę zmuszony zamknąć ci gębę... batogiem.

— Batogiem? No, proszę! — roześmiał się szyderczo. — Powiedz mi więc, coś ty zacz, że posiadasz taką moc?

— Zobacz tylko asakerów, a przekonasz się, w czyje wpadłeś ręce.

— Na co patrzeć? Na twoich czterech asakerów? Nie wątpię, że to są złodzieje, którzy pokradli gdzieś mundury, albo włóczęgi, co uciekli z wojska; pewnie w służbie kedywa nie było im wygodnie,



bo to... tchórze!

— Są to żołnierze reisa effendiny. Czy są tchórzami najlepiej się przekonałeś z tego, że przy pomocy ich pięciu obezwładniłem was czternastu.

— A kto dał do tego prawo?

— Nikt! Nie ma bowiem człowieka, który by mnie poważał się rozkazywać. Pomagam z własnej ochoty reisowi effendinie w jego pracy nad wytępieniem łowców niewolników.

Słowa te zastanowiły handlarza. Myślał przez chwilę, co ma powiedzieć, po czym, starając się ukryć trwogę, która mu jednak z oczu była widoczną, odezwał się w końcu:

— Allach l' Allach! Czyżbyś naprawdę należał do wyprawy reisa effendiny?

— Tak, należę.

— Jesteś może Frankiem, chrześcijaninem?

— Zgadłeś.

— I nazywasz się Emir Kara Ben Nemzi Effendi?

— Tak, istotnie tak się nazywam.

— Ależ, o ile wiem, reis effendina i Kara Ben Nemzi popłynęli w głąb krajów murzyńskich...

— A mimo to widzisz mnie tutaj, i sędzę, że sprawia ci to radość. Aby jednak tym większy był twój zachwyt, powiem ci, że ukaraliśmy śmiercią paru nicponi, którzy zapewne są twoimi dobrymi znajomymi, a mianowicie Abd Asla i Ibn Asla.

— Allach kerim! Czyżby Ibn Asl już nie żył? Czyżbyś mówił prawdę, effendi?

— Kara Ben Nemzi nigdy nie kłamie! Uporawszy się z tymi łotrami, którzy byli zakałą ludzkości, zabraliśmy się z kolei do innych, i oto ty wśród nich jesteś pierwszy... Cóż? Wiesz teraz, jaki czeka cię koniec?

— *Maszallah!* Ibn Asl zginął! Ibn Asl, który uchodził za niezwyciężonego!

— Głupstwo! Zbrodnie i grzechy nie są w stanie nigdy osiągnąć ostatecznego zwycięstwa, chociażby przez pewien czas triumfowały. Sprawiedliwość, uczciwość, cnota zawsze i wszędzie są tą potęgą, która stawia człowieka prędzej czy później na wyżynach zwycięstwa. Przekonasz się o tym w końcu osobiście, gdyż zapewniam cię, że dzisiejsza twoja niecna wyprawa handlowa była bezwarunkowo ostatnią w twoim życiu.

Długo nie odpowiadał, rozmyślając, jak się wobec mnie zachować: czy poddać mi się pokornie, czy też wytrwać do końca w roli nieugiętego i dumnego pana. Uznał jednak, że na pokorę czas jeszcze

w ostatniej chwili, gdy zawiodą już wszystkie nadzieje; tymczasem zaś postanowił „nie ugiąć się”; można to było wyczytać z jego twarzy.

— Więc tak? — odezwał się wreszcie hardo. — Czyżby istotnie po Ibn Aslu przyszła kolej na mnie? Mnie się zdaje, że nie wierzysz w to sam!

— Owszem, nie tylko wierzę, ale jestem najmocniej o tym przekonany.

— Odstawisz więc nas reisowi effendinie?

— Rozumie się.

— Kiedy?

— Właściwie nie powinien ci tego powiedzieć, ale że nie obawiam się, aby mi moja otwartość w czymkolwiek zaszkodzić mogła, więc dowiedz się, że pozostaniemy tu kilka dni, dopóki reis effendina nie nadpłynie z góry i nie zabierze was i nas na pokład. Myśmy go wyprzedzili zaledwie o parę dni drogi.

Wiedziałem z góry, co sobie łotr pomyśli, usłyszawszy tę wiadomość, i dlatego patrzyłem mu bystro w oczy. Istotnie przez twarz jego przemknął jakby cień radości, którą też potwierdził szyderyczy ton następujących słów:

— Jestem zachwycony twą szczerością i postaram się odplacić ci równą miarką. Twoje życzenia, nadzieje i zamiary podobne są wiatrowi, który idzie przez stuletni las, a nie może ani jednej korony drzewa nachylić ku ziemi. Jeżeli nie zwrócisz mi natychmiast wolności, jutro rano znajdziecie się wszyscy w mej mocy i obejdę się z wami tak, jak wy ze mną. Daję ci to pod rozwagę i sądzę, że będziesz rozsądny i skorzystasz z mojej uprzejmości; nie pragnę bowiem waszej zguby i jestem łaskawie dla was usposobiony.

— Dziękuję ci za łaskawość, która dla mnie najzupełniej jest zbyteczną, i oświadczam, że nie mam chęci odplacać ci się w ten sam sposób. Każdy musi nieść na swych barkach własny ciężar i odpokutować własne postęпки.

— A więc jesteś zgubiony!

— Ba! Niech tylko przybędą ludzie, na których liczysz! Zamiast was uwolnić, znajdą się w tym samym położeniu, co wy teraz.

— Co za ludzie?

— No ci, z Chór Omm Karn.

— Nie znam takich wcale!

— Kłamstwo! Dwaj ludzie, których wysłałeś do nich, opowiedzieli mi, że handlarze z Chór Omm Karn przybędą tu jutro rano w celu zabrania od ciebie niewolników i zapłacenia za nich proszkiem

złota. Otóż na pomoc ich liczysz daremnie.

— Nie wiem, o czym mówisz — odparł po chwili namysłu. — Widocznie trawi cię febra i przywidują ci się rzeczy i słowa, zaczerpnięte z powietrza. Pomocy oczekuję zupełnie z innej strony i zobaczysz, że jednym kiwnięciem palca wepchnę cię na es sziret, skąd spadniesz, jak zgniły owoc z drzewa i polecisz w bezdenną przepaść piekła!

— Ach! Doprawdy ziewać mi się chce z nudy od słuchania głupich i czczych grózb twoich!

— A więc zdaje ci się, że kłamię?

— I jeszcze jak!

— Effendi, nie obrażaj mnie! Jestem wiernym muzułmaninem, a tyś przecież chrześcijanin, człowiek niższego gatunku i będąc na niższym ode mnie stanowisku, winieneś mi szacunek.

— Tym cięższy będzie twój upadek, im wyżej stoisz.

— A więc nie dasz się przekonać? Zapytaj Geriego, mego pomocnika, który tu obok mnie leży; on ci poświadczy na Allacha i proroka, że mówię prawdę.

— Jemu wierzę tyleż, co i tobie.

— Strzeż się, giaurze! — wybuchnął nagle. — Nie pozwolę na podobne drwiny!

Przystąpiłem bliżej ku niemu, grożąc:

— Ostrzegam cię po raz ostatni. Jeżeli ci się zdaje, że przewyższasz mnie swym stanowiskiem, drwię sobie z tego; ale skoro w głupocie swojej posuwasz się aż do tego stopnia, że obrażasz mnie, nie wypada mi nic innego, jak tylko zmusić cię do większej pokory.

— Co? Ja, bogaty, sławny Abu Rekwik, miałbym być pokorny przed tobą? Czymże ty jesteś, jeżeli nie niewolnikiem i ogryzaczem kości ze stołu reisa effendiny? Rad bym zobaczyć przekłętą śmiałką, który by mnie zmusił do upokorzenia się przed tobą! Dowiedz się zresztą, że właśnie islam odda ciebie w moje ręce, ów islam, który się teraz budzi ponownie z długiego snu i rozciągnie zemstę swą nad niewiernymi, a wśród innych nad tobą i twoim reisem effendiną. Wówczas będziesz musiał służyć nam jak pies!

— Więc dobrze! Sam tego chciałeś i przekonasz się, że przekłety „giaur” i „pies” będzie umiał wzbudzić w tobie pokorę. Ben Nil! Drab ten ma otrzymać natychmiast po dziesięć razy w każdą piętę. Postaraj się o to! A jeżeli go to nie skłoni do uległości, dodaj mu dziesięć!

Ben Nil nie spodziewał się po mnie takiej surowości i zamiast posłuchać, spojrział na mnie wzrokiem pytającym, jakby chciał w mych oczach wyczytać, czy nie żartuję. Gdy jednak dałem mu ręką znak, potwierdzający mą wolę, rzekł uradowany:

— Och, effendi! Gdybyś wiedział, jak wielką sprawiasz mi przyjemność! Zważyłem na razie, abys

ty, zawsze pełen zbytej i nieraz nagannej łagodności, zdobył się na tak energiczny krok. Już ja się wywiążę z zadania, jak należy.

I zwrócił się do oswobodzonych ex — niewolników:

— Chodźcie tu, dzielni wojownicy ze szczepu El Homr, wyciągnijcie swego kata na środek i połóżcie go plecami do góry... a przygniećcie go kolanami, aby się nie ruszał, nogi zaś podnieście tak, by podeszwy patrzyły prosto w niebo. Ja tymczasem wytnę z krzaka kilka prętów, które posiadają więcej mocy przekonywającej niż koran i wszyscy jego kaznodzieje.

To mówiąc, podszedł do najbliższego krzaka i zaopatrzył się w kilka giętkich prętów, podczas gdy El Homrowie z gorączkową niemal skwapliwością wykonali jego rozkaz, pomimo oporu delikwenta.

Gdyby łotr prosił o przebaczenie, to kto wie, czy bym nie cofnął surowego bądź co bądź wyroku za kilka złośliwych zdań. Ale on ani myślał o tym — przeciwnie, począł miotać na mnie przekleństwa i obelgi, wobec czego byłem zmuszony podwyższyć mu liczbę razów.

Gdy to usłyszał mulazim, rzekł mu ostrzegająco:

— Lepiej milcz, stary! Widzisz przecie, że bezsilnym miotaniem się i zjadliwym językiem pogarszasz tylko sytuację. Jeżeli nie utrzymasz na wodzy złośliwej gadaniny, powiększysz tylko sumę przeznaczonych ci razów do pięćdziesięciu, albo i więcej.

To ostrzeżenie ułagodziło go. Zamilkł, ale o łaskę nie prosił — nie dozwalała mu na to nieokiełznana pycha. Kilku Homrów zgłosiło się na ochotnika do wymierzenia łotrowi kary, ale Ben Nil odparł:

— Och, nie! Jesteście wygłodzeni i słabi, podczas gdy mnie wcale sił nie brakuje i pokażę temu drabowi, jak się wynagradza pychę i zarozumiałstwo. Trzymajcie go tylko, a mocno! Zaczynam.

Homrowie zgromadzili się wokoło swego dręczyciela dla przypatrzenia się egzekucji. Co do mnie — nie chciałem być jej świadkiem i odszedłem na bok.

Wkrótce też usłyszałem odgłos spadających na pięty draba uderzeń oraz głośnie pokwitowania ich odbioru przez ćwiczonego, który wył jak dzikie zwierzę. Nie liczyłem tych razów i usiłowałem nie słyszeć krzyków, powtarzających się za każdym uderzeniem. Gdy ustały one nareszcie, a właściwie przemieniły się w ciche, przytłumione jęki, widzowie rozstąpili się, a Ben Nil przybiegł do mnie, meldując:

— Effendi, spełniłem rozkaz, i powinieneś być ze mnie zadowolony bardziej, niż kiedykolwiek.

— Dlaczego?

— Bo wymierzyłem mu dwadzieścia pięć, zamiast dwudziestu.

— Z jakiegoż to powodu dodałeś pięć?

— A bo tak mi szło składnie, że ręka nie mogła się powstrzymać w rozmachu i dorzuciła mu jeszcze te kilka uderzeń. Leży teraz jak nieżywy. Co z nim zrobić?

— Zanieście go tam, nad kałużę, i połóżcie koło tego krzaka akacji, a za towarzysza dajcie mu mulazima. Tylko trzeba ich dobrze zabezpieczyć; najlepiej przymocować do palów, wbitych w ziemię.

— Po co to wszystko?

— Nie przypominasz sobie, jak to podsłuchałem Abd Asla nad źródłem, gdzie zabiłem lwa z El Teitel?

— Owszem.

— Otóż w ten sam sposób muszę podsłuchać i tego draba. Groził przecież, że islam zgotuje mi straszny los, a groźba ta ma pewne znaczenie, które muszę wyjaśnić. Gdy ich obu umieścimy samotnie na stronie, w pewnym oddaleniu od warty, będą niezawodnie rozmawiali ze sobą o ważnych rzeczach; wówczas podsunę się do nich ostrożnie i podsłucham. Trzeba jednak urządzić to w ten sposób, aby byli pewni, że nikogo koło nich nie ma.

— Już ja to urządzę, effendi! Homrowie zgromadzą się w jednym miejscu i będą się zachowywali tak, jakby rozdzielano między nich zdobycz; ty będziesz wśród nich. Ja tymczasem z kilkoma asakerami zawlokę obu jeńców na wskazane miejsce i postaram się, aby byli odwróceny plecami od miejsca, skąd chyłkiem dostaniesz się aż pod krzak. Następnie powrócę do Homrów i udam, że rozmawiam z tobą. W ten sposób łotry będą mieli pewność, że w pobliżu nich nie ma ani żywego ducha.

Ben Nil nauczył się już ode mnie wielu rzeczy, jak to wynika choćby z przytoczonego projektu, na który chętnie się zgodziwszy i znalazłem się niebawem w pobliżu jeńców za krzakiem.

Z początku nic z sobą nie mówili. Widocznie Abu Rekwik odczuwał jeszcze ból w podszwach, bo jęczał ustawicznie i wzdychał. Jęki te jednak i westchnienia nie wywołały we mnie litości, bom sobie zaraz uprzytomnił, jak to on z niezrównanym okrucieństwem zameczał na śmierć biednych niewolników, skoro mu tylko choćby najmniejszy stawiali opór i nie odczuwał wcale z tego powodu wyrzutów sumienia.

Musiało się nareszcie sprzykrzyć łotrom milczenie, bo mulazim odezwał się pierwszy:

— Kto by to wczoraj pomyślał, że dziś spotka nas tak smutny los! Zapewne sam diabeł napędził tutaj te psy. Byli tak daleko stąd i lichy ich wie, jakim sposobem znaleźli się nagle aż tutaj, i to właśnie w chwili, gdy się wszystko dla nas tak pięknie układało! Gdyby się tak spóźnili chociaż o jeden dzień, interes nasz poszedłby, jak po maśle... Czy bardzo dokuczają ci rany, panie?

— Głupiś! — odrzekł Abu Rekwik, ciągle jęcząc jak zranione bydło. — Mam że śmiać się, gdy mi niemal kości wyłażą z ciała? Bodajby ten pies chrześcijański wpadł w taki zakątek piekła, gdzie diabli bez ustanku walą potępionych drucianymi prętami!

— Zaszкодziłeś sam sobie; byłbyś dostał tylko dziesięć, lecz skoro zacząłeś go lżyć...

— Milcz! — przerwał rozwścieczony — obejdę się bez twoich uwag! Wiem, co czynię i umyślnie zachowałem się tak, aby go nastraszyć.

— Allah! Toż sądzę, że słyszeliśmy dosyć o nim i wiemy, że nie boi się żadnej groźby. Łagodny szelma jak kobieta, ale gdy mu kto dokuczy... Chciałbym wiedzieć, dlaczego nas tu przeniósł na osobność.

— Bo, mimo swej dumy i pewności siebie, obawia się nas. Nie chce widocznie, abyśmy byli świadkami tego co robią i abyśmy nie słyszeli ich rozmów. Przysięgłbym, że obawia się abyśmy nie uwolnili się z jego mocy i nie uciekli mu sprzed nosa; bo gdyby istotnie to nastąpiło, łatwo pojąć, jak niebezpieczną byłaby dla niego okoliczność, żeśmy słyszeli, co planuje, i przewidzieli jego zamiary na przyszłość. Dlatego to kazał nas usunąć na stronę.

— A może uczynił to, aby nas podsłuchać...

— Głupie rozumowanie! Siedział przecież pośrodku Homrów, gdy nas stamtąd zabierano i sam widziałeś... Ale słuchaj! Ben Nil mówi do kogoś, nazywając go „effendi”... rozmawia więc z nim zapewne.

— Tak jest... słyszę... znów powtórzył wyraz „effendi”... Niezawodnie rozmawia z nim właśnie, możemy więc porozumieć się z sobą swobodnie. A śpieszmy się, bo może nam tu nasłać jakiegoś dozorcę. Otóż, czy sądzisz, że ludzie z Chor Omm Karn będą w stanie uwolnić nas?

— Na pewno.

— Obawiam się, że nie przeczuwając niczego, wpadną im w ręce! Pies chrześcijański wspominał przecież, że ich pochwyci...

— Ostrzegę ich, skoro tylko się pojawią. Wystarczy jedno głośno wypowiedziane zdanie, żeśmy obezwładnieni, a uczynią wszystko, co w ich mocy, aby nas uwolnić.

— Tak, jeżeli nas przedtem nie zabije!

— Ech, przecie nie jest zbójem. Słyszałeś przecież, że przelewa krew jedynie w wypadkach ostatecznych. Jestem pewien, że ma zamiar oddać nas w ręce reisa effendiny, a nim to nastąpi, nie mamy wcale potrzeby obawiać się śmierci i możemy liczyć właśnie na pomoc naszych ludzi, bo gdy Kara Ben Nemzi spostrzeże, że uprzedziłem ich o naszej pozycji i że nas zechcą odbić, cofnie się stąd szybko gdzie indziej, a tamci podążą za nim i...

Urwał nagle, a oczy gniewem zemsty mu nabiegły, pierś zaś, jakby jej tchu zabrakło, falować poczęła ze świstem.

— No i? — pytał mulazim.

— I czeka go straszliwy koniec! Przede wszystkim każe go oćwiczyć, ale tak, żeby mu kości na

wierzch powyłaziły, a potem uczynię go niewolnikiem do własnych usług i będę go dręczył na każdym kroku, aby z tej męczarni zdechł wreszcie. Niedługi będzie jego żywot w takich warunkach, ale okropny. Szkoda tylko, że stracimy kilka dni tak drogiego czasu i opóźnimy przybycie nasze do El Michbaja, gdzie z taką niecierpliwością nas oczekują.

— Ba! Najgorsze, że rany twoje nieprędko się zagoją i przez długi czas będziemy musieli wsadzać cię na wielbłąda.

— Udamy się do El Michbaja na łodzi.

— A skądże ją weźmiesz?

— Od tego psa chrześcijańskiego. Sam przecież powiedział, że popłynął naprzód z okrętu reisa effendiny i możesz się domyślić, że nie na belce, ale musi tu mieć gdzieś doskonałą łódź, należącą do okrętu. Ukrył ją zapewne niedaleko stąd i bez trudności ją odnajdziemy. W tej to łodzi powiosłuję do El Michbaja, ty zaś przetransportujesz karawanę drogą lądową. Mam też nadzieję, że odbierzemy od tych wściekłych psów całe nasze mienie. Jest zaś ono nie byle jakie; sam proszek złoty, będący moją własnością, stanowi dużą wartość. A ponadto, prócz majątku, posiadam rzecz sto razy większej wartości...

— Cóż takiego?

— Czarodziejski karabin effendiego. Ten klejnot ma on zapewne przy sobie, bo jak słyszałem, strzeże go jak oka w głowie, i nikomu nie powierza. A skoro tylko zostanę właścicielem tego cudownego narzędzia śmierci zasłynę na cały Sudan jako niezwyciężony bohater! Przyznasz więc, że tego rodzaju zdobycz wynagrodzi mi stokrotnie chłostę, niestety obronić się nie miałem sposobu. Och, jak boli!...

— A gdyby reis effendina przybył, zanim jeszcze odzyskamy wolność?

— W takim razie bylibyśmy zgubieni, gdyż ten wysłaniec diabła bez wątpienia ukarałby nas śmiercią. Na szczęście, jak to wywnioskowałem ze słów giaura, reis przybędzie dopiero za kilka dni, podczas gdy ludzie z Omm Karn zjawią się tu już jutro!

— Oddział nasz liczyłby więc razem dwudziestu sześciu walecznych wojowników... O Allah! Gdyby tak rzucić się na okręt reisa i zabrać go!...

— No, to za śmiałe rojenia! Jeżeli byśmy nawet pokusili się o zdobycie go, to przy tym przedsięwzięciu poległoby z naszej strony tylu ludzi, że nie warta byłaby skórka za wyprawkę, a niedobitki nie umiały by nawet obchodzić się z okrętem i bez tych wysiłków zresztą wpadnie on w moje ręce wraz z resem i całą załogą.

— Koło El Michbaja?

— Tak jest.

— Czy straż czuwa tam ustawicznie?

— I w dzień i w nocy; tak rozporządził „święty”. Zawziął się on na reisa effendinę i postanowił go zgładzić ze świata. A nikt nie wie, jaka jest przyczyna tego wyroku. Widocznie doznał od niego jakiejś wielkiej obrazy, której, jako święty, przebaczyć mu nie może. A trzeba wiedzieć, że „święty” uważa handel niewolnikami, jako rzecz nie tylko dozwoloną, ale nawet nakazaną przez Allacha oraz proroka! Czy znasz miejsce, w którym znajduje się El Michbaja?

— Nie znam.

— Łatwo tę miejscowość zapamiętać. Nil płynie tam prosto, jak pod sznur, i każdy zbliżający się z góry okręt spostrzec stamtąd można na bardzo daleką odległość; potem rzeka skręca nagle w bok, tworząc wysunięty daleko półwysep, pokryty gęstym lasem. Otóż w tym właśnie lesie znajduje się El Michbaja, gdzie nas oczekują z niecierpliwością, bo podobno mają nader obfity połów. Ostatni posłaniec stamtąd oznajmił mi w sekrecie, że towar składa się nie tylko z czarnych, ale w znacznej części i z białych. Domyślałem się, że ci ostatni musieli być komuś niewygodni, a że nie miał odwagi uśmiercić ich, więc postanowił pozbyć się ich w sposób nie tak gwałtowny. Ja chętnie przyjmę takich, bo dostawca zazwyczaj nie tylko nie żąda za nich żadnej zapłaty, ale nieraz nawet za „zaopiekowanie się” takimi białymi dopłaca jeszcze kilkoma czarnymi. Prawdopodobnie i obecnie w El Michbaja znajduje się sporo tego wybornego towaru, gdyż inaczej nie naglił by mnie tak do zawarcia interesu.

— Czy będziesz tam rozporządzał dostateczną liczbą ludzi, aby wziąć do niewoli reisa effendinę?

— O, wystarczy ich, a przy tym obeznani są z wodą, jak ryby lub krokodyle. Zataiłem przed tobą aż do tej chwili jedną rzecz, a mianowicie, że jeden z tamtych ludzi znajduje się w naszym orszaku; przysłano mi go jako przewodnika na wypadek, gdybym chciał się tam dostać.

— Allach! Więc miałeś przede mną tajemnice? A mnie się zdawało, że obdarzyłeś mnie zupełnym zaufaniem...

— No, widzisz, nie mogłem, bom dał słowo, że tylko w ostateczności wtajemniczę kogokolwiek w całą tę sprawę. Obecnie uważam, że właśnie chwila taka nadeszła, i mogę z czystym sumieniem mówić z tobą o tym. Otóż na brzegu w pobliżu El Michbaja czuwa dzień i noc straż, ażeby, gdy się tylko okręt reisa effendiny pojawi, dać znać o tym w seribie. Łatwo ten okręt poznać po budowie.

— Zaatakują więc go?

— Tak.

— A co się stanie z jego załogą?

— W części wystrzelamy ją w bitwie, a resztę weźmie się do niewoli i sprzeda! Dwóch tylko weźmiemy żywcem: reisa effendinę i effendiego. „Święty” zapowiedział, że musi ich mieć koniecznie.

— Ale dlaczego mu tak na nich zależy?

— Nie wiem, dosyć, że rozkazał jak najsurowiej, aby tak było, a wiesz przecież, jak ślepo



słuchają go wszyscy. Źle się stało, że w tak ważnejchwili wpadliśmy w ręce tego giaura... No, ale może to wyjdzie nam na dobre...

— Jak to?

— A no, że reis effendina nadpłynie akurat wówczas, gdy będziemy się znajdowali w El Michbaja. Jestem pewien, że załoga okrętu reisa effendiny dostanie się w moje ręce za darmo. Ci, którzy nie polegną, muszą zniknąć. A ty wiesz, że gdy idzie o czyjeś zniknięcie, jestem jedynym w tym kraju mistrzem...

— Byłeś już w El Michbaja?

— Nie, ale mogę się zdać na Hubara, który mnie tam zaprowadzi.

— A! To Hubar jest owym tajemniczym wysłańcem? Co do mnie, nie dowierzałbym mu tak bardzo, bo to znany tchórz.

— Tak, że tchórz, wiem o tym, bo lęka się nawet wycia hieny w jasną, księżycową noc, Ala jako przewodnik i szpieg, jest wręcz znakomity. Polecono mi z El Michbaja, abym się z nim obchodził uprzejmie, bo to ulubieniec „świętego”. Podobno mieszkał z nim razem jeszcze na wyspie Aba i należał do najwybitniejszych uczniów i znawców reguł drogi do zbawienia.

— *Maszallah!* Kto by się był tego spodziewał po takim niedoładze, co drży już na sam dźwięk odwodzonego kurka własnej flinty!!

— Tak, ale nie wszyscy obrońcy Allacha koniecznie już muszą być bohaterami! Islam, oprócz walecznych szermierzy miecza, którzy zielony sztandar zatkną na murach wszystkich miast na świecie, potrzebuje także i mądrych, podstępnych ludzi i nieraz z jednym takim sprytnym człowiekiem można więcej dokazać, aniżeli z tysiącem asakerów, posługujących się jedynie bronią. Poucza nawet o tym ciągle Mohammed Achmed.

— Tak się nazywa ów „święty”?

— Jak to? Więc nie znałeś jego nazwiska? Wszakże mówiłem ci już o tym „świętym” niejednokrotnie. Widzę z tego, że się zanadto poświęcasz swoim osobistym sprawom i handlowi niewolników, a rzeczy takie, jak zbawienie duszy, jak islam i należące do niego wybitne osoby, nie obchodzą cię wcale. Mohammed Achmed Ibn Abdullahi był uczniem sławnego szeryfa z Samanii, Szeich Mohammeda, a odłączywszy się potem od niego przeszedł na stronę Terika el Gureszi. Wsławił się on przez to niemało i nazwał się Fakir el Fukara. Mieszkał przez jakiś czas na wyspie Aba i tam uzyskał święty tytuł, a następnie udał się do Kordofanu, ażeby poznać tam wybitnych działaczy islamu. Po powrocie stamtąd chorował długo, bo jako święty, odbywając podróż pieszo i boso, tak sobie poranił w rozpalonym piasku i na ostrych kamieniach nogi, że nie było sposobu wyleczyć ich przez długi czas. Owo jednak cierpienie wydoskonaliło go jeszcze bardziej w świętym powołaniu, a gdy począł nauczać, wnet zebrały się na około niego całe rzesze uczniów. Jest to dziś osobistość tak potężna, że pod względem wpływów, jakie wywiera na otoczenie, żaden ze świętych równać się z nim nie może. Słyszałem nawet, że ma to być Mahdi, którego oczekujemy od kilku

stuleci. Mówią ogólnie, że on podniesie na nogi całe zastępy szermierzy islamu i zdobędzie z nimi całą ziemię, zatykając zieloną chorągiew na murach wszystkich miast świata i strzechach wszystkich wsi. A że Hubar należy do najgorliwszych jego uczniów, powinienś teraz obchodzić się z nim z większym szacunkiem.

— Allah! Więc to jest Mahdi! Święty człowiek, który naucza, że handel niewolnikami nie jest grzechem?

— Przeciwnie, głosi on, że jest to cnota! Już przez tę jedną zasadę może on zwyciężyć cały świat chrześcijański, potępiający niewolnictwo. My właśnie zdobędziemy ziemię siłą naszych uzbrojonych niewolników, nad którymi psy z Zachodu tak gorliwą roztaczać chcą opiekę. Niech ich zresztą Allah połamie jeszcze prędzej, niż nadejdzie ta wielka chwila zwycięstwa islamu!

— Oby bodaj połamał Allah tego jednego chrześcijanina, który targnął się na nas i nawet miał odwagę pokaleczyć ci pięty.

— O, uczyni to Allah niezawodnie! Nie dopuści on przecież, abyśmy zginęli marnie przy pierwszych promieniach wschodzącej potęgi islamu. A teraz dosyć gawędy! Muszę mieć chwilę spokoju, aby wymyślić jakiś sposób ratunku w tym naszym nieszczęściu. Zresztą zmęczyła już mnie rozmowa i pięty jeszcze bardziej bolą... Oj, odwdzięczę ja się giaurowi, skoro go tylko w garść swą dostanę!

Przestali mówić, a Abu Rekwik jeszcze głośniej począł jęczeć, bo mu komary obsiadły poranione stopy.

Nie spodziewając się usłyszeć więcej nic ciekawego, wycofałem się ze swego stanowiska.

Ben Nil, zauważywszy mnie już z daleka wywołał rozmyślnie pewne zamieszanie wśród Homrów, co umożliwiło mi powrót bez obawy, że dwaj jeńcy mogą to zauważyć.

Nie omieszkał też Ben Nil zaraz przy pierwszym ze mną zetknięciu rzucić pytającego spojrzenia, na co mu odpowiedziałem twierdzącym skinieniem głowy. To mu wystarczyło i powrócił do swej czynności podziału zdobyczy pomiędzy El Homrów, co mnie nie interesowało.

Postanowiłem teraz rozważyć szczegółowo wszystko, co podsłuchałem, dla powzięcia planów na przyszłość i sposobów ich wykonania.

A więc Fakir el Fukara udaje teraz „świętego” i nawet uważa się za Mahdiego? Ciekawa tylko rzecz z tą jego słabością nóg, która przyczyniła mu się jeszcze do wydoskonalenia w „świętości...” Nie przyznał się oczywiście, że to reis effendina był powodem owego „doskonalenia się”, tam nad bagnami, w głębi Afryki. Zestawiwszy fakty, doszedłem do wniosku, że tu jest właśnie przyczyna nienawiści „świętego” ku reisowi effendinie i dlatego to za wszelką cenę pragnie on dostać go w swe ręce. Ale dlaczego chce się mścić na mnie? Przecież wówczas nad studnią wyostałem go niemal z samej paszczy lwa, a potem ulitowałem się nad nim, gdy leżał nad bagnem ranny i opuszczony!

Ważniejsza jednak od tej sprawa zaprzętała mi głowę. Gdzie szukać owego miejsca, nazwanego przez jeńców El Michbaja? Gdzie się znajduje owa kryjówka złoczyńców? Nie znałem miejscowości o tej nazwie w dorzeczu Nilu. Być może, iż jest to osada, założona niedawno, w owym zapewne czasie, gdyśmy bawili na Południu. Ten ostatni mój domysł zdawała się potwierdzać już sama nazwa miejscowości: El Michbaja — znaczy „kryjówka”. Niezawodnie więc będzie to rodzaj seriby gdzieś w niedostępnym górzystym lesie nad rzeką. Ale gdzie? Nie traciłem nadziei, że odnajdę tę norę, ale dopiero wówczas, gdy będzie mi znane miejsce planowanej na nas zasadzki.

Otwarcie mówiąc niewielką miałem ochotę puszczać się na wodę bez uprzedniego dowiedzenia się, gdzie właściwie zastawiono owe sidła. A tu trzeba było przecież bezzwłocznie ratować niewolników, między którymi są nawet biali.

Co więc robić? Czy ominąć ową zasadzkę po tchórzowsku? O, nie! Postanowiłem nie ustępować z drogi łotrom i wyteńczyć wszystkie siły, aby ich pokonać.

Przyszło mi na myśl, że co do położenia El Michbaja mógł mnie objaśnić szczegółowo Hubar, „najgorliwszy uczeń” nowego proroka, głoszącego, że niewolnictwo jest zasługą wobec Allacha i ludzkości. I na tę myśl, że właśnie owego „najlepszego ucznia świętego” dobrze by było namówić, aby nas zaprowadził przeciw swemu mistrzowi, zebrał mnie pusty śmiech. A byłem pewny, że uda mi się go nakłonić do swoich celów. Abu Rekwik określił go, jako przebiegłego lisa i tchórze w jednej osobie; ale ja drwiłem sobie z chytryści sudańskich lisów, a co do tchórzostwa, to nie będzie trudno wykorzystać go dla moich celów.

W tej chwili jednak nie wiedziałem nawet, który z dwunastu jeńców jest owym sławnym lisem. Aby dojść tego, wypadło mi przysłuchać się ich rozmowie, gdyż nie zabroniłem był mówić jeńcom ze sobą, z czego też korzystali w całej pełni. Począłem tedy przechadzać się wśród jeńców, zachowując się jednak odpowiednio, aby nic nie podejrzewali, i wnet wyraz „Hubaf”, obił się o moje uszy, a zauważywszy, do kogo był skierowany, poznałem ważną dla mnie osobistość. Był to mały, niepokąźny człowieczek z trzema poprzecznymi na skroniach i policzkach kreskami, z czego wywnioskowałem, że pochodzi z ludu Fundżów, najprawdopodobniej z rodziny Hammedżów, albo Berunów. Ciemna jego twarz przypominała w istocie lisa pustynnego i choćbym był niczego się o nim nie dowiedział, uważałbym go już na pierwszy rzut oka za kreaturę, której nie bardzo można dowierzać; niespokojny i ponury wzrok draba odbierał zaufanie do niego. Więc to ten ptaszek — pomyślałem sobie — ma być szermierzem islamu i wart jest więcej, niż tysiąc dzielnych asakerów!

Wydawszy rozkazy na noc podzieliłem wartę w ten sposób, że na każdym pięciu El Homrów przypadał jeden askari; a uczyniłem tak dlatego, że więcej godni byli zaufania czterej moi asakerowie, niż sześćdziesięciu El Homrów. Następnie udałem się daleko w górę *miszrah*, aby znaleźć odpowiednie miejsce na pomieszczenie jeńców, a znalazłszy je kazałem przenieść ich tam, przy czym zabraliśmy im ubrania i rozdzielili między El Homrów. Na straży postawiłem dwudziestu El Homrów i dwu asakerów.

Abu Rekwik był bardzo niezadowolony, że odsunęliśmy go tak daleko od brodu i jeszcze do tego postawiliśmy tak silną straż.

— Po co kazałeś nas zawlec aż tutaj, effendi? — pytał mnie. — Mogliśmy pozostać nad rzeką.

— Jak to, nie domyślasz się dlaczego to uczyniłem?

— Nie!

— A przecież to takie proste. Stąd nie będziecie mogli widzieć przybywających z Chor Omm Karn swych przyjaciół i oczywiście ludzie ci nie usłyszą twego wołania o pomoc.

— Allach kerim! Któż ci to podsunął tak głupią myśl, że ja pragnąłbym ich ostrzec?

— Nie pytaj. My, chrześcijanie, umiemy odgadywać myśli muzułmanów tak, jakby one były na ich czołach wypisane. Nie ulęknę się ludzi z Omm Karn i nie podążą oni za mną, ani też nie napadną na mnie i nie uwolnią was, jak również nie łudź się nadzieją, że dostaniesz mnie w swe ręce, by uczynić niewolnikiem do osobistych swych posług. Przeciwnie, będzie tak, jak powiedziałem, a mianowicie wezmę do niewoli wszystkich, którzy tu przybędą z tamtej strony rzeki. A wiesz zapewne ze słyszenia, że co postanowię, to wykonam. Teraz zaś słuchajcie wszyscy, jaki straż otrzyma rozkaz:

Gdyby któryś z jeńców wydał z siebie głośniejszy okrzyk, w tej chwili zakłuć go nożem. Tak, panie Tamek el Rhani! Szukaj pomocy u swego „świętego”, który roześle uczniów swoich na wszystkie strony świata i każe zatknąć zieloną chorągiew we wszystkich ziemiach, miastach i wsiach na ziemi. On uważa niewolnictwo za rzecz przez Allacha nie zakazaną; niechże więc pomaga ci w tym rzemiośle i niech cię uwolni, abys mógł tych, którzy cię strzegą, ująć w powrozy i sprzedać z dobrym zarobkiem...

— Bądź przeklęty! — Syknął Abu Rekwik, pieniąc się ze złości. — Odbierasz mi ostatnią nadzieję, którą pokładałem w ludziach z Omm Karn! Ale poczekaj! Nie triumfuj jeszcze, bom przy życiu i możesz tego żałować!...

Nie słuchałem już dalej pogroźek zbrodniarza i powróciłem na brzeg, aby pouczyć czterdziestu El Homrów, jak się mają zachować przy spodziewanym nadejściu bandy. Ubrania, wzięte od ludzi Abu Rekwika, oddałem tym, którzy mieli pozostać przy mnie i Ben Nilu; reszta El Homrów musiała się ukryć tymczasem, a komendę nad nimi objęli dwaj pozostali asakerzy, którzy również nie powinni byli się pokazywać ze względu na swe mundury.

Z początku miałem zamiar ułożyć El Homrów na ziemi tak, aby się zdawało, iż leżą powiązani; ale uciekanie się do tego wybiegu okazało się zbyt bezsensownym.

Uczyniwszy wszystkie przygotowania niedługo czekaliśmy na spodziewanych przyjaciół Abu Rekwika. Ukazali się oni na tamtym brzegu rzeki i poczęli przygotowywać wielki prom, do którego materiał po części przynieśli ze sobą, po części wydobyli z wiadomego sobie ukrycia. Na tę stronę przeprawili się wszyscy na raz, ale nie w tym miejscu, gdzie rzeka dzieliła się na ramiona, lecz nieco powyżej. Widocznie przeprawę po wyspach i ławicach uznali za mniej dla siebie wygodną, a doskonale zbudowana tratwa pozwalała im wybrać drogę nie tak trudną.

Przeprawiwszy się, wysiedli na ląd i uwiązali tratwę. Swobodne zachowanie się drabów

dowodziło, że czują się tu zupełnie bezpiecznie. Widać nie pierwszy raz odbierali niewolników w tym miejscu.

Spostrzegłszy nas, siedzących niedaleko brzegu, skierowali się w naszą stronę. Nie wiedziałem, czy znają osobiście Abu Rekwika, ale gdy się zbliżyli, wstałem, by ich powitać, a ludzie z mego otoczenia uczynili to samo i zamieniliśmy ze sobą zwyczajne pozdrowienie, po czym idący na czele przybyłych, widocznie dowódca, zapytał mnie:

— Gdzie znajduje się Abu Rekwik? Nie widzę go, ani też jego niewolników.

— Są niedaleko stąd, nieco wyżej — odrzekłem — i Abu Rekwik pozostał przy nich. Sądził, że przyniesiecie z sobą towary, jako cenę kupna, ale się zawiódł bardzo, słysząc, że macie płacić złotym proszkiem.

— A czy złoto nie posiada tejże wartości co towary? Zaprowadź nas zresztą do dowódcy, abyśmy zobaczyli niewolników. Spieszno nam, bo reis effendina niedaleko!

— Co? Reis effendina? — zapytałem, udając bardzo wystraszonego. — Czy to możliwe? Skąd wiecie o tym?

— Opowiedział nam o nim pewien podróżny, który przybył z Chrab el Aisz do Omm Karn. Widział jakoby okręt reisa effendiny stojący w Kuek na kotwicy. Musimy więc śpieszyć się, bo psy, które zamieszkują ten okręt, są bardzo złośliwe i kęsają na śmierć. Allachowi dzięki, że są one daleko jeszcze od brodu, który zresztą jest im nieznanym.

— Nadaremnie dziękujesz Allachowi! — rzekłem.

— Jak to nadaremnie?

— Te psy znają bród doskonale i są tutaj.

— Nie rozumiem — odrzekł, mocno zaniepokojony. — Żartujesz chyba...

— Nie żartuję. Ja właśnie jestem jednym z tej psiarni.

I przy tych słowach, zanim się spostrzegł, uderzyłem go pięścią w głowę z całej siły. Był to znak umówiony między mną a El Homrami, którzy w okamgnieniu oka wyskoczyli z kryjówki i obezwładnili przybyszów bez najmniejszej trudności, nie napotykając na żaden opór tak, że w ciągu paru minut wszyscy z przybyłej bandy leżeli powiązani nie będąc jeszcze pewnymi, czy to żart, czy też rzeczywiście zasadzka. Patrzyli na nas z bardzo głupimi minami, a przywódca krzyczał oburzony:

— Cóż to znowu za głupie żarty! Nie mamy na nie ani trochę czasu!

— Wiem, wiem — odrzekłem — ale to wcale nie jest żart. Należę, jak się domyślisz po umundurowaniu asakerów do okrętu na którym mieszkają wzmiankowane przez ciebie psy, a ci ludzie, co was powiązali, są właśnie niewolnikami, których mieliście ochotę kupić. Wydobyłem ich ze szpon Abu Rekwika biorąc go do niewoli.

Objaśnienie to otrzeźwiło draba. Patrzył na nas ze zdumieniem i trwogą ledwie mogąc wybełkotać:

— Czy... słyszę dobrze?... Czyżbyście... na... na... należeli istotnie do... r... r... reisa effendiny?

— A tak, tak! Możesz mi wierzyć.

— Ale ty... ty... sam nie jesteś reiselem?

— Nie. Ja jestem tylko jego przyjacielem.

— Przy... przyjacielem? Nie podwładnym? Allach!... W takim razie jesteś... Ben... Nemzi!...

— Do usług pana dobrodzieja, jestem nim właśnie.

I powtórzyła się tu znowuż ta sama scena, co wczoraj, gdyśmy wpadli najniespodziewaniej na karki handlarzom, przybyłym z tej strony rzeki. Nie obeszło się też i tu bez gróźb oraz grubiańskich wymyślań, co tak poruszyło Ben Nila, że prosił mnie, bym mu pozwolił na oćwiczenie plagami najzłośliwszych. Wzburzenie wśród nich doszło do ostateczności, gdy ludzie moi wzięli się do wypróżniania im kieszeni. Poczęli wyć przeraźliwie i wygrażać, aż w końcu musiałem się istotnie uciec do kija, aby ich uspokoić, co bardzo dobrze poskutkowało.

Pieniądze, znalezione u drabów, przypadły w udziale Ben Nilowi i asakerom, a inne rzeczy kazałem oddać El Homrom. Uporawszy się z tym poleciłem zawlec wszystkich czternastu jeńców na górę do tamtych. Spotkanie było dosyć obojętne; widocznie obie partie często ze sobą się widywały. Jako muzułmanie, wierzący w ślepe przeznaczenie losu, poddali się oni wprawdzie z rezygnacją smutnemu losowi, ale okoliczność, że tę niespodziankę sprawiło im tylko sześciu ludzi, między nimi zaś jeden giaur, budziła w nich straszne oburzenie i nienawiść ku mnie.

El Homrowie natomiast okazywali niesłychaną radość, bo nie tylko wyrwali się ze szpon handlarzy na wolność, ale w dodatku każdy z nich otrzymał łup składający się z odzieży, uzbrojenia, żywności i innych drobiazgów. A pragnienie zemsty nad katami było wśród nich tak wielkie, że gdyby nie moja nieugięta postawa niezawodnie powrzucałiby wszystkich jeńców do wody.

Ludzie z Omm Karn mieli również wielbłądy i zapasy niezbędne do podróży, które zostawili na tamtym brzegu pod nadzorem jednego spośród bandy. Kazałem więc odczepić od brzegu tratwę, na której przybyli i zabrawszy pewną liczbę El Homrów popłynąłem na drugą stronę. Ben Nil pozostał w roli mego zastępcy przy jeńcach.

Odnalezienie wielbłądów nie przedstawiało żadnej trudności, gdyż uwiązane były niedaleko rzeki wśród krzaków. Z jednym jedynym pilnującym ich człowiekiem rozprawiliśmy się bardzo szybko i przetransportowaliśmy następnie wszystko na tę stronę rzeki. Pomimo, że tratwa była dość obszerna, przepływaliśmy kilka razy, co trwało prawie do samego wieczora.

Tymczasem Ben Nil wyszukał dogodne miejsce na obóz i rozdzielił wśród El Homrów rozmaite czynności, a zarządzenia jego okazały się tak dobrze przemyślanymi, że zatwierdziłem je bez żadnej poprawki.

Załatwiwszy się ze wszystkim, co było najpilniejszego, kazałem przyholować naszą łódź, ukrytą opodal w gąszczu przy brzegu i urządziliśmy połów ryb przy świetle. Rezultat był bardzo dobry i cały mój orszak miał obfitą ucztę, jak również nakarmieni zostali jeńcy.

Przez całą noc kazałem palić wielkie ognie, ażeby w razie przybycia w te strony reisa effendiny zwrócić na siebie jego uwagę. Wedle moich obliczeń mógł się on tu pojawić najpóźniej do północy, a byłem pewny, że skoro tylko zobaczy ogień, każe zarzucić kotwicę i wyśle oddział wywiadowczy dla przekonania się, co za ludzie siedzą przy ognisku.

Nie doczekawszy się go tej nocy, ustawiłem na wysokim brzegu posterunek, aby go mógł w razie przybycia zauważyć. Upłynęło jednak jeszcze półtorej doby, a reis effendina się nie zjawiał.

Prawdę mówiąc, nie martwiłem się tym zbyt. Jeść było co, niebezpieczeństwo nie groziło nam żadne, a usposobienie wśród mego orszaku było znakomite.

Trzeciej doby znowu postawiłem po północy na posterunku dwóch asakerów, a zarządzenie to było koniecznym, bo jednak przyjazdu reisa effendiny należało oczekiwać w każdej chwili. Jakoż około drugiej godziny usłyszeliśmy od strony widety strzał. Był to strzał, dany przez posterunkowych asakerów na znak, że zauważyli na rzece statek. Zostawiłem Ben Nila w obozie, gdzie płonęły cztery wielkie ogniska, a zabrawszy z sobą dwóch pozostałych asakerów, zszedłem na dół do *miszrah*.

Okręt zarzucił kotwicę powyżej, w dość znacznym od nas oddaleniu.

— To nasz „Sokół” — rzekłem. — Reis effendina wyśle zapewne oficera, albo może nawet sam przybędzie tu na łodzi.

— Boję się trochę przybycia jego tutaj — zauważył jeden z asakerów, któremu zapewne chodziło o to, aby reis nie odebrał mu pieniędzy.

— Jeżeli przybędzie porucznik, to wszystko pójdzie bardzo gładko; jeżeli zaś sam reis effendina, to bardzo możliwe, że się posprzeczamy.

— No, a co potem?

— Potem postaram się, abyście wszyscy byli zadowoleni.

— Dziękujemy ci, effendi! Zdobyliśmy tyle pieniędzy, że teraz nie mamy potrzeby dłużej wysługiwać się reisowi za marną zapłatę. Gdyby jednak chciał nam odebrać nasz zarobek byłoby to dla nas klęską.

— Nie obawiajcie się. Cofnijcie się teraz w zarośla, aby was nie spostrzeżono. A gdybyście posłyszeli, że o was pytają, nie odzywajcie się; ja sam w waszym imieniu odpowiem.

Asakerowie ukryli się, a ja usiadłem na brzegu tak, aby mnie już z daleka można było spostrzec.

Po jakimś czasie zobaczyłem łódź zbliżającą się z wolna ku mnie. Sześciu ludzi wstrzymywało

jej bieg wiosłami, więc płynęła wolniej niż prądrzeki. Widocznie czyniono to z przezorności. Na dziobie łodzi stała wyniosła postać reisa effendiny we własnej osobie. Nie spostrzegłszy nikogo przy ognisku na brzegu, kazał nagle wstrzymać łódź i zawołał:

— *Bana bak heda?* Kto tam na brzegu? Odpowiedz albo strzelam!

— *Bana bak?* — odrzekłem. — Kto jest w łodzi? Odpowiedz bo i ja również dam ognia!

Poznał mnie po głosie i zapytał:

— To ty, effendi?... Oczom swym nie wierzę...

— Ja.

— Sam?

— Nie, jestem z asakerami.

— A gdzie Ben Nil?

— Chwilowo nieobecny.

— Gdzież jest? Na Matami?

— Nie, tutaj się również znajduje.

Zaklął i dodał gniewnie:

— Zaczekaj, płyniemy do ciebie.

Po chwili łódź przybiła do brzegu i reis effendina, wyskoczywszy z niej zbliżył się do mnie. Z oczu jego tryskały iskry gniewu. Chciał coś rzec, ale zobaczywszy czterech asakerów, którzy ustawili się w rząd, zgromił ich gniewnie:

— Czemuż to, zamiast na Matami, znajdujecie się tutaj, łajdaki?...

— Bo tak im rozkazałem — odrzekłem w ich imieniu.

— Tak rozkazałeś? — zapytał rozjątrzony. Czyjej to władzy podlegają? Mojej czy twojej?

— Do tej chwili mojej. Odkomenderowałeś ich przecież pod moje rozkazy.

— Tak, a teraz wracają pod moją komendę i tobie nic do nich. Byłeś na Matanii?



— Nie byłem.

— Dlaczego?

— Bo się zatrzymałem tutaj.

— Tak? A przecie miałeś wyraźny mój rozkaz udania się na Matanię.

Mówił to takim tonem jakbym był najpospolitszym askarim. Dotychczas drwiąc sobie z tego w duszy, postanowiłem okazać mu teraz, że nie zniosę dłużej jego nadętej postawy i pychy. Odrzekłem więc również wyniośle:

— A od kiedyż to możesz rozkazywać mi?

— Cóż to?!...

Szorstkie słowa moje ukłuły go dotkliwie. Cofnął się krok w tył.

— W jaki sposób przemawiasz do mnie? Czyżbyś śmiał naczelnikowi swemu wypowiadać posłuszeństwo?!

— Nie tak groźnie! — rzekłem. — Niedobrze jest zapominać się... Odpowiadam zazwyczaj takim tonem, w jakim ktoś do mnie przemawia... A grubiaństwem niewiele można u mnie zyskać, zapamiętaj to sobie!

— Allach! Więc to tak wygląda wdzięczność za dobrodziejstwa, które ci wyświadczyłem?

— Tłumacz to sobie, jak chcesz. Do żadnej zresztą wdzięczności nie poczuwam się i nie wymagam jej też dla siebie.

— Więc sądzisz, że w ten sposób zupełnie załatwiłeś rachunki ze mną?

— Najzupełniej.

— Dobrze więc... Ja również skończyłem z tobą i mogę się oddalić.

— Możesz i nie parzy mnie to, ani ziębi.

Widocznie spodziewał się, że będę go prosił o zabranie mnie na swój okręt. Ale posłyszawszy zimną, krótką i stanowczą odpowiedź, cofnął się znowu krok w tył i dodał:

— Czyś się zastanowił nad tym, że znajdujesz się nie w Kairze, lecz wśród dzikiej okolicy nad górnym Nilem?

— Wiem o tym.

— I mimo to chcesz, abym się oddalił?

— Nie przeszkadzam.

— Dobrze. Zatem wszystko między nami skończone... Gdzie jest łódź, którą ci pożyczyłem?

— Tam, o trzydzieści kroków w górę rzeki, schowana w trzcinnie...

— Zabiorę ją ze sobą...

— Jak ci się podoba.

— I cóż wtedy poczniesz? Możesz tu zginąć marnie!

— O, bądź spokojny o mnie! Mogę cię zapewnić, że prędzej będę w Chartumie i w Kairze, niż ty...

— Zwariowałeś, człowieku!... — rzekł, patrząc na mnie z ukosa; po chwili zaś dodał: — Zresztą nie mam ani czasu, ani ochoty zajmować się tobą. — A zwróciwszy się do asakerów, krzyknął: — Marsz, łajdaki, do łodzi! Wróćcie ze mną na pokład!

I wstąpił pierwszy do łódki. Asakerowie moi ociągali się chwilę, aż ich uspokoiłem:

— Płyńcie z nim; zobaczymy się niebawem znowu.

Wsiedli do łodzi, a reis effendina kazał odbić od brzegu i odezwał się do mnie na pożegnanie:

— *Maassalami!* Miej się dobrze! Brzeg należy do ciebie, ale okręt do mnie... i gdyby cię wzięła ochota wstąpić nań, dostałbyś kulą w łeb.

— Doskonale! Nie zobaczysz mnie na swym okręcie tak długo, aż sam mnie poprosisz, abym wstąpił na jego pokład. Brzeg zaś należy do mnie, ale nie będę wzorował się na tobie i bronił ci przystępu do niego...

— No! No! Jesteś bardzo łaskaw... Zostań więc sobie tutaj i... idź do diabła!

— Nie chcę mieć z nim cokolwiek do czynienia... Ale zwracam ci uwagę, że ty sam lecisz w jego objęcia razem ze wszystkimi swoimi ludźmi!

Słowa te wypowiedziałem ze szczególniejszym naciskiem i choć w tej chwili zlekceważył to moje ostrzeżenie, to byłem pewny, że potem zastanowi się nad nim. Znał mnie przecie doskonale i wiedział, że jeżeli kogoś ostrzegam, to mam ku temu usprawiedliwione powody.

Reis effendina istotnie zabrał po drodze moją łódź, i widziałem z brzegu, jak ją po przybyciu uwiązywano do okrętu. Odszedłem na bok do ogniska i usiadłszy przy nim począłem rozważać swoje położenie.

Oto znalazłem się osamotniony wśród dzikiej okolicy, zdany na łaskę i niełaskę losu. Reis effendina zabrał mi łódź, wiedząc dobrze, że nie posiadam żadnych środków do przenoszenia się z

miejsca na miejsce, prócz własnych nóg, bo wszak o zdobytych wielbłądach nie wiedział. Tu się okazał w całej pełni jego charakter!

Pomimo to nie straciłem otuchy ani na jedną chwilę. Wszak miałem oddanego sobie Ben Nila z poważnym zasobem złota w sakwach, miałem El Homrów i kilkadziesiąt wielbłądów! A w takich warunkach mogłem się śmiać z reisa effendiny i jego głupiej złośliwości. Jednak na razie ogarnął mnie wielki smutek... Bo gdzież się podziała przyjaźń łącząca nas tak niedawno serdecznymi węzłami? I co ja mu złego zrobiłem, że obszedł się ze mną tak bezwzględnie? Żądał wdzięczności, a sam, choć był mi ją winien, okazał się niewdzięcznikiem. Przyczyną zaś tego była zawiść i zazdrość, których przedtem w charakterze jego nie zauważyłem. I żal mnie ogarnął, że w duszy tej, pięknej przedtem i pogodnej, osiadły brudne plamy. Ale... prawda... wszyscyśmy słabi i ułomni grzesznicy...

Tak rozumując, zagłębiłem się w myślach, by rozliczyć się ze swoim własnym sumieniem i zapytywałem siebie, czy moje własne błędy nie spowodowały otworzenia się między nim a mną tak wielkiej przepaści. Nie znalazłem w sobie jednak nic, co by się do tego przyczyniło.

Co do obecnego położenia — wiedziałem z góry, jak się rzeczy ułożą i byłem pewny, że odniosę moralne zwycięstwo.

Wszakże nie ja lecz on sam wytworzył tak przykrą dla siebie samego przede wszystkim sytuację!

Teraz oto siedział w swej kajucie i wypytywał asakerów, jak się nam tu powodziło. Ci zaś opowiedzieli mu o wszystkim, co tu zaszło, oczywiście nie mówiąc mu o zdobyczy w pieniądzech. Wysłuchawszy asakerów przeszedł się podrażniony i wysoce podniecony kilka razy po pokładzie tam i z powrotem, walcząc z samym sobą. Moje ostrzeżenie odebrało mu resztę spokoju, napełniając go trwogą. Co robić? Sumienie wołało w nim, aby zrzucił pychę z serca i poszedł do mnie z prośbą o przebaczenie, a przezorność domagała się, aby nie lekceważył mej pomocy w groźącym mu i oczywiście wszystkim jego ludziom niebezpieczeństwie.

Rozważywszy tę okoliczność, spodziewałem się, że w ciągu nocy przybędzie do mnie. Nie pojawił się jednak. Rano „Sokół” stał jeszcze na kotwicy. Przyglądałem się mu i zauważyłem niezwykle jakiś ruch na pokładzie. Ludzie z załogi obserwowali z dala miejsce naszego postoju, gdzie w nocy błyszczał ogień i gdzie teraz się znajdowałem. Po jakimś czasie spostrzegłem, że od okrętu odczepiono małą łódkę. Wsiadł do niej reis effendina z jednym tylko wioślarem i szybko z prądem wody skierował się do miejsca, gdzie stałem, a podpłynąwszy do brzegu, zapytał mnie:

— Czy wolno mi wylądować, effendi?

— Proszę.

— Nie będziesz strzelał?

— A od kiedyż to uważasz mnie za zbója, emirze?

Wysiadł, mruknąwszy coś pod nosem, ja zaś wstałem z ziemi, patrząc nań zimno i spokojnie.

— Czemuś mi nie opowiedział, effendi, co się tu stało?

— Bo nie dałeś mi na to czasu.

— Nie mogłem pytać ciebie, gdyż od razu wystąpiłeś w wyzywającej postawie.

— Nie wzbraniam wyjawiania przede mną swych pretensji, ale z mojej strony wymówek nie usłyszysz, gdyż przykro by było mi zwalać własną winę na kogo innego.

Przeszedł się kilka razy swoim zwyczajem tam i z powrotem walcząc widocznie z fałszywą dumą, jaka mu piersi rozsadzała, po czym nagle zwrócił się ku mnie i zapytał:

— Nie masz do mnie żadnej prośby?

— Żadnej.

— I o nic nie chcesz mnie pytać?

— Niczego nie jestem ciekaw.

— I nie masz dla mnie żadnego przyjaznego słowa?

Zrozumiałem. Przybył tu, powodowany nie zalem, że mnie zostawił opuszczonego na dzikim pustkowiu, ale z obawy o własną skórę. Choć było to zupełnie wyraźne, przemogłem się jeszcze i odrzekłem:

— Co ci po słowach? Lepiej, gdy ci podam swą dłoń przyjazną.

Wyciągnąłem rękę, a on ją uchwycił, mówiąc z wymuszonym uśmiechem:

— Dziwna rzecz, że nawet najmądrzejsi popełniają nieraz wielkie głupstwa! No, ale na szczęście jest znowu wszystko dobrze. Prowadź mnie do jeńców, którzy byli tak głupi i wpadli mi w ręce. Przesłucham ich natychmiast i ukarzę.

Wypowiedział to z tak lekkim sercem, jakby szło o rzecz błahą, na przykład o zamknięcie któregoś z asakerów na parę godzin do ciemnicy. I nie czekając mej odpowiedzi, poszedł w górę.

Tego miałem już za wiele. Wrócił więc tu po to jedynie, aby mnie znowu w sposób obraźliwy usunąć na bok. Pożałowałem, że nie pozostał na pokładzie swego „Sokoła” i nie popłynął dalej. Tu odkrył się już całkowicie. Zawiść opanowała go do tego stopnia, że nawet nie był ciekawy, jak się to wszystko stało, bo pytając mnie o szczegóły czułby się wobec mnie poniżonym.

Nie poszedłem za nim, pozostając na miejscu. On zaś uszedłszy kilkanaście kroków spostrzegł, że nie idę za nim. Przystanąwszy więc, zawołał do mnie:

— Czemu nie idziesz? Nie słyszałeś, że chcę zobaczyć jeńców?

— Słyszałem.

— Chodź więc i zaprowadź mnie do nich.

— Daruj, ale nie mam ochoty.

— A to dlaczego?

— Mam ku temu powody.

— Powody? Ach, prawda! Ty zawsze i we wszystkim masz swoje powody. Zróbże mi przyjemność i wyjaw je!

To mówiąc, zawrócił ku mnie wolnym krokiem, ja zaś zapytałem go chłodno i spokojnie:

— Czy schwytałeś kogo między Kaka a Kuek?

— Nie. A dlaczego o to pytasz?

— Sądziłem, że wpadł ci w ręce jakiś łotr, którego chcesz przesłuchać teraz i ukarać.

— Nie. Miałem na myśli tych tutaj jeńców...

— A! Moich jeńców? *Maszallah!* Oni nie wpadli w ręce sami i nie tyś ich złapał. To jest rezultat moich starań; ja to wyteżyłem całą swą energię, siłę i odwagę, aby ich dostać w moje, uważasz... w moje ręce. Sami oni nie oddali się mnie. Miałem tylko pięciu do pomocy, a jednak pokonałem dwie bandy łotrów i oswobodziłem sześćdziesięciu niewolników. To nie jest tak łatwa sprawa, jak może myślisz.

— No, przestań się drożyć zbyt znacznie, effendi. Jeńcy należą do mnie i muszę ich zobaczyć, jako też zawyrokować, jaką śmiercią mają zginąć.

— Mówisz, że należą do ciebie?

— Bez wątpienia!

— Widocznie zapomniałeś swych słów, wyrzeczonych wczoraj, gdyś odbijał od tego brzegu...

— Cóż takiego?

— Okręt należy do ciebie, a brzeg do mnie.

— Przyjąłem ten warunek i bądź pewny, że nie można mnie przyrównać do książki o pustych stronicach, którą się czyta jednako: z prawa na lewo i odwrotnie...

— To znaczy, że masz śmiałość stawiać mi opór? — zapytał, marszcząc czoło.

Parsknąłem na te słowa śmiechem i odrzekłem:

— Ja zawsze mam śmiałość mówić to, co myślę i czynić tak jak mi sumienie nakazuje, pomimo, że ktoś jest innego zdania.

— Licz się ze słowami? — krzyknął tupnąwszy nogą, a wskazując ręką okręt, dodał: — Wiesz, ilu ludzi mam na pokładzie i jaką liczbą karabinów rozporządzam... jak również wiadomo ci zapewne, że mam na okręcie piękną, milutką, ciemną komórkę do zamykanie w niej tych, którzy mi opór stawiają. Widzę, że chcesz mnie doprowadzić do tego, abym użył swej mocy i ciebie w tej kajutce zamknął!...

Na te słowa chwyciłem go za ramię, aż syknął z bólu, i rzekłem:

— Śmiechu wart jesteś, nędzny niedołęgo! Zapominasz, że nie jestem twoim poddanym i nie mam obowiązku być ci posłusznym. Spróbuj tylko dostać mnie i zamknąć! Spróbuj! Ale ostrzegam, że możesz sam ocknąć się w owej komórce! A co do twoich asakerów, to zapewniam cię, że cenią mnie więcej, niż ciebie. Spróbuj, a przysięgam na wszystkich szatanów i wszystkie wasze piekła, że znajdziesz się na swym okręcie pod kluczem, a ja, jako komendant jego, pożegluję, gdzie mi się spodoba. Pozwalam ci nawet wyteńczyć wszystkie swe siły dla zmuszenia mnie do uległości. Jestem tu sam; zawołaj więc wszystkich asakerów, aby mnie ujęli. Wiele, bardzo wiele polałoby się krwi, zanim chociażby jeden z nich dostał się na brzeg, a pierwszym, którego związałbym, jak barana, byłbyś ty!

Tak groźnie nie wystąpiłem nigdy jeszcze wobec nikogo.

— Śmiesz podnosić na mnie swą rękę? — krzyknął reis, wywijając się spod mojej dłoni.

Oczy mu płonęły, rzucając ostre jak sztylet spojrzenia; zacisnąwszy kułaki, oddychał szybko, a broda to podnosiła się, to opadała.

— Dotknąłeś mnie swą ręką — wołał — i nierozważnie groziłeś mi! A wiesz, jakie będą tego następstwa?

— Wiem. Spełni się ulubiona twoja maksyma: „Biada temu, kto czyni źle!”

— Tak, biada temu, kto czyni źle! Porwałeś się na mnie, obrażając mnie. A wiesz, że posiadam prawo życia i śmierci względem wszystkich należących do mego okrętu. Że zaś i ty zaliczasz się do załogi, mam władzę nad tobą i w imieniu kedywa aresztuję. Musisz udać się ze mną na pokład mego okrętu!

Trząśł się ze wzburzenia, podczas gdy ja, zachowując spokój i zimną krew, odrzekłem:

— Imię twego kedywa jest mi najzupełniej obojętne... Nie jestem w jego służbie...

— Ale jesteś w mojej! Jako twój przełożony, którego musisz słuchać, oświadczam ci, że jesteś aresztowany!

— No, no! Czy nie żartujesz przypadkiem?

— Nie, nie żartuję, i jeżeli okażesz mi choćby cień oporu, zastrzelę cię bez dalszych ostrzeżeń!

Wydobył pistolet zza pasa, a odwiódlszy obydwie kurki, skierował lufy w pierś moją.

Tak jest — nie żartował i gdybym go nie usłuchał, gotów byłby strzelić do mnie. Zresztą nie dziwne to mi było, bo miałem tu do czynienia nie z pełnym rozwagi Europejczykiem, lecz z synem Wschodu o gorącej krwi, który nie umie panować nad swymi namiętnościami.

Jak wypadało mi uczynić? Poddać się? Na to byłem za dumny. Wolałem tedy przekonać go, że ma do czynienia nie z byle jakim lęklwym wyrostkiem.

— Schowaj broń! — krzyknąłem.

— Nie schowam, aż mi się poddasz! A radzę ci nie zwlekać. Liczę do trzech i strzelam... Raz...

Słowa „dwa” nie zdążył już wymówić, bo w oka mgnieniu wyrwałem mu jedną ręką pistolet, a drugą pochwyciwszy go pod ramię, rzuciłem go na ziemię, aż stęknęła.

— Parszywy psie! — zaryczał, usiłując wstać. — Zapłacisz mi za to... życiem!

— Ba! Kiedy się tak złożyło, że ty masz płacić pierwszy! Sam zresztą tego chciałeś.

To mówiąc, uderzyłem go pięścią w skroń, aż się rozłożył jak nieżywy.

Nie troszcząc się w pierwszej chwili o niego, zawołałem żołnierza, który siedział w łódce, a wszystko widział i słyszał. Askari wszedł na brzeg, a podbiegłszy natychmiast ku mnie ozwał się strwożony:

— Cóżes uczynił, effendi? Wiem, że słusność jest za tobą, bo byłem świadkiem wszystkiego, ale reis effendina nie spoczne prędzej, aż pomści się za ten cios.

— Nie boję się jego zemsty. Przede wszystkim powiedz mi szczerze, kto ci jest milszy: ja, czy on?

— Odpowiedź na to dałby ci każdy z asakerów jednakową — reisowi winniśmy posłuszeństwo, tobie zaś miłość.

— Dobrze. Teraz, gdy reis effendina jest chory, ja go zastąpię. Wiesz, że ja nieraz obejmowałem za niego komendę nad wami; tak będzie i teraz. Jemu nic się przez to nie stanie, a dla was wynikną korzyści. Pomóż mi go związać i przenieść wyżej na brzeg.

— A czy później nie będę za to ukarany, effendi?

— Nie obawiaj się; biorę to na własną odpowiedzialność.

— Wierzę; dotrzymujesz zawsze słowa i dlatego słucham.

Odebrałem reisowi effendinie broń i skrępowałem go własnym jego pasem, po czym wynieśliśmy

go na wysoki brzeg, gdzie Ben Nil oczekiwał mnie z wielką niecierpliwością.

Jakież zdziwienie ogarnęło nie tylko jego, ale i Homrów oraz jeńców, gdy w więzniu poznali reisa effendinę! Nie mogło im pomieścić się w głowach, jak mogłem porwać się na takiego potentata. Bo też istotnie była to z mojej strony gra bardzo niebezpieczna i gdyby choć jeden z warunków, na które liczyłem nie dopisał, najniechybniej przypłaciłbym ten krok życiem; po reisie effendinie nie mogłem spodziewać się żadnych względów. Ale... bądź co bądź, musiałem w tym wypadku chwycić się ostateczności, bo szło tu o mój honor. Jeżeli wypadło mi odegrać rolę komendanta na „Sokole”, niech już ta rola będzie w całym znaczeniu wyrazu godna sławy jaka towarzyszyła memu nazwisku w trzech częściach świata!

Zauważyłem, że handlarze niewolników radzi byli z takiego obrotu sprawy, sądzili bowiem, że ja, posprzeczawszy się z reiseffendiną, zmienię względem nich stanowisko. Żaden z nich nie wyraził jednak tego głośno. Wśród El Homrów zaś tylko szech es Sehf, który w pierwszej chwili do słowa przyjść nie mógł ze zdziwienia, zapytał mnie w jaki sposób doszło do dziwnego tego zajścia i jakie stąd będą dla jego ludzi następstwa.

Uspokoilem go, tłumacząc:

— Mimo wszystko nie jestem wrogiem reisa effendiny i chciałem tylko przekonać go, że nie uważam się za jego podwładnego. Dla was nie może stąd wyniknąć nic złego, jeżeli oczywiście zastosujecie się ściśle do moich rozkazów.

— Możesz być pewny, effendi, że nie zawiedziesz się na nas. Uczynimy wszystko, aby cię przekonać o wielkiej naszej dla ciebie wdzięczności.

— Nie żądam z waszej strony — rzekłem — żadnych ofiar; jeżeli zaś spełnicie moje życzenia, wyjdzie to raczej na dobro wasze, aniżeli na moje. Prawdopodobnie mielibyście chęć powrócić do swej ziemi tą samą drogą, jaką was pędził Abu Rekwik?

— Tak jest, bo innej drogi dla nas nie ma.

— Owszem, jest. Wielbłądy, które pozwoliłem wam tu zabrać, jako zdobycz, nie wystarczyłyby wam wszystkim, gdybyście chcieli pójść stąd od razu do swych siedzib. Jeżeli jednak udacie się ze mną na okręt reisa effendiny to zaopatrzę was w większą liczbę zwierząt wierzchowych i jucnych oraz w broń i zapasy żywności tak, że będziecie mogli wrócić do swoich o wiele wygodniejszą i bezpieczniejszą drogą Abu Hable. Stawiam tylko warunek, że żaden z was w czasie pobytu na okręcie nie będzie knuł przeciw mnie...

— Ależ za kogo nas masz, effendi? Wyratowałeś nas, obdarzyłeś zdobyczą i przyobiecujesz jeszcze więcej, my byśmy zaś mieli odpłacać ci się za to niewdzięcznością? Allach jest nam świadkiem, że gotowi jesteśmy oddać za ciebie życie, gdyby się tego okazała potrzeba!

— A więc zgadzacie się na mój projekt?

— Najzupełniej. Uczynimy wszystko, czego od nas zażadasz i z góry cię proszę w imieniu mych



współziomków, abyś, jako dowódca, uważał nas za swoich życzliwych i dzielnych podwładnych.

— Dobrze, skorzystam z waszych usług, a bądźcie pewni, że nie pożałujecie tego.

— Kiedy mamy udać się na okręt.

— Gdy powrócę stamtąd. Bo teraz udam się tam najpierw sam, aby się porozumieć z załogą...

— Co? — przerwał mi Ben Nil. — Czyżbyś chciał narażać własne życie? Jeżeli istotnie chcesz udać się na pokład, to tylko razem ze mną, effendi!

— Nie bądź tak gorący, kochany Ben Nilu. Wiem bardzo dobrze, co mogę, a czego mi nie wolno uczynić. A zresztą i dla ciebie mam nie lada trudne do spełnienia zadanie.

— Rad bym wiedzieć...

— Popłyniesz teraz łódką do okrętu, ale nie wejdiesz nań, tylko wezwiesz w moim imieniu porucznika i obu sterników, ażeby przybyli tutaj, bo chcę się z nimi rozmówić.

— Oni widzieli z okrętu, co uczyniłeś z resem effendiną...

— Tym bardziej więc są zainteresowani sprawą. Zresztą to są moi przyjaciele i tak czy owak nie odmówią. Powtarzam ci jednak, że nie wolno ci wchodzić na pokład, a tylko masz zakomunikować mój rozkaz i wrócić natychmiast. W drogę więc!

Młody zuch pokręcił głową i nic nie rzekłszy odszedł wykonać mój rozkaz. Za ledwie ucichły jego kroki, gdy reis effendina począł odzyskiwać przytomność. Rozwarłszy szeroko oczy, rozejrzał się wokoło ze zdumieniem, a poczuwszy więzy, przypomniał sobie, co zaszło między nim a mną. Natężył wszystkie siły, aby się uwolnić, a gdy mu się to nie udało, począł krzyczeć do mnie na całe gardło:

— Psie! Miałeś czelność nie tylko rzucić się na mnie, ale i związać mnie jak zbrodniarza! Moja groźba, że cię zastrzelę była zupełnie usprawiedliwiona, boś się zachował wobec mnie wyzywająco. Teraz jednak postąpię inaczej — każę cię wychłostać tak, że wolnego miejsca na twojej skórze nie pozostawię zdrowego, a potem powieszę cię, jak ostatniego złoczyńcę! Rozkazuję ci — puść mnie natychmiast!

— Powiedziałem ci już, że rozkazy swoje możesz zachować dla podwładnych. A z przyjaźni naszej kwita! Sam potargałeś jej więzy i wreszcie przyznałeś się do zamiaru zastrzelenia mnie. Było to bardzo głupio z twojej strony, bo znając mnie przedtem, wiedziałeś, jak odpowiadam na podobne postępowanie. Za wszystko, co dobrego dla ciebie zrobiłem, odpłaciłeś mi się niewdzięcznością, a nawet krzywdą. Obrzydliwa zazdrość podsunęła ci myśl wysłać mnie na Matanię, a że i w takim nawet wypadku poszczęściło mi się, postanowiłeś zgładzić mnie podle ze świata... Pożałowania godny reisie effendino! Czyżbyś przypuszczał, że mnie pod jakimkolwiek względem przewyższyłeś lub nawet dorosłeś?

Słowa te osiągnęły swój cel. Reis uczył się tak dotkniętym, że już nie słowami, ale rykiem odpowiadał na nie. Ja zaś ciągnąłem dalej:

— Biada temu, kto czyni źle! Pragnąłeś mej śmierci i oto złość twoja przeciw tobie samemu się zwróciła!

— Chcesz mnie zamordować? — syczał jak wąż. — Ale moi asakerzy pomszczą mnie!

— Ba! Powiedziałem ci już przecież, że staną oni po mojej stronie. A wiesz dobrze i o tym, że nie jestem mordercą; sam miałeś dowody, że nawet największemu wrogowi nieraz przebaczałem.

— Kpię sobie z twego przebaczenia! Sławny reis effendina, którego już samo imię śmiertelną trwogą napełnia wszystkich jego przeciwników, nie ma potrzeby prosić chrześcijanina o żadną łaskę, żadne przebaczenie!

— O, prośby są zbyteczne! Ja zwykłem przebaczać nawet bez prośby. Zwracam ci tylko uwagę, że nie boję się ani ciebie, ani twego imienia.

— W takim razie zdobądź się na odwagę, otwórz pysk i powiedz, co ze mną zamierzasz uczynić?

— Wyrażaj się przyzwoicie, gdyż będę zmuszony użyć... bata. Abu Rekwik może cię objaśnić, jaka to przyjemność...

Na te słowa moje wybuchnął znowu kilkoma nieartykułowanymi wykrzyknikami, podczas gdy ja mówiłem dalej:

— Lepiej byłoby, gdybyś przypomniał sobie słowa, któreśmy zamienili ze sobą tam nad rzeką, a w szczególności moją odpowiedź na groźbę zamknięcia mnie w milutkiej celce pod pokładem okrętu. Groźba ta spełni się, ale na tobie. Będziesz tam wkrótce zamknięty, a ja, jako reis, obejmuję okręt w posiadanie. Wolność uzyskasz oczywiście nie prędzej, aż w Chartumie.

Mój półuśmiech i ton flegmatyczny wzburzyły go do tego stopnia, że wybuchnął spazmatycznym, chorobliwym śmiechem, przerywając własne słowa, jakby się dławił:

— Tak... tak... tak... W Chartumie zarówno ciebie, jak i... wszystkich asakerów, którzy... dali się zbałamucić... powieszę... Och, jakiś ty... jakiś ty mądry!...

Odparłem całkiem poważnie:

— Istotnie, niezdolny jesteś nawet zrozumieć mnie, tak wielką jest różnica między nami. Dla wykazania tej różnicy wystarczy, gdy z twymi asakerami, bez ciebie oczywiście, urządzę na wielką skalę połów handlarzy niewolników, który właśnie dlatego się nam uda, że nie będziesz nam w nim przeszkadzał. Wielce sławny reis effendina, przybywszy do Chartumu, będzie łagodny jak baranek i nawet nikomu nie wspomni, że był zamknięty w miłej, zacisznej kajutce swego okrętu, gdyż wówczas zgasłaby natychmiast aureola tej wielkiej jego sławy. Bo cóż by powiedział pasza i kedyw, gdyby się dowiedzieli, co zaszło? Ładna historia! Reis effendina zawdzięcza wszystkie swoje powodzenia obcemu chrześcijaninowi, który umiał jego niedołążne i głupie plany w ostatniej nieraz chwili naprawić z narażeniem nawet własnego życia. I tenże reis, zamiast mu być wdzięcznym, poddał się zazdrości i postanowił go zamknąć. Ale chrześcijanin był mądrzejszy niż on i wyprzedził go w skutecznieniu tego pomysłu. Więc przede wszystkim dał mu pięścią w łeb i zamknął go, a sam objął

komendę nad załogą, która pod jego kierownictwem, spełniając znakomicie swoje zadanie, zdobyła sławę, po czym doprowadził „Sokoła” do Chartumu i oddał w ręce paszy wszystkich jeńców, oświadczając przy tej sposobności, że wytępienie całej bandy Ibn Asla jemu właśnie zawdzięczać należy. Wieść o tym, rzecz prosta, obiegła wnet całe miasto i kraj tak, że nawet dzieci na ulicach i kobiety na dachach domów opowiadać będą sobie o owym chrześcijaninie. On zaś, jako dobrowolny ochotnik wyprawy, nie zaś askari zaciężny, drwić sobie będzie ze wszystkich gróźb reisa effendiny, tym bardziej, że pozostaje pod opieką swego konsula.

Przestałem mówić i przez chwilę patrzyłem na reisa, ciekaw, jakie to na nim wrażenie wywarło. Biedak wyglądał jak osłupiały; zamknął oczy i milczał. Widocznie słowa moje przekonały go, iż może być przygotowany nie tylko na ośmieszenie, ale i na skandal.

Chciałem mu jeszcze coś powiedzieć, ale podszedł w tej chwili Ben Nil i szepnął mi z cicha, mrugając:

— Przybędą, effendi, i to zaraz.

— Mówili co z tobą?

— Nic. Domagali się tylko, abym im opowiedział, jak było. Ale, pomny na twój rozkaz, odpląnąłem od okrętu natychmiast.

— Dobrze. Jestem z ciebie zadowolony, mój chłopcze. Teraz odejdę na chwilę, a ty pozostaniesz na straży przy reisie effendinie. Podczas mojej nieobecności nie wolno mu wymówić ani jednego słowa, a gdyby próbował krzyczeć, zrobisz natychmiast użytek z noża! Zrozumiałeś?

— Tak, effendi! To jeden z największych niewdzięczników jakich kiedykolwiek znałem. Bądź pewny, że w razie potrzeby nie będę go oszczędzał.

Wziął nóż do ręki i usiadł przy reisie, ja zaś poprosiłem dowódcę Homrów, aby z dziesięcioma swymi ludźmi szedł za mną nad brzeg rzeki. Tu kazałem im ukryć się w pobliżu i pouczyłem, jak się mają zachować. Byli bardzo przejęci tym wszystkim i słuchali mnie z wielką ochotą pragnąc w ten sposób okazać mi swoją wdzięczność.

Wkrótce przybyli w łodzi trzej wezwani przeze mnie z okrętu podkomendni reisa. Prócz noży, nie mieli przy sobie żadnej broni.

— Wzywałeś nas, effendi! — rzekł porucznik. — Wiemy, że Allah spuścił na nas nieszczęście... Wiemy, że pomiędzy tobą, effendi, a przełożonym naszym wynikło groźne nieporozumienie i widzieliśmy jak rzuciłeś go o ziemię, tylko nie znamy przyczyn tego smutnego zajścia. Powiedz, co się z nim stało? My, jako jego oficerowie, powinniśmy ująć się za nim i żądać od ciebie wytłumaczenia. Ale cię lubimy i wiemy, iż postępujesz zawsze uczciwie i z honorem, więc i teraz jesteśmy przekonani, że słuszność w tym wypadku jest po twojej stronie. Ben Nil oświadczył nam, że chcesz z nami porozumieć się w tej sprawie. Otóż przybyliśmy tutaj na twe wezwanie i słuchamy.

— Przede wszystkim siadajcie. Opowiem wam, jak było. Usiedli, ja zaś umieściłem się naprzeciw

tak, żeby na wypadek, gdybym wy dobył rewolwer, nie mogli przeciw mnie przedsięwziąć nic wrogiego. Nakazywała mi to przezorność, choć byłem najzupełniej przekonany, że więcej cenią i lubią mnie niż swego zwierzchnika.

Zabezpieczywszy się w ten sposób, począłem opowiadać, jak to reis od dłuższego już czasu postępował ze mną nieszczerze i nawet niehonorowo, co musiało wreszcie spowodować rozstrzygającą utarczkę między nami. Opowiadając, liczyłem się z tym, że muszę pozyskać ich w zupełności dla moich planów. Znaleźli się bądź co bądź w położeniu bardzo przykrym, i nie dziwiło mnie, że nie wiedzą, co począć. Obowiązek nakazywał stanąć po stronie zwierzchnika, przekonanie zaś po stronie mojej. Długo nie mogli zdobyć się na odpowiedź, aż zmuszony byłem przypomnieć mi, że czas nagli i prosić o ostateczne zdecydowanie się tak czy owak, na co porucznik zapytał:

— A więc reis effendina leży związany obok reszty jeńców?

— Tak.

— Co zamyślasz począć?

— Obejmę komendę nad okrętem i rozpocznę połów, o którym nic wam jeszcze nie wiadomo.

— A czy pomyślałeś tym, że my, jako żołnierze, zobowiązani jesteśmy bronić reisa effendiny, mimo przyjaznych dla ciebie uczuć?

— Owszem, rozważałem to.

— Powiedz zatem, jakie jest dla nas wyjście. Może ci się uda obmyślić taki sposób załatwienia sprawy, żeby i wilk był syty i owca cała?

— Myślałem nad tym i da się to uczynić. Ale wprzód musicie mi powiedzieć, jak usposobieni są asakerowie i jak, waszym zdaniem, zachowają się względem mnie. Czy, gdybym się udał teraz na pokład i obiecał im bogaty łup, przyrzekliby mi posłuszeństwo?

— Z pewnością. Oni względem reisa czują tylko strach, ciebie zaś lubią. Zresztą służbowe ich obowiązki kończą się z chwilą przybycia do Chartumu i niezawodnie też wystąpią oni ze służby reisa. Gdybyś zapewnił im sute zyski z wyprawy to przypuszczam, że uciekliby spod opieki reisa effendiny nawet w tej chwili, ale nie tylko o nich powinieneś myśleć, lecz i o nas zarazem.

— Owszem, pamiętam i o was, jak się zaraz przekonacie. Przede wszystkim spójrzcie na rewolwer w mej ręce. Gdyby który z was sięgnął do noża, dostałby natychmiast kulą w łeb!

— Ależ, effendi! Przecież...

— Ani słowa! Co mówię i czynię, wyjdzie wam tylko na dobre. Tam, za krzakiem, stoi jedenastu Homrów, których przywołam, aby was pozornie związali, po czym zanosą was oni do reisa effendiny, i w ten sposób unikniecie wszelkiej odpowiedzialności wobec władz. Oczywiście poza jego plecami będę się obchodził z wami jak z przyjaciółmi i nawet przyrzekam wam udział w zdobyczy.

— Ależ, effendi, gdybyśmy się nawet zgodzili na to, co zresztą stanowi niezłe wyjście, reis wścieknie się na nas, żeśmy się dali ująć!

— Nie będzie to dziwnym, bo przecież jest was tylko trzech, a nas dwunastu! Zresztą on sam nie umiał się przede mną obronić i dał się ująć... mnie jednemu; nikt mi w tym nie pomagał. Niechże więc raczej sam na siebie przede wszystkim się złości, nie na was.

— Prawda. Jak to ty jednak na wszystko masz zawsze mądrą odpowiedź! No, ale co byś zrobił, gdybyśmy się nie zgodzili na twój projekt?

— W takim razie, zamiast pozornie, uwięziłbym was na prawdę. Jeńcami więc moimi będziecie tak czy owak, bo nie obronicie się przed moim rewolwerem i jedenastoma Homrami. Wiem jednak, że macie dosyć rozsądku i nie dacie mi powodu do przelewania krwi waszej, a więc krwi przyjaciół moich. Decydujcie się więc zaraz, bo nie mam czasu do stracenia.

W duchu myślałem sobie, że łatwe zjednanie sobie i nawet narzucenie władzy mojej tym trzem ludziom jest wprost śmiechu warte. Naradzali się chwilę, po czym porucznik zdecydował:

— Zawołaj więc swoich Homrów, effendi, ale pamiętaj, że nie wolno im zdradzić, iż oddaliśmy się tobie dobrowolnie! Reis effendina powinien mniemać, żeśmy się długo i mężnie bronili.

— Postaram się o to. Wy natomiast powiedzcie mu przy sposobności, że nie może on liczyć na pomoc swoich asakerów. I jeżeli uda się wam przekonać go o tym, to znajdzie się jeszcze wygodniejsze wyjście: zwróćcie jego uwagę, że jego i was czeka niebywały skandal, gdy się ludzie o wszystkim dowiedzą; więc dla uniknięcia tego niech się lepiej skłoni do oddania mi komendy dobrowolnie, i wówczas obejdzie się bez tego, żebym was i jego trzymał w więzach. Ale pamiętajcie: muszę bezwarunkowo objąć komendę i od tego nie odstąpię pod żadnym warunkiem!

Dałem znak Homrom, którzy przybyli natychmiast i powiązali trzech oficerów, tak jednak lekko, aby im to nie dokuczało i zanieśli w miejsce, gdzie leżał skępowany reis effendina. Zobaczywszy ich, targnął się gwałtownie, jakby wobec ukazującego się widma, i byłby niezawodnie krzyczał, gdyby nie przypomniał sobie, że pod groźbą śmierci nakazałem mu milczenie. Po chwili jednak, pohamowawszy się, rzekł spokojnie:

— Chcę mówić z tobą, effendi!

— Możesz — odrzekłem — ale bądź grzeczny, chociażby przez wzgląd na swoje stanowisko, które stracisz bezpowrotnie, jeżeli nie zdołasz przystosować do swego położenia.

— Pozwolisz mi rozmówić się z tymi trzema moimi podwładnymi tak, aby nas nikt nie słyszał?

Pytanie to świadczyło, że zrozumiał nareszcie swoje położenie i doszedł do przekonania, iż nie warto szamotać się zbytnio.

Uznałem za stosowne zmienić też swój ton dotychczasowy i spytałem:

— Nawet i ja nie mogę słyszeć waszej rozmowy?

— Tak, nie chciałbym abyś był przy rozmowie tej obecny; ale najprawdopodobniej dowiesz się później o wszystkim.

— Rozwaga wzbrania mi zezwolić na to, gdyż jestem pewny, że zechcesz knuć przeciw mnie. A jednak, pomimo takiego mniemania, zgadzam się na to, żebyś się przekonał, iż nie obawiam się was wcale. Daję ci kwadrans czasu na rozmowę.

Kazałem wszystkim czterech jeńców odnieść na bok tak daleko, skąd rozmowa ich nie mogła być przez nas słyszana. Nie byłem zresztą zbyt jej ciekawy, gdyż było do przewidzenia, o czym reis effendina będzie w takich okolicznościach mówił ze swymi podwładnymi.

Jeszcze kwadrans nie upłynął, gdy przywołał mnie i zapytał cicho, aby nikt nie słyszał:

— Zamierzasz więc udać się na okręt i pozyskać sobie asakerów?

— Tak jest.

— Bądź pewny jednak, że nie dadzą się oni obalamucić!

— No, no! Nie próbuj mnie w ten sposób podchodzić. Gdybyś był mądry, to byś wiedział, co uczynić teraz.

— Mianowicie?

— Oddaj mi komendę dobrowolnie aż do Chartumu ale w zupełności, bez żadnych zastrzeżeń!

— A cóż mi za to obiecujesz?

— Wolność tobie i twoim oficerom, którzy mają mnie słuchać aż do Chartumu.

— *Allach akbar!* Chcesz mi darować to, co jest moją własnością.

— Przecież czujesz to dobrze, że jesteś pozbawiony wolności.

— Effendi, czyżbyś naprawdę uważał za możliwe, żebym ja, sławny reis effendina, zrzekł się na czyjąś rzecz całej swej władzy?

— Nie tylko jest to możliwe, ale i nieuniknione, bo tak czy owak wezmę twój okręt. A jeżeli wchodzę z tobą w pewne układy, to czynię to tylko z łaskawości swojej.

Twarz reisa znowu przybrała gniewny wyraz, ale opanował się, a westchnąwszy, rzekł:

— Ano, dałeś mi mata!

— Nie zapominaj, że mnie zaszachowałeś pierwszy i że mat twój z własnej twojej winy pochodzi.

A może, jeśli chcesz, zagramy dalej? Po tym wszystkim co zrobiłem dla ciebie wydaliliś mnie z okrętu; no, a teraz ja chcę być panem tegoż okrętu i będę nim za wszelką cenę!

— To jest zemsta, a przecież zawsze twierdziłeś, że chrześcijanin nie mści się nigdy!...

— O, nie! To nie zemsta! Lekceważyłeś mnie i poniżałeś; wystawiałem się dla ciebie na tysiące niebezpieczeństw; otóż honor nakazuje ci teraz zwrócić mi to, coś mi winien. A że zdarza ci się teraz sposobność naprawienia swej winy, bądź rozsądny i nie zwlekaj, bo w przeciwnym razie nie uwzględnię żadnej waszej prośby i wzięwszy was na pokład jako jeńców wypuszczę na wolność dopiero w Chartumie. A jeżeli mnie tam oskarżysz, to potrafię bronić się nie tylko ustnie, ale i drukiem, aby cały świat czytał i dowiedział się, że cała twoja sława którą się ciągle jeszcze pysznisz, nie należy ci się.

Na te słowa zamilkł, skrzywił się jak po zażyciu sporej dawki chininy, a po chwili namysłu rzekł:

— Dobrze, oddam ci komendę, ale uwolnij mnie natychmiast z więzów.

— Hm! Czyżbyś szukał jakiejś furtki, którą chciałbyś wyprowadzić mnie w pole? Daremne wysiłki! Pamiętaj, że ja nie dam się złowić w sieć. Drzwiczki zaś, których szukasz, znane mi są dobrze, i przekonasz się, jak mocno potrafię je zamknąć tobie przed nosem.

Najwidoczniej udając, że godzi się na moje warunki, w skrytości ducha obmyślał sposoby, może nawet niegodziwe, aby tylko pokonać mnie. A przekonany był aż do tej chwili, że jest mądrzejszy i sprytniejszy ode mnie. Wyczytałem to z jego twarzy gdy na moje słowa odrzekł z udaną szczerością:

— Furtkę? Mylisz się. Jestem gotów nawet dać ci na piśmie zrzeczenie się komendy...

To zrzeczenie się na piśmie nie przedstawiało dla mnie, rzecz prosta, żadnej wartości, bo mógł mi je wnet ukraść, bądź odebrać przemocą. Pomimo to, zgodziłem się, udając nawet zadowolonego:

— Dobrze, napisz. Papier i ołówek masz w notatniku przy sobie. Podyktuję treść, a ci oficerowie będą świadkami twego podpisu.

Rozwiązałem mu ręce, on zaś, dobywszy natychmiast z kieszeni papier i ołówek, napisał to, co podyktowałem, po czym umieścił na świstku swój podpis i wręczył mi ów „dokument”, mówiąc:

— Teraz masz zupełną pewność i możesz mnie uwolnić.

— Tylko jedno jeszcze pytanie! Jest tu napisane, że ja mam cię zastępować we wszystkim aż do Chartumu i że nawet ty sam masz mnie słuchać. Potwierdzasz to!

— Potwierdzam.

— Ci trzej świadkowie słyszeli; niechże natychmiast wrócą na okręt i ogłoszą to załodze.

— I ja wrócę z nimi.

— Ty jesteś mi jeszcze potrzebny tutaj i proszę cię o chwilę cierpliwości.

Rozwiązałem trzech oficerów i wysłałem na pokład. Ben Nil tymczasem znowu objął straż nad reiseffendiną, ja zaś udałem się do uwięzionych handlarzy, a rozwiązawszy nogi Hubarowi wyprowadziłem go w las. Był bardzo zdziwiony tym a zarazem wylęknięty.

— Jeśli się nie mylę, nazywasz się Hubar? — zapytałem go.

— Tak jest, effendi — odrzekł, drżąc na całym ciele.

— Wiesz, jaki los cię czeka?

— Śmierć, effendi, jeżeli Allah nie będzie łaskaw ustrzec mnie od niej.

— Allah jest sprawiedliwy i miłosierny. Jego sprawiedliwość zgubi twoich towarzyszy, miłosierdzie zaś jego, jeżeli okażesz się godnym tej łaski, uwolni ciebie.

— Mnie, effendi? Allah ‘1 Allah! Co mam czynić, aby być godnym tego?

— Masz odpowiedzieć dokładnie i rzetelnie na wszystkie moje pytania.

— Ależ pytaj, effendi! Będę tak szczery jakby to było w dniu sądu ostatecznego.

— Nie obiecuj wiele, bo znam cię i wiem, że co innego mówisz, a co innego myślisz.

— Mylisz się, effendi!

— No, nie zapieraj się. Wiem na przykład, że nie uważacie się za zgubionych i wierzycie w ratunek.

— Kto się dostał w ręce reisa effendiny, dla tego nie ma już żadnego ratunku. Zresztą na kogo moglibyśmy liczyć w tej niedoli?

— A El Michbaja?

Aż do tej chwili Hubar silił się na spokój i pozory szczerości, co mu się na razie udawało, ale teraz nie mógł już opanować przestachu i zająknął się:

— El Mich... ba... ja? Co to znaczy, effendi? Nie wiem... nie rozumiem...

— Ha, jeżeli nie chcesz rozumieć... Wyróżniłem cię spośród wszystkich, aby ci ulżyć w nieszczęściu; ale widocznie mało ci zależy na łasce i chcesz dobrowolnie zginąć... Na to już nie poradzę... Chodź!

I zatrzymałem się, jakbym zamierzał wrócić. Hubar zaś uląkł się i począł prosić:

— Zaczekaj jeszcze, effendi! Może sobie przypomnę...



— Gdybyś chciał istotnie przypomnieć sobie, gotów jestem dopomóc ci w tym. Michbaja jest kryjówką na pewnym półwyspie nad Nilem, gdzie ukryto dużo towaru.

— Towaru?...

— Tak. W pobliżu tej kryjówki stoi dzień i noc warta, oczekując pojawienia się naszego okrętu, na który ma być urządzony napad.

— O tym nie mam najmniejszego pojęcia, effendi!

— Tak? Może nie wiesz i o tym, że załoga ma być wymordowana lub zamieniona w niewolników i tylko dwie osoby, a mianowicie reis effendina i ja mamy być dostawieni murabitowi z Aba?

— Nie znam takiego...

— To szczególne! Nie znasz własnego mistrza! Przecież nie wyprzesz się, że jesteś uczniem Mohammeda Achmeda Ibn Abdulahi!

— Jestem zdumiony tym wszystkim. Widocznie bierzesz mnie za kogo innego...

— Niestety! Jest jeszcze coś, co wyłącznie ciebie dotyczy, a mianowicie to, że Hubar, o którym myślę został wysłany do Abu Rekwika, aby go zaprowadzić do El Michbaja. Otóż sądzę, że Hubar to nie kto inny, tylko ty...

— Ja nie jestem Hubar. Ktoś nakłamał przed tobą...

— Aha! więc nie jesteś tym, o którym mówią?

— Nie!

— No, to szkoda! Chciałem cię uratować, a byłoby to możliwe tylko wówczas, gdybyś istotnie był owym Hubarem. Połóż się, związę ci nogi!

— A... a... jakże będzie? Poniesiesz mnie na plecach? Wszak ze związanymi nogami nie wrócę sam na miejsce

— O, to bagatela! Nie wrócisz już wcale. Przez życzliwość chciałem cię ratować, jako Hubara, a że to okazało się niemożliwe więc życzliwość tę okażę ci chociaż w ten sposób, że ci oszczędzę zbyt długich trudów i mąk niewoli i... powieszę cię natychmiast.

Powiedziałem to z taką powagą, że biedak otworzył usta w kształcie dużego „O” i spojrzał na mnie osłupiałymi, pełnymi trwogi oczyma. Ja zaś dobywszy z kieszeni kawałek powroza z najzimniejszą krwią założyłem mu go na szyję. Trzął się, jak w febrze, i począł bełkotać:

— Nie zabijaj mnie, effendi! Powiem prawdę! Jestem tym, o którym myślisz.

— No, dobrze! Opisz mi więc dokładnie położenie El Michbaja.

Kłapiąc zębami ze strachu, począł mnie objaśniać, że El Michbaja znajduje się nad Bahr el Azrak, a więc w przeciwnej zupełnie stronie.

— No, no! Pozostaw kłamstwa dla kogo innego, a mnie mów prawdę. Widzę, że chcesz wskazać mi mylną drogę, bo El Michbaja leży nad Bahr el Abiad. Ale dosyć gadaniny! Gotuj się na śmierć.

— Effeendi! Ja chcę żyć, koniecznie żyć... Przysięgam, że teraz już powiem szczerą prawdę...

Opanowało go wrodzone tchórzostwo i gotów był wyśpiewać wszystko, co mi było potrzebne. Aby mu to ułatwić, rzekłem:

— Wobec twych dobrych chęci będę i ja szczerzy. Wiem i bez ciebie dobrze, że ty właśnie jesteś owym uczniem Mohammeda Achmeda Ibn Abdulahi. Dowiedziałem się o tym od samego Abu Rekwika i od Geriego.

— Jak to? Od obydwóch? — przerwał mi zdziwiony. — Wprost trudno mi uwierzyć...

— A jednak tak jest. Zdawało ci się, że ja, jako obcy w tych stronach, nie mogę wiedzieć, co się tu dzieje. Ale, jak przekonałeś się, jest całkiem przeciwnie. Oprócz Abu Rewika, nikt przecież nie wiedział, kim jesteś; on dopiero wyjawiał tajemnicę Geriemu, po czym ja dowiedziałem się o niej od nich.

— Allach, muszę ci wierzyć! Ale po co oni ci to powiedzieli?

— Czyżbyś był tak głupi, że nie domyślasz się?

— Głupi nie jestem... i nie byłem nim nigdy, i... naprawdę poczynam się domyślać... Abu Rekwik wypaplał wszystko, aby się w ten sposób uratować moim kosztem. O, kochany Abu Rekwiku! Przerachowałeś się! Moje życie cenię tak samo, jak ty swoje! Otóż, effendi, jeżeli przyrzekniesz mi ułaskawienie, to powiem wszystko.

— Dałem ci już obietnicę, że cię oszczędzę i słowa dotrzymam. Ale jeżeli w tej chwili nie określisz mi dokładnie, gdzie leży El Michbaja, to potem nie będę już żądał tego od ciebie. Gdyby zaś przyszła ci ochota okłamać mnie, to pierwszy spośród moich jeńców powędrujesz na tamten świat, a w razie bitwy przybiłbym cię do pala i wystawił w takim miejscu, gdzie najgęściej padać będą kule.

— Niechże mnie Allach obroni! Chyba żartujesz, effendi?

— Nie lubię żartów! Wasza jedyna nadzieja polega na pomocy ludzi z El Michbaja, a mogliby oni pomóc wam tylko wówczas, gdybyśmy wpadli w ich zasadzkę, nie spodziewając się niczego. Ale my wcześniej odkryjemy tę zasadzkę, tak czy owak. Ty mógłbyś mi to ułatwić i uratowałbyś się od śmierci. A nie będzie to trudne dla ciebie; bądź tylko szczerzy ze mną! Oto wszystko! Wybieraj śmierć albo życie!

— Wolę życie, effendi i dlatego ci już więcej nie skłamię.

— Przede wszystkim nie okłamałeś mnie jeszcze i nie uda ci się to nigdy. Dla pewności jednak wymagam dowodu twojej szczerości. Pamiętaj, że w razie kłamstwa zawieszysz na drzewie w przeciągu dwóch minut. Mów więc, gdzie leży El Michbaja.

— Dobrze, objaśnię cię jak najdokładniej, bo wiem, że Abu Rekwik nic mi już nie pomoże, ty zaś jesteś panem mego życia i śmierci. Znasz Bahr el Abiad od tego miejsca do wyspy Aba?

— Niestety, nie znam.

— Omija się z prawej strony Gagannedę a z lewej Omm Delgal, Omm Songur i Omm Saf. Dohsbijeh musi płynąć od ostatniej z tych miejscowości prościutko na północ, jak pod linię, całe trzy godziny, potem nagle rzeka skręca w lewo i opływa półwysep pokryty wysokim lasem. Las ten wydaje się tak gęstym, że zdawałoby się nie przeniknąłby przezeń żaden człowiek; w istocie jednak są tam trzy wąskie ukryte ścieżki, prowadzące na obszerną polanę, gdzie zbudowano rodzaj seriby. Otóż w serobie trzymają wielu niewolników, a na brzegu, skąd rozciąga się widok na rzekę daleko ku południowi, stoi dzień i noc warta.

— A więc trzy godziny drogi poniżej Omm Saf! Jest tam po prawej stronie wyspa Ain?

— Tak jest, effendi. Skoro zobaczysz dżebel Ain, będziesz jeszcze w bezpiecznym miejscu... Ale wnet zobaczy was wartownik, no i... Czy wierzysz teraz, że mówię prawdę?

— Wierzę, i dlatego obejdę się z tobą o wiele łagodniej niż się spodziewasz; na okręcie nie będziesz wcale zamknięty. Ale mam nadzieję, że i później udzielisz mi wszelkich wskazówek, gdy tego zażadam. Teraz przywiążę cię tu na pewien czas do drzewa, po czym każę cię przyprowadzić, gdyż nie chciałbym, aby towarzysze twoi widzieli, że czynię dla ciebie wyjątek. Zachowuj się spokojnie, to nic ci się złego nie stanie.

Przywiązałem go do drzewa, ale tak, by go nie bolało, i postanowiłem odosobnić go następnie od jeńców zupełnie. Gdy przyszedłem do obozu, reis effendina zwrócił się ku mnie z wyrzutem:

— Gdzie ty się włóczysz? Jak długo jeszcze myślisz męczyć mnie trzymając w powrozach? Zastosowałem się przecież do twoich warunków i teraz domagam się natychmiastowego uwolnienia!

— Owszem, uczynię to, ale najpierw muszę podążyć na pokład okrętu i przekonać się, czy wszyscy asakerzy poddali się zawartemu w twym piśmie rozkazowi i czy mogę bez przeszkody objąć komendę nad statkiem.

— Ale ja chcę być wolny zaraz!

— Wierzę, że chcesz. Pogódź się jednak z tym, że teraz ja mam zwierzchnią władzę i ma być tak, jak ja chcę.

— Człowieku, nie doprowadzaj mnie do wściekłości! Pożałujesz tego, skoro tylko wrócę na pokład!

— A widzisz, jaki jesteś niemądry! Wygadałeś się z tego, co wyczytałem z twojej twarzy jeszcze w

chwili podpisywania przez ciebie dokumentu zrzeczenia się władzy. Miało to więc być podstępem z twojej strony... Unieważniłbyś ten dokument natychmiast po powrocie na okręt i najprawdopodobniej wtrąciłbyś mnie do owej milutkiej, pięknej celki...

— Z twych słów wynika więc, że mnie wcale nie puścisz na pokład „Sokoła”? — odrzekł wzburzony do najwyższego stopnia.

— Wynika przede wszystkim to, że ja się tam udam, a co dalej nastąpi, dowiesz się niebawem.

— Do stu tysięcy diabłów? Ty, chrześcijanin, który wobec mnie jesteś zerem, ważysz się...

Nie dokończył, bo Ben chwycił go jedną ręką za gardło, a drugą skierował ku niemu nóż, grożąc:

— Milcz! Jeżeli jednym tylko słowem obrazisz jeszcze mego effendiego, to przebiję cię jak wieprza! Effendi ma słuszość i jako komendant okrętu, jest zarazem panem życia i śmierci całej załogi, do której należysz i ty! Bądź więc ostrożny!

Nie wierzyłem, aby groźba ta poskutkowała, jednak zamilkł, odwracając się.

Udzieliwszy Ben Nilowi wskazówek na czas mojej nieobecności, udałem się w las po Hubara i zabrałem go do łódki. Ja wiosłowałem, on siedział w łodzi, nieruchomy i milczący. Przybijając do okrętu, kazałem wyciągnąć przede wszystkim na górę mego jeńca i zaraz związać go, po czym sam wskoczyłem na pokład.

Cała załoga „Sokoła” wiedziała już, że objąłem nad okrętem zwierzchnictwo i powitała mnie z wielką radością. Z braku czasu nie bawiłem się w długie mowy i objaśnienia, a tylko zarządziłem, aby wszyscy z porucznikiem na czele ustawili się i przyrzekli uroczyście posłuszeństwo i wierność, potem kazałem wyciągnąć kotwicę i popłynąć aż do *miszrah*. Tu przystanęliśmy tak blisko brzegu, aby można było wygodnie wprowadzić na pokład wielbłądy.

Pomimo, że nie miałem powodu nie ufać załodze, nikomu nie pozwoliłem wyjść na ląd, aby się nikt nie zetknął z resem effendiną. Wystrzeliłem następnie z karabinu, dając tym umówiony znak Ben Nilowi do rozpoczęcia ładowania. Wpierw zeszli na brzeg Homrowie i z będącej pod ręką tratwy urządzili pomost, potem przynieśli jeńców i umieścili ich w najniższych pomieszczeniach pod pokładem, a wreszcie wprowadzono wielbłądy.

Gdy wszystko już było gotowe, kazałem wydobyć z ukrycia łódkę, którą tu przed paru dniami przybyłem i zaopatrzyć ją w niezbędne środki żywności, a następnie odkomenderowałem czterech dobrze uzbrojonych asakerów, aby się w niej usadowili i udałem się na górę, gdzie pod strażą Ben Nila leżał związany reis effendina.

— Dobrze, żeś przybył — ozwał się Ben Nil; — reis zachowywał się tak niespokojnie, że musiałem mu kilkakrotnie przykładać ostrze noża do piersi i niewiele brakowało, abym go przebił.

— Drwię sobie z twego noża! — krzyknął reis effendiną. — Ten chrześcijanin boi się swego Boga i nie pozwoli na coś podobnego. Teraz muszę dowiedzieć się, jak stoi moja sprawa. Homrowie się oddalili, handlarze również; co teraz uczynicie ze mną? Jeżeli nie uwolnicie mnie natychmiast, to po

przybyciu na pokład każę was obu powiesić! Przypominam wam, że jestem sławnym reiseffendiną, który się zbyt nie rozczula, gdy chodzi o ukaranie winnych.

— Przestań chęłpic się tą swoją sławą — przerwałem mu. — Przynajmniej wobec mnie mógłbyś o niej zamilczeć, bo znam cię dobrze. Zresztą nie mam czasu na zbytne formalności. Słuchaj! Ty, jako dowódca „Sokoła”, wysłałeś mnie w łódce z czterema ludźmi na wyspę, gdzie w twoim mniemaniu nie było nic do szukania. A jednak udał mi się tam nadzwyczajny połów, owoce którego ty tak skwapliwie chciałbyś sobie zagarnąć i zapisać moją zdobycz na rachunek swej własnej „sławy”. Obecnie ja jestem dowódcą okrętu i wysyłam cię w tej samej łódce również z czterema ludźmi na wyspę Talak Chadra, gdzie, według mego mniemania, nie ma również nadziei cokolwiek zdobyć. Jeżeli więc istotnie jesteś tak dzielny człowiekiem za jakiego się uważasz, to zapewne wzorem moim osiągniesz mimo wszystko znakomity rezultat, a ja wówczas będę tak sprawiedliwy, że nie pokuszę się o zrabowanie ci tej sławy.

Oświadczenie to wywołało w nim z początku osłupienie, a następnie niebывały wybuch wściekłości. Począł kląć jednym prawie tchem.

— Daremnie się rzucasz — rzekłem — i przekleństwa nic ci nie pomogą, a tylko wzbudzić mogą we mnie większą pogardę dla ciebie, tym bardziej, że obrażasz moją religię. Mówisz mi, że ongi wzięłeś mnie pod swoją obronę; a jednak było odwrotnie. Nie potrzebowałem od ciebie ani od nikogo żadnej opieki; przeciwnie, ty korzystałeś ustawicznie z mojej. A jeżeli miałbym być istotnie nic nieznaczącym „psem chrześcijańskim” jak mnie nazywasz, to byłoby tylko chlubą dla mnie i przysporzyłoby mi ogromnej sławy, żem bez żadnego prawie wysiłku potrafił wodzić za nos nawet „sławnego” reisa effendinę.

Chciał odpowiedzieć na to, ale nie dopuściłem go do słowa, ciągnąc dalej:

— Milcz, bo inaczej będę zmuszony użyć knebla. To, co ci teraz mam powiedzieć, dotyczy twego jedynie dobra. Odpłynę zaraz, a ty znajdziesz w łódce wszystko niezbędne do podróży. Radzę ci jednak, abyś o ile możności krył się, bo na drodze, którą masz przebyć, a na której ja cię znacznie wyprzedzę, zaczęli się ludzie z zamiarem schwytania ciebie. Oczywiście będę się starał usunąć ci z drogi wszelkie niebezpieczeństwo, ale dla wszelkiej pewności zalecam szczególniejszą ostrożność między Omm Saf a Abn Seir. Możesz być pewny, że odnajdziesz swój okręt u brzegu wyspy Talak Chadra. A co potem zechcesz zrobić to mnie nie obchodzi wcale. To twoja rzecz!

— Zniszczę cię, psie! Zmiażdżę na proch!...

— Dobrze, dobrze! Byli już tacy, którzy grozili mi w podobny sposób i poginęli sami marnie. Bądź zdrow! Niech cię Allah strzeże i ty strzeż się sam również, bo inaczej nie miałbym przyjemności zobaczyć się z tobą kiedyś...

Widziałem, że każde moje słowo sprawia niewypowiedziany ból obrażonej jego ambicji. Wrzeszczał i szarpał się jak opętany, na co już nie zwracałem uwagi.

Zabrałem Ben Nila i poszliśmy ku okrętowi. Tu rozkazałem czterem asakerom, będącym w łodzi, aby jeden z nich w pół godziny po naszym odjeździe udał się w górę *miszrah*, gdzie spotka się z

reisem effendiną.

— On wam powie do czego jesteście przeznaczeni — dodałem.

Zaledwie okręt ruszył, przystąpił do mnie porucznik, bardzo zaniepokojony, i zapytał:

— Zostawiłeś reisa effendinę? Czy jednak zastanowiłeś się nad tym, że może on zginąć sam w dzikiej i nieznannej okolicy? A wówczas co my zrobimy, gdy zażądamy od nas zemsty?

— Uspokój się; wszystko jest w porządku. Zresztą reis oddał komendę w moje ręce zupełnie legalnie, i od tej chwili przede wszystkim mnie macie słuchać. Dokument, wystawiony przez reisa effendinę oddaję w twoje ręce, abyś w razie potrzeby miał na co się powołać. Co do samego reisa, to również możecie nie obawiać się o niego; z bardzo ważnych powodów nie może on jechać z nami, bo grozi mu utrata życia z rąk złoczyńców, którzy zaczęli się na niego, i łatwo mógłby się dostać w ich ręce, gdyż nie wie, gdzie urządzono na niego zasadzkę. Uznał więc za odpowiednie pozostać w znacznej odległości za nami, byśmy mu niebezpieczeństwo usunęli z drogi.

— Hm!... — potrząsnął na to głową porucznik. — Umiesz być dyplomata, który dobrze obmyśli, zanim coś w czyn wprowadzi. A jednak sprawa może potoczyć się inaczej, niż przypuszczasz. Myśmy zawsze wierzyli w twoją uczciwość i ufaliśmy ci więcej niż reisowi, niż własnej nawet sile, gdy groziło nam niebezpieczeństwo. I teraz chciałbym zachować dla ciebie to samo zaufanie, tylko proszę cię; zapewnij mnie słowem honoru, że reisowi effendinie nic złego się nie stanie i że cała ta sprawa nie wyjdzie nam na złe.

— Dobrze, dam ci żądane słowo i zaznaczam, że zamiast złych następstw czeka was sowita nagroda.

— To mi wystarczy, effendi. Nie chcę, abyś mnie wtajemniczał w swoje plany i może lepiej będzie, gdy ich nie będę znał wcale. Widzisz, że i ja potrafię być dyplomata...

Odszedł zadowolony, a i ja rad byłem również z jego zachowania się, gdyż jeżeli z czyjejs strony, to właśnie tylko z jego mógł mi grozić opór.

Niebawem wydostaliśmy się z mielizn i zakrętów rozdzielonej tu na kilka ramion rzeki i popłynęliśmy chyżo dalej przy sprzyjającym wietrze. Teraz dopiero uczułem w sercu wielką ulgę i radość z odniesionego nad reisem effendiną zwycięstwa. Gra bowiem była ryzykowna i mogła się skończyć dla mnie niedobrze. Być może, iż miałem przed sobą większe jeszcze niebezpieczeństwo, i to bliskie, ale nie zastanawiałem się zbytnio nad nim, bo terażniejszość zajęła moje myśli.

Przede wszystkim trzeba było przekonać się osobiście, czy jeńcy należycie są zabezpieczeni a potem zająć się losem El Homrów. Zasyrywali mnie oni pytaniami, na które musiałem odpowiedzieć. Sporo czasu mi zeszło, zanim wśród nich zaprowadziłem porządek.

Po załatwieniu wreszcie różnych bieżących spraw mogłem odpocząć w kajucie reisa effendiny.

Ben Nil pozostał na pokładzie opowiadając ciekawym asakerom o naszych przejściach od chwili odłączenia się od okrętu w pobliżu Kuek. Rzecz prosta nakazałem zatrzymanie przy sobie szczegółów

zajścia między mną a reisem effendiną, a że porucznik i sternicy nie wypytywali się go zbyt w tej sprawie, więc i asakerzy milczeli, nie wiedząc nawet, że reis był związany i zmuszony przemocą do pozostania w tyle za nami.

Co do Hubara, to dotrzymując słowa, nie zamknąłem go. Podczas wnoszenia na okręt jego towarzyszy kazałem go ukryć przed ich ciekawością, a teraz pozwoliłem mu poruszać się swobodnie na pokładzie. Tylko podczas przystanków, które czyniliśmy w celu uzyskania paszy dla wielbłądów, kazałem go wiązać, żeby nie uciekł.

Podróż do Omm Saf była dosyć monotonna i nic ciekawego podczas niej nie zaszło. Zbliżając się do tej miejscowości, skierowałem okręt pod przeciwny brzeg i kazałem owinać zielenią maszty oraz ścianę okrętu od strony, skąd ukryty nieprzyjaciel mógł nas zauważyć. Ściągnęliśmy też żagle i statek nasz popłynął jedynie siłą prądu rzeki, wskutek czego jazda trwała całe trzy godziny zanim osiągnęliśmy wspomniany przez Hubara zakręt, poza którym już tylko o godzinę drogi miała znajdować się El Michbaja.

Stanąłem tu oczywiście wobec ogromnie trudnego zadania, nad którego rozwiązaniem wypadło mi dobrze zastanowić się. Nikt, oprócz Hubara, nie wiedział, dlaczego kazałem zatrzymać okręt w tym miejscu, suto ocienionym nadbrzeżnym lasem. Ogłosiłem tylko załodze, że od tej chwili począwszy zbliżamy się do bardzo ważnego punktu i że najprawdopodobniej czeka nas tu niezwykle zwycięstwo, jako też nadzwyczajna zdobycz. Ściśle jednak określonej wiadomości nie udzieliłem na razie nikomu.

Porucznik był bardzo zaintrygowany przygotowaniem, polegającym na zamaskowaniu okrętu i zasypywał mnie pytaniami, aż uznałem w końcu za możliwe wtajemniczyć go w cały plan napadu na gniazdo handlarzy. Podnieciło go to niezmiernie i byłby natychmiast wszczął alarm, gdybym mu był tego nie zabronił.

Zresztą plan mój był jeszcze bardzo nieokreślony, bo przede wszystkim nie miałem sam dokładnego pojęcia, gdzie właściwie leży wspomniane gniazdo i teraz wypadło mi posłużyć się Hubarem, któremu, nawiasem mówiąc, wciąż nie bardzo dowierzałem. Potrzebne mi wiadomości spodziewałem się wydobyć od niego jedynie środkami ostatecznymi. Kazałem tedy przywołać go do swej kajuty, dokąd porucznik miał go przyprowadzić. Nie doczekałem się go jednak; po jakimś czasie usłyszawszy na pokładzie strzał, wybiegłem natychmiast i zobaczyłem, że ludzie z załogi zgromadzili się u poręczy statku po stronie brzegu w jakimś gorączkowym ruchu. Ben Nil zaś, spostrzegłszy mnie podbiegł z dymiącym karabinem w rękę i zawołał:

— Co za szczęście, effendi, że prawie nigdy nie rozłączam się ze swoim karabinem. Gdyby nie to, byłby nam z pewnością umknął...

— Kto?

— A no ten drab; Hubar. Skoro tylko porucznik zdjął z niego powrozy, łotr roztrącił kilku stojących ludzi i skoczył na brzeg. Skok udał mu się, to prawda; ale umknąć nie zdołał, bo skoro tylko stanął na brzegu, wycelowałem i... uważasz... on, zamiast w las, skoczył... prosto do piekła!

Istotnie strzał Ben Nila był celny. Wychyliwszy się z pokładu, zobaczyłem Hubara, leżącego na

brzegu tuż nad wodą z krwawiącą głową. Chciał widocznie ostrzec mieszkańców El Michbaja i przyplącił to życiem. Niech go! Kto wie, czy mógłbym dowiedzieć się od niego cokolwiek więcej, niż to, com się już dowiedział, a być może, że wciągnąłby mnie w jakąś zasadzkę.

Porucznik był bardzo zmartwiony, że niechcący wypuścił z rąk szpiega i przyczynił się do przedwczesnej jego śmierci.

— Bylibyśmy się dowiedzieli od niego więcej o tej El Michbaja — biada! — a tak nie wiemy nic prócz tego, że to gniazdo znajduje się o godzinę drogi, jeżeli oczywiście można wierzyć udzielonym nam przez niego wskazówkom.

— Owszem, można wierzyć, gdyż ja nie łatwo daję się oszukać.

— No, to Bogu dzięki! A teraz mam pewną myśl, effendi. Zabierzmy się do innych jeńców, a wydobędziemy od nich tajemnicę.

— Oni sami nie wiedzą i szkoda tylko czasu na rozmowę z nimi.

— Ależ przecież mamy zamiar napaść na El Michbaja i nie znając miejscowości...

— Jest tu wśród nas ktoś, co nam udzieli dokładnych wiadomości o wszystkim.

— Któż to jest, effendi?

— Ja sam!...

— Allach! Czyżbyś chciał udać się sam na zwiady?

— Tak jest.

— Dajże pokój, bo narazisz się na niechybną śmierć!

— Wyszedłem zwycięsko z większych jeszcze niebezpieczeństw...

— O, nie będzie to tak łatwe! Gdy ukradkiem zapuścisz się w nieznaną okolicę możesz się najniespodziewaniej natknąć na wroga.

— A któż ci mówił, że udam się tam ukradkiem?

— Bo przecież nie otwarcie!...

— Owszem. Niewidzialny mógłbym się tam dostać jedynie w nocy; ale czyż mógłbym wówczas odnaleźć po ciemku właściwą ścieżkę? Nie! Więc pójdę tam w dzień i to tak, jak mnie widzisz.

— Niechże mnie Allach strzeże przed diabłem i wszystkimi jego wnukami i prawnukami... Poznają cię tam i pochwyciwszy, zamordują!



— Mnie się zdaje, że tam nie będzie ani jednego człowieka, który by mnie znał osobiście... chyba, że byłby to ktoś z otoczenia Abd Asla. Ale wiesz sam przecież, że ludzie jego co do jednego zostali odstawieni do Chartumu i ukarani. Zresztą przyznasz sam, że w ostatnich czasach zmieniłem się prawie nie do poznania; wychudłem i opaliłem się na słońcu tak, że wyglądam niemal jak Murzyn. Gdy zaś przyłożę sobie jeszcze na policzek plaster, to z pewnością nikt z dawnych znajomych nie pozna mnie.

— Jednak uważam, że przedsięwzięcie twoje jest zbyt ryzykowne i muszę ci je odradzać. Poradź się zresztą Ben Nila i sterników.

— Bardzo chętnie zgodzę się na zwołanie rady, ale z góry zaznaczam, że nie powinna ona trwać długo, bo muszę dostać się do El Michbaja jeszcze przed nocą!...

Zwołano tedy wspomnianą radę, a po wielu wnioskach wszyscy trzej, to jest Ben Nil i sternicy, uznali, tak jak porucznik, że wprost szaleństwem jest mój zamiar. Nie dałem się jednak przekonać i postanowiłem plan swój skutecznie. Wówczas poczciwy „Syn Nilu” zażądał, abym przynajmniej wziął go ze sobą, na co wręcz odmówiłem mu. Właściwie na zwołanie rady zgodziłem się tylko pro forma, bo już przedtem miałem niezłomne postanowienie nie stosować się do niej. Ostatecznie, musieli się z tym wszyscy pogodzić.

Przygotowania do mojej wyprawy nie wymagały wiele trudu. Przede wszystkim przylepiłem sobie na twarzy plaster, który tak wyglądał, jakby był już na niej kilka miesięcy. Następnie wziąłem od Ben Nila, a właściwie pożyczyłem na czas krótki, woreczek z proszkiem złota. Przeglądając zawartość jego znalazłem w nim pierścień Abu Rekwika; pierścień ten włożyłem sobie na palec. Broni swojej nie wziąłem, a tylko arabską flintę i nóż. Opuszczając wreszcie pokład kazałem wziąć zwłoki Hubara na statek i wywiesić je pod wieczór na maszcie, aby były z dala widoczne. Poleciałem też, aby wieczorem oświetlono pokład, a jeńców przywiązano w ten sposób, by również mogli być widziani z brzegu, zwłaszcza Abu Rekwik.

Porucznik uważał te moje zlecenia za rzecz niewłaściwą i niebezpieczną, ale Ben Nil, posłyszawszy jego uwagi zgromił go:

— Rób tak, jak ci każe effendi, bo właśnie, co się tobie wydaje głupim i bezcelowym, jest znakomitym pomysłem.

Zarządziłem również, co czynić w różnych przypadkach, a zwłaszcza gdybym do pomocy nie wrócił. Opuściłem okręt, udając się w gęsty, ciemny las.

Rozumiałem wprawdzie, że czeka mnie wielkie niebezpieczeństwo, ale powodując się znanym mi dobrze i wypróbowanym głosem wewnętrznym nie traciłem otuchy. Gdyby głos ten odradzał tę awanturę, wówczas byłbym może zawrócił z drogi; dziś właśnie dodawał mi on ochoty więcej może, niż kiedykolwiek, byłem więc pewny, że ogorzała od słońca skóra moja wyjdzie z niebezpieczeństwa cała i nienaruszona.

Droga przez zarośla i między drzewami nie była zbyt łatwa do przebycia. Pomimo to posuwałem się naprzód dosyć szybko, bądź nurkując pod krzakami, bądź przełaząc po gałęziach.

Niebawem las zrzedniał i stracił ponury wyraz, jaki miał na początku, a w końcu wydostałem się na wolną przestrzeń.

Zaznaczywszy miejsce, skąd wyszedłem, aby ułatwić sobie orientowanie, się w drodze powrotnej poszedłem dalej prosto ku północy. Miałem poza sobą może godzinę drogi, gdy nagle tuż na skraju lasu z przeciwnej strony spostrzegłem jeźdźca na koniu — zjawisko w tych stronach bardzo osobliwe, gdyż jeżdżą tu jedynie na wielbłądach.

Widok jeźdźca bynajmniej mnie nie przstraszył, i szedłem dalej wprost na niego, układając sobie w głowie, co mu powiedzieć, ale oczywiście coś takiego, w czym nie byłoby ani słowa prawdy. Bo choć kłamstwo jest rzeczą bardzo brzydką, ale w tych warunkach, w jakich się znalazłem i wobec takiego, jak mój cel, traciło ono swą brzydotę i sumienia mego nie brudziło. Zresztą należę do ludzi, którzy znają granice między kłamstwem a nieprawdą, tak, jak się ją rozróżnia między niecznym podstępem a fortelem.

Jeździec był ogromnie zdziwiony widokiem obcego człowieka w tych stronach. Zatrzymał swego konia, owiniętego w siatkę chroniącą go od much i zmierzył mnie surowym a przenikliwym wzrokiem; po chwili jednak skrzyżował ręce na piersiach i rzekł: „Salam aleikum”. Domyśliłem się z tego, że należał do wyznawców surowej reguły, która nakazuje aby jeździec pierwszy pozdrowił człowieka idącego pieszo. Odrzekłem też w jego dialekcie:

— *Aleikumus selamu wa rahmatu llai wa barakatu!* Pokój niech będzie z wami, zmiłowanie i błogosławieństwo Boże!

— Jesteś tu obcy? — spytał jeździec, biorąc pistolet do ręki.

— Tak.

— I nigdy tu jeszcze nie byłeś?

— Nigdy.

— Po cóż tu przybywasz?

— Mogę to powiedzieć tylko człowiekowi, który posiada tu władzę.

— Któż to ma być?

— Nie wiem.

Podczas szybkiej wymiany pytań i odpowiedzi patrzyłem bez cienia obawy lub zmieszania w oczy jeźdźcowi — spojrzenie zaś jego stawało się coraz surowsze.

— A wiesz, gdzie jesteś? — pytał dalej.

— Prawdopodobnie niedaleko Michbaja.

— Allach! Jesteś obcy, a jednak znasz tę nazwę! Gdzieżeś to ją podsłuchał?

— Nie miałem potrzeby podsłuchiwać; dowiedziałem się jej w drodze i najzupełniej uczciwie.

— Od kogo?

— I to mogę powiedzieć tylko gospodarzowi tej miejscowości.

— Chodź więc za mną.

Wezwanie to brzmiało nie jak rozkaz, ale raczej jak groźba. Jeździec zsiadł z konia, a puściwszy go w trawę, poprowadził mnie na przełaj przez krzaki ku wąskiej ścieżce. Tu przystanąwszy, rzekł:

— Jeżeli istotnie chcesz się zobaczyć z władcą El Michbaja, to idź przede mną. Wiedz jednak, że gdyby się okazało, żeś zdrajca i podstępnie chcesz wedrzeć się do tego zakątka, to opuścisz to miejsce albo jako trup albo żywy, jako niewolnik. A teraz naprzód!

Wydostawszy pistolet postępował za mną z gotową do strzału bronią. Oczywiście podobny spacer, gdy się ma za plecami lufę nabitą prochem i ołowiem, nie należy do przyjemności, zwłaszcza, że tu lada potknięcie się mogło spowodować wystrzał.

Ścieżka wiła się licznymi zakrętami pomiędzy drzewami, aż nareszcie dostaliśmy się do jakiegoś płotu. Na wezwanie mego „przewodnika” otwarto furtkę i gdyśmy weszli zamknięto ją natychmiast.

Znalazłem się nagle wśród osady, zabudowanej licznymi chatkami, rozrzuconymi na sporej przestrzeni. Wśród chat uwijały się postacie wcale nie budzące zaufania. W głębi osady zauważyłem większe budynki, dobrze zabezpieczone, a przed nimi leżały stosy kajdan, łańcuchów i jarzma. Domyśliłem się, że były to więzienia, w których przetrzymywano niewolników.

Byłem więc w samym środku El Michbaja. Powodowani ciekawością mieszkańcy osady otoczyli mnie natychmiast gromadą. Rozejrzałem się wokoło, ale na szczęście nie znalazłem ani jednej znajomej twarzy. Przeszedłem wśród tego ludzkiego szpaleru aż do budynku, urządzonego starannie od innych, co świadczyło, że mieszkał tu sam władca.

— Kat! — krzyknął mój przewodnik, gdy stanęliśmy przed progiem, i wprowadził mnie do środka.

Ściany domu były wylepione gliną. W wielkiej izbie u sufitu wisiały przymocowane jaja strusie, jako symbol nieśmiertelności. Osobna nisza, zwrócona ku Mekce, służyła za miejsce modlitwy. Na ścianach zawieszono były ciężkie miecze, batogi i rzemienie. W kącie izby stała ławka, na której wymierzano kary cielesne, obok zaś tkwił kloc, a na nim zatknięty topór do ścinania głów. Było to mieszkanie... bardzo pobożnego muzułmanina!

Siedział właśnie na dywanie i przesuwał w rękach paciorki różańca, mrużąc pod nosem

modlitwę.

Wtem wszedł do izby olbrzymiego wzrostu Murzyn, chwycił jeden z wiszących na ścianie mieczy i nie mówiąc ani słowa, stanął obok mnie. Był to „pocziwy” kat, który tak przywykł do swej czynności, że nawet nie pytał o rozkazy...

Modlący się gospodarz domu rzucił różaniec na ziemię i rzekł do mnie, groźnie przewracając oczami:

— Życie twoje wisi na włosku!... Na jedno skinienie mój miecz jak błyskawica, przelecieć może przez twoją szyję i ani spostrzeżesz, jak się to stało. Słyszałeś nazwisko Jumruk el Murabit?

— Nie, nie znam tego nazwiska — odrzekłem.

Na słowa moje kat podniósł miecz do góry, ale pobożny muzułmanin dał mu jakiś znak i mówił dalej:

— Nie było jeszcze takiego, który nie znając tego imienia, wyszedł stąd z głową na karku. Ty jesteś pierwszy dla którego robię wyjątek, bo z oczu patrzy ci taka niewinność, jakbyś był małym dzieckiem.

No, no! — pomyślałem sobie. — Mam więc oczy niewinnego dziecka! Nie spostrzegł widać, że oczy te ukradkiem obserwowały kata wcale nie po dziecinnemu i gdyby się na mnie zamierzył zapewne nie ja, ale on prędzej padłby trupem, jak również i pan jego, dostojny Jumruk.

— Jumruk el Murabit — mówił dalej — to ja, władca El Michbaja. Pierwsze pytanie moje nie przyprawiło cię o śmierć, pomimo, że nie dałeś mi odpowiedzi. Ale tym groźniejsze będzie moje pytanie drugie. Od kogo dowiedziałeś się, gdzie leży El Michbaja?

Byłem na wszystko przygotowany. Jeśli już umrzeć, to przynajmniej w towarzystwie i to dość licznym. Siłąc się na wyraz twarzy jeszcze „niewinniejszy”, odrzekłem:

— Słyszałem o El Michbaji od Hubara, świątobliwego młodzieńca i ucznia murabita z Aba.

— Allah! — zawołał ucieszony. — Widziałeś Hubara? Gdzieżeście się to spotkali?

— U Abu Rekwika, który przesyła ci ten oto pierścień. Zdjąłem z palca pierścień i podałem go Jumrukowi. Zaledwie go jednak zobaczył, krzyknął:

— Chatim\*, istotnie chatim Abu Rekwika! Wart jest zaufania ten, komu on powierzył skarb tak drogocenny. Poselstwo twoje zatem, jak przypuszczam wobec powierzenia ci tego klejnotu, musi być wielkiej wagi. Pójdź, usiądź po prawej mojej ręce i opowiadaj!

Taki obrót sprawy ucieszył mnie bardzo. Znow wygrałem partię, jeżeli oczywiście nie zajdzie jeszcze coś co mogłoby popsuć moje zamiary.

Pokłoniwszy się trzykrotnie, usiadłem, ale nie po prawej, lecz po lewej stronie, a to ze względów

na skromność i zacząłem:

— Wiadomości, które ci przynoszę, są po części radosne, po części zaś smutne. Co do pierwszego, to ziszczą się za parę godzin gorące twoje pragnienia, gdyż reis effendina i chrześcijański effendi wpadną w twoje ręce. Co zaś do...

Musiałem przerwać, bo człowiek noszący nazwisko „Pięść świętego”, zerwał się, jakby mu kto rozpalone żelazo do ciała przyłożył i począł wrzeszczeć:

— *Hamdulillah!* Nareszcie będę ich miał! Idą sami w moje ręce, jak głupie muchy na lep! „Pięść świętego” zdusi ich! Zmiażdży ich na proch! Gdzież oni są? Mów mi zaraz!

— Okręt ich stoi na kotwicy w najbliższym zakręcie Nilu, nieco w górę!

— Tak blisko? Czemu nie popłynęli dalej? Dlaczego aż tam zarzucili kotwicę?

— Bo zamierzają napaść na El Michbaja...

Słowa te przeraziły Jumruka.

— Napaść na El Michbaja? — pytał drążącym nieco głosem. — Ależ oni nie wiedzą o tej miejscowości!

— Owszem, wiedzą, bo tak długo katowali Abu Rekwika, aż biedak musiał wyznać. Ale nie można mu tego brać za złe; wyobraź sobie, ciało odpadało mu kawałkami od kości...

— Więc... Abu... Reekwik zna... znajduje się w ich mocy? — wystękał przerażony.

— Tak, jako ich jeniec i to nie sam, lecz razem ze swymi ludźmi, z tymi, którzy z Chor Omm Karn do niego po towar przybyli.

— Opowiadaj! Co dalej? — rozkazał, rzucając się na dywan.

— Nazywam się Ben Sobata i pochodzę z Guradi, po tamtej stronie gór Katul. Abu Rekwika znam od dawna i utrzymuję z nim stosunki handlowe. Nabytych u niego niewolników transportuję przez stepy Bajuda do Berberu. Droga ta jednak jest obecnie bardzo niebezpieczna, musiałem więc poszukać innej, a mianowicie tej, którą uczęszcza karawana Abu Rekwika. No, i skutek był taki, że... jak się przekonasz...

Tu wyjąłem z kieszeni woreczek ze złotym proszkiem, po który on wyciągnął skwapliwie rękę, a ważąc zawartość, odezwał się:

— *Maszallah!* Widocznie masz do mnie wielkie zaufanie, skoro pokazujesz mi tyle pieniędzy. Co byś zrobił, gdybym ci tak, na przykład, nie zwrócił ich?

Nie miałem obawy o złoto Ben Nila, gdyż wiedziałem, że zdobędę je wnet z powrotem. Dlatego odrzekłem natychmiast:

— Nie wierzę, abys chciał wyrządzić krzywdę wiernemu muzułmaninowi, który ma do ciebie niezachwiane zaufanie. Ale słuchaj dalej. Odstawiłem swoich niewolników do Omm Ebeil i wróciłem z pieniędzmi do Kaka, skąd zamierzałem dostać się na wyspę Aba, aby posłuchać nowej nauki zamieszkującego tam świętego.

— Bardzo ładnie z twojej strony. Znam tego świętego i dam ci polecenie do niego. Ale mów dalej!

— W Kaka nie było żadnego okrętu i nie można było spodziewać się go prędeży, jak za miesiąc. Wówczas przybył tam reis effendina. Poprosiłem go, aby mnie zabrał. Nie odmówił mi.

— Allach akbar! Co za odwaga mieszka w twym sercu! Jesteś podobny do gołębia, który szuka schronienia pod skrzydłem sokoła. Podobasz mi się i mam nadzieję, że będziemy wnet bliskimi przyjaciółmi. Przybyłeś więc na jego okręcie?

— Tak. Mówił nawet ze mną wiele i był dla mnie bardzo łaskaw. Niestety jednak chciało, że Abu Rekwik wpadł mu w ręce wraz z sześćdziesięcioma niewolnikami. Oczywiście nie mogłem temu przeszkodzić, chociaż domyślasz się, ile mnie to kosztowało. I Abu Rekwik okazał się godnym człowiekiem, bo, spostrzegłszy mnie, potrafił się opanować i nie zdradził niczym, że się znamy. Otóż błysnęła mi myśl, że mogę go uratować. Nie wiem, skąd reis effendina dowiedział się o istnieniu seriby El Michbaja, dość, że za pomocą plagi cielesnej chciał się coś o niej dowiedzieć od Abu Rekwika. Ale ten znowu mógł tylko tyle wyznać, ile wiedział od Hubara, to jest, że El Michbaja leży mniej więcej o godzinę drogi od zakrętu. Z kolei wzięto na tortury Hubara, ale ten milczał jak grób, dopóki go nie powieszono.

— Allach! Hubara powieszono? Gdzie Kiedy?

— Przed paru godzinami na okręcie, stojącym na kotwicy.

— Taki wierny, pobożny i Allachowi oddany człowiek! — biadał Jumruk — człowiek, w którym nie było ani cienia fałszu lub nieprawości! A bodaj szatani porwali morderców! Albo nie! Niech raczej wpadną w moje ręce jeszcze dziś, a będzie im cieplej, niż w piekle. Jak sądzisz, czy to możliwe?

— Tak. Jeśli zastosujesz się do moich rad, to radość moja równie wielka będzie, jak twoja.

— Jestem gotów w tej chwili rzucić się na tych łotrów! Tylko poradź, jak przeprowadzić ten zamiar... Ale, ale! W jaki sposób dostałeś się tutaj?

— Dzięki zaufaniu, jakim mnie obdarzył Kara Ben Nemzi. Oni nie dowiedzieli się o El Michbaja nic więcej, jak tylko, że leży ona tutaj, a inne tajemnice zabrał ze sobą Hubar na tamten świat. Musieli więc najpierw odnaleźć ją, a potem dopiero postanowili urządzić napad. Wówczas zgłosiłem się do nich ja i... skłamałem, co niechaj wybaczy mi Allach! Powiedziałem im mianowicie, że znane mi jest to miejsce, bo niedawno bawiłem w tych okolicach jako dżelabi. I pomyśl sobie, ci ślepcy kazali mi odnaleźć El Michbaja i nie domyślają się nawet, jaką im niespodziankę w tej chwili przygotowuję. Rzecz prosta, zgodziłem się chętnie i natychmiast poszedłem chyłkiem do Abu Rekwika, z którym udało mi się mówić tylko jedną minutę. Wręczył mi

on swój pierścień, abym go tobie okazał i zaklina cię na proroka i wszystkich kalifów, abys mu pomógł i to zaraz, dzisiejszej nocy, gdyż potem będzie za późno.

— Dlaczego za późno?

— Bo reis effendina ma urządzić napad na El Michbaja jutro rano.

— Nie uda mu się to, gdyż nie wrócisz do nich i nie wskażesz im drogi.

— Ba! Ale gdybym nie powrócił, reis effendina będzie przypuszczał, że zostałem uwięziony i może z zemsty pomordować wszystkich swych jeńców.

— Ach, prawda! Ten po dwakroć... nie, trzykroć... podły pies może to zrobić! Wobec tego powrót twój na okręt, niestety, jest niezbędny. Zresztą musisz zobaczyć się z Abu Rekwikiem i pocieszyć go, że widziałeś się ze mną... Ale pieniądze zostaw u mnie, bo niebezpiecznym byłoby zabierać je, udając się do tych rabusiów.

— Dobrze, proszę cię nawet o to, gdyż u ciebie będą bezpieczniejsze niż w mojej kieszeni.

— Podziwiam twoją szlachetność, zarówno jak odwagę. Wiesz co? Musimy uwolnić jeńców jeszcze tej nocy; jutro może być już za późno, bo może rano spotkać ich śmierć. Mnie jednak nie wystarcza wiadomość, gdzie stoi okręt; muszę sam go widzieć. Czy potrafisz zaprowadzić mnie tam pomimo zapadającego zmroku?

— Owszem, potrafię.

— W takim razie udamy się tam zaraz po modlitwie, a tymczasem ja pójdę wybrać sobie na tę wyprawę wojowników.

— Weźmiesz i mnie?

— Oczywiście. Ponieważ zaś stracenie jeńców mogłoby nastąpić dopiero jutro rano, więc do tego czasu nie masz potrzeby śpieszyć się i możesz tu zostać dłużej.

To postanowienie nie było mi na rękę. Nie zaprotestowałem jednak, aby nie wzbudzić w nim podejrzania, jakkolwiek zaufanie, którym mnie „Pięść świętego” darzyła, poczęło już nudzić mnie, i przemyślałem tylko nad tym, w jaki sposób dostać się na pokład swego okrętu nie tracąc niepotrzebnie czasu.

Zapytał mnie w końcu, dlaczego noszę plaster na twarzy, na co mu odrzekłem, że podczas ostatniego polowania na niewolników otrzymałem niebezpieczne cięcie w twarz. Okoliczność ta jeszcze bardziej wzmogła sympatię jego ku mnie.

Tymczasem nastąpił zmierzch, a wraz z nim chwila codziennej wieczornej modlitwy „mogreb” wedle reguły Terika el Gureszi. Nie znałem tej reguły, bo oczywiście należałem do innego terika, co zwolniło mnie od wzięcia udziału we wspólnych modłach. Uczyniono dla mnie ten wyjątek, ale natomiast Jumruk nie miał najmniejszego względu dla pewnej osoby, której obecność w tym miejscu

zdziwiła mnie niewypowiedzianie. Gdyby mi kto zapowiedział wprzód, że się tu z nim spotkam, byłbym go wyśmiał. Jeszcze raz przekonałem się, że na świecie zdarzają się cuda. Bo oto po modlitwie przyszedł jeden z handlarzy niewolników z wieścią:

— Panie, ten przeklęty drab, którego przedwczoraj przysłał nam święty, znowu nie chce odmawiać modlitwy według naszej reguły. Co tedy każesz z nim zrobić?

— Przeprowadź gałgana do mnie... ja go zmiążdżę! Światło dwóch lamp olejnych wystarczyło bym od razu na pierwszy rzut oka poznał nieszczęśliwca, którego niebawem wprowadzono. Długie kręcone włosy spadały mu strzępami na wychudłe policzki, a ubrany był zaledwie w jakieś marne szmaty. Stracił wiele z dawnej swej wyniosłości — pochylił się, jakby go gniotły lata, a w oczach miał wyraz cichej rezygnacji. Poznałem go jednak pomimo wszystko, gdyż ascetyczne rysy jego twarzy utkwily mi głęboko w pamięci... Był to... Sali Ben Akwil, kurdyjski wędrowny kaznodzieja, szukający Mahdiego!

Nie mógł mnie poznać, bo umyślnie usiadłem w cieniu; zresztą również zmieniłem się od ostatniego naszego widzenia.

Co on tu robi? — pomyślałem. — Czyżby biedak zabłąkał się aż nad Biały Nil w poszukiwaniu Mahdiego? Było to prawdopodobne, gdyż już przedtem wędrował po Egipcie.

Dumny ten niegdyś i wyniosły człowiek stał teraz przed „Pięścią świętego” pokornie pochyłony i musiał znosić od niego niecne obelgi.

— Parszywy psi synu! Znowu słyszę, że byłeś nieposłuszny! Jeszcze ci głód nie przeżarł wnętrzości! Zabronię ci dawać pić dopóki nie poddasz się zupełnie woli murabita. Obraziłeś go śmiertelnie przez swe niedowiarstwo oraz wątpliwości i dlatego musisz teraz pokutować, aż przystosujesz się do naszej reguły. Gdybyś to był uczynił od razu po swym przybyciu, byłbyś już dziś wyniesiony do wysokich godności, bo Allah obdarzył cię wielkim talentem wymowy! A murabit jest przecież owym Mahdim, którego poszukujesz od lat tyłu.

— Nie, nie szukam już Mahdiego, lecz miłości — wyrzekł głosem stłumionym.

— Miłości? Czyż się nareszcie nie otrząsniesz ze swej głupoty, którą tyle krwi napsułeś świętemu? Przypominam sobie, żeś mu opowiadał o jakimś psie niewiernym, od którego zaraziłeś się tą chorobą. Otóż dowiedz się, że go znamy; diabeł zaprowadził go do Sudanu, gdzie znajdzie drogę do miejsca wiecznego potępienia.

— Chodeh! Boże! — westchnął Sali bladymi ustami. — Więc Kara Ben Nemzi Effendi znajduje się na Bahr el Abiad?

— I to niedaleko stąd. Za parę godzin zobaczysz tylko resztki z niego, bo „Pięść świętego” zmieni go wkrótce w kupę gnoju.

— Tu nie ma pięści, która by go zgmiotła — ozwał się Sali, podnosząc ręce, jak kapłan do ofiary. — Jego własna pięść spadnie na głowy ludzi złych i przewrotnych! Znam go! W nim mieszka miłość



Boża i dlatego żadna złość ludzka nie jest zdolna pokonać go!

— Milcz, bydlę! Śmiesz bronić giaura, który jest wrogiem wszystkich wiernych? Pomyśl raczej o sobie, bo jeżeli nie przestaniesz mówić mi o nim i nie otworzysz serca prawdziwej a jedynej nauce, będziesz sprzedany jako niewolnik. Wyrzeknij się raczej człowieka, który jest śmiertelnym wrogiem murabita i który z ręki jego dostanie się wkrótce na samo dno piekła! Czy chciałbyś i ty towarzyszyć mu do dżehenny?

— Tak, wolałbym raczej z nim do piekła iść, niż z murabitem do raju, bo wiara tego chrześcijanina prowadzi ludzi z piekła do nieba, a wasza nauka raj czyni piekłem i dlatego gardzę nią, a zwracani się do wiary jasnej i pięknej, jak słońce. Nazywasz chrześcijanina psem, giaurem; ale w rzeczy samej on jest prawdziwym wiernym, podczas gdy wy wraz ze swą wiarą jesteście workami padliny. Raduje mnie wiadomość, że ów chrześcijanin znajduje się w tych stronach, a bliskość jego tym bardziej umacnia mnie w zasadach owej jasnej wiary i mam za kogo modlić się do prawdziwego Boga.

— Może za niego, niecny bezbożniku, śmiesz się modlić?

— Tak, za „niego!

— I śmiesz mi to mówić? — podskoczył ku niemu władca El Michbaja. — Nie ścierpię dłużej tej bezczelności! Ostatni termin do nawrócenia się daję ci do jutra rana, gdy ów przekłety przez Allacha będzie się wił pod moją stopą! I mam nadzieję, że patrząc na jego męczarnie, nawrócisz się. A wówczas obdarzę cię godnościami i uczynię przewodnikiem tysięcy, tysięcy ludzi. Jeżeli zaś trwać będziesz w swoim uporze, spotka cię ten sam los, co tego giaura!

— Zbytecznie czekać chcesz na moją decyzję do rana; mogę ci już teraz powiedzieć, że nie dbam o twoje łaski i o sławę, którą mi obiecujesz. Wolę... cierpieć wraz z giaurem!

Wyznanie to wielce mnie uradowało. Chętnie byłbym dał nieszczęśliwemu jakiś znak, że go słyszę; ale nie mogłem tego uczynić, bo wówczas rzuciłby mi się w ramiona i zdradziłby w ten sposób niechcący. Zresztą Jumruk sam uniemożliwił mi to, bo cofnął się od Salego na krok w tył i rzekł:

— No, dobrze! stanie się wedle twojej woli. Wydałeś sam na siebie wyrok!

A zwróciwszy się do mnie, rzekł:

— Nie widziałem jeszcze tego giaura, ale ty, Ben Sobata, jak mówisz, rozmawiałeś z nim i nawet płynąłeś na jednym okręcie. Powiedz mi więc, czy ten człowiek naprawdę jest w stanie przewrócić komuś w głowie do tego stopnia?

Teraz miałem sposobność dać się poznać nieszczęśliwemu, oczywiście z całą ostrożnością, przede wszystkim głos swój. Odpowiedziałem więc:

— On nie jest ani piękny, ani też nie ma w nim nic szczególniejszego i jestem pewny, że sam się rozczarujesz, zobaczywszy go.

— Ale za to jest zapewne przebiegły i umie być skrytym?

— Nie wiem tego.

Zauważyłem, że Sali, dźwiękiem głosu mego uderzony, począł mi się przyglądać uważnie.

— To jedno wiem — ciągnąłem dalej — że jest on znakomitym strzelcem i odważnym myśliwym. Nim jeszcze poznał się z resem effendiną był nad Nilem Niebieskim w oazie Khoi i w tamtych stronach uśmiercił sławną nieśmiertelną niedźwiedzicę z ruin *musalah el amurat*.

— Nieśmiertelną? O tym nie słyszałem jeszcze od nikogo — zauważył Jumruk zdziwiony.

— A jednak to historia prawdziwa. Potem zawarł przyjaźń z wielkim arabskim szczepem Bebbejów i jednego z nich, który miał być sprzedany jako niewolnik, wyratował z nieszczęścia, co mu się udało tylko dlatego, że obaj zachowywali się tak, jakby jeden drugiego nigdy w życiu nie widział.

— To ciekawa historia, musisz mi ją jutro dokładnie opowiedzieć, gdyż dziś nie mamy wiele czasu.

To rzekłszy zwrócił się znowu do Salego:

— Dziś nie otrzymasz nic na wieczerzę, a rano każę cię okuć razem z owym chrześcijaninem, abyście mogli porozmawiać ze sobą o miłości, której szukasz, a której nigdy nie znajdziesz.

— Już ją znalazłem — odrzekł Sali zmienionym głosem. — Wiem, że jutro zobaczę się z nim i to napełnia mnie taką radością, jaką odczuwają drzewa przed nadchodzącą wiosną. Allach niech ci użycz spokoju tej nocy i wesołego przebudzenia się, o świątobliwy Jumruku!

A więc poznał mnie i był przekonany, że go uratuję i że Jumruk jutro już nie będzie mógł dręczyć go więcej. Życzenie spokojnego snu i wesołego przebudzenia się było wypowiedziane dwuznacznie, z ironią. A gdy ktoś w podobnym położeniu może zdobyć się na ironię to widocznie czuje, że nie jest nieodwołałnie zgubiony i tli w nim iskra nadziei w ocalenie.

Po modlitwie, zwanej aszia, posłał Jumruk po pięciu ludzi, którzy mieli nam towarzyszyć w wycieczce nad rzekę, po czym zapytał:

— Czy znasz mowę Szyluków?

— Znam.

— A Nuerów?

— Również.

— Czy może i Dinków?

— Niestety, ich narzecza już nie rozumiem.

Gdybym był odpowiedział twierdząco, mogłoby to wzbudzić w nim podejrzenie, bo musiał pamiętać z mego opowiadania oświadczenie, oczywiście fałszywe, że po drugiej stronie Białego Nilu znalazłem się po raz pierwszy. W rzeczywistości zaś narzecze Dinków znałem doskonale, bo w czasie wyprawy na południe ćwiczyłem się w ich mowie codziennie, a czasu i sposobności nie brakowało mi ku temu. Pytanie jego, jak się niebawem przekonałem, nie miało na celu przyłapania mnie czy wypróbowania prawdziwości słów moich, lecz miało swe źródło w innej przyczynie. Oto przed chwilą wszedł do izby tęgi, doskonale uzbrojony drab. Musiał być niepoślednią tu osobistością, gdyż ubrany był wcale dostatnio, a można to było wnosić i ze sposobu powitania mnie, bo uklonił mi się z lekka, a tak protekcyjnie oraz lekceważąco, jakbym co najmniej był mu równy. Chciał coś powiedzieć do Jumruka, ale ten dał mu znak, by milczał i zadał mi wyżej przytoczone pytania, po czym dodał:

— Przebacz mi łaskawie że zmuszony będę na pewną niegrzeczność wobec ciebie i rozmówię się z tym oto człowiekiem w nieznanym ci języku, bo nie umie on ani słowa po arabsku.

Zauważyłem, że w oczach przybysza, gdy usłyszał te słowa, przemknął wyraz zdziwienia, natychmiast jednak zatuszowanego. Czy nie znał istotnie języka arabskiego? Wątpiłem w to. Byłbym przysiągł, że należał do arabskiego szczepu Szukurieh. Pomyślałem też sobie zaraz, że Jumruk, okazując mi pozornie przyjaźń, podstępnie knuje coś przeciw mnie. Nie powiem, aby mnie ta jego przewrotność zabolęła; rad byłem nawet, że zdradził się z nią sam w tej chwili, niż gdybym miał później przekonać się o niej, bo wówczas nie tak łatwo byłoby mi wyplątać się z jego sieci. Zresztą, gdybym się o niej nie przekonał teraz, nie mógłbym następnie ukarać go za występki tak, jak na to zasłużył, bo nie byłbym się zdobył na czarną niewdzięczność za serdeczne jego ze mną obejście się.

Przypuszczenie moje o nieszczerości Jumruka względem mnie sprawdziło się zaraz, przemówił on bowiem do przybysza w języku Dinków:

— Nie mów ani słowa po arabsku. Nie mogę ani na chwilę oddalić się od tego człowieka, a muszę ci powiedzieć coś, czego on zrozumieć nie powinien.

Opowiedział mu następnie, po co tu przybyłem, i oznajmił, że mam ich zaprowadzić na miejsce, skąd widać okręt reisa effendiny, po czym dodał:

— Rozumie się samo przez się, że trzeba go uśmiercić, bo nie chcę mieć w nim niebezpiecznego świadka naszych spraw; mógłby każdej chwili zdradzić, żeśmy zmiotli z powierzchni ziemi reisa i jego ludzi. Ponadto pozbędziemy się go, jako łowcy niewolników, który psułby nam robotę. Ibn Asl zginął i teraz cała kraina nad Bahr el Abiad do mnie wyłącznie należeć powinna. Ten zaś ptaszek mógłby mi zabierać zdobycz sprzed nosa, bo sprytny i odważny. Ująłem go więc rozmyślnie swoją uprzejmością i jestem pewien, że mi ufa zupełnie. Otóż, skoro tylko zaprowadzi nas na miejsce i pomoc jego będzie już dla nas zbyt duża, dam ci znak słowem „*wtole!*”, a wówczas wbij mu nóż z tyłu pomiędzy żebra po rękojeść, aby nawet nie zipnął... Posiadasz przecież dosyć wprawy w takich operacjach.

Zrozumiałem wszystko co do słowa i ucieszyłem się w duchu, że stary zbój sam na siebie wydał wyrok i że nie będę już zobowiązany do oszczędzania go. Zdobywszy się na bardzo naiwny wyraz twarzy, zachowałem się tak, jak gdybym nie zwracał najmniejszej uwagi na ich rozmowę. Niebawem

przybyli czterej wezwani przez niego ludzie, z którymi rozmówił się po arabsku, oznajmiając im, że będą nam towarzyszyli w wycieczce. Nie zapomniał dodać, kto jestem i jak bardzo mnie ceni, za co wyraziłem mu swą wdzięczność:

— Twoja łaskawość, o Jumruk el Murabit, uszczęśliwia mnie i cieszę się bardzo, że za nią będę mógł odpłacić ci nie byle jaką przysługą, napędzając w twe sidła najniebezpieczniejszych wrogów handlu niewolnikami. Czy tylko będziesz miał tylu wojowników, by dać radę reisowi effendinie?...

Zapytałem o to umyślnie, gdyż do tej chwili ani słowem nie zdradził się w tej materii. Teraz, gdy postanowił już moją zagładę, mógł się zwierzyć z tej tajemnicy bez żadnej obawy. I istotnie odrzekł mi:

— Gdy zostawię w El Michbaja tylu tylko ludzi, ilu trzeba do strzeżenia niewolników, to oddział wyruszający na reisa effendine wystarczy zupełnie, by odnieść pewne nad nim zwycięstwo.

— Ba, ale niewolnicy, widząc niedostateczną straż, mogliby się łatwo zbuntować — rzekłem.

— Handlujesz niewolnikami — rzekł mi na to — a nie wiesz, w jaki sposób zabezpiecza się ten towar. Chodź, pokażę ci, jak się to u nas robi.

Wezwanie to przyjąłem skwapliwie. Szło mi oczywiście nie o sposób obezwładnienia niewolników, lecz o bliższe obejrzenie El Michbaja. Jumruk, rozkazawszy przybyszom, aby zaczekali na niego, wyprowadził mnie z izby.

Na dworze w kilku miejscach płonęły ogniska, oświecając całą seribę. Weszliśmy do największego z budynków, gdzie znajdowali się niewolnicy i oczy moje, uszy oraz węch — doznały takiego wrażenia, że trudno mi je opisać. Było to, nie powiem — piekło, ale przedpiekło. Użyłem całej siły woli, by nie wybuchnąć strasznym oburzeniem na nieludzkie, wręcz szatańskie barbarzyństwo tych, którzy byli twórcami tego przybytku rozpaczy.

Spotkawszy się w przejściu z Salim, dałem mu porozumiewawczy znak poza plecami starego łotra, który właśnie, oprowadzając mnie po swych „składach żywego towaru”, chełpił się z ich urządzenia i opowiadał o swej seribie. Dowiedziałem się więc, że leży ona w głębi lasu, a prowadzą do niej z zewnątrz tylko trzy ścieżki: jedna z nich, mianowicie ta, którą przybyłem, wiedzie w głąb lądu, druga na południowy, a trzecia na północny brzeg półwyspu. Obie ostatnie ścieżki od strony rzeki są tak zasłonięte, że tylko przypadkiem można trafić na nie. Powyżej, a więc w stronie południowej, ukryty jest w zaroślach żaglowiec będący własnością Jumruka. Kazał go sobie sporządzić nie żałując pieniędzy na budowę tak, aby w nim mógł przenosić się z miejsca na miejsce drogą wodną prędzej, niż każdy inny okręt. Dokładnej liczby załogi dowiedzieć się nie mogłem i tylko zrozumiałem ze słów Jumruka, że byli to ludzie bardzo niesforni i niełatwo ich było utrzymać w karchach. Broń przechowywał Jumruk w osobnym magazynie, a wydawał swym ludziom tylko w razie potrzeby.

Wiadomości te wystarczyły mi na razie.

Po zwiedzeniu składów „żywego towaru” wyruszyliśmy ja, Jumruk i pięciu jego ludzi na zwiady. Księżyc jeszcze się nie ukazał, ale gwiazdy świeciły jasno. Jumruk szedł na przedzie, za nim czterej

jego ludzie, wreszcie ja, a na ostatku ów „przyjaciel”, który otrzymał rozkaz zakłucia mnie z tyłu, gdy już przestanę być im potrzebnym. Nie miałem powodu obawiać się go wiedząc, kiedy ma paść zdradzieckie hasło.

Plan mój polegał na tym, że postanowiłem przede wszystkim ująć żywcem Jumruka, a potem zabrać z okrętu swych asakerów i podążyć z nimi na zdobycie El Michbaja. Rzecz prosta — myślałem — że gdy braknie tam dowódcy, napad musi udać się. Ale ujęcie Jumruka przedstawiało trudność nie tyle jaką, gdyż miał ze sobą pięciu uzbrojonych drabów, których sam jeden nie mógłbym unieszkodliwić, a gdyby choć jeden z nich uciekł, to już cały plan mój byłby zniweczony całkowicie. Wobec tego należało szukać sposobu dla pokonania tej przeszkody.

Teraz musiałem wykręcić się przede wszystkim od powrotu do El Michbaja i dostać się na pokład, rozumie się — w całej skórze. Sposób już wymyśliłem: niezbędnym jest, aby „przypadkowo” wypaliła flinta któregoś z ludzi Jumruka.

Z powodu ciemności potrzebowaliśmy aż półtorej godziny zanim doszliśmy do owego drzewa, które nazaczyłem poprzednio jako drogowskaz dla siebie. Następnie znowu przedzieraliśmy się przez gąszcze dobre pół godziny zanim ukazały się światła na pokładzie statku. Przybywszy nad sam brzeg rzeki, przykucnęliśmy, przy czym manewrowałem tak, aby się znaleźć nie przed a obok mojego mordercy.

Okręt mój znajdował się przed nami tak blisko, że mogliśmy rozpoznać wiszące na maszcie zwłoki Hubara oraz zgrupowanych na pokładzie jeńców z Abu Rekwikiem na czele. Oczywiście wszyscy byli przywiązani do poręczy pokładu.

Podczas gdy moi towarzysze śledzili wzrokiem, co się dzieje na okręcie, wyciągnąłem poza siebie rękę i odwiódłem kurek u flinty mego sąsiada...

— Mówiłeś szczerą prawdę, Ben Sobata — szepnął Jumruk. — Widzę wszystko, jak mi opowiadałeś: Abu Rekwik związany, a powyżej wisi Hubar. Okręt stoi tak blisko brzegu, że bez trudu dostaniemy się nań. Trzeba ratować Abu Rekwika, nie czekając rana. A teraz dosyć!... Wto...

„Wtole” — ów umówiony zawczasu, a mający być dla mnie sygnałem śmierci wyraz został nagle przygłuszony „przypadkowym” wystrzałem flinty mego kata.

Przerażeni towarzysze moi zerwali się z miejsc na równe nogi.

— Cóżś zrobił, nieszczęsny? — szepnąłem do draba. — Twoja flinta wypaliła i mogą nas tu schwytać...

— Nie wiem, jak się to stało — uniewinniał się, zapominając, że „wcale po arabsku nie umie”.

— Milcz! Popsułeś wszystko! — rzucił gniewnie Jumruk, — i teraz niemożliwe...

— Milcz raczej ty! — przerwałem mu — jeżeli masz choć trochę oleju w głowie! Uciekajmy stąd w las!...

Chwyciłem Jumruka za ramię i pociągnąłem go w gąszcz, a ludzie jego biegli w popłochu za mną. Uczyniłem to, aby nie zauważyli, jakie skutki wywoła na okręcie ów „przypadkowy” wystrzał. Obawiałem się mianowicie, aby mnie ludzie z załogi nie poczęli wołać po imieniu i w ten sposób nie otworzyli oczu Jumrukowi, gubiąc mnie tym samym. Odbiegłszy spory kawał, przystanąłem, zatrzymując towarzyszy, i rzekłem:

— Nie mamy teraz czasu na długie gawędy, więc tylko powiem wam, że wszystko da się naprawić, jeżeli natychmiast udam się na pokład okrętu...

— A to w jaki sposób? — zagadnął Jumruk.

— Ten głupi strzał zaalarmował oczywiście całą załogę, wobec czego wasz napad może się udać tylko wówczas, gdy pójde na pokład i opowiem, że to ja właśnie wystrzeliłem przez nieostrożność.

— *Maszallah*, masz słuszność!

— Ale zważcie, że strzał padł tuż w pobliżu okrętu i uwierzą w moją bajkę wówczas tylko, gdy udam się na pokład bezzwłocznie; nie można więc zwlekać ani chwili.

— Dobrze, idź, ale wracaj natychmiast!

— Natychmiast trudno będzie. Zostawcie mi przynajmniej ze trzy godziny czasu. Gdybym zaraz chciał wrócić do was, to reis effendina zacząłbyś coś podejrzewać i mógłby mnie powiesić.

— No, dobrze! Idź i wracaj za trzy godziny. A powiedz Abu Rekwikowi, że przed świtem przybędziemy mu z pomocą. Idź więc! My również śpieszyć się musimy.

Rozeszliśmy się w przeciwne strony. Oni do El Michbaja, ja zaś ku okrętowi, gdzie z powodu wystrzału sprowadzono natychmiast jeńców pod pokład i pogaszono światła. Cisza panowała wśród załogi i tylko Ben Nil wołał:

— Effendi! effendi! Odpowiedz, bo zejde sam na brzeg!

— Bądź cicho! — odrzekłem. — Rzuć mi linę.

W kilka sekund znalazłem się na pokładzie „Sokoła”, a w dziesięć minut później wszyscy dowiedzieli się o całym moim planie i byli gotowi do wyruszenia na ląd z bronią w rękę.

Gdy moi asakerowie zebrali się z Ben Nilem na brzegu, kazałem sternikom odpłynąć na środek rzeki i tam zarzucić kotwicę, — a nad ranem podpłynąć bliżej ku El Michbaja, aby na dany znak okręt mógł prędko przybić do brzegu.

Przeprowadzenie znacznego oddziału przez zbitą gęstwinę wśród egipskich łąk i ściemności nie było wcale rzeczą łatwą. Gdyśmy się nareszcie wydostali z lasu na wolną przestrzeń, przyspieszyliśmy kroku.

Jumruk oczywiście, znając dobrze drogę, o wiele prędzej dostał się na miejsce, niż my. Jednak nie omyliłem się co do czasu, w którym mniej więcej mogliśmy się z nim spotkać, gdy podąży ku okrętowi; obliczyłem mianowicie, że wystarczy mu pół godziny do uzbrojenia swoich ludzi i tyleż na drogę.

Wydałem rozkaz, aby żołnierze ukryli się wśród zarośli i nie zdradzili niczym swej obecności.

Obliczenia moje okazały się w praktyce mniej więcej dokładne. Przesiedziawszy, jak na szpilkach, w nerwowym wyczekiwaniu, usłyszeliśmy wreszcie od strony seriby chrzęst broni i przytłumione głosy. Jumruk prowadził swoich ludzi by zdobyć okręt. Minęli naszą kryjówkę, oczywiście nic nie zauważywszy. Gdy się dostatecznie oddalili, poszliśmy dalej i niebawem dotarliśmy do ogrodzenia El Michbaja. Ciągnęliśmy sznurem „gęsiego”; na czele byłem ja, za mną porucznik, a następnie Ben Nil oraz żołnierze. Za furtką seriby stał na warcie jeden człowiek. Zażądałem, by otworzył, co uczynił natychmiast i zaraz też padł, uderzony kolbą w głowę. Kazałem go związać i zakneblować mu usta, a gdy wszyscy asakerzy weszli do środka, zamknąłem furtkę, podzieliłem ich na grupy i każdej z nich dałem odpowiednie rozkazy. Okazało się, że Jumruk pozostawił w serobie tylko dziesięciu ludzi do strzeżenia niewolników. Schwywanie ich i obezwładnienie nie przedstawiało dla nas większej trudności, gdyż nie posiadali broni palnej.

Zmusiliśmy jednego z pojmanych, aby nam wskazał drogę wiodącą ku południowi, gdzie również stał wartownik. Uporawszy się z nim tak samo, jak z poprzednim, zajęliśmy się niewolnikami. Wyszukałem wśród nich przede wszystkim Salego, który, zobaczywszy mnie, krzyknął radośnie:

— *Hamdulillah!* Bogu cześć i dziękczynienie! Nie myliłem się! To ty! Ty, we własnej swojej osobie, effendi! Miałeś zupełną słuszość, effendi, twierdząc w górach kurdyjskich, że dzieją się cuda na świecie! Bo oto po raz drugi ratujesz od śmierci tego, który chciał ciebie pozbawić życia... Jesteś zawsze ten sam...

— No, no! Nie wychwalaj mnie tak! — przerwałem. — Od owego czasu stałeś się przyjacielem moim i bratem, więc nawet mam obowiązek ratować ciebie. Dziękuj raczej Bogu, nie zaś mnie, za swe ocalenie. Opowiesz mi później, jak się tu znalazłeś, bo teraz nie mamy zbyt dużo czasu; twój dręczyciel może wrócić lada chwila, więc musimy przygotować się na odpowiednie jego przyjęcie.

Porucznik tymczasem ze swymi ludźmi uwolnił nieszczęśliwych niewolników, ja zaś rzuciłem się na poszukiwanie broni, której znalazłem dosyć różnego rodzaju i w którą bezzwłocznie uzbroiłem wszystkich oswobodzonych niewolników.

Radość tych ludzi nie miała granic, a w uczuciu tym gorącą krwią afrykańską podsyleni, czynili wrażenie obłąkanych: skakali, tańczyli i wydawali dzikie okrzyki tak, że trzeba było wielu naszych wysiłków, by ich uspokoić i wytłumaczyć, że hałasując, narażają nas na wielkie niebezpieczeństwo.

Uciszyli się nareszcie, a był wielki czas po temu, bo lada chwila mógł nadejść Jumruk ze swoim oddziałem. Nie ulegało wątpliwości, że wróci do seriby, skoro zobaczy, że okręt odpłynął w bezpieczne miejsce na środek rzeki.

Ukryłem tedy asakerów w środku seriby i tylko ja z Ben Nilem pozostaliśmy u wejścia. Kazałem

też pogasić ogień, zostawiając tylko jedno, wobec czego w całej osadzie zapanował półmrok. Obsadziłem ponadto wyloty obu ścieżyn bocznych, ukrywając swych ludzi, przyczajonych w zaroślach i gotowych do rzucenia się na handlarzy, skoro tylko nadejdą. A miałem tych ludzi do swego rozporządzenia dosyć, bo do załogi okrętowej przybyło przeszło dwustu oswobodzonych z kajdan niewolników.

Oczekiwaliśmy na Jumruka dłużej, aniżeliśmy się spodziewali. Nareszcie dał się słyszeć z oddali gwar licznie idących ludzi i szcęk broni, a wnet od ogrodzenia rozległ się groźny rozkaz, aby otworzyć. Uczyniłem to i zbójce Jumruka w milczeniu przeszli obok mnie długim sznurem. Widocznie niepowodzenie i zawód podziałały na nich bardzo przygnębiająco. Jakże inaczej zachowywaliby się, gdyby im udało się napaść, gdyby wracali z pełnymi łupów rękami. Jumruk został po tamtej stronie ogrodzenia, aż nie przeszli wszyscy jego ludzie, wszedł ostatni, a zobaczywszy wśród mroków dwie nasze postacie, krzyknął z wściekłością w głosie:

— Po co was tu aż dwu, psy jedne? Zesłiście się na pogawędkę? Co?...

Podniósł rękę, by mnie uderzyć w twarz. Zanim się jednak spostrzegł, chwyciłem go obiema rękami za gardło tak silnie, że opadł mi bezwładnie w ramiona, a Ben Nil w sekundzie związał mu ręce i nogi i zabrał na stronę.

Ludzie jego, nie domyślając się niczego i nie widząc w ciemnościach, co zaszło, nie zatrzymywali się, a gdy już znaleźli się w środku seriby, dałem hasło, i wnet mój oddział, zerwawszy się z zasadzki i otoczywszy bandę zbójów natarł na nią z niesłychaną gwałtownością. Oczywiście napadnięci nie mieli nawet czasu do obrony.

Zuchy moje tak świetnie się sprawiły, że ani jeden z całej bandy Jumruka nie umknął; wszyscy skrępowani powrozami legli pokotem na placu.

Wówczas wśród dopiero co uwolnionych z kajdan niewolników zaczęły się niewypowiedziane okrzyki, tańce, skakanie, tarzanie się po ziemi, rzucanie w górę przedmiotami — wszystko to było wyrazem wielkiej radości ze zwycięstwa. Przy gęsto rozpalonych zaraz ogniskach ta orgia wesołości przedstawiała niezwykle groźny i malowniczy widok.

Po bliższym rozejrzeniu przekonałem się niestety, że nie brakło trupów i rannych, bo wielu z oswobodzonych niewolników nie mogło się oprzeć żądzy zemsty. Teraz pastwić się zaczęli nad pozostałymi przy życiu bandytami, leżącymi pokotem na ziemi; hańbiące wyzwiska, kopanie i plucie im w twarz były wyrazem strasznej nienawiści ku niedawnym gnębiicielom i w końcu musiałem tego surowo zabronić.

Gdy się wreszcie uciszyło kazałem zanieść Jumruka do jego mieszkania, oddając go pod opiekę Ben Nila i nakazując mu, by nic o mnie nie wspominał. Ogłosiłem też wszystkim, że jeniec ten należy wyłącznie do mnie. Musiałem też użyć całej energii, by powstrzymać rozbestwiony tłum od rabunku i to nie groźbą, lecz wydaniem zaraz sutej uczty. W następstwie jej wszyscy czarni z nastaniem dnia leżeli na ziemi spici jak bydłęta, poszło bowiem kilkanaście beczek wódki. Wolałem zresztą to, niż gdyby miała wybuchnąć otwarta przeciw mnie rewolta.



Podczas gdy czarni pili i potem przewracali się bez zmysłów na trawę, zarządziłem podział zdobyczy pomiędzy moich asakerów, ku wielkiej ich radości, gdyż znalazła się tu do rozdania niezwykła ilość łupów. Reis effendina nigdy nie miał tak wielkiej zdobyczy.

Rozdzieliwszy wszystko, sam oczywiście dla siebie nic nie zatrzymując, chciałem wreszcie odpocząć, gdy przystąpił do mnie Sali z prośbą, aby mu ostatecznie było wolno wyrazić mi podziękę. Nie chcąc czynić mu przykrości, pozwoliłem usiąść obok siebie. A kiedy już wyczerpał cały zasób błogosławieństw i zapewnień dozgonnej przyjaźni i czci dla mnie, począł opowiadać o swoich przejściach od chwili naszego rozstania pod Khoi. Przejścia te były prawie wyłącznie natury duchowej.

Wyobrażając sobie wciąż, że szuka Mahdiego, a tęskniąc zupełnie do czego innego, udał się do Egiptu i zaciągnął się w szeregi „świętej Kadiriny”. Tu przekonał się niebawem, że nie mogą go zadowolić narzucane mu czcze formy, bezmyślne słowa i gorsze jeszcze w swych następstwach rzeczy. Zapowiedziano mu na przykład, że, gdyby raz jeszcze wystąpił ze swoją nauką publicznie, ścigać go będzie zemsta. Na szczęście, zaopiekował się nim jakiś wyższy urzędnik i wskazał mu drogę do... Mahdiego w osobie Mohammeda Achmed Ibn Abdullahi, mieszkającego na wyspie Aba na Białym Nilu i nawet dał mu list polecający.

Długo biedak tułał się wzdłuż Nilu, nim nareszcie znalazł owego „Mahdiego”. Ten przeczytał list i zatrzymał go u siebie, ale okazał się dla niego ogromnie surowym, nakazując mu ciężką pokutę za niedowiarstwo i kacerstwo. Pokuta owa omal nie wpędziła nieszczęśliwca do grobu. Na szczęście odgadł zawczasu, do czego zmierza ów „Mahdi” i kim jest właściwie — i to odkrycie przestraszyło go. Wszak ten „święty” był najpospolitszym zbrodniarzem, uprawiającym otwarcie karygodne czyny, a wymagającym równocześnie, aby go czcić i adorować, jako zesłańca Allacha, równego niemal Mahometowi.

Szlachetnemu Salemu było tego za wiele. Nie zawahał się powiedzieć głośno obłudnikowi, co myśli o nim — no, i za to... uwięziono go.

„Święty” miał dwie tylko drogi: albo przez udręczenie i męki „nawrócić” zbłąkaną owieczkę i zyskać w niej znakomitą siłę dla swoich celów — albo pozbyć się jej raz na zawsze. To pierwsze uznał za korzystniejsze dla siebie, bo Sali był wielce uzdolnionym mówcą i gdyby się tylko pogodził z jego regułą mógł przynieść mu wiele sławy i korzyści. W tym też celu były Fakir el Fukara oddał go potajemnie w ręce Jumruka, aby ten za pomocą tortur przełamał upór osobliwego ascety.

Ale asceta nie należał do ludzi, których można złamać. Niezwykła surowość z jaką się z nim obchodzono wywołała skutek całkiem odwrotny. Spotęgowała w jego duszy wzrost owego nasienia, które rzuciłem tam, w pobliżu *muzallah el amwat*. Równocześnie zaś wzmagala się w nim wątpliwość w prawdę islamu, a męki, które znosić musiał z ręki wyznawców tej błędnej wiary, gnały go ku słońcu, zwanemu miłością.

W ciągu swej bytności u „świętego” wspomniał mu raz Sali, że zna mnie i że słyszał z ust moich piękną naukę „miłości”. Murabit zgromił go — i to właśnie przyczyniło się głównie do jego wywiezienia na El Michbaja.

— Teraz — kończył Sali — byłem pewny, że czeka mnie albo śmierć, albo dola niewolnika. Wówczas Bóg zesłał Ciebie na mój ratunek. Czyż to nie dostateczna wskazówka, że miłość, którą głosisz, jest największą potęgą na niebie i na ziemi? Ty głosisz ją nie słowami lecz czynem; z miłości dla uciśnionych bliźnich dokonujesz cudów, sam jeden w najokropniejszych warunkach zwyciężając bandy łotrów i morderców. Czyż nie jest to dla mnie najlepszym drogowskazem do owej pięknej gwiazdy, do której wzdycham przez lata? I czy nie powinienem teraz zamknąć za sobą na zawsze furtki, za którą pleśnieje islam i uwierzyć w prawdziwego Mahdiego, który głosi, że miłość jest jedyną drogą do Ojca niebieskiego?

Chwyciłem go za rękę, pytając:

— A pamiętasz moje słowa wyrzeczone do ciebie tam, przy ruinach *muzallah*: „Błądzisz teraz po omacku. Ale przyjdzie czas, że ukaże się przed tobą gwiazda, która mędrców do Betlejem wiodła! Gwiazda ta zaprowadzi cię do tego, którego głos dziś jeszcze brzmi przez wszystkie kraje: Jam jest prawda i żywot! Kto mnie znajdzie, znajdzie żywot u Ojca, który jest w niebiesiech”.

— Owszem, przypominam sobie te twoje słowa. Powiedziałem wówczas, że jeżeli Bóg wysłucha mojej prośby, to spotkamy się jeszcze za życia i dowiesz się, czy znalazłem Mahdiego.

Długo rozmawialiśmy na temat nauki Chrystusa, i przyznam się szczerze, że pozyskanie dla Niego znacznej tej duszy sprawiło mi większą radość, niż wszystkie inne zdobycze dnia dzisiejszego. Ranek zastał nas rozprawiających jeszcze ze sobą. Trzeba było ze względu na inne obowiązki przerwać naszą rozmowę. Uszczęśliwiony Sali rzekł mi na ostatek:

— Muszę ci jeszcze powiedzieć, effendi, że ów oberżysta w Khoi, któremu dopomogłeś w odzyskaniu skradzionych pieniędzy, wyrzekł się wszelkich trunków. Obecnie cieszy się on nie tylko poważaniem wśród sąsiadów i u swej władzy, ale też miłością i szacunkiem u żony i dzieci. Jest teraz jednym z najzamożniejszych obywateli Khoi. No — zakończył — nie chcę ci już przeszkadzać, bo wiem, że masz wiele do roboty.

I nie mylił się. W tym dniu czekała mnie istotnie ciężka praca. Przede wszystkim trzeba było zająć się Jumrukiem el Murabit, który do tej pory nie wiedział, co się stało w El Michbaja i czyim jest jeńcem. Gdy go Ben Nil wyprowadził z izby, poznał mnie zaraz, pomimo, że nie miałem już plastra na twarzy.

— Czy to ty, Ben Sobata z Guradi? A więc nie myliłem się w swych obawach — reis effendina napadł na El Michbaja podczas mojej tu nieobecności. Dobrze jeszcze, że spotkałem ciebie, życzliwego, dobrego przyjaciela i mam nadzieję, że weźmiesz mnie pod swoją opiekę.

— Błędne jest twoje mniemanie — odrzekłem z powagą. — Po pierwsze, nie reis effendina, ale Kara Ben Nemzi zajął El Michbaja; po wtóre nie byłem i nie jestem twoim przyjacielem; a po trzecie, nie mogę cię wziąć w opiekę, boś nastawał na moje życie i wiem o tym, że potajemnie kazałeś mnie zamordować.

— Zamordować? — zapytał mocno przestraszony. — Kto ci to powiedział? To wierutne kłamstwo!...

— Nie! To nie jest kłamstwo! — przerwałem mu. — Powiedziałeś przecież w mojej obecności do owego draba, co miał być moim katem: „Skoro tylko usłyszysz z ust moich słowo „*wtole*”, masz mu wbić nóż pomiędzy żebra aż po rękojeść...”

Na te słowa twarz Jumruka, mimo ciemnego zabarwienia skóry, przybrała odcień bladości. Począł bełkotać, a raczej stękać i jąkać się:

— Kto... kto to... mógł... kto mógł zdradzić?... Więc mówisz... jak to... wypierasz się... mówisz, że... żeś... nie Ben Sobata...

Utknął, a ja ciągnąłem dalej:

— Miałeś niezłomne postanowienie schwytać chrześcijanina nazwiskiem Kara Ben Nemzi i związać go razem z Salim Ben Akwilem... Dziwię się, jak w twojej durnej głowie mogła powstać myśl, żeby mnie podejść...

— Cieeeeebie?...

— Tak. Czyż jeszcze nie domyślasz się, że ja właśnie jestem Kara Ben Nemzi, ja jestem ów „parszywy pies chrześcijański”, którego podjąłeś się dostawić żywym murabitowi?

— Ty jesteś... ty... Kara... Ben Nemzi?...

— Tak, ja! A teraz dowiedz się, co cię czeka. Kiedym jeszcze był w twym mniemaniu Ben Sobata, zamierzałeś zbrodniczą ręką usunąć mnie ze świata, aby się pozbyć niebezpiecznego świadka swych zbrodni i współzawodnika w łowieniu niewolników. Głupi nędzniku! Wiem to z twych własnych ust, bo język Dinków znam lepiej, niż ty! Mienisz się „pięścią świętego”, ale... ów święty to taki sam złoczyńca, jak ty. I wiedz, że ta zbrodnicza „pięść” nigdy się już nie zaciśnie, ani też nie będzie w stanie utrzymać garści tego proszku złota, który tak podstępnie wyłudziłeś. Za mało rozumu masz, abyś mógł odgadnąć, że pieniądze te przyniosłem tu umyślnie, aby wziąć cię na ich lep!

Mówiłem mu to wszystko, aby go niejako przygwoździć do ziemi, jakkolwiek i bez tego przygnębiony był i przerażony. Wczorajsza pewność siebie i pycha ustąpiły miejsca uczuciu poniżenia i niemocy. Przycisnął się trwożnie do ściany i jęczał:

— A no, stało się! Jesteś Kara Ben Nemzi, chrześcijanin! Ia buzu, ia muziba, ia chaka! O smutku, o nieszczęście, o dolo! Jak to się wszystko nagle stało!...

— Jak się stało? — wtrącił Sali Ben Akwil, przystępując doń i mierząc go surowym wzrokiem. — Musiało to nastąpić, bo wszelka zbrodnia prędzej czy później mści się na tym, kto ją popełnia. Kto sieje miłość, ten miłość zbiera; ale kto rozrzuca nasienie nienawiści, musi zebrać pomstę i karę Bożą! Chcieliście mnie torturami zmusić do wzięcia udziału w waszych nieprawościach, ale nie uczyniłem tego, wierząc, że odwet nadejść musi. Życzyłem ci wieczorem spokojnego snu i wesołego przebudzenia się; nie zrozumiałeś mnie. A przecie już wtedy w osobie Ben Sobaty poznałem mego przyjaciela, effendiego, przekłętego przez was i skoro go tylko zobaczyłem, miałem pewność, że to już będzie ostatnia noc mojej niedoli. No, i widzisz... niedola ta na twoją spadła głowę... Ale to

jeszcze nic w porównaniu z tą chwilą, gdy spotkasz się oko w oko ze śmiercią, która zbliża się do ciebie straszna i haniebna!...

Słowa Salego i surowy ton, w jakim przemawiał, obudziły na nowo w przygnębionym aż do tej chwili Jumruku pychę i energię. Począł się szamotać, a podniósłszy związane ręce wysoko, krzyczał:

— Milcz! Milcz! Nędznym robakiem jesteś, choć pod opiekę tego chrześcijanina udajesz zuchwalca. Nie sądz, że możesz mnie lżyć bezkarnie! O, nie! Jeszcze nie zwyciężyliście ostatecznie! Wprawdzie widzę tu powiązanych moich ludzi i uwolnionych niewolników, ale udało wam się to jedynie przez niegodny podstęp. Wiedz, że zdobyliście El Michbaja tylko na parę godzin i radość wasza obróci się wnet w smutek, i jęk żaloszny, bo wystarczy, gdy święty z Aba rękę podniesie, a będziemy uwolnieni ze szpon waszych.

— Mnie się zdaje, że tą ręką świętego jesteś ty właśnie, a że „ręka” ta jest w tej chwili zdrętwiała i nie może nawet poruszyć się w żelazie, więc nie mamy się czego obawiać. Czyż zresztą wasz murabit nie zawdzięcza memu effendiemu życia? Czy nie pamięta owej chwili, gdy leżał z poranionymi stopami nad bagnem, ziejącym febrą, i byłby zginął, gdyby nie Kara Ben Nemzi? A teraz pomyśl tylko, czy taki człowiek może być murabitem?... Człowiek, którego stopy z rozkazu reisa effendiny posiekano aż do kości? Czy takim miałyby być Mahdi, zesłany przez Allacha dla nawrócenia ludzkości z nieprawych dróg i występku, i czyżby taki nędznik miał jej otwierać wrota rajy? O Jumruk el Murabit! Jakżebym cię wyśmiał, gdyby sprawa nie była tak beznadziejnie smutną! Powinieneś był zresztą sam już dawno wiedzieć, że ów domniemany Mahdi to skończony łotr i głupiec!

— Milcz, bo udławisz się swoim bluźnierstwem! — krzyczał Jumruk. — Wiem dobrze, co powiedziałem i dlaczego powiedziałem. Nie ciesz się zbyt swym zwycięstwem, bo...

— Bo co? — przerwałem mu. — Jeżeli ci się zdaje, że wiesz, co mówisz, to my również dobrze wiemy, co czynimy. Ja na przykład przywiązuję większą wagę do czynów niż do słów i nie będziesz długo czekał na odpowiedź na tę swoją groźbę.

I wydałem rozkaz asakerom:

— Zanieście go zaraz do środka chaty i zwiążcie mu nogi.

Jumruk szarpał się gwałtownie ale asakerzy natychmiast się z nim uporali. Usunąłem go sprzed swych oczu dlatego, że nadszedł właśnie z wiadomościami askari, który pełnił służbę na południowym brzegu półwyspu. Askari ów zameldował mi, że okręt mój już się zbliża.

Umówiłem się przedtem ze sternikiem, że gdyby na półwyspie było wszystko w porządku, to wystrzelę dwukrotnie z mego karabinu na znak, że ma przypląć na północną stronę półwyspu, gdzie woda nie była tak rwąca, jak na stronie południowej. Zobaczywszy tedy okręt wystrzeliłem z obu luf, a otrzymawszy odpowiedź z pokładu, poszedłem się w tę stronę, dokąd zmierzał okręt, to jest ku zacisznej zatoce znakomicie osłoniętej zwisającymi gałęziami drzew.

Tu w ukryciu znajdował się też statek Jumruka, przytwierdzony linami do brzegu. Żaglowiec ten,

zbudowany znakomicie i mający wszystkie cechy szybkiego a obrotowego statku, spodobał mi się bardzo, i postanowiłem zabrać go.

— Jakże poszło, effendi? — wołał sternik spostrzegłszy mnie na brzegu.

— Znakomicie! Przyślij mi tu na łodzi Abu Rekwika, ale pod dobrą strażą!

Po upływie kilku minut okręt stanął na kotwicy, a równocześnie przybili do brzegu w łódce asakerzy, przywożąc mi handlarza niewolników.

— Pragnąłeś wielce — rzekłem do niego — poznać El Michbaja i miał cię tam zaprowadzić Hubar. Niestety, nie nadawał się do tego i ja go muszę w tym zastąpić. Pod moim przewodnictwem poznasz nie tylko tę przepiękną kryjówkę, ale zobaczysz się z samym Jumrukiem el Murabit, który oczekuje na ciebie z wielką niecierpliwością.

— Allach rhinalek! Niech cię Bóg przeklnie! — mruknął półgłosem Abu Rekwik.

Udałem, że nie słyszę tej uprzejmej odpowiedzi i kazałem zanieść handlarza na górę do chaty Jumruka, który siedział w towarzystwie Ben Nila.

Gdyśmy się pojawili, spojrzał na nas ponuro.

— Przyprawiam ci twego przyjaciela, Jumruku el Murabit — rzekłem. — Nazywa się Abu Rekwik i jest ogromnie rad, że posiada wyjątkowe szczęście pozdrowienia cię osobiście pod moją opieką i ochroną.

— Psie jeden! — krzyknął wściekły, chcąc się podźwignąć, a poczuwszy wrzynające się mu w ciało powrozy, opadł bezwładnie na ziemię. — Niczego innego nie uczyłeś się w życiu, tylko pokazywania zębów! Allach dałby, żebyśmy ci je powyrywali jak najprędzej!

Było to powiedziane dosyć dowcipnie. Ale jeszcze dowcipniej odpowiedział mu Ben Nil, i to nie słowami, lecz ręką, wymierzając potężny policzek.

Odpowiedź ta poskutkowała i mogłem już bez przeszkody mówić dalej:

— Urządziłem wam tutaj umyślnie spotkanie, aby zakomunikować, co postanowiłem uczynić z wami. Obaj jesteście moimi śmiertelnymi wrogami i wedle waszego zwyczaju oraz praw tutejszych mógłbym was uśmiercić, za co ludzkość wdzięczna byłaby mi. Jakkolwiek, jako chrześcijanin, przebaczam wam wszelkie osobiste urazy, jednak nie wynika z tego, bym was uwolnił od ręki sprawiedliwości za wasze zbrodnicze rzemiosło. Reis effendina jest właśnie wykonawcą tej sprawiedliwości i jemu was oddam.

— Nie czyń tego, effendi! — wyrwał się żywo Abu Rekwik. — On nas natychmiast każe powiesić. Wolimy być ukarani przez ciebie, effendi, podług praw chrześcijańskich!

— A więc tak? Gdy idzie o twój interes lub, jak w tym przypadku o życie, powołujesz się na chrześcijaństwo, zapominając o islamie. Ale pomyśl tylko! Przed chwilą życzyłeś mi, aby mnie Allach

przeklął. Otóż gdybyś istotnie spodziewał się ode mnie łaski, to nie byłbyś bryzgał mi takimi życzeniami w oczy. Cóż bowiem przyszłoby ci z łaski przeklętego? Jeżeli tedy prosisz o łaskę chrześcijanina, który spadł w przepaść przekleństwa, to o ileż głębiej musisz znajdować się sam?

— Dusza twoja jest tak czarna, że czarniejszą już nigdy nie będzie! — krzyknął. — Chcesz wydać nas reisowi effendinie i on nas zamorduje. Ale straszliwy sędzia w ostatni dzień sądu zapyta się ciebie, coś z nami uczynił...

— A ja wówczas wskażę piekło i powiem, że tam was posłałem i dodam, że zwracając diabłom ich własność spełniłem dobry uczynek, gdyż położyłem koniec zbrodniom waszym. Reis effendina ukarze was, ale niestety nie tak, jak na to zasłużyliście. Nie będzie was męczył tylko zdepcze wam głowy jak jadowitym węzom.

— Uważaj, co mówisz, effendi! Jesteśmy ludźmi i nie wolno nas rozdeptywać, jak gadziny.

— A ci, których wyście pomordowali lub uczynili niewolnikami, nie byli ludźmi?

— Czarni nie są ludźmi...

— I tym chcecie się uniewinnić, chociaż wiecie doskonale, że to kłamstwo. Przypuśćmy jednak, że tak jest w istocie, to czyż na przykład El Homrowie, których chcieliście sprzedać, należą również do rasy czarnej i czy wśród niewolników, których oswobodziliśmy, nie ma trzydziestu przeszło białych i to muzułmanów? Ja nie widzę żadnej różnicy duchowej między ludźmi rozmaitych ras i religii, ale reis effendina tym mniej będzie miał nad wami litości, żeście się obchodzili ze swymi i jego współwyznawcami tak, jak z poganami.

— I dlatego to właśnie proszę cię, effendi, abyś ty, nie zaś reis effendina sąd nad nami sprawił.

— Daremna prośba. Każdy człowiek powinien otrzymać nagrodę lub karę wedle uczynków swoich; żadnych łask dla przestępców nie ma.

— Czy to ostatnie twoje słowo?

— Ostatnie.

— W takim razie zdechnij ty sam prędzej, zanim nas śmierć spotka!

I korzystając z tego, że nie miał nóg związanych, skoczył ku mnie z nienacka, chcąc uderzeniem związanych ramion i ciężarem swego ciała powalić mnie na ziemię. Widząc to, zerwał się w oka mgnieniu Ben Nil. Ale zanim zdołał go uchwycić, zadałem zbrodniarzowi taki cios pięścią pod brodę, że się w jednej chwili zwałił z nóg, rozciągając się na ziemi jak długi. Rozkazałem natychmiast związać mu nogi i odkomenderowałem kilku asakerow dla strzeżenia go i jego towarzysza. Ben Nil był mi potrzebny przy rozdzielaniu zdobyczy, więc zdjąłem z niego obowiązek dozoru łotrów.

Gdy rozniosła się wśród mych podkomendnych wieść o tym, że będę dzielił łupy z prawa i zasługi im należące, powstała wielka wśród nich radość — tym większa, że nie reis effendina, lecz ja je

miałem szafować. Radość objawiła się tak głośno, taki zgiełk powstał wśród całego mego otoczenia, że z trudnością zdołałem ład i spokój przywrócić.

Do udziału przypuściłem nie tylko tych, którzy uczestniczyli w napadzie, ale wszystkich należących do okrętu, a więc asakerów, Takalów przyjętych w Faszodzie, żołnierzy z Seribah Aliab i wreszcie El Homrów. Brakowało zresztą na okręcie z biorących udział w poprzednich wyprawach tylko tych, co wystąpili ze służby jeszcze w Faszodzie, gdy się tam reis effendina zatrzymał.

Przy podziale nie obeszło się bez gwałtownych scen, zwłaszcza wśród nieokiełzanych synów puszcz afrykańskich i kilka razy byłem zmuszony użyć pięści, by uspokoić zbyt zachłannych i chciwych.

Ku wielkiej radości dowiedziałem się od jednego z jeńców, że do El Michbaja należało kilkadziesiąt wielbłądów znajdujących się w lesie w odpowiednim ogrodzeniu. Zwierzęta te podarowałem El Homrom i Takalom, aby mogli odbyć podróż do swej ojczyzny. Oczywiście nie zaniedbałem również wyposażyć ich przed drogą w żywność, broń, i amunicję, czego w El Michbaja było pod dostatkiem.

Trzej oficerowie otrzymali na osobności tyle, że stali się ludźmi względnie zamożnymi, jak również Ben Nil, Abuen Nil, no i Selim, który jako „bohater nad bohaterami” chciał dostać jak najwięcej mimo, że nawet kiwnięciem palca nie przyczynił się do naszego powodzenia.

Było zresztą co dzielić, więc cały majątek Jumruka przeznaczyłem dla wymienionej „starszyny”. Znaczny zapas tIBru, który łotr ten posiadał, rozdałem między moich ulubieńców.

Pomimo to Selim, aczkolwiek część jego wynosiła kilkadziesiąt tysięcy piastrów, szemrał niezadowolony:

— Dlaczego dałeś mi tak mało, effendi? Wyszły ci chyba z pamięci moje zasługi? A jednak czyż nie zawdzięczasz swej sławy jedynie mojej waleczności? Nie chce mi się teraz wyliczać, ile to masz mnie do zawdzięczenia; ale skoro wrócę do Kairu, to wiem, co uczynię...

— No, no! Zanim wrócisz do Kairu, powinieneś przede wszystkim dać sobie skrócić język, który paple różne niedorzeczności. Obdarowałem cię właściwie nie dla twych zasług, ale z litości i jeżeli czujesz się pokrzywdzonym, to oddaj to z powrotem! Kto inny będzie zadowolony...

— Nie, effendi, wolę już ja być zadowolonym i nie oddawać tego, co otrzymałem — bronił się.

I ostatecznie zrezygnował z pretensji.

Podoficerowie otrzymali pięć razy tyle, co zwykli szeregowcy. A mimo to ci ostatni nie narzekali; przeciwnie, przyznali otwarcie, że nigdy jeszcze nie osiągnęli tak znacznej korzyści.

A niewolnicy? Rzecz prosta — i o tych biedakach musiałem pamiętać — a choć żołnierze byli z tego niezadowoleni, jednak wobec mojej nieugiętej woli musieli ustąpić. Przecież, gdyby reis effendina był na moim miejscu, zabrałby dla siebie wyłącznie przynajmniej połowę wszystkiego. Nie zostawiłem mu teraz nic i nikt nawet nie wspominał o tym; zresztą nie miał on nawet prawa domagać

się czegokolwiek. A jeżeli po powrocie na okręt zechce się upomnieć o cokolwiek to i niech asakerzy radzą sobie z tym, jak zechcą.

Gdy już rozdzielone zostało wszystko, co tylko miało jakąkolwiek wartość, zapanowała znowu wesołość i radość objawiająca się w okrzykach na moją cześć, tańcach.

Nastrój ten jednak prysnął, jak bańka mydlana, gdy oznajmiłem, że zbliża się godzina naszego rozstania. Nikt nie chciał w to wierzyć i dopiero po długich perswazjach udało mi się przekonać życzliwych mi ludzi, że powrót mój na pokład nie może nastąpić. Nie znaczyło to, jakoby się obawiał zemsty reisa effendiny, ale po tym, co między nami zaszło, nie mógłbym już towarzyszyć mu w wyprawach.

Aby się urządzić na skonfiskowanym przeze mnie żaglowcu Jumruka wybrałem się z kilkoma ludźmi nad rzekę, aby przygotować do swego odjazdu co potrzeba. Udali się tam ze mną Sali Ben Akwil, Abu en Nil, Ben Nil, Hazid Sichar i... Selim, „bohater nad bohaterami”.

Gdyśmy byli zajęci przygotowaniami do odjazdu, przybył do mnie na pokład pewien człowiek, który należał wprawdzie do załogi „Sokoła”, ale ani w wyprawie mojej, ani w zysku nie brał udziału. Był to... Murad Nassyr. Ten Turek odbył razem z nami drogę do Wagundy i potem wracał również razem. Z początku reis effendina był dla Nassyra bardzo niechętny, ale z biegiem czasu zmienił się w stosunku do niego. Grubas potrafił tak przeciw mnie podjudzać reisa effendinę, że najprawdopodobniej jemu tylko należało zawdzięczać rozbrat między nami. Na szczególną uwagę zasługiwało to, że im gorzej był reis effendina usposobiony dla mnie, tym większą sympatią obdarzał Murada. Ten zresztą coraz rzadziej wdawał się ze mną i rozmawialiśmy tylko w ostateczności o rzeczach najkonieczniejszych. Ta jego ku mnie nienawiść była zupełnie zrozumiałą, gdyż ja to właśnie zniweczyłem wszystkie jego „piękne plany” i dzięki mnie nie tylko wracał z próżnymi rękami, ale nawet nie wydał za mąż swej „turkawki”.

Teraz przyszedł do mnie z prośbą, abym go zabrał wraz z babińcem na swój żaglowiec.

— Jak możesz prosić mnie o to? Reis effendina byłby niepokieszony, że go opuściłeś.

— Tak, effendi; ale ciebie cenię więcej, niż reisa.

— Od kiedyż to?

— Zawsze, effendi! Zawsze!

— Nie kłam, Muradzie Nassyrze. Znam cię i wiem dobrze, co mam tobie do zawdzięczenia, a nawet odgaduję obecne pobudki, które tobą kierują.

— Nie mam żadnych pobudek skrytych, prócz życzliwości i przyjaźni, jaką żywię dla ciebie, effendi.

— Tak? A ja ci powiem otwarcie, dlaczego życzyłbyś sobie jechać ze mną. Po pierwsze: prosiła cię o to twoja ukochana siostrzyczka, Kumra, bo nie jest jej przyjemnie podróżować w towarzystwie



asakerów; po wtóre: obawiasz się sam reisa effendiny...

— Obawiam się? On był zawsze dla mnie życzliwy; dlaczegóż właśnie teraz miałbym się go obawiać? Nic mu przecież złego nie wyrządziłem...

— Ty nie, ale ja! A temu po części i ty winieneś, boś się przyczynił do nieporozumień między mną a reiselem. Skoro on teraz z wyspy Talak Chadra wróci na pokład swego „Sokoła”, to będzie tak usposobiony, że nie radziłbym nawet swemu wrogowi nawijać mu się przed oczy. Oto, dlaczego chcesz przyłączyć się do mnie!

— Jeszcze raz zapewniam cię, że powoduje mną jedynie przyjaźń.

— Czyżbyś przyjaźń tę cenił tak wysoko, że nawet narazić się byłbyś gotów dla mnie na niebezpieczeństwo?

— Nawet i w takim razie.

— Dobrze. Przyrowadź więc swoje kobiety.

— Ale... ale... effendi — ozwał się po chwili namysłu — o jakim myślisz niebezpieczeństwie?

— O, nawet dosyć wielkim, bo na przykład o grożącej mi śmierci. Popłyniemy koło wyspy Aba, gdzie mieszka mój wielki wróg, „ów święty”, o którym słyszałeś. Pozna on z daleka żaglowiec, a właściwie nie on, lecz rozstawiona przez niego w wielu miejscach warta. „Sokół”, posiadający liczną załogę, może się oczywiście nie obawiać napadu. To jednak, spodziewam się, nie zachwieje twoim ku mnie przyjacielskim uczuciem i pomimo wszystko zechcesz płynąć ze mną.

— O, z wielką radością, effendi! Jestem gotów na wszystko; muszę tylko pomówić wprzód z siostrą. Zaraz tu przyjdę, effendi!

Oddalił się spieszenie, by oczywiście nie pokazać się więcej.

O, Muradzie Nassyrze, bracie dwu sióstr, z których jedna miała mnie uszczęśliwić!... Jakże mi żal, żeśmy się tak niespodziewanie rozstali...

Nie mogłem wyruszyć w drogę zaraz, bo musiałem zapewnić bezpieczeństwo El Homrom i Takalom przed reiselem effendiną. Ludzie ci mieli się przeprowić na drugą stronę rzeki, ku czemu nie nadawał się „Sokół” ze względu na trudności w ładowaniu wielbłądów. Kazałem więc sporządzić osobne w tym celu tratwy. Rąk do pracy i narzędzi było dość, więc w krótkim czasie przewieźliśmy wszystko na drugi brzeg, skąd ludzie ci mogli już bez zbytnich trudności dostać się na drogę karawanową, zwaną Abn Habble i podążyć nią do swojej ojczyzny.

Następnie zgromadziłem oficerów i asakerów dla udzielenia im wskazówek, co mają czynić z jeńcami z El Michbaja. Rozkazałem tedy wszystkich wziętych w niewolę handlarzy przenieść zaraz na okręt i umieścić pod pokładem pod ścisłym dozorem, a następnie zniszczyć El Michbaja i popłynąć niedaleko, bo tylko do wyspy Talak Chadra, aby tam przyjąć na pokład reisa effendiną. Co on potem uczyni, kiedy przybędzie do Chartumu, nie obchodziło mnie wcale.

Nareszcie nadszedł czas pożegnania... Była to chwila bardzo przykra dla obu stron. I nie dziw! Wszak zżyliśmy się z sobą, przechodząc wspólnie tyle niebezpieczeństw i przygód.

— Odchodzisz więc od nas, effendi — ozwał się stary kapral, który zawsze Ignął do mnie. Bez ciebie podróż nie ma żadnego uroku ani przyjemności. Toteż, skoro tylko przybędę do Chartumu, odrzucę szablę i zajmę się czym innym. Allah niech będzie z tobą często i długo, jak my o tobie myśleć będziemy.

I stary żołnierz, podniósłszy ręce do oczu, odsunął się na stronę.

Jeden tylko spośród całej załogi nie chciał mi podać ręki na pożegnanie, a tym był Azis, ulubieniec reisa effendiny. Rzekł mi na pożegnanie:

— Nie żądam ode mnie, bym ci podał rękę, skoro jesteś wrogiem mego „pana”.

— Cieszy mnie ta twoja wierność — odrzekłem — ale nie daje ci ona prawa do tego, byś mnie nienawidził. Jeżeli twój pan czuje się obrażony, to jego tylko wina. Pozdrów go ode mnie po raz ostatni i powiedz, że pomimo wszystko nie jestem mu wrogiem.

Odprowadzeni przez wszystkich aż na brzeg wsiedliśmy na żaglowiec i odbiliśmy od brzegu. Przykro było zarówno mnie jak i pozostałym, że pożegnanie moje z „Sokołem” nie było takie, jakim powinno było być, tym bardziej, że do reisa effendiny nie czułem nienawiści a nawet przeciwnie — lubiłem go.

Długo płynęliśmy milcząc. Poza nami na południu pozostały okolice, w których przeżyliśmy krótką wprawdzie, ale brzemioną w zdarzenia przygodę. Prąd wody niósł nas powoli do celu. Minąwszy Mangarah wylądowaliśmy, ażeby w dzień nie przepływać koło wyspy Aba.

Jakże chętnie byłbym wylądował na tej wyspie chociażby dla zobaczenia się z Fakirem el Fukarą. Mogłoby to jednak poza zaspokojeniem ciekawości narazić nas na wcale niepożądane niebezpieczeństwo, wolałem więc zaraz z wieczora, nim księżyc wzejdzie, popłynąć dalej.

Dla przyspieszenia rozpięliśmy dwa żagle. Żaglowiec istotnie odznaczał się nadzwyczajną szybkością. Gdyby reis effendiną nawet tegoż dnia jeszcze wyruszył z El Michbaja nie mógł nas już dogonić nawet do samego Chartumu.

Dalszą podróż odbyliśmy spokojnie, bez żadnych osobliwych zdarzeń i przybyliśmy do Chartumu istotnie wcześniej, niż „Sokół”.

Był późny ranek, gdy zawinęliśmy do przystani i wyminąwszy liczne barki oraz żaglowce wysiedliśmy na brzeg. Tu przede wszystkim skierowałem swe kroki do kościoła misyjnego, by podziękować Bogu za opiekę wśród tylu przygód i niebezpieczeństw. Sali Ben Akwil udał się ze mną i ukląkł tuż obok mnie.

Gdy, pomodliwszy się, wyszliśmy z domu bożego, rzekł do mnie:

— Ostatni kwadrans poświęciłem na ostateczne pożegnanie się z islamem, effendi. Po powrocie

do ojczyzny wstąpię do seminarium, ażeby po skończeniu jego zostać apostołem miłości i naprawić błędy, jakie popełniłem, będąc apostołem islamu.

Nie opisuję tu Chartumu, pozostawiając to do innej sposobności. Zaznaczam tylko, że postanowiłem odszukać Barjada el Amina, będącego, jak wiadomo, w dobrych stosunkach z Ibn Aslem. Dom jego znajdował się w pobliżu Hokumdaria i poszedłem tam, nie zwlekając. Niestety, zamieszkiwał go już kto inny. Dowiedziałem się tylko tyle, że Barjada el Amina dotknęło ciężkie nieszczęście; *el howa* czyli cholera zabrała mu najdroższe osoby, i pozostał sam jeden na świecie. Złamany nieszczęściem, wpadł w melancholię, stronił od ludzi, aż wreszcie znikł zupełnie z oczu ludzkich; prawdopodobnie odebrał sobie życie. Co się stało z jego majątkiem, nie mogłem się dowiedzieć.

Hazid Sichar, dowiedziawszy się ode mnie o jego losie, machnął na to ręką lekceważąco i rzekł:

— Złoto — błoto!... Widocznie Allach chciał, abym swoich pieniędzy nie wy dostał już więcej. Mam natomiast wolność, która warta jest więcej, niż wszystkie skarby świata!

To jego pogodzenie się z losem wzruszyło mnie do głębi. Udawałem, że zgadzam się z jego zdaniem, jednakże czyniłem wszystko by odnaleźć Barjada el Amina. Bądź co bądź, 150.000 piastrow z procentami, jakkolwiek nie należały do mnie, stanowiły poważny majątek. Gdzie on się mógł podziać? Niepodobna, aby go ktoś okradł, bo nie ukryłby takiej sumy i wnet zwrócono by na niego uwagę. Bankrutem Barjad również nie był, bo to byłoby ogólnie wiadomym. Najwidoczniej więc nieszczęśliwy melancholik zabrał pieniądze ze sobą i przepadł razem z nimi.

Poszukiwania moje trwały tydzień bez skutku. Wziąwszy pod uwagę, że towarzyszom moim pilno było do domu, nie mogłem się ociągać dłużej i trzeba było wybrać się w dalszą drogę.

Nie miałem ochoty zapuszczać się w step Bajuda, mając do dyspozycji żaglowiec. Nikt się o niego aż do tej chwili nie upominał, wobec czego rozporządzałem nim, jak moją własnością. Udaliśmy się tedy nad Nil, by ruszyć w drogę. Rzecz prosta — spodziewałem się zobaczyć na rzece „Sokoła”. Jakież jednak było nasze zdziwienie, gdy jeszcze teraz, po tygodniu, nie zobaczyliśmy okrętu w przystani, choć wedle moich obliczeń powinien był przyżeglować tu najdalej w dwa dni po nas.

Mając zamiar odjechać następnego ranka, wybrałem się do magazynu zbożowego dla zakupienia niezbędnych artykułów do drogi. Przechodząc obok „saraya”, zbudowanego z cegieł, co w mieście tym jest rzadkością, spostrzegłem jakiegoś człowieka, który wyszedł z sieni szybkim krokiem i natknął się nieomal na mnie. Był to... reis effendina!

Uczył w pierwszej chwili ruch taki, jakby chciał ustąpić z drogi, ale spostrzegłszy, że to ja, chwycił rękę szablę i ostro spojrział mi w oczy. Staliśmy naprzeciw siebie parę sekund, mierząc się wzrokiem, po czym on cofnął rękę, splunął i rzekł:

— Jesteś dla mnie powietrze.

Ubodło mnie to lekceważące odezwanie i z trudem tylko zdobyłem się na spokojny uśmiech. Twierdzenie jego, że ja dla niego nic nie znaczę, rzecz prosta świadczyło tylko o jego własnej

słabości. Gdyby bowiem choć odrobinę miał nadziei, że z walki ze mną wyjdzie obronną ręką, byłby się na mnie porwał niewątpliwie. Wolał jednak odejść, udając, że mnie lekceważy.

Rozejrzałem się po przystani, czy nie zobaczę „Sokoła”, lecz go tam nie było. Przypadkowo tylko dowiedziałem się, że okręt reisa effendiny zatrzymał się przed dwoma dniami o wiele dalej, koło Omm Derman, naprzeciw tak zw. Szedrah Mahode. Reis effendina nie pozwolił nikomu z załogi opuścić pokładu. Skutek tego zarządzenia był taki, że w krótkim czasie wszyscy, prócz trzech oficerów... zdezerterowali, zabierając swoje manatki. Niestety, nie spotkałem się z żadnym ze zbiegłych asakerów i musiałem nawet zrezygnować z pożegnania się z Muradem Nassyrem oraz jego miłą „turkawką”, bo czas naglił nas do odjazdu.

Dla ścisłości dodaję, że później spotkałem się jeszcze kilka razy z resem effendina. Nie nazywa się on już Achmed el Inzaf, lecz jakoś inaczej. Od dawna nie jest resem effendina i został mianowany bardzo wysokim urzędnikiem, co mnie zresztą ani ziębi, ani grzeje.

Spotkawszy się ze mną w Kairze, zademonstrował mi również jak wówczas w Chartumie, że uważa mnie za „przeźrocyste powietrze”, ale nie miał odwagi wypowiedzieć tego głośno.

Po długiej a szczęśliwej podróży żaglowiec mój przybił do brzegu w Moabdah. Zapytaliśmy tu o przewodnika Ben Wazaka. Powiedziano nam, że owszem, mieszka tu jeszcze, ale nie trudni się już przewodnictwem, bo wzbogacił się bardzo i byłby już dawno przeniósł się do Kairu, gdyby nie to, że oczekuje powrotu pewnego effendiego z Francji, który pojechał na południe i obiecał zająć się odszukaniem zaginionego jego brata.

Czyżby — pomyślałem — wzbogacił się na zakazanym handlu mumiami? A nuż przeczytał to któryś z urzędników egipskich i pojechał do Moabdah zaaresztować zbrodniczego ex-przewodnika! Na wszelki wypadek oświadczam tu publicznie, że człowiek ten wcale w Moabdah już nie mieszka i że dałem mu nazwisko zmyślane, trud więc pościgu za nim byłby zbyteczny.

Przezorność nakazywała, ażeby Ben Wazak nie spotkał się z bratem nagle. Poszedłem więc najpierw do niego sam, by go przygotować należycie na tę wesołą chwilę. Poznawszy mnie od razu i omal nie rzuciwszy mi się w pierwszym impecie na szyję, chciał mnie zaraz ugościć, a potem, żebym mu wszystko opowiedział. Od pierwszego wymówiłem się, czyniąc jednak zadość drugiemu i zaznaczając przede wszystkim, co mówią o nim w Moabdah.

— Tak, effendi — odrzekł — jestem bogaty, bardzo nawet bogaty. I wiesz, kto się do tego przyczynił? Zdziwisz się, gdy ci to powiem.

— No, no?

— Barjad el Amin!

— *Maszallah!*

— Tak, on istotnie. Ale mów raczej, czy dowiedziałeś się co o moim bracie, bo ciekawość mnie pali. Wiem tylko, że Barjad el Amin wydał go osławionemu Ibn Asłowi, przy czym obdarli go z

moich pieniędzy i użyli ich na handel niewolnikami, zarabiając na tym wielkie sumy. Allah jednak ukarał Barjada el Amina, gdyż żona jego i dzieci zmarły na cholere. Po stracie ich boleść i żal tak mu poruszyły sumienie, że postanowił odpokutować swoją zbrodnię. Przede wszystkim więc całą gotówkę, jaką miał w depozycie u Ibn Asla, tudzież uzyskaną ze sprzedaży wszystkich ruchomości, przyniósł aż tu i wręczył mi, jako odszkodowanie. Siedzieliśmy nad rzeką i on mi z żalem opowiadał o swoich nieszczęściach, wyrażając zarazem skruchę, iż mnie skrzywdził. Wreszcie oddał mi zrabowane pieniądze i zerwawszy się odszedł. Sądziłem, że wróci, ale czekałem na próżno... Na drugi dzień rano rybacy wydobyli z wody jego martwe zwłoki... Allah niech będzie miłosierny dla jego duszy! Żałuję go bardzo i wolałbym, aby żył, zatrzymując sobie pieniądze, a tylko powiedział mi, gdzie się podziewa brat mój.

— Czy el Amin nie wiedział o tym?

— Nie, bo Ibn Asl nie powiedział mu prawdy.

— No, nie smuć się zbytnio, gdyż ja coś wiem o tym...

— Co? O miejscowości, czy o mym bracie?

— O jednym i o drugim.

Na te słowa zerwał się Ben Wazak i począł mnie błagać, abym mu powiedział wszystko. Rozumie się, nie mogłem zostawiać go nadal w niepewności i wskazałem mu adres oczekującego nań Hazida Sichara. Pobiegł natychmiast do wskazanego domu, ja zaś zostałem, nie chcąc obecnością swoją krępować ich w radosnym powitaniu.

Spędziliśmy w Moabdah całe dwie doby, a była to dla nas wszystkich bodaj najpiękniejsza chwila w życiu. Przy pożegnaniu otrzymałem na pamiątkę spory zbiór starożytności egipskich, zaś Abu en Nil, Ben Nil i Selim dostali do podziału między siebie sumę, która była przeznaczona pierwotnie dla mnie do podjęcia w Chartumie. Nawet Sali Ben Akwil, jako miły druh i towarzysz, otrzymał upominek.

Abu en Nil i Ben Nil, chcąc najkrótszą drogą udać się do Gubatar, do swoich krewnych, niedługo już mogli z nami pozostawać, jednak postanowili odprowadzić mnie aż do Kairu, dokąd dotarliśmy znowu wcześniej, niż reis effendina.

Przybywszy tu, przede wszystkim pozbyłem się Selima, który za uzyskane w podróży pieniądze otworzył bezzwłocznie golarnię, połączoną z zakładem czyszczenia paznokci, uszu i nosa. Rozumie się, tego rodzaju zajęcie dawało mu sposobność opowiadania swoim gościom tysięcy bajek o przygodach i bohaterskich czynach, których on jeden dokonał, a my wszyscy byliśmy tylko biernymi tego świadkami. Niestety, przez cały czas mego pobytu w Kairze, ja tylko byłem jego gościem, to znaczy goliłem się u niego, bo jakkolwiek słuchaczy miał dosyć, ale żaden z nich nie zdobył się na odwagę podstawić mu swoją głowę pod brzytwę.

W Kairze sprzedałem żaglowiec i uzyskane za niego pieniądze oddałem Salemu, gdyż biedak nie posiadał już ani grosza.

Po dwutygodniowym pobycie pożegnał się ze mną Ben Nil i jego dziadek. Nie opisuję tego szczegółowo, bo przecież uczucia nie dadzą się przelać na papier. Przyjaciele, rozchodząc się, mówią sobie: „do widzenia”. I istotnie spotkałem się jeszcze raz w życiu z nimi oboma: z Abu en Nilem na krótko przed jego śmiercią, a z wnukiem — na wodzie.

Jeżeli ktoś z łaskawych moich czytelników podróżować będzie po kraju Faraonów i mając czas zechce udać się do Górnego Egiptu drogą wodną, jednak nie na spacerowym okręcie, temu radzę odbyć tę podróż na zwykłym żaglowcu. W Bulak, porcie kairskim, można się dopytać o „Baraka el Fadl”. Jest to przyzwoicie urządzone, schludny i wygodny okręciś, który chętnie i za niską opłatą przyjmuje podróżnych z zachodu. Gdy mu podróżny oświadczy, że czytał pisma Kara Ben Nemziego, to reis powie mu, że się nazywa Ben Nil i że okrętowi swemu dał dlatego nazwę „Błogosławieństwa dobra”, iż środki na kupno tego pięknego statku zawdzięcza dobroci przyjaciela — effendiego. Dodać tu muszę, że Ben Nil umie bardzo zajmująco opowiadać o swoich przygodach i podróżach i ani się spostrzeże, jak na słuchaniu tych opowieści zleci mu czas aż do pierwszej katarakty pomimo, że statek nie jest pośpiesznym parowcem.

A Sali Ben Akwil?

Towarzyszyłem mu z Aleksandrii do Jerozolimy, aby tam przyjacielowi mojemu pokazać świętości i pamiątki chrześcijaństwa. Potem rozstaliśmy się. On przez Damaszek udał się do swej ojczyzny, ja zaś przez Konstantynopol i kraje naddunajskie do siebie.

Utrzymywaliśmy ze sobą ciągłą korespondencję, a nawet widzieliśmy się kilka razy. Dotrzymał słowa i został misjonarzem i rzecznikiem miłości, ale wprawdzie musiał przezwyciężyć bardzo wiele przeszkód ze strony rodziców i całego swego szczepu. Wspierałem go w tym nie tylko radą, ale i czynem, nawet z bronią w ręku. Bardzo ciekawy ten okres mego życia opisałem w innej książce, a historia ta dobitnie potwierdza słowa św. Pawła:

„Gdybym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłości bym nie miał, stałbym się jako miedź brzęcząca i jako cymbał brzęący”...

---

\* Pieczeń z mięsa hipopotama.

\* Minerał ziemisty, składający się z wodami, tlenku żelaza i glinki.

\* Gorący trunek.

\* Iran.

\* Dom zajezdny.

\* Koszula.

\* Praojciec brudu.

- \* Pojedynek
- \* Chłop, niezdolny do wojska
- \* Wódka
- \* Pijanica.
- \* Tekst religijny
- \* Piekło.
- \* Naczelnik gminy.
- \* Syn bata
- \* Wnuk uprzejmości.
- \* Mahdi
- \* Wielka karawana pielgrzymów
- \* Profesor
- \* Wysłaniec Mahometa.
- \* Kair
- \* Uczniowie.
- \* Zemsta krwi.
- \* Liczba mnoga od „konsul”
- \* Ostatni, lecz nie najgorszy
- \* Świeczka łożowa.
- \* Osioł
- \* Orzeł.
- \* Zapałki.
- \* Nowy Testament.
- \* Biblia.

- \* Chrzest.
- \* Pali się!
- \* Szatan.
- \* Lis
- \* Lew
- \* Pantera
- \* Szczepy.
- \* Kramarz
- \* Aptekarz.
- \* Liczba mnoga od kumfud — jeź.
- \* Drwiący szczebiot.
- \* Szkapap aptekarza.
- \* Kaplica śmierci
- \* Zbieracze galasówek.
- \* Pijak nałogowy
- \* Pijana jaszczurka
- \* Królowa Sabby
- \* Parchy
- \* Choroby skórne.
- \* Niedźwiedź nieśmiertelny.
- \* Zwał kamieni.
- \* Ozdoba wielbłąda
- \* Dywan namiotowy.
- \* Pierścień zwycięstwa.